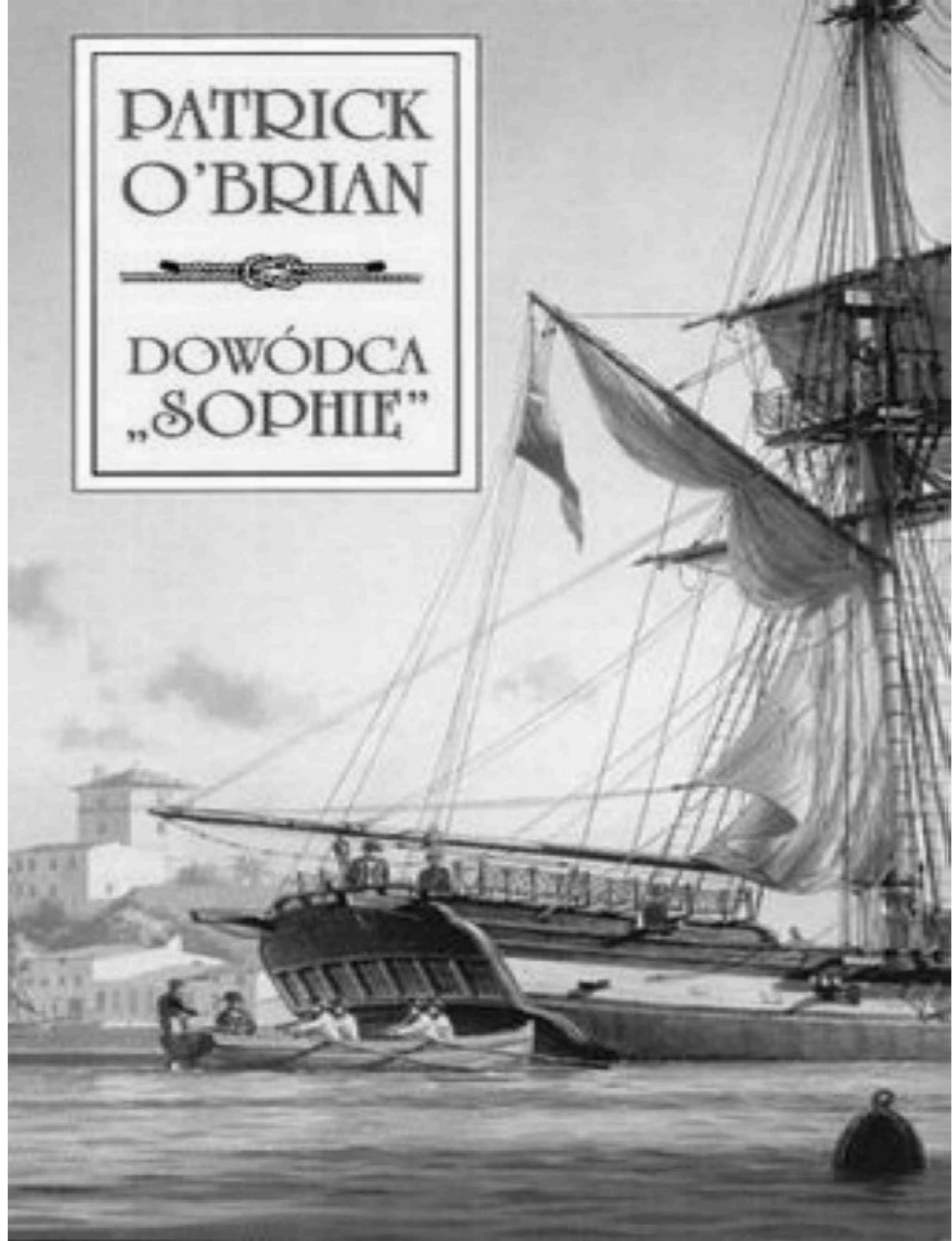


PATRICK
O'BRIAN



DOWÓDCA
„SOPHIE”



O'BRIAN PATRICK

Dowodca „Sophie” #1

PATRICK O'BRIAN

Tłumaczył Bernard Stępień

Zysk i S-ka Wydawnictwo

Tytuł oryginału Master and Commander

MARIAE LEMBI NOSTRI

DUCI ET MAGISTRAE

DO DEDICO

OD AUTORA

Pisząc o Royal Navy, Królewskiej Marynarce Wojennej z osiemnastego i początku dziewiętnastego wieku, nie można uniknąć pewnych niedoskonałości. Trudno jest w pełni dochować wierności tematowi, gdyż nieprawdopodobna wręcz rzeczywistość bardzo często wykraczała znacznie poza ramy wyobraźni. Nawet najbardziej bujna imaginacja nie może chyba stworzyć sceny, w której admirał Nelson, skacząc przez okno rufowej galeryjki ze swego pogruchotanego „Captain”, uzbrojonego w siedemdziesiąt cztery działa, przedostaje się na osiemdziesięciodziałowego „San Nicolasa” i pośpiesznie przechodzi na olbrzymiego „San Josefa” o stu dwudziestu działach. Później, jak admirał sam to opisuje: „na pokładzie hiszpańskiego okrętu pierwszej klasy, w ów może dość ekstrawagancki sposób, przyjąłem szpady od pokonanych Hiszpanów i przekazałem je Williamowi Fearneyowi, członkowi załogi mej paradnej łodzi. Ten zaś ze stoickim spokojem wziął je wszystkie pod pachę”.

Stronice zapisane przez Beatsona, Jamesa, kartki „Naval Chronicle”, archiwalne dokumenty Admiralicji w Public Record Office, biografie u Marshalla i O'Byrne'a pełne są opisów działań może mniej spektakularnych (Nelson był przecież tylko jeden), ale nie mniej brawurowych. Bardzo niewielu ludzi potrafiłoby wymyślić podobne wydarzenia, a jeszcze mniej umiałoby opowiedzieć je przekonująco. Dlatego właśnie, aby opisać potyczki morskie w tej książce, sięgnąłem wprost do źródeł. Z bogactwa wspaniale rozegranych, szczegółowo opisanych walk i bitew wybrałem te, które najbardziej podziwiam. Przedstawiając owe zdarzenia, korzystałem z dzienników okrętowych, listów urzędowych, ówczesnych relacji i wspomnień bezpośrednich uczestników, tak by niczego nie przeinaczyć. Z drugiej jednak strony nie trzymałem się niewolniczo ścisłej chronologii. Dlatego prawdziwy znawca historii marynarki wojennej zauważy na przykład, iż akcja Sir Jamesa

Saumareza w Cieśninie Gibraltarskiej została przeze mnie przesunięta w czasie i odbywa się dopiero po zakończeniu zbioru winogron. Ktoś taki zorientuje się też, że jedną z walk brygu „Sophie” w rzeczywistości stoczył zupełnie inny, lecz tak samo uzbrojony okręt. To prawda, pozwoliłem sobie na dużą swobodę. Pisząc, korzystałem z dokumentów, listów i poematów – krótko mówiąc, z czego tylko się dało. Starając się zachować wierność ogólnej prawdzie historycznej, pozmieniałem jednak nazwiska, miejsca wydarzeń i pewne drobne fakty, tak by dopasować je do wymogów mojej opowieści.

Istotne dla mnie jest to, że godni podziwu ludzie tamtych czasów: Cochrane'owie, Byronowie, Falconerowie, Seymourowie, Boscawenowie i liczni mniej słynni żeglarze, z których cech i przeżyć w pewien sposób ulepiłem postaci moich bohaterów, zostaną uszanowani dzięki opisom ich własnych czynów, a nie fikcyjnych wydarzeń. Moim zdaniem taka autentyczność to prawdziwy klejnot, echo naprawdę wypowiedzianych słów ma niewymierną wprost wartość.

Chcę też w tym miejscu podziękować za pomoc oraz cenne wskazówki otrzymane od cierpliwych, doskonale znających temat pracowników Public Record Office i National Maritime Museum w Greenwich. Składam również podziękowania dowódcy HMS „Victory” – nikt chyba nie mógłby być bardziej uprzejmy i pomocny w mojej pracy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wysokie, otoczone filarami wewnątrz ośmiokątnej sali koncertowej w pałacu gubernatora w Port Mahon wypełniały pierwsze triumfalne takty kwartetu C-dur Locatello. Stłoczeni pod ścianą muzycy, Włosi, byli jakby przyparci do muru ciasnymi rzędami małych, połączonych krzeseł. Grali z pełnym pasji przekonaniem. Powoli wspinali się ku przedostatniemu crescendo, ku przejmującej pauzie i ku głębokiemu, wyzwalającemu akordowi finałowemu. Przynajmniej część publiczności, siedzącej na owych połączonych krzeselkach, śledziła muzyczną wspinaczkę z równie jak muzycy intensywnym zaangażowaniem. Do tej grupy należało bez wątpienia dwu słuchaczy, którym wypadło zajmować miejsca tuż obok siebie, po lewej stronie w trzecim rzędzie. Mężczyzna, który siedział bardziej na lewo, mógł być pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Jego potężna postać prawie zupełnie zakrywała krzesło, tylko gdzieniegdzie przeświecał niewielki skrawek połączanego drewna. Człowiek ów miał na sobie swój najlepszy strój – błękitną kurtkę z białymi wyłogami, błękitną kamizelkę, spodnie i pończochy porucznika Royal Navy, ze srebrnym medalem Nilu w klapie. Śnieżnobiały mankiet zapinanego na złote guziki rękawa poruszał się w takt melodii. Jasnobłękitne oczy, osadzone w bladuróżowej, teraz jednak mocno opalonej twarzy, wpatrzone były nieomal nieruchomo w smyczek pierwszych skrzypiec. Zabrzmiała wysoka nuta, potem krótka pauza, wreszcie zakończenie i pięść żeglarza uderzyła mocno w kolano. Powoli odchylił się do tyłu w swoim krześle, które zakrył zupełnie, westchnął z zadowoleniem i z uśmiechem zwrócił się w stronę sąsiada. Słowa: „Moim zdaniem bardzo zgrabnie zagrane, sir” ugrzęzły mu jednak w gardle. Spotkał chłodne, raczej wrogie spojrzenie tamtego i usłyszał złowrogi szept:

–Jeśli już koniecznie musi pan wybijać rytm, sir, proszę czynić to w takt muzyki, a nie o pół uderzenia do przodu.

Wyraz twarzy Jacka Aubreya natychmiast zmienił się od przyjacielskiego, szczerego zadowolenia w coś, co z powodzeniem określić by można jako pełną zakłopotania wrogość. Nie mógł zaprzeczyć, że rzeczywiście poruszał ręką w takt muzyki. Chociaż czynił to na pewno z perfekcyjną dokładnością, samo w sobie zachowanie takie nie było godne pochwały. Zarumienił się lekko i przez chwilę przyglądał się uważnie swemu sąsiadowi. Zdążył jeszcze powiedzieć:

–Wierzę... – i pierwsze nuty wolnej części przerwały mu w pół słowa.

Przeżuwająca nuty wiolonczela odegrała solo dwie frazy i rozpoczęła dialog z altówką. Tylko część umysłu Jacka zwracała na to uwagę, reszta zajęta była mężczyzną siedzącym obok. Ukradkowe spojrzenie pozwoliło mu stwierdzić, że był to

mały, ponury człowieczek w podniszczonym czarnym płaszczu. Cywil. Trudno było określić jego wiek – nie tylko dlatego, iż twarz nieznajomego niczego nie zdradzała. Na głowie człowiek ów miał perukę, mocno poszarzałą, najwyraźniej zrobioną z cienkiego drutu i od dawna nie przypudrowaną. Mógł mieć równie dobrze dwadzieścia, jak i sześćdziesiąt lat. „W rzeczywistości jest chyba w moim wieku” – pomyślał Jack. – „Że też ten łajdak tak wygląda”. Potem całą uwagę Jacka znów pochłonęła muzyka. Odnalazł główny temat utworu i śledził go cierpliwie w jego zmianach oraz urzekających ozdobnikach, aż do satysfakcjonującej, logicznej konkluzji. Nie myślał o swym sąsiedzie do końca części, starannie unikając też jakichkolwiek spojrzeń w kierunku nieznajomego.

Menuet sprawił, że głowa Jacka zakołysała się w ślad za natrętnym rytmem. Porucznik nie był jednak tego świadomy. Dopiero gdy poczuł, że jego ręka podryguje niespokojnie, gotowa unieść się w powietrze, wsunął szybko dłoń pod kolano. Taniec był żywy, przyjemny, nic więcej. Tuż po nim zaczęto grad zaskakująco trudny, prawie drażniący końcowy fragment, w którym kompozytor był jakby o krok od wypowiedzenia czegoś o niezwykle istotnym znaczeniu. Donośne dźwięki ucichły nagle, ustępując miejsca pojedynczemu szeptowi skrzypiec. Jednostajny szum przyciszonych rozmów, który nigdy nie ucichł zupełnie w tylnej części sali, zaczął coraz wyraźniej narastać. Wydawało się, że za moment całkowicie zagłuszy muzykę. Jakiś żołnierz wybuchnął stłumionym kaszlem i Jack ze złością rozejrzał się dookoła. Wtedy reszta kwartetu dołączyła do skrzypiec i instrumenty wspólnie dotarły do punktu, w którym mogło zabrzmieć coś wiekopomnego: teraz ważny był powrót do głównego muzycznego nurtu; dlatego gdy wiolonczela przyłączyła się swoim nieuchronnym i niezbędnym pom, pom-pom-pom, pom, Jack opuścił brodę na piersi i unisono z wiolonczelą zanucił: pom, pom-pom-pom, pom. Nagle czyjś łokieć wbił mu się między żebra i ktoś zasyczał mu prosto do ucha. Dopiero teraz zorientował się, że uniesioną wysoko dłonią porusza w takt muzyki. Opuścił rękę, zacisnął zęby i patrzył nieruchomo na swe stopy aż do chwili, w której zabrzmiały ostatnie dźwięki utworu. Wysłuchał dostojnego zakończenia i doszedł do wniosku, że daleko przekraczało ono prosty raczej wstęp, którego treść udało mu się przewidzieć. Niestety, nie mógł czerpać z tego żadnej przyjemności.

Podczas braw i ogólnego zamieszania sąsiad Jacka przyglądał mu się uważnie, raczej z całkowitą dezaprobatą niż niechęcią. Nie odzywali się, siedzieli sztywno ze świadomością swej obecności, podczas gdy pani Harte, żona komendanta, grała na harfie długi i trudny technicznie utwór. Jack Aubrey spojrział w noc przez wysokie, wytworne okno. Na południowym wschodzie pojawił się Saturn – lśniąca kula na niebie nad Minorką. Takie szturchnięcie łokciem, kuksaniec, tak mocne i zamierzone, było prawie uderzeniem. Ani temperament Jacka, ani reguły honorowe nie pozwalały mu cierpliwie znosić jakiegokolwiek zniewagi. A jakaż zniewaga mogła być gorsza od uderzenia?

Ponieważ na razie Jack nie mógł się zdobyć na żadne działanie, jego gniew

przerodził się w szczególną melancholię. Pomyślał znów o tym, że ciągle pozostaje bez okrętu, o wszystkich składanych mu, a potem łamanych obietnicach i o planach, które legły w gruzach, gdyż budowane były tylko na marzeniach. Przypomniał sobie, że jest dłużny aż dwieście dwadzieścia funtów swemu agentowi handlującemu przami, czyli statkami i ładunkami skonfiskowanymi na wojnie. Jack miał wkrótce zapłacić piętnastoprocentowe odsetki od tej sumy, tymczasem jego oficerska pensja wynosiła tylko pięć funtów i dwanaście szylingów miesięcznie. Myślał też o ludziach, których znał, młodszych od siebie, lecz mających więcej szczęścia lub pieniędzy, teraz już dowodzących brygami lub kutrami, a nawet awansowanych na dowódców dużych okrętów. Wszyscy oni zdobywali hiszpańskie statki: trabakale na Adriatyku, tartany w Zatoce Lwów, xebeki i settee wzdłuż całego hiszpańskiego wybrzeża. Sława, awanse i pieniądze z łupów...

Burza oklasków uświadomiła Jackowi, że występ już się zakończył. Mechanicznie klaskał w dłonie, wykrzywiając usta w wyrazie bezgranicznego zachwytu i uwielbienia. Molly Harte ukloniła się z uśmiechem, uchwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się ponownie. Porucznik zaklaskał głośnie. Ona jednak dostrzegła, że Jack bądź to nie był aż tak bardzo zachwycony, bądź też słuchał niezbyt uważnie, i jej zadowolenie wyraźnie osłabło. Pomimo to nadal z promiennym uśmiechem przyjmowała komplementy od publiczności. Tego wieczora pani Harte wyglądała wspaniale w jasnobłękitnej atlasowej sukni z podwójnym sznurem pereł – pereł z „Santa Brigidy”.

Jack Aubrey i jego sąsiad w wyświechtanym czarnym płaszczu prawie jednocześnie powstali z miejsc i przez chwilę przyglądali się sobie uważnie. Na twarzy porucznika, zamiast ostatnich nieprzyjemnych śladów wymuszonego zachwytu, znów pojawił się wyraz chłodnej, obojętnej niechęci.

–Nazywam się Jack Aubrey, sir – powiedział cicho. – Mieszkam w gospodzie „Pod Koroną”.

–Ja nazywam się Maturin. Każdego poranka można mnie spotkać w kawiarni „U Joselito”. Czy mógłby mnie pan przepuścić?

Przez moment Jack miał prawdziwą ochotę chwycić pozłacane krzesło i roztrzaskać je na głowie tego człowieczka o trupiobladej twarzy. Odsunął się jednak grzecznie na bok, dając przekonywający dowód dobrego wychowania. Nie miał zresztą innego wyboru – w przeciwnym razie zostałyby najwyczejniej popchnięty. Po krótkiej chwili ruszył, przeciskając się przez tłum postaci w czerwonych i błękitnych mundurach, z rzadka tylko poprzetykany czarnymi sylwetkami cywilów.

–Wspaniale! Doskonale zagrane! Kapitalne! – zawołał ponad trzema rzędami głów, gdy udało mu się wreszcie dotrzeć w pobliże pani Harte. Pomachał ręką i wyszedł z sali. W holu wymienił uprzejmości z dwoma znajomymi oficerami marynarki.

–Wyglądasz, jakbyś był czymś bardzo przybity, Jack... – powiedział jeden z nich, ten, z którym kiedyś wspólnie jadali w mesie młodszych oficerów na „Agamemnonie”. Drugim był wysoki podchorąży, kiedyś najmłodszy z wachty Jacka na „Thundererze”, sztywny z racji tak uroczystej okazji i z powodu zbyt mocno nakrochmalonej koszuli, ozdobionej koronkowymi falbanami. Porucznikowi przyszło jeszcze pozdrowić sekretarza komendanta. Sekretarz odwzajemnił ukłon z uśmiechem, uniósł brwi i spojrzał na Jacka bardzo znacząco.

„Ciekawe, co teraz knuje ta wstrętne kreatura?” – rozmyślał Jack, idąc w stronę portu. Przypomniała mu się podłość i dwulicowość tego wpływowego człowieka oraz upokorzenie, jakiego doznał za jego sprawą. Pewien mały francuski statek piracki został już niemal obiecany Jackowi. Piękny, świeżo zdobyty, z nowym miedzianym poszyciem i okuciami. Z Gibraltaru przy płynął wtedy dziwnym trafem brat sekretarza i o objęciu tego dowództwa Jack Aubrey mógł tylko pomarzyć.

–Pocałujcie mnie w tyłek! – rzekł głośno, przypomniawszy sobie bezsilną uległość, z jaką przyjął wówczas tę wiadomość, połączoną z obietnicami bliżej nie określonych korzyści w dalszej przyszłości i z kolejnymi zapewnieniami o dobrej woli sekretarza. Miejsce tych nieprzyjemnych wspomnień zajęły teraz inne, znacznie świeższe. Jack przypomniał sobie swoje zachowanie na dzisiejszym koncercie. Pozwolił przejść obok siebie owemu małemu człowieczkowi bez jakiegokolwiek riposty. Nie potrafił znaleźć odpowiednio miażdżącej uwagi, która jednocześnie nie byłaby zbyt grubiańska. W rezultacie tych smętnych rozmyślań poczuł głębokie obrzydzenie do samego siebie, do człowieczka w czarnym płaszczu i do służby w królewskiej marynarce. Zbrzydła mu też aksamitna miękkość kwietniowej nocy, chór słowików w koronach drzew pomarańczowych i migoczące gwiazdy wiszące tak nisko, że zdawały się dotykać szczytów najwyższych palm.

Jack wynajmował pokój w gospodzie „Pod Koroną”. Oberża ta pod pewnymi względami przypominała swą sławną imienniczkę w Portsmouth. Nad wejściem wisiał taki sam olbrzymi złoto-szkarłatny szyld, pozostałość po poprzednich brytyjskich okupacjach; budynek został wzniesiony około 1750 roku w najczystszy angielskim stylu. Pominąwszy dachówki, nie można było dopatrzeć się w tej budowli jakichkolwiek związków z architekturą śródziemnomorską. Na tym jednak wszelkie podobieństwa do Portsmouth się kończyły. Właściciel pochodził z Gibraltaru, obsługę stanowili Hiszpanie lub raczej hispanojęzyczni mieszkańcy Minorki. W środku pachniało oliwą z oliwek, sardynkami i winem. Nikt nawet nie myślał o eklerach, ciastkach czy choćby porządnej leguminie. Z drugiej strony w żadnym angielskim zajeździe nie było pokojówki tak podobnej do dojrzałej brzoskwini jak piękna Mercedes. To ona właśnie wbiegła na słabo oświetlony podest schodów i zawołała w stronę wchodzącego na górę Jacka:

–List, *teniente**, ja zaraz go panu przynieść!

Chwilę później stała obok niego, szczerze uradowana i wyraźnie z siebie zadowolona. Aubrey zbyt dobrze jednak wiedział, że żaden adresowany do niego list nie może zawierać nic specjalnie przyjemnego. Dlatego odwzajemnił radość dziewczyny jedynie przelotnym spojrzeniem na jej biodra i wymuszonym uśmiechem.

* *Teniente* (wł.) – porucznik. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

–I pan kapitan Allen przyjść dla pana – dodała.

–Allen? Allen? Czegóż on, do diabła, mógł ode mnie chcieć?

Kapitan Allen był spokojnym, starszym mężczyzną. Jack wiedział o nim tylko tyle, że był amerykańskim lojalistą słynącym z niezmienności swego postępowania: zawsze zmieniał hals, niespodziewanie wykładając ster na zawietrzną, i nosił długą kamizelkę.

–Och, pewnie chodzi o ten pogrzeb... – domyślił się porucznik. – Składka.

–Pan smutny, *teniente*? - zapytała Mercedes, odchodząc w głąb korytarza. – Jaki pan biedny...

Jack wziął świecę ze stolika i ruszył w stronę swojego pokoju. Nie zawracał sobie głowy listem – zainteresował się nim dopiero po zdjęciu munduru i kołnierzyka. Najpierw podejrzliwie obejrzał przesyłkę ze wszystkich stron. Nieznana ręka napisała w adresie: Pan Kapitan Aubrey, Royal Navy.

–Jakiś cholerny głupiec. – Jack zmarszczył brwi i odwrócił list na drugą stronę. Czarna lakowa pieczęć była rozmazana i pomimo obracania jej pod różnymi kątami do światła nie można było rozpoznać herbu. – Nie wiem, czyj to może być znak – powiedział do siebie. – W każdym razie to na pewno nie stary Hunks. On nigdy nie pieczętuje tak swoich listów. – Hunks był jego agentem, wierzycielem, krwiopijcą.

Zdobywszy się wreszcie na odwagę, Aubrey złamał pieczęć i przeczytał list:

Od Jaśnie Szanownego Lorda Keitha, Kawalera Orderu Łaźni, admirała i głównodowodzącego okrętami oraz jednostkami pływającymi Jego Królewskiej Mości, odbywającymi służbę bądź w przyszłości przeznaczonymi do służby na Morzu Śródziemnym, itd., itd., itd.

Biorąc pod uwagę to, iż kapitan Samuel Allen został przeniesiony ze slupa Jego Królewskiej Mości „Sophie” na fregatę „Pallas” w związku ze śmiercią kapitana Jamesa Bradby'ego, postanawia się, co następuje:

Niniejszym zostaje pan odkomenderowany na pokład „Sophie” w celu objęcia obowiązków dowódcy tegoż okrętu. Od oficerów i załogi wspomnianego slupa

oczekuje się pełnego posłuszeństwa i odpowiedniego szacunku wobec pana jako ich przełożonego. Pan zaś postępować ma zgodnie z ogólnymi drukowanymi Instrukcjami oraz wszelkimi rozkazami i wskazówkami, jakie od czasu do czasu będzie pan otrzymywał od wyższych od siebie rangą oficerów w służbie Jego Królewskiej Mości. Kto odmówi wykonania owych poleceń, czy to pan, czy którykolwiek z członków załogi, zostanie pociągnięty do odpowiedzialności i surowo ukarany.

Proszę traktować powyższe jako rozkaz dla pana.

Wydano na pokładzie okrętu flagowego „Foudroyant”

na morzu, 1 kwietnia 1800 roku.

Dla szlachetnie urodzonego Johna Aubreya, niniejszym mianowanego dowódcą słupa Jego Królewskiej Mości „Sophie” pod komendą admirała Thosa Walkera

Oczy objęły treść w jednej chwili, lecz umysł nie chciał czytać ani wierzyć. Policzki porucznika poczerwieniały. Z zaskakująco poważną i surową twarzą przeliterował całość linijka po linijce. Czytał coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie serce Jacka po brzegi wypełniła wszechogarniająca fala radości. Jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej, usta bezwiednie się rozchyliły. Roześmiał się głośno, uderzył dłonią w kartkę, poskładał list starannie, potem go rozłożył i ponownie przeczytał z najwyższą uwagą. Przez mrozącą krew w żyłach sekundę wydawało mu się, że cała ta otwierająca się przed nim na nowo rzeczywistość zawali się z hukiem, gdyż dopiero teraz dostrzegł ową nieszczęsną datę. Spojrzał na papier pod światło i z ulgą rozpoznał znak wodny Admiralicji, tę kotwicę nadziei; godną najwyższego respektu i wiary, realną jak skała Gibraltaru.

Nie umiał zachować spokoju. Chodząc szybko tam i z powrotem po pokoju, włożył mundur, potem go zdjął i chichocząc, wymamrotał kilka nie powiązanych ze sobą zdań.

–A ja się tak martwiłem... Cha, cha... Taki przyjemny mały bryg, znam go przecież dobrze... Cha, cha... Uważałbym się za najszcześliwszego człowieka na ziemi nawet jako dowódca najpodlejszej łajby, nawet jako kapitan „Vulture”, tego pływającego śmietnika... Jako kapitan jakiegokolwiek okrętu... Wspaniałe kaligraficzne pismo. I jaki dobry papier... To chyba jedyny w całej flocie bryg z pokładem rufowym: na pewno przyjemna kapitańska kabina... Doskonała pogoda. Jest tak ciepło... Cha, cha... Żeby tylko udało mi się zdobyć ludzi. To będzie największy problem...

Jack był wprost niewyobrażalnie spragniony i głodny. Rzucił się w stronę dzwonka i nie czekając, aż koniec sznura przestanie się poruszać, wystawił głowę na korytarz i zawołał pokojówkę.

–Mercy! Mercedes! Och, nareszcie jesteś, moja droga! Co możesz mi przynieść do jedzenia? Do jedzenia. Jeść. *Man-giare*? Może *pollo*! Pieczone, zimne. I butelkę wina. Rozumiesz? *Wino*... Nie! Dwie butelki! I jeszcze coś, Mercy. Czy możesz potem przyjść i zrobić coś dla mnie? Chciałbym... *de-sirer*... żebyś przyszyła mi guzik. Szyć. *Cosare*...

–Dobrze, *teniente* - odpowiedziała Mercedes. Jej oczy poruszyły się żywo, a śnieżnobiałe zęby zaśniły w blasku świecy.

–Już nie *teniente!* - zawołał Jack, obejmując w żelaznym uścisku szczupłą kibić dziewczyny. – Kapitanie! *Capitano*. Cha, cha, cha!

Obudził się rano z głębokiego snu. Od razu był w pełni świadomy. Zanim zdążył otworzyć oczy, już cały umysł wypełniony miał myślami o otrzymanym awansie.

„Nie jest to oczywiście okręt pierwszej klasy” – zauważył Aubrey w duchu. – „Któż jednak chciałby bezsensownego dowództwa na olbrzymim okręcie liniowym, bez najmniejszej szansy na samodzielną akcję? Gdzie ta „Sophie” teraz stoi? Za nabrzeżem amunicyjnym, przy kei obok „Rattlera”. Muszę zaraz zejść na dół i obejrzeć mój okręt. Nie warto tracić ani minuty. Nie, nie. Nie należy tego robić. Lepiej się zapowiedzieć, tak żeby byli uczciwie uprzedzeni. Nie... Pierwsze, co powinienem zrobić, to pójść i podziękować, gdzie trzeba. Powinienem też spotkać się z Allenem. Pocziwy stary Allen... Muszę życzyć mu wszystkiego dobrego”.

Pomimo tych planów Jack poszedł najpierw do sklepu mundurowego po drugiej stronie ulicy. Udało mu się tam powiększyć swój nieco bardziej teraz elastyczny kredyt do równowartości ciężkiego, masywnego epoletu, oznaki świeżo uzyskanej rangi. Sklepiarz umocował natychmiast nowy nabytek na lewym ramieniu swego klienta. Z wyraźnym zadowoleniem przyglądał się ostatecznemu rezultatowi, patrząc w podłużne lustro zza pleców przeglądającego się Jacka.

Zamykając za sobą drzwi sklepu, Aubrey dostrzegł po przeciwnej stronie ulicy, obok kawiarni, znajomą sylwetkę człowieka w czarnym płaszczu. Przypomniawszy sobie wydarzenia poprzedniego wieczora, przeszedł szybko przez ulicę.

–Panie... Panie Maturin! Więc jednak się spotkaliśmy. Winien jestem panu przeprosiny. Obawiam się, że wczoraj na koncercie trochę poniosły mnie emocje. Mam szczerą nadzieję, że zechce mi pan wybaczyć. My, marynarze, tak rzadko mamy kontakt z prawdziwą muzyką... Nie wiemy, jak się zachować w eleganckim towarzystwie. Jeszcze raz serdecznie pana przepraszam.

–Ależ, mój drogi panie... – odparł ubrany na czarno mężczyzna. Na jego trupiobladej twarzy pojawił się niezdrowy rumieniec. – Moim zdaniem miał pan wszelkie prawo do najwyższych uniesień. Nigdy w życiu nie słyszałem lepiej grającego kwartetu. Takie

zgranie, taka głębia wyrazu. Czy pozwoli pan zaprosić się na filiżankę gorącej czekolady lub kawy? Sprawiłby mi pan największą przyjemność...

–To bardzo miło z pańskiej strony – powiedział Jack. – Zgadza się z przyjemnością. Szczerze mówiąc, jestem dziś od rana tak podekscytowany, że zapomniałem zupełnie o śniadaniu. Właśnie zostałem awansowany – dodał, wybuchając trochę wymuszonym śmiechem.

–Och! Doprawdy? Gratuluję panu z całego serca. Proszę do środka!

Widząc wchodzącego do kawiarni Maturina, kelner pomachał wskazującym palcem, w owym śródziemnomorskim geście negacji, naśladując jakby ruchy wahadła odwróconego do góry nogami. Maturin wzruszył na to ramionami.

–Znowu nic. Poczta idzie dzisiaj naprawdę bardzo powoli... – odezwał się do Jacka i zwracając się do kelnera w jego ojczystym języku, po katalońsku, powiedział: – Przynieś nam gorącą czekoladę, Jep. I trochę dobrze ubitej śmietany.

–Mówi pan po hiszpańsku? – Jack usiadł, odsuwając na boki poły swego płaszcza, by odsłonić szpadę. Uczynił to tak szerokim ruchem, iż przez chwilę całe pomieszczenie zdawało się być wypełnione błękitem. – To musi być coś wspaniałego. Znać hiszpański! Wiele razy próbowałem się uczyć. Tak samo z włoskim i francuskim. Nic mi nigdy z tego nie wychodziło. W zasadzie wszyscy oni mnie rozumieli, ale ja jakoś nie potrafiłem ich zrozumieć. Ci ludzie mówią zawsze tak szybko... Jestem tym kompletnie załamany. Obawiam się, że cały problem tkwi tutaj – rzekł, uderzając się palcami w czoło. – Podobnie wyglądała sprawa z łaciną, gdy byłem mały. Jak ja wtedy obrywałem od starego Pagana. – To wspomnienie tak szczerze go rozbawiło, że nawet kelner niosący czekoladę roześmiał się głośno i powiedział:

–Piękny mamy dzisiaj dzień, panie kapitanie. Naprawdę, bardzo piękny.

–Rzeczywiście piękny dziś dzień – zgodził się Jack. z życzliwością spojrzawszy w szczerzą twarz kelnera. – *Bel-lo soleil*. To prawda. Nie zdziwię się, jeśli zacnie wkrótce wiać tramontana – dodał, schylając się i patrząc w górę przez okno, po czym odwrócił się w stronę Maturina. – Już dziś rano zauważyłem, że niebo na północnym wschodzie jest lekko zielonkawe. Pomyślałem sobie wtedy, iż nie będę zaskoczony, jeśli tramontana zawieje, jak tylko ucichnie morska bryza.

–To dziwne, że nie ma pan zdolności do nauki języków obcych – zauważył jego rozmówca, który nie miał w tej chwili nic ciekawego do powiedzenia o pogodzie. – Wydaje mi się, że ktoś o dobrym słuchu muzycznym nie powinien mieć większych trudności z nauką obcej mowy. Zawsze myślałem, iż obie te umiejętności idą ze sobą w parze.

–Z filozoficznego punktu widzenia ma pan zapewne rację – przyznał Jack. – Ze mną jest jednak tak, jak jest. Może dlatego, że mój słuch muzyczny nie jest wcale doskonały. Tak czy inaczej, bardzo kocham muzykę. Bóg jedyny wie, jak czasem ciężko jest mi znaleźć właściwą nutę.

–Pan gra, sir?

–Troszeczkę. Od czasu do czasu dręcę moje skrzypce.

–Tak samo jak ja! Zupełnie tak samo! Gdy tylko mam chwilkę wolnego czasu, próbuję pogrywać sobie na wiolonczeli.

–To prawdziwie szlachetny instrument – zauważył Jack i obaj panowie rozpoczęli dyskusję o Boccherinim, smyczkach i kalafonii. Rozprawiali tak z wielką przyjemnością aż do chwili, w której brzydki zegar ścienny, o podobnym do liry wahadle, zaczął wybijać godzinę. Aubrey opróżnił filiżankę i odsunął krzesło. – Myślę, że pan mi wybaczy. Mam jeszcze dzisiaj w planie kilka oficjalnych wizyt i rozmowę z moim poprzednikiem. Chyba jednak się pan nie obrazi, jeśli pozwolę sobie zaprosić pana dzisiaj na obiad?

–Przyjmuję pańskie zaproszenie z największą przyjemnością. – Maturin skłonił się nisko.

Stanęli przy drzwiach.

–Może umówilibyśmy się o trzeciej po południu „Pod Koroną”? – zaproponował Jack. – W marynarce rzadko udaje nam się jadać wcześniej. Ja o tej porze jestem już zawsze strasznie głodny i zły. Myślę jednak, że mi pan to wybaczy. Zmoczymy pędzel, a potem może pomuzykujemy sobie trochę, jeżeli to oczywiście panu nie przeszkadza.

–Czy pan widzi?! Dudek! – zawołał niespodziewanie towarzysz Jacka.

–Co to takiego?

–Ptak. Ten z podobnym do wachlarza pióropuszem i prążkowanymi skrzydłami. Dudek. *Upupa epops*. Tam! Tam na dachu. Tam! Tam!

–Gdzie? Gdzie? W jakim namiarze?

–Już odleciał. Od kiedy tu przybyłem, miałem nadzieję zobaczyć dudka. I proszę! W samym środku miasta! Port Mahon musi być szczęśliwym miejscem, skoro ma takich mieszkańców. Przepraszam pana. Chyba się przesłyszałem. Czyżby mówił pan coś o moczeniu pędzli?

–Och, tak! To takie gwarowe wyrażenie, którego używamy w Royal Navy. Pędzel to właśnie to... – wyjaśnił Jack, dotykając dłonią swego imponującego epoletu. – Kiedy zakładamy go pierwszy raz, moczymy go, czyli wypijamy butelkę wina. Czasem dwie butelki.

–Doprawdy? – Maturin w charakterystyczny dla cywilów sposób ze zdziwieniem pochylił głowę. – To ozdoba, oznaka stopnia wojskowego, jak mi się zdaje. Rzeczywiście, wygląda wspaniale. Czy nie zapomniał pan jednak o drugim ramieniu, sir?

–No cóż... – Jack roześmiał się. – Muszę przyznać, że chciałbym mieć już prawo do noszenia dwóch takich epoletów. Tymczasem życzę panu dobrego dnia i dziękuję za wyśmienitą czekoladę. Cieszę się bardzo, że zobaczył pan tego swojego bubka!

W pierwszej kolejności wypadało Jackowi złożyć wizytę starszemu kapitanowi, dowódcy marynarki wojennej w Port Mahon. Komendant Harte mieszkał w okazałej rezydencji należącej do niejakiego Martinez, hiszpańskiego kupca. Pokoje urzędowe znajdowały się po drugiej stronie dziedzińca. Przechodząc przez podwórze, Jack usłyszał dźwięki harfy. Muzyka ucichła na chwilę i rozległ się głuchy odgłos opuszczanych żaluzji – słońce już nieźle przygrzewało. Małe jaszczurki, gekony, zaczęły pośpiesznie zajmować swe miejsca na jaskrawo oświetlonych promieniami słonecznymi ścianach.

Kapitan Harte był niskim mężczyzną, w pewien sposób podobnym do lorda St Vincenta. Trzeba zresztą przyznać, że ze swej strony robił on wszystko, by jak najbardziej podkreślić to podobieństwo przez grubiańską nieuprzejmość wobec podkomendnych i przynależność do partii liberalnej. Trudno powiedzieć, czy Harte nie lubił Jacka z powodu aż nadto wyraźnej pomiędzy nimi różnicy wzrostu czy też podejrzewał go o romans ze swą żoną. Tak czy inaczej obaj panowie już od dawna za sobą nie przepadali.

–Gdzie pan się do diabła podziewał, panie Aubrey? – zawołał komendant na widok Jacka. – Spodziewałem się pana u siebie wczoraj wieczorem! Allen też czekał wczoraj na pana! Z prawdziwym zdumieniem dowiedziałem się, że w ogóle się pan z nim nie widział. Oczywiście życzę panu jak najlepiej – mówił z ponurą twarzą – lecz moim zdaniem w bardzo dziwny sposób obejmuje pan pierwsze samodzielne dowództwo. Allen jest teraz już dobre sześćdziesiąt mil stąd, a razem z nim wszyscy prawdziwi marynarze i oficerowie z „Sophie”. Co zaś się tyczy ksiąg, pokwitowań i rachunków, musieliśmy je wszystkie jakoś uporządkować. To naprawdę niesłychane. Coś podobnego!

–Fregata „Pallas” wyszła w morze, sir?! – zawołał Jack zaskoczony.

–Odplynęła o północy. – Kapitan Harte wypowiedział te słowa z nie ukrywanym

zadowoleniem. – Nie może pan oczekiwać, że obowiązki służbowe zaczekają, aż załatwi pan jakieś swoje prywatne sprawy czy przyjemności, panie Aubrey. Zostałem ponadto zobowiązany do skierowania do służby w porcie części pozostawionych przez kapitana Allena ludzi.

–Dowiedziałem się o wszystkim dopiero wczoraj w nocy, a dokładnie między godziną pierwszą i drugą.

–Doprawdy? Zdziwia mnie pan. Jestem zdumiony. List z całą pewnością został wysłany o właściwej porze. Na pewno zawinili tu ludzie z pańskiej gospody. Nie można w żaden sposób polegać na tych obcokrajowcach. Zapewne jest pan uradowany awansem. Muszę przyznać, że naprawdę nie wiem, jak chce pan wyjść w morze, nie mając na pokładzie ludzi zdolnych wyprowadzić okręt z portu. Allen zabrał swojego porucznika, felczera i wszystkich najlepszych podchorążych. Ja zaś nie mogę dać panu nawet jednego człowieka nadającego się do czegokolwiek.

–No cóż... – smutnym głosem odparł Jack. – Muszę zatem, jak mi się wydaje, próbować radzić sobie jakoś z tym, co mam.

Sytuacja była oczywista. Każdy normalny oficer, mający możliwość zejścia z małego, starego i powolnego brygu na piękną fregatę, taką jak „Pallas”, uczyniłby to bez wahania. Od zamierzonych czasów obowiązywała też niepisana zasada, w myśl której kapitan zmieniający okręt mógł zabrać ze sobą sternika i załogę swojej łodzi, a także kilku innych żeglarzy. Jeśli nikt z przełożonych dokładnie się tym nie zainteresował, mogły tu zostać przekroczone zwyczajowo ustalone granice.

–Mogę przydzielić panu kapelana. – Komendant szydził z sadystycznym wręcz zadowoleniem.

–Czy on może umie stawiać i refować żagle albo sterować? – Jack starał się za wszelką cenę zachować spokój. – Jeśli nie, to proszę mi wybaczyć. Rezygnuję.

–W takim razie żegnam pana, panie Aubrey. Dziś po południu prześlę panu pańskie rozkazy.

–Do widzenia, sir. Mam nadzieję, że pani Harte jest u siebie. Muszę jej złożyć wyrazy szanowania i pogratulować występu na wczorajszym koncercie. Sprawiała nam wszystkim prawdziwą przyjemność.

–Czyżby więc był pan w pałacu gubernatora? – zdziwił się kapitan Harte. Podła przewrotność tego pytania polegała na tym, że komendant doskonale znał odpowiedź. – Gdyby nie wałęsał się pan po nocy, mógłby pan wejść na pokład swojego słuca w sposób, jaki przystoi prawdziwemu oficerowi. Trudno pojąć, jak to możliwe, by młody człowiek wolał towarzystwo włoskich grajków i eunuchów od objęcia swego pierwszego samodzielnego dowództwa...!

Słońce wydało się Jackowi nieco mniej wspaniałe, gdy przechodził przez dziedziniec, by złożyć wizytę pani Harte. Wciąż jednak grzało przyjemnie; gdy wbiegał na schody, z zadowoleniem poczuł dodatkowy ciężar na lewym ramieniu. W salonie żony komendanta spotkał nieznanego porucznika i jakiegoś nadętego podchorążego, których widział już na wczorajszym koncercie. Składanie porannych wizyt pani Harte należało w Port Mahon do najlepszego tonu. Gospodyni siedziała przy harfie, w bardzo dekoracyjnej pozie, i rozmawiała

o czymś z porucznikiem. Zobaczywszy Jacka, wstała gwałtownie i podała na powitanie obie dłonie, wołając:

–Kapitanie Aubrey! Tak się cieszę, że pana widzę! Najserdeczniejsze gratulacje. Musimy umoczyć pędzel. Panie Parker, błagam, niech pan zadzwoni na pokojówkę.

–Życzę panu wszystkiego najlepszego, sir – rzekł porucznik, ucieszony samym widokiem tego, o czym od dawna marzył. Podchorąży zawahał się, nie wiedząc, czy wypada powiedzieć cokolwiek w tak znakomitym towarzystwie. Dopiero po chwili, gdy pani Harte zaczęła przedstawiać sobie gości, zdołał wydusić z siebie drżącym głosem: „Wszystkiego najlepszego, sir” i spłonął rumieńcem.

–To pan Stapleton, trzeci na „Guerrierze” – powiedziała żona komendanta, wskazując dłonią. – A to pan Burnett z „Isis”. Carmen, przynieś nam butelkę Madery...

Molly Harte była atrakcyjną kobietą; może nie piękną lub wyzywająco ładną, lecz szczególny sposób, w jaki nosiła głowę, nie pozwalał odmówić jej urody. Pogardzała swoim nieudacznym mężem, który we wszystkim jej ulegał. Szukała ukojenia i ucieczki przed nim w muzyce. Sama muzyka nie zawsze chyba jednak wystarczała, gdyż teraz pani domu nałała sobie spory kieliszek i opróżniła go z zadziwiającą sprawnością.

W chwilę później pan Stapleton pożegnał się i wyszedł. Przez jakiś czas wszyscy obecni wymieniali uwagi na temat pogody: cudowna, nawet w południe nie jest za gorąco – morska bryza łagodzi upał – ten północny wiatr jest trochę męczący, zdrowy za to – tutejsze słońce jest o wiele przyjemniejsze niż kwietniowe deszcze w Anglii – ciepło jest w ogólności na pewno bardziej przyjemne niż zimno...

–Panie Burnett, czy mógłby pan wyświadczyć mi uprzejmość? – poprosiła gospodyni po około pięciu minutach rozmowy. – Zostawiłam w pałacu gubernatora torebkę...

–Pięknie wczoraj grałaś, Molly – powiedział Jack, gdy już zamknęły się drzwi.

–Jack, tak się cieszę, że masz nareszcie własny okręt.

–I ja też się cieszę. Nie myślałem, że kiedykolwiek w życiu będę taki szczęśliwy. Wczoraj czułem się przygnębiony i przybity, a „Pod Koroną” czekał na mnie ten list. Czyż to nie wspaniałe? – Przez chwilę oboje czytali ów dokument w pełnym powagi milczeniu.

–„Zostanie pociągnięty do odpowiedzialności i surowo ukarany...” – powtórzyła pani Harte. – Jack, błagam cię, nie próbuj zdobywać przyzów, atakując statki krajów neutralnych. Ten bark z Ragusy, przysłany przez biednego Willoughby'ego, nie został uznany za zdobycz wojenną i właściciele będą teraz skarżyć nieszczęśnika.

–Nie ma obawy, droga Molly – odparł Jack. – Zapewniam cię, że przez dłuższy czas nie będę miał okazji zdobycia żadnych przyzów. Ten list dotarł do mnie z opóźnieniem, z bardzo podejrzanym opóźnieniem, i Allen wypłynął z moimi najlepszymi ludźmi. Polecono mu wyruszyć w zaskakującym pośpiechu, zanim udało mi się z nim zobaczyć. Ponadto komendant przeznaczył część z tych, którzy pozostali, do służby w porcie. Wygląda na to, że nie możemy obecnie wyjść w morze. Ośmielam się przypuszczać, iż zdążymy się zestarzeć, zanim zdobędziemy cokolwiek.

–Och, to niemożliwe! – krzyknęła pani Harte wzburzona, jej twarz poczerwieniała. W tej samej chwili do salonu weszła Lady Warren, a tuż za nią jej brat, kapitan piechoty morskiej.

–Annie, moja najdroższa! – zawołała Molly Harte. – Chodź tutaj zaraz i pomóż mi zapobiec pewnej potwornej niesprawiedliwości. Oto kapitan Aubrey. Czy państwo może się znacie?

–Sługa uniżony szanownej pani. – Jack skłonił się szczególnie nisko. Stał przed żoną admirała.

–To najbardziej szlachetny i rycerski oficer. Prawdziwy torys, syn generała Aubreya. Proszę sobie wyobrazić, że właśnie jego w obrzydliwy sposób...

Na dworze ociepliło się znacznie. Gdy Jack wyszedł wreszcie na zewnątrz, poczuł dotyk rozgrzanego powietrza na twarzy. Pomimo temperatury nie było duszno czy parno. Wyczuwało się dookoła świeżość, która zdawała się unosić ze sobą wszystkie nieprzyjemności. Skręciwszy kilka razy, dotarł wreszcie do wysadzanej drzewami ulicy, prowadzącej z Ciudadela do placu, a raczej tarasu, wiszącego na skale wysoko ponad nabrzeżami portu. Przeszedł na ocienioną stronę, tam gdzie angielskie domy z zasuwanymi oknami, maleńkimi okienkami ponad drzwiami oraz brukowanymi podjazdami stały w zadziwiającej zgodzie i poufałości z opuszczonymi hiszpańskimi rezydencjami, o wejściach zwieńczonych kamiennymi herbami.

Drugą stroną drogi przeszła grupa marynarzy. Niektórzy ubrani byli w szerokie

pasiaste spodnie, inni w spodnie z gładkiego żaglowego płótna. Część z nich miała na sobie eleganckie czerwone kamizelki, drudzy zwykle błękitne kurtki. Stroju dopełniały brezentowe czapki, noszone pomimo gorąca, szerokie słomkowe kapelusze lub pstre chustki zawiązane na głowach. Wszyscy bez wyjątku mieli włosy zaplecione z tyłu w długi warkoczyk i w jakiś nie wyjaśniony sposób wiadomo było od razu, iż są członkami załogi któregoś z okrętów wojennych.

Ci akurat należeli do „Bellerophona” i Jack patrzył na nich wygłodniałym wzrokiem, gdy przechodzili obok, śmiejąc się i wykrzykując coś do siebie po angielsku i hiszpańsku. Zbliżał się do placu. Poprzez gęstwinę młodziutkich zielonych liści widział już bombramsle i bramsle okrętu „Genereux”, lśniące bielą, suszące się w słońcu na rejach daleko po drugiej stronie portu. Ruchliwa ulica, zieleń drzew, żagle i błękitne niebo nad głową – wszystko to wystarczało, by zabiło mocniej serce każdego mężczyzny. Trzy czwarte duszy Jacka poddało się owemu szczególnemu uniesieniu, ulatując gdzieś wysoko. Spora część jego umysłu nie potrafiła jednak oderwać się od ziemi, zajęta niespokojnymi myślami o brakujących członkach załogi. Już stawiając pierwsze kroki w Royal Navy, Aubrey aż nadto dobrze poznał koszmarne problemy z zaciąganiem ludzi do służby w marynarce. Pierwsza poważniejsza rana, jaką odniósł, była skutkiem uderzenia żelazkiem przez pewną kobietę z Deal, która uważała, iż jej mąż nie powinien być zmuszany do zaokrętowania. Jack nie przypuszczał jednak nigdy, że tak boleśnie zetknie się z tym problemem już teraz, na początku dowódczej kariery. Nie spodziewał się, iż może to tak właśnie wyglądać. Zwłaszcza tutaj, na Morzu Śródziemnym.

Wszedł na plac wysadzany dostojnymi drzewami. W dół, do portu, prowadziły szerokie podwójne schody, od stulecia znane brytyjskim marynarzom jako Pigtail Steps. Wielu z nich połamało sobie na tych stopniach ręce i nogi bądź porozbijało głowy. Aubrey podszedł do niewysokiego muru u szczytu schodów i spojrzał na olbrzymi zamknięty obszar wody rozciągający się od najdalszego zakątka portu po lewej stronie aż na kilka mil w prawo, daleko za wyspę szpitalną, do bronionego przez twierdzę wyjścia na otwarte morze. W lewej części stały statki handlowe. Dziesiątki, a właściwie setki: feluki, tartany, xebeki, pinasy, polakry, houario i barcalongi. Wszystkie rodzaje osprzętu i ożaglowania spotykane na Morzu Śródziemnym, a także wiele innych, nawet z dalekich mórz północy: kety węglowe, dorszowce i śledziowce. Naprzeciwko Jacka i po jego prawej stronie stały okręty wojenne: dwa liniowe, każdy z siedemdziesięcioma czterema działami na pokładzie, i piękna fregata „Niobe” o dwudziestu ośmiu działach. Jej marynarze malowali cynobrowy pas pod podobną do szachownicy linią furt działowych i dalej w górę nad delikatną pawężą, naśladując pewien hiszpański okręt, który tak bardzo spodobał się ich kapitanowi. Z tyłu kotwiczyły bądź cumowały transportowce i inne jednostki; po całej powierzchni basenu portowego, w kierunku od okrętów do nabrzeża i schodów, kursowały tam i z powrotem niezliczone łodzie. Longboty, barkasy, paradne łódki z liniowców, szalupy, kutry, jolki i gigi, a nawet powolny bączek z kecza „Tartarus”,

ponad miarę obciążony zwalistym cielskiem ochmistrza tego okrętu, tak iż burty wystawały z wody zaledwie na trzy cale. Dalej na prawo wspaniałe nabrzeże skręcało w stronę stoczni, pirsu amunicyjnego i prowiantowego, aż do wyspy kwarantannowej, kryjąc wiele jeszcze innych okrętów. Jack wyciągał szyję, stojąc z nogą opartą na obmurowaniu, w nadziei, iż dostrzeże choćby najmniejszy fragment powodu swej radości i dumy. Nie udało mu się jednak niczego wypatrzeć. Niechętnie obrócił się w lewo, tam bowiem znajdowało się biuro pana Williamsa. Williams był w Port Mahon przedstawicielem agenta z Gibraltaru, firmy Johnstone i Graham zajmującej się sprzedażą przyzów. To biuro było portem, do którego w następnej kolejności należało zawinąć. Po pierwsze, trochę śmiesznie było nosić złoto na ramieniu, nie mając grosza w kieszeni. Po drugie, kapitan Aubrey potrzebował teraz pieniędzy, gdyż musiał poczynić całą serię poważnych i nieuniknionych wydatków: zwyczajowe prezenty, drobne łapówki i temu podobne. Zwykły kredyt niewiele mógł tutaj pomóc.

Jack wszedł do środka z taką pewnością siebie, jakby to on osobiście wygrał przed chwilą bitwę o ujście Nilu. Może właśnie dzięki temu został bardzo dobrze przyjęty.

–Przypuszczam, iż widział się pan już z panem Baldickiem? – zagadnął agent po załatwieniu oficjalnych spraw.

–Myśli pan o poruczniku z „Sophie”?

–Tak.

–On wypłynął przecież z kapitanem Allenem. W tej chwili jest na pokładzie „Pallas”.

–Tu się pan myli, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Pan Baldick leży w szpitalu.

–To niemożliwe! – zawołał Aubrey.

Jego rozmówca uśmiechnął się, poruszył ramionami i rozłożył dłonie w przeproszającym geście. Mówił przecież prawdę, a Jack miał wszelkie prawo, by być zaskoczonym. Poprosiwszy na wszelki wypadek o wybaczenie, agent mówił dalej:

–Porucznik Baldick zszedł na ląd wczoraj późnym wieczorem. Został przyjęty do szpitala z niewysoką gorączką. Do tego małego szpitala koło kapucynów, nie na wyspie. Prawdę mówiąc... – Agent ściszył głos, przysłoniwszy dłonią usta na znak, iż zwierza wielką tajemnicę. – On i felczer z „Sophie” bardzo się nie lubią i perspektywa choroby w morzu nie bardzo się Baldickowi podobała. Na pewno zamustruje na swój okręt w Gibraltarze, jak tylko poczuje się lepiej. A teraz, kapitanie... – Agent uśmiechnął się nienaturalnie, jego oczy uciekły niepewnie na bok. – Pozwolę sobie na śmiałość i poproszę pana o przysługę, jeśli można. Pani Williams ma młodego kuzyna, który od dziecka pragnie wypłynąć w morze. Marzy, by zostać kiedyś ochmistrem. To bystry chłopak, który na dodatek bardzo wyraźnie i ładnie pisze.

Od Bożego Narodzenia pracuje u mnie w biurze, stąd wiem, że całkiem dobrze potrafi liczyć. Dlatego właśnie, sir, jeśli nie ma pan nikogo innego na myśli, ośmielam się go zaproponować jako pańskiego klerka... – Uśmiech na twarzy agenta na przemian pojawiał się i znikał. Williamsowi rzadko zdarzało się o cokolwiek prosić, zwłaszcza oficerów marynarki. Zwykle to jego proszono i możliwość odmowy wydawała mu się szczególnie upokarzająca.

–Dlaczegoż by nie – odparł Jack po krótkim namyśle. – Nie mam chyba nikogo innego na to stanowisko. Rozumiem, że odpowiada pan za tego chłopca? No cóż... Jeśli znajdzie pan dla mnie jeszcze jakiegoś starszego marynarza, zgoda! Biorę pańskiego chłopaka.

–Czy mówi pan poważnie, sir?

–Oczywiście... Tak mi się zdaje.

–Załatwione! – zawołał agent, wyciągając rękę. – Nie będzie pan żałował, sir. Ma pan na to moje słowo.

–Jestem tego zupełnie pewny, panie Williams. Czy mógłbym go teraz zobaczyć?

David Richards był przeciętnym młodzieńcem, o twarzy pozbawionej koloru i wyrazu, jeśli nie liczyć kilku różowych krost. Było jednak coś chwyającego za serce w jego hamowanym zapale, podnieceniu, gorliwości i obawie, by nie sprawić zawodu. Jack spojrzał na chłopca życzliwie i powiedział:

–Pan Williams opowiadał mi, że pisze pan czytelnie i ładnie. Czy nie zechciałby pan napisać dla mnie krótkiego listu? Proszę go zaadresować do pierwszego oficera nawigacyjnego okrętu „Sophie”. Jak ten oficer się nazywa, panie Williams?

–Marshall, sir. William Marshall. Doskonały nawigator, z tego, co słyszałem.

–Tym lepiej. – Jack przypomniał sobie własne zmagania z tablicami nawigacyjnymi i zaskakujące wyniki, jakie czasami otrzymywał. – Proszę więc pisać: Do pana Williama Marshalla, pierwszego oficera nawigacyjnego słupa Jego Królewskiej Mości „Sophie”. Kapitan Aubrey przesyła panu Marshallowi wyrazy uszanowania i zawiadamia, iż przybędzie na pokład około godziny pierwszej po południu. Tak, to będzie dla nich uczciwe ostrzeżenie. Bardzo starannie napisane... Czy dopilnuje pan teraz, by ta kartka trafiła do rąk adresata?

–Zaniosę ten list osobiście, sir, natychmiast. – Twarz mówiącego te słowa młodego człowieka niezdrowo poczerwieniała z zadowolenia.

„Boże!” – mówił Jack w myślach, idąc w stronę szpitala i patrząc na puste i jałowe połączenie lądu po obu stronach ruchliwego portu. – „Boże! Jak przyjemnie jest od

czasu do czasu poczuć się kimś ważnym".

–Pan Baldick? – zapytał. – Nazywam się Aubrey. Gdyby nie zbieg okoliczności, bylibyśmy zapewne członkami załogi tego samego okrętu. Dlatego pozwoliłem sobie przyjść, by zapytać o pańskie zdrowie. Mam nadzieję, że czuje się pan coraz lepiej?

–To bardzo ładnie z pańskiej strony, sir – odrzekł porucznik, pięćdziesięcioletni mężczyzna z twarzą pokrytą srebrzystoszarym zarostem. Włosy miał jednak kruczoczarne. – Bardziej niż uprzejme. Dziękuję. Dziękuję, kapitanie. Jestem już znacznie zdrowszy. Jestem szczęśliwy, że udało mi się wyrwać z łap tych cholernych rzeźników, lekarzy. Czy może pan sobie to wyobrazić, kapitanie? Od trzydziestu siedmiu lat służę w marynarce, z tego dwadzieścia dziewięć lat jako oficer z patentem, a oni chcą mnie leczyć wodą i jakąś podłą dietą. Powiedzieli mi, że tabletki i krople Warda to nic dobrego, ale podczas ostatniej wojny w Indiach Zachodnich to one uratowały mi życie. Żółta febra zabrała wtedy dwie trzecie jednej z wacht w ciągu dziesięciu dni. Nie miałem nigdy żadnego szkorbutu, ischiasu, reumatyzmu czy cholernego rozwolnienia, a oni mówią, że moje tabletki są nic niewarte. Te przemądrzałe młokosy, lekarze prosto po szkole, jeszcze z palcami powalanymi atramentem, mogą sobie mówić, co chcą. Ja tam nadal wierzę w krople i tabletki Warda.

–I w grog – powiedział Jack do siebie, gdyż zapach w pokoju przywodził na myśl magazyn alkoholu na okręcie pierwszej klasy. – Podobno „Sophie” straciła felczera? – zagadnął głośno. – A razem z nim innych co bardziej wartościowych członków załogi?

–Niewielka strata, zapewniam pana. Trzeba jednak przyznać, że załoga bardzo się nim przejmowała. Ślepo wierzyli w jego znachorskie sztuczki i oszukane lekarstwa. Banda głupków. Strasznie to przeżyli. Nie wiem, jak uda się panu znaleźć tu, na Śródziemnym, kogoś na jego miejsce. To bardzo rzadkie ptaszki. W każdym razie to niewielka strata, niezależnie od tego, co myślą ludzie. Wystarczy skrzynka z lekarstwami i cieśla do przeprowadzania amputacji. Czy mogę panu zaproponować szklaneczkę, sir? – Jack pokręcił przecząco głową. – Co się zaś tyczy reszty – ciągnął porucznik dalej – nie było aż takich wielkich strat. „Pallas” miała prawie pełny stan osobowy. Kapitan Allen wziął ze sobą tylko swego siostrzeńca oraz syna jednego z przyjaciół. Zabrał też innych Amerykanów, nie mówiąc już o sterniku łodzi i kapitańskim stewardzie. I jeszcze klerka!

–Ilu Amerykanów?

–Och, nie więcej niż pół tuzina. Wszyscy ludzie z jego ojczystych stron, z okolic za Halifaxem.

–W takim razie naprawdę mi ulżyło. Powiedziano mi, że bryg został ogołocony z

ludzi.

–Któż panu to powiedział?

–Kapitan Harte.

Baldick przygryzł wargi i pociągnął nosem. Zawahał się, nie chcąc powiedzieć zbyt wiele, i pociągnął spory łyk ze swego kubka. W końcu odezwał się ostrożnie:

–Przez te trzydzieści lat zdążyłem bardzo dobrze go poznać. Lubi dokuczać innym ludziom. Żartuje sobie z nich, oczywiście...

Gdy obaj rozmyślali nad złośliwym poczuciem humoru komendanta, porucznik opróżnił kubek.

–Nie jest tak źle – powiedział, odstawiając puste naczynie. – Zostawiliśmy na „Sophie” całkiem porządną obsadę. Dwudziestu lub więcej pierwszorzędnych marynarzy, ponad połowa ludzi to z krwi i kości załoga okrętu wojennego. To znacznie lepiej niż w większej części dzisiejszej floty. Wśród pozostałych znaleźć można oczywiście paru prawdziwych łajdaków. Tacy są jednak na każdym okręcie. Tak przy okazji... Zostawiłem panu notatkę o jednym z nich: Isaac Wilson, marynarz. Najłatwiej załatwi pan tę sprawę na morzu, bez tych cholernych prawników... Jeśli zaś chodzi o oficerów, to można powiedzieć, że w większości to świetni żeglarze, jeszcze ze starej szkoły. Watt, bosman, zna się na swojej robocie jak każdy inny bosman we flocie. Lamb, cieśla, jest dobrym, spokojnym człowiekiem, może trochę zbyt powolnym i nieśmiałym. George Day, artylerzysta, to także porządny chłop, jeżeli jest trzeźwy, ale czasami się upija. Natomiast ochmistrz, Ricketts, jest wystarczająco bystry jak na ochmistrza. Oficerowie nawigacyjni: Pullings i młody Mowett, mogą samodzielnie pełnić wachty. Pullings już dawno zdał egzamin na porucznika, lecz nigdy nie uzyskał awansu. Z młodych pozostawiliśmy panu tylko dwójkę: małego Rickettsa i Babbingtona. Niezbyt błyskotliwi, ale też i nie łajdacy.

–A co pan powie o pierwszym nawigatorze? Podobno jest bardzo dobrym specjalistą w swej dziedzinie.

–Marshall? Tak, to prawda... – Baldick ponownie przygryzł wargi i pociągnął nosem. Ponieważ zdążył już wypić kolejny kubek grogu, tym razem znacznie śmielej powiedział, co miał na myśli. – Nie wiem, co pan sądzi o zainteresowaniu chłopcami, ale moim zdaniem to nienaturalne.

–Chyba ma pan rację, panie Baldick – zgodził się Jack. Po chwili dodał, czując się jak na przesłuchaniu: – Nie pochwalam tego. Absolutnie jestem przeciw takim praktykom, ale muszę przyznać, iż nie chciałbym, by ktokolwiek został za to powieszony. Ma pan na myśli chłopców okrętowych?

Baldick przez chwilę powoli kręcił głową.

–Nie – rzekł w końcu. – Nie, nie mówię, że on ma na sumieniu coś podobnego. Nic nie wiem na pewno. Zresztą, nie powinno się mówić źle o człowieku za jego plecami.

–Czasem, dla dobra służby... – Jack machnął ręką. Wkrótce opuścił szpital, gdyż porucznik wyraźnie poczuł się gorzej: pijany, spocony i żaloszny.

Tramontana zdążyła już przybrać na sile i wiała teraz jak wymagająca dwóch refów na marslach bryza, trzepocząc pióropuszcami palm. Niebo było idealnie czyste. Na morzu poza portem formowały się coraz wyższe fale, tworząc wyraźną granicę, poza którą nie mogło przedostać się gorące powietrze – podobnie sól powstrzymuje rozlane wino. Aubrey wcisnął głębiej kapelusz, wziął głęboki oddech i powiedział głośno:

–Dobry Boże, jakie to cudowne uczucie. Jak wspaniale jest żyć!

Udało mu się doskonale zgrać wszystko w czasie. Powinien jeszcze tylko wstąpić po drodze do swego pokoju w oberży „Pod Koroną”, przy okazji upewnić się, że obiad zostanie należycie przygotowany, wyszczotkować mundur i może wypić szklaneczkę wina. Nie musiał za to pamiętać o zabraniu stamtąd listu z pisemnym rozkazem. Miał go przy sobie, na piersi. Poskładany papier szeleścił cichutko przy każdym oddechu.

Gdy kwadrans przed pierwszą wyszedł z gospody i ruszył w dół w kierunku nabrzeża, poczuł, że dziwnie brakuje mu tchu. Siadając w łódce, podał przewoźnikowi tylko nazwę okrętu. Nie mógł wypowiedzieć nic więcej. Serce mu łomotało i z najwyższą trudnością przelykał ślinę. „Czy jestem stremowany?” – pytał sam siebie. Siedział sztywno, wpatrzony w rękojeść swej szpady. Niemal nie zdawał sobie sprawy z tego, że łódka płynie po ruchliwym porcie, mijając kolejne okręty. Nareszcie tuż przed nim wyrosła burta „Sophie”. Zagrzechotał bosak przewoźnika.

Kapitan Aubrey omiółł swój nowy okręt szybkim, ciekawym spojrzeniem. Prawie bezwiednie zanotował w pamięci, iż reje są równiutko zbrasowane, a burta udekorowana. Chłopcy okrętowi, w białych rękawiczkach, zbiegli w dół z pokrytymi wełnianym suknem linami. Bosmański gwizdek zaśnił srebrem w słońcu. Wreszcie łódka zatrzymała się, uderzając lekko o poszycie okrętu. Jack wspiał się na górę. Przenikliwy świst przeszywał uszy. Gdy stopy Jacka dotknęły trapu, ktoś wydał głośno komendę. Żołnierze zaprezentowali broń, a oficerowie zdjęli z głów kapelusze. Jack odpowiedział im identycznym gestem, gdy stanął na pokładzie rufówki.

Podchorążowie i chorążowie byli ubrani w najlepsze mundury, lśniące bielą i błękitem na zalanym słońcem pokładzie. Ich grupa zdawała się znacznie mniej zwarta niż szkarłatny czworobok piechoty morskiej. Wszystkie oczy z największą uwagą

patrzyły na nowego dowódcę. Wyglądał bardzo poważnie, wręcz ponuro i wydał im się raczej surowy. Nastąpiła krótka pauza, podczas której słychać było wyraźnie, że siedzący w łódce pod burta przewoźnik mamrocze coś pod nosem.

–Panie Marshall, czy mógłby pan przedstawić mi oficerów? – Jack odezwał się wreszcie.

Występowali kolejno: ochmistrz, nawigatorzy, podchorążowie, artylerzysta, cieśla i bosman. Wszyscy kłaniali się, uważnie obserwowani przez załogę.

–Dziękuję, panowie, miło było mi was poznać. Panie Marshall, cała załoga na rufę, jeśli pan pozwoli. Ponieważ nie mamy porucznika, osobiście odczytam rozkaz czyniący mnie dowódcą tego okrętu.

Nie było potrzeby wywoływania kogokolwiek spod pokładu – wszyscy byli już na górze, lecz piszczałki bosmana i jego ludzi przez dobre pół minuty grały sygnał „Cała załoga na rufę” w głąb zejściówek. Gwizd ucichł. Jack podszedł do barierki między pokładem rufówki a śródokręciem i wyjął swój rozkaz. Gdy tylko list z dowództwa ujrzał światło dzienne, padła komenda „Czapki z głów” i kapitan pewnym, choć trochę zachrypniętym głosem rozpoczął czytanie.

–„Od Jaśnie Szanownego Lorda Keitha...”

W miarę jak przebiegał przez tak dobrze sobie znane linijki, teraz pełne realnej treści, nappełniało go uczucie zadowolenia i radości, biorące górę nad podniosłością chwili. Ostatnie zdanie udało mu się przeczytać z optymizmem:

–„Kto odmówi wykonania owych poleceń, czy to pan, czy którykolwiek z członków załogi, zostanie pociągnięty do odpowiedzialności i surowo ukarany”.

Gdy zakończył, złożył list i wsunął z powrotem do kieszeni.

–Dobrze, proszę zwolnić ludzi – polecił. – Chciałbym teraz obejrzeć okręt.

Zaraz po tym odbyło się coś w rodzaju ceremonialnej procesji. W trakcie obchodu Jack zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał: okręt przygotowany do inspekcji, wstrzymujący oddech w obawie, by ktoś nie zechciał poruszyć perfekcyjnie oporządzonego takielunku, z idealnie okrągłymi zwojami lin i równiutko ułożonymi na rejach żaglami. „Sophie” była dziś tak samo podobna do samej siebie jak jej sztywny bosman, pocący się w źle skrojonej mundurowej kurtce, który w niczym nie przypominał siebie w koszuli z krótkimi rękawami, wymieniającego reję marsla przy wysokiej fali. Pewne szczegóły były jednak ważne: wyszorowane do białego drewna pokłady, bijący w oczy blask dwu pięknie wypolerowanych mosiężnych czterofuntówek na rufie, precyzja, z jaką w komorze ułożone były warstwy łańcucha kotwicznego, czy też paradna elegancja kuchennych garnków i naczyń. Wszystko to

miało znaczenie. Jack był zbyt doświadczonym oficerem, by dać się łatwo oszukać. To, co widział, raczej mu się spodobało. Dokładnie, podobało mu się tylko to, co powinien widzieć. Nie zauważał tego, czego ujrzeć nie powinien: kawałek szynki wyciągniętego przez okrętowego kota zza wiadra i dziewcząt ukrytych przez nawigatorów w żaglowni, spoglądających ciekawie zza zwałów płótna. Nie dostrzegł kozy uwiązanej u żłobu, patrzącej na niego uważnie diabelskim okiem o podwójnej źrenicy, z namaszczeniem zanieczyszczającej pokład, Nie zwrócił również uwagi na podejrzany obiekt, podobny do kawałka pasztetu, wepchnięty przez kogoś w panice pod jarzmo bukszprytu.

Patrzył na to wszystko wzrokiem znawcy i praktyka. Pływał na okrętach, według dokumentów, od dziewiątego, a w rzeczywistości od dwunastego roku życia. Dlatego nawet tak krótki przegląd pozwolił mu na wiele istotnych spostrzeżeń. Pierwszy nawigator nie był człowiekiem, jakiego Jack spodziewał się ujrzeć: dobrze zbudowany, zadbany i inteligentny mężczyzna w średnim wieku. Pijaczyna Baldick zapewne pokręcił wszystko. Bosman, którego charakter najlepiej określał jego ubiór, wydawał się ostrożny, solidny, odpowiedzialny i trochę staroświecki. Ochmistrz i artylerzysta nie byli ludźmi specjalnie godnymi uwagi. Ten ostatni wyraźnie nie czuł się zbyt dobrze i po drodze gdzieś cichutko zniknął. Podchorążowie prezentowali się lepiej, niż Jack oczekiwał: ich koledzy na brygach i kutrach często byli wyjątkowo brudni i zaniedbani. Ten dzieciak Babbington nie powinien jednak schodzić na ląd w takim ubraniu. Matka chłopca miała pewnie nadzieję, iż jej syn trochę podrośnie. Już sam jego kapelusz przyniósłby okrętowi wiele wstydu.

Głównym wrażeniem, jakie Aubrey odniósł w trakcie pierwszej bytności na brygu, była specyficzna, staroświecka aura. W „Sophie” było coś archaicznego, tak jakby wolała, by jej dno nie było obite miedzianą blachą. Wyglądało na to, iż chętniej zgodzi się, żeby jej burty zostały wysmołowane, niż pozwoli je pomalować. Załoga okrętu, choć wcale nie stara – większość stanowili przecież dwudziestolatkowie – również wydawała się pochodzić z minionej epoki. Niektórzy z marynarzy nosili staromodne spodnie i buty, które wyszły z mody już wtedy, gdy Jack był początkującym podchorążym, nie starszym niż mały Babbington. Co ciekawe, nowi podwładni nie sprawiali wrażenia specjalnie onieśmielonych lub stremowanych. Byli jedynie w umiarkowany sposób zaciekawieni, na pewno jednak nie źli czy rozgoryczeni w związku ze zmianą dowódcy. Wyraźnie też się go nie obawiali.

Tak: rzeczywiście było tu coś staroświeckiego. Mimo to Aubrey pokochał ten okręt całą duszą. Pokochał ślepo swój słup w chwili, gdy po raz pierwszy spojrzął na zgrabnie zakrzywiony pokład. Rozsądek wciąż podpowiadał, że „Sophie” jest starym, powolnym brygiem, że jest mało prawdopodobne, aby udało się zbić dzięki niej fortunę. To prawda, iż miała na swym koncie kilka chlubnych akcji pod dowództwem poprzedniego kapitana. Jedną była walka z uzbrojonym w dwadzieścia armat francuskim statkiem pirackim, otaklowanym jak okręt wojenny, inną zaś potyczka ze stadem kanonierek z Algeciras, poruszających się na wiosłach podczas bezwietrznej

pogody. Z tego jednak, co Jack pamiętał, „Sophie” nigdy nie zdobyła żadnego bardzo wartościowego przyzwy.

Wrócili wreszcie na rufę. Zniżywszy głowę, Jack wszedł pod miniaturowy pokład rufówki, do swej kapitańskiej kabiny. Schylony podszedł do szafek wbudowanych pod oknami, równo rozmieszczonych na całej szerokości pawęży. Ułożone w delikatny łuk ramy okienne stanowiły doskonałą oprawę dla wspaniałego widoku na Port Mahon, przywodzącego na myśl znakomity obraz Canaletta. Miasto oświetlone było południowym słońcem i widziane ze znacznie ciemniejszego wnętrza kabiny zdawało się należeć do zupełnie innego świata. Usiadłszy bardzo ostrożnie, Aubrey odkrył, iż może teraz bez trudu się wyprostować i unieść głowę – pozostało jeszcze około ośmiu cali wolnej przestrzeni.

–Dobrze... – odezwał się po chwili. – Panie Marshall, muszę panu pogratulować. „Sophie” wygląda świetnie. Wszystko jest zadbane, we wzorowym porządku. – Wydawało mu się, że tylko tak daleko może się posunąć, pamiętając o zachowaniu oficjalnego tonu. Nie zamierzał mówić nic więcej. Nie planował też żadnych przemówień do załogi lub jakiegoś rozluźnienia dyscypliny, by uczcić wyjątkową okazję. Obrzydzeniem napawała go myśl o zjednywaniu sobie sympatii podwładnych w podobny sposób.

–Dziękuję, sir – powiedział pierwszy oficer.

–Wracam teraz na ląd. Oczywiście będę nocował na okręcie, dlatego proszę, niech pan będzie tak uprzejmy i pośle łódź po moje rzeczy. Mieszkam „Pod Koroną”.

Kapitan Aubrey siedział jeszcze przez chwilę, rozkoszując się wspaniałością swego salonu. Nie było tutaj dział – szczególny sposób, w jaki zbudowano „Sophie”, sprawił, że gdyby je tutaj umieszczono, wyloty luf znajdowałyby się zaledwie sześć cali nad powierzchnią wody. Dlatego dwie czterofuntówki, które zajmowały normalnie tak wiele cennego miejsca, znajdowały się na pokładzie tuż nad głową. Nawet bez armat brakowało jednak wolnej przestrzeni. Oprócz szafek w kabinie mieścił się jeszcze tylko ustawiony w poprzek stół. I tak było to znacznie więcej, niż Jack kiedykolwiek na okręcie posiadał. Oglądał wszystko z rosnącym zadowoleniem. Szczególnie cieszyły go pochylone do wewnątrz okna, jasne, przejrzyste. Siedem szklanych tafli ze szlachetnym dostojemstwem upiększających wnętrze.

Było to o wiele więcej, niż kiedykolwiek dane mu było posiadać, i zarazem znacznie więcej, niż się spodziewał. Nie oczekiwał czegoś podobnego tak wcześniej w swej karierze. Dlaczego więc ciągle, pomimo radości, odczuwał coś nieokreślonego, jakąś gorycz, która pozostała jeszcze ze szkolnych dni?

Z powrotem na brzeg popłynął w łodzi obsadzonej przez własnych marynarzy, w białych płóciennych bluzach i szerokich słomkowych kapeluszach, z nazwą „Sophie”

wyszytą na wstążkach. Obok niego na ławce rufowej siedział śmiertelnie poważny podchorąży. Jack doskonale rozumiał uczucia tego chłopca. Dla niego nie był już jednym z „nas”. Stanowił bezpośrednio ucieleśnienie słowa „oni”. Podczas inspekcji na okręcie poczuł, iż jest teraz otoczony szczególnym rodzajem szacunku. Różnym od tego należnego porucznikowi czy jakiegokolwiek innej istocie ludzkiej. To coś otaczało go jak szklany klosz, prawie całkowicie oddzielając od reszty okrętowej społeczności. Opuszczając „Sophie”, kapitan słyszał nieomal za swymi plecami ciche westchnienie ulgi, westchnienie, które znał tak dobrze: „Jehowa już nie jest z nami”. „To cena, którą trzeba zapłacić” – rozmyślał.

–Dziękuję, panie Babbington – powiedział do chłopca i stanął na stopniach nabrzeża, podczas gdy łódź popłynęła do portu. Babbington wyraźnie ożył i słyhać było jego piskliwy głos:

–Czy nie możesz się trochę posunąć? Nie zasypiaj, Simmons, ty przepity draniu!

„To cena, którą trzeba zapłacić” – powtórzył Aubrey w myślach. – „I na Boga, warto”. Gdy słowa te powoli uformowały się w jego umyśle, na promieniejącą twarz znów powrócił wyraz nie ukrywanego zadowolenia i szczerej radości. Szedł teraz na spotkanie z człowiekiem równym sobie, na obiad do oberży „Pod Koroną”. Trzeba przyznać, że zmierzał tam trochę bardziej gorliwie, niż do niedawna czyniłby to porucznik Aubrey.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dwaj uczujący mężczyźni siedzieli przy okrągłym stoliku, obok zwieńczonego łukiem okna wychodzącego na tylną ścianę oberży, wysoko ponad lustrem wody. Morze było jednak na tyle blisko, że skorupy ostryg wrzucali z powrotem do ich naturalnego środowiska – wystarczył jedynie ruch nadgarstka. Z rozładowywanego sto pięćdziesiąt stóp poniżej tartana dolatywał zapach szwedzkiej smoły, wymieszany z wonią takielunku, płótna żaglowego i chińskiej terpentyny.

–Proszę skosztować choć trochę tej baraniny z warzywami – zaproponował Jack Aubrey.

–No cóż... Skoro pan tak nalega – zgodził się Stephen Maturin. – Jest naprawdę wyśmienita.

–To jedno z najlepszych dań, jakie można zjeść „Pod Koroną”. Nie powinienem tak bardzo chwalić tutejszej kuchni. Zamówiłem przecież pasztet z kaczki, wołowinę i łeb wieprzowy na kwaśno. No i nóżki. Ten człowiek musiał mnie źle zrozumieć. Bóg jedyny wie, co za potrawę ma pan przed sobą, lecz na pewno nie jest to głowa świni. To w ogóle nie jest wieprzowina. Kilka razy powtarzałem kucharzowi, jakie chcę mięso: *porco*, a on kiwał tylko głową jak chiński mandaryn. Wie pan, że to wręcz prowokujące, gdy zamiast zamówionych pięciu dań: *cinco platos*, dostaje się zaledwie trzy, z czego aż dwa są inne niż te, o które się prosiło. Trochę mi wstyd, ponieważ nie bardzo mam pana czym ugościć, lecz naprawdę nie wynika to z mojej złej woli. Proszę mi wierzyć.

–Och, od wielu dni nie jadłem lepiej i w lepszym towarzystwie. Zapewniam pana. – Maturin skłonił się w stronę Jacka. – Czy wie pan, że wszelkie problemy mogą być tutaj spowodowane właśnie tą pańską szczególną troską i objaśnianiem wszystkiego po hiszpańsku? Mówiąc dokładnie: po kastylijsku?

–Dlaczego? – zdziwił się Jack. Napełnił oba kieliszki winem, uniósł swój ku górze i uśmiechnął się, spojrzawszy pod światło na rubinowy płyn. – Zawsze wydawało mi się, że postępuję rozsądnie, mówiąc w miarę swych możliwości do Hiszpanów po hiszpańsku.

–Zapomina pan o tym, iż tu, na wyspie, mówi się po katalońsku.

–Po katalońsku? Cóż to za język?

–Jak sama nazwa wskazuje, język używany w Katalonii: na naszej i innych wyspach, na całym wybrzeżu śródziemnomorskim aż do Alicante i dalej. Kataloński to język Barcelony, Leridy, całej najbogatszej części Półwyspu Iberyjskiego.

–Zaskakuje mnie pan! Zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy. Czy mam rozumieć, że to odrębna mowa? Ośmielam się jednak przypuszczać, iż jest to tylko lokalna odmiana hiszpańskiego, dialekt... *putain*, jak mówią Francuzi.

–Och, nie. W żadnym wypadku. To zupełnie coś innego. Kataloński jest językiem o wiele bardziej doskonałym, bardziej literackim, uduchowionym, znacznie bliższym łacinie. A tak przy okazji, to chyba chodziło panu przed chwilą o słowo *patois*? Czy tak?

–*Patois*. Zupełnie możliwe... Przysięgłbym jednak, iż użyłem właściwego słowa. Gdzieś kiedyś się go nauczyłem... – Jack zastanawiał się przez moment. – Nie będę jednak udawał przy panu poligloty. Nie warto, z tego, co widzę. Interesuje mnie, czy oba te języki: hiszpański i kataloński, różnią się znacznie nawet dla niewyrobitego ucha?

–Są tak różne jak włoski i portugalski. Może brzmią podobnie, ale ludzie mówiący nimi nawzajem się nie rozumieją. Mają też inną intonację. Jest to taka różnica, jak między muzyką Glucka i Mozarta. Dla przykładu, to wspaniałe danie przede mną (widzę, że kucharze zrobili naprawdę wszystko, by zrealizować pańskie zamówienie) po hiszpańsku nazywa się *jabali*, po katalońsku zaś *senglar*.

–A więc to jest wieprzowina?

–Mięso z dzika. Proszę pozwolić mi...

–Bardzo pan uprzejmy. Czy mogę prosić o sól? Rzeczywiście wyśmienite. Nigdy nie powiedziałbym, że to dziczyzna. Jak nazywają się te ciemne, miękkie i smaczne kawałki?

–No cóż... Zadał mi pan bardzo trudne pytanie. Po katalońsku nazywają się *bolets*, ale nie umiem powiedzieć, jaka jest ich angielska nazwa. Najprawdopodobniej nie mają nazwy, angielskiej oczywiście. Przyrodnik rozpozna je jako *boletus edulis*, opisane przez Linneusza.

–Skąd...? – Jack nie dokończył pytania i ze szczerym podziwem spojrzął na Maturina. Zjadł już prawie dwa funty baraniny, lecz myśl o smakowitej dziczyźnie wywołała w jego sercu dziwną błogość. – Skąd...? – urwał znowu, uświadomiwszy sobie, że nie wypada zanadto wypytywać gościa. Zakaszał, by wypełnić ciszę, i zadzwonił na kelnera, ustawiając puste karafki po swojej stronie stołu.

Nie wypowiedziane pytanie wisiało już w powietrzu i tylko ktoś bardzo obojętny lub wręcz głupi nie udzieliłby na nie odpowiedzi.

–Wychowałem się w tych stronach – po krótkiej chwili wyjaśnił Stephen Maturin. – Większą część młodości spędziłem u wuja w Barcelonie lub u babki mieszkającej na

wsi w pobliżu Leridy. Prawdę mówiąc, przebywałem w Katalonii dłużej niż w Irlandii. Gdy wreszcie powróciłem do domu, by rozpocząć studia na uniwersytecie, wszystkie zadania matematyczne rozwiązywałem po katalońsku. Po prostu liczby w tym języku łatwiej wchodziły mi do głowy.

–Zapewne więc posługuje się pan tym językiem z biegłością rodowitego mieszkańca Katalonii. To właśnie nazywam pożytecznym wykorzystaniem swego dzieciństwa. Szkoda, że ja nie mogę powiedzieć o sobie tego co pan.

–Nie, nie... – Maturin przecząco pokręcił głową. – Wcale nie spędzałem tu czasu ze szczególnym pożytkiem. Poznałem w miarę dobrze tutejsze ptaki: jest tutaj mnóstwo ptaków drapieżnych, gady... Rośliny i owady, z małymi wyjątkami, zupełnie mnie nie interesowały. To prawdziwy przejaw mej bezgranicznej ignorancji. Dopiero po kilku latach pobytu w Irlandii, gdy napisałem pierwszy traktat naukowy, zrozumiałem, jak bezmyślnie zmarnotrawiłem czas. Tu przecież są całe obszary nietknięte od czasu, gdy Willoughby i Ray przemierzali je pod koniec minionego wieku. Król Hiszpanii zaprosił tu Linneusza, gwarantując mu pełną wolność sumienia, co pan zapewne pamięta, lecz spotkał się z odmową. Ja mogłem z tych bogactw swobodnie korzystać i zupełnie je zignorowałem. Proszę pomyśleć, co zdziałaliby tutaj tacy badacze, jak Pallas, wykształcony Solander czy też Gmelinowie, młody i stary. Dlatego skorzystałem z pierwszej nadarzającej się okazji i zgodziłem się towarzyszyć staremu panu Browne'owi. To prawda, że Minorka nie może się równać z kontynentem, lecz z drugiej strony tak wielki obszar skał wapiennych ma szczególną florę i wszystko inne, co z tego wynika.

–Pan Brown? Ten ze stoczni? Oficer marynarki? Znam go doskonale! – zawołał Jack. – To wspaniały kompan. Kocha śpiew i pisze urzekające piosenki.

–Nie. Mój pacjent zmarł na morzu i został pochowany tu u Świętego Filipa. Biedaczysko, był w ostatnim stadium gruźlicy. Miałem nadzieję, że go tutaj dowiozę. Zmiana klimatu i otoczenia działa czasem cuda w podobnych przypadkach. Gdy otworzyliśmy z panem Floreyem ciało, ujrzeliśmy tak rozległe... Krótko mówiąc, okazało się, iż konsultanci w Dublinie, i to najlepsi w mieście, byli zbyt wielkimi optymistami.

–Otworzyliście ciało? – Jack wyprostował się znad talerza.

–Tak, uważaliśmy to za konieczne. Chcieliśmy być uczciwi wobec przyjaciół zmarłego. Ci nie wydawali się tym zbytnio zainteresowani. Już wiele tygodni temu napisałem do jedyne go znanego mi krewnego tego człowieka, do pewnego dżentelmena z hrabstwa Fermanagh, lecz nie doczekałem się dotąd ani słowa odpowiedzi.

Zapadła cisza. Jack napełnił kieliszki – tak szybko ubywało w nich wina – i

oświadczył:

–Gdybym wiedział, że jest pan chirurgiem, nie mógłbym na pewno oprzeć się pokusie, by zaproponować panu zaciągnięcie się do marynarki.

–Chirurdzy to wspaniali ludzie. – W głosie Maturina zabrzmiała nuta goryczy. – Cóż byśmy biedni bez nich zrobili. Muszę przyznać, iż sposób, w jaki pan Florey w tutejszym szpitalu wykonał nacięcie krtani pana Browne'a, na pewno by pana zadziwił. Nie mam jednak tej przyjemności i nie jestem chirurgiem, sir. Raczej zwykłym lekarzem.

–Przepraszam. Cóż, pomyliłem się więc, lecz pomimo tego powinienem i tak zwabić pana na okręt i zmusić do pozostania pod pokładem aż do chwili wyjścia w morze. Moja biedna „Sophie” nie ma teraz nawet felczera i nie istnieje choćby najmniejsza możliwość znalezienia kogokolwiek na to miejsce. Może jednak, sir, da się pan namówić i pójdzie na morze? Okręt wojenny to doskonałe miejsce dla myśliciela i naukowca. Zwłaszcza tutaj, na Morzu Śródziemnym. Ptaki, ryby... Mogę panu obiecać olbrzymie, nieznane ryby, prawdziwe fenomeny natury, meteoryty... I pieniądze z przyzów. Przecież nawet Arystoteles dał się skusić na pieniądze z łupów. To prawdziwe złote dublony, sir. Leżą sobie w miękkich skórzanych workach, wie pan, prawie tej wielkości. Trzymane w dłoni wydają się tak przyjemnie ciężkie. Jeden człowiek z trudnością może unieść dwa takie woreczki...

Jack mówił trochę kpiącym tonem, nie łudząc się, iż otrzyma poważną odpowiedź. Słowa Stephena mocno go zdziwiły.

–Nie mam kwalifikacji niezbędnych chirurgowi wojskowemu. To prawda, że dokonałem bardzo wielu amputacji i nie jest mi obca większość typowych operacji chirurgicznych. Nie wiem jednak nic o zasadach higieny obowiązujących na morzu, o chorobach charakterystycznych dla marynarzy.

–To wspaniale! – zawołał Jack. – Proszę nie zawracać sobie głowy podobnymi błahostkami. Niech pan posłucha, kogo nam zwykle przysyłają: pomocników felczera, jakichś cholernych praktykantów, którzy obijali się gdzieś w aptece wystarczająco długo, by otrzymać dyplom z dowództwa marynarki. Ci ludzie zwykle nie wiedzą nic o chirurgii, nie wspominając o ogólnej medycynie. Uczą się na biednych marynarzach, licząc, iż znajdą na okręcie jakiegoś doświadczonego pomocnika: rzeźnika, raka, specjalistę od stawiania pijawek lub innego spryciarza. W wyniku przymusowego zaciągu na okręt trafiają przedstawiciele wszystkich zawodów. Gdy taki felczer zdobędzie trochę doświadczenia, natychmiast przechodzi na fregatę lub liniowiec. Nie, nie. Naprawdę bylibyśmy zachwyceni, mając pana na pokładzie. Bardziej niż zachwyceni. Proszę się nad tym przez chwilę zastanowić. Nie muszę też chyba dodawać – Jack spojrzał na swego rozmówcę bardzo poważnie – iż pańskie towarzystwo sprawiłoby mi wielką przyjemność.

Kelner otworzył drzwi i tuż za nim pojawiła się czerwona kurtka żołnierza piechoty morskiej, trzymającego w ręku nieduży pakiet.

–Kapitan Aubrey? – zawołał żołnierz od drzwi. – Z wyrazami uszanowania od kapitana Harte!

Goniec wyszedł, tupiąc ciężkimi butami.

–To muszą być moje rozkazy... – powiedział Jack.

–Niech pan nie zwraca na mnie uwagi – poprosił Stephen. – Musi je pan przecież natychmiast przeczytać. – Wziął skrzypce Jacka i poszedł z nimi w kąć pomieszczenia. Po chwili zaczął ćwiczyć niską, pieszczotliwą gamę.

Rozkazy były dokładnie takie, jakich Jack się spodziewał. Polecono mu możliwie jak najszybciej uzupełnić zaopatrzenie i prowiant i wyruszyć w osłonie konwoju dwunastu żaglowców handlowych (ich nazwy wypisane były na marginesie) do Cagliari. Miał posuwać się ze znacznym pośpiechem, lecz nie wolno mu było narażać masztów, rej i żagli. Nie miał unikać niebezpieczeństwa, ale zarazem nie miał podejmować żadnego ryzyka. Dalej, opatrzone nagłówkiem „Tajne”, następowały instrukcje dotyczące specjalnego sygnału pozwalającego rozróżnić swego od obcego, przyjaciela od wroga: „Okręt, który sygnalizuje pierwszy, zobowiązany jest wywiesić czerwoną flagę pod jabłkiem fokmasztu, a na grotmaszcie białą flagę i proporzec powyżej flagi. Okręt odpowiadający na sygnał ma wywiesić białą flagę i proporzec powyżej flagi na grotmaszcie i błękitną flagę pod jabłkiem fokmasztu. Ponadto okręt, który dał sygnał pierwszy, powinien wystrzelić z jednego dział na nawietrzną, podczas gdy okręt odpowiadający ma wystrzelić kolejno z trzech dział na zawietrzną, z wyraźnym odstępem między kolejnymi wystrzałami”. Była tam jeszcze nota, z której wynikało, iż porucznik Dillon, przydzielony na „Sophie” na miejsce pana Baldicka, wkrótce przybędzie do Port Mahon na pokładzie „Burforda”.

–A to dobra wiadomość! – odezwał się Jack. – Przydzielono mi jako porucznika wspaniałego człowieka! Na „Sophie” możemy mieć tylko jednego porucznika, więc to bardzo ważne... Nie znam go osobiście, lecz jestem pewien, że to doskonały oficer. Wyróżnił się w szczególny sposób na pokładzie kutra „Dart”, odebranego Francuzom. W walce z trzema francuskimi statkami pirackimi zatopił jeden z nich i jeden zdobył. Wszyscy we flocie wtedy o tym mówili. Jego list nie został nigdy wydrukowany w „Gazette”, ów dzielny porucznik nie otrzymał też dotąd promocji. To jakiś niewytłumaczalny pech. Bardzo mnie to zdziwiło, gdyż ten człowiek jest ponoć bogaty. Fitzgerald, który zna wszystkie takie plotki, powiedział mi, że to siostrzeniec... a może kuzyn... W każdym razie: krewny jakiegoś arystokraty. Nie pamiętam teraz nazwiska. Tak czy inaczej, chodziło tu o naprawdę wspaniały wyczyn. Wielu ludzi awansowano z powodu znacznie skromniejszych zasług. Na przykład mnie.

–Czy mogę zapytać, czym pan się wyróżnił? Tak niewiele wiem o służbie w marynarce.

–Och, po prostu dostałem po głowie. Raz na Nilu i kolejny raz, gdy „Genereux” zwyciężył starego „Leandera”. Rozdawano promocje i nagrody, więc i mnie coś w końcu przypadło w udziale jako jedynemu porucznikowi, który wtedy uszedł z życiem. Naprawdę długo to trwało, może mi pan wierzyć. Niezmiernie ucieszył mnie ten awans, choć tak spóźniony i niezasłużony. Co pan powie na herbatę? A na małą bułeczkę z masłem do herbaty? Czy może woli pan porto?

–Jeśli można, wolałbym herbatę – odparł Stephen. – Proszę mi powiedzieć – zagadnął, biorąc znów do ręki skrzypce Jacka – czy wstąpienie do marynarki nie wiąże się czasem z jakimiś wielkimi wydatkami, podróżą do Londynu, zakupem mundurów, przysięgą, oficjalnymi przyjęciami?

–Przysięga? Nie... To dotyczy tylko poruczników. Idzie się do Admiralicji, tam czytają tekst o lojalności, posłuszeństwie wobec zwierzchników i całkowitym odrzuceniu papieża. Człowiek czuje się wtedy bardzo uroczyście, mówi: „przysięgam”, a gość za biurkiem przypomina, że „teraz należy wpłacić pół gwinei”, co raczej psuje nastrój. Dzieje się tak tylko w przypadku oficerów z patentem. Medycy przyjmowani są do służby podobnie jak podoficerowie. Jednakże chyba nie miałby pan nic przeciwko przysiędze? – zapytał Jack z uśmiechem. Ta uwaga wydała mu się jednak trochę niedelikatna, trochę zbyt osobistej natury, mówił więc dalej: – Służyłem kiedyś na jednym okręcie z człowiekiem, który przeciwny był przysięganiu w jakiegokolwiek sprawie. Nigdy nie udało mi się go polubić: stale dotykał swojej twarzy. Był bardzo nerwowy, może to go usprawiedliwia. Kiedy spojrzało się na niego, miał albo palec w ustach, albo ugniatał sobie policzki. W najlepszym razie trzymał się za brodę. To niby nic takiego, lecz gdy jest się zmuszonym do stałego przebywania z kimś takim w jednym pomieszczeniu, takie nawyki stają się nie do zniesienia. W końcu, po wielu dniach, ma się ochotę zawołać w mesie lub kubryku: „Zostaw tę swoją gębę, do diabła”. Niestety, na okręcie trzeba znosić podobne rzeczy. Ów człowiek czytywał Biblię i postanowił, iż nie złoży nigdy żadnej przysięgi. Został wezwany jako świadek, gdy odbywał się ten głupi sąd wojenny nad biednym Benthamem. Odmówił wtedy składania zeznań pod przysięgą. Powiedział staremu Jarviemu, że przysięganie pozostaje w sprzeczności z czymś tam zawartym w Ewangelii. Podobne zachowanie uszłoby może płazem u Gambiera, Saumareza czy kogoś innego, zajmującego się poważnie religią, nigdy jednak u starego Jarwiego. Odmówiwszy złożenia przysięgi, ów oficer sam wydał na siebie wyrok. Przykro mi to powiedzieć. Nigdy nie udało mi się go polubić, nie pachniał zresztą zbyt przyjemnie. Mimo to był w miarę dobrym marynarzem i na pewno nie złoczyńcą. Dlatego spytałem, czy nie ma pan nic przeciwko przysiędze. Nie jest pan chyba entuzjastycznym zwolennikiem uroczystych przyrzeczeń?

–Nie, to prawda – odparł Maturin. – Nie jestem. Zostałem wychowany przez

prawdziwego myśliciela, może raczej powinienem go nazwać *philosophe*, i niektóre z jego idei stały się podstawą mego światopoglądu. W imię głoszonych przez niego zasad przysięga to trochę dziecinna sprawa. Pozbawiona sensu, gdy jest dobrowolna, i niegodna uwagi, jeśli zostanie wymuszona. Bardzo niewielu ludzi, nawet spośród najniższych rangą członków pańskiej załogi, wierzy dziś w uroczyste przyrzeczenia. Myślę tu choćby o chlebie hrabiego Godwyna.

Zapadło długie milczenie, trwające aż do chwili, w której wniesiono herbatę.

–Czy dolać panu odrobinę mleka do herbaty, doktorze? – zapytał Jack.

–Jeśli byłby pan tak uprzejmy... – Stephen siedział wciąż głęboko pogrążony w myślach. Pogwizdywał bezgłośnie, wpatrzony w próżnię.

–Chciałbym... – zaczął Jack.

–Zawsze mówi się, że błędem jest przyznawanie się do swych kłopotów i słabości – niespodziewanie przerwał mu Maturin. – Ponieważ jednak mówił pan do mnie z tak wielką otwartością i szczerością, nie mógłbym nie postąpić tak samo. Pańska oferta, pańska propozycja, wydaje mi się bardzo atrakcyjna. Nie tylko z powodów, które był pan uprzejmy wyliczyć. Moja sytuacja tu, na Minorce, jest w tej chwili dosyć trudna. Pacjent, którym miałem opiekować się do jesieni, zmarł. Uważałem go za człowieka zamożnego, posiadał bowiem dom na Merrion Square, ale kiedy z panem Floreyem przejrzelśmy rzeczy owego nieszczęśnika przed ich opieczętowaniem, nie znaleźliśmy niczego. Nie było tam ani pieniędzy, ani listów kredytowych. Jego służący wyparował jak kamfora, co może wiele tłumaczyć. Tak czy inaczej, przyjaciele zmarłego nie odpowiadają na moje listy, a wojna odcięła mnie od mych niewielkich dóbr rodzinnych w Hiszpanii. Gdy jakiś czas temu mówiłem panu, iż już dawno tak dobrze nie jadłem, byłem absolutnie szczery i nie wypowiedziałem tych słów powodowany jedynie grzecznością.

–Och, cóż za wstrząsająca historia! – zawołał Jack. – Tak mi przykro z powodu pańskiego zakłopotania. Jeśli jest pan w potrzebie, sądzę, że pozwoli mi pan... – Ręka Jacka była już w kieszeni spodni, lecz Stephen Maturin powstrzymał go, z uśmiechem kręcąc głową.

–Nie, nie, nie... To bardzo miło z pańskiej strony.

–Naprawdę przykro mi z powodu pańskiego zakłopotania – powtórzył Jack. – Jestem też trochę zawstydzony, próbując wykorzystać pańską obecną sytuację, ale moja „Sophie” musi mieć lekarza. To ważniejsze niż cokolwiek innego. Nie ma pan pojęcia, jakimi hipochondrykami są marynarze. Wprost uwielbiają być leczeni. Nie potrafią być zadowoleni i szczęśliwi bez choćby najmniej doświadczonego pomocnika felczera, który by ich doglądał. Poza tym, zaciągnięcie się na okręt

natychmiast rozwiązuje wszystkie pańskie kłopoty. Płaca nie jest kusząca dla wykształconego człowieka, zaledwie pięć funtów miesięcznie. Wstyd mi nawet o tym wspominać. Zawsze jednak istnieje szansa na pieniądze z przyzów. Jak mi się zdaje, są też pewne dodatkowe dochody, jak na przykład zwyczajowe dary od królowej Anny i coś od każdego chorego na ospę. Te pieniądze są później potrącane z żołdu tych ludzi.

–Och, jeśli chodzi o pieniądze, to nie mają one wielkiego znaczenia. Skoro nieśmiertelny Linneusz potrafił przebyć pięć tysięcy mil w poprzek Laponii, mając przy sobie tylko dwadzieścia pięć funtów, to z pewnością i ja mogę... Czy jednak ta sprawa jest rzeczywiście do załatwienia? Na pewno musi zostać wydana jakaś oficjalna zgoda. A mundur? Instrumenty? Lekarstwa?

–No cóż. Gdy teraz pyta mnie pan o szczegóły, muszę przyznać, iż nie jestem w tych sprawach dokładnie zorientowany – odpowiedział Jack z uśmiechem. – Nie pozwólmy jednak, by przeszkodziły nam nieistotne drobiazgi. Musi pan na pewno otrzymać oficjalną nominację z Navy Office. Wiem też, iż admirał z największą przyjemnością wyda tymczasowy rozkaz, gdy tylko o to poproszę. Co się zaś tyczy munduru, to w przypadku lekarzy nie ma żadnych szczególnych wymagań. Oczywiście zwyczajowo wymagana jest błękitna kurtka. Jeśli chodzi o instrumenty i tym podobne... No cóż, tu mnie pan przyłapał. Sądzę, że Apothecaries Hall przysyła wszystko na okręt. Florey będzie wiedział dokładnie. Albo każdy inny lekarz okrętowy. W każdym razie proszę koniecznie przybyć na pokład. Może pan stawić się na burcie, kiedy tylko pan zapragnie. Powiedzmy – jutro. Zjemy razem obiad. Nawet uzyskanie tymczasowego przydziału do służby zajmie trochę czasu, proszę więc, by odbył pan tę podróż jako mój gość. Nie mogę zapewnić panu wygód – na brygu nie ma zbyt wiele miejsca, ale pokażę panu marynarskie życie. Jeśli ma pan kłopoty z zakwaterowaniem, to automatycznie przestaną one istnieć. Proszę pozwolić mi napełnić pański kieliszek. Myślę, iż pobyt na okręcie spodoba się panu. Dla filozofa to naprawdę ciekawe miejsce.

–Z pewnością – zgodził się Stephen. – Gdzież może być ciekawsze miejsce dla badacza ludzkiej natury? Obiekty obserwacji stłoczone razem, niezdolne umknąć przed jego wzrokiem. Ich emocje i przeżycia uwypuklone przez niebezpieczeństwa wojny, ryzyko związane z ich profesją, izolację od kobiet i szczególną, choć raczej jednostajną, dietę. No i oczywiście czasem przez przebłysk patriotycznego ferworu. – Ukłonił się w stronę Jacka. – To prawda, że jakiś czas temu bardziej interesowały mnie kryptogramy niż otaczający mnie ludzie. Tak czy inaczej okręt musi być dla dociekliwego umysłu bardzo pouczającym miejscem.

–Naprawdę pouczającym, zaręczam, doktorze – zapewnił Jack. – Bardzo mnie pan uszczęśliwił. Udało mi się: będę miał na „Sophie” Dillona jako porucznika i dublińskiego lekarza jako okrętowego medyka. Co ciekawe, obaj panowie pochodzicie z Irlandii. Może zna pan porucznika Dillona?

–Jest tak wielu ludzi o tym nazwisku – odpowiedział Maturin. Jego serce wypełniło się chłodem. – Jak on ma na imię?

–James. – Jack spojrział na kartkę.

–Nie – rzekł Stephen po namyśle. – Nie pamiętam, bym kiedykolwiek spotkał kogoś, kto nazywał się James Dillon.

–Panie Marshall, proszę wezwać cieśnię – polecił Jack. – Będę miał gościa na pokładzie: musimy zrobić, co tylko możliwe, by było mu jak najwygodniej. To lekarz i znamienity naukowiec.

–Astronom? – zapytał pierwszy nawigator z nadzieją w głosie.

–Bardziej chyba botanik, jak mi się wydaje – odparł Jack. – Mam wielkie nadzieje na to, iż jeśli będzie mu tutaj wygodnie, zostanie z nami jako lekarz okrętowy. Proszę pomyśleć, jak ucieszy się załoga!

–Rzeczywiście, sir. Ludzie byli bardzo zmartwieni, gdy pan Jackson odszedł na „Pallas”. Jeśli zastąpi go nie felczer, nie chirurg, ale lekarz... To będzie rewelacja! W całej flocie, z tego co wiem, jest tylko dwóch dyplomowanych lekarzy: jeden na okręcie flagowym i drugi w Gibraltarze. Ponoć biorą po złotej gwinei za wizytę czy coś koło tego. Tak mi przynajmniej mówiono.

–Nawet więcej, panie Marshall, nawet więcej. Czy pobrano już wodę?

–Woda jest już prawie załadowana i zasztauowana. Zostały tylko ostatnie dwie beczki.

–O, jest pan, panie Lamb. Chciałbym, by spojrział pan na gródź w mojej sypialni. Proszę sprawdzić, czy nie udałoby się panu znaleźć w kabinie trochę miejsca dla mego przyjaciela. Chyba zdoła pan przesunąć tę gródź do przodu, o jakieś sześć cali. Tak, panie Babbington. O co chodzi?

–Jeśli pan pozwoli, panie kapitanie, „Burford” właśnie sygnalizuje zza cypla.

–Bardzo dobrze. Proszę teraz zawołać do mnie ochmistrza, artylerzystę i bosmana.

Chwilę później kapitan „Sophie” pogrążony był całkowicie w okrętowych dokumentach i rachunkach: księga zaciągu załogi, księga chorych, księga żołdu, księga inwentarzowa, zamówienia artylerzysty, bosmana i cieśli, kwity dostaw i zwrotów, ogólne i kwartalne zestawienia prowiantowe. Na dodatek jeszcze zaświadczenia o ilości produktów wydanych załodze: alkoholu, kakao i herbaty. Trzeba też wspomnieć o dzienniku okrętowym, dziennikach korespondencji i rozkazów. Jack zjadł trochę za wiele, ponadto nigdy nie był zbyt biegły w

rachunkach. Szybko więc stracił orientację w tym wszystkim. W tej biurokracji najwięcej miał do czynienia z Rickettsem, ochmistrem. Szczególna łatwość, z jaką ów człowiek przedstawiał nie kończące się szeregi liczb i kwot, szybko Jacka zirytowała. Miał przed sobą wszystkie papiery, o których była mowa: rozliczenia, kwity i rachunki. Wszystkie wymagały jego podpisu, a on ich zupełnie nie rozumiał.

–Panie Ricketts... – powiedział pod koniec długiego, gładkiego wywodu, za którym nie mógł nadażyć. – W książce zaciągu załogi, na pozycji sto siedemdziesiątej ósmej, zamustrowany jest niejaki Charles Stephen Ricketts.

–Tak, sir. To mój syn.

–Właśnie. Widzę, iż został przeniesiony z „Tonnanta”, dawniej „Princess Royal”. Przy jego nazwisku nie został zapisany wiek.

–Ach, proszę pozwolić mi spojrzeć na ten zapis, sir. Charlie musiał wtedy dochodzić dwunastego roku życia.

–Został wpisany na listę załogi jako starszy marynarz.

–Tak, sir. Cha, cha!

Było to powszechne we flocie oszustwo. Takie praktyki były jednak nielegalne. Jack, nie uśmiechając się, mówił dalej:

–Starszy marynarz do dwudziestego września 1798 roku, potem klerk. Dziesiątego listopada 1799 roku mianowano go podchorążym.

–Tak, sir – potwierdził ochmistrz. Szybko zorientował się, iż nie chodzi tylko o ów trochę niefortunny zapis, nadający jedenastoletniemu dzieciakowi rangę starszego marynarza. Wprawne ucho pana Rickettsa uchwyciło coś więcej. Słowa „mianowano go” wypowiedziane zostały ze szczególnym naciskiem. Aż nadto wyraźne przesłanie brzmiało mniej więcej tak: „Może się wydawać, że nie radzę sobie zbyt dobrze z tymi wszystkimi papierami i liczbami. Proszę jednak nie próbować ze mną żadnych ochmistrzowskich sztuczek. Mogę przeciągnąć pana pod kilem od dziobu do rufy. Co więcej: rangi i stopnie nadane przez jednego kapitana mogą zostać odebrane przez drugiego. Jeśli będę musiał zaprzętać sobie panem głowę, mogę postawić pańskiego chłopaka pod masztem i dopilnować, by codziennie, do końca rejsu, na jego delikatną różową skórę spadały baty”. Kapitana bolała głowa, oczy miał podkrążone po wypiciu dużej ilości wina i w jego twarzy można było doszukać się ukrytego okrucieństwa. Ochmistrz wziął więc sobie to wszystko bardzo głęboko do serca. – Tak, sir – powtórzył. – Tak. Mam tutaj listę zamówień i dostaw stoczniowych. Czy chce pan, bym dokładnie wyjaśnił kolejne pozycje?

–Proszę bardzo, panie Ricketts.

Jack po raz pierwszy w życiu w tak pełny sposób zetknął się z zasadami księgowości. Nie bardzo mu się to podobało. Nawet mała jednostka („Sophie” miała zaledwie nieco ponad sto pięćdziesiąt ton wyporności) potrzebuje olbrzymiej ilości zapasów: beczki z wołowiną, wieprzowiną i masłem, wszystkie ponumerowane i ewidencjonowane; beczki, baryłki i butelki z rumem; tony sucharów od Weevila; zupa w proszku ze strzałką na opakowaniu; proch strzelniczy (mielony, ziarnisty i patentowy); wyciory, lonty, zapalki, przybitka, kartacze, granaty, łańcuchy, zwykłe kule. Do tego dochodziły niezliczone przedmioty zamawiane (i tak często sprzeniewierzone) przez bosmana: bloki jedno- i wielokrążkowe; kompletne talie; więźby rej; nagle. Wszystko to tworzyło tasiemcową litanię. Jednakże Jack czuł się tutaj znacznie pewniej, gdyż różnica między blokiem jednokrążkowym, skrzypcowym, krzyżowym czy składanym była dlań tak oczywista jak różnica między dniem a nocą, między dobrem a złem. Tysiąc razy bardziej oczywista, czasami. Teraz jednak jego umysł, nawykły do rozwiązywania bardziej namacalnych problemów, zaczął odmawiać posłuszeństwa. Spojrzał tęsknym wzrokiem przez okno kabiny, ponad wyświechtanymi księgami o pozaginanych rogach, rozłożonymi na łukowato wygiętym blacie szafki. Morze tańczyło w blasku słońca, powietrze było przejrzyste. Przesunął dłonią po czole i oznajmił:

–Zajmiemy się resztą innym razem, panie Ricketts. To ogromna sterta papierów. Widzę, że trudno byłoby poradzić sobie z tym wszystkim, nie mając w załodze klerka. To właśnie przypomniało mi, iż zgodziłem się na zaokrętowanie pewnego młodego człowieka na to stanowisko. Zgłosi się na pokład dzisiaj. Mam nadzieję, że wprowadzi go pan w jego obowiązki. Wydaje się bardzo chętny do pracy i bystry. Na dodatek jest siostrzeńcem pana Williamsa, agenta przyzowego. Myślę, że dla „Sophie” korzystnie byłoby mieć dobre stosunki z agentem przyzowym, nieprawdaż?

–Oczywiście, sir – odparł pan Ricketts z głębokim przekonaniem.

–Zamierzam teraz wybrać się z bosmanem do stoczni. Musimy tam być przed wieczornym wystrzałem – powiedział Jack, wychodząc na powietrze.

W chwili, gdy pojawił się na pokładzie, od strony lewej burty na okręt wszedł młody Richards. Towarzyszył mu mierzący dobrze ponad sześć stóp Murzyn.

–Właśnie o tym młodzieńcu panu mówiłem, panie Ricketts. Czy to jest ów marynarz, którego miał pan ze sobą przyprowadzić, panie Richards? Kawał chłopca z niego. Jak się nazywa?

–Alfred King, za pozwoleniem, sir.

–Umie pan sterować, stawiać i refować żagle, panie King?

Murzyn skinął okrągłą głową. Chrząknął głośno, jego twarz wyraźnie pobladła. Jack

zmarszczył brwi – w żadnym razie nie był to właściwy sposób zwracania się do dowódcy okrętu i to na kapitańskim pokładzie rufowym.

–Dalej, sir. Czyżby zapomniał pan języka w gębie? Murzyn, całkiem już poszarzały na twarzy, z obawą pokręcił głową.

–Jeśli pan pozwoli, sir. On nie ma języka. Wycięli mu go Maurowie... – ostrożnie wyjaśnił klerk.

–Och! – Jack cofnął się o krok. – Och, proszę zabrać go na dziób. Potem wciągnie się go na listę załogi. Panie Babbington, proszę zaprowadzić pana Richardsa pod pokład, do kubryku podchorążych. Chodźmy, panie Watt. Musimy dotrzeć do stoczni, zanim te nieroby skończą pracę.

–Taki marynarz cieszy chyba pańskie serce, panie Watt – zagadnął Jack bosmana, gdy kuter pośpiesznie odbił od burty okrętu. – Chciałbym zdobyć jeszcze ze dwudziestu takich jak on. Nie wydaje się pan jednak zbyt uradowany...

–Cóż, sir. Nigdy nie skrzywię się na widok prawdziwego marynarza. To pewne. Na pewno przydałoby się też wymienić paru naszych żółtodziobów z lądu – to nie znaczy, że w załodze jest ich wielu, gdyż już od dawna są na pokładzie, ale że dobrze zostali popędzeni do roboty, większość z nowych awansowała już na marynarzy, jeśli nie na starszych marynarzy... – Bosman zaplątał się w przydługim zdaniu i zamilkł na chwilę. Wreszcie powiedział: – Jeśli jednak wziąć pod uwagę tylko liczby, to ludzi raczej nam nie brakuje.

–Nawet pomimo tego, że niektórzy zostali przeniesieni do służby w porcie?

–Cóż, na szczęście nie było ich więcej niż pół tuzina. Dopilnowaliśmy też, by pozbyć się w ten sposób wszystkich niepokornych i łajdaków. Tych, którzy najmniej pracowali, sir. Dlatego, jeśli chodzi tylko o liczby, wystarczy nam załogi. Na trójwachtowym brygu, takim jak „Sophie”, trudno jest, nawet teraz, pomieścić wszystkich pod pokładem. To zgrabny i wygodny okręt, ale z pewnością nie można powiedzieć, iż jest na nim zbyt dużo wolnej przestrzeni.

Jack nic na to nie odpowiedział. Potwierdziły się pewne jego przypuszczenia. Rozważał tę kwestię aż do chwili, gdy łódź dotarła na miejsce.

–Kapitan Aubrey! – zawołał pan Brown, oficer dowodzący stoczną. – Proszę pozwolić mi uścisnąć pańską dłoń i życzyć wszystkiego najlepszego. Moje gratulacje. Cieszę się, że pana widzę!

–Dziękuję, sir. Bardzo dziękuję. – Podali sobie ręce.

–Po raz pierwszy mam okazję oglądać pana w pańskim królestwie.

–Przestronnie tu, prawda? – powiedział Brown z dumą.

–Skład lin jest tutaj, a tam, za pańskim starym „Genereux”, znajduje się żaglownia. Chciałbym tylko, by skład drewna ogrodzony był wyższym murem. Nie uwierzy pan, ilu złodziei jest na tej wyspie. Przechodzą nocą przez ogrodzenie i kradną części omasztowania, lub przynajmniej próbują. Wydaje mi się, że bardzo często wysyłają ich kapitanowie okrętów. Kapitanowie czy nie, obedrą ze skóry następnego drania, który bez mej wiedzy spróbuje przywłaszczyć sobie choćby tylko zapadkę kabestanu.

–Coś mi się zdaje, iż byłby pan naprawdę szczęśliwy dopiero wówczas, gdyby na całym Morzu Śródziemnym nie było żadnego królewskiego żaglowca. Mógłby pan wtedy spacerować sobie po placu, codziennie przeliczając pełny stan pojemników z farbą i nie wydając z magazynów przez cały rok nawet drzazgi.

–Niech pan mnie posłucha, młody człowieku... – Brown położył dłoń na ramieniu Jacka. – Zaufaj memu wiekowi i doświadczeniu. Dobry kapitan nigdy nie chce niczego ze stoczni. Radzi sobie z tym, co ma. Szanuje powierzone mu pod opiekę mienie. Nigdy niczego nie marnuje. Czyści dno swego okrętu mułem. Konserwuje łańcuch kotwiczny tak, że w komorach nie ma nawet śladu rdzy. Dbą o żagle bardziej niż o własną skórę. Nigdy nie stawia bombramsli – niepotrzebnych, służących tylko zbędnemu efekciarstwu. Takie postępowanie kończy się promocją, panie Aubrey. Składamy przecież raporty do Admiralicji i jak pan zapewne wie, mają one w tej kwestii zasadnicze znaczenie. Dlaczego Trotter został starszym kapitanem? Po prostu był najoszczędniejszym we flocie dowódcą okrętu. Niektórzy dwa razy w roku tracą stengi masztów. Nigdy Trotter. Niech pan weźmie choćby naszego kapitana Allena. Nie zdarzyło się, by przyszedł do mnie z listą zamówień długą jak jego porzecz. Gdzie jest teraz? Dowodzi piękną fregatą. Dlaczego mówię panu to wszystko? Bardzo dobrze wiem, iż nie jest pan jednym z tych nieodpowiedzialnych, rozrzutnych i beztroskich młodych kapitanów. Nie, bo wiem, jak wielką troskę i dbałość wykazał pan, sprowadzając tu „Genereux”. Pańska „Sophie” jest doskonale utrzymana. To prawda, że wyraźnie potrzeba jej farby. Mogę, z uszczerbkiem dla innych kapitanów, dać panu trochę żółtej. Odrobinę.

–Cóż, byłbym wdzięczny. – Oczy Jacka beztrosko błędziły wśród drzewiec zgromadzonych na placu. – Tak naprawdę, to przyjechałem tu prosić pana o wypożyczenie pańskich duetów. Zabieram w tę podróż przyjaciela, który chciałby usłyszeć zwłaszcza pański duet h-moll.

–Ależ oczywiście, kapitanie Aubrey. Z przyjemnością je panu wypożyczę! – zawołał Brown. – Pani Harte dokonuje właśnie transkrypcji jednego z nich na harfę, lecz już dziś zajdę tam po drodze. Kiedy wypływa pan w morze?

–Gdy tylko zakończę pobieranie wody i zbierze się mój konwój.

–A więc jutro wieczorem, jeśli „Fanny” wejdzie do portu. Pobieranie wody nie powinno zająć panu zbyt wiele czasu. „Sophie” zabiera jej tylko dziesięć ton. Przyślę panu nuty jutro w południe, obiecuję.

–Jestem panu bardzo zobowiązany, panie Brown. Do widzenia zatem. Proszę przekazać moje uszanowanie pani Brown i pannie Fanny.

–Boże! – jęknął Jack, wyrwany ze snu dudniącym odgłosem uderzeń młota ciesielskiego. Spróbował zasnąć znowu, z całej siły wtulając twarz w poduszkę. Tysiące myśli kłębiły mu się od wczoraj w głowie i aż do szóstej rano nie mógł zmrużyć oka. Swoją obecnością na pokładzie o brzasku – oglądał wtedy uważnie liny i reje – dał nieopatrznie powód do plotek, że kapitan już wstał i pracuje. Wywołało to wielką gorliwość u cieśli i nerwowość stewarda z oficerskiej mesy (kapitan Allen zabrał swego osobistego stewarda na „Pallas”), przygotowującego ulubione śniadanie byłego dowódcy: mały kufel piwa, talerz gęstej owsianki i zimną wołowinę.

Jack Aubrey musiał w końcu pożegnać się z nadziejami na chwilę spokojnego snu. Tuż obok rozlegało się walenie młotem, przeplatane szeptami cieśli i jego pomocników. Pracowali za ścianą kapitańskiej sypialni. W pewnej chwili poczuł, że ból rozsadzi mu głowę.

–Przestańcie walić tym cholernym młotem! – zawołał. Nieomal tuż za jego plecami zabrzmiała wystraszona odpowiedź:

–Tak jest, sir. – Po chwili ucichł też ostrożny tupot szybko oddalających się kroków.

Dowódca „Sophie” miał wyraźnie zachrypnięty głos. „Co sprawiło, że byłem wczoraj taki rozmowny?” – pytał sam siebie, wciąż leżąc w koi. – „Kraczę teraz jak wrona od tego gadania. Co mnie pokusiło, żeby wrywać się z jakimiś nieroztropnymi zaproszeniami? Gość, którego w ogóle nie znam, na malutkim brygu, też prawie mi jeszcze nie znanym”. Z ponurą miną rozmyślał o konieczności bardzo starannego dobierania ludzi, z którymi zamierza się spędzić tyle czasu. Wspólny pobyt na okręcie to coś jak małżeństwo. Obrażliwe, pragmatyczne lub zarozumiałe osoby stają się nie do wytrzymania, jeśli przebywa się z nimi zbyt długo. To źle, jeśli niedopasowane temperamenty muszą mieszać się w jednym małym drewnianym pudełku. Właśnie: w pudełku. Przypomniał sobie swój podręcznik do nauki morskiego rzemiosła i to, z jakim mozołem, jako chłopiec, uczył się z tej książki na pamięć zawiłych równań:

*Niech kąt YCB, pod jakim zbrasowana jest reja, nazywa się ustawieniem żagli. Oznaczmy jego wartość literą b. Kąt ten jest kątem dopełniającym kąta DCI. Stąd $CI:ID - r:tg DCI = l:tg DCI = l:ctg b$. Dalej otrzymujemy $l:ctg b = AI:BI:tg^2x$ oraz $AI*ctgb = BI*tg^2x$ i $tg^2x - (A/B)*ctg b$. To równanie w oczywisty sposób wyjaśnia wzajemne powiązanie pomiędzy położeniem żagli a dryfem statku...*

–To oczywiste, Jackie. Prawda, kochanie? – powiedział głos pełen nadziei. Oczywiście wyobraźni ujrzał pochylającą się nad nim młodą kobietę. W tym momencie miał w swych myślach dwanaście lat, był małym krępyim chłopcem, a gdzieś wysoko żeglowała wysoka, dorosła postać Queeney.

–No, chyba nie, Queeney – odpowiedział mały Jack. – Naprawdę nie.

–Dobrze – odparła, nie tracąc cierpliwości. – Spróbuj zapamiętać, co to jest tangens i cotangens. Zacznijmy od początku. Wyobraźmy sobie statek jako prostokątne pudełko...

Przez chwilę próbował wyobrazić sobie „Sophie” jako prostopadłościenne pudełko. Nie poznał jej jeszcze dobrze, ale dwie lub trzy podstawowe sprawy wydawały się oczywiste: po pierwsze, okręt miał zbyt małą powierzchnię żagli. Mógł chyba pływać ostro na wiatr, lecz przy kursach z wiatrem poruszał się zapewne jak ślimak. Kolejna sprawa to to, iż poprzednik Jacka był człowiekiem o zupełnie innym temperamencie. Załoga z czasem wyraźnie zaczęła go przypominać.

Ludzie na pokładzie „Sophie” stali się tacy sami jak ich były dowódca, który był ostrożny, nieagresywny, nigdy nie stawiał bombramżagli i był wystarczająco odważny jedynie wtedy, gdy został sprowokowany. Na pewno w niczym nie przypominał krwiożerczego pirata.

–Gdyby udało się połączyć dyscyplinę z zawadiackim pirackim duchem – mówił Aubrey cicho do siebie – można by zawojować oceany. – Myśl o podbojach sprawiła, iż jego umysł szybko zwrócił się ku bardziej przyziemnym sprawom. Pomyślał o pieniądzach z przyzów, które byłyby zapewne rezultatem bohaterских zwycięstw. – Martwi mnie ta sfatygowana grotreja – rozmyślał dalej na głos. – Do licha, na pewno uda mi się zdobyć dwie pościgowe dwunastofuntówki, po jednej na dziób i rufę. Czy jednak wręgi „Sophie” to wytrzymają? Tak czy siak, na pewno można z tego pudełka zrobić prawdziwy okręt wojenny.

Coraz to nowe podobne myśli kołatały się w jego głowie, podczas gdy wewnątrz ciasnej kabiny powoli się rozjaśniało. Tuż pod rufą brygu przepłynęła łódź rybacka, wyladowana tuńczykiem. Ktoś z jej załogi zatrąbił na wykonanym z muszli rogu chrapliwy sygnał. Nieomal w tej samej chwili słońce wyskoczyło z za fortu Świętego Filipa. Dosłownie: wyskoczyło – płaskie, podobne do zawieszanej w porannej mgielce ogromnej cytryny – i po chwili z wyraźnym szarpnięciem uwolniło dolny rąbek swej tarczy z objęć lądu. Po zaledwie minucie szarość wypełniająca wewnątrz kapitańskiego salonu znikła zupełnie. Sufit kabiny ożył, zalany rozedrganymi plamami światła rozproszonego na pomarszczonej powierzchni morza. Pojedynczy promień słoneczny, zapewne odbity od jakiejś gładkiej, nieruchomej powierzchni na odległym nabrzeżu, wpadł do wnętrza przez okno, oświetlając mundur Jacka i lśniący złotem epolet. Słońce weszło teraz także w jego myślach, sprawiając, iż na przygnębionej

twarzą pojawił się szeroki uśmiech. Energicznym ruchem zeskokczył z koi.

Do doktora Maturina promienie słoneczne dotarły o dobre dziesięć minut wcześniej – przebywał bowiem w miejscu położonym znacznie wyżej. I on również po przebudzeniu przewracał się przez chwilę, gdyż tej nocy nie spał najlepiej. Jaskrawe światło poranka zwyciężyło jednak. Otworzył oczy i rozejrzał się dookoła zdezorientowany. Jeszcze przed chwilą był w swym śnie szczęśliwy, przebywał w Irlandii, jego ramię obejmowała dłoń dziewczyny. Obudzony zniemacka umysł nie potrafił zaakceptować tego, co ujrzały oczy. Dotyk jej palców był wciąż wyraźny, w powietrzu nadal unosił się jej zapach. Odruchowo podniósł i rozkruszył kilka leżących obok liści – *dianthus perfragens*. Zapach został więc zlokalizowany – tylko kwiat, nic więcej. Uścisk dziewczęcej dłoni na ramieniu zelżał i zniknął. Na twarzy Maturina pojawił się smutek, oczy zaszyły mgłą. Tak bardzo mu na niej zależało, a i ona była w nim wtedy zakochana...

Absolutnie nie był przygotowany na to zdradzieckie uderzenie, zdolne przebić najtwardszy z pancerzy. Przez kilka minut walczył z przeszywającym serce bólem, w końcu zamrugał oczami i usiadł w słońcu.

–Boże – powiedział. – Następny dzień. – Po tych słowach twarz doktora wypogodziła się nieco. Wstał, otrzepując ubranie z białego kurzu. Z olbrzymim zawstydzeniem spostrzegł, iż tłuszcz z kawałka mięsa, schowanego podczas wczorajszego obiadu, wyciekł przez kieszeń i znajdującą się w niej chusteczkę. „To przecież dziwne” – zastanawiał się Stephen. – „Nie powinienem się przejmować podobnymi przypadkami, a ta plama tak mocno mnie zirytowała”. Usiadł, zjadł mięso (plaster pieczonej baraniny) i przez moment rozmyślał o sposobach zwalczania opuchlizn, Paracelsusie, Cardanie i Rhazesie. Siedział w apsydzie ruin kaplicy Świętego Damiana, wysoko ponad dachami Port Mahon, po północnej stronie. Pograżony w zadumie patrzył w dół, na wejście do portu i dalej na bezkresny obszar morza, lśniący błękit poprzecinany ruchomymi liniami. Wstające od strony Afryki słońce wspięło się już na wysokość dłoni ponad horyzont. Maturin znalazł tu schronienie kilka dni temu. Człowiek, u którego dotąd mieszkał, zaczął być coraz bardziej nieuprzejmy, co prędzej czy później skończyłoby się przykrą sceną. Stephen był już wystarczająco wyczerpany przeciwnościami, wołał więc niepotrzebnie nie narażać się na nieprzyjemności.

Zwrócił uwagę na mrówki zabierające gdzieś resztki jego śniadania. *Tapinoma erraticum*. Maszerowały spokojnie, w obu kierunkach, w poprzek podobnej do ptasiego gniazda odwróconej peruki, niegdyś godnej miana prawdziwego arcydzieła sztuki fryzjerskiej. Wędrowały w pośpiechu, z uniesionymi w górę odwłokami, przepychały się i wpadały jedna na drugą. Oczy Maturina uważnie śledziły ich pozornie chaotyczne ruchy. Podniósł wzrok i nieoczekiwanie spojrział prosto w lśniące brązowe oczy ropuchy, przyglądającej mu się od pewnego czasu bardzo uważnie. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie. Była niezwykle dorodna – ważyła chyba

ze dwa funty. W jaki sposób udawało jej się przeżyć tu, w tej rzadkiej i cienkiej trawie, w samym sercu kamienistego, spalonego słońcem krajobrazu? Jedyne schronienie przed piekącymi promieniami stanowiły resztki murów z białego kamienia i kilka ciernistych krzewów. Rośliny były mizerne i wyraźnie podwędnięte. Zima roku 1799 była wyjątkowo sucha, potem w marcu brakowało deszczu, na dodatek ocieplenie przyszło zbyt wcześnie. Stephen wyciągnął ostrożnie palec i połaskotał ropuchę pod brodą. Żaba napęczniała lekko, poruszyła skrzyżowanymi z przodu łapkami i ze stoickim spokojem obejrzała się za siebie.

Słońce wspinało się coraz wyżej. Noc nie była chłodna, lecz teraz zrobiło się przyjemnie ciepło. Tuż obok przeleciały dwie białorzytki. Ich gniazdo z pisklętami znajdowało się zapewne gdzieś w pobliżu. Załatwiając w krzakach potrzebę fizjologiczną, doktor natknął się na zrzuconą przez węża skórę. Nawet zaskakująco przezroczyście powieki oczu były idealnie zachowane.

–Co myśleć o zaproszeniu kapitana Aubreya? – zapytał sam siebie. Jego głos zginął w wypełnionej słonecznym światłem pustce. W dole widać było sylwetki wędrujących ścieżką ludzi i kolorową szachownicę pól, przechodzącą dalej w szare fałdy bezkształtnych wzgórz. – Czy myśleć o tym tylko jak o częściej gadaniu przy winie? Tak czy inaczej, ten Jack to dobry kompan. Miły i szczery człowiek. – Maturin uśmiechnął się na samo wspomnienie. – Czy można w ogóle przywiązywać jakąkolwiek wagę do...? Zjedliśmy wspaniały obiad, wypiliśmy chyba ze cztery butelki wina, a może nawet pięć? Nie mogę zachować się niegrzecznie. To byłby z mojej strony afront. – Kilka razy rozważał to wszystko dokładnie od początku, szukając argumentów zdolnych obalić nadzieje. Doszedł jednak do przekonania, iż jeśli uda mu się doprowadzić do porządku pokryte kurzem ubranie, będzie mógł odwiedzić w szpitalu pana Floreya i porozmawiać z nim niezobowiązująco o ogólnych zasadach służby lekarzy okrętowych. Wytrząsnął mrówki z peruki i wsadził ją na głowę. Po chwili ruszył w stronę drogi, mijając karmazynowe kwiatostany gladioli ukryte w nieco wyższej tutaj trawie, aż nagle nieoczekiwane wspomnienie zatrzymało go w pół kroku. Jak mógł przez noc zupełnie o tym zapomnieć? Jak to się stało, że nazwisko James Dillon nie pojawiło się w jego umyśle natychmiast po przebudzeniu? – To przecież prawda, że są tysiące Dillonów – przekonywał sam siebie. – I na pewno wielu z nich ma na imię James.

–Chryste... – mówił, a właściwie nucił szeptem James Dillon. Golił rdzawozłoty zarost, starając się wykorzystać odrobinę światła wpadającą do wnętrza „Burforda” przez otwór burtowej furty działowej numer dwanaście. – Chryste eleison, Kyrie... – Modlił się nie tyle z pobożności, ile w nadziei, że dzięki temu uda mu się nie zaciąć. Podobnie jak wielu innych papistów przejawiał pewne skłonności do bluźnierstwa. Ryzyko związane z trudnymi miejscami tuż pod nosem sprawiło, że zamilkł na chwilę. Gdy górna warga była wreszcie czysta, nie umiał już wrócić do przerwanej melodii. Jego umysł był zbyt zajęty, by mógł się koncentrować na niematerialnych sprawach. Dziś przecież porucznik Dillon miał zameldować się swemu nowemu kapitanowi,

człowiekowi, od którego w ciągu następnych dni zależeć będzie jego dobre samopoczucie, nie mówiąc już o reputacji, karierze i perspektywach awansu.

Masując świeżo wygoloną twarz, energicznym krokiem wszedł do mesy i zawołał na żołnierza:

–Wyszczotkuj tył mojej kurtki, Curtis, dobrze? Mój kuferek jest już prawie gotowy. Razem z nim ma zostać zabrany chlebak z książkami – dodał szybko. – Czy kapitan jest na pokładzie?

–Och, nie, sir – odpowiedział żołnierz. – Właśnie zanesiono mu śniadanie, przed minutką. Dwa jajka na twardo i jedno na miękko. – Jajko na miękko przeznaczone było dla panny Smith, w nagrodę za jej gorliwość i poświęcenie, jakim wykazała się tej nocy. Obydwaj, Dillon i żołnierz, wiedzieli o tym doskonale. Porozumiewawcze spojrzenie mówiącego spotkało się jednak z absolutnym brakiem reakcji. Twarz Jamesa Dillona zeszywniała. Przez krótką chwilę, gdy biegł w górę zejściówki ku jaskrawo oświetlonemu pokładowi kapitańskiemu, wyraźnie malowała się na niej złość. Na górze przywitał się z oficerem wachtowym i pierwszym porucznikiem „Burforda”.

–Dzień dobry. Dzień dobry panu. Naprawdę wygląda pan doskonale – powiedzieli na jego widok. – „Sophie” stoi tam, z tyłu za „Genereux”.

Spojrzał w stronę ruchliwego portu: promienie słoneczne padały niemal poziomo i wszystkie maszty i reje w tym oświetleniu wydawały się zadziwiająco ważne. Małe roztańczone fale rzucały na wszystkie strony oślepiające rozbłyski.

–Nie, nie tam – wyjaśnił któryś z oficerów. – Obok hulku. Feluka właśnie ją zasłoniła. Tam. Czy teraz pan widzi?

Rzeczywiście. Teraz ją zauważył. Poprzednio patrzył za daleko i za wysoko. „Sophie” stała na kotwicy nie dalej niż o kabel, głęboko zanurzona. Oparł dłonie na relingu i przez moment patrzył na nią z uwagą. Po krótkim czasie spojrzał znowu w jej stronę, tym razem przez pożyczoną od oficera wachtowego lunetę, zwracając uwagę nawet na najdrobniejsze szczegóły. Dostrzegł błysk epoletu, mogącego znajdować się jedynie na ramieniu dowódcy. Załoga brygu była czymś bardzo zajęta, ludzie poruszali się jak pszczoły mające za chwilę się wyroić. Dillon spodziewał się niewielkiego okrętu, ale nie aż tak małego. Większość czternastodziałowych słupów miała od dwustu do dwustu pięćdziesięciu ton wyporności. Wyporność „Sophie” nie przekraczała stu pięćdziesięciu ton.

–Podoba mi się jej mały pokład rufowy – zauważył oficer wachtowy. – Kiedyś należała do Hiszpanów i nazywała się chyba „Vencejo”, czy tak? Wydaje się niewielka. No cóż, wszystko, na co patrzy się z pokładu takiego okrętu jak nasz, o

siedemdziesięciu czterech działach, wydaje się nieduże.

Wszyscy we flocie wiedzieli o „Sophie” trzy rzeczy: że w przeciwieństwie do innych brygów miała pokład rufowy, że kiedyś należała do Hiszpanów i że miała na forkasztelu pompę z pnia wiązu. Dokładnie mówiąc, był to wydrążony pień drzewa wyprowadzony bezpośrednio pod dno statku i używany do splukiwania pokładu. Nie był to może najistotniejszy element wyposażenia, lecz sama w sobie owa pompa była bardzo charakterystyczna. Każdy człowiek morza, który o niej usłyszał lub ją zobaczył, na pewno o tym szczególnie pamiętał.

–Może pańska koja będzie trochę ciasna – odezwał się pierwszy porucznik – ale z pewnością będzie pan tam miał cichą i spokojną służbę: konwojowanie okrętów handlowych po całym Śródziemnym.

–Cóż... – Dillon nie potrafił znaleźć wystarczająco ciętych słów i zareagować na to wywołane być może najszczerzą życzliwością stwierdzenie. – Cóż... – powtórzył, z rezygnacją wzruszając ramionami. – Czy przydzielili mi pan łódź, sir? Chciałbym jak najszybciej zameldować się na nowym okręcie.

–Łódź? Czy pan żartuje? – zawołał pierwszy porucznik. – Zamówiłbym przewoźnika, gdybym wiedział. Pasażerowie tu na „Burfordzie” czekają na połączenie z lądem. Jeśli nie dam im łodzi, gotowi są popłynąć wplaw! – Patrzył na Jamesa surowym wzrokiem aż do chwili, w której zdradził go chichot sternika. Pan Coffin lubił żartować, nawet przed śniadaniem.

–James Dillon, sir. Melduję się na burcie. – Mówiąc te słowa, porucznik zdjął z głowy kapelusz. Ciemnorude włosy zapłonęły czerwienią w jaskrawych promieniach słońca.

–Witamy na pokładzie, panie Dillon – odpowiedział Jack, dotknąwszy swego nakrycia głowy, i w powitalnym geście wyciągnął dłoń. Jego twarz wydawała się dziwnie surowa, tak bardzo chciał odgadnąć, jakim człowiekiem okaże się jego nowy podkomendny. – Bardzo cieszymy się z pańskiego przybycia, zwłaszcza dzisiaj, gdyż mamy przed sobą ciężki dzień. Na maszcie! Czy widać już jakieś oznaki życia na nabrzeżu?

–Na razie nie, sir!

–Wiatr wieje właśnie tak, jak tego chciałem – zauważył Jack, po raz setny już dziś spoglądając na nieliczne białe obłoki, żeglujące powoli po idealnie błękitnym niebie. – Nie ufałbym mu jednak zanadto, bo ciśnienie na barometrze wyraźnie się podnosi.

–Pańska kawa, sir – odezwał się steward.

–Dziękuję, Killick. O co chodzi, panie Lamb?

–Nie mam nigdzie wystarczająco dużych pierścieni pokładowych, sir – wyjaśnił cieśla. – W stoczni jest ich mnóstwo. Czy mogę tam kogoś po nie posłać?

–Nie, panie Lamb. Proszę nawet nie myśleć o stoczni, jeśli panu życie miłe. Niech pan wybierze zwykłe zaginane haki, złoży je po dwa, rozpali palenisko i postara się wykuć elegancki pierścień. Nie zajmie to panu więcej niż pół godziny. Panie Dillon, gdy rozgości się już pan pod pokładem, może przyjdzie pan do mnie. Wypijemy po filiżance kawy, a ja powiem panu, co planuję dzisiaj zrobić.

James zbiegł szybko pod pokład, do ciasnej trójkątnej klatki, która odtąd miała być jego mieszkaniem. Wyskoczył z paradnego munduru i zamienił go na spodnie i starą błękitną kurtkę. Gdy wyszedł z powrotem na górę, kapitan wciąż jeszcze dmuchał, zamyślony, na swą filiżankę kawy.

–Niech pan siada, panie Dillon, niech pan siada! – zawołał dowódca okrętu. – Proszę odsunąć na bok te papiery. Ta kawa do najsmaczniejszych na pewno nie należy, ale przynajmniej jest mokra. To mogę panu obiecać. Może odrobinę cukru?

–Za pańskim pozwoleniem, sir – ostrożnie odezwał się młody Ricketts – do naszej burty przybił kuter z „Genereux”. Są na nim nasi ludzie, którzy niedawno zostali skierowani do służby w porcie.

–Wszyscy?

–Tak, oprócz dwóch, lecz na ich miejsce są inni. Trzymając wciąż w ręku filiżankę z kawą, Jack obrócił się

na krześle i wyjrzał przez uchylone drzwi. Zacumowana do kotwicznego łańcucha łódź wypełniona była marynarzami, wymieniającymi dowcipy, okrzyki i gwizdy ze swymi starymi znajomymi z załogi brygu. Podchorąży z „Genereux” zasalutował i powiedział:

–Z pozdrowieniami od kapitana Harte, sir. Okazało się, iż ci ludzie nie są na razie w porcie potrzebni.

–Niech ci Bóg błogosławi, Molly – wyszeptał Jack i dodał głośnie: – Moje uszanowanie i gorące podziękowania dla kapitana Harte. Niech pan będzie tak dobry i każe im wejść na pokład.

Nowi członkowie załogi wyglądali nieszczególnie. Kapitan zauważył to, gdy na spuszczonej z noku rei linie wciągnięto na pokład ich skromny dobytek. Trzej lub czterej byli wyraźnie niedorozwinięci umysłowo, dwaj inni wydawali się nieco bardziej inteligentni i odstawali sprytem od pozostałych. Różnica między nimi a resztą nie była niestety tak znaczna, jak im samym się zdawało. Niektórzy byli wręcz niewiarygodnie brudni, jednemu udało się zdobyć gdzieś czerwone ubranie, kiedyś

przyozdobione cekinami. Wszyscy mieli jednak po dwie ręce, którymi mogli chwycić linę. Dziwne byłoby, gdyby bosmanowi i jego pomocnikom nie udało się w odpowiedniej chwili zmusić tych łazęgów, by ją wybierali.

–Na pokładzie! – zawołał pełniący wachtę podchorąży. – Jacyś ludzie chodzą po nabrzeżu!

–Bardzo dobrze, panie Babbington. Może pan zejść teraz na dół i zjeść śniadanie. Wróciło sześciu ludzi, o których myślałem, że straciliśmy ich na dobre – powiedział Aubrey z satysfakcją, odwracając się znów w stronę Jamesa Dillona. – Szczerze mówiąc, nie wyglądają mi na specjalnie przydatnych i pracowitych. Musimy przygotować dla nich balię i porządną kąpiel, jeśli nie chcemy mieć na okręcie pcheł lub wszy. Tak czy inaczej, pomogą nam wybierać kotwicę. Mam nadzieję, że ruszymy najpóźniej o wpół do dziesiątej. – Postukał palcami w okuty mosiądzem blat szafki i mówił dalej: – Weźmiemy na pokład dwie dwunastofuntówki jako działa pościgowe, jeżeli uda mi się zdobyć je u artylerzystów. W każdym razie zamierzam wyjść w morze, dopóki trwa bryza, by wypróbować mój bryg. Będziemy konwojować tuzin statków handlowych do Cagliari. Wypływamy wieczorem, jeśli wszystkie się tu zbiorą, i musimy dokładnie wiedzieć, jak nasza „Sophie” żegluje. Tak? O co chodzi, panie...?

–Pullings, sir. Oficer nawigacyjny. Przy naszej burcie stoi longbot z „Burforda”. Są na nim ludzie przydzieleni do naszej załogi.

–Ludzie dla nas? Ilu?

–Osiemnastu, sir. – „Niektórzy wyglądają na niezłych moczymordów”, dodałby chętnie nawigator, gdyby miał odwagę.

–Czy wie pan coś o tym, panie Dillon? – zapytał Jack.

–Wiem, że na pokładzie „Burforda” znajdowało się wielu marynarzy z „Charlotte” i paru odkomenderowanych z innych okrętów do służby w Port Mahon, sir. Nie słyszałem nigdy, by którykolwiek z nich miał zaokrętować na „Sophie”.

Jack miał już powiedzieć, iż niesłusznie obawiał się, że pozostanie bez załogi. Zachichotał jednak tylko, zastanawiając się, dlaczego tak niespodziewanie wysypał się dla „Sophie” róg obfitości. Znalazł wreszcie wyjaśniającą wszystko odpowiedź: Lady Warren! Zaśmiał się raz jeszcze i powiedział:

–Wybieram się teraz na brzeg, panie Dillon. Pan Head to bardzo rzeczowy człowiek. W ciągu pół godziny powie mi, czy jest jakakolwiek szansa, byśmy dostali te działa. Jeśli tak, dam panu znak chusteczką. Może pan wówczas rozpocząć przeholowanie. O co chodzi, panie Richards?

–Sir – wydusił z siebie klerk, blady jak ściana. – Pan ochmistrz powiedział mi, że każdego dnia o tej porze mam przynosić panu rachunki i pisma do podpisu. I czystopis księgi rachunkowej do sprawdzenia.

–Całkiem słusznie – odparł Jack miękko. – W każdy normalny dzień. Teraz dowie się pan, który dzień jest normalnym dniem, a który nie. – Spojrzał na zegarek. – Oto dokumenty potwierdzające przyjęcie na pokład przysłanych nam ludzi. Resztę pokaże mi pan innym razem.

Pokład okrętu przypominał scenę uliczną z Cheapside w trakcie robót drogowych. Dwie grupy ludzi, pod kierownictwem cieśli, przygotowywały miejsce dla hipotetycznych dział na dziobie i rufie. Nowo przybyli członkowie załogi przyglądali się tej pracy, stojąc obok swoich bagaży. Wszelkiej maści szczury lądowe, rekruci i doświadczeni marynarze. Niektórzy z nich byli wyraźnie zainteresowani tym, co się działo, i wymieniali co chwila uwagi z pracującymi, inni rozglądali się dookoła bądź gapili w niebo, tak jakby je ujrzeli po raz pierwszy w życiu. Kilku zapędziło się nawet na święty kapitański pokład rufówki.

–Co u licha ma znaczyć to zamieszanie? – zawołał Jack. – Panie Watt, to jest królewski okręt wojenny, a nie krypa z Margate! Pan, proszę pana, niech natychmiast wynosi się stąd na dziób!

Przez chwilę, dopóki święte oburzenie kapitana nie pobudziło ich do działania, podoficerowie z „Sophie” przypatrywali się swemu dowódcy ze smutnymi minami. Jack zdążył usłyszeć słowa: „tylu ludzi...”

–Wybieram się teraz na brzeg – oświadczył. – Mam nadzieję, że kiedy wrócę, wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej.

Schodząc za podchorążym do łodzi, Jack wciąż był czerwony na twarzy.

–Czy im się wydaje, że zostawię na lądzie chociaż jednego zdolnego do służby na okręcie człowieka tylko dlatego, iż mam mało miejsca na pokładzie? – mówił do siebie. – Oczywiście nie może być mowy o ich ukochanych trzech wachtach. I tak trudno będzie wygospodarować po czternaście cali.

System trójwachtowy był dosyć humanitarnym sposobem organizacji życia na statku. Pozwalał członkom załogi od czasu do czasu spać bez przerwy przez całą noc. W systemie dwuwachtowym mogli oni liczyć najwyżej na cztery godziny nieprzerwanego snu. Z drugiej strony oznaczało to, iż połowa ludzi miała do swojej dyspozycji całą wolną przestrzeń do zawieszania hamaków. Druga połowa pracowała w tym czasie na pokładzie. „Osiemnaście i sześć to dwadzieścia cztery” – liczył Jack w duchu. – „Do tego dochodzi pięćdziesięciu lub coś koło tego. Razem będzie, powiedzmy, siedemdziesięciu pięciu. Ilu ludzi przypadnie teraz na jedną wachtę?”

Udało mu się w końcu uzyskać wynik, który musiał pomnożyć przez czternaście. Regulaminowa przestrzeń, przewidziana na każdy hamak, wynosiła właśnie czternaście cali. Wydawało się bardzo wątpliwe, by na „Sophie” znaleziono taką ilość wolnego miejsca, niezależnie od oficjalnie przyjętej liczebności załogi. Aubrey wciąż się nad tym zastanawiał, gdy podchorąży zawołał: „Basta! Wiosła!” i łódź uderzyła delikatnie o nabrzeże.

–Niech pan wraca na okręt, panie Ricketts – polecił kapitan. – Nie sądzę, by to długo trwało, a tak zaoszczędzimy parę minut.

Opóźnienie spowodowane przybyciem łodzi z ludźmi z „Burforda” spowodowało, że Jack musiał czekać na swą kolej – zdążyli go wyprzedzić dowódcy kilku innych okrętów. Chodził tam i z powrotem po nabrzeżu w towarzystwie jednego z nich, Middletona, noszącego na ramieniu epolet równie piękny jak jego własny. To właśnie Middleton był owym ustosunkowanym kapitanem, który objął dowództwo „Vertueuse”, uroczego francuskiego statku pirackiego; gdyby na tym świecie istniała sprawiedliwość, dowództwo to przypadłoby Jackowi. Gdy obaj panowie wymienili najważniejsze żeglarskie i śródziemnomorskie plotki, Aubrey wspomniał, iż zamierza pobrać z magazynu dwa dwunastofuntowe działa pościgowe.

–Myśli pan, że „Sophie” je uniesie? – zapytał Middleton.

–Mam taką nadzieję. Czterofuntówki nie bardzo się nadają. Trochę się obawiam, czy jej kadłub wytrzyma.

–No cóż, może się panu uda... – Middleton pokręcił głową. – W każdym razie wybrał pan najlepszy ku temu dzień. Head ma zostać oddany pod komendę Browna. Tak się tym biedak przejął, że wyprzedaje wszystko z magazynu jak przekupka ryby pod koniec targu.

Jack słyszał już wcześniej o tej zmianie, będącej wynikiem długotrwałej przepychania między artylerią i marynarką wojenną. Chętnie dowiedziałby się czegoś więcej, lecz kapitan Halliwell wyszedł właśnie z rozpromienioną twarzą z biura. Middleton miał chyba wobec Aubreya jakieś słabe ślady wyrzutów sumienia, gdyż powiedział:

–Niech pan idzie przede mną. To potrwa wieki, nim uda mi się wyblagać moje karonady.

–Dzień dobry, sir – powiedział Jack, wchodząc. – Kapitan Aubrey z „Sophie”. Chciałbym prosić o dwie długie dwunastofuntówki, jeśli pan pozwoli.

–Czy wie pan, ile one ważą? – zapytał pan Head. Wyraz głębokiej melancholii na jego twarzy nie zmienił się nawet odrobinę.

–Wydaje mi się, że około trzydziestu trzech cetnarów.

–Trzydzieści trzy cetnary, trzy funty i trzy uncje. Tak... Może pan wziąć ich nawet tuzin, kapitanie, jeśli sądzi pan, że pański bryg je uniesie.

–Dziękuję, dwie mi w zupełności wystarczą. – Jack spojrzał ostro na swego rozmówcę, chcąc upewnić się, czy ten z niego nie żartuje.

–Niech je pan bierze. To teraz pański kłopot – powiedział pan Head z głębokim westchnieniem, robiąc jakieś sekretne znaczki na zniszczonym, zwijającym się kawałku pergaminu. – Proszę to oddać gospodarzowi magazynu. Dostanie pan parę najpiękniejszych dział, o jakich można sobie tylko pomarzyć. Jeśli znajdzie pan miejsce, mogę panu dołożyć jeszcze kilka zgrabnych moździerzy.

–Jestem bardzo zobowiązany, panie Head – podziękował Jack uradowany. – Chciałbym, aby wszyscy oficerowie pełnili służbę tak jak pan.

–Słusznie, kapitanie, słusznie – rzekł jego rozmówca, którego twarz niespodziewanie pociemniała z oburzenia. – Są jednak pewni nikczemni, podli i głupi ludzie. Jacyś za przeproszeniem muzycy, rozglądający się wiecznie za łapówką. To leniwe psy, które kazałyby panu czekać miesiącami. Ja do nich nie należę... Kapitanie Middleton, czy nie potrzebuje pan karonad?

Stojąc w słońcu, Aubrey ponowił swój sygnał. Poprzez gąszcz rej i masztów zobaczył, że postać na topie masztu „Sophie” schyla się, wołając coś w stronę pokładu, i znika, zsuwając się w dół po baksztagu jak kropla rosy po pajęczej nitce.

Pan Head bardzo sprawnie radził sobie z przydziałem uzbrojenia. Gospodarz magazynu na nabrzeżu artyleryjskim wyraźnie jednak nie lubił pośpiechu. Na dowód swej dobrej woli pokazał w końcu Jackowi dwie dwunastofuntówki.

–To najpiękniejsza para dział, jaką można sobie wymarzyć – powiedział, gładząc długie lufy, podczas gdy Jack podpisywał pokwitowanie. Zaraz potem dobry nastrój gospodarza nieoczekiwanie wyparował: jeszcze kilku kapitanów czeka na realizację zamówień – kolejka obowiązuje jednakowo wszystkich – porządek musi być – trwa właśnie dostawa dział trzydziestosześcioletowych, która musi być załatwiona pierwsza – w magazynie tak bardzo brakuje ludzi...

„Sophie” przeholowała już dawno temu, stała równo przy nabrzeżu, pod bomami załadunkowymi. Na jej pokładzie panował teraz znacznie większy hałas. Było stanowczo zbyt głośno, nawet biorąc pod uwagę dopuszczalne w porcie rozluźnienie dyscypliny. Jack był pewien, że niektórzy członkowie załogi w jakiś sposób zdołali się upić. Pełne oczekiwania twarze patrzyły z burty, jak ich dowódca spaceruje tam i z powrotem po nabrzeżu, spoglądając na przemian to w niebo, to na zegarek.

–Boże! – wykrzyknął Jack, uderzając się dłonią w czoło. – Co za głupiec ze mnie. Zupełnie zapomniałem o oleju! – Zawrócił w miejscu i poszedł do magazynu, z za którego słychać było donośne skrzypienie, dowód na to, że gospodarz i jego ludzie przesuwali właśnie podobne do sań łoża karonad Middletona w stronę ułożonych w równym szeregu luf. – Panie gospodarzu! – zawołał. – Czy mógłby pan przyjść i zerknąć na moje działa? Tak bardzo się śpieszyłem... Chyba zapomniałem, że trzeba je naoliwić. – Mówiąc te słowa, dyskretnie położył na panewkach luf obu armat po sztuce złota. Gospodarz magazynu spojrział na niego z szacunkiem. – Gdyby mój artylerzysta nie był chory, na pewno by mi o tym przypomniał – dodał Jack ostrożnie.

–Dziękuję, sir. To bardzo stary zwyczaj. Nie lubię, gdy pozwala się umierać tradycjom, jeśli mam być szczery... – W głosie magazyniera wciąż słychać było resztki niezadowolenia, lecz jego naburmuszona twarz stopniowo się rozpogadzała. – Wspominał pan o pośpiechu, prawda? Zobaczymy, co się da zrobić.

W pięć minut później dziobowe działo pościgowe, starannie podwieszane za uszy, gałkę i wylot lufy, kołysało się delikatnie nad forkasztem „Sophie”, o pół cala od swej idealnej pozycji. Jack i cieśla, obaj na czworakach, podobni do bawiących się dzieci, nasłuchiwali odgłosu, jaki wydadzą wręgi i belki pokładu, gdy bom uwolni się od ogromnego ciężaru. Kapitan uniósł dłoń ku górze.

–Teraz ostrożnie, powolutku... – polecił.

Na „Sophie” zapanowała idealna cisza. Wszyscy członkowie załogi zamarli w bezruchu, nawet ci z wiadrami wody w ręku, napełniający balię. Znieruchomieli ludzie ustawieni w żywy łańcuch, podający z brzegu dwunastofuntowe kule, układane potem w magazynie pocisków przez jednego z ludzi artylerzysty. Działo dotknęło pokładu i osiadło pewnie na deskach. Rozległo się głębokie, lecz raczej niegroźne skrzypnięcie, i dziób brygu osiadł głębiej w wodzie.

–Kapitalnie – stwierdził Jack, oglądając ustawioną dokładnie w zaznaczonym kredą miejscu armatę. – Dookoła jest jeszcze dużo wolnego miejsca... – dodał, cofając się o krok.

Stojący tuż za nim pomocnik artylerzysty usunął się pośpiesznie, by nie zostać rozdeptanym, i zderzył się ze swym sąsiadem. Ten z kolei wpadł na kogoś innego, wywołując na zatłoczonej przestrzeni pomiędzy fokmasztem a bukszprytem istną reakcję łańcuchową. W jej wyniku jeden z chłopców okrętowych został dość mocno poturbowany, drugi zaś o mało co nie wypadł za burtę do wody.

–Gdzie jest bosman? Panie Watt, chciałbym obejrzeć te talie, jak już będą zamocowane. Przy tym bloku potrzebne będzie ucho z kauszą. Gdzie jest uprząż?

–Prawie gotowa, sir – wysapał spocony, zabiegany bosman. – Sam przygotowuję splot...

–Dobrze. – Jack skinął głową i ruszył szybko w stronę pokładu rufowego, nad którym wisiało już drugie działo, gotowe przebić się przez dno „Sophie”, gdyby pozwolono swobodnie działać sile grawitacji. – Myślę, że prosty szplajs nie powinien zająć bosmanowi okrętu wojennego zbyt wiele czasu. Niech ci ludzie biorą się do pracy, panie Lamb. To nie piknik. – Mówiąc te słowa, kapitan znów spojrzął na zegarek. – Panie Mowett... – zwrócił się do młodego, uśmiechniętego nawigatora. Twarz oficera natychmiast śmiertelnie spoważniała. – Panie Mowett, czy zna pan kawiarnię „U Joselito”?

–Tak, sir.

–Niech więc będzie pan tak uprzejmy, pójdzie tam i zapyta o doktora Maturina. Proszę mu przekazać moje uszanowanie i w moim imieniu powiadomić, że nie wrócimy dzisiaj do portu przed obiadem. Przyślę jednak po niego łódź dziś wieczorem. O dowolnej porze.

Rzeczywiście nie udało im się wrócić przed obiadem. Było to fizyczną niemożliwością, gdyż w porze obiadowej byli jeszcze w porcie. „Sophie” kołysała się majestatycznie po zatłoczonym basenie portowym, poruszana kilkoma długimi, ciężkimi wiosłami w stronę farwateru. Jedną z zalet małej jednostki, obsadzonej dużą liczbą ludzi, była możliwość wykonywania podobnych manewrów, niedostępnych dla wielkiego liniowca. Jack wolał, by „Sophie” na razie poruszała się tak powoli, niż by była holowana. Nie chciał też ryzykować halsowania w porcie pod żaglami z tą załogą. Jego ludzie byli dziś wyraźnie niespokojni. Zbyt nieoczekiwanie przyszło im zmienić stare nawyki i na dodatek musieli się pogodzić z obecnością na pokładzie sporej grupy rozpychających się łokciami obcych.

Gdy byli już w kanale, kapitan opłynął swój bryg dookoła łodzią i przyjrzał mu się uważnie ze wszystkich stron, rozważając równocześnie wszelkie zalety i wady odesłania na ląd kobiet. Nietrudno będzie znaleźć większość z nich, gdy cała załoga będzie na obiedzie. Nie chodziło tylko o lokalne dziewczęta, które zabawiały załogę dla własnej przyjemności i paru groszy. W grę wchodziły też stałe partnerki, nieomal żony niektórych marynarzy. Jeśli teraz odbędzie się pierwszy przegląd, następną kontrola, tuż przed ostatecznym wyjściem w morze, powinna wymieść okręt do czysta. Jack nie życzył sobie żadnych bab na pokładzie. Wiecznie powodowały kłopoty, więc i teraz można było spodziewać się problemów, tym bardziej że w załodze pojawili się nowi ludzie. Z drugiej strony wyczuwał na pokładzie pewien brak gorliwości, brak energii, wigoru – nie chciał, by ów nastrój przerodził się w posępną wrogość lub przygnębienie. Nie dzisiaj. Wiedział doskonale, jak konserwatywni są marynarze. Bez szemrania godzą się na najtrudniejsze warunki i ciężką pracę, nie wspominając o niebezpieczeństwie, pod warunkiem, iż są to okoliczności, do których

w jakiś sposób przywykli. W przeciwnym razie mogą nawet stać się agresywni. „Sophie” była głęboko zanurzona, odrobinę przegłębiona na dziób i lekko pochylona na lewą burtę. Byłoby znacznie lepiej, gdyby cały dodatkowy ciężar znalazł się głęboko poniżej linii wodnej. Tak czy inaczej, należało sprawdzić, jak okręt żegluje.

–Czy mam posłać ludzi na obiad, sir? – zapytał James Dillon, gdy Jack wrócił na pokład.

–Nie, panie Dillon. Musimy wykorzystać ten wiatr. Gdy minimy przylądek, będą mogli zejść na dół. Czy działa mają założone uprząże i są dobrze umocowane linami?

–Tak, sir.

–W takim razie postawimy żagle. W dryfie. Wszyscy do stawiania żagli!

Bosman zagwizdał sygnał i pobiegł na dziób. Rozległ się tupot wielu par nóg, gęsto przeplatany okrzykami.

–Nowi na dół! Ciszej tam! – Znów stopy zatupały po pokładzie. Wszyscy członkowie starej załogi stali już na swoich miejscach. Zapanowała martwa cisza. Z pokładu oddalonego o kabel „Genereux” czysto i wyraźnie słychać było czyjś głos:

–„Sophie” będzie stawiała żagle.

Bryg kołysał się lekko pośrodku kanału portowego. Przy prawej burcie kolejno przepływały statki, dalej widać było tonące w słońcu miasto. Bryza wiała z lewego trawersu, lekko z tyłu – północny wiatr – rufa okrętu powoli zataczała szerokie koło. Jack czekał przez chwilę i w odpowiednim momencie zawołał:

–Na maszty! – Gwizdki natychmiast powtórzyły rozkaz i wanty zapełniły się ludźmi, którzy wspinali się na górę z taką łatwością, jakby wchodzili na schody we własnym domu.

–Na reje! Rozsejzingować! – Znów gwizdki i marynarze weszli na reje. Błyskawicznie rozwiązywali sejzingi, linki, którymi zwinięty żagiel przywiązany był ciasno do rei. Po chwili znieruchomieli, trzymając w ramionach fałdy płótna.

–Żagle staw! Luzować gejtawy i gordingi! – I tym razem polecenie zostało powtórzone przez piszczałki bosmana i jego pomocników.

–Uwaga na szotach! Wybierać! Z życiem tam, na fokmaszcie! Z życiem! Szoty bramsla! Wziąć brasy! Wybierać... Dosyć! Można obłożyć!

„Sophie” pochylila się lekko, popychana kolejnymi delikatnymi szarpnięciami, które w końcu zlały się w jedno. Ruszyła. Wzdłuż burty zabulgotała przesuwająca się ku

rufie woda. Kapitan i porucznik wymienili spojrzenia. Nie było tak źle. Fokbramsel zajął trochę czasu – wszystko na skutek nieporozumienia co do tego, kto ma być traktowany jako „nowy”, i czy owo niechlubne miano dotyczy też członków starej załogi, którzy powrócili dzisiaj na okręt. Z tej przyczyny na rei trwała krótko gwałtowna, choć cicha, szarpanina. Szoty wybierane były w sposób raczej nie skoordynowany, lecz nie żalosny. W każdym razie nie było powodu, by mieli stać się pośmiewiskiem załóg innych okrętów wojennych znajdujących się w porcie. W dzisiejszym porannym zamieszaniu było przecież kilka chwil, w których tego należało się obawiać.

„Sophie” rozwinęła swe skrzydła bardziej jak spokojna gołębica niż drapieźny jastrząb. Nie było to jednak aż tak rażące, by jakieś doświadczone oko na brzegu mogło spojrzeć w jej stronę z dezaprobatą. Jeśli zaś chodzi o mieszkańców miasta, wyjścia w morze lub wejścia do portu rozmaitych statków i okrętów tak już im się znudziły, że zapewne spoglądali teraz na manewry brygu z zupełną obojętnością.

–Proszę mi wybaczyć, sir... – zwrócił się Stephen Maturin do stojącego na nabrzeżu człowieka w mundurze marynarki. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie znajduje się statek „Sophia”?

–Statek? Nie ma tu statku o takiej nazwie – rzekł oficer, odpowiadając na ukłon doktora. – Chyba że chodzi panu o królewski okręt wojenny, a raczej o slup „Sophie”?

–Bardzo możliwe, sir. Nikt nie jest chyba większym ignorantem niż ja, jeśli chodzi o morskie słownictwo. Jednostka, o której myślę, jest dowodzona przez kapitana Aubreya.

–Zgadza się. To slup z czternastoma działami na pokładzie. Stoi dokładnie przed panem, w jednej linii z tym małym białym domkiem na końcu cypla.

–Czy to ten okręt z trójkątnymi żaglami?

–Nie, to statek, polakra. Proszę spojrzeć bardziej w lewo

i znacznie dalej.

–Myśli pan o tamtym niskim handlowym dwumasztowcu?

–Tak. – Oficer roześmiał się. – Może rzeczywiście jest dość głęboko zanurzony, lecz to okręt wojenny. Zapewniam pana. Z tego, co widzę, zaraz będą stawiali żagle. Oczywiście. Właśnie postawili marsle: szoty już wybrane. Brasują reje. I teraz bramsle. Co tam się dzieje? Nic... Wszystko w porządku. Nie poszło im zbyt sprawnie, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. „Sophie” nigdy nie zadziwiła sprawnością załogi. Widzi pan? Ruszyła z miejsca. Wyjdzie z portu bez potrzeby

dotykania choćby jednego brasu.

–A więc wypływa w morze?

–Tak. Robi już teraz dobre trzy węzły. Może cztery...?

–Jestem panu niezwykle zobowiązany, sir – powiedział Stephen, unosząc kapelusz.

–Sługa szanownego pana... – Oficer odpowiedział podobnym gestem. Przez chwilę patrzył za oddalającym się Maturinem. „Chyba powinienem spytać tego człowieka, czy aby dobrze się czuje. Nie pomyślałem o tym. Na pewno teraz już z nim wszystko w porządku...” – pomyślał.

Stephen szedł wzdłuż nabrzeża. Postanowił dowiedzieć się, czy w tej chwili uda mu się dostać na „Sophie” w jakiś sposób na piechotę, czy też powinien wynająć łódź, by skorzystać z zaproszenia na posiłek. Rozmowa z panem Floreyem rozwiązała wszelkie wątpliwości. Wynikało z niej, iż nie tylko propozycja wspólnego obiadu była jak najbardziej godna uwagi. Również znacznie bardziej istotna oferta, przedstawiona przez kapitana Aubreya, zasługiwała na to, by potraktować ją poważnie. Pan Florey okazał się niezwykle uprzejmy. Bardziej niż uprzejmy. Wyjaśnił dokładnie zasady służby medycznej w Royal Navy i zabrał swego gościa do doktora Edwardesa, na pokład „Centaura”, gdzie mieli okazję przyjrzeć się interesującej amputacji. Rozmowa z kolegami po fachu całkowicie rozwiązała obawy Maturina co do braku odpowiednich kwalifikacji i doświadczenia chirurgicznego. Florey wypożyczył mu nawet kilka książek: *Libellus de Natura Scorbuti* Hulme'a, *Skuteczne środki* Linda i *Morską praktykę lekarską* Northcote'a. Na dodatek obiecał również pomoc w zdobyciu odpowiednich narzędzi, które powinny wystarczyć do czasu otrzymania oficjalnego przydziału do służby i pełnego kompletu wyposażenia:

–Przecież szczypcy, łyżeczki i noże chirurgiczne walają się po szpitalu tuzinami, nie wspominając o piłach i skrobakach do kości...

Maturin pozwolił, by oczekiwania i nadzieje całkowicie zawładnęły jego myślami. Emocje, jakich doznał na widok „Sophie”, jej białych żagli i głęboko zanurzonego kadłuba, uświadomiły mu, jak bardzo pragnie, by wszystko zakończyło się pomyślnie. Zauroczyła go perspektywa poznania nowych miejsc, nowych ludzi, nowego sposobu życia. Zależało mu również na nawiązaniu bliższej znajomości z człowiekiem, którego okręt zmierzał teraz szybko w stronę wyspy kwarantannowej, by już po chwili zniknąć za nią zupełnie.

Stephen wrócił do miasta. Był w szczególnym stanie ducha – doświadczył ostatnio tak wielu rozczarowań, iż nie wydawało się możliwe, by potrafił znieść gorzkość kolejnego niepowodzenia. Co więcej – zaangażował się w tę sprawę tak bardzo, że był bezbronny wobec możliwych przeciwności. Przechodził właśnie koło kawiarni „U

Joselito", próbując z największym wysiłkiem uruchomić swe ostatnie rezerwy duchowe i pozbierać się jakoś, gdy usłyszał głos za plecami:

–O! Jest tam, proszę go zawołać! Niech pan lepiej pobiegnie za nim. Na pewno uda się panu go dogonić.

Maturin nie był dzisiaj rano w kawiarni. Stał po prostu przed dość prozaicznym dylematem – zapłacić za filiżankę kawy czy za przejazd łodzią na okręt. Zdecydował się na to drugie i dlatego nie spotkał podchorążego, który ruszył teraz za nim biegiem.

–Pan doktor Maturin? – zapytał młody Mowett. Zapytał i znieruchomiał, porażony pełnym niechęci spojrzeniem człowieka, którego polecono mu odszukać. Na szczęście zdołał przekazać wiadomość od kapitana i z radością stwierdził, że twarz nieznanego przybrała znacznie bardziej przyjemny wyraz.

–Bardzo pan uprzejmy – podziękował Stephen z uśmiechem. – Jaka pora pańskim zdaniem byłaby najbardziej odpowiednia?

–Och, może około osiemnastej, sir? – zaproponował podchorąży ostrożnie.

–Dobrze. Wobec tego o osiemnastej będę czekał na nabrzeżu koło oberży „Pod Koroną” – postanowił doktor. – Bardzo jestem panu zobowiązany. Zadał pan sobie tak wiele trudu, aby mnie odnaleźć... – Ukłonili się sobie na pożegnanie. „Muszę pójść do szpitala i zaoferować panu Floreyowi pomoc” – myślał Stephen uradowany. – „Podobno ma jakiś skomplikowany przypadek złamania ręki powyżej łokcia, które wymagać będzie resekcji stawu. Już tak wiele dni minęło od chwili, gdy ostatni raz dane mi było piłować kości...” Uśmiechnął się na myśl o czekającym go zabiegu.

Przylądek Mola powoli przesunął się do tyłu za lewą burtą brygu. Wyszli z obszaru zawirowań – na przemian podmuchów i kompletnej ciszy – powodowanych przez wysoki, poprzecinany głębokimi dolinami brzeg po północnej stronie krętego wejścia do portu. Pchała ich teraz, z niemal jednostajną siłą, wiejąca z północnego wschodu tramontana. „Sophie”, z postawionym grotem, fokiem, pojedynczo zrefowanymi marslami i bramslami, szybko posuwała się w stronę Włoch.

–Proszę maksymalnie wyostrzyć – polecił Jack. – Jak ostro ona chodzi, panie Marshall? Ile rumbów na wiatr uda nam się pożeglować? Sześć?

–Wątpię... – Navigator pokręcił głową. – Jest dzisiaj trochę ociężała, przybyło spore obciążenie na dziobie.

Jack przejął ster. W chwili, gdy stawał za kołem, w żagle uderzył ostatni silny podmuch wiatru od strony wyspy. Okręt pochylił się lekko, wzdłuż zawietrznej burty pojawił się biały warkocz piany. Powiew zerwał z jego głowy kapelusz, unosząc

długie jasne włosy wysoko ku południowemu zachodowi. Pierwszy nawigator rzucił się w pogoń za nakryciem głowy dowódcy. Wyrwał z rąk marynarza wyjęty z siatki na hamaki kapelusz i starannie wytarł chusteczką kokardę. Stał teraz u boku Jacka, trzymając w obu dłoniach swą zdobycz.

–Nasz złotowłosy kapitan wyraźnie wpadł w oko Sodomie i Gomorze – mruknął John Lane, marynarz z wachty żaglowej fokmasztu, do swego kolegi Thomasa Grossa. Thomas mrugnął okiem i znacząco poruszył głową. Potwierdzał tylko fakt, nie osądzając nikogo.

–No cóż, miejmy nadzieję, że to się na nas nie skrupi... – odpowiedział.

Jack, czekając, aż podmuch ustanie, pozwolił „Sophie” odpaść nieco od wiatru. Wracał teraz na poprzedni kurs, pewnie kręcąc kołem. Poprzez spoczywające na szprychach dłonie poczuł wreszcie ową niezwykłą wibrację, niepowtarzalny rytm nałożony na skrzypienie kadłuba i takielunku – coś pośredniego między dźwiękiem a drżeniem. Dusza brygu obudziła się nagle i między człowiekiem a okrętem wytworzyła się szczególna więź, tak jakby ster w cudowny sposób stał się przedłużeniem rąk, częścią ludzkiego ciała. „Sophie” zareagowała na manewr szybciej i trochę bardziej nerwowo, niż Jack się spodziewał. Wszyscy na pokładzie patrzyli teraz w górę i do przodu. Wreszcie, pomimo wybranej jak struna buliny, fokbramsel załopotał lekko. Aubrey zerknął na kompas.

–Nieźle – rzekł z satysfakcją. – Tak trzymać! – polecił sternikowi i wydał od dawna oczekiwany rozkaz, by zagwizdano na obiad.

„Sophie” żeglowała maksymalnie ostrym lewym halsem w stronę odległych i ustronnych wód, gdzie wystrzały z dwunastofuntowych dział nie mogły narobić żadnych szkód i gdzie jakakolwiek katastrofa pozostałaby nie zauważona. Mile przebytej drogi układały się za rufą okrętu w równą wstęgę kilwateru. Dowódca brygu z zadowoleniem przyglądał się temu prostemu jak strzała śladowi przez okno swego salonu. Dryf był bardzo niewielki, a ster musiał spoczywać w dobrych i pewnych rękach. Jack jadł obiad w pojedynkę: spartański posiłek, rozgotowane w kapuście mięso koźlęcia. Dopiero teraz sobie uświadomił, że nie ma się z kim podzielić niezliczonymi, wypełniającymi głowę spostrzeżeniami. Był to dla niego pierwszy normalny kapitański obiad i niewiele brakowało, a zażartowałby sobie z tego faktu w obecności stewarda. W ostatniej chwili, pomimo tak dobrego nastroju, ugryzł się jednak w język. Nie wolno. „Za jakiś czas się do tego przyzwyczaję” – pomyślał i z przyjemnością spojrzął znów na morze.

Nowe działa nie okazały się dobrym nabytkiem. Nawet przy zmniejszonym o połowę ładunku armata dziobowa miała stanowczo zbyt silny odrzut. Już po trzecim wystrzale cieśla wybiegł na pokład tak blady i wzburzony, iż dyscyplina na okręcie niemal legła w gruzach.

–Niech pan tego nie robi, sir! – zawołał, zakrywając dłonią panewkę lufy działa. – Gdyby tylko mógł pan widzieć te wiązania i wręgi. Pęknięcia pojawiły się już w pięciu miejscach. Boże, Boże... – Zrozpaczony rzucił się do pierścieni mocujących uprząż lawety do pokładu. – Tutaj... Wiedziałem. Do połowy wyrwane. To stare drewno jest w tym miejscu miękkie jak masło. Tom, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

–Nie wiedziałem... – odpowiedział marynarz, zwieszając głowę.

–Nic z tego nie będzie, sir! – wykrzyknął cieśla. – To się nie uda! Nie ma mowy! Nie z takimi wręgami! Nie z takim pokładem!

Jack poczuł narastające wzburzenie. Ta rozgrywająca się na zatłoczonym forkasztelu scena była wręcz absurdalna: roztrzęsiony cieśla, na czworakach sprawdzający spojenia i zwracający się do kapitana w sposób, który trudno uznać za odpowiedni. Z drugiej strony nie mógł przeciwstawić się spontanicznej i absolutnej szczerości tego człowieka, zwłaszcza iż po cichu się z nim zgadzał. „Sophie” nie była w stanie wytrzymać potwornej siły, z jaką po wystrzale ta ogromna masa metalu odrzucana była w tył i z głośnym trzaskiem napinanych lin powstrzymywana uprzężą. Dla tak małego brygu było to stanowczo zbyt wiele. Ponadto należało szczerze przyznać, że obie dodatkowe armaty zajmowały wraz z osprzętem tak wiele cennego miejsca, że normalna obsługa okrętu stawała się prawie niemożliwa. Pozostawała więc tylko gorycz rozczarowania: dwunastofuntowe kule mogły razić cele odległe o pięćset jardów, potrafiły zasypać pokład nieprzyjacielskiego okrętu gradem śmiercionośnych odłamków, zerwać reję i poczynić ogromne spustoszenia. Czterofuntówka tymczasem, z jakiegokolwiek dystansu...

–Jeśli teraz wystrzeli pan jeszcze z tego drugiego działa – mówił pan Lamb z desperacką odwagą, wciąż na czworakach – nic nie wyjdzie z wizyty tego pańskiego gościa, tak nadwerężone są już wiązania pokładu rufowego...

William Jevons, pomocnik cieśli, wyszedł spod pokładu i zameldował cicho:

–Stopa wody w zężach. – Wypowiedziane szeptem słowa można było z powodzeniem usłyszeć nawet na topie masztu.

Cieśla Lamb wstał, włożył na głowę kapelusz i salutując, powtórzył:

–Stopa wody w zężach, sir.

–Bardzo dobrze, panie Lamb. Wypompujemy ją – powiedział Jack miękko. – Panie Day... – zwrócił się do artylerzysty, który wyczołgał się na pokład, by być świadkiem strzelania z dwunastofuntówek (wyszedłby i z grobu, gdyby akurat w nim leżał). – Panie Day, proszę ustawić na miejscu i zamocować działa. Bosman, obsadzić pompę zężową.

Z żalem poklepał rozgrzaną lufę i poszedł na rufę. Nie przejmował się zbyt wodą wewnątrz kadłuba. Drewniane poszycie zawsze odrobinę przecieka, jest to naturalne, ponadto „Sophie” żeglowała dziś dość dziarsko i od czasu do czasu fala dostawała się na pokład. Zmartwiły go jednak działa. Naprawdę zmartwiły. Z coraz większą troską patrzył też na grotreję.

–Powinniśmy teraz zrzucić bramsle, panie Dillon – zauważył, biorąc do ręki tabliczkę kursową. Był to odruchowy gest, gdyż Jack i bez tego doskonale wiedział, gdzie się znajdują. Dzięki jakiemuś zmysłowi, który z czasem rozwija się u ludzi morza, bezbłędnie wyczuwał za swymi plecami, z lewej strony, obecność skrytego za horyzontem lądu. Żeglowali wytrwale pod wiatr. Równomiernie rozmieszczone na tabliczce kołeczki układały się na przemian w kursy east-north-east i west-north-west: wykonali do tej pory pięć zwrotów przez sztag i jeden przez rufę. „Sophie” nie była tak szybka w kursach na wiatr, jak początkowo mu się zdawało. Płynęli teraz z prędkością siedmiu węzłów. Te dane wystarczyły, by umysł kapitana dokonał błyskawicznych obliczeń. Wynik był gotowy natychmiast: „Pozostań na tym kursie przez pół godziny, potem żegluj niemal dokładnie z wiatrem, a bezbłędnie trafisz z powrotem do portu”.

–Proszę podbrasować żagle – polecił zdecydowanym głosem. – Zostaniemy na tym kursie jeszcze przez pół godziny... – dodał, schodząc pod pokład. Zamierzał zająć się papierkową robotą – w kabinie czekały na niego stosy różnego rodzaju dokumentów. Nie tylko rachunki, zamówienia, spisy inwentarza i księgi wypłat. Był tam też dziennik okrętowy „Sophie”, który mógł wiele powiedzieć o historii brygu; cennym źródłem informacji o służących na okręcie ludziach była na pewno księga zaciągu załogi. Jack przewracał powoli strony dziennika:

22 września 1799, niedziela. Wiatr NW, WS. Kurs N40W, przebyta odległość: 49 mil, pozycja: 37°59'N 9°38'W, przylądek St Vincent S27E 64 mile. Po południu świeża bryza i szkwały z deszczem. Żagle stawiane i refowane odpowiednio do warunków pogodowych. Rano gwałtowny wiatr, o godz. 4 zrzucano grota, o godz. 6 zauważono żagiel na horyzoncie, o godz. 8 wiatr osłabł, postawiono i zrefowano grota,

o godz. 9 sprawdzono wykrytą wcześniej jednostkę: szwedzki bryg zmierzający pod balastem do Barcelony. W południe bezwietrznie, kursy zmienne.

Całe tuziny zapisków z podobnych patroli i rejsów w ochronie konwojów. Zwykle, monotonne, codzienne obowiązki, z których składa się ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent służby na morzu albo i więcej:

Ludzie zatrudnieni przy różnych pracach, odczytano przepisy prawa wojennego: „Articles of War”... konwój w pobliżu pod bramsłami i podwójnie zrefowanymi marsłami. O godz. 6 wymieniono sygnały rozpoznawcze z dwoma okrętami liniowymi. Postawione wszystkie żagle, cała załoga zatrudniona przy sprzątanii

i wyrzucaniu za burtę śmieci... halsowanie pod potrójnie zrefowanym grotmarslem... prawie bezwietrznie... wyprano hamaki. Przeprowadzono zbiórkę załogi. Odczytano „Articles of War”, następujący marynarze zostali ukarani: Joseph Wood, Jno. Lakey, Matt. Johnson i Wm. Musgrave - dwanaście batów za pijaństwo... Po południu wiatr słaby, zamglenia, wyłożono wiosła i opuszczono łodzie, by oddalić się od brzegu. O wpół do szóstej postój na kotwicy prądowej: półwysep Mola S6W odległość 15 mil. O wpół do ósmej nagły podmuch silnego wiatru, w obawie o bezpieczeństwo okrętu odcięto linę kotwiczną, postawiono żagle... odczytano „Articles of War” i odprawiono nabożeństwo... ukarani: Geo. Sennet dwadzieścia batów za obrazę... Fra. Bechell, Robt. Wilkinson i Joseph Wood za pijaństwo...

Takie i wiele podobnych zapisów: sporo chłosty, lecz bez niepotrzebnego okrucieństwa, bez wymierzania komukolwiek stu batów. Zaprzeczało to wcześniejszym podejrzeniom Jacka, iż na „Sophie” nie troszczono się specjalnie o dyscyplinę. Postanowił zainteresować się dokładnie tą sprawą. Teraz przyszła kolej na księgę zaciągu załogi:

Geo. Williams, marynarz, urodzony w Bengalu, zgłosił się na ochotnika w Lizbonie 24 sierpnia 1797, zdezerterował 27 marca 1798 w Lizbonie. Fortunato Carneglia, podchorąży, lat 21, urodzony w Genui, zwolniony 1 czerwca 1797 na podstawie pisemnego rozkazu wiceadmirała Nelsona. Saml. Wilsea, starszy marynarz, urodzony na Long Island, zgłosił się na ochotnika w Porto 10 października 1797, zdezerterował 8 lutego 1799 w Lizbonie, wyskoczył z łodzi. Patrick Wade, poborowy, lat 21, urodzony w hrabstwie Fermanagh, wcielony siłą 20 listopada 1796 w Porto Ferraio, przeniesiony 11 listopada 1799 na „Bulldoga” na podstawie rozkazu kapitana Darleya. Richard Sutton, porucznik, zamustrował 31 grudnia 1796 na podstawie rozkazu admirała Nelsona, skreślony z listy martwy 2 lutego 1798, zginął w walce z francuskimi piratami. Richard William Baldick, porucznik, zamustrował 28 lutego 1798, przeniesiony z okrętu „Earl St Vincent”, zwolniony 18 kwietnia 1800, rozkazem Lorda Keith przeniesiony na „Pallas”.

W kolumnie „Ubrania zmarłych” przy ostatnim nazwisku widniała suma ośmiu funtów, dziesięciu szylingów i sześciu pensów, zapewne rzeczy biednego Suttona zostały zlicytowane pod grotmasztem.

Jack nie mógł się skoncentrować na starannie podzielonych rubrykami stronicach. Jego wzrok wciąż uciekał bezwiednie ku lśniącej, ciemnobłękitnej tafli morza, znacznie ciemniejszej niż niebo i poznaczonej gdzieniegdzie białymi plamami piany. Zamknął w końcu księgę i pozwolił sobie na luksus bezmyślnego wpatrywania się w horyzont. „Gdybym chciał, mógłbym teraz na przykład pójść spać” – pomyślał i rozejrzał się dookoła, ciesząc się samotnością, jednym z najrzadszych luksusów na okręcie. Jako porucznik na „Leanderze” czy na innych większych jednostkach mógł oczywiście patrzeć do woli przez okna mesy oficerskiej. Nigdy jednak nie był

zupełnie sam, z dala od jakiegokolwiek ludzkiej działalności czy obecności. Teraz mógł pozwolić sobie nawet na dłuższą chwilę w odosobnieniu, lecz kłębiące się w głowie myśli gnały zbyt prędko. Potrzebował czegoś zupełnie przeciwnego, chciał być z ludźmi. Dlatego wyszedł na pokład, gdy tylko dzwon okrętowy wybił cztery szklanki.

Dillon stał z pierwszym nawigatorem przy mosiężnej czterofuntówce na prawej burcie. Rozmawiali na temat jakiegoś szczegółu upręży działa, widocznego tylko z tamtego miejsca. Gdy Jack pojawił się na rufie, obaj oficerowie zgodnie ze zwyczajem przeszli na lewą burtę, pozostawiając pokład kapitański wyłącznie do jego dyspozycji. W podobnej sytuacji znalazł się po raz pierwszy w życiu. Nie spodziewał się tego zupełnie, nie pomyślał o tym i ów dowód szacunku przyjemnie go zaskoczył. Z drugiej strony stracił szansę na towarzystwo. Gdyby chciał porozmawiać, musiałby zawołać Dillona. Przeszedł kilka razy tam i z powrotem, patrząc na reje. Były zbrasowane tak mocno, jak tylko pozwalały na to wanty fokmasztu. Nie tak mocno jednak, jak mogłoby to być w idealnym świecie. Zanotował szybko w pamięci, iż musi zlecić bosmanowi drobną zmianę w olinowaniu. Powinni w ten sposób zyskać jakieś dwa, trzy stopnie.

–Panie Dillon! – zawołał. – Proszę odpaść od wiatru i postawić rejowego grota. Kurs na południe do zachodu pół na południe.

–Tak jest, sir. Czy zrefować podwójnie?

–Nie, panie Dillon, proszę nie refować – odparł z uśmiechem i znów rozpoczął wędrówkę tam i z powrotem po pokładzie rufówki. Dookoła padały rozkazy, słychać było gwizdki bosmana i tupot nóg. Spacerujący Jack patrzył na to z dystansem, z boku. Było to raczej dziwne, gdyż serce łomotało mu z emocji.

„Sophie” powoli odpadała od wiatru.

–Tak trzymać! – polecił sternikowi pierwszy nawigator. Wiatr wiał teraz z rufy. Gaflowy grotżagiel stał się na krótko roztrzepotaną chmurą, która szybko zamieniła się w równo ułożone na drzewcu fałdy płótna. Nieomal w tej samej chwili pojawił się grot rejowy, przez kilka sekund łopoczący, wydymany wiatrem jak balon, potem przywołany do porządku i opanowany wybieranymi ku rufie szotami. „Sophie” ruszyła gwałtownie do przodu. Do chwili, gdy Dillon podał komendę „Obkładać!”, prędkość brygu wzrosła o dobre dwa węzły. Dziób zanurzył się głębiej, rufa wyszła z wody. Okręt przypominał konia wierzchowego, zaskoczonego temperamentem jeźdźca. Może naprawdę był zaskoczony? Dillon posłał na ster dodatkowego człowieka w razie, gdyby zaszła niespodziewana zmiana kierunku lub siły wiatru. Grot rejowy był naprężony do granic wytrzymałości.

–Proszę wezwać żaglomistrza – rozkazał kapitan. – Panie Henry, czy może pan zwiększyć powierzchnię tego żagla? Może udałoby się doszyć do lików dodatkowe

bryty.

–Raczej nie – odpowiedział żaglomistrz z przekonaniem. – Nie przy takiej rei. Widzi pan, jak wybrzuszone jest płótno? Przypomina bardziej pęcherz wieprza niż żagiel, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Aubrey podszedł do relingu i spojrział na przesuwaną się wzdłuż burty wodę. Chrząknął i znów zaczął z uwagą wpatrywać się w grotreję: drewnianą belkę, długą na ponad trzydzieści stóp, zwężającą się od około siedmiu cali pośrodku, w pobliżu masztu, do trzech cali przy nokach – końcach.

„To raczej kurza grzęda niż reja” – pomyślał po raz chyba dwudziesty od chwili, w której zwrócił uwagę na to nieszczęsne drzewce. Obserwował uważnie, jak pracuje ono pod naporem wiatru. „Sophie” nie mogła posuwać się szybciej i wzrost prędkości nie mógł już równoważyć sił działających na żagiel. Reja ugięła się i Jack mógłby przysiąc, że usłyszał, jak jęknęła z wysiłku. Najmocniej wyginały się oczywiście jej końce, do których mocowane były brasy, lecz drzewce było wyraźnie skrzywione na całej długości. Przyglądał się rei przez dłuższą chwilę, stojąc z założonymi na plecy rękoma. Również inni oficerowie obecni na rufie – Dillon, Marshall, Pullings oraz młody Ricketts – stali w napięciu, nie odzywając się ani słowem, i co chwila zerkali to na dowódcę, to na żagiel. Nie tylko oni z niepokojem oczekiwali na to, co się stanie. Wszyscy co bardziej doświadczeni marynarze na forkasztelu zachowywali się podobnie, obserwując ukradkiem na zmianę kapitana i grotreję. Na pokładzie panowała dziwna atmosfera. Płynęli teraz fordewindem, to znaczy, wiatr wiał niemal dokładnie z tyłu i jego śpiew w takielunku był bardzo słaby. Powolne kołysanie brygu również odbywało się bez żadnego dźwięku, chlapania, gdyż na morzu prawie nie było fali. Na to wszystko nakładały się wyciszone szepty ludzi, robiących wszystko, by nie było ich słychać. Pomimo to, czyjś głos doleciał z dziobu aż na rufę:

–Straci żagiel, jeśli dalej będzie postępował jak szaleniec. Jack nie usłyszał tych słów. Nie zdawał sobie sprawy z narastającego wokół niego napięcia. Zbyt mocno zajmowały go przeprowadzane w myśli kalkulacje. Nie były to obliczenia matematyczne, raczej próba realnej oceny sytuacji. Rachował swe szanse podobnie jak jeździec na nie znanym sobie koniu, szykujący się do pierwszego skoku przez wysoką przeszkodę.

Zszedł w końcu na dół, do kabiny. Przez chwilę patrzył przez okno na horyzont i zerknął na mapę. Z prawej burty powinni wkrótce mijać przylądek Mola. Wiatr na linii brzegu z pewnością przybierze nieco na sile. Aubrey zagwizdał bardzo cichutko *Deh vieni* i pomyślał: „Jeśli odniosę sukces, jeśli mi się powiedzie i zarobię mnóstwo pieniędzy... Kilkaset gwinei... Pierwsze, co powinienem zrobić po wypłacie, to pojechać do Wiednia, do opery”.

Do drzwi zapukał James Dillon.

–Wiatr się wzmacnia, sir – powiedział, wchodząc. – Czy zrzucić grota lub przynajmniej go zrefować?

–Nie, nie, panie Dillon – odparł Jack z uśmiechem. Zreflektował się jednak, że nie wypadało mu stawiać swego porucznika w trudnej sytuacji. Dodał więc szybko: – Za dwie minuty będę na górze.

Wyszedł na pokład wcześniej, już po niecałej minucie, w samą porę, by usłyszeć złowieszczy trzask łamiącego się drewna.

–Puścić szoty! – zawołał. – Obsadzić talie grotrei! Gejtawy marsła! Luzować topenanty! Opuszczać! Z życiem tam, żwawo!

Pracowali żwawo: reja była stosunkowo mała i szybko znalazła się na dole. Wkrótce żagiel był zdjęty, wszystkie liny zostały sklarowane, gołe drzewce leżało na pokładzie.

–Beznadziejne pęknięcie pośrodku, sir – powiedział cieśla ze smutkiem. Miał dzisiaj paskudny dzień. – Mogę spróbować to naprawić, ale ta reja chyba do niczego już się nie nada.

Jack skinął głową. Na jego twarzy nie malowały się żadne emocje bądź uczucia. Podszedł do relingu, postawił stopę na poręczy i wspiął się na kilka pierwszych wyblinek want grotmasztu. „Sophie” uniosła się na fali. W oddali, przed prawym trawersem, widać było ciemny zarys półwyspu Mola.

–Musimy lepiej prowadzić obserwację – zauważył, schodząc. – Proszę skierować okręt do portu, panie Dillon. Gaflowy grot i wszystkie inne żagle, jakie można postawić. Nie mamy ani chwili do stracenia.

Czterdzieści pięć minut później „Sophie” stała już na swoim miejscu w porcie. Jej kuter był na wodzie, zanim znieruchomiła zupełnie. Złamana reja pływała tuż obok. Łódź ruszyła pośpiesznie w stronę nabrzeża, holując za sobą uszkodzone drzewce, które z daleka wyglądało jak jej olbrzymi ogon.

–Patrzcie, jaki zadowolony – rzekł wioślarz siedzący na dziobie, gdy Jack wbiegał po stopniach na brzeg. – Po raz pierwszy od chwili objęcia dowództwa wraca z morza i proszę: wprowadza „Sophie” do portu z połamanymi rejami. Wręgi popękane, pół załogi pompuje zęzy z całych sił, wszyscy spędzili calutki Boży dzień na pokładzie, bez chwili przerwy nawet, by zapalić fajkę. On tymczasem wbiega sobie na schody, radośnie uśmiechnięty, jakby tam na górze sam król Jerzy miał go za chwilę pasować na rycerza.

–I tak mało było czasu na obiad. Jak nigdy – odezwał się cichy głos ze środka łodzi.

–Cisza! – zawołał pan Babbington z największym oburzeniem, na jakie potrafił się zdobyć.

–Panie Brown... – Jack mówił z poważną miną. – Tylko pan może mi pomóc. Moja grotreja pękła w beznadziejny sposób, a dziś wieczorem muszę wyjść w morze - „Fanny” stoi już w porcie. Dlatego chciałbym prosić pana, by spisał pan tę nieszczęsną reję na straty i wydał mi na jej miejsce inną. Och, niech pan nie będzie aż taki wstrząśnięty... – dodał przymilnie, biorąc pana Browna za ramię i prowadząc w stronę kutra. – Zwracam też panu dwa działa dwunastofuntowe. Z tego, co mi wiadomo, artyleria znajduje się teraz pod pańskim nadzorem... Po prostu obawiam się, że mój bryg byłby trochę przeciążony.

–Oczywiście, chętnie służę panu pomocą – powiedział pan Brown, oglądając złamaną reję. Załoga kutra trzymała w górze wyjęte z wody do przeglądu drzewce. – Nie mam jednak nic aż tak małego.

–Ależ sir, zapomina pan o „Genereux”. Na tym okręcie były aż trzy zapasowe fokbramreje... I mnóstwo innych. Chyba pan pierwszy przyzna, że mam moralne prawo do jednej z nich.

–No cóż. Może pan spróbować, jeśli pan chce. Proszę wybrać coś odpowiedniego i przymierzyć do masztu. Zobaczymy, jak to będzie wyglądać, ale niczego nie obiecuję.

–Moi ludzie wezmą nową reję. Pamiętam, gdzie one leżą. Panie Babbington, proszę wybrać czterech ludzi i pójść ze mną. Dalej, żywo.

–To tylko próba, kapitanie Aubrey! – zawołał za nimi Brown. – Popatrzę z brzegu, jak to będzie wyglądać.

–To jest prawdziwa reja – rzekł cieśla Lamb, spoglądając z czułością na długie drzewce pływające przy burcie „Sophie”. – Ani jednego sęku, jakie prościutkie słoje. Francuska, jak mi się zdaje. Tak na oko ze czterdzieści trzy stopy długości. Przynajmniej... Na takiej rei rzeczywiście można porządnie postawić żagiel!

–Tak, tak – zgodził się Jack niecierpliwie. – Czy ta cuma jest już założona na kabestan?

–Obłożona, sir – padła odpowiedź.

–A więc wybierać!

Koniec grubej liny został uwiązany do środka rei, następnie ułożoną wzdłuż aż do

prawego noku cumę w sześciu miejscach przywiązano do drzewca stoperami – pokrętkami rozplecionych lin. Od rei cuma biegła przez blok na topie masztu i blok na pokładzie do kabestanu. W miarę jego obrotów ciężkie drzewce powoli uniosło się z wody i zawisło prawie pionowo. Po chwili znalazło się nad pokładem, ostrożnie przeprowadzone przez olinowanie.

–Przeciąć zewnętrzny stoper – polecił kapitan. Kawalek sznura spadł na dół i reja pochyliła się trochę, podtrzymywana teraz nieco bliżej środka. W miarę jej podnoszenia usuwano kolejne stopery, aż w końcu zawisła na swoim miejscu, prostopadle do pokładu.

–Nic z tego nie będzie, kapitanie Aubrey! – wołał Brown z brzegu przez tubę. – Jest za duża i nie utrzyma jej pan na maszcie! Musi pan ją skrócić i o połowę zwęzić jej końce!

Rzeczywiście, wisząca na maszcie naga reja wydawała się nieco za długa. Przypominała ramię olbrzymiej wagi.

–Przywiązać renery – rozkazał Jack. – Nie w tym miejscu, dalej. Zdjąć ze środka cumę i opuszczać powoli. – Reja znalazła się na dole i cieśla popędził po swoje narzędzia.

–Panie Watt... – rzekł Aubrey do bosmana. – Niech pan zamocuje sztendry brasów, dobrze?

Bosman otworzył usta, zamknął je i powoli wziął się do pracy. Na każdym normalnym okręcie sztendry brasów mocowano do rei dopiero po założeniu prowadnic szotów, szelek perty i podwężzi topenanty. Przede wszystkim należało najpierw odpowiednio przygotować końce drzewca, zwęzić je, tak by powstał kołnierz zapobiegający przesuwaniu się tego wszystkiego do środka rei. Cieśla tymczasem pojawił się na pokładzie z piłą i miarą.

–Czy ma pan tutaj strug, panie Lamb? – zapytał Jack.

–Pański pomocnik go panu przyniesie. Niech pan zdejmie okucia z bomu sterżagla i dopasuje do nich te końce. – Cieśla, w pierwszej chwili zaskoczony poleceniem kapitana, zrozumiał w końcu, o co chodzi. Na pokład posypały się wióry.

–Dosyć – odezwał się Aubrey, gdy świecące białym drewnem końce rei miały już odpowiednią średnicę. – Podnieście ją teraz z powrotem, brasując tak, by przez cały czas była ustawiona prostopadle do nabrzeża. Panie Dillon, zejdę na ląd. Proszę zdać działa na nabrzeże artyleryjskie i czekać na mnie w pogotowiu na kanale. Musimy wyjść w morze przed wieczornym wystrzałem. I jeszcze coś. Panie Dillon, wszystkie kobiety mają zostać odesłane na ląd.

–Wszystkie bez wyjątku, sir?

–Wszystkie dziwki. Prostytutki są dobre w porcie, w morzu nie ma dla nich miejsca na okręcie... – Kapitan przerwał, zszedł do swej kabiny i po dwóch minutach wrócił na pokład, wkładając do kieszeni kopertę. – Jeszcze raz do stoczni! – zawołał, schodząc do łodzi.

–Zobaczy pan, że słusznie pan zrobił, słuchając mojej rady – rzekł pan Brown, witając Jacka na schodkach nabrzeża. – Pierwszy silniejszy powiew wiatru zabrałby panu tę reję razem z żaglem.

–Czy może mi pan teraz dać swoje duety, sir? – zapytał Aubrey wyraźnie dręczony wyrzutami sumienia. – Właśnie wybieram się po mego przyjaciela, o którym panu wspominałem. To wielki muzyk. Przedstawię go panu, gdy następnym razem będziemy w Mahon. Również pani Brown koniecznie powinna go poznać.

–Będzie to dla nas prawdziwy zaszczyt. – Pan Brown uklonił się z uśmiechem.

–Teraz do oberży „Pod Koroną”. Z życiem, pokażcie, na co was stać! – wydusił z siebie Jack, zdyszany. Wrócił do łodzi truchtem, z nutami pod pachą. Jak większość żeglarzy był raczej otyły i łatwo pocił się na lądzie. – Dokładnie sześć minut – spoglądając na zegarek, pochwalił wioślarzy, gdy łódź przybiła do pomostu. – Jest pan, doktorze. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan dzisiejsze popołudnie. Tak się jakoś wszystko niefortunnie złożyło. Shannahan, Bussell, wy dwaj chodźcie ze mną. Reszta zostaje w łodzi. Panie Ricketts, niech pan lepiej trzyma się ze dwadzieścia jardów od brzegu, żeby ich nie kusilo. Czy zechce mi pan towarzyszyć, doktorze? Chciałbym kupić trochę rzeczy. Nie miałem dziś czasu, by posłać po cokolwiek lepszego niż kawałek szynki i butelka wina. Obawiam się, że przez większą część rejsu będzie nam musiało wystarczyć byle co: solona konina i suchary – nasze marynarskie ciasteczka – popłukane wodnistym grogiem. Możemy jednak odświeżyć zapasy w Cagliari. Czy chce pan, żeby marynarz zaniósł pańskie rzeczy do łodzi? Tak przy okazji... – Aubrey zawiesił głos. Szli razem wąską ulicą, a dwaj marynarze podążali za nimi, nieco z tyłu. – Zanim zapomnę...

We flocie, z chwilą zatrudnienia kogokolwiek, zwykle wypłaca mu się zaliczkę na poczet przyszłej wypłaty. Pomyślałem, że nie zechce się pan wyróżniać w tej kwestii i włożyłem do tej oto koperty kilka gwinei...

–Cóż za ludzki przepis – zdziwił się Maturin. – Czy często się z niego korzysta?

–Stale. To stary morski zwyczaj.

–W takim razie – powiedział Stephen, przyjmując kopertę – nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się temu podporządkować. Oczywiście, że nie chcę się wyróżniać. Jestem panu bardzo zobowiązany. Może rzeczywiście skorzystam z pomocy jednego

z pańskich ludzi. Wiolonczela to dość duży i nieporęczny przedmiot. Oprócz tego mam jeszcze tylko mały kuferek i trochę książek.

–Wobec tego spotkajmy się piętnaście po siódmej, na schodkach – zaproponował Jack. – Błagam pana, doktorze, niech pan się szybko uwinie, bo bardzo nam się śpieszy. Shannahan, zajmiesz się bagażem doktora. Bussell, ty pójdziesz ze mną.

Zegar wybił właśnie kwadrans i ostatnie uderzenie zawisło w powietrzu, oczekując jakby na nadejście połowy godziny. Jack wydawał polecenia.

–Proszę położyć kuferek tu z przodu. Panie Ricketts, niech pan usiądzie teraz na kuferku. Doktorze, pan niech siada tutaj i opiekuje się wiolonczelą. Świetnie. Ruszamy. Obie naprzód i nie chlapać.

Po chwili łódź dotarła do „Sophie”. Rzeczy doktora razem z ich właścicielem powędrowały przez lewą burtę na pokład. Chodziło o to, by bez zbędnych ceremonii Maturin bezpiecznie znalazł się na okręcie. Marynarze mieli bardzo niskie mniemanie o szcurach lądowych i woleli, by doktor nie wspinał się sam nawet na niziutką burtę brygu. Jack zaprowadził swego gościa do kabiny.

–Proszę uważać na głowę – ostrzegł. – To niewielkie pomieszczenie należy do pana. Proszę się tutaj rozlokować tak wygodnie, jak to możliwe. Myślę, że wybaczy mi pan skromne powitanie, ale muszę już wracać na górę.

Wyszedł na pokład i zapytał:

–Panie Dillon, czy wszystko w porządku?

–Wszystko w porządku, sir. Zgłosiło się dwanaście statków handlowych.

–Bardzo dobrze. Proszę wystrzelić dla nich z działa i postawić żagle. Wierzę, że uda nam się wyjść z portu na samych bramslach, jeśli utrzymają się resztki bryzy. Obyśmy tylko minęli przylądek, dalej brzeg nie będzie już nas zasłaniał. Może pan stawiać żagle. Potem wachty morskie. To był naprawdę długi dzień, prawda, panie Dillon?

–Bardzo długi, sir.

–W pewnym momencie pomyślałem, że chyba nigdy się nie skończy...

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy zabrzmiały dwie szklanki porannej wachty, „Sophie” żeglowała spokojnie na wschód, dokładnie wzdłuż trzydziestego dziewiątego równoleżnika. Wiatr wiał z trawersu, lekko od rufy, lecz płynący pod bramslami bryg pochylał się bardzo nieznacznie. Z powodzeniem mógłby nieść i bombramsle, gdyby wlokące się w bezładnej grupie na zawietrznej statki handlowe nie zmuszały do żeglugi w isticie ślimaczym tempie. Zapewne obawiały się, iż mogłyby przypadkowo zahaczyć o przecinane linie południków...

Niebo było wciąż szare i trudno było powiedzieć, czy jest zupełnie czyste czy pokryte wysoko chmurami. Morze miało już jednak ową szczególną, perłową barwę, bardziej kojarzącą się z dniem niż z nocą. Wybrzuszone powierzchnie marsli lśniły, jakby wypolerowane odbitym od wody światłem.

–Dzień dobry – odezwał się Jack do żołnierza piechoty morskiej pełniącego wartę u drzwi.

–Dzień dobry – odpowiedział żołnierz, salutując.

–Dzień dobry, panie Dillon.

–Dzień dobry, sir. – Porucznik dotknął kapelusza. Aubrey rozejrzał się dookoła, sprawdzając stan pogody

i ustawienie żagli. Przez chwilę ważył w myślach prawdopodobieństwo ładnego przedpołudnia. Po zaduchu panującym w kabinie z przyjemnością wdychał świeże, czyste powietrze. Podeszedł do relingu, stanął przy pustej o tej porze dnia siatce na hamaki i spojrzał w stronę eskortowanych jednostek. Wszystkie były na swoim miejscu, stłoczone na niewielkiej przestrzeni. To, co początkowo wziął za odległą latarnię rufową lub zaskakująco wielkie światło topowe, okazało się Saturnem, zawieszonym nisko nad horyzontem i zaplątanym w takielunek któregoś ze statków konwoju. Nieco dalej, po nawietrznej, kilka sennych mew kołysało się ociężale nad dziwnie pomarszczoną w tym miejscu wodą – ławica sardynek, sardeli lub małych garbatych makreli... Delikatne skrzypienie bloków, naprężone liny, wypełnione wiatrem żagle, pochylony pokład i zakrzywiona lekko linia dział – wszystko to sprawiło, że sercem Jacka zawładnęło dziwne uniesienie. Niewiele brakowało, a z radości podskoczyłby wysoko.

–Panie Dillon – powiedział, z trudem powstrzymując się, by nie uściskać swego porucznika. – Po śniadaniu przeprowadzimy zbiórkę załogi. Zastanowimy się też, jak ich zakwaterować i podzielić na wachty.

–Tak jest, sir. Na razie rzeczy nowych leżą przy szóstkach i siódmkach. Nie zostali

jeszcze rozlokowani.

–Przynajmniej mamy teraz na pokładzie sporą liczbę ludzi. Możemy bez trudu prowadzić walkę równocześnie na obu burtach, na co niewiele okrętów liniowych może sobie pozwolić... Jednakże ci nowi przysłani z „Burforda” nie bardzo mi się podobają. Dziwnie wielu wśród nich to ludzie Lorda Majora. Nie ma chyba między nimi nikogo z załogi „Charlotte”.

–Jest jeden. Łysy, z czerwoną chustką dookoła szyi. Był w wachcie żaglowej fokmasztu. Wydaje się wciąż oszołomiony i ogłupiały.

–To rzeczywiście smutne... – Jack pokręcił głową.

–Tak – zgodził się James Dillon. Oczy porucznika patrzyły w próżnię. Znow ujrzał strzelający w niebo słup ognia, płonący od linii wodnej do szczytu masztów okręt liniowy pierwszej klasy, z ośmiuset ludźmi na pokładzie. – Odgłosy pożaru słycać było wtedy na milę lub więcej – zaczął opowiadać przyciszonym głosem. – Co jakiś czas olbrzymia płachta ognia ulatywała w górę, trzaskała i łopotała jak gigantyczna flaga. Pamiętam tamten poranek... Tak samo spokojny jak dzisiaj. Było może tylko odrobinę później...

–Rozumiem, że był pan w pobliżu? Czy wiadomo, co mogło być przyczyną pożaru? Ludzie mówią o jakiejś diabelskiej maszynie wniesionej na pokład przez opłaconych przez Boneya Włochów.

–Z tego, co słyszałem, pewien głupiec pozwolił, by siano składowano na półpokładzie, blisko ognia dla dział sygnałowych. Wszystko zapaliło się gwałtownie i od płomienia w mgnieniu oka zajął się cały grotżagiel. Pożar wybuchł tak nagle, że nie zdążyli podebrać gejtaw.

–Czy udało wam się uratować kogoś z załogi?

–Tak, kilku ludzi. Podjęliśmy z wody dwóch żołnierzy piechoty morskiej i artylerzystę z baterii rufowej, który był bardzo poparzony. Wyłowiono bardzo niewiele osób, trochę ponad sto. Tak mi się zdaje. To nie była zbyt udana akcja ratunkowa, z pewnością nie. Można było zdziałać znacznie więcej, lecz łodzie ratunkowe trzymały się z daleka.

–Wszyscy mieli na pewno w pamięci tragedię „Boyne'a”.

–Tak. To prawda. Działa „Charlotte” zaczęły strzelać, gdy dotarł do nich ogień. Wiadomo było, że prochownia w każdej chwili może wylecieć w powietrze. Zresztą... Wszyscy oficerowie, z którymi potem rozmawiałem, mówili dokładnie to samo: nie było nawet mowy o tym, by łodzie podpłynęły bliżej. Doświadczyłem tego samego z moją załogą. Dowodziłem wynajętym kutrem o nazwie „Dart”...

–Wiem, wiem, słyszałem – przerwał mu Jack, uśmiechając się znacząco.

–...Tak. Znajdowaliśmy się o trzy mile na zawietrznej i musieliśmy wiosłować, chcąc się tam zbliżyć. Nie było jednak sposobu, żeby zmusić ludzi do mocnego przyłożenia się do wiosł. Nie pomogłoby nawet bicie końcem liny. Co ciekawe: żaden z nich nie obawiał się ognia artyleryjskiego, wprost przeciwnie. Wszyscy byli doświadczeni i otrzaskani w boju, nawet chłopcy okrętowi. Potrafili dzielnie walczyć, zdobywać baterie brzegowe czy dokonywać abordażu. Działa „Charlotte” nie strzelały wcale do nas, tylko na chybił trafił, same. Na kutrze panował wtedy szczególny nastrój, zupełnie inny niż podczas najbardziej niebezpiecznego wypadu na ląd, we wstrętą, ciemną noc. Niewiele można zrobić, gdy załoga podświadomie odmawia współpracy.

–To prawda – przyznał Jack. – Nie można nikogo zmusić, by z oddaniem robił coś, na co nie ma ochoty lub z czym się nie zgadza. To naturalne. – Mógł kontynuować tę filozoficzną myśl i dodać, że trudno oczekiwać szczególnej gorliwości od marynarzy z załogi okrętu wojennego, wiecznie niewyspanych, pozbawionych kobiet. Nie pozwolił sobie na to jednak. Wiedział aż nazbyt dobrze, że tego rodzaju uwaga, wypowiedziana na pokładzie brygu o siedemdziesięciu ośmiu stopach i trzech calach długości, stawała się publicznym oświadczeniem. W zasięgu ręki znajdował się nawigator wydający komendy na ster i marynarz stojący za kołem sterowym. Oficer nawigacyjny odwrócił właśnie klepsydrę i pierwsze ziarenka piasku rozpoczęły monotonną wędrówkę w dół, do pustego naczynia, które przed chwilą pośpiesznie opuściły.

–George! – zawołał nawigator przyciszonym głosem (jak zwykle na nocnej wachcie) i pełniący służbę żołnierz piechoty morskiej poszedł prędko na dziób, by wybić trzy szklanki.

Nikt nie mógł mieć najmniejszej wątpliwości co do koloru nieba. Było idealnie błękitne, tylko na zachodzie wciąż jeszcze lekko szarawe.

Jack wszedł na reling nawietrznej burty, chwycił za wanty i sprawnie ruszył po wyblinkach w górę. „Kapitanowi nie bardzo wypada tak biegać po masztach” – pomyślał. Zatrzymał się pod marsem, by sprawdzić, jak dużo zyskać można przy brasowaniu rej, jeśli uda się nieco zmienić stałe olinowanie. „Chcąc wejść wyżej, powinienem chyba skorzystać z przełazu marsa...” – zastanawiał się przez chwilę. Od czasu wynalezienia owych umieszczanych na pewnej wysokości dookoła masztu platform, zwanych marsami, marynarze za punkt honoru uważali wchodzenie na nie dziwną i niebezpieczną drogą. Korzystali w tym celu z podwanteł łączących zewnętrzną krawędź platformy z umieszczonym poniżej na maszcie pierścieniem. Przyczepiali się do nich i wspinali po wyblinkach na górę jak muchy, odchyleni od pionu o dobre dwadzieścia pięć stopni. Na marsa wchodzili, przechodząc przez jego krawędź, zupełnie ignorując inną, znacznie wygodniejszą drogę. Wiodła ona właśnie przez znajdujący się tuż przy maszcie przełaz, do którego prowadziły schodzące się

tam warty. Był to prosty i wygodny sposób, by bez zbędnego ryzyka dostać się na górę. Jedyny problem polegał na tym, że to łatwe przejście nazywano *lubber's hole*, czyli "dziurą niedorajdy", i niemal nikt z niego nie korzystał. Wyjątek stanowili ludzie, którzy nigdy nie byli na morzu lub z racji swego dostojęstwa nie chcieli ryzykować niebezpiecznej wspinaczki po podwantkach. Dlatego, gdy kapitan wyszedł niespodziewanie z przełazu, obserwator pełniący wachtę na marsie głośno krzyknął z przerażenia.

–Och! Myślałem, że to duch! – zawołał po polsku.

–Jak się nazywasz, marynarzu? – zapytał kapitan życzliwie.

–Jackowski, sir – odpowiedział Polak.

–Patrz dalej uważnie na horyzont, Jackowski... – Aubrey wspinał się już szybko po stenwantach. Po chwili był na szczycie masztu. Przełożył ramię przez warty bramstengi i usadowił się wygodnie na salingu. Wiele godzin spędził kiedyś za karę w tym właśnie miejscu. Gdy wtedy go tu wysyłano, był tak małym chłopcem, iż mógł z łatwością usiąść na środkowej poprzeczce jarzma, spuścić nogi, pochylić się do przodu i zasnąć spokojnie, obejmując stengę masztu rękoma. Nie przeszkadzały mu szaleńcze ewolucje, jakie wraz z masztem wykonywał w przestworzach. Tak dobrze się tu wówczas spało. Jack stale był w tamtych dniach senny, głodny albo i jedno, i drugie. Oczywiście tamten saling znajdował się znacznie wyżej. Na starym „Tezeuszu” odległość od pokładu wynosiła około stu pięćdziesięciu stóp. Wysoko, prawie pod samym niebem. Jak tam kiwało! Kiedyś od tego zachorował, wysłany za karę na maszt. Cały obiad poleciał wtedy wysoko w powietrze. Także tutaj, na „Sophie” saling umieszczony był na dość znacznej wysokości. Osiemdziesiąt siedem stóp, odjąć zanurzenie, powiedzmy siedemdziesiąt pięć... To dawało zasięg obserwacji od dziesięciu do jedenastu mil. Jack spojrzał na nawietrzną, ponad ogromną połacią morza. W oddali nie było widać najmniejszego żagielka, najdrobniejszej choćby przerwy w równiutko zarysowanej linii horyzontu. Bramsel, tuż nad jego głową, niespodziewanie zaśnił złotem. Na widnokręgu, dwa rumbly na lewo od dziobu, wynurzył się z wody oślepiający rąbek słonecznej tarczy. Ciepłe, jaskrawe promienie przez chwilę świeciły tylko na niego, jakby był ich wybrańcem, potem powoli ześliznęły się na marsel i górny lik gaflowego grota, by po chwili zalać cały pokład, od dziobu do rufy. W oczach Jacka zakręciły się łzy. Przeszkadzały w patrzeniu, popłynęły po policzkach – nie jak maleńkie strumyczki, lecz każda oddzielnie: po dwie, po cztery, po sześć. Okrągłe krople, unoszone na zawietrzną i ginące gdzieś w jasnym i ciepłym powietrzu.

Schylił się, by spojrzeć pod dolnym likiem bramsla, i przez chwilę obserwował płynące w konwoju statki handlowe: dwie pinasy, dwa brygi, bałtycki ket i reszta barcalongi. Wszystkie jednostki były na swoim miejscu, ostatnia zaczynała stawiać dodatkowe żagle. Słońce mocno już przygrzewało i Jack przez chwilę zamarzył o

błogiej bezczynności.

„Nic z tego!” – skarcił sam siebie. Na dole czekało zbyt wiele nie załatwionych spraw i rzeczy do zrobienia. Wydmuchał nos i patrząc na wyładowanego drewnem keta, sięgnął ręką w stronę nawietrznego baksztagu. Dłoń zacisnęła się bezwiednie, tak odruchowo, jakby chwycił klamkę drzwi kabiny. Wprawnie i miękko zsunął się po linie wprost na pokład. „Najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli przydzielili się po jednym poborowym do obsady każdego z dział” – pomyślał, zjeżdżając.

Cztery szklanki. Mowett wybrał log, poczekał, aż czerwony znak przesunie się do rufy, i zawołał:

–Teraz!

–Stop! – krzyknął oficer nawigacyjny w dwadzieścia osiem sekund później. Tuż przy oku trzymał mały zegar piaskowy. Mowett zatrzymał linę, niemal dokładnie na trzecim węźle, wyjął zatyczkę i zbliżył się do tabliczki, by zapisać kredą prędkość: trzy węzły. Nawigator podszedł szybko do dużej klepsydry wachtowej, odwrócił ją i zawołał głośno:

–George!

Żołnierz piechoty morskiej ruszył na dziób i energicznie wybił cztery szklanki. W chwilę później rozpętało się piekło. Piekło w opinii Stephena Maturina, który po raz pierwszy w życiu otworzył oczy obudzony tak przeraźliwymi, pozbawionymi wszelkiej harmonii dźwiękami. To bosman i jego pomocnicy gwizdali na piszczałkach sygnał „Zwijać hamaki”. Rozległ się tupot stóp i jakiś niesamowity głos zawołał:

–Pobudka! Ahoj wszyscy. Wstawaj albo polecisz na dół! Wstawaj albo na dół! Obudź się! Dalej! Z życiem! Ruszać się! Pokaż nogę! Wstawaj albo na dół! Mam naprawdę ostry nóż!

Doktor usłyszał trzy głuchoe uderzenia o deski, gdy hamaki trzech zaspanych poborowych zostały bezceremonialnie odcięte. Rozległy się przekleństwa, śmiech, słyhać było odgłosy uderzeń. To pomocnik bosmana końcem liny dobudzał sennego i nieprzytomnego marynarza. Stopy zadudniły jeszcze głośniej, gdy pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu ludzi rzuciło się do zejściówek, by wynieść na pokład i ułożyć w siatkach hamaki.

Na pokładzie podwachta fokmasztu wprawiała w ruch bulgoczącą i sapiącą głośno pompę z pnia wiązu. Podwachta dziobowa szorowała i splukiwała morską wodą forkasztel, podwachta grotmasztu zajęła się prawą częścią pokładu rufówki, a podwachta rufowa resztą. Ludzie cegiełkowali deski zawzięcie, aż wymieszana z drobniutkimi trocinami woda zaczęła przypominać rozcieńczone mleko. Chłopcy okrętowi i daymani – marynarze dniówkowi, okrętowe nieroby – obsadzili pompę

zęzową i rozpoczęli wypompowywanie za burtę wody, która przez noc zebrała się na dnie. Podwładni artylerzyści zajęli się czternastoma czterofuntowymi działami. Żaden z towarzyszących temu odgłosów nie był jednak tak elektryzujący, jak tupot galopujących po pokładach stóp.

„Czy coś się stało?” – myślał Stephen gorączkowo, próbując możliwie szybko wygramolić się z wiszącej koi. – „Czyżby za chwilę miała rozpocząć się bitwa morska? A może na pokładzie wybuchł pożar? Może jakiś groźny przeciek? Pewnie wszyscy są tak bardzo tym zaabsorbowani, że zupełnie o mnie zapomnieli”. Najszybciej, jak potrafił, wskoczył w spodnie i prostując się, uderzył z całej siły głową w poprzeczną belkę. Zamroczony zachwiał się na nogach i bezwładnie usiadł na szafce stojącej obok koi, zakrywając dłońmi czoło. Ktoś mówił coś do niego.

–Przepraszam, proszę powtórzyć – powiedział, z trudem otwierając oczy.

–Pytałem, czy nie uderzył się pan w głowę, sir?

–Uderzyłem się. I to mocno... – Stephen spojrzał na swe dłonie i ze zdumieniem nie dostrzegł na nich najmniejszego choćby śladu krwi.

–Tak to bywa z tymi belkami, sir – mówił steward zaskakująco powoli i wyraźnie, tym szczególnym pouczającym tonem, którym na morzu zwykle zwracano się do szczerów lądowych, a na lądzie do półgłupków. – Musi pan na nie uważać. Są – naprawdę – bardzo – nisko. – Dopiero nieprzyjazne spojrzenie doktora przypomniało mówiącemu, po co przyszedł. – Czy ma pan ochotę na kotlecik lub dwa na śniadanie? Może befsztyk? Zabiliśmy wołu w Mahon i mamy wspaniałe steki...

–Wstał pan, doktorze! – zawołał Jack. – Dzień dobry. Jak się spało?

–Znakomicie, dziękuję. Te wiszące koje to doskonały wynalazek.

–Co chciałby pan na śniadanie? Na pokładzie poczułem z mesy oficerskiej wspaniały zapach smażonego boczku. Nigdy w życiu nie wahałem czegoś równie smacznego. Cóż pan powie na jajecznicę na boczku i mały befsztyczek? Do tego oczywiście kawa?

–Czyta pan w moich myślach, kapitanie – ucieszył się Stephen. W kwestii jedzenia wciąż musiał jeszcze sporo nadrobić. – Nie miałbym też nic przeciwko cebuli. To doskonały środek przeciwko skorbutowi. – Sama myśl o cebuli sprawiła, że poczuł w nozdrzach jej kuszący zapach i niepowtarzalny smak w ustach. Głośno przełknął ślinę. – Co się stało? – zaniepokoił się, gdyż na pokładzie znów rozległ się przeraźliwy świst i pośpieszny tupot stóp.

–Załoga udaje się na śniadanie – wyjaśnił Jack beztrąsko. – Zajmij się tym boczkiem, Killick. I kawą. Jestem wykończony.

–Naprawdę się wyspałem – rzekł Stephen. – To był głęboki, regenerujący siły i umysł sen. Nie można go w żaden sposób porównać z najgłębszą hipnozą czy letargiem po laudanum. Przykro mi jednak z powodu mojego wyglądu. Zaspałem i nie zdążyłem się nawet umyć i ogolić, podczas gdy pan, kapitanie, wygląda jak nowożeniec na minutę przed ślubem. Proszę mi wybaczyć na moment.

Gdy wyszedł ze swej kabiny, był już ogolony.

–Pewien człowiek z Haslar, który wynalazł nowoczesną metodę zszywania ran, był właśnie chirurgiem okrętowym. Pomyślałem o nim, przesuwając ostrzem brzytwy po swojej tchawicy. Przy wzburzonym morzu musicie chyba mieć wiele szokujących ciętych ran...?

–Raczej nie. Skądże – odparł Jack. – Wydaje mi się, że to kwestia przyzwyczajenia. Może kawy? Jeśli chodzi o dolegliwości, to na okrętach przeważają nadwerżone brzuchy... Nie pamiętam w tej chwili, jak to się fachowo nazywa... I syfilis.

–Przepuklina? Zaskakuje mnie pan.

–Właśnie, przepuklina. Zdarza się naprawdę często. Proszę sobie wyobrazić, że na okrętach połowa daymanów cierpi z tego powodu. Dlatego otrzymują lżejsze zajęcia.

–No cóż, to nic dziwnego, jeśli pomyśli się, jak ciężka jest praca marynarzy. Z kolei ich rozrywki niosą z sobą ryzyko zachorowania na kiłę. Pamiętam, że w Mahon widziałem, jak się bawili, uniesieni, radośni... Śpiewali wesoło i tańczyli ze smutnymi dziewczętami w brudnych sukniach. To byli chyba ludzie z okrętów „Audacious” i „Phaeton”, o ile dobrze pamiętam. Nie przypominam sobie nikogo z „Sophie”.

–To prawda. Członkowie załogi naszego okrętu bardzo spokojnie zachowywali się na lądzie. Po prostu nie mieli powodu do szczególnej radości. Nie było przyzów, a co za tym idzie, nie było też pieniędzy. Tylko pieniądze za zdobyte łupy sprawiają, że marynarz chętnie wybiera się na brzeg. Żołd jest śmiesznie mały. Co by pan teraz powiedział na befsztyk i kolejną filiżankę kawy?

–Byłbym zachwycony.

–Mam nadzieję, że przy obiedzie będę miał okazję przedstawić panu mojego porucznika. Wydaje się dobrym żeglarzem i prawdziwym dżentelmenem. Mamy wraz z nim sporo zajęć dziś rano. Musimy zebrać załogę, podzielić ją na wachty i zakwaterować. Powinienem też znaleźć panu służącego i sobie ordynansa. Potrzebuję także sternika łodzi. Myślę, że kucharz z mesy oficerskiej byłby pierwszorzędnym kandydatem.

–Przeprowadzimy teraz zbiórkę załogi, panie Dillon – polecił Jack.

–Panie Watt... – zwrócił się James Dillon do bosmana. – Cała załoga na zbiórkę.

Bosman zagwizdał na piszczałce, a jego pomocnicy pobiegli na dół, krzycząc głośno.

–Zbiórka! Wszyscy na pokład!

Przestrzeń między grotmasztem i forkasztem wypełniła się ludźmi. Byli tu wszyscy, nawet kucharz, który wytarłszy ręce w fartuch, poskładał go i schował pod koszulę. Stali raczej niepewnie, na lewej burcie, podzieleni na dwie wachty. Nowo zamustrowani skupili się w oddzielną grupkę pomiędzy obiema wachtami. Wydawali się bardzo zaniedbani, opuszczeni i żalśni.

–Wszyscy na zbiórce, sir – zameldował Dillon, zdejmując kapelusz.

–Bardzo dobrze. Proszę przeprowadzić apel. Popchnięty przez ochmistrza klerk podał porucznikowi

księgę zaciągu załogi. Dillon zaczął głośno odczytywać nazwiska.

–Charles Stallard!

–Jestem, sir! – zawołał starszy marynarz, ochotnik z „St Fiorenzo”, zaokrętowany na „Sophie” szóstego maja 1795 roku, w wieku dwudziestu lat. Przy jego nazwisku nie było żadnych wpisów o naruszeniu dyscypliny, chorobach wenerycznych czy pobytach w okrętowym lazarecie. Niedawno otrzymał z zagranicy przekaz na dziesięć funtów. Bez wątpienia wartościowy członek załogi. Przeszedł na prawą burtę.

–Thomas Murphy!

–Jestem, sir! – Thomas Murphy zgłosił się i dotknął czoła kłykiem palca wskazującego prawej ręki. Przeszedł na prawo, do Stallarda. Ten sam gest powtarzali wszyscy następni, aż do chwili, gdy James Dillon wywołał nazwiska Assei i Assou. Ci dwaj nie mający imion marynarze, urodzeni w Bengalu, pomimo wielu lat służby w Royal Navy dotykali najpierw dłonią czoła, a następnie trzymając rękę na sercu, kłaniali się szybko. Ciekawe, jakie to wiatry przyniosły ich aż na pokład „Sophie”?

–John Codlin. William Witsover. Thomas Jones. Francis Lacanfra. Joseph Bussell. Abraham Vilheim. James Courser. Peter Peterssen. John Smith. Giuseppe Laleso. William Cozens. Lewis Dupont. Andrew Karouski. Richard Henry... – padały kolejno nazwiska z listy. Wreszcie wywołani zostali wszyscy, na końcu nowo zaokrętowani i chłopcy okrętowi. Nie odpowiedzieli jedynie chory artylerzysta oraz niejaki Isaac Wilson. Łącznie załoga brygu liczyła osiemdziesiąt dziewięć dusz, wliczając w to oficerów, marynarzy, chłopców i żołnierzy piechoty morskiej.

Teraz rozpoczęło się odczytywanie przepisów prawa wojennego – *Articles of War*. Ceremonia ta często połączona była z nabożeństwem i tak bardzo się z nim kojarzyła, iż twarze większości marynarzy natychmiast spobożniały, gdy rozległy się słowa:

– „Dla lepszego kierowania marynarką wojenną, okrętami i siłami morskimi, od których przy boskiej opiece Opatrzności głównie zależy dobrobyt, bezpieczeństwo i siła królestwa, Jego Królewska Wysokość, za radą oraz przyzwoleniem stałych i czasowych członków Izby Lordów, a także Izby Gmin zebranego tu właśnie parlamentu, na podstawie władzy tegoż niniejszym postanawia, iż od dnia dwudziestego piątego grudnia roku tysiąc siedemset czterdziestego dziewiątego przepisy i zalecenia dalej następujące, zarówno w czasie wojny, jak i pokoju, powinny być właściwie przestrzegane i wprowadzane w życie, w sposób poniżej przedstawiony”. – Ów wyraz uduchowienia trwał niezmiennie, gdy Dillon czytał dalej: – „Wszyscy admirałowie i wszyscy znajdujący się na okrętach wojennych lub należący do ich załóg winni złamania przysięgi, przekleństw, złorzeczenia, pijaństwa, nieczystości lub innego skandalicznego zachowania zostaną odpowiednio ukarani przez sąd wojenny”. – Spokoju ducha marynarzy nie zmąciły nawet powtarzające się echem słowa: „podlegać będzie karze śmierci...” – „Każdy admirał, kapitan i dowódca okrętu wojennego, który nie... zachęci oficerów i ludzi, by walczyli z odwagą, podlegać będzie karze śmierci... Jeśli ktokolwiek zdradziecko lub tchórzliwie podda się bądź poszuka schronienia i zostanie to potwierdzone wyrokiem sądu wojennego, podlegać będzie karze śmierci... Każdy, kto na skutek tchórzostwa podczas boju odmówi walki lub ustąpi pola, podlegać będzie karze śmierci... Kto w wyniku tchórzostwa, niedbalstwa lub braku gorliwości zrezygnuje z pościgu za wrogiem, piratem lub buntownikiem, pokonanym lub uciekającym... podlegać będzie karze śmierci... Jeśli oficer, marynarz lub żołnierz pełniący służbę we flocie uderzy któregoś ze swych przełożonych oficerów, jeśli wydobędzie lub podniesie jakąkolwiek broń lub tylko nią zagrozi... podlegać będzie karze śmierci... Jeżeli ktokolwiek popełni nienaturalny i obrzydliwy grzech nieczystego stosunku, sodomii, z człowiekiem lub zwierzęciem, zostanie skazany na śmierć”. – Kara śmierci pojawiała się bez przerwy i nawet jeśli coś było niezrozumiałe, śmierć miała zawsze owo niezwykle, ostateczne i nieodwołalne znaczenie. Sprawiało to członkom załogi szczególną, ponurą przyjemność. Byli do tego przyzwyczajeni. Dokładnie te same słowa słyszeli w każdą pierwszą niedzielę miesiąca i przy nadzwyczajnych okazjach, takich jak dzisiejsza. Łatwiej było im żyć, właśnie tego potrzebowali. Gdy wachta odpoczywająca została wreszcie odesłana z powrotem pod pokład, wszyscy wydawali się o wiele bardziej spokojni i ułożeni.

–Bardzo dobrze – powiedział Jack, rozglądając się dookoła. – Proszę dać sygnał numer dwadzieścia trzy, dwoma działami na zawietrzną. Panie Marshall, postawimy sztaksle. a gdy tylko zobaczy pan, że tamta pinasa nadaża za resztą konwoju, proszę postawić bombramsle. Panie Watt, niech żaglomistrz i jego ludzie wezmą się zaraz

do pracy przy grocie rejoyem. Proszę też przysyłać wszystkich nowych marynarzy pojedynczo na rufę. Gdzie jest klerk? Panie Dillon, musimy uporządkować te raporty. Panie Maturin, proszę mi pozwolić przedstawić sobie moich oficerów...

Dopiero teraz, po raz pierwszy na „Sophie”, Stephen i James stanęli ze sobą oko w oko. Jednak Maturin dostrzegł płonącą rudą grzywę porucznika już wcześniej, na pokładzie, i był na to spotkanie w znacznym stopniu przygotowany. Pomimo to przeżył wstrząs na widok dawnego znajomego. Twarz doktora w mgnieniu oka przybrała wyraz skrywanej agresji i chłodnej powściągliwości. Dla Jamesa Dillona było to jeszcze większym przeżyciem. W pośpiechu i zamieszaniu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie miał okazji usłyszeć nazwiska nowego lekarza okrętowego. Jednakże poza lekkim rumieńcem nie widać było po nim szczególnych emocji.

–Może miałby pan ochotę obejrzeć okręt, podczas gdy my obaj z panem Dillonem zajmujemy się tymi raportami? – zapytał Jack, gdy wszyscy zostali sobie przedstawieni. – Czy raczej woli pan pójść do kabiny?

–Nic nie sprawiłoby mi tak wielkiej przyjemności, jak zwiedzanie okrętu. Naprawdę – zapewnił Stephen gorliwie. – Co za elegancka płatanina... – Jego głos uleciał z wiatrem.

–Panie Mowett, niech pan będzie tak uprzejmy i pokaże panu Maturinowi wszystko, co zechce zobaczyć. Proszę zabrać naszego gościa na marsa grotmasztu. To niezwykle interesujące miejsce. Chyba nie ma pan lęku wysokości, doktorze?

–Och, nie... – odparł Stephen, rozglądając się niepewnie dookoła. – Raczej nie.

James Mowett był prawie dwudziestoletnim młodzieńcem o zwalistej sylwetce. W spodniach z żaglowego płótna i zrobionej na drutach pasiastej koszuli z Guernesey dziwnie przypominał gąsienicę. Na jego szyi wisiał marszpikiel – młody oficer wachtowy miał zamiar przyłączyć się do ludzi żaglomistrza. Zaskoczony nieco poleceniem, spojrzał uważnie na Stephena, próbując odgadnąć, z kim wypadło mu mieć do czynienia. Skłonił się nisko, z ową szczególną uprzejmością i naturalną elegancją właściwą wielu marynarzom.

–Proszę bardzo, sir. Od czego chce pan zacząć? – zapytał grzecznie. – Czy pójdziemy od razu na maszt? Widać stamtąd cały pokład.

Słowa „cały pokład” oznaczały dziesięć jardów desek w stronę rufy i szesnaście w stronę dziobu. Można je było dokładnie obejrzeć, nie ruszając się o krok z miejsca, w którym stali. Stephen odparł jednak:

–Chodźmy na górę. Niech pan prowadzi, a ja będę się starał naśladować pańskie ruchy najlepiej, jak potrafię.

Patrzył uważnie, jak Mowett wspina się po wyblinkach, i ruszył za nim, myśląc zupełnie o czymś innym. Obaj z Jamesem Dillonem należeli do organizacji Zjednoczonych Irlandczyków, która w ciągu ostatnich dziewięciu lat przechodziła rozmaite koleje losu. Raz była otwartym, publicznym stowarzyszeniem nawołującym do równouprawnienia presbiterian, protestantów wszelkich wyznań oraz katolików i do powołania przedstawicielskiego rządu Irlandii. Innym razem stanowiła wyjęty spod prawa tajny związek, później uczestniczyła jako grupa zbrojna w jawnej rebelii. W końcu stała się garstką pokonanych i ściganych niedobitków. Powstanie zostało zdławione. Towarzyszyły temu normalne w takich przypadkach okropieństwa i pomimo generalnej amnestii życie najważniejszych członków organizacji nadal było zagrożone. Wielu z nich zostało zdradzonych – lord Edward Fitzgerald na samym początku – wielu innych zaś zrezygnowało z dalszej działalności, nie ufając nawet swoim najbliższym. Wydarzenia, do jakich doszło, podzieliły bowiem całe społeczeństwo i naród w najbardziej przerażający sposób. Stephen Maturin nie bał się podłej zdrady. Nie obawiał się też o swoją skórę, ponieważ zbyt jej nie cenił. Wycierpiał jednak tak wiele, doznał tak licznych upokorzeń, doświadczył tyle nienawiści w związku z upadkiem powstania, iż nie potrafił teraz znieść dalszych rozczarowań, wzajemnego obwiniania się. Nie chciał, by kolejny przyjaciel okazał się wrogiem. W organizacji zawsze ścierały się różne poglądy. Gdy w końcu legła w gruzach, gdy jej członkowie stracili ze sobą kontakt, trudno było powiedzieć, jakie kto ma poglądy.

Maturin nigdy nie obawiał się o swoją skórę, nigdy nie troszczył się o siebie, lecz teraz, w połowie want, opanowało go narastające przerażenie. Czterdzieści stóp to niezbyt wielka wysokość, lecz wydaje się o wiele bardziej niebezpieczna, gdy wchodzi się po czymś tak niepewnym, jak poruszające się linki. Na dodatek, gdy był już w dwóch trzecich drogi, okrzyki „obkładać!” oznajmiły, iż sztaksle zostały postawione, a ich szoty wybrane. Kolejne żagle wypełniały się wiatrem i „Sophie” jeszcze bardziej pochyliła się na zawietrzną. Dochodziło do tego kołysanie okrętu, tak że krawędź burty uciekła oczom patrzącego w dół Maturina. Jej miejsce, daleko w dole, zajęła rozległa tafla lśniącej wody. Ręce doktora zacisnęły się kurczowo na wyblinkach. Zatrzymał się w miejscu i wisiał z rozstawionymi szeroko nogami. Siły grawitacji i bezwładności mieszały się z irracjonalną paniką oraz kompletnym przerażeniem. Bezlitośnie przygniatały uczezione lin ciało Stephena do wyblinek i want albo szarpały nim w tył, próbując go oderwać – tak samo wiatr targa powieszoną do wyschnięcia koszulę.

Ktoś zsunął się po baksztagu tuż obok, czyjeś ręce chwyciły go za kostki i odezwał się wesoły głos Mowetta:

–Teraz, sir. Na fali. Niech pan chwyci się wyblinek nad głową i nie patrzy w górę. O tak. Świetnie. – Prawa stopa doktora została przeniesiona na następną wyblinkę, potem lewa... Wreszcie, po kilku gwałtowniejszych przechyłach, podczas których zamykał oczy i wstrzymywał oddech, był następną osobą, która dziś skorzystała z

przełazu marsa. – To jest mars grotmasztu, sir... – Mowett starał się nie dostrzegać oplakanego stanu, w jakim znajdował się jego podopieczny. – Na fokmaszcie też oczywiście jest mars, o tam...

–Jestem panu niezwykle wdzięczny za pomoc przy wchodzeniu na górę – odezwał się Stephen. – Dziękuję.

–Och, sir – rzekł Mowett. – Naprawdę nie ma za co... A ten żagiel poniżej nas to grotstaksel, właśnie go postavili. Tam z przodu jest forsstaksel. Używa się go tylko na okrętach wojennych.

–To te trójkąty? Dlaczego mówi się na nie sztaksle? – Maturin zadał pierwsze lepsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy.

–Nazywają się tak, ponieważ stawia się je na sztagach. Przesuwają się po linach na tych pierścieniach, nazywanych na morzu raksami. Kiedyś używaliśmy grumotów, ale rok temu, koło Kadyksu, wymieniliśmy je na raksy, które spisują się znacznie lepiej. Sztagi to tamte grube liny, biegnące od masztu skośnie na dół, dokładnie w kierunku dziobu.

–Te liny służą, jak się domyślam, do stawiania żagli?

–Rzeczywiście, sir. Właśnie na nich stawia się sztaksle, lecz ich najważniejszym przeznaczeniem jest podtrzymywanie masztów od przodu. W przeciwnym razie maszty mogłyby upaść, na przykład przy wzdłużnym kołysaniu.

–To maszty potrzebują jeszcze jakichś wzmocnień? – zapytał Stephen z niedowierzaniem, dotykając kolejno płaskiego topu kolumny masztu i zaokrąglonej pięty stengi. Każda z tych pionowych, połączonych ze sobą równolegle belek miała prawie półtorej stopy średnicy. – Nigdy bym nie pomyślał...

–Boże, sir. Inaczej maszty wyleciałyby za burtę. Wanty usztywniają je z boków, sztagi z przodu, a baksztagi... o te, tutaj... z tyłu.

–Tak, teraz rozumiem. Proszę mi jeszcze powiedzieć, do czego służy platforma, na której się znajdujemy? – zagadnął Stephen, chcąc za wszelką cenę skłonić młodego człowieka, by dalej mówił. – I dlaczego maszt jest w tym miejscu złożony z dwóch części? Do czego służy ten młot?

–Czemu służy mars, sir? No cóż, oprócz tego, iż ułatwia pracę przy takielunku oraz wchodzenie i wnoszenie ciężarów na maszt, jest także doskonałym miejscem dla strzelców podczas bitwy. Znajdujący się tutaj żołnierze mogą strzelać w dół na pokład nieprzyjacielskiego okrętu, zrzucać granaty i pojemniki ze żrącymi substancjami. Do brzegów marsa mocowane są też te oto jufersy, które służą do naprężania stenwant. Mars stanowi również szeroką na prawie dziesięć stóp

podstawę, dzięki której stenwanty mogą właściwie spełniać swoją usztywniającą funkcję. Podobnie ma się sprawa wyżej. Znajdujący się tam saling jest z kolei punktem zaczepienia dla bramwant. Widzi pan saling? O tam, gdzie siedzi obserwator, powyżej rei marsla.

–Wydaje mi się, że nie potrafiłby pan wyjaśnić przeznaczenia całej tej masy lin i drzewiec bez posługiwania się morskim słownictwem. To chyba byłoby niemożliwe.

–Bez morskiego słownictwa? Ciężko by mi było, lecz jeśli pan chce, mogę spróbować.

–Nie, nie trzeba. Pewnie tylko dzięki tym specjalnym nazwom udaje się rozróżnić poszczególne rzeczy. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Marsy na „Sophie” wyposażone były w metalowe słupki do mocowania specjalnych siatek, które wypełnione hamakami chronić miały przebywających tutaj podczas bitwy żołnierzy. Stephen usiadł między dwoma takimi słupkami, obejmując każdy z nich mocno ramieniem i zwieszając nogi w dół. Poczul się nareszcie względnie bezpieczny, znalazłszy solidne oparcie dla rąk i czując grube deski pod siedzeniem. Słońce wspięło się już wysoko. Na pokładzie w dole widniał skomplikowany wzór ponakładanych na siebie cieni i półcieni. Geometryczny porządek linii i figur burzyła jedynie bezkształtna plama grotżagla rozłożonego przez ludzi żaglomistrza na forkasztelu.

–Weźmy dla przykładu tamten maszt. – Doktor wskazał głową w stronę dziobu, gdyż Mowett nie chciał mówić zbyt wiele. – Czy potrafiłby pan podać mi nazwy najważniejszych elementów od dołu aż do samej góry?

–Oczywiście. To fokmaszt, sir. Dolną jego część nazywamy kolumną masztu lub po prostu fokmasztem. Kolumna naszego fokmasztu ma czterdzieści dziewięć stóp długości i osadzona jest w nadstępcę, na dnie okrętu. Z obu stron maszt usztywniają wanty, po sześć na każdej burcie. Z przodu podtrzymuje go sztag, biegnący w dół do bukszprytu. Równolegle przebiega drugi sztag, dodatkowy, na wypadek zerwania się pierwszego. Dalej, mniej więcej w jednej trzeciej wysokości fokmasztu, znajduje się pierścień, do którego mocowany jest grotsztag, czyli sztag kolumny grotmasztu. Drugi koniec tego sztagu mieści się tuż pod nami. Jest to więc element olinowania stałego masztu, na którym przebywamy.

–Ach! Czyli to jest właśnie grotsztag? – zapytał Stephen, patrząc obojętnie we wskazanym przez Mowetta kierunku. – Gdzieś już wcześniej słyszałem tę nazwę. Solidna lina, trzeba przyznać.

–Dziesięć cali średnicy, sir – zaznaczył młody człowiek z dumą. – A sztag dodatkowy ma siedem. Wróćmy jednak do tamtego masztu... Poprzeczne drzewce

powyżej pierścienia, o którym wspominałem, to fokreja. Zanim przejdę do rej, skończę najpierw mówić o masztach... Czy widzi pan marsa fokmasztu? Jest podobny do tego, na którym właśnie przebywamy. Mars leży na wzdłużnicach i poprzeczkach jarzma stengi, stanowiącej przedłużenie kolumny masztu. Stenga to długie, cieńsze nieco drzewce powyżej marsa. Tak samo na fokmaszcie, jak i tutaj. Niech pan spojrzy. Wciągamy je tu na górę i mocujemy do kolumny masztu, podobnie jak żołnierz zakłada bagnet na lufę karabinu. Stenga przechodzi przez jarzmo i gdy jej pięta znajduje się na właściwej wysokości, wbijamy zatyczkę w specjalny otwór, robimy to młotem, o który był pan uprzejmy zapytać. Potem... – wyjaśnienia potoczyły się wartko dalej.

„Pięta sztagu umocowana do jednego masztu, a podstępka stengi do drugiego” – pomyślał Maturin. Był już trochę znudzony.

–...Również stenga ma swój sztag, forstensztag, biegnący w dół, do bukszprytu. Jeśli wychyli się pan trochę, o tak, zobaczy pan róg postawionego na tym sztagu kliwra.

Głos podchorążego powoli stawał się bezbarwnym tłem dla myśli Stephena. Nagle doktor zdał sobie sprawę z tego, iż jego przewodnik wyczekująco zawiesił głos. Przed chwilą padły słowa: „wychylić się”, „sztag” i „kliwer”.

–Rzeczywiście – powiedział obojętnie. – A jaka jest długość tej... stengi?

–Trzydzieści dziewięć stóp, sir. Tyle samo mierzy stenga grotmasztu. Dalej, powyżej marsa fokmasztu, umieszczony jest pierścień, do którego biegnie grotstensztag, czyli sztag stengi grotmasztu. Drugi koniec tego sztagu jest umocowany pod salingiem, ponad naszymi głowami. Również na fokmaszcie znajduje się saling, utworzony przez wzdłużnice i poprzeczki jarzma bramstengi. Tam siedzi następny pełniący służbę na oku marynarz. Fokbramstenga to najwyższa część przedniego masztu. Mocowana jest w identyczny sposób, tyle że jej wanty są delikatniejsze. Jej sztag prowadzi do stengi bukszprytu... Czy widzi pan to drzewce? Przedłuża bukszpryt... Długość stengi wynosi dwadzieścia trzy stopy i sześć cali. Mówię to o fokbramstendze, nie o stendze bukszprytu. Ta mierzy dwadzieścia trzy stopy.

–To wielka przyjemność słyszeć kogoś, kto tak doskonale zna się na rzeczy. Jest pan niezwykle dokładny.

–Och, chciałbym, aby kapitanowie powiedzieli to samo – rzekł Mowett. – Gdy tylko zawiniemy do Gibraltaru, po raz kolejny przystąpię do egzaminu na stopień porucznika. W komisji egzaminacyjnej zasiada trzech starszych kapitanów. Ostatnio jeden z nich, szczególnie złośliwy, zapytał mnie, ile sążni liny potrzeba dla wieloramiennika tentowego, i jak długa jest łąta z otworami na linki wieloramiennika.

Teraz umiałbym mu odpowiedzieć: potrzeba pięćdziesiąt sążni liny o średnicy trzy czwarte cala, choć nigdy bym nie przypuszczał, a długość łąty z otworami wynosi czternaście cali. Potrafiłbym podać mu dziś rozmiary wszystkiego, co tylko da się zmierzyć, oprócz naszej nowej grotrei. Zmierzę ją jednak dzisiaj, przed obiadem. Chciałby pan poznać kilka ciekawszych wymiarów, sir?

–Chętnie. Bardzo mnie to interesuje.

–Proszę bardzo. Stępka „Sophie” ma pięćdziesiąt dziewięć stóp długości. Pokład działowy: siedemdziesiąt osiem stóp i trzy cale. Wysokość od stępki do pokładu to dziesięć stóp i dziesięć cali. Bukszpryt mierzy trzydzieści cztery stopy. Wysokości masztów już panu podałem, oprócz chyba grotmasztu, który jest wysoki na pięćdziesiąt sześć stóp. Długość rei grotmarsla, tuż nad nami, to trzydzieści jeden stóp i sześć cali. Reja grotbramsla, ta trochę wyżej, jest długa na dwadzieścia trzy stopy i sześć cali. Reja bombramsla, na samej górze, ma piętnaście stóp i dziewięć cali. Jeśli chodzi o borny i gafle... Powinienem jednak w pierwszej kolejności pokazać panu wszystkie reje, prawda?

–Chyba tak.

–To nie. Jest tak bardzo skomplikowane, przekona się pan.

–Z przyjemnością posłucham.

–Zacznijmy od dziobu. Widzi pan reję pod bukszprytem? Stawiamy na niej, pod stengą bukszprytu, dodatkowy prostokątny żagiel. Dalej, zaczynając od pięty fokmasztu, pierwsza reja na dole to fokreja, a rozpięty na niej duży żagiel to fok. Wyżej jest fokmarsreja, czyli reja fokmarsla, nad nią fokbramreja służąca do stawiania fokbramsla i na samej górze, ze zwiniętym żaglem, reja fokbombramsla, czyli fokbombramreja. Podobnie ma się sprawa z rejami na grotmaszcie, tyle że na początku pełnej nazwy każdej z nich, w miejsce słówka „fok”, należy wstawić słowo „grot”. Jest tylko taka różnica, że na grotrei pod nami nie ma w tej chwili żagla. Ten żagiel to grot i mówiąc o nim, powinno się zaznaczyć, że to grot rejowy, ponieważ przy takim jak nasz rodzaju ożaglowania okręt może nieść dwa różne groty: rejowy i gafłowy. Gafłowy to taki jak ten za nami, rozpięty na dwóch drzewcach umocowanych jednym końcem do masztu. Dolne to bom, a górne gafel. Bom ma czterdzieści dwie stopy i dziewięć cali długości, a średnicę dziesięć i pół cala.

–Dziesięć i pół cala? Coś podobnego! – „Jakże głupio postąpiłem, udając, że nie znam Jamesa Dillona. To było dziecinne, typowe w podobnych przypadkach i bardzo niebezpieczne”.

–Na koniec zostały nam jeszcze żagle boczne. Stawiamy je tylko wówczas, gdy wiatr wieje z rufy. Rozpinane są przy bocznych likach żagli rejowych, na wytykach

mocowanych do rej specjalnymi okuciami. Bardzo dobrze to stąd widać... A lik to po prostu krawędź żagla.

–Co tam się dzieje?

–Bosman daje sygnał do stawiania żagli. Za chwilę rozwiną bombramsle. Proszę stanąć tutaj, sir, w przeciwnym razie ludzie z podwachtu żaglowej zaraz pana rozdepczą.

Stephen z ledwością zdążył zejść z drogi przechodzącym pośpiesznie przez krawędź marsa młodym marynarzom i chłopcom okrętowym, którzy ścigając się, popędzili w górę po stenwantach.

–Za chwilę, sir, oczywiście dopiero na rozkaz, zrzucą żagiel, zwinięty teraz na rei. Ludzie na pokładzie zaczną wybierać najpierw szot zawietrzny, ponieważ wiatr im w tym będzie pomagał i wybieranie pójdzie łatwiej. Następnie wybrany zostanie szot nawietrzny. Gdy tylko marynarze zejdu z rei, wybiorą topenanty i podniosą je do góry. To są szoty, przechodzą przez znaczone na białe bloki. A to są topenanty.

W chwilę później bombramsle wypełniły się wiatrem. Przechył wzrósł i szum wiatru w takielunku stał się nieco głośniejszy. Marynarze zeszli z masztu znacznie spokojniej, niż na niego wchodzili; okrętowy dzwon uderzył cztery razy.

–Proszę mi jeszcze powiedzieć, co to jest bryg? – Stephen spojrział w dół za schodzącymi, wyraźnie mając ochotę pójść w ich ślady.

–„Sophie” jest brygiem, chociaż mówimy na nią slup.

–Dziękuję panu. A co oznaczają te gwizdki na dole?

–To tylko bosman. Zwołuje ludzi do pracy. Rejowy grot jest już gotowy i teraz trzeba ten żagiel przymocować do drzewca.

Panem pokładu jest bosman wspaniały.

Głos jego silniejszy niż sztormy i szkwały.

Pogania leniwych i karci niedbałych,

Wychwała najlepszych, zachęca nieśmiałych.

–Ten pański bosman dość swobodnie używa trzciny – zauważył Stephen. – Że też oni mu nie oddają... A więc jest pan poetą? – zapytał z uśmiechem. Coraz swobodniej czuł się w nowej sytuacji.

Mowett roześmiał się serdecznie i powiedział:

–Niech pan schodzi z tej strony. Przy takim przechyle powinno pójść panu tutaj znacznie łatwiej. Wanty będą przez cały czas pod panem. Wszyscy mówią, że lepiej jest nie patrzeć w dół. O tak. Ostrożnie. Powolutku. Bardzo dobrze sobie pan radzi. Już jesteśmy na pokładzie. Udało się.

–Boże... – wykrztusił Maturin, otrzepując ręce. – Naprawdę cieszę się, że już jestem na dole. – Spojrzał w górę, na marsa, i rozejrzał się dookoła. „Nie powinienem być taki strachliwy” – skarcił w duchu sam siebie, a głośno zapytał: – Czy teraz już wolno patrzeć pod nogi?

–Może znajdziemy kucharza wśród tych nowych? – głośno zastanawiał się Jack. – Tak przy okazji... Skoro już o kuchni mowa... Czy nie zechciałby pan towarzyszyć mi przy obiedzie?

–Z największą przyjemnością, sir – z ukłonem odparł James Dillon. Siedzieli przy stole, w kapitańskiej kabinie. Obok stał klerk, na stole leżała księga zaciągu załogi, księga inwentarzowa i inne dokumenty okrętowe.

–Niech pan uważa na ten kałamarz, panie Richards – powiedział Jack do klerka, gdy „Sophie” gwałtownie pochyliła się na zawietrzną, pchnięta silniejszym podmuchem bryzy. – Lepiej niech pan go zakorkuje i trzyma w dłoni. Panie Ricketts, proszę pokazać mi tych ludzi.

W porównaniu z członkami starej załogi „Sophie” nowo zaokrętowani marynarze byli pozbawioną wyrazu zbieraniną. Ludzie z „Sophie” byli jednak u siebie. Wszyscy nosili jednakowe tanie ubrania, dostarczane przez starszego pana Rickettsa, co dawało załodze w miarę jednolity wygląd. Wszyscy przez ostatnie kilka lat w miarę niezłe się odżywiali – może nie tyle, jeśli chodzi o jakość, ile o ilość pożywienia. Nowi zaś, poza nielicznymi wyjątkami, pochodzili z hrabstw w głębi lądu. Odzież tych ludzi dawała przegląd najróżniejszych fasonów i mód. W skład grupy poborowych wchodziło na przykład siedmiu narwańców z Westmeath, aresztowanych w Liverpoolu za wywołanie awantury. Tak niewiele wiedzieli o świecie (przybyli do miasta tylko na żniwa, nic więcej), że gdy im pozwolono wybrać między najbardziej wilgotnymi celami miejscowego więzienia a służbą w Royal Navy, zdecydowali się na to drugie, sądząc, że okręt to przyjemniejsze i suchsze miejsce. Wśród nowych można było także znaleźć zrozpaczonego pszczelarza, któremu padły wszystkie pszczoły, bezrobotnego specjalistę od krycia słomianych dachów, kilku nieżonatych ojców, dwóch głodujących krawców i niegroźnego wariata. Najbardziej obszarpani dostali ubrania na pokładzie przyjmujących ich statków, inni wciąż mieli na sobie wytarte sztruksowe okrycia lub staroświeckie kurtki. Wyjątek stanowiło trzech doświadczonych marynarzy w średnim wieku: Duńczyk o nazwisku Christian Pram, który był poprzednio drugim nawigatorem „Levantera”, oraz dwóch greckich poławiaczy gąbek, prawdopodobnie o imionach Apollo i Turbid. Okoliczności, w jakich wcielono obu braci do marynarki brytyjskiej, były bardzo niejasne.

–Świetnie, świetnie! – zawołał Jack, zacierając dłonie. – Moim zdaniem tego Prama od razu możemy mianować oficerem nawigacyjnym: jednego oficera wachtowego nam brakuje. Z Greków zrobimy starszych marynarzy, jak tylko zaczną trochę mówić po angielsku. Pozostali to zwykli rekruci. Teraz, panie Richards, gdy tylko skończy pan pisać, proszę pójść do pana Marshalla i powiedzieć mu, że pragnę go widzieć.

–Wydaje mi się, sir, że w sumie w skład obu wacht powinno wejść dokładnie pięćdziesięciu ludzi – oświadczył James Dillon, podnosząc wzrok znad obliczeń.

–Ośmiu do podwachtury forkasztelu i ośmiu do podwachtury żaglowej fokmasztu... Panie Marshall, proszę usiąść z nami. Musimy przygotować nowy rozkład wacht i zakwaterować wszystkich przed obiadem. Nie mamy ani minuty do stracenia.

–A tutaj mieszkamy, sir – oznajmił Mowett, oświetlając latarnią wewnątrz kubryku podchorążych. – Proszę uważać na głowę. Niech mi pan też wybaczy ten zapach. Prawdopodobnie jest tutaj młody Babbington.

–Och! To nie tak! – zawołał Babbington, odrywając się od książki. – Jesteś podły, Mowett – wysyczał, kipiąc z wściekłości.

–Jak na kubryk podchorążych, jest tutaj całkiem przyjemnie. – Mowett mówił obojętnym tonem, nie zwracając uwagi na młodszego kolegę. – Przez greting wpada trochę światła, jak pan widzi, a gdy zdjęte są pokrywy ładowni, dociera tu świeże powietrze. Pamiętam, że na rufie starego „Namura” z powodu zaduchu w kubryku gasły świece. A nie mieliśmy tam nic równie cuchnącego jak młody Babbington.

–Z łatwością mogę sobie to wyobrazić – rzekł Stephen, siadając, i spojrzał na pogrążone w półmroku wewnątrz. – Ilu was tutaj mieszka?

–Teraz tylko trzech, sir. Na okręcie brakuje dwóch podchorążych. Chłopcy okrętowi wieszają swoje hamaki w magazynie z sucharami. Kiedyś jadali z artylerzystą, ale gdy ten niedawno zachorował, zaczęli przychodzić tutaj. Podbierają nam jedzenie i niszczą nasze książki zatłuszczonymi paluchami.

–Uczy się pan trygonometrii? – zapytał Maturin zaciekawiony, gdyż jego przyzwyczajone już do ciemności oczy zdołały z trudem dostrzec trójkąt narysowany atramentem na poplamionej kartce.

–Tak, sir. Zgadł pan. Prawie już rozwiązałem to zadanie – odpowiedział młody Babbington. „Dawno już zająłbym się następnym, gdyby nie przyszedł tu z panem ten przemądrzały wół” – dodał w duchu.

W mrocznym siedział kubryku, w myślach pogrążony.

Umysł mu wśród sinusów i tangensów zbłądził.

Pomylił swe obliczenia, nagle rozproszony,

Czy zadanie rozwiąże? Przyszłość to osądzi...

–zaimprovizował Mowett. – Muszę przyznać, że mi się to udało!

–Rzeczywiście – przyznał Maturin, przyglądając się malutkim okręciom narysowanym w kilku miejscach na obwodzie trójkąta. – Proszę mi powiedzieć, co właściwie w Royal Navy oznacza słowo okręt?

–Okręt, w odróżnieniu od statku handlowego, to zwyczajowo każda większa jednostka należąca do marynarki wojennej. Oficjalnie okrętem jest jednak fregata. Okręt musi mieć trzy maszty o ożaglowaniu rejowym i bukszpryt. Na dodatek każdy z masztów musi składać się z trzech części: kolumny, stengi i bramstengi. Dlatego na przykład nie powinno się zasadniczo nazywać polakry okrętem.

–Naprawdę? – Stephen zdziwił się szczerze.

–Oczywiście! Nie można! – zawołali chórem obaj młodzi ludzie. – Ket też nie jest okrętem, tak samo xebek. Ktoś mógłby pomyśleć, że xebeki mają bukszpryty, lecz są to tylko usztywnione paroma odciągami wytyki.

–Na pewno się temu przyjrzę – bez przekonania obiecał doktor. – Do przebywania tutaj trzeba się przyzwyczaić – zauważył po chwili, wstając bardzo ostrożnie. – Strasznie tu u was ciasno...

–Och, sir... – Mowett przymrużył oczy i zadeklamował:

Nie narzekaj na miejsce, gdzie przyszło ci żyć,

Wszak wielkim bohaterom pragniesz być podobnym.

O czynach chwalebnych ty możesz tu śnić.

W tym miejscu: świętym, choć niezbyt wygodnym.

–Proszę, niech pan nie zwraca na niego uwagi! – wykrzyknął Babbington rozzłoszczony. – To wcale nie jest z jego strony oznaka braku szacunku. Zapewniam pana. Mowett zawsze tak nienormalnie się zachowuje.

–Dobrze już, dobrze – uspokoił ich Stephen. – Chciałbym teraz obejrzeć resztę... resztę okrętu. Chyba wolno tak powiedzieć?

Maturin i Mowett ruszyli w stronę dziobu. Minęli kolejnego pełniącego wartę żołnierza. W półmroku panującym pod przykrytymi brezentem kratownicami doktor zahaczył nogą o coś miękkiego. Rozległo się brzęczenie łańcucha i posypały się

wyzwiska.

–Uważaj, gdzie leziesz, zawszony szczurze lądowy!

–Cicho tam, Wilson! Zamknij się! – zawołał młody nawigator. – To jeden z ludzi zakutyh za karę w łańcuchy... Proszę nie zwracać na niego uwagi.

–Za co został zakuty w łańcuchy?

–Był nieuprzejmy... – wyjaśnił Mowett oględnie. Weszli do kubryku.

–Proszę! To całkiem spore pomieszczenie, chociaż bardzo tu nisko. Pewnie tutaj mieszkają podoficerowie?

–Nie, sir. Tutaj śpi i spożywa posiłki cała szeregowa załoga.

–A pozostali ludzie zakwaterowani są zapewne gdzieś niżej?

–Pod nami nie ma już żadnych pomieszczeń mieszkalnych. Niżej jest tylko ładownia. Tam prawie nie ma pokładu.

–Ilu więc ludzi musi się tutaj zmieścić?

–Razem z żołnierzami siedemdziesięciu siedmiu, sir.

–Przecież oni wszyscy nie mogą tu spać. To fizyczna niemożliwość.

–Z całym szacunkiem dla pana, sir, oni wszyscy tutaj śpią. Każdy ma czternaście cali wolnego miejsca dla swego hamaka. Hamaki wieszane są od dziobu do rufy, a odległość między burtami na śródkręciu wynosi dwadzieścia pięć stóp i dziesięć cali. To daje dwadzieścia dwa miejsca do spania. Widzi pan? Tutaj na belce są wypisane numery.

–Człowiek nie może leżeć na pośłaniu o szerokości czternastu cali.

–To prawda, sir. W każdym razie na pewno nie byłoby to zbyt wygodne. Można już jednak się wyspać, mając do dyspozycji dwadzieścia osiem cali. Widzi pan, na dwuwachtowym statku zawsze prawie połowa ludzi pracuje na pokładzie. Ich miejsca są wtedy wolne.

–Nawet jeśli przewidziane na hamak miejsce ma szerokość dwudziestu ośmiu cali, śpiący ludzie muszą dotykać się nawzajem.

–Cóż, to prawda, że śpią bardzo blisko siebie. Tak czy inaczej, mogą się wyspać, niezależnie od pogody. Zauważył pan na pewno, że hamaki zawieszane są w czterech poprzecznych rzędach. Od grodzi do tej belki, potem do tamtej, dalej tej z latarnią i

do grodzi dziobowej, koło kuchni. Bosman i cieśla mają swoje kabiny tam wyżej. Pierwszy rząd hamaków i część następnego zajmują żołnierze, pozostałe dwa i pół rzędu marynarze. Przyjmując więc średnio, pomimo masztu, dwadzieścia hamaków w rzędzie, wszyscy się tutaj mieszczą.

–To musi być prawdziwy dywan z ciał, nawet jeśli śpi tu tylko połowa załogi.

–Ma pan rację, sir.

–A gdzie są okna?

–Nie ma tu nic, co mógłby pan nazwać oknem... – Mowett pokręcił głową. – W pokładzie u góry są luki i gretingi, ale przy złej pogodzie wszystkie są zakryte.

–A izba chorych?

–Czegoś takiego tutaj nie mamy. Dla chorych przeznaczone są wiszące koje, znajdujące się przy dziobowej grodzi, z prawej burty, tuż koło kuchni. Chorzy mają też przywilej korzystania z latryny.

–Co to takiego?

–Cóż, właściwie to nie jest normalna latryna, raczej mała furta burtowa, która jednak dobrze spełnia swą funkcję. Na fregacie lub liniowcu wygląda to zupełnie inaczej.

–A czemu ma to służyć?

–Nie bardzo wiem, jak panu to wyjaśnić, sir... – Mowett zaczerwienił się. – To miejsce, gdzie chodzi się... za potrzebą.

–Wychodek?

–Właśnie.

–A jak radzą sobie inni? Czy mają może nocniki?

–Och, nie! Wielkie nieba! Wychodzą przez ten luk i idą na dziób. Po obu stronach dziobnicy urządzone są dwa ustępy.

–Na zewnątrz?

–Tak, sir.

–A gdy jest zła pogoda?

–Nadal wszyscy chodzą do ustępów na dziobie, sir.

–I wszyscy śpią w tym jednym pomieszczeniu bez okien? Cóż, jeśli kiedykolwiek wejdzie tu ktoś chory na tyfus, zarazę lub cholere, niech Bóg ma was w opiece.

–Amen, sir – dodał Mowett, wyraźnie poruszony pełnym racji stwierdzeniem doktora.

–To bardzo interesujący młody człowiek – powiedział Stephen, wchodząc do kapitańskiej kabiny.

–Młody Mowett? Cieszę się, że pan tak uważa. – Aubrey był czymś zmartwiony. – To dobrze, jeśli trafia się w załozde na porządnym ludzi. Ma pan ochotę na coś mocniejszego? Co pan powie na grog, nasz marynarski specjał? Pił pan go może już kiedyś? Na morzu czasami bardzo się przydaje. Simpkin, przynieś nam trochę grogu! Do licha... Przecież on rusza się jak żółw... Simpkin! Dawaj tutaj ten grog! Niech cię szlag trafi, bałwanie! Ach, jesteś wreszcie. Tego właśnie potrzebowałem... – Aubrey duszkiem opróżnił szklanicę. – Co za cholerny poranek! Każda wachta i podwachta musi w odpowiednich proporcjach składać się z doświadczonych i niedoświadczonych ludzi. Podobnie wygląda sprawa z obsadami wszystkich stanowisk bojowych. Te nie kończące się dyskusje. Na dodatek – kapitan ściszył nieco głos i pochylił się w stronę doktora – popełniłem przed chwilą poważną gafę... Odczytałem z listy nazwiska: Flaherty, Lynch, Sullivan, Michael Kelly, Joseph Kelly, Sheridan i Aloysius Burke... To Irlandczycy z nowej załogi, którzy narozrabiali w Liverpoolu... Potem powiedziałem: „Jeszcze kilku tych cholernych irlandzkich papistów i katolicy będą stanowić ponad połowę wachty bojowej prawej burty. Trudno będzie tam przejść, nie zaplątując się w różaniec"... Żartowałem, wie pan. Dopiero po chwili zmroziła mnie myśl: „Jack, jakiś ty głupi, przecież Dillon też pochodzi z Irlandii i może sądzić, że chcesz mu z tego powodu ubliżyć". Ja przecież nie mam nic przeciwko Irlandczykom. Nienawidzę tylko papistów. Dlatego próbowałem naprawić sytuację kilkoma celnymi uwagami pod adresem papieża. Obecni w kabinie oficerowie nie okazali się jednak tak bystrzy, jak mi się zdawało. W ogóle nie zareagowali.

–Rozumiem więc, że nienawidzi pan katolików? – za-Pytał Stephen.

–Och tak. Nienawidzę też papierkowej roboty. Papiści to podejrzana banda – odpowiedział Jack. – Ta ich spowiedź... No i chcieli wysadzić Parlament – dodał. – Boże, jak my kiedyś celebrowaliśmy dzień Piątego Listopada. Pewna moja znajoma, a raczej bliska przyjaciółka... Trudno sobie wyobrazić, jaka ona była miła... Jej matka poślubiła katolika, a ona tak się tym przejęła, że zaczęła uczyć się matematyki i... hebrajskiego. Nie uwierzy pan. Była najpiękniejszą dziewczyną w okolicy. Pomagała mi w nauce nawigacji... Nie wiem, jak tyle wiadomości mieściło się w jej głowie. Właśnie ta moja przyjaciółka opowiadała mi mnóstwo rzeczy o katolikach. Nie pamiętam teraz wszystkiego, ale wiem, że papiści to bardzo podejrzane towarzystwo. Nie można im ufać. Niedawno wywołali przecież powstanie.

–Ależ, kapitanie... Wśród Zjednoczonych Irlandczyków przeważali protestanci. Ich przywódcy byli protestantami: Wolfe Tone, Napper Tandy, Emmetowie, O'Connorowie, Simon Butler, Hamilton Rowan, lord Edward Fitzgerald... To wszystko protestanci. Istotą owego stowarzyszenia było dążenie do zjednoczenia wszystkich mieszkańców Irlandii: protestantów, katolików i prezbiterian. Cała inicjatywa wyszła właśnie od protestantów.

–Och, naprawdę? Cóż, jak pan widzi, niewiele o tym wiem. Myślałem, że wszystkiemu winni byli katolicy. Pełniłem wtedy służbę w Indiach Zachodnich. W każdym razie, po takiej porcji papierkowej roboty gotów jestem nienawidzić równocześnie papistów, protestantów, anabaptystów i metodystów. I Żydów. Nie, w istocie nie ma to dla mnie większego znaczenia. Obchodzi mnie za to coś innego: nie powinienem tak żartować w obecności Dillona. Wie pan, jak ważne są dla mnie dobre stosunki na okręcie. Moje słowa były prowokujące, a on i tak dostaje teraz w kość. Na pewno nie jest mu lekko: nowy statek, nowy kapitan, wachty, obowiązki zastępcy dowódcy. Dlatego chciałem maksymalnie mu wszystko ułatwić. Bez wzajemnego zrozumienia nie może być poprawnej współpracy i nie można nawet marzyć o tym, by ludzie byli zadowoleni. Dobry okręt wojenny to okręt z zadowoloną załogą – tak mawiał sam Nelson. Zapewniam pana, że miał absolutną rację. Dillon będzie jadł z nami obiad, dlatego sprawiłby mi pan wielką przyjemność... Ach! Panie Dillon, proszę do nas. Może napije się pan z nami grogu?

Po części z racji wykonywanego zawodu, i po części z powodu szczególnych cech charakteru, Maturin dawno już docenił korzyści płynące z milczenia przy stole. Nie odzywał się więc ani słowem, obserwując Dillona z ogromną uwagą. James nie zmienił się zbyt wiele: ta sama mała głowa uniesiona wysoko, te same ciemnorude włosy i zielone oczy, ta sama delikatna skóra, te same nieco bardziej niż ostatnio popsute zęby i owo coś, zdradzające szlachetne pochodzenie. Pomimo iż szczupły i raczej średniego wzrostu, porucznik zdawał się zajmować w kabinie tyle samo miejsca co potężny Jack Aubrey. Najważniejsza różnica polegała na tym, iż zniknęła gdzieś jego specyficzna aura wesołości. Dillon nie wyglądał tak, jakby za chwilę miał się roześmiać lub zażartować. Radość została z jego osobowości dokładnie wymazana i nie pozostał po niej nawet najmniejszy ślad. James był typowym irlandzkim ponurakiem. Zachowywał się bardzo poprawnie, z pewną rezerwą, był perfekcyjnie uprzejmy i grzeczny. Nie udawało się dostrzec w nim jakichkolwiek śladów posępnego rozgoryczenia bądź urazy.

Jedli całkiem znośną rybę – znośną, gdy została obdarta z grubej warstwy wymieszanej z wodą mąki. Potem steward przyniósł szynkę, która mogła pochodzić tylko z nienaturalnie skarłowaciałej świni. Właśnie tego rodzaju szynki zarezerwowane są dla oficerów, którzy sami kupują sobie prowiant. Porządnie umiałby ją pokroić jedynie jakiś wybitny znawca anatomicznych wybryków natury. Kapitan borykał się z trudami obowiązków pana domu, poganiając co chwila stewarda i radząc mu, by „stuknął się w swoją baranią głowę” i „ruszał się z życiem”.

James odwrócił się tymczasem do Stephena i zapytał z wymuszonym uśmiechem:

–Czy nie wydaje się panu, że kiedyś miałem już przyjemność pana spotkać? W Dublinie? A może w Naas?

–Nie sądzę, bym kiedykolwiek miał zaszczyt pana poznać, sir. Bardzo często myli się mnie z moim kuzynem, noszącym to samo nazwisko. Wszyscy mi mówią, że podobieństwo jest wprost uderzające, co wcale mnie nie cieszy. To nieciekawa kreatura o twarzy donosiciela, a w naszym kraju szpicłów i donosicieli nie lubi się bardziej niż gdziekolwiek indziej, prawda? Tak czy inaczej, podobnie nieprzyjemnych typów nam ostatnio nie brakuje, przynajmniej tak mi się wydaje... – Słowa te wypowiedziane były lekkim tonem, zwykłym podczas rozmów przy stole, na tyle jednak głośno, by siedzący po drugiej ręce Jacka Dillon mógł je bez trudu usłyszeć, gdy kapitan z uporem instruował stewarda:

–Powoli teraz. Ostrożnie. Postaraj się wykroić kilka mniej poprzerastanych kawałków... Spróbuj zacząć od rufy. Cienie! Nie zwracaj sobie głowy palcami...

–Całkowicie podzielam pańskie zdanie. – James porozumiewawczo spojrzał na doktora. – Może napije się pan ze mną wina, sir?

–Z największą przyjemnością.

Obaj wypili nawzajem swoje zdrowie i zajęli się pokrojoną wreszcie szynką. Jeden ze stoickim spokojem, drugi z czysto zawodową ciekawością.

Porto było niezłe i gdy zdjęto obrus, atmosfera przy stole stała się znacznie swobodniejsza.

–Proszę opowiedzieć nam o walce, jaką stoczył pan, dowodząc kutrem „Dart” – zaproponował Jack, dolewając Dillonowi wina. – Słyszałem wiele sprzecznych relacji...

–Tak, ja też chciałbym bardzo pana o to prosić – odezwał się Stephen. – Sprawiłby mi pan ogromną przyjemność. Naprawdę.

–Och, to nie było nic szczególnego. Zaręczam... – Dillon nie kazał im długo nalegać. – Po prostu starcie z kilkoma plugawymi piratami. Taka sobie zwada z udziałem niewielkich jednostek. Pełniłem tymczasowo obowiązki dowódcy wynajętego kutra. To niezbyt wielki, jednomasztowy okręt ze skośnym ożaglowaniem, sir – wyjaśnił, Maturin odpowiedział ukłonem. – Ów kuter nazywał się „Dart” i miał na pokładzie osiem czterofuntowych dział, co było niewątpliwie korzystne. Z drugiej strony do ich obsługi miałem tylko trzynastu mężczyzn i chłopca. Tak czy inaczej, otrzymałem rozkaz przewiezienia na Maltę królewskiego posłańca i dziesięciu tysięcy funtów w złocie. Ponadto kapitan Dockray poprosił mnie, bym zabrał ze sobą jego żonę i

siostrę.

–Pamiętam go, był pierwszym oficerem na „Thundererze” – wtrącił Jack. – To bardzo porządny i uprzejmy człowiek.

–To prawda. – James potwierdzająco skinął głową. – Wiał wtedy spokojny wiatr, w sam raz, by postawić topsel, wyszliśmy więc w morze. Po zachodzie słońca, gdy przebyliśmy, halsując, około piętnastu mil na zachód od Egadi, zerwał się silniejszy wiatr. Ponieważ brakowało mi ludzi i miałem na pokładzie damy, postanowiłem skryć się za wyspą Pantelleria. Przez noc wichura osłabła i morze znacznie się uspokoiło. Było wpół do piątej rano i goliłem się właśnie... Pamiętam dokładnie, gdyż paskudnie zaciąłem się wtedy w podbródek...

–A jednak! – zawołał Stephen z satysfakcją.

–...kiedy marynarz na oku zauważył żagiel. Natychmiast wybiegłem na pokład.

–Nic dziwnego! – uśmiechając się, powiedział Jack.

–Okazało się, że to trzy francuskie statki pirackie z łacińskim ożaglowaniem. Zrobiło się na tyle widno, iż bez trudu można je było dostrzec. Na horyzoncie pokazały się nie tylko ich żagle, ale i kadłuby. Obejrzałem dwa najbliższe przez lunetę. Każdy miał długą mosiężną sześćofuntówkę i po cztery jednofuntowe falkonetki na dziobie. Miałem już kiedyś z tymi Francuzami do czynienia, gdy służyłem na „Euryalusie”. Oczywiście mogli nas wtedy atakować jedynie od rufy.

–Ilu było ludzi na tych statkach?

–Od czterdziestu do pięćdziesięciu na każdym, sir. Jeśli chodzi o uzbrojenie, to oba miały jeszcze na burtach po tuzinie muszkietów i garlaczy. Trzeci musiał być podobny. Od dawna grasowały w Cieśninie Sycylijskiej, odpoczywając co jakiś czas w pobliżu Lampiona i Lampeduzy. Teraz miałem je na zawietrznej, o tak... – Porucznik rysował palcem w rozlanym na stole winie -...przy tym wiało dokładnie od strony tej karafki. Mogły doścignąć mnie, idąc ostro na wiatr, ich zamiarem było najwyraźniej związanie mnie walką z obu stron i dokonanie abordażu.

–Z pewnością – zgodził się Jack.

–Biorąc pod uwagę moje pasażerki, królewskiego posłańca, złoto i barbarzyńskie wybrzeże przed dziobem, gdybym próbował ucieczki – zdecydowałem się na atak. Wszystko wskazywało na to, iż najlepszym w tej sytuacji posunięciem będzie walka z każdym z nich oddzielnie, dopóki miałem przewagę względem wiatru i póki oba najbliższe statki nie zdążyły połączyć swych sił. Trzeci był wciąż w odległości trzech do czterech mil, halsując pod wszystkimi żaglami. W załodze kutra miałem ośmiu wspaniałych marynarzy; kapitan Dockray wysłał razem z paniami sternika swojej

łodzi, bystrego i silnego chłopca o nazwisku William Brown. Szybko przygotowaliśmy się do boju i potrójnie załadowaliśmy działa. Muszę przyznać, że obie damy wykazały się niezwykłą odwagą. Nigdy bym się tego po nich nie spodziewał. Poleciałem im, by udały się na dół, do ładowni. Pani Dockray odparła jednak, iż żaden młody szczeniak, bez kapitańskiego epoletu, nie będzie mówił jej, żonie doświadczonego starszego kapitana, co powinna zrobić. Stwierdziła też, że nie zamierza zniszczyć swojej muślinowej sukni w zębach mojego kajaka. Zagroziła mi wręcz sądem wojennym za tchórzostwo, brak szacunku, zuchwałość oraz nieznamość morskiego rzemiosła. Oświadczyła, iż jeśli zajdzie potrzeba, osobiście zwróci się w tej sprawie do Pierwszego Lorda Admiralicji! „Chodź, kochanie” – powiedziała do panny Jones. – „Ty zajmiesz się nakładaniem prochu, a ja włożę fartuch i będę nosić w nim ładunki na górę”. W tym czasie sytuacja zmieniła się nieco... – Dillon poprawił swój rysunek. – Najbliższy statek piracki był oddalony od nas o dwa kable, drugi był za nim, na zawietrznej. Oba strzelały już od dziesięciu minut ze swoich dziobowych pościgówek.

–Co to za odległość: kabel? – zapytał Stephen.

–Okolo dwustu jardów – wyjaśnił James. – Wyłożyłem więc ster z wiatrem... Mój kuter bardzo szybko chodził pełnymi kursami... Chciałem uderzyć dokładnie w śródkręcie Francuza. Przy wietrze z baksztagu „Dart” przebył dystans dzielący go od pirata w ciągu zaledwie minuty. Oni tymczasem zawzięcie nas ostrzeliwali. Sterowałem sam aż do chwili, gdy znaleźliśmy się w odległości strzału pistoletowego od ich burty. Oddałem wówczas ster chłopcu, a sam pośpieszyłem na dziób, by objąć dowództwo oddziału abordażowego. Na nieszczęście malec niedokładnie mnie zrozumiał i pozwolił, by statek piracki przesunął się za bardzo do przodu. Uderzyliśmy tuż za ich stermasztem. Nasz bukszpryt zerwał wanty, część rufowego relingu i zniszczył ster. Przeszliśmy im tuż za rufą, ich stermaszt pod wpływem uderzenia poleciał za burtę. Rzuciliśmy się do armat i posłaliśmy piratom morderczą salwę burtową. Mieliśmy akurat tylu ludzi, ilu potrzeba, by użyć czterech dział. Królewski posłaniec obsługiwał wraz ze mną jedno z nich, a Brown pomagał nam przy odtaczaniu naszej armaty, gdy tylko wypalił ze swojej. Zmieniłem kurs, chcąc przejść po zawietrznej naszego przeciwnika i przeciąć mu drogę, tak by nie mógł manewrować. Zasłonięty ich olbrzymimi żaglami, „Dart” stracił wiatr i przez chwilę trwała szybka, mordercza wymiana ognia. W końcu wysunęliśmy się do przodu, nasze płótna wreszcie się wypełniły. Tak prędko, jak to było możliwe, wykonaliśmy zwrot przed dziobem Francuza. Prawdę mówiąc, zrobiliśmy to odrobinę zbyt wcześnie, gdyż jedynie dwóch ludzi obsługiwało u nas żagle. Nasz bom uderzył w ich fokreję, zrywając ją, i spadający fok wyłączył z walki ich pościgówkę i falkonety. Gdy się obróciliśmy, gotowa była nasza salwa burtowa. Wystrzeliliśmy ją z tak bliskiej odległości, że od płonących strzępów przybitki zajął się ich fokżagiel i leżące na całym pokładzie szczątki stermasztu. Wtedy piraci skapitulowali i opuścili flagę.

–Wspaniała robota! – zawołał Jack.

–Był to najwyższy czas, gdyż drugi ich statek szybko się do nas zbliżał. Jakimś cudem nasz bukszpryt i bom były wciąż na swoich miejscach. Powiedziałem francuskiemu kapitanowi, iż zatopię jego statek bez litości, jeśli spróbuje postawić żagle i uciec. Nie miałem ludzi i nie mogłem nikogo wysłać, by przejąć zdobytą jednostkę. Przynajmniej nie w tym momencie.

–Jasna sprawa.

–Tak więc drugi Francuz zbliżał się do nas, idąc przeciwnym kursem. Piraci strzelali do nas od czasu do czasu ze wszystkiego, czym dysponowali. Gdy odległość zmniejszyła

do pięćdziesięciu jardów, odpadłem trochę, tak by przeciwnik znalazł się pod lufami dział na mojej prawej burcie. Po salwie natychmiast wyostrzyłem i z jakichś dwudziestu jardów oddaliśmy salwę z drugiej burty. Jej efekt był wprost niesamowity, sir. Nigdy nie przypuszczałem, że czterofuntowe działa mogą być tak skuteczne. Wystrzeliliśmy w dolinie fali odrobinę za późno, jak mi się zdawało, i nasze pociski uderzyły w linię wodną pirackiego statku w chwili, gdy pochylił się na przeciwną burtę. Widziałem, jak nasze kule dosięgły celu, wszystkie uderzyły w ten sam pas poszycia. Piraci rzucili broń i zaczęli krzyczeć coś głośno. Na nieszczęście Brown potknął się i odrzucone wystrzałem działo okrutnie zmiażdżyło mu stopę. Kazałem biedakowi zejść na dół, lecz odmówił. Oświadczył, iż pozostanie na pokładzie, usiądzie i weźmie muszkiet. Po chwili wykrzyknął uradowany, że Francuz tonie. Rzeczywiście. Najpierw woda wdarła się na ich pokład, potem, z postawionymi żaglami, poszli prosto na dno.

–Boże! – zawołał Jack.

–Tak. Ruszyłem w stronę trzeciego przeciwnika. Wszyscy na pokładzie zajęci byli splataniem i wiązaniem lin, gdyż nasz takielunek był w strzępach. Uszkodzenia masztu i bomu były jednak tak znaczne, że nie odważyłem się zanadto forsować żagli. Piraci oddalali się szybko, nie pozostawało mi więc nic innego, jak wrócić do pokonanej wcześniej jednostki. Na szczęście ci Francuzi przez cały czas zajęci byli gaszeniem pożaru, inaczej dawno już by się nam wymknęli. Zabraliśmy sześcioro z nich na nasz pokład, by obsługiwali pompy żęzowe, wyrzuciliśmy za burtę zabitych, zamknęliśmy pozostałych pod pokładem, wzięliśmy ich statek na hol i już po dwóch dniach dotarliśmy na Maltę. Trochę mnie to zdziwiło, gdyż nasze żagle pełne były pozaszywanych byle jak dziur, nasz kadłub wyglądał niewiele lepiej.

–Czy podjęliście z wody ludzi z zatopionego statku?

–Nie, sir.

–Byli piratami – wtrącił Jack. – Nie można było zawracać sobie nimi głowy, mając na

pokładzie tylko trzynastu dorosłych mężczyzn i chłopca. Jakie ponieśliście straty?

–Oprócz zmiążdżonej nogi Browna i kilku zadrapań nikt nie odniósł ciężkich obrażeń, sir. Nie zginął ani jeden człowiek. To zadziwiające. Po prostu było nas na pokładzie bardzo niewiele.

–A oni?

–Trzynastu zabitych, sir. Wzięliśmy dwudziestu dziewięciu jeńców.

–A na zatopionym statku?

–Pięćdziesięciu sześciu ludzi, sir.

–Jak liczną załogę miał statek, który uciekł?

–Czterdzieści osiem osób. Tak powiedzieli nam jeńcy. Trudno jednak brać ten trzeci statek pod uwagę. Wystrzelił do nas tylko kilka razy, zanim się przestraszył.

–Wspaniale, sir – powiedział Jack. – Z całego serca panu gratuluję. To była dobra robota.

–I ja również przyłączam się do tych gratulacji. Czy mogę napić się z panem wina? – zapytał Maturin z ukłonem i uniósł swój kieliszek.

–Słusznie! – zawołał Jack ożywiony nieoczekiwanym pomysłem. – Wypijmy zatem za ostatnie wspaniałe sukcesy irlandzkiego oręża i na pohybel papieżowi.

–Jeśli chodzi o to pierwsze, gotów jestem spełnić pański toast i tysiąc razy – ze śmiechem powiedział Stephen. – Co się tyczy drugiej jego części, odmawiam. Nie wypiję za to ani kropli. Ten biedak ma już dosyć kłopotów z Boneyem i to mu wystarczy. Poza tym jest bardzo wykształconym benedyktynem.

–Wobec tego na pohybel Boneyowi!

–Na pohybel! – zawołali i opróżnili kieliszki.

–Chyba mi pan wybaczy, kapitanie... – odezwał się Dillon. – Za pół godziny będzie zmiana wachty i chciałbym jeszcze raz sprawdzić, jak wszyscy są rozlokowani. Dziękuję za znakomity obiad.

–Boże, cóż to była za akcja – rzekł Aubrey z podziwem, gdy porucznik zamknął za sobą drzwi. – Czternastu ludzi przeciwko stu czterdziestu sześciu. Piętnastu, jeśli liczyć Panią Dockray... To naprawdę coś w stylu Nelsona: brawurowo uderzyć na wielokrotnie silniejszego nieprzyjaciela.

–Znał pan admirała Nelsona, kapitanie?

–Miałem zaszczyt służyć pod jego komendą w bitwie na Nilu... – odparł Jack. – Dwa razy jadłem obiad w jego towarzystwie. – Na twarzy kapitana pojawił się uśmiech.

–Czy mógłby mi pan powiedzieć, co to za człowiek?

–Och, przypadłby panu do serca. Na pewno. Jest bardzo drobny i wąły. Przy całym szacunku dla admirała, mógłbym podnieść go bez trudu jedną ręką. Jest jednak wielkim człowiekiem. Widać to od razu. W nauce jest coś, co nazywamy cząsteczką elektryczną, prawda? Naładowany atom, chyba wie pan, o co mi chodzi... Podczas każdego z tych posiłków Nelson odzywał się do mnie. Pierwsze jego wypowiedziane do mnie słowa brzmiały. „Czy mógłby pan podać mi sól, sir?” Zawsze staram się wymówić je tak samo jak on. Może zwrócił pan uwagę na intonację...? Za drugim razem – gdy rozmawiałem z siedzącym obok mnie żołnierzem, usiłując wytłumaczyć mu trochę morskiej taktyki: łamanie szyku, położenie względem wiatru i tak dalej – admirał wtrącił się w pewnej chwili i powiedział: „Niech pan nie zaprzęta sobie głowy manewrami. Proszę ich zawsze atakować”. Nigdy tego nie zapomnę: nie myśl wtedy o manewrach, atakuj! Podczas tego samego obiadu Nelson opowiadał nam, jak ktoś zaproponował mu, by w chłodną noc ubrał się w grubszy płaszcz. Admirał odparł wówczas, iż nie potrzebuje dodatkowego okrycia, gdyż jest mu wystarczająco ciepło – rozgrzewa go jego własna gorliwość w służbie królowi i ojczyźnie. To może brzmi trochę absurdalnie. Gdyby podobne słowa wypowiedział ktoś inny, należałoby krzyknąć, że to żalosna bzdura płynąca z czystego entuzjazmu. W przypadku Nelsona jednak... O co do diabła znów chodzi, panie Richards? Proszę się zdecydować, niech pan tak nie stoi w drzwiach!

–Sir... – nieśmiało odezwał się wystraszony klerk. – Powiedział pan, że mogę przynieść resztę dokumentów w porze herbaty, a steward właśnie wybiera się tu z herbatą.

–Dobrze, tak właśnie powiedziałem – zgodził się Jack. – Boże, co za stos. Proszę położyć to wszystko tutaj, panie Richards. Przejrzę te papiery, zanim dotrzemy do Cagliari.

–Te na wierzchu to pisma, które pan kapitan Allen zostawił do przepisania. Wymagają jedynie pańskiego podpisu, sir – wyjaśnił klerk, wychodząc tyłem z kabiny.

Jack zerknął na szczyt sterty, znieruchomiał i zawołał:

–Proszę! Coś podobnego! Na tym właśnie polega służba w Royal Navy! Wpadasz w patriotyczny ferwor, gotów jesteś natychmiast rzucić się w wir walki, a oni każą ci podpisywać coś takiego! – Podał Maturinowi starannie zapisaną kartkę papieru.

Slup Jego Królewskiej Mości „Sophie”

na morzu

Wasza Wysokość,

Zwracam się z pokorną prośbą o postawienie przed sądem wojennym niejakiego Isaaka Wilsona (marynarza) należącego do załogi slupa, którym mam zaszczyt dowodzić. Wymieniony wyżej marynarz wieczorem 16 marca popełnił nienaturalną zbrodnię stosunku płciowego z kozą.

Pozostaję uniżonym i pokornym sługą Waszej Lordowskiej Wysokości

Jego Wysokość Lord Keith, K.B. itd., itd. Admirał

–To ciekawe, jak ostro prawo traktuje sodomie – zauważył Stephen. – Znam przynajmniej dwóch sędziów, którzy są pederastami... no i paru adwokatów. Co stanie się z tym człowiekiem?

–Zostanie najzwyczajniej powieszony. Na noku rei. Będą przy tym łodzie ze wszystkich okrętów floty.

–To chyba pewna przesada.

–Oczywiście, że tak. Cóż to będzie za nuda. Co najmniej dwunastu świadków będzie musiało stawić się na okręcie flagowym: kilka dni pracy w porcie przepadnie, a „Sophie” stanie się pośmiewiskiem. Po co zgłaszać takie rzeczy? Kozę należy zaszlachtować, to na pewno, a potem powinno się ją podać na obiad w mesie człowiekowi, który złożył donos na tego biedaka.

–Czy nie lepiej byłoby zostawić ich obu na brzegu... na dwóch różnych brzegach... i odpłynąć po cichu?

–Cóż... – Jack wyraźnie się uspokoił. – Może i jest trochę rozsądku w tym, co pan proponuje. Filiżankę herbaty? Z mlekiem?

–Z kozim, sir?

–Chyba tak.

–W takim razie, proszę bez mleka. Z tego, co pamiętam, wspomniał pan, że artylerzysta jest chory. Sprawdzę, może uda mi się jakoś mu pomóc...

W tym samym czasie, w mesie oficerskiej, pierwszy nawigator przeciągnął się i powiedział:

–Sporo teraz miejsca przy stole, panie Ricketts.

–To prawda, panie Marshall – zgodził się ochmistrz.

–Dużo się ostatnio na okręcie zmieniło. Ciekawe, co z tego wszystkiego wyniknie.

–Myślę, że wszystko będzie w porządku. – Pan Marshall powoli zbierał okruchy z kamizelki.

–Te jego wyskoki... – mówił dalej ochmistrz przyciszonym, konspiracyjnym tonem.

–Grotreja. Działa. Poborowi, o których on niby miał nic nie wiedzieć. Ci wszyscy nowi, dla których brakuje miejsca. Wachty bez chwili odpoczynku. Charlie mówił mi, że ludzie zaczynają coraz głośniejsze narzekać.

–Wskazał głową w stronę kubryku załogi.

–To prawda. Wszystko uległo teraz zmianie. Rozleciały się stare wachty i stary porządek. Obawiam się też, że nasz młodzieniec z błyszczącym epoletem będzie czasami nieco zbyt kapryśny i porywczy. Jeśli jednak pomogą mu zrównoważeni i doświadczeni oficerowie, rezultat może okazać się pozytywny. Cieśla lubi nowego kapitana, podobnie bosman, gdyż ich zdaniem nasz dowódca jest dobrym żeglarzem. Również pan Dillon zna chyba bardzo dobrze morskie rzemiosło.

–Być może... – Ochmistrz z powątpiewaniem pokręcił głową. Zbyt dobrze znał pierwszego nawigatora i jego entuzjastyczne podejście do świata.

–Ponadto – kontynuował pan Marshall – może za sprawą naszego nowego dowódcy coś wreszcie będzie się działo. Ludzie polubią zmieniony porządek, gdy się do niego przyzwyczają. Podobnie oficerowie. Jestem pewny. Potrzeba tylko ich dobrej współpracy z kapitanem, a wszystko potoczy się gładko.

–Słucham? – zapytał ochmistrz, przykładając zwiniętą w trąbkę dłoń do ucha. Pan Dillon przestawiał właśnie działa i pośród nieustannego dudnienia towarzyszącego tej operacji co jakiś czas rozlegały się pojedyncze, głośniejsze uderzenia o pokład, zagłuszające słowa nawigatora. Nawiasem mówiąc, tylko dzięki temu ciągłemu hałasowi podobna rozmowa w mesie była możliwa. W zasadzie bowiem nie ma możliwości przeprowadzenia prywatnej rozmowy na okręcie długim na dwadzieścia sześć jardów, z ponad dziewięćdziesięcioma osobami na pokładzie. Obok mesy oficerskiej znajdowały się liczne mniejsze pomieszczenia, oddzielone od niej jedynie cienką warstwą drewna, a czasem tylko płótna żaglowego.

–Wszystko pójdzie gładko. Mówię panu. Jeśli oficerowie mu w tym pomogą, wszystko pójdzie gładko.

–Może. A jeśli tego nie zrobią? – W głosie pana Rickettsa słychać było

powątpiewanie. – Jeśli oficerowie nie będą chcieli współpracować z kapitanem, a on dalej będzie pozwalał sobie na podobne wysoki, co wtedy? Ośmielam się przypuszczać, że zejdzie z okrętu tak szybko, jak kiedyś pan Harvey. Bryg to nie fregata, a tym bardziej nie okręt liniowy. Tutaj jest się blisko podwładnych i czasem nie udaje się ich zbyt łatwo przełamać.

–Nie musi pan mi mówić, że bryg nie jest fregatą ani okrętem liniowym... – oburzył się pierwszy nawigator.

–Może rzeczywiście nie muszę panu tego mówić, panie Marshall – powiedział ciepło jego rozmówca. – Jednakże gdyby spędził pan na morzu tyle lat co ja, wiedziałby pan, iż od kapitana nie wymaga się, by był tylko dobrym żeglarzem. Pierwszy lepszy marynarz potrafi dowodzić okrętem w sztormie – mówił ochmistrz, ścisząc głos jeszcze bardziej. – Nawet baba w spodniach umiałaby też dopilnować, by pokłady

i schody zejściówek były wyszorowane. Tutaj potrzeba sporo rozumu... – Ricketts znacząco popukał się w głowę. – Potrzeba również spokoju, rozsądku i opanowania. Aby być kapitanem okrętu wojennego, trzeba umieć odpowiednio się zachowywać. Podobnych cech nie znajdzie się u pierwszego lepszego fircyka, pajaca czy zarozumiiałego bubka – dodał raczej do siebie. – Nie wiem, czy nie mam racji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przy luku zejściówki głucho zagrzecotał werbel. Pod pokładem rozległ się pełen nerwowego pośpiechu tupot stóp, który sprawił, iż odgłos bębna wydał się jeszcze bardziej nagły i natarczywy. Twarze wybiegających na pokład ludzi były jednak spokojne, jeśli nie liczyć poborowych z nowego zaciągu. Sygnał wzywał wszystkich na stanowiska – był to zwykły popołudniowy rytuał, który wielu członkom załogi dane było przechodzić już ze dwa lub trzy tysiące razy. Udawali się teraz biegiem na przydzielone miejsca przy określonych działach lub wybranych linach.

Tego, co działo się na pokładzie „Sophie”, nikt nie mógłby niestety nazwać udanym pokazem sprawności. Wiele zmieniło się w ustalonych i wygodnych starych zwyczajach. Uległy zmianie dawne obsady dział, a wystraszonych, przypominających stado zagubionych owiec rekrutów przepędzano tu i tam, by znaleźć dla każdego właściwe miejsce. Ponieważ na razie nadawali się jedynie do wybierania lin pod nadzorem, śródkręcie brygu było tak zatłoczone, iż ludzie potykali się jedni o drugich i wpadali na siebie. Potrzeba było aż dziesięciu minut, by ustało zamieszanie na pokładzie i marsach okrętu. Jack stał, przyglądając się temu obojętnym wzrokiem zza steru, podczas gdy Dillon chrapliwym głosem wykrzykiwał rozkazy. Podoficerowie i podchorążowie biegali nerwowo tu i tam, świadomi wzroku kapitana i tego, iż ich gorliwość niczego nie poprawi. Aubrey spodziewał się pewnych trudności, lecz nie aż tak horrendalnego bałaganu. Na szczęście wrodzony dobry humor, połączony z radością, jaką dawało kierowanie nawet tą nieco rozregulowaną machiną, przeważał nad innymi, mniej pozytywnymi emocjami.

–Dlaczego oni to robią? – zagadnął Stephen, stojący tuż obok. – Czemu biegają z takim przejęciem?

–W tym zamieszaniu chodzi o to, by każdy członek załogi wiedział dokładnie, gdzie jest jego miejsce podczas walki lub niebezpieczeństwa – wyjaśnił Jack. – Widzi pan? Obsady dział są już na swoich miejscach, tak samo żołnierze piechoty morskiej, dowodzeni przez sierżanta Quinna. Również na forkasztelu wszyscy są na wyznaczonych stanowiskach, z tego, co widzę. Na śródkręciu też już chyba wszystko w porządku. Proszę spojrzeć: przy każdej armacie stoi jej dowódca i celowniczy zarazem, obok ładowniczy z wyciorem i człowiek z oddziału abordażowego, ten z krótką szablą. Jest tam także marynarz do obsługi żagli, który odchodzi od dział, gdy podczas walki zachodzi na przykład potrzeba podbrasowania rej. No i strażak z wiadrem, mający gasić w zarodku pożary. Teraz Pullings melduje Dillonowi gotowość swojego oddziału. To już nie potrwa długo.

Na małym pokładzie rufówki przebywało jednocześnie bardzo wielu ludzi: pierwszy nawigator dowodzący sterem, oficer wachtowy za kołem sterowym, sierżant piechoty morskiej z oddziałem strzelców, odpowiedzialny za sygnalizację

podchorąży, część podwachtę rufowej, obsady dział, James Dillon, klerk i inni. Jack i Stephen spacerowali tak, jakby poza nimi na rufie nie było nikogo. Jack wydawał się otoczony jakąś szczególną, kapitańską aurą, a Maturin wyraźnie pozostawał pod jej urokiem. Sytuacja taka dla Jacka była czymś całkowicie normalnym, stanowiła fragment świata znanego od dziecka. Doktor przeżywał coś zupełnie nowego. Doświadczył jakby obecności znajdującej się gdzieś w pobliżu śmierci. Martwi byli ci wszyscy ludzie, ulotne cienie po drugiej stronie szklanej szyby, albo on sam nie żył. W takim razie nie umarł chyba do końca... Dawno już przyzwyczał się do przebywania w podobnej, wyidealizowanej i pozbawionej barw przestrzeni. Teraz nie był jednak samotny. Miał towarzysza.

–Pańskie stanowisko będzie na dole, w miejscu, które nazywamy kokpitem. Oczywiście to nie jest prawdziwy kokpit, podobnie jak nasz forkasztel nie jest prawdziwym forkasztelem, podniesionym wyżej względem głównego pokładu. W każdym razie pewną część okrętu nazywamy kokpitem, a pan powinien się tam znajdować z przygotowanymi instrumentami. Funkcję stołu operacyjnego pełnią wtedy skrzynie denne...

–Czy tam właśnie powinienem mieszkać?

–Ależ nie. Postaramy się dla pana o coś wygodniejszego. Nawet gdy już będzie pan podlegał przepisom prawa wojennego – mówił Jack z uśmiechem – przekona się pan, że szanujemy wykształcenie. Na pewno zasługuje ono na dziesięć stóp kwadratowych samodzielnej kabiny i tyle świeżego powietrza na kapitańskim pokładzie, ile tylko pan zapagnie.

Maturin skinął głową.

–Proszę mi powiedzieć... – odezwał się przyciszonym głosem -...czy gdy już będę podlegał wojskowej dyscyplinie, ten człowiek będzie miał prawo mnie wybatożyć? – Ruchem głowy wskazał pana Marshalla.

–Pierwszy nawigator? – zawołał kapitan zdumiony.

–Tak. – Stephen z natężoną uwagą wpatrywał się w twarz swego rozmówcy.

–Ależ... On jest przecież nawigatorem... – wykrztusił Jack. Gdyby doktor nazwał dziób „Sophie” rufą lub pomylił pokład ze stępką, byłby chyba znacznie mniej zdziwiony. Nie mieściło mu się w głowie, iż ktokolwiek może nie rozumieć obowiązującego na okręcie systemu starszeństwa i podległości. Jak można pomylić status kapitana z pozycją pierwszego oficera, oficera wachtowego bądź podoficera, ów naturalny porządek, na którym opiera się istnienie całego morskiego świata? Przez dłuższą chwilę Jack nie potrafił sobie poradzić z taką myślą. Nigdy nie uważał się za mędrca, nigdy nim też nie był, lecz na szczęście myślał wystarczająco szybko:

tylko dwa razy wciągnął powietrze jak wyjęta z wody ryba i powiedział: – Wierzę, że po prostu pomylił pan obowiązujące w marynarce rangi i stopnie... Pan Marshall wydaje komendy na ster, lecz sam podlega dowódcy okrętu. Kiedyś wyjaśnię to panu bardzo dokładnie. W każdym razie... Nie, pan na pewno nigdy nie zostanie wychłostany. Nie, nie pan. – Patrzył na doktora z nie ukrywanym podziwem dla jego bezgranicznej wprost ignorancji, daleko wykraczającej poza najśmielsze ludzkie wyobrażenia.

James Dillon rozbił w końcu szklany klosz, pod którym przebywali.

–Wszyscy na stanowiskach, sir – zameldował.

–Bardzo dobrze, panie Dillon – odpowiedział Jack. – Poćwiczmy sobie teraz strzelanie z dział.

Czterofuntowa armata nie może wyrzucić z lufy zbyt wielkiej masy metalu i jej pociski nie przebijają z odległości pół mili dębowych belek o grubości dwóch stóp, jak to jest w przypadku armaty trzydziestodwufuntowej. Te trzycalowe kule z lanego żelaza lecą jednak do celu z prędkością tysiąca stóp na sekundę i potrafią wyrządzić spore szkody. Sama armata jest niezwykłym urządzeniem. Jej lufa ma sześć stóp długości, waży dwanaście cetnarów i spoczywa na solidnej dębowej lawecie. Po wystrzale całe działo odskakuje do tyłu jak jakaś dzika, żywa istota.

„Sophie” uzbrojona była w czternaście takich armat, po siedem na każdej burcie. Dwie z nich, znajdujące się najbardziej z tyłu, na pokładzie rufówki, miały lufy wykonane z lśniącego mosiądzu. Każde działo obsługiwała załoga złożona z czterech osób i mężczyzny lub chłopca przynoszącego proch z magazynu. Zespołami dział dowodzili podchorążowie lub oficerowie nawigacyjni. Pullings kierował sześcioma działami na dziobie, Ricketts czterema na śródokręciu, a Babbington czterema na rufie.

–Panie Babbington, gdzie jest prochownica? – zapytał Jack chłodno.

–Nie wiem, sir – wykrztusił Babbington, czerwony na twarzy. – Gdzieś się zapodziała...

–Ładowniczy, proszę iść do pana Daya, nie... do któregoś z jego pomocników, ponieważ pan Day jest chory... i przynieść inną.

Inspekcja pozostałych dział nie ujawniła dalszych istotnych niedociągnięć. Gdy jednak kilka razy przeciwczono obie salwy rufowe – to znaczy wykonano wszystkie czynności bez wystrzału – twarz kapitana mocno się wydłużyła i posmutniała. Ludzie byli niewiarygodnie wręcz powolni. Widocznie nauczono ich jedynie strzelać równocześnie pełnymi salwami, bez jakiegokolwiek indywidualnej wymiany ognia. Wydawali się zadowoleni z siebie, gdy w tempie dostosowanym do

najpowolniejszego z nich, podciągali ostrożnie armaty do furt strzelniczych. Ćwiczenie to przypominało pantomimę w zwolnionym tempie. To prawda, iż monotonna służba w konwojach nie sprzyjała artyleryjskiej sprawności i zaufaniu do dział. Mimo to... „Chciałbym móc pozwolić sobie na kilka baryłek prochu...” – rozmyślał Aubrey, mając przed oczami rachunki za dostawy dla artylerzysty: czterdzieści dziewięć małych baryłek, o siedem mniej, niż przewidywał pełny przydział. Czterdzieści jeden baryłek czerwonego prochu o grubych ziarnach, siedem białego o dużych ziarnach i zdwojonej sile wybuchu oraz jedna baryłka drobnego prochu do odpalania. W każdej baryłce mieściło się czterdzieści pięć funtów i by ją opróżnić, wystarczały dwie pełne salwy burtowe. „To nic...” – zastanawiał się dalej. – „Wydaje mi się, że możemy wystrzelić kilka razy. Bóg jedyny wie, od jak dawna te ładunki leżą w lufach. Poza tym...” – dodał w głębi jego duszy jakiś wewnętrzny głos – „...pomyśl o tym cudownym zapachu...”

–Dobrze – powiedział Jack głośno. – Panie Mowett, niech pan będzie tak dobry i pójdzie do mojej kabiny. Proszę usiąść przy stole i dokładnie zapisywać czas, jaki upłynie między pierwszym a drugim wystrzałem z każdego dział. Panie Pullings, zaczniemy od pańskiej baterii. Numer jeden. Cisza na pokładzie!

Na okręcie zapanowało grobowe milczenie. Wiejący z ostrego baksztagu wiatr zawodził jednostajnie w naprężonych na nawietrznej linach takielunku. Ludzie z obsady pierwszego dział nerwowo oblizywali wargi. Ich armata znajdowała się w zwykłej pozycji spoczynkowej, dosunięta ciasno do furty burtowej i umocowana linami w tej pozycji; była odstawiona na bok, wyłączona z użytku.

–Zwolnić dział!

Obsługa wyluzowała talie przytrzymujące armatę przy burcie. Przecięto wiązania z rozkręconych pokrętek lin, dodatkowo unieruchamiające lawetę. Głośne skrzywienie rolek oznajmiło, iż armata może się już poruszać. Ludzie trzymali teraz końce talii po obu stronach, w przeciwnym razie, na skutek przechyłu, dział odtoczyłoby się od burty, zanim padłaby następna komenda. Talia odciągająca lawetę do tyłu nie była na razie potrzebna.

–Wypoziomować! Ładowniczy wsunął handszpak pod grubszy koniec lufy i energicznym ruchem uniósł ją do poziomu. Celowniczy i równocześnie dowódca dział numer jeden wsunął pod lufę, prawie do połowy, drewniany klin, unieruchamiając ją w horyzontalnej pozycji wyjściowej.

–Odczopować!

Obsługujący talie ludzie pozwolili armacie odjechać szybko do tyłu. Uprząż powstrzymała lawetę w chwili, gdy węższy koniec lufy znalazł się nad pokładem, mniej więcej na stopę od burty. Marynarz (ten od żagli) wybił z wylotu dział

rzeźbioną, starannie pomalowaną zatyczkę.

–Podtoczyć!

Wszyscy członkowie obsady chwycili talie i wspólnie podciągnęli armatę do burty. Wolne końce lin zostały natychmiast zwinięte w małe, zgrabne buchty.

–Podsypać!

Celowniczy włożył specjalne narzędzie do otworu w tylnej części lufy, przebijając flanelowy worek z ładunkiem. Używając prochownicy w kształcie rogu, nappełnił wnętrze otworu drobnym prochem, następnie jej węższym końcem rozprowadził podsypkę równo na panewce. Ładowniczy przykrył panewkę dłonią, by wiatr nie zdmuchnął prochu, strażak przewiesił sobie prochownicę z tyłu przez ramię.

–Celuj! – Kapitan uzupełnił ten rozkaz: – Jak leży! Nie chciał wprowadzać na tym etapie zbędnych kombinacji związanych z obracaniem lub podnoszeniem lufy. Dwóch członków obsady działa trzymało końce talii, ładowniczy przyklął na jedno kolano i dmuchał delikatnie na rozżarzony koniec wolno spalającego się lontu, wyjętego ze specjalnego pojemnika. Przynoszący proch chłopiec stał z następnym, umieszczonym w skórzanym pudełku ładunkiem, dokładnie za armatą, na prawej burcie. Celowniczy pochylił się nad działem i przykrywając dłonią proch na panewce, patrzył wzdłuż lufy.

–Ognia!

Celowniczy, dowódca obsady, przycisnął do podsypki podany mu szybkim ruchem przez ładowniczego lont. Przez ułamek sekundy słychać było głośnie syczenie, błysnął płomień i armata wypaliła. Ważący ponad funt ładunek twardego ubitego prochu eksplodował w ciasnym wnętrzu lufy z donośnym hukiem. Niemal w jednej chwili pojawiła się chmura dymu i strumień ognia, rozległ się głośny trzask napiętej gwałtownie uprząży, gdy pchnięte odrzutem działło odskoczyło o osiem stóp do tyłu, pod zgiętym ciałem celowniczego i między stojących po bokach ludzi; w powietrze pofrunęły strzępy płonącej przybitki... Wystrzał nie przebrzmiał jeszcze, a już padł następny rozkaz.

–Zaślepić! – zawołał kapitan, patrząc za lecącym pociskiem.

Obłok białego dymu odpływał tymczasem szybko na zawietrzną. Celowniczy włożył specjalną zatyczkę do otworu z tyłu lufy. Wystrzelona przed chwilą kula uderzyła w pofalowaną powierzchnię morza, sto jardów od okrętu, odbiła się raz i drugi, wzbijając fontanny wody, i utonęła pięćdziesiąt jardów dalej. „Sophie” pochyliła się mocniej na fali i obsada działa rzuciła się do tylnej talii, by przytrzymać je z dala od burty.

–Wyczyścić!

Ładowniczy pośpiesznie wrzucił pokryty owczą skórą koniec wycioru do wiadra strażaka. Włożył głowę w wąską przestrzeń między wylotem działa i burtą, wystawił koniec tyczki na zewnątrz przez furtę działową i wsunął wycior w głąb lufy. Obrócił nim umiejętnie kilka razy i wyciągnął: koniec był czarny, z przyklepionym dymiącym kawałkiem płótna.

–Ładuj!

Chłopiec trzymał już w pogotowiu podłużny worek wypełniony prochem. Ładowniczy umieścił ładunek w lufie i przybił go mocno. Celowniczy sprawdził przez otwór panewki, czy worek z prochem dotarł na swoje miejsce, i zawołał:

–Gotowe!

–Kula!

Wszystko było przygotowane: pocisk i przybitka, lecz pech chciał, że kula wypadła z niezgrabnych rąk i potoczyła się po pokładzie w stronę przedniego luku. Zdenerwowani celowniczy, ładowniczy i chłopiec rzucili się za nią w pogoń. W końcu pocisk został załadowany i przybity. Kapitan zawołał:

–Na miejsce! Podsypać! Celuj! Ognia! Panie Mowett! – krzyknął przez świetlik kabiny. – Jaki czas?

–Trzy i trzy czwarte minuty, sir.

–Boże, Boże – wyszeptał Jack prawie do siebie. W jego słowniku nie było słów zdolnych wyrazić, jak był rozczarowany.

Ludzie z oddziału Pullingsa wydawali się zawstydzeni. Członkowie obsady działa numer trzy, rozebrani do pasa, z głowami przewiązаныmi chustkami, popluwali w ręce nerwowo. Sam pan Pullings biegał dookoła armaty, przedstawiając coś pośpiesznie.

–Cisza na pokładzie! Zwolnić dział! Odczopować! Wypoziomować! Na miejsce...

Tym razem poszło nieco lepiej. Niewiele ponad trzy minuty. Kula nie potoczyła się po pokładzie, a pan Pullings pomagał im odciągać dział, wybierając tylną talię. Patrzył przy tym obojętnym wzrokiem w niebo, jakby na dowód, że nie jest tam naprawdę obecny.

W miarę jak strzelały kolejne armaty, Jack popadał w coraz głębszą melancholię. Obsługę dział numer jeden i trzy stanowili najbardziej na „Sophie” doświadczeni

ludzie. Osiągnięty przez nich rezultat był więc szczytem możliwości załogi. Tragedia. Gdyby doszła konieczność celowania, obracania i podnoszenia luf z użyciem handszpaków oraz łomów, wynik byłby jeszcze gorszy. Armata numer pięć nie wystrzeliła w ogóle – zamókl przygotowany w lufie ładunek. Będzie musiała zostać rozładowana i ponownie nabita. Coś takiego mogło się zdarzyć na każdym okręcie, lecz na nieszczęście dotyczyło to również dwóch dział na prawej burcie.

Na czas strzelania z dział prawoburtowych „Sophie” wyostrzyła do wiatru, by przypadkowo nie został trafiony któryś ze statków konwoju. Kołysała się spokojnie na fali, a jej załoga zajęta była wydobywaniem z działa ostatniego zamoczonego ładunku. Maturin uznał, iż korzystając z tej chwili względnego spokoju, może zwrócić się do kapitana.

–Przepraszam, czy mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego te dwa statki są tak blisko siebie? Czy rozmawiają ze sobą, czy może udzielają sobie nawzajem pomocy? – Pokazał palcem ponad ułożonymi w siatce hamakami. Jack spojrział we wskazanym kierunku, na ostatnią jednostkę w konwoju – norweskiego keta „Dorothe Engelbrechtsdatter”. Przez moment nie mógł uwierzyć własnym oczom.

–Do brasów! – zawołał wreszcie. – Ster lewo na burtę! Wybierać na dziobie! Biegiem! Grot na gejtawy!

Najpierw powoli, potem coraz szybciej „Sophie” odpadała od wiatru z wypełnionymi, zbrasowanymi mocno przednimi żaglami. W chwilę później wiatr wiał już z prawego trawersu, zaraz potem z rufy. Okręt znieruchomiał na nowym kursie i ruszył do przodu. Na pokładzie zapanowało, co prawda, pewne zamieszanie: ludzie biegali tu i tam przy wtórze wściekłych gwizdków bosmana i jego ludzi, lecz załoga zdecydowanie lepiej radziła sobie z żaglami niż przy działach. Dlatego już po paru minutach Jack mógł zawołać:

–Postawić rejowego grota! Boczne marsle! Panie Watt... Łańcuchy! Widzę, że sam pan wie, co należy robić!

–Tak jest, sir. – Bosman oddalił się z brzękiem, obwieszony łańcuchami, które miały za zadanie zabezpieczyć reje, tak by drzewce nie spadały na pokład podczas walki.

–Mowett, proszę wejść na górę z lunetą i meldować mi, co pan widzi. Panie Dillon, niech pan zapamięta, kto pełnił służbę na oku. Zajmiemy się nim jutro, jeśli przeżyje. Panie Lamb, czy gotowe są kołki do uszczelniania otworów po kulach?

–Tak jest, sir – odpowiedział cieśla z uśmiechem, gdyż pytanie wydało mu się raczej niepoważne.

–Na pokładzie! – Mowett wołał z masztu. – To algierska galera! Weszli na pokład keta! Jeszcze go nie zdobyli! Myślę, że Norwegowie zabarykadowali się pod

pokładem.

–Czy widać coś na nawietrznej?

Podchorąży zwlekał z odpowiedzią. Na pokład brygu docierały już odgłosy strzałów pistoletowych na zaatakowanym statku.

–Tak, sir. Żagiel. Łaciński. Dokładnie pod wiatr. Nie widzę kadłuba. Płynie na wschód. Dokładnie na wschód, tak mi się zdaje...

Jack skinął głową i spojrzał na stojące po obu burtach działa. Zawsze był potężnym mężczyzną, lecz teraz wydawał się prawie dwukrotnie większy niż zwykle. Jego błękitne jak morze oczy zaśniły, na zaróżowionej z podniecenia twarzy pojawił się uśmiech. Podobna zmiana zaszła i w brygu. Z postawionym nowym rejowym grotzagle i bocznymi marslami „Sophie”, tak jak jej kapitan, jakby podwoiła rozmiary. Z impetem torowała sobie drogę przez fale.

–Panie Dillon! – zawołał Aubrey. – To pomyślny zbieg okoliczności, prawda?

Stephen, przyglądający się dotąd uważnie kapitanowi, dostrzegł, iż również James Dillon jest dziwnie ożywiony, podobnie jak cała załoga. Tuż obok żołnierze piechoty morskiej sprawdzali skałki muszkietów. Jeden ze strzelców polerował klamrę swego pasa. Chuchał na nią starannie, uśmiechając się do siebie z zadowoleniem między kolejnymi dmuchnięciami.

–Tak, to prawda – przyznał Dillon. – Nie można sobie wymarzyć równie szczęśliwego przypadku.

–Proszę dać sygnał statkom konwoju, by zmieniły kurs o dwa rumby w lewo i zredukowały żagle. Panie Richards, czy zapisał pan czas? Musi pan dokładnie notować czas tych wszystkich wydarzeń. Panie Dillon... Co oni sobie myślą? Czy sądzili, że jesteśmy zbyt zajęci? Ślepi? Nie ma teraz zresztą czasu na... Oczywiście dokonamy abordażu, jeśli Norwegowie będą bronili się wystarczająco długo. Nie chcę w każdym razie strzelać do galery. Myślę, że można wydać załodze białą broń i wszystkie pistolety. A teraz, panie Marshall... – zwrócił się do stojącego za sterem nawigatora, który odpowiadał w tej chwili za prowadzenie okrętu. – Niech pan ustawi nas burtą do tego cholernego Maura. Może pan postawić dolne żagle boczne, jeśli nasz bryg to wytrzyma. – Gdy mówił te słowa, artylerzysta niepewnym krokiem wyszedł spod pokładu. – Panie Day, cieszę się, że pana widzę. Czy już panu lepiej?

–Czuję się całkiem dobrze, sir. Dziękuję – odpowiedział. – Dzięki temu oto dżentelmenowi! – Skinął głową w kierunku doktora. – Bardzo mi to pomogło... – rzekł, spoglądając za rufę. – Pomyślałem, że zamelduję panu powrót do służby, sir.

–Cieszę się. Bardzo się cieszę. To chyba szczęście, że pan wyzdrowiał, panie Day,

prawda? – zagadnął Jack.

–No cóż... Chyba tak, sir. Pańska kuracja podziałała, doktorze, jak jakieś czary – odparł artylerzysta, z zaciekawieniem przyglądając się oddalonemu o milę ketowi „Dorothe Engelbrechtsdatter”, pirackiej galerze, przygotowanym do boju działom i ludziom na pokładzie „Sophie”.

–Ćwiczyliśmy sobie – zaczął mówić Jack prawie do siebie – a ten bezczelny pies zakradł się na wiosłach, pod wiatr, do ostatniego statku w konwoju. Co te dranie sobie w ogóle myślą? Mało brakowało, a daliby drapaka, gdyby nie nasz doktor.

–Nigdy nie spotkałem tak wspaniałego lekarza – z przekonaniem stwierdził artylerzysta. – Tak uważam. Myślę, że teraz zejdę do mojego magazynu. Zajmę się rozdzielaniem pozostałego prochu. Zdaje mi się, że sporo go będzie za chwilę panu potrzeba... Cha, cha, cha!

–Drogi panie... – zwrócił się Jack do Maturina, zarazem oceniając wzrastającą prędkość „Sophie” i odległość dzielącą ich od keta. W tym stanie nagłego ożywienia mógł jednocześnie z perfekcyjną sprawnością kalkulować, rozmawiać z doktorem i analizować tysiące zmieniających się okoliczności. – Czy woli pan zejść na dół czy pozostanie pan na pokładzie? A może chciałby pan wejść z muszkietem na marsa grotmasztu i postrzelać sobie do tych łajdaków?

–Nie, nie, nie – odparł Stephen. – Nienawidzę przemocy. Moim zadaniem jest nie zabijać, ale leczyć. Jeśli już zabijać, to przypadkiem, w dobrej wierze. Proszę pozwolić mi udać się na moje stanowisko w... kokpicie.

–Liczyłem na to, że pan tak postąpi – przyznał Jack, ściskając dłoń doktora. – Nie śmiałem jednak panu tego zaproponować jako swojemu gościowi. Pańska pomoc bardzo podniesie nas wszystkich na duchu. Naprawdę. Panie Ricketts, proszę zaprowadzić doktora Maturina do kokpitu. Proszę też pomóc sanitariuszowi przy skrzyniach!

Slup o kadłubie głębokim zaledwie na dziesięć stóp i dziesięć cali nie może rywalizować z okrętem liniowym, jeśli chodzi o mroczne i pozbawione dopływu świeżego powietrza pomieszczenia pod pokładem. Mimo to „Sophie” radziła sobie z tym zaskakująco dobrze. Stephen zmuszony był posłać po jeszcze jedną lampę, ponieważ chciał sprawdzić i rozłożyć instrumenty medyczne oraz niewielki zapas bandaży, szarpi, opasek uciskowych i opatrunków. Siedział tam teraz, możliwie blisko światła, czytając *Morską praktykę lekarską* Northcote'a: „...oddzieliwszy skórę, poproś swego pomocnika, by uniósł ją jak najwyżej; następnie przetnij mięśnie i kości okrężnymi ruchami...” W tym momencie na dół zszedł Jack – w wysokich butach, ze szpadą u boku. W dłoniach trzymał dwa naładowane pistolety.

–Czy mógłbym skorzystać z pomieszczenia obok? – zapytał Stephen i przeszedł na łacinę: – Moi pacjenci mogliby poczuć się niepewni, widząc, że zaglądam do książek.

–Oczywiście, oczywiście! – zawołał Jack, nie zaprzatając sobie łaciną głowy. – Co tylko pan zechce. Zostawiam panu tę broń. Możemy próbować abordażu, jeśli uda nam się do nich zbliżyć. Wie pan... Potem oni mogą usiłować wdrzeć się na nasz pokład. Trudno przewidzieć, co się wydarzy. Te przeklęte algierskie galery mają zwykle bardzo liczne załogi. Maurowie to wściekłe psy... uwielbiają podrzynać gardła... – dodał, śmiejąc się serdecznie i znikając w mroku.

Kapitan był na dole tylko przez chwilę, lecz w tym czasie sytuacja bardzo się zmieniła. Gdy wrócił na rufę, Algierczycy objęli już keta w posiadanie: zdobyty przez nich statek odpadał od wiatru. Stawiali bezana, najwyraźniej próbowali uciec. Galera znajdowała się w pobliżu keta, oddalona od niego o jedną swą długość, nieruchoma, z zanurzonymi w wodzie długimi wiosłami

–czternastoma z każdej burty. Jej dziób skierowany był dokładnie w stronę „Sophie”, duże łacińskie żagle wisiały luźno pod rejami na podebranych gejtawach: długi, wąski i smukły statek, znacznie dłuższy, lecz węższy niż „Sophie”, bez wątpienia bardzo szybki i dobrze dowodzony. Było w nim coś złowieszczonego, przywodzącego na myśl jadowitego gada. Zamiar piratów był jasny: związanie walką „Sophie” przynajmniej na tyle, by ket zdołał odpłynąć o milę lub dwie w stronę nadchodzącej nocy.

Odległość wynosiła teraz niewiele ponad ćwierć mili. Pozycje poruszających się jednostek nieustannie się zmieniały: ket odpływał coraz szybciej, po czterech lub pięciu minutach oddalił się już z wiatrem o kabel od galery, która wciąż stała w miejscu z zanurzonymi wiosłami.

Na jej dziobie pojawił się obłok dymu, pocisk przeleciał ze świstem prawie na wysokości salingu grotmasztu i do brygu doleciał głuchy odgłos wystrzału armatniego.

–Proszę zapisać czas – zwrócił się Jack do bladego jak ściana klerka. Twarz chłopaka zmieniła się, jego przerażone oczy zdawały się wychodzić z orbit.

Jack ruszył w stronę dziobu, w samą porę, by dostrzec błysk wystrzału drugiego działa galery. Kula z niesamowitym brzękiem uderzyła w trzon najlepszej kotwicy dziobowej „Sophie”, zgięła go wpół i wpadła do morza daleko od dziobu.

–Osiemnastofuntówka – powiedział do stojącego na swym stanowisku na dziobie bosmana. – Może nawet dwudziestka czwórka. Ech, przydałyby się moje długie dwunastki...

–dodał w duchu. Galera nie miała baterii burtowych, to zrozumiałe, jej działa

ustawione były na dziobie i na rufie. Przez lunetę Aubrey dostrzegł, że przednia bateria Algierczyka składa się z dwóch ciężkich dział, jednego lżejszego i kilku falkonetów. Podczas zbliżania się „Sophie” będzie przez cały czas narażona na ich ogień. Falkonety zaczęły właśnie strzelać z głuchym trzaskiem.

Jack wrócił na rufę.

–Cisza na pokładzie! Zwolnić działa! Odczopować! Podtoczyć! Panie Dillon, proszę skierować lufy tak daleko do przodu, jak to możliwe. Panie Babbington, niech pan powie artylerzyście, że w następnej kolejności załadujemy łańcuchami.

Osiemnastofuntową kulą armatnia uderzyła w lewą burtę „Sophie”, tuż między działami numer jeden i trzy, zasypując pokład gradem ostrych dębowych drzazg. Niektóre fruujące w powietrzu kawałki drewna miały po dwie stopy długości. Pocisk poleciał dalej, wzdłuż zatłoczonego pokładu, przewrócił żołnierza piechoty morskiej i uderzył o grotmaszt, do końca wytracając impet. Rozległy się okrzyki, dowód na to, że odłupane od burty drzazgi pokaleczyły kogoś. Po chwili dwóch marynarzy pośpieszyło do kokpitu, niosąc rannego kolegę. Na pokładzie pozostał po nich krwawy ślad.

–Czy wszystkie działa załadowane są kulami? – zapytał kapitan.

–Tak jest, sir – padła odpowiedź po krótkiej pauzie.

–Najpierw salwa z prawej burty. Celować w ich kierunku, wysoko, mierzyć w maszty. Dobrze, panie Marshall... Jedziemy!

„Sophie” zmieniła kurs o czterdzieści pięć stopni, zwracając się prawą burtą w stronę galery, która natychmiast odpowiedziała następną osiemnastofuntową kulą. Tym razem pocisk uderzył w środek burty, nieco powyżej linii wodnej. Wstrząs tym wywołany zaskoczył Stephena Maturina, który podwiązywał właśnie otwartą tętnicę udową Williama Musgrave'a. Niewiele brakowało, a zabieg trzeba by było powtórzyć. Wreszcie odezwały się działa „Sophie”. Armaty z prawej burty strzelały kolejno podczas dwóch następujących po sobie przechyłów na fali. Z tyłu galery wykwitły pióropusze wody i na chwilę przesłoniły ją kłęby gryzącego dymu prochowego. Po ostatnim wystrzale Jack polecił zmienić kurs, tak by przeciwnik znalazł się w zasięgu armat lewej burty. Chmura dymu odplynęła z wiatrem i okazało się, że galera oddawszy salwę, ruszyła z miejsca, bijąc o wodę wiosłami, by umknąć przed dział brygu. Kule wystrzelone ze statku pirackiego, gdy jego dziób zaczął unosić się na fali, poszły wysoko – jedna z nich przerwała stensztąg grotmasztu „Sophie” i uderzyła w dyby stengi. Spadający odłupany kawał drewna odbił się od marsa i uderzył w głowę artylerzysty, który wyjrzał na pokład z głównej zejściówki.

–Szybciej tam przy działach na prawej burcie! – krzyknął Jack. – Środek ster!

Chciał wrócić na lewy hals, bo gdyby udało się oddać kolejną salwę z prawej burty, przyłapałby galerę w momencie obracania się z lewa na prawo. Przy dziale numer cztery rozległ się przytłumiony huk i tuż po nim przeraźliwy krzyk: ładowniczy w pośpiechu nie wyczyścił dobrze lufy i świeży ładunek prochu wypalił mu przy przybijaniu prosto w twarz. Nieszczęśnik został odciągnięty na bok, działo ponownie wyczyszczono i nabito. Ta operacja trwała jednak zbyt długo. Wszystko trwało zbyt długo: ludzie poruszali się za wolno i galera zdążyła się już obrócić. Mogła kręcić się jak bąk dzięki wiosłom, szybko uderzającym w wodę. Odpywała na południowy zachód, prawym baksztagiem, z rozstawionymi „na motyla”, po obu burtach, wielkimi łacińskimi żaglami. Ket tymczasem nadal znajdował się na południowym wschodzie, już w odległości około pół mili, i kursy obu jednostek zaczęły się szybko rozchodzić. Zmiany kursu zajęły „Sophie” zaskakująco dużo czasu i spowodowały, że dystans dzielący bryg od keta wzrósł znacznie.

–Pół rumbu w lewo – polecił Jack. Stał przy zawietrznym relingu i wpatrywał się w galerę płynącą niemal dokładnie przed ich dziobem. Nieprzyjacielska jednostka była teraz oddalona od „Sophie” o około stu jardów i ta odległość wzrastała powoli. – Boczne bramsle! Panie Dillon, proszę przenieść jedno działo na dziób. Są tam przecież nadal uchwyty pozostawione po mocowaniu dwunastofuntówki.

Z tego, co było widać, nie zdołali uczynić galerze najmniejszej szkody. Strzelając nisko, trafialiby w ławki ciasno wypełnione chrześcijańskimi niewolnikami, przykutymi do wioseł. Celując zaś wysoko... Głowa kapitana odskoczyła nagle na bok, kapelusz poleciał po pokładzie: kula muszkietowa ze statku pirackiego trafiła go w ucho. Odruchowo zakrył je dłonią. Było zupełnie odrętwiałe i broczyło krwią. Odsunął się od relingu i przechylił głowę na bok, tak by krew kapłała na zawietrzną. Drugą dłonią przykrył swój cenny epelet.

–Killick! – zawołał, wyginając się tak, by nie tracić z oczu ściganej jednostki, którą przysłał dolny lik wybranego mocno grotzągla. – Przynieś mi stary płaszcz i jeszcze jedną chusteczkę! – Przebierając się, patrzył przenikliwym wzrokiem w stronę galery, która raz za razem wystrzeliła ze swego jedyne działo na rufie. Obie kule przeszły bokiem. „Boże, bardzo szybko im idzie przeładowywanie tej dwudziestofuntówki” – pomyślał. Boczne bramsle zostały tymczasem postawione, a ich szoty wybrane. „Sophie” przyśpieszyła nieco i zaczęła wyraźnie doganiać przeciwnika. Nie tylko Jack to zauważył, gdyż na forkasztelu rozległ się okrzyk radości, powtarzany potem wzdłuż burt od dziobu do rufy, gdy obsady dział kolejno przekazywały sobie dobrą wiadomość.

–Pościgówka na dziobie jest już gotowa, sir – zameldował James Dillon z uśmiechem. – Czy nic się panu nie stało? – zapytał, widząc zakrwawioną dłoń i szyję kapitana.

–To tylko zadraśnięcie, nic poważnego – odparł Aubrey. – Co pan powie o tej

galerze?

–Doganiamy ją, sir – odpowiedział Dillon. Mówił bardzo cicho, lecz w jego głosie brzmiało zadowolenie. Bardzo przeżył niespodziewane pojawienie się Stephena Maturina. Rozliczne bieżące obowiązki nie pozostawiały mu, co prawda, zbyt wiele czasu na rozmyślania, ale jego świadomość w znacznej mierze wypełniały złe przeczucia, troska, jakieś nieokreślone i mroczne koszmary. Patrzył teraz chciwym wzrokiem na panujące na pokładzie galery zamieszanie.

–Oni celowo gubią wiatr – stwierdził Jack. – Proszę spojrzeć na tego spryciarza przy szocie ich grota. Niech pan weźmie moją lunetę.

–Nie sir, na pewno nie – zaprzeczył Dillon, składając kapitański teleskop, wyraźnie rozzłoszczony.

–Tak... – Jack zastanawiał się nad czymś. Dwunastofuntowa kula przebiła najniższe żagle boczne „Sophie”, pozostawiając dokładnie jeden za drugim dwa otwory, i ze świstem przeleciała jakieś cztery stopy od Dillona i Aubreya, tuż ponad siatką z hamakami. – Chciałbym mieć na pokładzie chociaż jednego lub dwóch ich artylerzystów... – powiedział Jack z podziwem. – Na maszcie! – zawołał.

–Tak jest, sir – odpowiedział głos z wysoka.

–Co z tym żaglem na nawietrznej?

–Zbliża się, zbliża się do czoła konwoju. Jack skinął głową.

–Niech dowódcy dział dziobowych i artylerzyści wachtowi zajmą się obsługą dziobowej pościgówki. Ja sam ją wyceluję.

–Pring nie żyje, sir. Czy dać kogoś innego?

–Tak, panie Dillon.

Aubrey przeszedł szybko na dziób.

–Czy dopadniemy ich, sir? – zagadnął siwy marynarz z oddziału abordażowego. W głosie pytającego zabrzmiała przyjazna nuta.

–Mam taką nadzieję, Cundall. Bardzo na to liczę – odparł Jack. – W najgorszym razie nieźle im przyłożymy... – Masz, psie... – mruknął do siebie, patrząc wzdłuż lufy na pokład galery. Poczuł, że dziób „Sophie” zaczyna unosić się na fali, i przycisnął koniec lontu do panewki. Rozległ się syk, huk wystrzału i przeraźliwe skrzypienie rolek pchniętej odrzutem lawety.

–Hurra! Hurra! – zawołali ludzie na forkasztelu. Kula przestrzeliła tylko główny żagiel statku pirackiego, mniej więcej w połowie wysokości, ale był to ich pierwszy celny wystrzał w tej potyczce. Działo dziobowe wystrzeliło jeszcze trzy razy. Jedna z kul głośno uderzyła na rufie galery o metal.

–Proszę kontynuować, panie Dillon – prostując się, powiedział Jack. – Moja luneta, szybko.

Słońce było już nisko i przeszkadzało w obserwacji. Kapitan stał, balansując, by zrównoważyć kołysanie, i przysłoniwszy dłonią obiektyw lunety, przyglądał się uważnie dwu postaciom w czerwonych turbanach, za działem na rufie pirackiego statku. Kula muszkietowa uderzyła z prawej strony w łożę bukszprytu „Sophie” i ktoś zaczął z wściekłością wykrzykiwać ordynarne wyzwiska.

–John Lakey nieźle oberwał... – odezwał się za plecami kapitana czyjś przyciszony głos. – Zdaje się, że trafili go prosto w męskość...

Na dziobie brygu znów wypaliło działo, lecz zanim dym przesłonił galerę, Jack podjął już decyzję. Przeciwnik rzeczywiście celowo gubił wiatr, umiejętnie operując szotami, tak iż żagle wydawały się wybrane, lecz nie pchały statku z całą mocą. Tylko dlatego stara i ciężka „Sophie”, z porośniętym wodorostami kadłubem, doganiała powoli galerę, w każdej chwili ryzykując utratę przeciążonych masztów, rej i płócien. Algierczycy mogli w każdej chwili uciec, jednak tego nie robili. Dlaczego? Chcieli odciągnąć bryg daleko na zawietrzną od zdobytego przez nich keta. O to właśnie chodziło. Dodatkowo liczyli na to, iż uda im się pozbawić „Sophie” masztów, bezkarnie ją ostrzelać (dzięki wiosłom byli niezależni od wiatru) i może nawet zdobyć. Kolejnym powodem mógł być zamiar odciągnięcia brygu na zawietrzną od konwoju, tak by ów żagiel na nawietrznej mógł bezkarnie przechwycić bezbronne statki handlowe. Aubrey spojrzał w stronę oddalającego się powoli keta. Jeśli „Sophie” ruszy zaraz w pościg, bez kłopotu powinna jednym ostrym halsem dopaść uciekających piratów. Ket był bardzo powolną jednostką – nie miał bombramsli i bramsli, nie mógł równać się z nią pod względem prędkości. Jeśli poczekają jeszcze chwilę, nie uda się zakończyć pościgu przed nocą. Będą musieli żmudnie halsować pod wiatr. Wybór był tylko jeden. Trudna i nieprzyjemna decyzja, jak zwykle. Nadszedł jednak moment, by ją podjąć.

–Szkoda kul – powiedział Jack, gdy działo odjechało do tyłu. – Proszę przygotować salwę z prawej burty. Sierżancie Quinn, niech pan dopilnuje swoich ludzi z muszkietami. Gdy galera będzie dokładnie na trawersie, niech mierzą w jej kabinę, za ławkami wioślarzy. Nisko. Proszę strzelać dopiero na komendę. – Wracając na rufę, spojrzał na poczerniałą od prochu twarz Jamesa Dillona. Porucznik był zły, jeśli nie gorzej, i wyraźnie rozgoryczony... – Do brasów! – zawołał głośno, odkładając w myśli na później tę sprawę. – Panie Marshall, proszę płynąć za ketem. – Na pokładzie rozległ się głuchy pomruk niezadowolenia. – Ostro na wiatr!

„Ten drań niczego się nie spodziewa, pošlemy mu więc coś na pamiątkę” – dodał Jack w duchu, stojąc za prawo-burtową mosiężną czterofuntówką. Przy tak dużej prędkości „Sophie” obracała się bardzo szybko. Aubrey przykląkł, pochylił się nieco, wszystkie jego zmysły skupiły się na lśniącej mosiężnej lufie i przesuwał się przed nią tafli morza. Bryg nadal się obracał, wiosła galery z furią uderzyły o wodę. Było już jednak za późno. Gdy statek piracki znalazł się dokładnie na trawersie, o ułamek sekundy przed tym, jak „Sophie” znieruchomiała w dole fali, jej dowódca zawołał: „Ognia!” i wszystkie działa wypaliły jednocześnie, jak na dużym liniowcu. Ich huk zlał się w jedno z odgłosem strzelających muszkietów. Chmura dymu odpłynęła z wiatrem i na pokładzie brygu odezwały się okrzyki radości. W burcie galery ziała znacznych rozmiarów wyrwa, a przerażeni Maurowie w panice biegali tam i z powrotem. Przez lunetę Jack dostrzegł, że ich działo rufowe zostało przewrócone i na pokładzie leży kilka ciał. Cud nie nastąpił. Nie udało się zniszczyć steru lub zadać morderczego ciosu poniżej linii wodnej. W każdym razie galera przestała być zagrożeniem. Stwierdziwszy to, Jack skoncentrował uwagę na uciekającym kecie.

–I jak, doktorze? – zapytał, schodząc do kokpitu. – Jak sobie pan radzi?

–Całkiem dobrze, dziękuję. Czy bitwa znów się rozpoczęła?

–Och, nie. To był jedynie strzał przed dziób keta. Galera została na południowym zachodzie, widać tylko jej żagle, a Dillon popłynął łodzią, by uwolnić Norwegów. Maurowie wywiesili białą koszulę i poddali się. Cholerni dranie.

–Ucieszył mnie pan. Naprawdę ciężko zaszywa się rany, gdy strzelają działa. Czy mogę obejrzeć pańskie ucho?

–To nic takiego, draśnięcie. Jak pańscy pacjenci?

–Większości udało mi się pomóc. Mogę ręczyć za powrót do zdrowia czterech lub pięciu z nich. Ten człowiek, z paskudnie rozciętym udem... Powiedziano mi, że tę ranę spowodował kawałek drewna, czy to prawda?

–Tak, prawda. Taki duży odłamany kawał dębowego drewna potrafi nieźle pokaleczyć. To się często zdarza.

–Ten biedak czuje się już znacznie lepiej. Połatałem też tego poparzonego. Czy wie pan, że wycior uderzył dokładnie między jego bicepsami, cudem omijając nerw łokciowy? Nie mogę na razie zająć się artylerzystą... Leży tu na dole. Jest zbyt ciemno.

–Artylerzystą? Co z nim? Myślałem, że pan go już wyleczył.

–Wyleczyłem. Z najpoważniejszej w mojej praktyce obstrukcji, wywołanej bezmyślnym i szalonym wręcz przedawkowaniem peruwiańskiej kory. On sam sobie

to zaaplikował. Tym razem chodzi jednak o wgniecenie czaszki. Będę musiał przeprowadzić trepanację. Słyszysz pan ten charakterystyczny, chrapliwy oddech? Myślę, że do rana nic złego się nie wydarzy, lecz gdy tylko wzejdzie słońce, muszę odciąć moją piłą wierzchołek czaszki tego nieszczęśnika... Zobaczysz pan jego mózg, kapitanie – dodał doktor z uśmiechem.

–Mój Boże – westchnął Jack zmartwiony. Powoli ogarniała go czarna rozpacz. Tak krwawe starcie bez żadnej zdobyczy. Dwóch wartościowych członków załogi zabitych. Artylerzysta prawie na pewno martwy – nikt nie przeżyje operacji otwierania czaszki – pozostali również mogą umrzeć. Często się to przecież zdarzało. Gdyby nie konwój, można było zdobyć galerę. Wtedy gra warta byłaby świeczki. – Co tam znowu? – zawołał, słysząc okrzyki na pokładzie.

–Coś dzieje się na kecie, sir – wyjaśnił pierwszy oficer nawigacyjny, gdy Jack wrócił na pogrążoną w półmroku rufę. Pan Marshall pochodził z północy, z Orkney na Szetlandach, i prawdopodobnie z tego powodu, a może z racji jakiejś wrodzonej wady wymowy, w specyficzny sposób wymawiał „r”. Cecha ta szczególnie się uwydatniała, gdy był zdenerwowany. – Wygląda na to, że ci piekielni barbarzyńcy znów próbują brykać!

–Proszę podejść do keta, panie Marshall. Oddział abordażowy, pójdziecie ze mną.

Na „Sophie” zbrasowano mocno żagle, by uniknąć niepotrzebnych uszkodzeń. Przedni marsel został wystawiony na wiatr i obie jednostki miękko dotknęły się burtami. Jack sięgnął do ławy wantowej na wysokiej burcie Norwega i wspiał się na górę po poszarpanej siatce abordażowej. Za nim ruszyła posępna i groźna banda. Pokład keta był zalany krwią: trzy nieruchome ciała, pięciu poszarzałych z przerażenia Maurów, przypartych do grodzi i pilnowanych przez Jamesa Dillona, Murzyn Alfred King, niemowa, z abordażowym toporem w dłoni.

–Odprowadzić jeńców – polecił Jack. – Zamknąć ich w przedniej ładowni. Co się stało, panie Dillon?

–Nie mogłem się z nim porozumieć, sir, ale prawdopodobnie ci Maurowie zaatakowali Kinga między pokładami.

–Czy to prawda, King?

Murzyn wciąż błyskał oczami. Taka odpowiedź mogła znaczyć cokolwiek. Ludzie z oddziału abordażowego wzięli jego broń.

–Czy tak było, Williams? – zapytał kapitan.

–Nie wiem, sir... – odparł poblady na twarzy Williams, zdejmując kapelusz.

–Czy tak właśnie było, Kelly?

–Nie wiem, sir – odpowiedział Kelly, dotykając czoła kłykciem palca. Spoglądał na przemian to na Murzyna, to na Maurów.

–Gdzie jest kapitan keta, panie Dillon?

–Wygląda na to, że ci barbarzyńcy wyrzucili ich wszystkich za burtę.

–Dobry Boże! – zawołał Jack poruszony, choć takie wypadki nie należały do rzadkości. Gniewny gwar na pokładzie „Sophie” dowodził, że i tam dotarła ta przykra wiadomość. – Panie Marshall! – krzyknął, podchodząc do relingu. – Proszę zająć się jeńcami. Nie chcę żadnego bałaganu. – Spojrzał wzdłuż pokładu, potem na żagle i olinowanie odbitej jednostki. Uszkodzenia były nieznaczne. – Odprowadzi pan ten statek do Cagliari, panie Dillon – polecił półgłosem, wciąż wstrząśnięty okrucieństwem piratów. – Proszę wziąć tylu ludzi, ilu panu potrzeba.

Aubrey wrócił na „Sophie” w ponurym nastroju. Nie zdążył jeszcze dotrzeć na rufę, gdy jakiś głos wewnętrzny podpowiedział mu cichutko: „W takim przypadku ket nie jest tylko uratowaną jednostką. Staje się przem...” Odegnął szybko tę myśl, wezwał bosmana i rozpoczął obchód okrętu, by ustalić kolejność najpilniejszych napraw. „Sophie” zaskakująco mocno ucierpiała jak na tak krótkie starcie, w którym wystrzelono nie więcej niż pięćdziesiąt pocisków armatnich. Była pływającym przykładem tego, ile szkód mogą uczynić wycelowane po mistrzowsku działa. Cieśla wraz z dwoma pomocnikami pracował za burtą, na ławce bosmańskiej, próbując zakołkować otwór po kuli, tuż ponad linią wodną.

–Mamy trochę kłopotów, sir – odpowiedział pan Lamb na pytanie kapitana. – Nabraliśmy wody. Nie wygląda jednak na to, byśmy mieli zatonać w najbliższym czasie. Nie tym razem.

–Zmienimy hals, tak żeby było panu wygodniej. Proszę dać mi znać, kiedy pan sobie ze wszystkim poradzi. – Jack zerknął na keta, który powracał na swe miejsce w konwoju. Po zwrocie kursy obu jednostek musiały nieuchronnie się rozejść, a odbity z rąk Maurów statek stał się nagle dziwnie cenny i ważny. „Jest wyładowany drewnianymi belkami, szczecińskim dębem, wełną, szwedzką smołą i powrozami” – podpowiadał wewnętrzny głos żarliwie. – „Można za niego dostać dwa lub trzy tysiące... Może nawet cztery...” – Tak, panie Watt, oczywiście... – odpowiedział bosmanowi na jakieś pytanie. Wspięli się obaj na marsa grotmasztu i oglądali uszkodzone dyby.

–To właśnie odłupany stąd kawałek pokiereszował biednego pana Daya – wyjaśnił bosman.

–Naprawdę? To musiał być spory kawał drewna... Nie możemy jednak tracić

nadziei. Doktor Maturin zamierza... Zamierza zrobić coś szczególnie skomplikowanego, jak tylko się rozwidni. Chce użyć piły chirurgicznej i będzie potrzebował dziennego światła. To będzie coś niewyobrażalnie wręcz mądrego. Tak mi się przynajmniej zdaje.

–Och tak, z pewnością, sir – przytaknął bosman gorliwie. – Mądry z niego jegomość, nie ma dwóch zdań. Ludzie są bardzo zadowoleni. Mówią: „To niesłychanie uprzejme z jego strony że tak elegancko odciął nogę Neda Evansa i pozszywał wstydlive miejsce Johna Lakeya. Jest przecież tylko pasażerem, gościem kapitana”.

–Tak, to rzeczywiście bardzo uprzejme i miłe... – zgodził się Jack. – Będziemy tu potrzebowali dodatkowego wzmocnienia, panie Watt, dopóki cieśla nie zajmie się tymi dybami. Najlepiej będzie użyć grubej liny. Trzeba ją związać tak mocno, jak tylko się da. Obyśmy nie musieli składać masztów.

Obejrzeni jeszcze kilka innych uszkodzonych miejsc i Aubrey wrócił na dół. Zatrzymał się na chwilę, by przeliczyć jednostki konwoju, które po wydarzeniach mijającego dnia płynęły w bardzo ciasnym i wyrównanym szyku, i zszedł do swojej kabiny. Siadając na wyściełanej poduszkami skrzyni, powiedział bezwiednie:

–Trzy ósme... – Jego umysł pracował od pewnego czasu na najwyższych obrotach, starając się obliczyć, ile wyniosą trzy ósme z 3500 funtów. Taką właśnie sumę można było przyjąć jako wartość statku „Dorothe Engelbrechtsdatter”, a trzy ósme uzyskanej ze sprzedaży przyzu kwoty przypadają kapitanowi okrętu (minus jedna trzecia z tego dla admirała). Nie tylko Aubrey zajęty był w tej chwili podobnymi kalkulacjami, gdyż przy podziale pieniędzy uwzględniani byli wszyscy ludzie znajdujący się na liście załogi. Jedna ósma przypadła Dillonowi i Marshallowi, taką samą część mogli również rozdzielić między siebie bosman, cieśla, oficerowie nawigacyjni i lekarz (gdyby na „Sophie” był ktoś oficjalnie pełniący tę funkcję). Podobny udział w zdobyczy mieli też podchorążowie wraz z chorążymi i sierżantem piechoty morskiej. Pozostali członkowie załogi dzielili się resztą, czyli jedną czwartą zysków. Przyjemnie było patrzeć jak nienawykłe do abstrakcyjnego myślenia mózgi błyskawicznie i z największą dokładnością radziły sobie z tymi liczbami. Uzyskany wynik był zwykle idealnie zgodny z ostatecznymi wyliczeniami podoficera kancelaryjnego. Jack sięgnął po ołówek, chcąc sprawdzić swe przybliżone rachunki, zawstydział się i cofnął rękę, ale w końcu zapisał szybko cyfry na kawałku papieru, maczkiem, na ukos, w prawym górnym rogu. Gdy rozległo się pukanie do drzwi, pośpiesznie odsunął kartkę od siebie. To ociekający wodą cieśla przyszedł, by zgłosić zakołkowanie wybitych przez kule otworów i nie więcej niż osiemnaście cali wody w zężach.

–To mniej niż połowa tego, czego się spodziewałem, po tych paskudnych trafieniach. Oni strzelali bardzo nisko. – Pan Lamb zawiesił głos i spojrzął na

kapitana z ukosa.

–To świetnie – powiedział Jack.

Cieśla nie zamierzał jednak wychodzić. Na podłodze utworzyła się dookoła niego mała kałuża.

–Tych Norwegów z keta spotkał straszny los – odezwał się wreszcie. – To wstrętne okrucieństwo, wystarczyło ich przecież gdzieś zamknąć. Jak można wyrzucać tak ludzi za burtę? Poza tym, nasi chorążowie postanowili, że pański gość... – Cieśla wskazał głową drzwi kapitańskiej sypialni, w której tymczasowo mieszkał Stephen Maturin. – ...powinien otrzymać należną lekarzowi część ich pieniędzy z przyzu. Cała załoga jest wdzięczna za tak skuteczną pomoc i oni w ten sposób chcą wyrazić swoje uznanie.

–Przepraszam, sir – rzekł Babbington, stając w progu – ket właśnie daje sygnały.

Aubrey wyszedł na pokład. Dillon podniósł na swym statku pstrą zbieraninę flag – prawdopodobnie wszystkie, jakie udało mu się znaleźć – informując między innymi, iż ma na pokładzie zarazę i zamierza zaraz wyjść z portu.

–Do zwrotu! – wydał Jack komendę. Gdy „Sophie” znalazła się w odległości kabla od konwoju, zawołał głośno:

–Ahoj, na kecie!

–Sir! – doleciał a oddali przytłumiony głos Dillona.

–Mam dla pana dobrą wiadomość. Wszyscy Norwegowie żyją

–Co takiego?

–Wszyscy... Norwegowie... żyją... – Obie jednostki przybliżyły się nieco. – Ukryli się w sekretnym schowku w forpiku... – wołał dalej Dillon.

–Och! W forpiku... – mruknął oficer nawigacyjny stojący za sterem. Na pokładzie panowała grobowa cisza. Wszyscy nasłuchiwali uważnie.

–Ostro na wiatr! – poleciał kapitan ze złością, gdyż sternik z przejęcia odpadł odrobinę. – Proszę trzymać kurs ostro na wiatr!

–Jest ostro na wiatr, sir.

–Kapitan pyta – brzmiał głos Dillona w oddali – czy nie moglibyście przysłać nam lekarza, gdyż jeden z jego ludzi, zbiegając pośpiesznie po drabinie, uszkodził sobie palec u nogi...

–Proszę przekazać kapitanowi... – głos Aubreya słycać było chyba aż w Cagliari - ...że może sobie wsadzić w... palec tego swojego człowieka!

Wrócił do kabiny biedniejszy o 875 funtów, rozgoryczony i rozczarowany.

Jack nigdy nie ulegał łatwo minorowym nastrojom, było to sprzeczne z jego charakterem. I tym razem bardzo szybko odzyskał wrodzoną pogodę ducha. Nie wydawał się jednak szczególnie uradowany, gdy na redzie Genui wsiadał do kutra mającego zawieźć go na pokład admirałskiego okrętu. Spotkanie z groźnym lordem Keithem, admirałem i głównodowodzącym floty śródziemnomorskiej, było bardziej niż poważną sprawą. Posępny nastrój dowódcy udzielił się także sternikowi i załodze łodzi: Aubrey siedział sztywno na rufie, starannie wymyty, ogolony i ubrany, a jego ludzie wiosłowali niemrawo, ze spuszczoneymi oczami. Pomimo ślimaczego tempa i tak zbyt wcześnie znaleźli się w pobliżu okrętu flagowego, „Audacious”. Spoglądając na zegarek, Jack polecił więc, by okrążyli admirałską jednostkę i poczekali w dryfie. Z miejsca, w którym stali, widać było całą zatokę, z pięcioma okrętami liniowymi i czterema fregatami, oddalonymi o jakieś dwie lub trzy mile od wybrzeża. Bliżej lądu znajdowała się spora gromada kanonierek i łodzi z moździerzami, nieustannie bombardujących wspaniałe i piękne miasto, rozłożone wznoszącym się łukiem na stromym brzegu zatoki. Strzelające jednostki przesłonięte były obłokami dymu prochowego, a ich pociski spadały z wysoka na stłoczone ciasno budynki przy końcu odległego falochronu. Łodzie były z tej odległości śmiesznie małe, doskonale widoczne w krystalicznie przejrzystym powietrzu domy, pałace i kościoły wydawały się jeszcze mniejsze i przypominały dziecięce zabawki. Dziwnie bliski, realny i groźny był za to nieprzerwany odgłos wystrzałów oraz głuchy basowy pomruk odpowiadających na nie dział francuskich baterii brzegowych.

Upłynęło wreszcie dziesięć minut i kuter podszedł pod burtę okrętu flagowego. Odpowiadając na okrzyk: „Kto na łodzi?”, sternik podał nazwę „Sophie”, co oznaczało, że na kutrze znajduje się dowódca okrętu. Jack wszedł na pokład w przewidziany regulaminem sposób, zsalutował w stronę pokładu rufówki i podał dłoń kapitanowi Louisowi. W chwilę później był w admirałskiej kabinie.

Miał wszelkie powody, by być z siebie zadowolonym: doprowadził bez strat swój konwój do Cagliari, później następny do Leghorn i dotarł tutaj na czas pomimo bezwietrznej pogody w pobliżu Monte Christo. Był jednak wyraźnie zdenerwowany. Jego umysł wypełniał lord Keith i gdy okazało się, że w kabinie nie ma admirała, a przy oknie stoi wysoka i zgrabna młoda kobieta, Aubrey przez chwilę łapał powietrze jak wyjęty z wody karp.

–Jackie, kochanie! – zawołała młoda dama na jego widok. – Pięknie wyglądasz w tym stroju. Pozwól mi poprawić twój kołnierzyk. Co się stało, Jackie? Jesteś taki przerażony, jakbym była jakimś wstrętnym Francuzem...

–Queeney! Moja droga Queeney! – wykrzyknął Jack wreszcie, ściskając ją i całując z głośnym cmoknięciem.

–Niech to wszyscy diabli! Dawać tu tego bezwstydnika! – powiedział ktoś ze złością, z wyraźnym szkockim akcentem, i admirał wszedł do salonu z rufowej galeryjki. Lord Keith był wysokim, siwiejącym mężczyzną. W dziwny sposób przywodził na myśl rozzłoszczonego lwa – jego oczy płonęły wściekłością.

–To właśnie ten młody człowiek, o którym mówiłam, admirale – wyjaśniła Queeney, poprawiając szybkim ruchem niewidoczną fałdę na kurtce blednącego gwałtownie Jacka, i błysnęła złotym pierścieniem tuż przed jego nosem. – Kapałam go kiedyś i brałam do swego łóżka, gdy miał złe sny.

Podobne słowa mogły się okazać nie najlepszą rekomendacją – wypowiadała je młoda żona prawie sześćdziesięcioletniego admirała. Na szczęście poskutkowały.

–Och... – odezwał się lord znacznie spokojniejszym tonem. – Tak, zapomniałem. Proszę mi wybaczyć. Mam pod komendą tylu kapitanów, a niektórzy z nich to prawdziwi rozpustnicy...

–„A niektórzy z nich to prawdziwi rozpustnicy”, powiedział, przeszywając mnie na wylot zimnymi i świdrującymi oczami – opowiadał Jack, napełniając kieliszek Stephena Maturina. Wyciągnął się wygodnie na wyściełanej poduszkami skrzyni. – Sumienie podpowiadało mi, że rozpoznał mnie, mimo iż spotkaliśmy się dotąd tylko trzykrotnie – za każdym razem w gorszych dla mnie okolicznościach. Pierwszy raz widział mnie koło przylądka Dobrej Nadziei na starym „Reso”, jako podchorążego. On był wtedy jeszcze kapitanem i nazywał się Elphinstone. Wszedł na pokład w dwie minuty po tym, jak kapitan Douglas postawił mnie pod masztem. Gdy Elphinstone zapytał o moje przewinienie, Douglas odpowiedział: „Ten przeklęty chłopak jest wstrętnym dziwkarzem. Postawiłem go pod masztem, żeby nauczył się porządku”.

–Czy to jakieś szczególnie dobre miejsce do nauki? – zapytał Stephen.

–Cóż. Na pewno łatwiej jest im wtedy uczyć posłuszeństwa – wyjaśnił Jack z uśmiechem. – Mogą na przykład przywiązać człowieka do gretingu i starannie odbić mu wątrobę biczem. Postawienie pod masztem równoznaczne jest ze zdegradowaniem podchorążego, który przestaje być wówczas młodym dżentelmenem, a staje się zwykłym marynarzem. Je posiłki i mieszka w kubryku razem z szeregową załogą. Każdy, kto ma w ręku trzcinę lub koniec liny, ma prawo bezkarnie złościć mu skórę. Można też zostać ukaranym chłostą. Nie wierzyłem, że Douglas tak ze mną postąpi, chociaż wiele razy groził. Był przyjacielem mojego ojca i wydawało mi się, że mnie lubi. Mimo to ukarał mnie w ten sposób i dopiero po sześciu miesiącach z powrotem zostałem mianowany podchorążym. W końcu byłem mu za to wdzięczny, gdyż dzięki niemu nauczyłem się rozumieć załogę. Oni byli

zresztą wobec mnie przez cały czas bardzo serdeczni. Wtedy płakałem jednak tak gorzko, że czasem brakowało mi łez, cha, cha, cha.

–Dlaczego był wobec pana aż tak surowy? Jaki był bezpośredni powód kary?

–Och. Chodziło o dziewczynę. Ładną Murzyneczkę imieniem Sally – odparł Jack. – Przyłączyła się do handlarza portowego, a ja ukryłem ją w komorze łańcuchowej. Prawdę mówiąc, nie tylko o to chodziło. Nie zgadzałem się z kapitanem Douglasem w wielu sprawach, głównie posłuszeństwa, wstawania wcześniej rano oraz szacunku wobec nauczyciela (mieliśmy nauczyciela na pokładzie, nałogowego pijaka o nazwisku Pitt) ... i jedzenia flaków. Po raz drugi lord Keith miał okazję mnie zobaczyć, gdy byłem piątym na „Hannibalu”, a funkcję pierwszego porucznika sprawował ten cholerny głupiec Carrol. Jedyną rzeczą, jakiej nienawidzę bardziej od przebywania na lądzie, jest wykonywanie rozkazów idioty, którego w dodatku nie można nazwać marynarzem. Ten człowiek był tak irytujący, tak uparcie wymagał przestrzegania jakichś nieistotnych przepisów regulaminu, że wprost zmuszony byłem wyzwać go na pojedynek. Tego właśnie chciał: pobiegł do kapitana i o wszystkim mu zameldował. Kapitan Newman uznał to za nonsens, ale zostałem zobowiązany do przeprosin. Nie mogłem jednak się na niego zgodzić, bo nie miałem za co przeproszać. Racja była po mojej stronie, chyba mnie pan rozumie. Skończyło się na tym, że stanąłem przed sześcioma starszymi kapitanami i dwoma admirałami. Jednym z owych admirałów był lord Keith...

–Jak to się wtedy skończyło?

–Konfliktowość. Udzielono mi oficjalnej nagany za nadmierną drażliwość i konfliktowość. Później był jeszcze trzeci raz, lecz nie chcę opowiadać szczegółów... – Jack zawiesił głos. – To ciekawa sprawa, wie pan... – odezwał się po krótkim namyśle, patrząc w okno. – To niezwykle ciekawe, bo przecież takich ludzi nie może być w Royal Navy zbyt wielu. Myślę o cholernych durniach, którzy dosłużyli się wysokich stopni, nie będąc nigdy prawdziwymi marynarzami. Pomijam oczywiście tych bogatych... Ja tymczasem miałem szczęście trafić przynajmniej na dwóch takich bałwanów. Tym razem myślałem, że moja kariera definitywnie się zakończyła. Tak jak życie tego nieszczęsnego Borwicka... Spędziłem na lądzie osiem miesięcy, w głębokiej melancholii. Wybierałem się do miasta, gdy było mnie na to stać, i godzinami przesiadywałem w tej przeklętej poczekalni, w Admiralicji. Sądziłem już, że nigdy więcej nie dadzą mi wrócić na morze, że spędzę resztę życia jako nędznie opłacany porucznik. Gdyby nie skrzypce i polowanie na lisa, gdy tylko mogłem dosiąść konia, chyba bym się wtedy powiesił. Podczas tamtego Bożego Narodzenia widziałem Queeney po raz ostatni. No i potem krótko, w Londynie.

–Czy to pańska ciotka? A może kuzynka?

–Ależ nie. Nie ma między nami żadnego pokrewieństwa. Wychowaliśmy się jednak

razem. Powiniennem raczej powiedzieć, że to ona mnie wychowała. Odkąd pamiętam, zawsze była dla mnie dużą dziewczynką, choć w rzeczywistości różnica wieku między nami nie jest większa niż dziesięć lat. Queeney jest taka kochana i dobra. Jej rodzina mieszkała w Damplov, posiadłości położonej tuż obok naszej, prawie w naszym parku. Po śmierci matki spędzałem tam tyle samo czasu co w rodzinnym domu. Więcej nawet... – powiedział Jack zamyślony, wpatrując się w tarczę kompasu nad swoją głową.

–Czy jest panu może znany doktor Johnson? Dictionary Johnson?

–Oczywiście! – zawołał Stephen dziwnie poruszony. – To jeden z najbardziej godnych szacunku współczesnych uczonych. Nie mogę, co prawda, zgodzić się ze wszystkimi jego stwierdzeniami, oprócz tego, co mówi o Irlandii, lecz bardzo go cenię. Co ciekawe, to on był bohaterem jednego z moich snów, nie dalej jak tydzień temu. To naprawdę zaskakujące, że wymienił pan dziś to nazwisko...

–Rzeczywiście. Był wielkim przyjacielem ich rodziny, aż do czasu, gdy matka Queeney uciekła i poślubiła pewnego Włocha, papistę. Na pewno pan sobie wyobraża, jak bardzo zdenerwowało to moją przyjaciółkę. Oczywiście nigdy tego człowieka nie widziała, lecz tak czy inaczej był jej ojczymem... „Wszystko, tylko nie katolik” – mówiła. – „Wolałabym tysiąc razy z rzędu przegrać w Piotrusia. Naprawdę”. Spaliliśmy wtedy kolejno trzynaście kukieł przedstawiających tego drania. To był rok osiemdziesiąty trzeci lub czwarty. Jej rodzina osiadła potem w Damplov na dobre... To znaczy dziewczęta i ich stara kuzynka... Kochana Queeney. Chyba już panu o niej wspominałem, prawda? Uczyła mnie matematyki.

–Chyba tak. Studiowała hebrajski, o ile się nie mylę?

–Bez najmniejszych problemów radziła sobie z przekrojami stożka i oryginalnym tekstem pierwszych pięciu ksiąg Starego Testamentu. Tak... Myślałem, że zostanie starą panną pomimo niezwyklej urody. Jaki mężczyzna mógłby uderzyć w zaloty do dziewczyny znającej hebrajski? Zawsze wydawało mi się to niesprawiedliwe. Kobieta tak opiekuńcza jak ona powinna mieć gromadę dzieci. Okazało się, że właśnie poślubiła admirała, więc wszystko kończy się szczęśliwie... Tyle że on jest wiekowy, siwy, zbliża się do sześćdziesiątki, jak mi się zdaje. Co pan o tym myśli, jako lekarz... Chodzi mi o to, czy mężczyzna w tym wieku może jeszcze...?

–*Possibilissima.*

–*Possibile e la cosa, e naturale*** - zaśpiewał Stephen chrapliwym, nieprzyjemnym głosem, zupełnie niepodobnym do tonu, jakim mówił. – *E se Susanna vuol, possibilissima****

* *Possibilissima* (wł.) – rzecz jak najbardziej możliwa.

**** *Possibile e la cosa, e naturale* (wł.) – to rzecz możliwa i oczywista.**

***** *E se Susanna vuol, possibilissima* (wł.) – jeśli Zuzanna pragnie, to jest to rzecz jak najbardziej możliwa.**

–śpiewał dalej, nieco fałszując, lecz bez trudu można było rozpoznać *Wesele Figara*.

–Naprawdę? Naprawdę? – zawołał Jack z ogromnym zainteresowaniem. Po chwili namysłu zauważył: – Moglibyśmy spróbować zagrać to w duecie, improwizując... Ona przyjechała do niego do Leghorn. A ja myślałem, że awansowano mnie dla mych własnych zasług i z racji zaszczytnych ran...

–roześmiał się serdecznie. – To jej sprawka. Chyba i pan w to nie wątpi? Nie powiedziałem panu najważniejszego. To też zapewne jej tylko zawdzięczam. Mamy odbyć sześciotygodniowy patrol wzdłuż wybrzeży francuskich i hiszpańskich, aż do przylądka Nao!

–Tak? Czy to dobrze?

–Oczywiście! Bardzo dobrze. Koniec z konwojami, rozumie pan? Nie będziemy już uzależnieni od tych przeklętych statków handlowych, wlokących się w ślimaczym tempie tam i z powrotem. Zajmiemy się teraz Francuzami i Hiszpanami, a ściślej mówiąc, ich portami, handlem i dostawami. Lord Keith bardzo podkreślał konieczność przerwania ich tras handlowych. Tak. Właśnie o tym mówił ze szczególnym naciskiem. To sprawa równie wielkiej wagi jak bitwy morskie i o wiele bardziej dochodowa. Admirał dyskutował o tym ze mną jakiś czas na osobności. To surowy, dalekowzroczny dowódca. Oczywiście nie taki jak Nelson, lecz również inny niż wszyscy. Cieszę się, że Queeney go poślubiła. Nie będziemy podczas tej akcji podlegali niczyim rozkazom, co cieszy mnie jeszcze bardziej. Żaden łysiejący dureń nie będzie mógł mnie na przykład wysłać do Leghorn, z dostawą świń dla floty, bez najmniejszej szansy na jakikolwiek przyz. Tak! Pieniądze z przyzów! – zawołał Aubrey radośnie, uderzając dłońmi o kolana. Żołnierz piechoty morskiej, pełniący wartę u drzwi i uważnie przysłuchujący się rozmowie, z zadowoleniem pokiwał głową.

–Czy pieniądze tak dużo dla pana znaczą? – zagadnął Stephen zaciekawiony.

–Kocham je, uwielbiam je pasjami – ze szczerością w głosie odpowiedział Jack. – Zawsze byłem biedny i marzę o tym, by wreszcie się wzbogacić.

–To prawda – zgodził się wartownik.

–Mój biedny stary ojciec także nigdy nie był zamożny – mówił dalej Aubrey. – Zawsze jednak był bardzo szczodry. Wyznaczył mi pięćdziesiąt funtów rocznej pensji, gdy byłem podchorążym. To spora suma jak na tamte czasy... Oczywiście, gdyby udało się kiedykolwiek przekonać pana Hoare'a, aby wypłacił mi z niej więcej

niż jedną czwartą... Boże, jakie ja miałem kłopoty finansowe na starym „Reso”: rachunki za wyżywienie, pralnię... Ciągłe wyrastałem też z mundurów. To jasne, że kocham pieniądze. Wydaje mi się, że powinniśmy już tam pójść. Właśnie wybrzmiały dwie szklanki.

Jack i Stephen mieli być dziś gośćmi w mesie oficerskiej – zaproszono ich, by spróbowali piezzonego prosięcia kupionego w Leghorn. W mrocznym wnętrzu powitali ich Dillon, pan Marshall, ochmistrz i Mowett. Mesa nie miała okien ani otwieranych furt. Światło wpadało do wnętrza jedynie przez niewielki świetlik w części dziobowej. Wynikało to ze specyficznej konstrukcji „Sophie” – bardzo wygodna była tylko kabina kapitana (oczywiście gdyby nogi dowódcy okrętu zostały odcięte nieco powyżej kolan), pozbawiona znajdujących się zwykle w tym pomieszczeniu dział. Mesa oficerska znajdowała się poniżej spardeku, na czymś w rodzaju półki, prawie na dnie.

Podczas obiadu z początku panowała sztywna atmosfera, pomimo pięknej bizantyjskiej srebrnej lampy, zabranej kiedyś przez Dillona z pewnej tureckiej galery, i wspaniałego wina. Pełniący obowiązki gospodarza porucznik był bogaty, nawet bardzo bogaty, w porównaniu z innymi oficerami floty. Wszyscy biesiadnicy zachowywali się nienaturalnie dobrze. Aubrey musiał grać przy stole pierwsze skrzypce, wiedział o tym doskonale. Tego od kapitana oczekiwano i to właśnie było przywilejem dowódcy. Z drugiej strony uwaga, z jaką wysłuchiowano jego wszystkich, nawet najdrobniejszych stwierdzeń, wymagała, by okazywały się one rzeczywiście warte szacunku i nieustannego przyznawania mu racji. Taka sytuacja była jednak męcząca. Jack przywykł do normalnych rozmów, podczas których ludzie przerywali sobie nawzajem, przeciwstawiali sobie różne stanowiska i czasem wręcz wyśmiewali cudze poglądy. Tutaj wszystko, co powiedział, było słuszne i jego dusza powoli przestawała sobie radzić z wynikającą z tego odpowiedzialnością. Marshall i ochmistrz Ricketts siedzieli jak odrętwiali, odzywając się półsłówkami i jedząc z przerażającą precyzją. Młody Mowett, będący tu również gościem, także prawie się nie odzywał. Stephen Maturin był pogrążony w głębokiej zadumie i jedynie Dillon starał się podtrzymać rozmowę.

Dopiero prosię w szczególny sposób odmieniło ów melancholijny nastrój: częściowo za sprawą stewarda, który potknął się w drzwiach mesy, a częściowo za sprawą „Sophie”, która pochyliła się gwałtownie. Prosiak opuścił nagle półmisek i łagodnym łukiem wylądował na kolanach Mowetta. Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem i nareszcie stali się na powrót ludźmi. Swobodna atmosfera przy stole utrzymała się na tyle długo, iż Jack mógł przejść do spraw, które od początku zamierzał poruszyć w trakcie posiłku.

–Drodzy panowie – powiedział, gdy wzniesiono toast za zdrowie króla. – Chciałbym przekazać wam wiadomości, które zapewne ucieszą wszystkich tu obecnych. Oczywiście sądzę, że pan Dillon mi wybaczy, ponieważ pozwolę sobie wspomnieć o

sprawach związanych ze służbą. Otóż, admirał wysyła nas na samodzielny patrol wzdłuż wybrzeża, aż do przylądka Nao. Mało tego, udało mi się przekonać tu obecnego doktora Maturina, by pozostał z nami i opatrywał nasze rany, zadawane przez okrutnych nieprzyjaciół Jego Królewskiej Mości...

–Hurra! Wspaniale! Coś takiego! To pomyślne nowiny! – wołali razem, szczerze zadowoleni. Stephen był głęboko wzruszony nie ukrywaną sympatią, z jaką wszyscy spoglądali w jego stronę.

–Lord Keith był zachwycony, gdy wspomniałem mu o decyzji doktora – mówił dalej Jack. – Przyznał, że bardzo nam zazdrości, gdyż sam na okręcie flagowym nie ma lekarza z prawdziwego zdarzenia. Był bezgranicznie zdumiony moją opowieścią o mózgu naszego artylerzysty. Poprosił o lunetę, by spojrzeć na pana Daya odpoczywającego na pokładzie. Własnoręcznie wypisał rozkaz przyjęcia doktora do służby, co w naszej flocie jest rzeczą niespotykaną. Ja w każdym razie nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Również żadnemu z obecnych nigdy nie było dane zetknąć się z podobnym przypadkiem. Rozkaz należało teraz odpowiednio uczcić. Killick pognął więc po trzy butelki porto, potem wszyscy wstali, schylając głowy pod belkami stropu, i odśpiewali radosny toast na cześć doktora siedzącego ze skromnie spuszczonej oczami.

–Jest pewna rzecz, którą nie warto się przejmować – przemówił Jack, gdy rozkaz z nabożną czcią podawano sobie z rąk do rąk dookoła stołu. – Chodzi mi o natarczywe upieranie się przy słowie „felczer”: „Niniejszym mianuję pana felczerem... jest pan zatrudniony jako felczer... z wynagrodzeniem obejmującym również zwrot kosztów pańskiego wyżywienia, w wysokości zwyczajowo przewidzianej dla felczera wspomnianego wyżej słupa”. To niezgodne z rzeczywistością określenie, nie do przyjęcia dla miłującego prawdę filozofa.

–To prawda, iż trudno pogodzić się z tym, że pewne rzeczy nazywane są niewłaściwie – zauważył James Dillon. – W marynarce wojennej jest to jednak normalna praktyka, jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Na przykład słowo „slup”.

–Tak? – zaciekawiał się Stephen. Jego oczy zwężyły się za sprawą wypitego wina, a po trochu dlatego, iż usilnie próbował przypomnieć sobie poznane dotąd morskie określenia.

–Slup, jak pan zapewne wie, to jednomasztowa jednostka z dwoma skośnymi żaglami. W Royal Navy okręt o takiej nazwie może mieć nawet trzy maszty, jak fregata.

–Niech pan weźmie choćby „Sophie”! – zawołał pan Marshall, usilnie chcąc wtrącić

swoje trzy grosze. – To bryg, doktorze, ponieważ ma dwa maszty. – Uniósł w górę dwa palce, w razie gdyby szczur lądowy tego nie rozumiał. – W chwili jednak, gdy kapitan Aubrey postawi stopę na jej pokładzie, „Sophie” przestaje być brygiem i staje się słupem, ponieważ brygiem powinien dowodzić porucznik.

–Weźmy też i mnie – dodał Jack. – Mówi się o mnie „kapitan”, chociaż w rzeczywistości kapitanem zostaje się dopiero po otrzymaniu prawa do noszenia drugiego epoletu.

–To prawda. Podobnie wygląda sprawa z miejscem, w którym śpi załoga – mówił ochmistrz, wskazując palcem w stronę dziobu. – Oficjalnie tamten pokład nazywa się pokładem działowym, chociaż nie stoi na nim ani jedno działo. Tu, na okręcie, nazywamy ten pokład spardekiem, chociaż niektórzy nadal mówią, że to pokład działowy. Pokład, na którym są działa, to pokład górny lub główny... Nawet nasz bryg nie jest prawdziwym brygiem z racji swego rejowego grota...

–Tak, sir. Nie powinien pan przejmować się oficjalnymi nazwami – podsumował James Dillon. – Niech pan nie bierze ich sobie zbyt do serca. Mamy w Royal Navy kapitańskich służących, którzy w rzeczywistości są podchorążymi, a w księgach okrętowych można znaleźć starszych marynarzy, którzy nie noszą jeszcze spodni... Nie, może pan nazywać swe nowe stanowisko, jak pan zechce, pod warunkiem, iż będzie pan robił to, co do pana należy. W marynarce posługujemy się pewnymi symbolami i każdemu z nich można przypisywać dowolne znaczenie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Czystopis dziennika okrętowego „Sophie” pisany był wyjątkowo pięknym, kaligraficznym pismem Davida Richardsa, lecz pod wszystkimi innymi względami przypominał dzienniki prowadzone na innych okrętach wojennych. Wydarzenia odnotowywano zawsze w ten sam, oficjalny i beznamiętny sposób. Zapis o otwarciu kolejnej beczki z peklowaną wołowiną nie różnił się wiele od informacji o śmierci sanitariusza. Nawet w notatce o zdobyciu pierwszego przyzu nie można było doszukać się jakichkolwiek emocji.

Czwartek, 28 czerwca. Wiatr zmienny, SE do S. Kurs: S50W. Przebyta odległość: 63 mile. Pozycja: 42°32'N, 4°17'E. Przylądek Creus S76°W 36 Mm. Umiarkowana bryza, pełne zachmurzenie. Godz. 7 pojedynczo zrefowano marsie. Po południu pogoda bez zmian. Ćwiczenia w strzelaniu z dział. Załoga zatrudniona przy różnych drobnych pracach. Piątek, 29 czerwca. Wiatr S, potem E... słaby, bezchmurne niebo. Ćwiczenia w strzelaniu z dział. Rano załoga zatrudniona przy czyszczeniu łańcucha kotwicznego. Wiatr umiarkowany, częściowe zachmurzenie. Potrójnie zrefowano grotmarszagiel, wymieniono i maksymalnie zrefowano fokmarszagiel. O godz. 4 silny wiatr, zrzucono rejowego grota. O godz. 8 wiatr umiarkowany, postawiono zrefowany grotzagiel. W południe bezwietrznie. Zmarł Henry Gouges, sanitariusz. Ćwiczenia w strzelaniu z dział.

Sobota, 30 czerwca. Wiatr słaby, chwilami bezwietrznie. Ćwiczenia w strzelaniu z dział. Ukarani: Jno. Shannahan i Thos. Yates, po 12 batów za pijaństwo. Zabito cielaka o wadze 530 funtów. Zapas wody pitnej: 3 tony.

Niedziela, 1 lipca... Zbiórka i apel załogi. Odczytano przepisy prawa wojennego, odprawiono nabożeństwo, pochowano Zgodnie z ceremoniałem morskim Henry'ego Gougesa. W południe pogoda bez zmian.

Pogoda bez zmian. Słońce zaszło jednak za intensywnie purpurowym pasem skłębionych chmur, daleko na horyzoncie, i dla każdego człowieka morza było jasne, iż taka aura nie utrzyma się długo. Marynarze – wylegujący się na forkasztelu lub czeszący długie włosy i zaplatający sobie nawzajem warkoczyki – cierpliwie objaśniali szczyrom lądowym oczywiste oznaki nadchodzącego piekła. Wszystko zapowiadało prawdziwą wojnę żywiołów: długa fala z południa i wschodu, lepkie ciepło wiszące w powietrzu i buchające z powierzchni coraz mocniej wzburzonego morza, groźny kolor tarczy słonecznej. Szykowała się wstrętna noc, a ludzie byli już wystarczająco przerażeni nienaturalną śmiercią Henry'ego Gougesa. Biedaczyna powiedział: „Cha, cha, cha, koledzy, kończę dzisiaj równo pięćdziesiąt lat. O Boże...” i skonał, siedząc przy stole, z pełnym kubkiem grogu w dłoni. Było niedzielne popołudnie i wszyscy mieli sporo czasu, by o tym rozmyślać: tego dnia po obiedzie forkasztel jak co tydzień zappełnił się odpoczywającymi marynarzami. Większość z nich zajmowała się

myciem i czesaniem włosów, które rekordzistom po rozpuszczeniu warkocza sięgały aż do pasa. Widok czeszących swe zadziwiające włosy wilków morskich podsycił niepokój w sercach zatrwożonych poborowych.

Marynarze na ogół przesadzali w swych prognozach, lecz tym razem ich zapowiedzi dokładnie się sprawdziły. Południowo-wschodni wiatr gwałtownie przybierał na sile: od ostrzegawczych podmuchów pod koniec psiej wachty do porywistej wichury w południe następnego dnia. Strumień rozpędzonego powietrza przyniósł ze sobą ulewny, ciepły deszcz; był tak obfity, iż chcąc zaczerpnąć oddech, ludzie za kołem sterowym musieli pochylać głowy i zasłaniać dłońmi usta. Fale spiętrzały się coraz bardziej – nie tak wielkie jak na Atlantyku, lecz o wiele bardziej strome i gniewne. Bryg momentami znikał w ich dolinach, na chwilę zasłonięty od wiatru. Szczyty grzywaczy odrywały się i ulatywały w górę, jakby chciały się ścigać między marsami. „Sophie” żeglowała pod sztormowym sztakslem i trzeba przyznać, że radziła sobie doskonale. Nie była nigdy zbyt szybka, nie wyglądała groźnie czy wspaniale, lecz ze zdjętymi na pokład stengami masztów, dodatkowo zamocowanymi działami i uszczelnionymi lukami, sztormowała beztrosko, jak stara doświadczona kaczka. Otwarta była jedynie specjalnie osłonięta zejściówka na rufie, ale i tak na pokład dostawało się zaskakująco mało wody. Dowódca z zadowoleniem patrzył, jak jego jednostka wspina się odważnie po pokrytym pianą zboczu fali, przecina dziobem skłębioną grzywę na jej szczycie i miękko osuwa się w dół. Stał z ramieniem oplecionym dookoła baksztagu, ubrany w brezentową kurtkę i perkalowe spodnie. Jego długie jasne włosy, rozpuszczone na wzór lorda Nelsona, unosiły się, gdy znajdowali się na grzbiecie fali, i opadały w dole między spienionymi bałwanami, tworząc naturalny wiatromierz. „Sophie” wytrwale posuwała się do przodu po wzburzonym, oświetlonym księżycowym światłem morzu i Jack musiał przyznać, iż nie pomylił się co do jej morskiej dzielności.

–Nasz okręt bardzo sucho sztormuje – z satysfakcją powiedział do Stephena, który woląc umrzeć na górze, wyczołgał się na pokład. Doktor został tu przywiązany do wspornika i stał teraz w milczeniu za plecami kapitana, przemoczony i panicznie przestraszony.

–Proszę?

–Nasz – okręt – bardzo – sucho – sztormuje! Stephen niecierpliwie wrzucił ramionami: to nie był czas

na żarty.

Wiatr ucichł po wschodzie słońca. O wpół do siódmej rano po sztormie pozostała tylko rozkołysana martwa fala i pasmo skłębionych chmur, nisko na północnym zachodzie, nad Zatoką Lwów. Niebo było wręcz niewiarygodnie czyste. W idealnie przejrzystym powietrzu Stephen mógł bez trudu określić kolor nówek małego petrela,

przelatującego o dobre dwadzieścia jardów za rufą.

–Pamiętam wszechogarniający, paraliżujący strach – powiedział, patrząc za odlatującym ptakiem. – Nie potrafię sobie jednak przypomnieć, na czym to uczucie polegało. Nie umiem opisać tego, co działo się we mnie.

Sternik za kołem i oficer wachtowy spojrzeli na siebie z zażenowaniem.

–To coś podobnego do przeżyć kobiety podczas porodu – kontynuował, podchodząc bliżej relingu, by śledzić lot petrela. Mówił coraz głośniej. Sternik i oficer rozglądali się trwożnie dookoła: ktoś mógłby usłyszeć te potworne brednie. Wygłaszał je przecież nie kto inny, jak ich lekarz okrętowy, cudotwórca, który w jaskrawym świetle dnia, na głównym pokładzie, otworzył czaszkę artylerzysty, nazywanego teraz Łazarzem. Od tego czasu doktor był przez wszystkich bardziej niż poważany, lecz teraz brnął w stronę czegoś absolutnie niestosownego. – Pamiętam pewien przypadek...

–Żagiel na horyzoncie! – zawołał obserwator na maszcie, wybawiając wszystkich z niezręcznej sytuacji.

–Gdzie?

–Na zawietrznej. Dwa, trzy rumby od trawersu. Feluka. Mają jakieś kłopoty... Wszystko puścili luzno.

„Sophie” zmieniła kurs i już po chwili z jej pokładu można było dostrzec felukę, unoszącą się i opadającą na fali. Nie próbowała uciekać, płynąc innym kursem lub stanąć w dryfie. Jej żagle powiewały w nieregularnych podmuchach słabnącego wiatru. Nie zareagowała na sygnały brygu, nikt nie odpowiedział na wołanie. Przy sterze feluki nie było nikogo. Przez lunetę widać było, iż rumpel przelatuje swobodnie z burty na burtę.

–Ktoś leży na pokładzie! – wykrzyknął Babbington, dumny, iż może wykazać się spostrzegawczością.

–Przy takiej fali trudno będzie opuścić łódź – mruknął Jack pod nosem, raczej do siebie. – Williams, proszę podejść jak najbliżej. Panie Watt, niech pan postawi kilku ludzi z odbijaczami. Co pan myśli o tym statku, panie Marshall?

–Cóż, sir. Moim zdaniem ta feluka pochodzi z Tangeru lub Tetuanu, w każdym razie na pewno z zachodniej części wybrzeża...

–Człowiek w tej kwadratowej dziurze zmarł na skutek zarazy... – oznajmił Stephen Maturin, trzymając przy oku lunetę.

Po tych słowach zapanowała nienaturalna cisza, tak iż słycać było, jak wiatr szepce coś w wantach na nawietrznej. Odległość między jednostkami malała szybko i wszyscy teraz widzieli nieruchome ciało przewieszane przez otwór rufowej zejściówki. Pólnagi mężczyzna leżał też w kłębowisku splecionych lin przy sterze.

–Proszę trzymać okręt na pełnych żaglach – polecił Jack. – Doktorze, czy jest pan absolutnie tego pewny? Proszę spojrzeć przez mój teleskop.

Stephen popatrzył przez kapitańską lunetę i stwierdził stanowczo:

–Nie ma najmniejszej wątpliwości. Przygotuję moją torbę i przejdę na ich pokład. Może komuś udało się przeżyć.

Feluka dotykała już prawie burty „Sophie” i oswojona mangusta – na barbarzyńskich statkach często trzymano te tępiące szczury zwierzęta – wspięła się na reling, gotowa do skoku. Stary Szwed o nazwisku Volgardson, wyjątkowo dobrotliwy i łagodny człowiek, rzucił w nią myjką, strącając zwierzę na pokład. Wszyscy stojący wzdłuż burty ludzie krzyczeli i gwizdali, usiłując je odstraszyć.

–Panie Dillon, proszę zmienić hals – zdecydował Jack.

Pokład „Sophie” ożył natychmiast. Rozległy się gwizdki bosmana, ludzie ruszyli biegiem na stanowiska. W tym zamieszaniu Stephen zawołał:

–Proszę wysłać łódź...! Protestuję...!

Jack chwycił doktora mocno za łokieć i siłą odprowadził do kabiny.

–Szanowny panie... – tłumaczył łagodnie. – Przykro mi, lecz nie może pan nalegać na wysłanie tam łodzi, a tym bardziej protestować. To jawny bunt, a jako buntownika musiałbym pana powiesić. Gdyby tylko dotknął pan nogą pokładu tej feluki, nawet gdyby nie przywłókł pan na nasz okręt zarazy, musielibyśmy w Mahon podnieść żółtą flagę. Wie pan chyba, co to oznacza. Czterdzieści cholernych dni kwarantanny na wyspie i kula w łeb, jeżeli tylko wychyli się nos za palisadę. O to tutaj chodzi... Niezależnie od tego, czy przeniósłby pan do nas chorobę czy nie, połowa ludzi umarłaby ze strachu.

–Czy mam rozumieć, że odpłynie pan od tego statku, nie próbując nawet udzielić pomocy?

–Oczywiście.

–Cała odpowiedzialność za ten postępek spada zatem tylko i wyłącznie na pańskie sumienie.

–Jak najbardziej.

W dzienniku okrętowym znalazła się jedynie drobna wzmianka o tym incydencie. Używając beznamiętnego, oficjalnego języka, trudno byłoby zresztą przedstawić sytuację, w której lekarz okrętowy pogroził pięścią kapitanowi. Całe wydarzenie zarejestrowano niezbyt szczegółowo: *sprawdzono felukę, 1/4 po godz. 11 powrócono na poprzedni kurs*. Karty dziennika okrętowego czekały na inny wpis, najszczęśliwszy od wielu lat (kapitan Allen był pechowym dowódcą: większość czasu spędził, pływając w konwojach, a podczas patroli morze dookoła niego pustoszało – nigdy nie zdobył żadnego przyżu): *...Po południu wiatr umiarkowany, słabnący. Postawiono bramstengi masztów. Otwarto beczkę z wieprzowiną nr 113. Zawartość częściowo zepsuta. O godz. 7 zauważono żagiel w kierunku zachodnim. Postawiono żagle w pościgu*.

Kierunek zachodni oznaczał w tym przypadku kurs dokładnie z wiatrem, a postawienie żagli równało się z rozpostarciem na masztach wszystkiego, czym „Sophie” dysponowała, łącznie z kompletem dodatkowych, bocznych żagli. Rozwinięto również bombramsle, a nawet bonnety. Ścigana jednostka okazała się bowiem sporą polakrą z ożaglowaniem łacińskim na fokmaszcie oraz stenmaszcie i z rejowym na grotmaszcie. Była więc statkiem francuskim lub hiszpańskim i na pewno cennym przyzem, gdyby udało się ją dopaść. Polakra jednak wcale nie miała ochoty dać się złapać. W chwili, gdy została dostrzeżona, leżała w dryfie, a jej załoga naprawiała uszkodzony podczas sztormu grotmaszt. Zanim na „Sophie” wybrano szoty bramsli, polakra uciekała już z wiatrem, z postawionymi wszystkimi żaglami. Była bardzo płochliwa, wyraźnie nie lubiła podobnych niespodzianek.

„Sophie”, na której było wielu wprawionych w stawianiu żagli ludzi, przez pierwszy kwadrans pokonywała dwie mile na jedną milę uciekającej jednostki. Gdy jednak polakra postawiła wszystkie płótna, szansę prawie się wyrównały. Obie jednostki żeglowały pełnym baksztagiem i za sprawą olbrzymiego rejowego grotżagla bryg wciąż miał lekką przewagę. Rozpędziwszy się maksymalnie, płynął z prędkością ponad siedmiu węzłów, na polakry sześć. Mimo to, odległość dzieląca go od potencjalnej zdobyczy wynosiła około czterech mil, a do zapadnięcia ciemności pozostały zaledwie trzy godziny. Księżyc miał wzejść dopiero o wpół do trzeciej nad ranem. Mogli mieć jedynie nadzieję, iż jakaś część osłabionego po ciężkiej sztormowej nocy osprzętu ściganego statku nie wytrzyma naporu wiatru. Z forkasztelu „Sophie” w rufę polakry nieustannie wpatrywały się uzbrojone w lunety oczy.

Jack stał z prawej strony łoża bukszprytu i marzył o szczęśliwym zakończeniu pościgu. Chętnie dałby sobie odciąć prawą rękę w zamian za skuteczne działo pościgowe. Spojrzał za siebie, na maszty, i przez chwilę przyglądał się fali przed dziobem oraz odpływającej w tył wzdłuż burt wodzie. Wydało mu się, że przy obecnym trymie tylne żagle za mocno przegłębiają przednią część kadłuba. Zbyt

duża powierzchnia płócien mogła w ten sposób hamować ruch okrętu, zamiast go przyspieszać. Polecił więc, by zwinięto tylny bombramżagiel. Nigdy jeszcze żaden rozkaz nie był wykonywany z tak wielką niechęcią. Jack nie pomylił się jednak, odczyty z logu były tego najlepszym dowodem. „Sophie” pobiegła po falach odrobinę lżej i trochę szybciej – popychająca ją siła wiatru przyłożona była teraz bardziej z przodu.

Słońce zaszło z prawej strony za horyzontem, wiatr zaczął skręcać na północ i w porywach wyraźnie przybierał na sile. Zapadał zmrok. Polakra nadal znajdowała się w odległości około trzech czwartych mili, wciąż utrzymując kurs na zachód. Gdy wiatr przeszedł w pobliże trawersu, na brygu postawiono sztaksle i gaflowego grota. Jack spojrział w górę i kazał zbrasować mocniej fokbombramżagiel. Gdy opuścił wzrok, pokład „Sophie” tonął już w mroku.

Z pokładu rufówki było jeszcze widać uciekający pod pełnymi żaglami statek, a może tylko jakąś przypominającą go białą zjawę. Jack przeniósł się z powrotem na rufę. Stał tam, nie wypuszczając z dłoni nocnej lunety, i od czasu do czasu przyciszonym głosem wydawał rozkazy.

Ściemniało się coraz bardziej, aż w końcu polakra znikła zupełnie. Wyparowała niespodziewanie. W miejscu, gdzie przed chwilą majaczyły jej żagle, można było teraz dostrzec rozkołysane morze i wschodzącego ponad horyzontem Regulusa.

–Na maszcie! – zawołał cicho kapitan. – Czy coś widać?

–Nic, sir. Tego statku nigdzie nie ma... – padła dopiero po chwili odpowiedź.

No właśnie. Co robić? Jack musiał przez chwilę pomyśleć. Chciał zastanowić się nad sytuacją tu, na pokładzie, w spokoju, czując na twarzy każdy zmieniający się podmuch wiatru, tuż przy podświetlonej tarczy kompasu. Obowiązujące we flocie zwyczaje i zasady na szczęście nie stały temu na przeszkodzie.

Bez najmniejszej trudności mógł skorzystać ze swej kapitańskiej niezależności (od której tak wielu dowódców okrętów przewracało się w głowie). Mógł wyizolować się z otaczającego go świata, był teraz sam na sam ze swymi myślami. W pewnej chwili zauważył, że Dillon kazał Maturinowi odejść. Zarejestrował ten fakt w pamięci, nawet na chwilę nie przestając analizować możliwych rozwiązań najważniejszego problemu. Polakra zmieniła już kurs lub uczyni to za chwilę. W jakim kierunku popłynie? Gdzie znajdzie się o świcie? Odpowiedź na te pytania zależała od wielu czynników. Od tego, czy ów statek był francuski czy hiszpański, czy zmierzał do macierzystego portu, czy płynął z niego, od przebiegłości załogi i kapitana, wreszcie ponad wszystko od wiatru oraz żagli. Od początku starał się brać pod uwagę wszystkie te możliwości. Zaczął je analizować już wtedy, gdy po raz pierwszy ustawił lunetę w kierunku ściganej jednostki. W końcu, w rezultacie zawilego procesu dedukcji (o ile

można tak określić jego tok rozumowania), doszedł do wniosku, że polakra wykonała zwrot lub dryfuje gdzieś tutaj bez żagli, tak by nie można jej było dostrzec; liczy na to, iż podążająca na północ „Sophie” wkrótce przepłynie obok. Tak czy inaczej, ścigany statek na pewno przetnie kilwater brygu i skieruje się, a może już to zrobił, ostrym kursem w stronę Agde lub Sete. Wykorzystując fakt, iż łańskie ożaglowanie pozwala płynąć znacznie bliżej linii wiatru, statek do rana umknąłby pogoni. Jeśli rzeczywiście takie były ich zamiary, „Sophie” powinna natychmiast wykonać zwrot i również ruszyć kursem na wiatr, nie forsując zbytnio płócienn. Należało bowiem przypuszczać, że polakra postawi tylko przednie i tylne żagle. Nawet podczas pościgu jej uszkodzony grotmaszt był wyraźnie oszczędzany.

Jack wszedł do kabiny pierwszego nawigatora i przymrużywszy oczy nie przyzwyczajone do światła, sprawdził pozycję. Porównał ją szybko z obliczeniami Dillona i wrócił na pokład, by wydać rozkazy.

–Panie Watt, zrobimy teraz zwrot... – zapowiedział półgłosem. – Chcę, żeby wszystko odbywało się w zupełnej ciszy. Bez gwizdków, krzyków i poganiania.

–Tak jest, sir. Bez gwizdków. – Bosman ruszył szybko na pokład. – Do zwrotu przez sztag! – wołał chrapliwym, trudnym do zrozumienia szeptem.

Efekt był piorunujący, nie tyle za sprawą tego polecenia, co sposobu, w jaki je wydano. Kapitan zrozumiał nagle, że cała załoga obdarzyła go ślepym wręcz zaufaniem. Wiedział jednak, że w przypadku pomyłki utraci je bezpowrotnie.

–Bardzo dobrze, Assou – pochwalił stojącego za kołem sterowym Hindusa. „Sophie” powoli zbliżała się do linii wiatru. – Ster na nawietrzną – polecił cicho. W normalnych warunkach podobną komendę słychać było od horyzontu po horyzont. – Luzować szoty! – Bose stopy zatupały cicho na pokładzie i rozległy się uderzenia szotów sztaksli o sztagi. Czekał cierpliwie, aż wiatr znalazł się o rumb od dziobu, i zawołał nieco głośniejszym głosem: – Wybierać szot grota! – Bryg przeszedł linię wiatru i odpadał powoli do pełnego bajdewindu. Padały następne przyciszone komendy, niewidoczni prawie w mroku żołnierze i ludzie z obsługi dział wybierali sprawnie brasy, jak najbardziej doświadczeni marynarze. Nawietrzne buliny naprężyły się i okręt ruszył do przodu nowym kursem, na północny wschód, pod zrefowanymi marslami.

Kapitan Aubrey zszedł na dół. Nie chciał zapalać niepotrzebnego światła w swej kabinie, a szkoda mu było czasu na zasłanianie okien. Schylając się, zajrzał więc do mesy oficerskiej. Ze zdumieniem zauważył Dillona grającego w szachy z doktorem Maturinem. Co prawda, wachta porucznika właśnie odpoczywała, lecz Jack w podobnej sytuacji nigdy nie opuściłby pokładu. Ochmistrz odczytywał tymczasem na głos fragmenty z „Gentleman's Magazine”, okraszając je od czasu do czasu własnymi uwagami.

–Proszę sobie nie przeszkadzać, panowie – zawołał, wchodząc, gdyż wszyscy obecni na jego widok poderwali się z miejsc. – Przyszedłem tylko na chwilę skorzystać z waszej gościnności.

Przyjęli go bardzo uprzejmie: wino, ciastka, ostatnie wydanie „Navy List”. Był jednak intruzem. Naruszał ich prywatność. Cięte uwagi ochmistrza ucichły, a partia szachów została odłożona. Tak jakby w mesę uderzył piorun Zeusa siedzącego na Olimpie. Stephen mieszkał teraz tutaj. Jego kabinę stanowiło coś w rodzaju drewnianego kredensu, z tyłu, za wiszącą u sufitu lampą; doktor wydawał się pełnoprawnym członkiem tej społeczności. Jack poczuł się tym dziwnie dotknięty. Po krótkiej rozmowie (jego zdaniem była to niepotrzebna wymiana wyszukanie uprzejmych zdań) wrócił na górę. Gdy tylko postać kapitana pojawiła się w świetle zejściówki, pierwszy nawigator i Ricketts przeszli pośpiesznie na lewą burtę. Dowódca podjął więc swą samotną, przerwana wcześniej wędrówkę tam i z powrotem po pokładzie.

Na początku środkowej wachty niebo całkowicie się zachmurzyło i gdy zabrzmiały przyciszone dwie szklanki, spadł ulewny deszcz. Krople wody, spadające na rozgrzaną przez lampę pokrywę kompasu, wyparowywały z sykiem. Wszedł księżyc, wąski i tak blady, że trudno go było zauważyć. Jack poczuł straszliwy głód, nie przestał jednak chodzić w kółko, co chwila zerkając odruchowo w ciemność na zawietrznej.

Trzy szklanki. Wracający z obchodu kapral zameldował cicho, że wszystko w porządku. Cztery szklanki. Było w końcu tyle innych możliwości. Ścigany statek równie dobrze mógł popłynąć w innym kierunku, niekoniecznie do Sete. Są przecież tysiące portów.

–Co takiego? Chodzi pan po deszczu w koszuli? To czyste szaleństwo – zabrzmiał głos Stephena Maturina tuż za plecami kapitana.

–Ciszej! – syknął pełniący wachtę Mowett, który nie zauważył wcześniej wychodzącego na pokład doktora.

–To naprawdę szaleństwo. Nie można lekceważyć chłodnego nocnego powietrza, zwłaszcza gdy jest wilgotne. Jeśli musi pan spacerować po nocy, proszę nakładać wełniane okrycie. Ciepły płaszcz dla kapitana! Sam przyniosę...

Pięć szklanek i następna ulewa. Zmiana na sterze, szeptem przekazywany kurs, rutynowe czynności. Sześć szklanek i na wschodzie ciemność zaczęła się jakby rozrzedzać. Nadal obowiązywał nakaz zachowywania absolutnej ciszy. Ludzie na palcach pośpieszyli, by ustawić reje. Tuż przed siedmioma szklankami marynarz pełniący służbę na oku zakaszłał i zawołał ostrożnie, na tyle jednak głośno, by można go było usłyszeć: – Na pokładzie! Sir, myślę, że ich widać, na zawietrznym rawersie!

Tak mi się zdaje...

Jack włożył lunetę do kieszeni przyniesionego przez Stephena płaszcza i pośpiesznie wspiał się na marsa grotmasztu. Objął ramieniem wantę i ustawił teleskop w kierunku wskazywanym przez wyciągnięte ramię marynarza. Pierwsze nieśmiałe promyki brzasku z trudem przekradały się przez trwającą w oddali ulewę i skłębione chmury nisko na zawietrznej. Na ich tle – z majaczącymi niewyraźnie białą łacińskimi żaglami – płynęła polakra, oddalona od brygu nie więcej jak o pół mili. Deszcz wkrótce znowu wszystko zasłonił. Jack zdołał się jednak upewnić, iż rzeczywiście dopadli ściganą od wczoraj jednostkę. Jej grotmaszt był złamany tuż przy dybach stengi.

–Wspaniale, Anderssen... – Poklepał marynarza po ramieniu.

Mowett wraz z resztą wachty czekał w milczeniu na dole. Na twarzach widać było pełną napięcia ciekawość.

–Są dokładnie na zawietrznej. Może pan oświetlić okręt, panie Mowett. Niech zobaczą naszą siłę. Lepiej, żeby nie próbowali zrobić czegoś głupiego... Mogliby na przykład wystrzelić z działa i zranić kogoś z naszej załogi. Proszę dać mi znać, kiedy wejdzie pan na ich pokład...

Aubrey zszedł na dół, poleciwszy uprzednio, by przyniesiono mu lampę i coś ciepłego do picia. Już w kabinie słyszał, jak Mowett wydaje komendy piskliwym z przejęcia głosem. Podchorąży po raz pierwszy w życiu samodzielnie manewrował okrętem i chętnie oddałby teraz życie za swego kapitana. „Sophie” powoli zmieniła kurs i rozwinęła skrzydła.

Jack siedział oparty o ścianę, naprzeciwko łagodnie zakrzywionej linii okien rufowych, i małymi łykami pił coś, co według Killocka uchodziło za kawę. Gorący napój przyjemnie rozgrzewał wygłodzony żołądek. Błogie ciepło rozlewało się po całym ciele wraz z wszechogarniającą falą niewysłowionej wręcz radości i dumy. Radości, którą dowódca innego okrętu, pamiętający swą pierwszą zdobycz, umiałby jakoś odnaleźć w beznamiętym zapisie w dzienniku okrętowym: *1/2 po godz. 10 zwrot przez sztag, godz. 11 zrefowano marsie. Rano pochmurno i deszcz. 1/2 po godz. 4 zauważono ścigany statek na zawietrznej w odległości 1/2 mili. Po zmianie kursu zajęto wspomnianą wyżej jednostkę: francuska polakra „L’Aimable Louise”, z ładunkiem kukurydzy i drobnicy do Sete, razem ok. 200 ton, 6 dział i załoga 19 ludzi. Zdobyty statek odesłano z oficerem i ośmioma ludźmi do Mahon.*

–Proszę pozwolić mi napełnić pański kieliszek... – zwrócił się Jack do doktora z wyszukaną uprzejmością. – To wino jest chyba dużo lepsze od tego, które dotychczas mieliśmy na okręcie. Tak mi się przynajmniej zdaje.

–Lepsze, o wiele... I na dodatek znacznie mocniejsze. Bardzo zdrowe, poprawiające trawienie – mówił Stephen Maturin. – To porządne priorato. Tak, priorato, z winnic za Tarragoną.

–Rzeczywiście porządne. Wyjątkowo smaczne. Wracając do przyzu: główny powód, dla którego jestem tak szczęśliwy, to fakt, iż podobna zdobycz zachęca ludzi. Dzięki temu będę też mógł swobodniej realizować swoje zamiary. Mamy świetnego agenta przyzowego, który jest mi zresztą winien przysługę... Wydaje mi się, że bez problemu dostanę od niego jakieś sto gwinei zaliczki. Sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt przeznaczę dla załogi, a za resztę kupię wreszcie trochę prochu. Nic nie zrobi tym ludziom lepiej niż kilka dni na ładzie. Potrzebne im jednak będą pieniądze...

–Nie boi się pan, że uciekną? Często wspominał pan o dezercji. Mówił pan, że to prawdziwa zmore.

–Nikt nie myśli o ucieczce, gdy lada dzień otrzymać ma pieniądze ze sprzedaży przyzu i gdy istnieje realna szansa na następne łupy. Na pewno nie w Mahon, w każdym razie. Co ważne, wszyscy z większym zapalem przyłożą się do ćwiczeń w strzelaniu z dział. Niech pan nie myśli, iż nie wiem o narzekaniach. Mieli prawo narzekać, bo nieźle ich ostatnio przycisnąłem, ale teraz rozumieją, że te ćwiczenia mają konkretny cel... Jeśli uda mi się zdobyć trochę prochu, będziemy organizować zawody pomiędzy burtami i wachtami. Nie ośmielę się zużyć nawet uncji więcej z oficjalnego przydziału. Oczywiście zwycięzcy zostaną nagrodzeni. Potrenujemy też trochę „na sucho”, tak by nasze działa były większym zagrożeniem dla innych niż dla nas samych... A potem... Boże, jaki jestem śpiący... Potem możemy pomyśleć o patrolu. Planuję zasadzki w nocy, blisko brzegu... Najpierw powinienem panu powiedzieć, jak planuję wykorzystać przydzielony nam czas. Tydzień koło przylądka Creus, potem powrót do Mahon w celu uzupełnienia prowiantu i wody. Przede wszystkim wody. Potem okolice Barcelony, blisko brzegu... Blisko brzegu... – Jack ziewnął szeroko. Po dwóch nieprzespanych nocach i sporej szklanicy priorato z „Aimable Louise” poczuł się nagle dziwnie i błogo ociężały. – Co mówiłem? Ach, potem Tarragona, Walencja... Walencja... Najwięcej kłopotu będzie oczywiście z wodą. – Zamrugnął oczami, światło raziło go coraz bardziej. Myśli uciekały gdzieś daleko. W oddali słyszał głos Stephena, mówiącego coś o wybrzeżu Hiszpanii. Doktor znał je dobrze aż do Denii. Obiecywał pokazać wiele interesujących pozostałości po okupujących niegdyś owe tereny Fenicjanach, Grekach, Rzymianach, Wizygotach i Arabach. Co ciekawe, z tego, co mu było wiadomo, na bagnach koło Walencji występują oba rodzaje czapli, a rdzenni mieszkańcy tych okolic to ludzie o ognistym temperamentem, mówią szczególnym dialektem. Bardzo możliwe, iż uda się też zobaczyć flamingi...

Silny wiatr, za sprawą którego tak przykry los spotkał „Aimable Louise”, dokuczył również innym statkom handlowym w zachodniej części Morza Śródziemnego. Niektóre z nich oddaliły się od zamierzonego kursu i już w dwie godziny po

odprawieniu pierwszego pryzu do Mahon na „Sophie” zauważono dwie następne jednostki. Jedną z nich była barcalonga płynąca na zachód, a drugą bryg sterujący dokładnie na południe. Wydawał się cenniejszą zdobyczą, „Sophie” ruszyła więc, by przeciąć mu drogę. Statek handlowy, wciąż obserwowany uważnie z pokładu okrętu wojennego, żeglował spokojnie, z postawionymi marslami. Na „Sophie” rozwinięto tymczasem bombramsle. Płynęła teraz pełniejszym nieco niż bryg halsem, pochylając się tak, iż ławy wantowe na jej zawietrznej burcie znalazły się pod wodą. W miarę przybliżania się obu jednostek marynarze z załogi okrętu wojennego ze zdumieniem spostrzegli, iż ów statek łudzaco przypomina jednostkę, na której się znajdowali. Nawet stewy obu bukszprytów wydawały się jednakowo przydługie.

–To chyba będzie bryg – zauważył trafnie doktor Maturin, stojąc przy relingu obok Pullingsa, wysokiego, nieśmiałego i jakby wiecznie zawstydzonego oficera nawigacyjnego.

–To prawda, sir. Bryg bardzo podobny do naszego. Aż trudno uwierzyć. Czy chce pan spojrzeć przez mój teleskop? – zapytał, wycierając obiektyw lunety chusteczką.

–Dziękuję. Wspaniałe szkła... Wszystko doskonale widać. Nie widzę specjalnego podobieństwa. Ten statek jest żółty, podczas gdy nasz kadłub jest czarny, z białym pasem.

–Och, sir, to tylko kwestia farby. Proszę spojrzeć na ich pokład rufówki z tym staroświeckim uskokiem. Jest dokładnie taki sam jak u nas. Niewiele się takich widuje, nawet na tych wodach. Niech pan przyjrzy się też stewie ich bukszprytu... Również wyporność tego statku nie różni się od naszej o więcej niż dziesięć ton. Tak. To jest taki sam bryg, z tej samej stoczni. Na przednim marslu ma trzy rzędy naszym refowych, a więc to jednostka handlowa, a nie okręt wojenny, jak my.

–Czy zarekwirujemy ją?

–Wątpię. To byłoby zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Może jednak tak...

–Hiszpańska bandera, panie Babbington – polecił Jack. Obracając się do tyłu, Maturin ujrzał pod pikiem gafla żółto-czerwoną flagę.

–Żeglujemy pod fałszywą banderą – wyszeptał. – Czy to nie wstrętne?

–Słucham?

–Czy takie postępowanie jest uczciwe?

–Ależ oczywiście, sir. Na morzu zawsze się tak robi. W ostatniej minucie pokażemy nasze prawdziwe kolory, zobaczy pan, zanim wystrzelimy z działa. To przecież sprawiedliwe. Proszę spojrzeć na ich flagę: udają Duńczyków. Tacy z nich Duńczycy

jak z nas Arabowie.

Okazało się jednak, iż Thomas Pullings się pomylił.

–To duński bryg „Clomer”, sir – wyjaśnił kapitan zatrzymanego statku, stary pijaczyna o bladych, podkrążonych oczach, pokazując Jackowi w kabinie swe dokumenty. – Nazywam się Ole Bugge. Nasz ładunek to skóry i wosk pszczeli z Trypolisu do Barcelony.

–W porządku, kapitanie... – Aubrey przejrzał papiery uważnie. Wydawały się oryginalne. – Proszę mi wybaczyć to małe zamieszanie. Muszę wykonywać swoje obowiązki... Na pewno pan to rozumie. Chciałbym poczęstować pana odrobiną tego priorato. Jest wyjątkowo dobre, tak mnie przynajmniej zapewniano.

–To wino jest wprost wspaniałe – powiedział Duńczyk, opróżniwszy kieliszek. – Naprawdę wyśmienite... Kapitanie, czy mógłbym prosić pana o podanie mi waszej aktualnej pozycji?

–Oczywiście. Mamy najlepszego nawigatora na całym Morzu Śródziemnym. Killick, poproś tutaj pana Marshalla... Panie Marshall, kapitan B... Mój gość chciałby się dowiedzieć, jaka jest nasza aktualna pozycja.

Załogi „Sophie” i „Clomera” z uwagą obserwowały nawzajem swe bliźniaczo podobne jednostki. Podoficer kancelaryjny i marynarz Anderssen rozmawiali ponad wodą z rodakami. Pozostali ludzie patrzyli na nich z zazdrością, nie rozumiejąc ani słowa z dziwnie brzmiącej obcej mowy.

Jack z wyjątkową uprzejmością odprowadził kapitana Bugge do relingu. Na duńską łódź opuszczono skrzynkę priorato. Wychylając się za burtę, Aubrey zawołał:

–Powiem panu, co z tego wynikło, gdy spotkamy się następnym razem!

Kapitan „Clomera” nie zdążył wrócić na swój statek, a już rozległo się skrzypienie przebrasowywanych rej „Sophie”. Po chwili ruszyła nowym kursem, na północny wschód, ostro na wiatr.

–Panie Watt... – powiedział Jack, patrząc w górę, na maszty. – Gdy będziemy mieli trochę czasu, zmienimy nieco stałe olinowanie. Uda się wtedy jeszcze mocniej zbrasować reje i nasza „Sophie” będzie mogła chodzić bliżej wiatru...

–Co się dzieje? – zastanawiali się ludzie, zdumieni nowym kursem i faktem, iż postawione zostały dodatkowe żagle. Ku zadowoleniu pana Dillona sklarowano też liny na pokładzie. W końcu do wszystkich dotarła wiadomość, że duński kapitan, poruszony uprzejmością Jacka i z sympatii dla przypominającej jego statek „Sophie”, wspomniał o pewnym francuskim słupie tuż za północnym horyzontem. Ponoć ów

statek miał połatanego grota, zmierzał do Agde i był bardzo załadowany. Steward z mesy oficerskiej zdradził tę informację stewardowi ochmistrza i jego pomocnikowi, który z kolei powtórzył ją w kuchni. W ten prosty sposób dowiedziała się o tym cała załoga.

Halsując pod wiatr, „Sophie” cierpliwie zmagala się z przybierającą na sile bryzą. Po piątym zwrocie na północnym wschodzie pojawił się strzępek bieli, zbyt odległy, by mógł być przelatującą w oddali mewą. Prawdopodobnie był to ów francuski slup: jego osprzęt odpowiadał opisowi Duńczyka. Wszelkie wątpliwości rozwiały się dopiero wówczas, gdy zatrzymany statek znalazł się w zasięgu dział brygu, a łodzie zaczęły kursować tam i z powrotem, przewożąc jeńców o posępnych twarzach. Do ostatniej chwili Francuzi zachowywali się bardzo dziwnie. Nikt nie pełnił chyba u nich służby na oku – „Sophie” została dostrzeżona, gdy znalazła się o milę od slupa. Nawet wtedy ich dowódca wyraźnie się wahał, w pierwszej chwili uwierzył w trójkolorową banderę okrętu wojennego, potem spróbował ucieczki. Było już zdecydowanie za późno. Nie upłynęło nawet dziesięć minut i załoga slupa poddała się, nerwowo sygnalizując ów fakt flagami już po pierwszym ostrzegawczym wystrzale brygu.

Powody takiego postępowania stały się dla Jamesa Dillona zrozumiałe, gdy tylko postawił stopę na pokładzie zdobytego statku. „Citoyen Durand” załadowany był prochem strzelniczym, wypełniającym po brzegi ładownię i składowanym w pokrytych brezentem baryłkach nawet na pokładzie, poza tym młody kapitan slupa zabrał ze sobą w morze brzemiennej żonę. Nocny sztorm, pojawienie się „Sophie” i niebezpieczeństwo wybuchu – wszystko to sprawiło, iż ich pierwsze dziecko zapragnęło wydostać się na świat. James był człowiekiem o twardym sercu, lecz jęki i zwierzęce niemal okrzyki rodzącej, tuż za ścianą, bardzo go przeraziły. Z pobladałą twarzą patrzył na roztrzęsionego i zapłakanego przyszłego ojca.

Pozostawił francuski slup pod komendą Babbingtona, a sam pośpiesznie wrócił na pokład „Sophie”, by wyjaśnić sytuację. Na dźwięk słowa „proch” twarz Jacka Aubreya nieco się ożywiła, słowo „dziecko” szybko jednak wymazało z niej wszelkie emocje.

–Wydaje mi się, że ta biedna kobieta umiera – zaznaczył James Dillon, kończąc swą relację.

–Tak... Nie wiem... – powiedział kapitan z wahaniem. Zrozumiał teraz znaczenie tych odległych, dziwnych i przerażających krzyków. Słyszał je w tej chwili o wiele wyraźniej. – Proszę zawołać tutaj doktora – polecił żołnierzowi piechoty morskiej.

Ponieważ pościg już się zakończył i nie zapowiadało się nic interesującego, Stephen zajął swe stałe stanowisko przy pompie z pnia wiązu i patrzył przez jej drewnianą rurę w głąb podświetlonego słońcem morza. Gdy powiedziano mu, iż na zdobytym

pryzie znajduje się rodząca kobieta, zbytnio się tym nie zdziwił.

–Tak? Możliwe. Wydawało mi się, że skądś znam te odgłosy – zauważył obojętnie i widać było, iż zamierza powrócić do przerwane go zajęcia.

–Na pewno może jej pan pomóc? – zapytał Jack ostrożnie.

–Moim zdaniem ta biedna kobieta umiera – dodał Dillon.

Stephen spojrział na nich pozbawionymi wyrazu oczami.

–Zaraz popłynę tam łodzią – oświadczył i zszedł pod pokład.

–Cóż, już za chwilę ta biedaczka znajdzie się w dobrych rękach, dzięki Bogu. – Aubrey odetchnął z ulgą. – Mówi więc pan, iż również cały ładunek na pokładzie to proch?

–Tak, sir. Trudno w to uwierzyć.

–Panie Day... Panie Day, proszę pozwolić tu na chwilę. Czy zna pan francuskie oznaczenia?

–Tak. Oczywiście. Są prawie takie same jak nasze, tylko na ich najlepszym gruboziarnistym jest inny znak: biały pierścień dookoła czerwonego... No i ich półbaryłki ważą niecałe trzydzieści pięć funtów.

–Ile mógłby ich pan zmieścić? Artylerzysta zastanawiał się przez chwilę.

–Jeśli ułoży się je ciasno warstwami, to powinno wejść trzydzieści pięć, może trzydzieści sześć sztuk...

–Proszę więc tak zrobić. Nawet stąd widać, że część tego ładunku jest zepsuta, będziemy musieli coś z tym zrobić, by nie zmarnować reszty. Najlepiej będzie, jeśli wybierze się tam pan osobiście i dopilnuje, byśmy załadowali to, co najlepsze. Użyjemy ich łodzi. Panie Dillon, nie mogę powierzyć tej pływającej prochni podchorążemu. Będzie pan musiał sam odprowadzić ją do Mahon, gdy tylko zakończymy przeładunek. Proszę wziąć tylu ludzi, ilu panu trzeba, i odesłać doktora Maturina z powrotem na łodzi z tamtego statku – bardzo nam jest potrzebna. Boże, co za straszliwe krzyki! Przykro mi, że muszę obciążyć pana tym zadaniem, sam pan jednak widzi, jaka jest sytuacja.

–Oczywiście, sir. Rozumiem, że francuskiego kapitana mogę zabrać ze sobą? To byłoby nieludzkie, gdybyśmy teraz oddzielili go od żony.

–Tak, tak. Rzecz jasna. Biedaczyna z niego... To ci dopiero historia...

Wypełnione prochem baryłki przepłynęły łodzią po rozkołysanym morzu, powędrowały na pokład „Sophie” i zniknęły głęboko we wnętrzu jej kadłuba. Ich śladem podążyło sześciu smętnych Francuzów, z workami i kuferkami. Wśród załogi brygu nie panowała jednak zwykła w takich wypadkach radosna atmosfera. Na twarzach malowała się troska i poczucie winy, nawet u tych ludzi, którzy mieli na ładzie rodziny. Gdy Stephen Maturin zawołał z burty zdobytego statku, iż musi na nim zostać dłużej, Jack zmuszony był z żalem się z tym pogodzić. To oznaczało, że w najbliższym czasie pozbawiony będzie towarzystwa doktora.

„Citoyen Durand” płynął szybko w kierunku Minorki. Zapadła noc i od rufy wiała spokojna bryza. Ponieważ krzyki ucichły, Dillon postawił za sterem odpowiedzialnego człowieka, odwiedził swą niewielką załogę w kuchni pod pokładem i zszedł do kabiny. Stephen mył się właśnie, a roztrzęsiony mąż trzymał ręcznik w drżących dłoniach.

–Mam nadzieję... – zaczął James.

–Och, tak, tak – odparł Stephen, odwracając się w jego stronę. – To był normalny poród, trochę może zbyt długi. W każdym razie nic niezwykłego. Teraz, mój przyjacielu – zwrócił się do francuskiego kapitana – najlepiej będzie, jeśli zawartość tych wiader powędruje za burtę. Powinien pan położyć się na chwilę. Monsieur ma pięknego syna – dodał.

–Moje gratulacje, sir... – powiedział Dillon z ukłonem. – Życzę madame jak najszybszego powrotu do zdrowia.

–Dziękuję, bardzo dziękuję... – W oczach kapitana znowu pojawiły się łzy. – Proszę, niech panowie czują się jak u siebie w domu. Proszę się czymś poczęstować.

Stephen i James chętnie skorzystali z zaproszenia. Siedzieli w wygodnych fotelach, pałaszując stopy ciastek przygotowanych na chrzciny, które miały odbyć się w Agde w przyszłym tygodniu. Za drzwiami młoda kobieta usnęła wreszcie, jej mąż trzymał ją za rękę, a ich nowo narodzony synek tulił się do jej łona. Pod pokładem zapanowała cisza i cudowny spokój. Spokojnie było również na górze. Wiatr wiał od rufy, słup posuwał się do przodu ze stałą prędkością sześciu węzłów, a obowiązujące na okręcie wojennym sztywne rygory zostały zredukowane do życzliwego: „Ile leży, Joe?”

Było cicho, podróżowali przez noc zamknięci w tym drewnianym pudełku, oświetlonym jedynie mdłym światłem, ukołysani łagodnymi falami. Jeszcze chwila tej ciszy, a mogliby znaleźć się w dowolnym miejscu na ziemi, w jakimś innym świecie. Ich myśli pobiegły daleko i Stephen stracił nagle poczucie miejsca i czasu. Zapomniał, gdzie są, skąd i dokąd zmierzają.

–Mamy teraz pierwszą okazję do swobodnej rozmowy – powiedział przyciszonym

głosem. – Niecierpliwie czekałem na tę chwilę. Gdy wreszcie nadeszła, okazuje się, że niewiele mam do powiedzenia.

–Chyba nie musimy nic mówić – rzekł Dillon. – Myślę, że doskonale się rozumiemy.

Miał niewątpliwie rację, przynajmniej, jeśli chodziło o sedno sprawy. Pomimo tego rozpoczęli długą dyskusję, korzystając z kilku godzin nieskrępowanej prywatności.

–Wydaje mi się, że ostatni raz widziałem pana u doktora Emmeta – odezwał się James po chwili milczenia.

–Nie. To było w Rathfarnham, z Edwardem Fitzgeraldem. Przechodziłem obok domku letniego, gdy pan się pojawił. Był z panem Kenmare.

–Rathfarnham? Rzeczywiście, teraz sobie przypominam. Tuż po posiedzeniu komitetu. Tak... Był pan przyjacielem lorda Edwarda, jak mi się zdaje?

–Poznaliśmy się w Hiszpanii. W Irlandii, w miarę upływu czasu, widywałem się z nim coraz rzadziej. Otaczał się ludźmi, których nie lubiłem i którym nie ufałem. Dla niego moje poglądy były też zawsze za bardzo umiarkowane. W tamtym czasie byłem jednak wystarczająco gorliwym obrońcą ogólnoludzkich ideałów i szczerze oddanym sprawie republikaninem. Czy pamięta pan ten test?

–Jaki test?

–Zaczynający się od słów: *Czy jesteś uczciwy?*

–*Jestem.*

–*Jak uczciwy?*

–*Jak ty.*

–*Co cenisz?*

–*Prawdę, uczciwość, jedność i wolność.*

–*Co trzymasz w dłoni?*

–*Zieloną gałąź.*

–*Gdzie ona wyrosła?*

–*W Ameryce.*

–*Gdzie puściła liście?*

–We Francji.

–Gdzie chcesz ją posadzić?

–Nie. Nie pamiętam, co było dalej. To nie jest test, któremu mnie poddano. Tamten był zupełnie inny.

–Na pewno. Mnie poddano właśnie tej próbie. Pamiętam, że słowo „wolność” sporo dla mnie wówczas znaczyło. Nawet wtedy byłem jednak sceptykiem, jeśli chodzi o Jedność”. Nasze stowarzyszenie w dużej mierze składało się z dziwnych i złych ludzi. Byli w nim księża, ludzie wierzący, niewierzący, presbiterianie, jacyś nawiedzeni republikanie, utopiści i ludzie, którzy po prostu nie lubili Beresfordów. Pan, wraz ze swymi przyjaciółmi, opowiadał się przede wszystkim za równouprawnieniem, o ile dobrze sobie przypominam?

–Tak. Chodziło nam o równouprawnienie i reformy. Nigdy nie myślałem o Irlandii jako o republice. Oczywiście również moi przyjaciele z komitetu nie byli republikanami. W sytuacji, w jakiej znajduje się nasza ojczyzna, republika może szybko okazać się niewiele lepsza niż demokracja. Narodowy duch tego kraju całkowicie nie zgadza się z podobnymi pomysłami. Katolicka republika! To wręcz absurdalne.

–Czy w tej karafce jest brandy?

–Tak.

–Odpowiedź na ostatnie pytanie testu powinna brzmieć: *W koronie Wielkiej Brytanii*, to tak przy okazji... Kieliszki są za panem. Pamiętam, że spotkaliśmy się w Rathfarnham – kontynuował Stephen – gdyż przez całe popołudnie usiłowałem go przekonać, by zrezygnował z szalonego pomysłu wzniesienia powstania. Powiedziałem mu, iż jestem przeciwny przemocy, zawsze byłem jej przeciwny, że nawet gdybym myślał inaczej, będę zmuszony się wycofać, jeśli będzie nadal próbował realizować marzycielskie i nierealne plany. Tłumaczyłem mu, że nieuchronnym ich skutkiem będzie zrujnowanie życia jego i Pameli, zaprzepaszczenie sprawy oraz poświęcenie Bóg wie jak wielu oddanych, odważnych ludzi. Spojrzał na mnie wtedy zmartwionymi oczami, tak jakby było mu przykro z mojego powodu, i powiedział, że czeka na pana i na Kenmare'a. W ogóle mnie nie zrozumiał.

–Czy wie pan, co się dzieje z Lady Edward... Z Pamelą?

–Słyszałem tylko, iż jest w Hamburgu, pod opieką krewnych.

–Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. I najbardziej wrażliwą. Zadziwiła mnie swoją odwagą.

–To prawda – zgodził się Stephen, patrząc w wino na dnie kieliszka. – Nigdy w życiu nie przekonywałem nikogo z równym zapalem. Prawdę mówiąc, także w tamto popołudnie uważałem, iż zwracanie sobie głowy czymś takim jak ustrój czy system sprawowania rządów jest zupełnie bezsensowne. Nie ruszyłem palcem w walce o niepodległość jakiegokolwiek narodu, realną czy pozorną. Mimo to potrafiłem wtedy mówić z wielką gorliwością, tak żarliwie, jakbym wciąż płonął entuzjazmem pierwszych dni rewolucji, kiedy to serca wszystkich z nas przepełnione były uczciwością i miłością.

–Dlaczego musiał pan mówić do niego w ten sposób?

–Ponieważ próbowałem przekonać go, by zrezygnował ze swych idiotycznych planów, doskonale znanych władzy. Chciałem uzmysłwić mu, iż jest otoczony przez zdrajców i donosicieli. Argumentowałem najlepiej, jak umiałem, on jednak nie pojął, o co mi chodzi. Nie słuchał mnie nawet. W pewnej chwili przerwał mi, gdyż zauważył na cisie koło ścieżki rudzika... Biedny Edward! Wiedział tylko, że się z nim nie zgadzam, więc całkowicie wyłączył swój umysł. Może nie był zdolny zrozumieć, o co mi chodzi? Kto wie... Był uczciwy i szczery, a otaczały go takie kreatury, jak Reynolds, Corrigan, Davis... Och, to było żalodne.

–I rzeczywiście nie ruszyłby pan nawet palcem? A gdyby dążenia były bardziej umiarkowane?

–Nie ruszyłem. Wystarczająco przeraziła mnie absolutna klęska Rewolucji Francuskiej. Teraz, po tym, co dane mi było widzieć w roku dziewięćdziesiątym ósmym, czuję obrzydzenie do wszelkich ideałów politycznych. Byłem świadkiem tak wielu aktów szaleńczej głupoty i bezwzględного okrucieństwa, po obu stronach, że rzygać mi się chce na dźwięk słów „naród”, „ojczyzna” i „słuszna sprawa”. Nie przeszedłbym nawet na drugą stronę tej kabiny, gdyby jedynie od tego zależeć miała reforma parlamentu, zapobieżenie unii czy przyśpieszenie nadejścia nowego tysiąclecia. Oczywiście mówię tylko za siebie, proszę o tym pamiętać. To tylko moje własne zdanie. Nieistotny jest dla mnie człowiek widziany wyłącznie jako część jakiejś organizacji czy tłumu. Podobne spojrzenie jest dla mnie sprzeczne z istotą człowieczeństwa. Moje uczucia zarezerwowane są dla jednostek. Mogę nimi obdarzać tylko konkretnych ludzi.

–A patriotyzm? Czy nie jest ważny?

–Mój drogi panie. Przedstawiłem już mój punkt widzenia na tę sprawę. Wie pan tak samo dobrze jak ja, iż patriotyzm to słowo, którego znaczenie generalnie sprowadzić można albo do stwierdzenia: „To moja ojczyzna, choć jej los nie bardzo mnie obchodzi” – co jest nikczemne – albo: „Najważniejsze jest tylko dobro mojej ojczyzny”, co dowodzi skrajnej głupoty.

–Pomimo to przeszkodził pan kapitanowi, gdy ten któregoś dnia próbował zagrać *Croppies lie down*.

–Och, nie jestem aż tak konsekwentny, zwłaszcza w drobnych sprawach. Któż jest? Kapitan Aubrey nie znał po prostu znaczenia tej piosenki. Nigdy nie był w Irlandii, w momencie wybuchu powstania przebywał w Indiach Zachodnich.

–Ja byłem w tym czasie koło Przylądka Dobrej Nadziei. Czy to naprawdę było aż takie straszne?

–Straszne? Nie ma słów, które pozwalałyby opisać nieudolność, niepotrzebne zwlekanie, zamęt i absolutny bezsens tego wszystkiego. Skutek był żaden. Niczego nie udało się wywalczyć. Perspektywa uzyskania niepodległości została odsunięta na co najmniej sto lat. Powstanie obudziło tylko wzajemną nienawiść i skłoniło ludzi do użycia okrutnej przemocy. Zaowocowało szalonym współzawodnictwem donosicieli i pojawieniem się kreatur w rodzaju majora Sirra. Przy okazji wszyscy staliśmy się dziecinnie łatwą zdobyczą dla wszelkiej maści szantażystów i prowokatorów... – Doktor przerwał na chwilę. – Jeśli zaś chodzi o tę piosenkę, to postąpiłem w taki sposób, gdyż ona mi uwłacza, ponadto w pobliżu znajdowało się kilku irlandzkich marynarzy, z których żaden nie jest Oranżystą. Szkoda byłoby, gdyby zaczęli nienawidzić swojego kapitana, który przecież nie zamierzał ich urazić. Nie mogłem do tego dopuścić.

–Bardzo pan go lubi, prawda?

–Czy go lubię? Tak. Chyba tak. Nie powiem, że uważam go za swego przyjaciela... Nie znam go zbyt długo... W każdym razie jestem do niego w pewien sposób przywiązany. Przykro mi, że pan nie żywi podobnej sympatii.

–Mnie również jest przykro. Przyszedłem na ten okręt z nadzieją, iż nasze wzajemne stosunki ułożą się nieco inaczej. Słyszałem już wcześniej, że kapitan Aubrey jest kapryśny i w gorącej wodzie kąpany. Mówiono mi też, że jest dobrym marynarzem. Dlatego myślałem, iż między nami wszystko dobrze się ułoży. Zna pan powiedzenie: serce nie sługa...

–Znam. Zastanawia mnie to jednak, nawet bardzo... Szanuję was obu, obu was podziwiam. Czy są jakieś konkretne zarzuty, które mógłby pan postawić pod jego adresem? Może inaczej... Gdybyśmy mieli wciąż po osiemnaście lat, zapytałbym tak: „Czy coś jest z nim nie w porządku?”

–A ja prawdopodobnie odpowiedziałbym, że wszystko jest nie w porządku, ponieważ on dowodzi tym okrętem, a ja nie – odparł James z uśmiechem. – Proszę lepiej nie zadawać mi takich pytań. Nie chcę w pańskiej obecności krytykować kogoś, kogo uważa pan za swego przyjaciela.

–Och... Jack Aubrey, jak każdy człowiek, ma z pewnością wady. Wiem, że jest niesamowicie ambitny, jeśli chodzi o sprawy związane z tym, czym się zajmuje. Jest też bardzo niecierpliwy, kiedy na swej drodze napotyka jakiegokolwiek przeszkody. Dlatego chciałbym dowiedzieć się, co konkretnie sprawia, iż pan go nie lubi. A może to po prostu taki kaprys? Wie pan...

–Możliwe. Trudno mi odpowiedzieć. Aubrey bywa całkiem do zniesienia, to prawda. Są jednak chwile, w których wychodzi na wierzch jego angielska arogancja... Jest też jedna rzecz, która wyjątkowo mnie razi. Myślę o jego szczególnej gorliwości w pogoni za przyzami. Pod względem dyscypliny i szkolenia załogi „Sophie” bardziej przypomina statek piracki niż okręt wojenny jego królewskiej mości. Gdy ścigaliśmy tę polakrę, nasz kapitan spędził na pokładzie całą noc... Ktoś mógłby pomyśleć, iż chodziło o pogoń za jakimś okrętem wojennym, która mogła zakończyć się z honorem. Słup, na którym teraz obaj się znajdujemy, nie zdążył dobrze odpłynąć od „Sophie”, a Jack Aubrey już rozpoczął ćwiczenia w strzelaniu z dział, strasząc mewy obiema salwami burtowymi.

–Czy podobieństwo do statku pirackiego to taka straszna rzecz? Pytam, ponieważ nic o tym nie wiem...

–Dowódca i załoga statku pirackiego kierują się zupełnie innymi pobudkami. Nie obchodzi ich honor, walczą tylko i wyłącznie dla zysku. Istotą wszystkiego jest właśnie ów zysk.

–Czy ćwiczenia w strzelaniu z dział nie mogą mieć innego, honorowego i zaszczytnego celu?

–Mogą, to prawda. Jestem pewnie trochę niesprawiedliwy, zazdrosny, chyba sam nie wiem, czego chcę... Przepraszam, jeśli w jakiś sposób pana uraziłem. Muszę przyznać, że nasz dowódca jest wspaniałym marynarzem.

–Boże, James, znamy się wystarczająco długo i możemy chyba rozmawiać ze sobą szczerze, nie obawiając się urazy. Czy mógłbyś podać mi butelkę?

–Dobrze – zgodził się Dillon. – Jeśli mam mówić zupełnie otwarcie, tak jakby poza mną w tym pokoju nie było nikogo, to powiem jedno: uważam, że sposób, w jaki Jack Aubrey odnosi się do tego biedaka Marshalla, jest bardziej niż nieodpowiedni.

–Nie wiem, o co ci teraz chodzi...

–Czy wiesz, co to za człowiek?

–Kto? Marshall? Czy coś jest z nim nie w porządku?

–Nie wiesz, że to pederasta?

–Możliwe i co z tego?

–Mam na to dowód. Zdobyłem go w Cagliari, jeśli chcesz wiedzieć. Marshall jest zakochany w kapitanie... Jest mu gotów służyć jak przykutą do wiosła galernik... Najchętniej własnoręcznie cegielkowałby pokład, gdyby Aubrey mu na to pozwolił. Nasz pierwszy nawigator goni ludzi do roboty z większą gorliwością niż bosman, zrobiłby pewnie wszystko w zamian za uśmiech swego wybrańca... Stephen skinął głową.

–Tak – przyznał. – Nie sądzisz chyba jednak, że kapitan ma takie jak Marshall upodobania?

–Nie, ale myślę, że doskonale zdaje sobie z nich sprawę i świadomie to wykorzystuje. Och... Nie powinienem tego mówić. To podłe. Posunąłem się za daleko... Chyba jestem pijany. Prawie opróżniliśmy butelkę...

–Mogę cię zapewnić, że mylisz się całkowicie. – Stephen wzruszył ramionami. – Zaręczam ci z całą odpowiedzialnością, a na razie jestem trzeźwy, że Jack zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Pod pewnymi względami nie jest szczególnie bystry i patrzy na świat w specyficzny, nieco naiwny sposób. Wierzy, że pederasty są niebezpieczni tylko dla chłopców z kościelnego chóru i dla obojnaków, których spotkać można w wielu śródziemnomorskich burdelach. Próbowalem kiedyś rozmawiać z nim na ten temat, lecz on zbył mnie, stwierdzając, że nie muszę mu tłumaczyć podobnych rzeczy. Przecież całe swoje życie spędził w Royal Navy...

–Może ma w tej kwestii również jakąś praktykę...?

–James, chyba sam w to nie wierzysz.

–Muszę zajrzeć na pokład – powiedział Dillon, wstając.

Zmienił sternika, sprawdził kurs i wrócił do kabiny; wraz z nim wpadł podmuch zimnego, nocnego powietrza. Przez chwilę siedział w milczeniu, aż chłód rozplynął się po oświetlonym lampą pomieszczeniu. Maturin otworzył kolejną butelkę wina.

–Są takie chwile, kiedy trudno mi pozbierać się do kupy – wyznał James, sięgając po kieliszek. – Jestem zbyt drażliwy. Wiem o tym, lecz czasami, gdy jest się stale wśród tych cholernych Angoli... gdy słyszy się to ich idiotyczne gadanie, trudno się opanować. Skoro zaś nie można otwarcie okazywać swoich emocji, muszą one znaleźć jakieś inne ujście. Wiesz chyba lepiej niż ktokolwiek inny, co oznacza życie w takim ciągłym napięciu.

Stephen spojrział na Dillona uważnie, nic jednak nie powiedział.

–Wiesz, że jestem katolikiem? – zapytał James cicho.

–Nie – odparł doktor. – Oczywiście wiem, że katolikami byli niektórzy członkowie twojej rodziny, ale nie myślałem... Czy nie uważasz, że stawia cię to w bardzo trudnej sytuacji? – Zawahał się na moment. – Chodzi mi o przysięgę... o prawo wojenne?

–Absolutnie nie – szybko odpowiedział James. – Jeśli o to chodzi, mam czyste sumienie.

„Tak ci się tylko zdaje, mój przyjacielu” – pomyślał Stephen i nalał sobie następny kieliszek wina, chcąc ukryć odczucia.

Przez chwilę wydawało się, że jego rozmówca chce jeszcze coś powiedzieć. Wiszące w powietrzu słowa nie padły jednak. Naruszony został ów szczególny stan prawie nieuchwytniej równowagi. Gdy znów podjęli rozmowę, jej tematem stali się wspólni starzy przyjaciele i owe wspaniałe dni, jakie dane było im spędzić razem w tak odległej, zdawałoby się, przeszłości. Iluż ludzi wtedy znali... O tak wielu można było powiedzieć, iż byli naprawdę wartościowi, zabawni lub godni szacunku. Opróżnili drugą butelkę i porucznik ponownie wyszedł na pokład.

Wrócił, nim upłynęło pół godziny, i wchodząc do kabiny, ni stąd, ni zowąd podjął przerwany wcześniej temat.

–Pozostaje oczywiście jeszcze sprawa promocji, awansu. Powiem ci w zaufaniu, iż liczyłem na to, że po całej tej sprawie z kutrem „Dart” otrzymam pierwsze samodzielne dowództwo. Nic takiego się nie stało i muszę przyznać, boli mnie fakt, iż moje zasługi zostały zignorowane... – James zawiesił głos na chwilę i zaczął mówić dalej: – Któż to powiedział, że znacznie więcej zdobył dzięki swemu przyrodzeniu niż dzięki swej pracy?

–Selden. Wydaje mi się jednak, iż zupełnie nie odnosi się to do tej sprawy. Z tego, co mi wiadomo, w przypadku kapitana Aubreya w grę wchodziły inne powody. Oczywiście nie upieram się, że wszystko było całkowicie uczciwe. Chodzi mi jedynie o to, że w tym przypadku nikt nie ma prawa wysuwać podobnych podejrzeń.

–Dobrze, może masz rację. W każdym razie bardzo zależy mi na promocji. Tak jak każdy oficer w marynarce bardzo chciałbym pójść wyżej. Powiem ci więc wprost: trudno jest awansować na okręcie, którego kapitan ugania się wyłącznie za przyzami.

–No cóż, nie znam się na tych sprawach. Zastanawiam się tylko, James, czy jako bogatemu człowiekowi nazbyt łatwo nie przychodzi ci wyrzekanie się pieniędzy? Czy nie tracisz z oczu pewnych istotnych spraw? Może bardziej przyziemne kwestie również są ważne?

–Chyba nie uważasz, że jestem bogaty?

–Miałem kiedyś okazję przejeżdżać przez twą posiadłość.

–Trzy czwarte mojej ziemi to góry, a pozostała część to trzęsawiska. Gdyby nawet w jakiś sposób udało mi się skłonić dzierżawców, by zapłacili czynsz, roczny dochód nie przekroczyłby tysiąca...

–Chyba nie myślisz, że ci z tego powodu współczuję? Nie spotkałem jeszcze człowieka, który przyznałby, że dobrze mu się powodzi. Podobnie nikt nigdy nie przyznaje się do tego, że dużo śpi. Tak jakby bieda i ciągła praca przynosiły jakieś moralne korzyści. Skąd się to bierze? Wróćmy jednak do tematu. Z pewnością nasz kapitan jest wystarczająco odważny i wszystko wskazuje na to, iż wkrótce, prędzej czy później, dokonasz pod jego dowództwem jakichś chwalebnych czynów.

–Czy możesz ręczyć za jego odwagę?

„Więc tu cię boli” – zauważył Stephen w duchu i odpowiedział:

–Nie mogę. Nie znam go aż tak dobrze. Niemniej zdziwiłbym się bardzo, gdyby okazał się tchórzem. Dlaczego ty go o to podejrzewasz?

–Nie oskarżam nikogo o tchórzostwo. Nie ośmieliłbym się postawić takiego zarzutu, nie mając niepodważalnego dowodu. Powinien był jednak zdobyć wtedy tę galerię. Wystarczyło zaledwie dwadzieścia minut i po abordażu znalazłaby się w naszych rękach.

–Och, mówiłem już, że absolutnie nie orientuję się w tych sprawach. Z tego, co mi się wydaje, rozważa nakazywała wówczas zawrócić i chronić resztę konwoju.

–Roztropność i rozwaga to prawdziwe cnoty – zgodził się James.

–Cóż. Czy promocja naprawdę aż tak wiele dla ciebie znaczy?

–Oczywiście. Nie było chyba nigdy oficera wartego cokolwiek, który nie chciałby awansować i samodzielnie dowodzić okrętem. Widzę w twych oczach, iż uważasz moje poglądy za niespójne. Spróbuj zrozumieć, o co mi chodzi. Nie chcę republiki. Opowiadam się za kontynuowaniem ustalonego historycznego porządku, opartego na dotychczasowych instytucjach państwa, pod warunkiem, że nie jest to tyrania. Jedyne, czego się domagam, to niezależnego parlamentu, w którym zasiadaliby najrozsądniejsi i najbardziej wartościowi ludzie w królestwie, a nie nieudacznicy, figuranci lub karierowicze. Gdyby spełniony został ów warunek, byłbym w pełni zadowolony ze związków z Anglią. Odpowiadałyby mi dwa królestwa. Zapewniam cię, iż nie zakrzuszę się, pijąc toast za zdrowie naszego obecnego władcy.

–Dlaczego zgasieś lampę?

–Już świta – powiedział James z uśmiechem, wskazując głową szarawe światło za oknem kabiny. – Może wyjdziemy na pokład? Powinno być widać wysokie wybrzeże

Minorki, a jeśli nie, to za chwilę na pewno się pokaże. Możliwe, że będziesz miał okazję zobaczyć kilka rzadkich gatunków ptaków, gdy popłyniemy w stronę klifu.

Dillon postawił stopę na schodkach zejściówki, odwrócił się i spojrzał prosto w twarz Maturina.

–Nie wiem, co mnie opętało – rzekł, dotykając dłonią czoła. Był wyraźnie zmieszany i nieszczęśliwy. – Nigdy nie rozmawiałem z nikim w taki sposób. Nie udało mi się w każdym razie odpowiednio wyrazić tego, co czuję i o co mi chodzi. Myślę jednak, że doskonale zrozumieliśmy się nawzajem, zanim otworzyłem usta.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pan Florey, chirurg, był kawalerem i mieszkał w wielkim domu, wysoko koło kościoła Marii Panny. Z właściwą niektórym nieżonatym mężczyznom gościnnością na czas postojów „Sophie” w porcie zapraszał do siebie doktora Maturina, oddając do jego dyspozycji oddzielny pokój na rzeczy i zbiory przyrodnicze. W pomieszczeniu tym znajdowały się również naukowe dzieła pana Cleghorna, głównego lekarza garnizonu, od trzydziestu lat gromadzone w kilku rzędach zakurzonych tomów.

Ów dom w szczególny sposób sprzyjał medytacjom. Znajdował się tuż pod szczytem urwistego wybrzeża, na zawrotnej wysokości ponad portem handlowym, tak iż odgłosy z przystani nie mogły rozpraszać myśli. Pokój Stephena mieścił się z tyłu budynku, w chłodnej północnej części, wysoko ponad portem. Doktor siedział przy otwartym oknie, z nogami w misce pełnej wody. Pisał dziennik, a w rozedrganym, nagrzanym słońcem powietrzu, pomiędzy oknem a stojącą w oddali „Sophie”, uganiały się małe zwinne ptaki (bez trudu można było rozpoznać, iż są to jerzyki). Przypominający z tej odległości dziecinną zabawkę bryg zacumowany był do nabrzeża prowiantowego, po przeciwnej stronie basenu portowego.

„Więc James Dillon jest katolikiem” – zanotował doktor swym sekretnym, drobniutkim pismem. – „Co ciekawe, kiedyś nim nie był. To znaczy, J.D. nie był katolikiem w takim sensie, by ów fakt miał jakikolwiek wpływ na jego postępowanie, by na przykład złożenie przysięgi wojskowej było dla niego niemożliwe. Nigdy nie odznaczał się religijnością. Czyżby zaszła jakaś zmiana? Coś w stylu Loyoli? Mam nadzieję, że nie. Ilu katolików ukrywających swe wyznanie służy w marynarce? Chętnie bym go o to zapytał, lecz podobne pytanie mogłoby wydać się niedyskretne. Pamiętam, jak pułkownik Despard mówił mi, że prymas Anglii, Challoner udziela corocznie kilkunastu osobom dyspensy pozwalającej co jakiś czas przyjmować Najświętszy Sakrament zgodnie z obrządkiem anglikańskim. Pułkownik T., ten od zamieszek w Gordon, był katolikiem. Czy to, o czym mówił Despard, dotyczyło tylko armii? A co z flotą? Nie pomyślałem wtedy, by go o to zapytać. Pytanie: Czy to właśnie jest powód owego szczególnego stanu, w jakim znajduje się umysł Jamesa Dillona? Myślę, że tak. Wchodzi tu bez wątpienia w grę jakaś moralna presja. Co więcej, sądzę, iż jest to dla niego moment przełomowy, krytyczny. Coś w rodzaju klimakterium. Moment ten określi kurs, którego J.D. nie zmieni do końca życia. Wydaje mi się czasem, że w miarę zbliżania się do takiego punktu zwrotnego (moim zdaniem wszyscy trzej właśnie w nim się znaleźliśmy) mężczyznom ostatecznie kształtuje się charakter, a może inaczej: pewne cechy charakteru na stałe przypadają im w udziale. Wcześniej jest beztroska, wesołość, zabawy, gwałtowne uniesienia, potem następuje jakiś przypadkowy zbieg okoliczności, pojawiają się specyficzne upodobania (albo dziedziczne skłonności) i człowiek raptem znajduje się na drodze, którą musi już dalej podążać. Z czasem owa droga staje się jedynym możliwym

szlakiem, poznaczonym tak głębokimi koleinami, iż nie wchodzi w grę jakakolwiek zmiana kierunku. Zmierzająca nią jednostka częściowo zatracą swe ludzkie przymioty, stając się jedynie odwzorowaniem ściśle określonego zestawu pewnych wykształconych lub nabytych cech. James Dillon był kiedyś kimś zupełnie innym. Teraz zamyka się w sobie. To dziwne, jeśli nie przykre, widzieć, jak z wiekiem znika gdzieś wesołość, optymizm, otwartość umysłu i naturalna pogoda ducha. Wielkim niebezpieczeństwem jest sprawowanie władzy nad innymi oraz przekonanie o własnej nieomyślności. Niewielu znam ludzi po pięćdziesiątce, zdolnych trzeźwo oceniać własne postępowanie. Nie spotkałem dotąd nikogo takiego wśród osób od dawna sprawujących jakąkolwiek władzę. Weźmy chociażby tutejszych doświadczonych starszych kapitanów lub admirała Warne'a. To wszystko pokurcze. Nie rozumiem tego dosłownie, nie chodzi mi bynajmniej o wygląd takiego człowieka – większość z nich ma przecież imponujące brzuchy – lecz o jego żałośnie upośledzoną osobowość. To wszystko skutek przepychu, samozadowolenia, nieodpowiedniej diety, napadów wściekłości, przyjemności kupowanych za późno i za zbyt wygórowaną cenę. Jeśli wierzyć słowom Jacka Aubreya, lord Nelson jest chlubnym wyjątkiem. Ponoć to szczery, bezpośredni i sympatyczny człowiek. Podobną osobowością poszczycić się może i sam J.A., chociaż co jakiś czas skutecznie popisuje się ową szczególną arogancją, jaką niesie ze sobą władza nad innymi. W każdym razie on nie utracił jeszcze optymizmu i pogody ducha. Ciekawe, jak długo taki pozostanie? Co spowoduje zmianę: kobieta, polityka, rozczarowanie, rana, choroba, nieślubne dziecko, przegrana, jakieś zaskakujące wydarzenie? Bardziej martwię się jednak o Jamesa Dillona. Nadal nie brakuje mu bystrości umysłu, wręcz przeciwnie, tyle tylko, że teraz jego osobowość zapisana jest jakby o oktawę niżej i w bardziej ponurej skali. Obawiam się, iż ten zły humor wpędzi go kiedyś w nieliczne tarapaty. Dałbym sporo za to, by Dillon i Aubrey zostali prawdziwymi przyjaciółmi. Pod tak wieloma względami są do siebie podobni. James wydaje się stworzony do tej przyjaźni: może gdy zorientuje się, iż mylnie ocenia J.A., zmieni nieprzychylną nastawienie? Jeśli nawet, to niewielka na to nadzieja. Niezadowolenie i chęć rywalizacji muszą być chyba na trwałe zapisane w osobowości kogoś niekiedy tak posępnego, tak przewrażliwionego na punkcie honoru. Przecież to Dillonowi najbardziej powinno zależeć na najlepszej współpracy, na naprawieniu i odbudowaniu tego, co się popsło. Problem w tym, iż on nie ma potrzebnych w takiej sytuacji cech. Niezależnie od tego, co mówi, wie równie dobrze jak ja o niebezpieczeństwie, jakie nieustannie mu zagraża. O możliwości potwornej konfrontacji. Może Wolfe Tone właśnie jemu zawdzięcza to, co stało się w Lough Swilly? Co będzie, jeśli Emmet namówi Francuzów do ponownej inwazji? Co stanie się, jeśli Bonaparte nawiąże przyjazne stosunki z papieżem? To wcale nie jest niemożliwe. Z drugiej strony Dillon jest naprawdę bystry i rozzagarnięty. Jeśli raz dzięki jakiemuś korzystnemu zbiegowi okoliczności polubi Jacka Aubreya, to nigdy się już nie zmieni. Będzie to na pewno wyjątkowo lojalne przywiązanie. Dałbym sporo za to, by ich ze sobą zaprzyjaźnić". Stephen westchnął i odłożył pióro. Umieścił je na pokrywce dużego szklanego słoja, w którym znajdowała się wspaniała żmija, jedna z

najpiękniejszych, jakie można było zobaczyć: długa, jadowita, ze spleśzczonym łbem. Pływała zwinięta w spirytusie winnym, a jej przymrużone oko spoglądało na doktora uważnie. Była jednym z owoców dni spędzonych w Mahon w oczekiwaniu na „Sophie”, która powróciła, holując za rufą trzeci przyz: sporego hiszpańskiego tartana. Dwa przedmioty leżące koło naczynia ze żmiją – luneta i zegarek – były namacalnym dowodem znakomitych sukcesów brygu. Według wskazówek zegarka do umówionej godziny pozostało dwadzieścia minut. Stephen sięgnął więc po teleskop i spojrzął w kierunku okrętu. Jack był jeszcze na pokładzie: ubrany w paradny mundur od razu rzucił się w oczy. Stał na śródookręciu i omawiał z Dillonem oraz bosmanem jakiś szczegół olinowania. Wszyscy trzej wskazywali rękoma coś wysoko na maszcie i w zabawny sposób równocześnie przechylali się to na lewą, to na prawą stronę.

Doktor wychylił się przez barierkę małego balkoniku i patrzył wzdłuż nabrzeża, w stronę wyjścia z portu. Nieomal natychmiast dostrzegł znajomą przekrwioną twarz George'a Pearce'a, marynarza, podniesioną ku niebu w radosnym uniesieniu. Było tam też kilku innych członków załogi „Sophie”: stali wzdłuż ciągnącego się w stronę garbarni rzędu parterowych tawern i zabijali czas grą w puszczanie kaczek na spokojnej wodzie basenu portowego. Ludzie ci należeli do obsady obu odesłanych do Mahon przyzów i mieli prawo do przebywania na lądzie, podczas gdy reszta załogi brygu wciąż pozostawała na okręcie. Otrzymali też już pewną część należnych im pieniędzy ze sprzedaży zdobytych statków. Przyjrzawszy się uważnie błyskającym srebrzyście krążkom wrzucanym do wody oraz nurkującym zawzięcie w ślad za nimi małym nagim chłopcom, Maturin doszedł do wniosku, iż marynarze ci w wyjątkowo skuteczny sposób pozbywali się swego majątku.

Od burty brygu odbiła łódź i przez teleskop widać było wyraźnie jej sternika, ze sztywnym dostojeństwem tulącego do piersi futerał z kapitańskimi skrzypcami. Stephen wyjął nogę z chłodnej już wody i przyglądał się jej uważnie, rozmyślając o szczegółach anatomii kończyn niektórych wyżej rozwiniętych gatunków ssaków: koni, małp i afrykańskich Murzynów. To ciekawe, iż nogi tak sprawne i zgrabne za młodu z wiekiem stają się opuchnięte, bezwładne i brzydkie...

–Rozmyślałem właśnie o Murzynach – powiedział głośno, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł podekscytowany Jack Aubrey, z rulonem nut pod pachą.

–Wspaniały temat do rozmyślań, nie ma co... – zawołał kapitan. – Teraz, mój dobry człowieku, proszę wyjąć drugą nogę z miski i włożyć pończochy. Niech pan się pośpieszy, błagam. Nie mamy ani chwili do stracenia. Nie, tylko nie te błękitne: idziemy na przyjęcie do pani Harte...

–Czy koniecznie muszę ubrać się w jedwabne...

–Oczywiście, że jedwabne. Pośpiesz się, przyjacielu, w przeciwnym razie się

spóźnimy.

–Zawsze pan dokądś pędzi... – Stephen narzekał, grzebiąc w swoich rzeczach. Nagle na podłogę obok niego spadł spory wąż. Rozległo się suche plaśnięcie i gad ruszył w poprzek pokoju, wijąc się, z uniesioną na osiemnaście cali głową.

–Och, och! – zawołał Jack, wskakując na krzesło. – Wąż!

–Może te pończochy będą odpowiednie? – zapytał Maturin. – Są dziurawe...

–Czy ten wąż jest jadowity?

–Bardzo. Wydaje mi się, że zaraz pana zaatakuje. Na pewno. Jeśli włożę te jedwabne pończochy na tamte z samodziąłu, dziury nie będzie widać. Ugotuję się wtedy jednak. Bardzo dzisiaj gorąco, prawda?

–Och! On ma ze dwa sążnie długości. Niech pan mi powie, czy ten potwór naprawdę jest jadowity? Niech pan przysięgnie...

–Gdyby włożył mu pan rękę do gardła, aż do tylnych zębów, może natrafiłby pan na odrobinę jadu. Przy ukąszeniu nic panu nie grozi. *Malpolon monospessulanus* to bardzo niewinne stworzenie. Myślę o zabraniu kilku okazów na okręt, by zwalczały szczury... Ach, żebym miał tylko troszkę więcej czasu... No i trzeba też wziąć pod uwagę tę bezmyślną nienawiść ludzi do gadów. Bardzo zabawnie wygląda pan na tym krześle... – Doktor pochylił się nad wężem i nucąc wesołą dziecięcą piosenkę, wyniósł go z pokoju. Gad, choć zupełnie głuchy, patrzył przy tym z zadowoleniem prosto w twarz śpiewającego człowieka.

Pierwszą wizytę złożyli w domu pana Browna, zarządcy stoczni. Po powitaniu i gratulacjach z okazji sukcesów brygu oraz jego kapitana z ogromnym samozaparciem i wytrwałością wykonali kwartet h-moll Mozarta – panna Brown grała na słodko brzmiącej, choć nieco zbyt cichej altówce. Nigdy wcześniej nie koncertowali razem, nigdy nie ćwiczyli tego utworu i brzmienie, jakie uzyskali, było bardziej niż chropowate. Wspólne muzykowanie sprawiło im jednak olbrzymią przyjemność, a ich publiczność – pani Brown robiąca na drutach i biały kot – była w pełni zadowolona z występu.

Pomimo niewiarygodnie wręcz dobrego humoru Aubrey, powodowany szacunkiem dla muzyki, trzymał się w ryzach do końca utworu. Nie wytrzymał dopiero podczas kolacji, którą podano po koncercie. Na stole znalazły się dwie sztuki drobiu, ozorki, legumina, krem i ciasto. Jack był bardzo spragniony, wypił więc szybko dwa lub trzy kieliszki wina, prawie sobie z tego nie zdając sprawy – jego twarz poczerwieniała i rozpromieniła się jeszcze bardziej. Śmiał się znacznie częściej i głośniej. Koloryzując nieco, opowiedział o tym, jak to Stephen otworzył czaszkę biednego artylerzysty, a potem zamknął ją z powrotem, coś tam w środku poprawiwszy. Od czasu do czasu

wzrok kapitana „Sophie” uciekał ku biustowi panny Brown, okrytemu zgodnie z tegoroczną paryską modą (udoskonaloną nieco z racji odległości) tylko niewielkim skrawkiem przezroczyściego muślinu.

Gdy w pewnym momencie Stephen przerwał rozmyślenia, pani Brown siedziała z ponurą miną, panna Brown z przesadną skromnością wpatrywała się w swój talerz, a pan Brown, który również sporo wypił, zaczął opowiadać jakąś zawiłą historię. Pani Brown była bardzo tolerancyjna wobec powracających z morza oficerów, zwłaszcza gdy cieszyli się z udanego patrolu, w przypadku jej męża było jednak inaczej. Już wiele razy słyszała ową zajmującą opowieść i aż nadto dobrze wiedziała, co oznacza nieco bełkotliwa wymowa oraz szczególny wyraz jego twarzy.

–Chodźmy, kochanie – powiedziała do córki. – Myślę, że zostawimy teraz panów samych.

Raut zorganizowany przez Molly Harte okazał się olbrzymim przyjęciem, na które zaproszeni zostali prawie wszyscy oficerowie, duchowni, urzędnicy, handlowcy i miejscowi notable. Przybyło tak wielu ludzi, iż z trudem mieścili się na nakrytym prowizorycznym płóciennym dachem dziedzińcu domu Senora Martineza. Z pomieszczenia, będącego na co dzień biurem dowódcy portu, przygrywała gościom wojskowa orkiestra z fortu Świętego Filipa.

–Proszę mi pozwolić przedstawić sobie mojego przyjaciela, wyjątkowego przyjaciela i zarazem naszego lekarza okrętowego: doktor Maturin – powiedział Jack, zwracając się do żony komendanta. – Pani Harte...

–Do usług szanownej pani. – Stephen uklonił się nisko.

–Cieszę się, że pana tutaj widzę – zapewniła Molly Harte z uśmiechem. W rzeczywistości ów człowiek nie bardzo jej się spodobał i raczej nie potrafiłaby go polubić.

–Doktor Maturin, kapitan Harte... – kontynuował Jack prezentację.

–Bardzo mi miło – odparł kapitan Harte. Jemu również Stephen nie przypadł do gustu, ale z zupełnie innego powodu. Popatrzył niewidzącym wzrokiem wysoko ponad głowę Stephena i wyciągnął na powitanie, tuż przed swój obwisły brzuch, dłoń z dwoma wyprostowanymi palcami. Doktor przyjrzał się palcom uważnie, ignorując ów gest, i skłonił się z lekceważeniem tak idealnie odpowiadającym zachowaniu komendanta, iż Molly Harte błyskawicznie musiała zmienić zdanie – przyjaciel Jacka wydał jej się teraz sympatyczny. Aubrey i Maturin przeszli dalej, ustępując miejsca napierającemu z tyłu tłumowi gości – wszyscy zaproszeni oficerowie marynarki przybyli bowiem na miejsce idealnie o oznaczonej porze, z sekundową wręcz dokładnością.

–Oto szczęściarz Jack Aubrey! – zawołał Bennet, dowódca okrętu „Aurore”. – Wy, młodzi, dobrze sobie radzicie. Ledwo udało mi się wejść do portu, tyle miejsca zajmują zdobyte przez pana statki. Oczywiście szczerze panu gratuluję, lecz moim zdaniem powinien pan zostawić coś i dla nas, starych dziadków, zanim odejdziemy na emeryturę... Prawda?

–Ależ sir... – śmiejąc się, zawołał Jack. Jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. – To tylko szczęście żółtodzioba. Pewnie wkrótce przestanie mi dopisywać i o zdobyczach będę mógł sobie tylko pomarzyć...

W pobliżu znajdowało się kilku równych mu lub wyższych stopniem oficerów floty. Wszyscy składali gratulacje: niektórzy ze smutkiem, inni z wyraźną zazdrością. U każdego z nich widać było jednak bezinteresowną życzliwość, z jaką Stephen tak często spotykał się w Royal Navy. Całą grupą przeszli w stronę stołu z trzema olbrzymimi wazami ponczu i baterią szklanek. Jack, w pełni korzystając z nieprzebranego bogactwa morskiego żargonu, opowiedział szczegółowo o okolicznościach, w jakich zostały zdobyte jego trzy przyzy. Oficerowie słuchali uważnie, z przymrużonymi oczami, co jakiś czas przytakując i kiwając głowami. Stephen musiał przyznać, iż w pewnych sprawach mężczyźni rozumieją się w sposób niemal absolutny. Dokonawszy tej obserwacji, pozwolił myślom pobiec zupełnie swobodnie. Stał ze szklaneczką ponczu arakowego w dłoni, oparty o drzewo pomarańczowe, i wyglądał na zadowolonego. Przyglądał się to mundurom, to ustawionym z tyłu za drzewem kanapom i niskim fotełom, na których siedziały damy. Panie najwyraźniej miały nadzieję, iż jacyś mężczyźni przyniosą im lody i desery. Spotkał je zawód, przynajmniej jeśli chodzi o stojących obok Stephena marynarzy. Kobiety wzdychały więc cierpliwie, licząc już tylko na to, że ich mężowie, bracia, ojcowie i kochankowie nie upiją się zbyt, a nade wszystko, iż żaden z nich nie zacznie nagle szukać zwady.

Czas mijał powoli i w pewnej chwili jakieś zawirowanie w głównym nurcie przyjęcia sprawiło, że Jack Aubrey wraz z otaczającymi go oficerami znalazł się bardzo blisko drzewa pomarańczowego. Stephen słyszał teraz ich rozmowę.

–...czeka ich długi rejs – mówił Jack.

–W porządku, Aubrey – nieomal natychmiast po tych słowach odezwał się któryś ze starszych kapitanów. – Przecież ludzie z załogi „Sophie” zawsze byli na lądzie cisi i spokojni. Dlaczego więc teraz, kiedy mają po dwa pensy w kieszeni, zachowują się jak... No nie wiem... Jak stado oszalałych szympansów. Pobili boleśnie załogę barki mojego kuzyna Oaksa... Wiecie, panowie, z jakiego absurdalnego powodu? Stwierdzili, że mają na pokładzie prawdziwego lekarza, więc mogą zacumować przed barką okrętu liniowego, który szczydzi się tylko zwykłym felczerem. Zupełnie zgłupieli. Te pieniądze całkiem odebrały im rozum.

–Przykro mi, że ludzie kapitana Oaksa zostali pobici – powiedział Jack ze szczerą troską w głosie. – Fakt pozostaje jednak faktem. Rzeczywiście mamy na pokładzie lekarza, prawdziwego cudotwórcę, mistrza piły chirurgicznej i wybitnego specjalistę od lewatywy. – Spojrzał na Maturina życzliwie. – Niedawno otworzył czaszkę naszego artylerzysty, wyjął i doprowadził do porządku mózg tego biedaka... Naprawdę nic miałem odwagi na to patrzeć. Potem polecił zbrojmistrzowi, by ten wyklepał z dwudziestopięciopensówki wypukłą blaszkę. Gdy już była gotowa, nasz doktor wstawił ją na miejsce, przykręcił, zamknął czaszkę i pozaszywał wszystko tak zgrabnie jak żaglomistrz. To jest prawdziwa medycyna. Nie jakieś tam pigułki i czekanie, nie wiadomo na co. Oto zresztą i człowiek, o którym mówię...

Oficerowie przywitali się ze Stephenem bardzo uprzejmie, zmusili go, by wypił z nimi kolejną szklaneczkę ponczu – to przecież idealny napitek po gorącym dniu. Rozmowa toczyła się dalej, tylko Maturin i kapitan Nevin przysłuchiwali się jej w milczeniu. Stephen dostrzegł w twarzy kapitana coś znajomego, pewne roztargnienie, i nie zdziwił się zbyt, gdy Nevin poprosił, by odeszli na chwilę na bok, za drzewo. Gdy się tam znaleźli, kapitan zaczął zwierzać się doktorowi przyciszonym głosem ze swych problemów z trawieniem nawet najprostszych potraw. Okazało się, iż owa niestrawność od wielu lat stanowiła zagadkę dla najwybitniejszych lekarzy. Od lat, lecz doktor Maturin na pewno poradzi sobie z nią od razu... Oczywiście istotne są wszystkie, również najdrobniejsze, szczegóły tego wyjątkowego i niezwykle interesującego przypadku. Tak przynajmniej określił tę chorobę Sir John Abel... Może zna pan Sir Johna? Poza tym – tu Nevin jeszcze bardziej ściszył głos i rozejrzał się szybko dookoła – oprócz kłopotów z trawieniem występują również pewne problemy z... wydalaniem... Kapitan mówił dalej, a Stephen słuchał go uważnie, stojąc z założonymi z tyłu rękami i lekko pochyloną głową. Szczerze mówiąc, opowieść ta nie okazała się na tyle zajmująca, by uwagi doktora uszły słowa Jacka:

–Och, tak, tak! Pozostali też z pewnością wybierają się na ląd. Czekają teraz na burcie, w najlepszych ubraniach, z pieniędzmi w kieszeniach, a to, co w spodniach, mają już na jard długie. – Trudno było tych słów nie słyszeć, gdyż, jak to bywa czasem na największych nawet tego rodzaju zgromadzeniach, w tym momencie zapadła absolutna cisza.

Stephenowi zrobiło się bardzo przykro z powodu tych słów i skutku, jaki wywarły one na siedzących nieopodal drzewa pomarańczowego paniach. Znacznie więcej przykrości sprawiła mu jednak przekrwiona twarz Jacka, płonące jakimś szalonym blaskiem oczy i kolejna, triumfalna uwaga:

–Nie muszą się panie śpieszyć. Oni zejną na brzeg dopiero wieczorem!

Wszyscy dookoła z prawdziwą determinacją podjęli przerwane wcześniej rozmowy, uniemożliwiając wygłaszanie następnych takich stwierdzeń. Kapitan Nevin wracał

właśnie do sprawy swej okrężnicy, gdy Stephen poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Pani Harte uśmiechnęła się do Nevina w taki sposób, iż kapitan urwał w pół słowa i zniknął gdzieś za wazami z ponczem.

–Doktorze Maturin, proszę zabrać stąd swego przyjaciela – powiedziała żona komendanta przyciszonym głosem. Była wyraźnie zdenerwowana. – Niech mu pan powie, że na jego okręcie wybuchł pożar... Niech mu pan powie cokolwiek, proszę tylko go stąd zabrać. W przeciwnym razie zaszkozi sobie jeszcze bardziej...

Stephen bez słowa skinął głową. Pochylił nisko głowę i wszedł prosto w grupę dyskutujących z ożywieniem oficerów, kłaniając się w stronę tych, którym przerwał rozmowę. Chwycił Jacka za ramię i nie znoszącym sprzeciwu tonem wyszeptał:

–Chodźmy, chodźmy. Nie mamy ani chwili do stracenia...

–Im szybciej będziemy w morzu, tym lepiej – wymamrotał Jack Aubrey do siebie, wpatrzony w słabo oświetlone nabrzeże. Czy nadpływająca stamtąd łódź należała do brygu i wiozła ostatnich powracających z lądu ludzi, czy też przybywał nią posłaniec z biura rozwścieczonego komendanta, z rozkazami odwołującymi patrol „Sophie”? Jack wciąż nie mógł pozbierać się po swych nocnych wyczynach, lecz przytomniejsza część świadomości nieustannie podpowiadała mu, że wręcz niewyobrażalnie sobie zaszkoził. Postępowanie dyscyplinarne w jego sprawie mogło zostać podjęte bez słowa sprzeciwu ze strony kogokolwiek i absolutnie nie miał ochoty na natychmiastowe spotkanie z kapitanem Harte.

Wiatr wiał od zachodu, inaczej niż zwykle, niosąc ze sobą wilgotny, wstrętny odór z garbarni. Był jednak odpowiedni, by „Sophie” mogła bez trudu pokonać długi basen portowy i wyjść w morze. Tak. W morze. Tam gdzie nikogo nie zdradzi zbyt długi język, gdzie Stephen nie znajdzie sposobności, by narazić się przełożonym, i gdzie nie trzeba będzie siłą wyrwać tego piekielnego dzieciaka Babbingtona z objęć podstarzałych kobiet. W morzu Dillonowi nie nadarzy się okazja do pojedynku. Jack słyszał tylko plotki na ten temat, lecz podobna przykra sprawa mogła oznaczać utratę jednego z najlepszych oficerów, z jakimi kiedykolwiek pływał. To prawda, że porucznik był trochę sztywny i chwilami trudno było przewidzieć, jak się zachowa. Mimo to Aubrey cenił go niezwykle wysoko.

Łódź pojawiła się ponownie, tuż za rufą „Aurore”, wypełniona powracającymi z przepustki ludźmi. Na szczęście. Kilku marynarzom było bardzo wesoło, lecz pozostali wyglądali nieszczęśliwie. Ci, którzy mogli utrzymać się na nogach, przeważnie w niczym nie przypominali siebie samych schodzących na ląd: wracali bez grosza przy duszy, dziwnie zmęczeni i pozbawieni animuszu. Jeśli zaś chodzi o tych, którzy nie mogli chodzić, ułożono ich na pokładzie, obok innych bezwładnych ciał przywiezionych nieco wcześniej.

–Czy wszyscy wrócili, panie Ricketts? – zapytał kapitan.

–Tak jest, sir – odpowiedział podchorąży zmęczonym głosem. – Brakuje tylko pomocnika kucharza, Jessupa, który złamał sobie nogę, spadając z Pigtail Steps, oraz Senneta, Richardsa i Chambersa. Ci z kolei poszli podobno do George Town z jakimiś żołnierzami.

–Sierżancie Quinn?

Sierżant nie zareagował. Utrzymał się, co prawda, na nogach, sztywno wyprostowany, lecz na wszystkie pytania udzielał identycznej odpowiedzi: „Tak jest, sir” i salutował zamaszystym ruchem.

–Brakuje tylko trzech jego ludzi – podpowiedział James cicho.

–Dziękuję, panie Dillon... – Aubrey znów spojrział w stronę miasta. Na pogrążonym w mroku klifie poruszało się kilka bladych świateł. – Myślę, że możemy stawiać żagle.

–Nie czekamy na resztę wody, sir?

–Ile nam brakuje? Dwóch ton, jak mi się zdaje... Pobierzemy wodę następnym razem. Maruderzy też tu na nas czekają. Panie Watt, proszę wezwać ludzi do odcumowania, jeśli można, to bez hałasu...

Jackowi zależało na ciszy z dwóch powodów: jego obolała głowa nie mogłaby znieść normalnych przy takiej okazji okrzyków i głośnych komend, ponadto nie chciał, by wyjście „Sophie” w morze przyciągnęło czyjąkolwiek uwagę. Na szczęście bryg zacumowany był na dziobie i rufie do boi, odpadała zatem konieczność powolnego podnoszenia kotwicy i obracania skrzypiącego kabestanu przy piskliwym akompaniamencie skrzypiec. Nawet najtrzeźwiejsi członkowie załogi byli w zbyt opłakanym stanie, by mogli zdobyć się na cokolwiek więcej niż ciche i szybkie rzucenie cum. Tym razem obyło się więc bez zwyczajowych przyśpiewek i nawoływania. Nikt nie miał na to siły. Dobrze, że na okręcie przeprowadzone zostały wszystkie potrzebne naprawy i zakończono prowiantowanie (nie pobrano jedynie ostatniego transportu wody). Jack rzadko kiedy był tak dumny z własnej zapobiegliwości, jak teraz, gdy kliwer wypełnił się wiatrem i dziób „Sophie” powoli zaczął obracać się na wschód, w stronę wyjścia z portu. Uszkodzenia zostały usunięte, na pokładzie znajdował się wystarczający zapas żywności i wody. Można było rozpocząć rejs, z powrotem ku niezależności.

W godzinę później byli już w przesmyku, miasto z wstrętnymi zapachami zostało daleko z tyłu, przed dziobem otwierała się lśniąca tafla otwartego morza. Bukszpryt brygu skierowany był niemal idealnie ku białej plamie światła na horyzoncie, zwiastującej pojawienie się słońca. Bryza zmieniała powoli kierunek na północny i stopniowo przybierała na sile. Niektóre z ułożonych nocą na pokładzie ciał zaczynały

się poruszać. Wkrótce dosięgnie ich strumień wody z węża i wszystko powróci do porządku. Rozpocznie się kolejny dzień służby.

„Sophie” z uporem próbowała posuwać się na południowy zachód, w pobliże objętego patrolem obszaru, pomimo następujących na przemian po sobie okresów ciszy i zmiennych, niepomyślnych wiatrów. Na jej pokładzie panował szczególny nastrój, tak jakby wszystkim ciążyły jakieś wyrzuty sumienia. Od czasu wyjścia w morze wiatr najwyraźniej stroił sobie żarty i na horyzoncie ciągle widać było, bliżej lub dalej, małą wysepkę Ayre, położoną na wschód od Minorki.

Był czwartek i cała załoga została wezwana gwizdkami na pokład, by uczestniczyć w wymierzaniu kary. Dwie wachty stały po obu stronach pokładu – łodzie płynęły w tym czasie na holu za rufą brygu, tak by było nieco więcej miejsca. Żołnierze piechoty morskiej jak zwykle utworzyli regularny czworobok od dział numer trzy w kierunku rufy, a na pokładzie rufówki tłoczyli się oficerowie.

–Panie Ricketts, gdzie jest pański kordzik? – zapytał gniewnie James Dillon.

–Zapomniałem, sir. Przepraszam... – wyszeptał podchorąży, blednąc.

–Proszę natychmiast zejść po niego i niech pan się nie odważy następnym razem pojawić na pokładzie w niekompletnym umundurowaniu.

Zbiegając pod pokład, młody Ricketts spojrzał przepaszającym wzrokiem w stronę kapitana. Dowódca zmarszczył brwi, by nie było wątpliwości co do tego, iż w pełni podziela zdanie Dillona. Ci dranie za chwilę zostaną wychłostani i mają prawo do tego, aby wszystko odbyło się z należyтым ceremoniałem: w obecności całej załogi, przy wtórze grzechoczącego werbla. Oficerowie powinni mieć u boku szpady, a na głowach obszywane złotem kapelusze.

Henry Andrews, kapral okrętowy, po kolei wyprowadzał winowajców. Wszyscy oskarżeni zostali o pijaństwo: John Harden, Joseph Bussell, Thomas Cross, Timothy Bryant, Isaac Isaacs, Peter Edwards i John Surel. Nikt nie zabrał głosu w ich imieniu, oni sami również się nie odzywali.

–Po tuzinie dla każdego – zdecydował Jack. – Gdyby na świecie miała być sprawiedliwość, to Crossowi należałoby podwoić karę. Kto jak kto, ale on... Prawa ręka artylerzysty... Wstyd.

Na „Sophie” zwyczajowym miejscem chłosty nie był greting, lecz kabestan. Pierwszy z ukaranych z ponurą miną wyszedł do przodu, zdjął koszulę i przykląkł przed przysadzistą drewnianą kolumną. Pomocnicy bosmana, John Bell i John Morgan, zwiążali po jej drugiej stronie nadgarstki nieszczęśnika – w rzeczywistości była to tylko formalność. Potem John Bell wyprostował się i spoglądając na kapitana, poruszył lekko trzymanym w prawej ręce biczem. Jack skinął głową i polecił:

–Proszę zaczynać.

–Jeden – odliczał bosman grobowym głosem, a dziewięć powiązanych w supły rzemieni z trzaskiem opadało na gołe, wyprężone plecy marynarza. – Dwa. Trzy. Cztery...

Padaly następne razy i Jack bez trudu zauważył, że co jakiś czas rzemienie uderzają o drewno kabestanu – bijący sprytnie oszczędzał kolegę. „Nie szkodzi” – pomyślał. – „Wszystko wskazuje na to, że ci dranie musieli w jakiś sposób dobrać się do magazynu alkoholu. Chyba że jakiś spryciarz wniósł na pokład zapas czegoś mocniejszego. Chciałbym wiedzieć, czyja to sprawka... Dla takiego łajdaka kazałbym przygotować greting i na pewno nie zgodziłbym się na podobne sztuczki”. Takie pijaństwo nie mogło więcej się powtórzyć: siedmiu ukaranych w jednym dniu. Nie chodziło o skutki niedawnej wyprawy na ląd, w porcie. Ta sprawa dawno została zapomniana. Pijani do nieprzytomności ludzie wytrzeźwieli i wszystko, co złe, zostało zapisane na karb zwykłego w porcie rozluźnienia dyscypliny. Nikomu z polewanych wówczas wodą marynarzy nie postawiono żadnych zarzutów. Dzisiejsza chłosta stanowiła karę za inne przewinienie. Nie dalej jak wczoraj Jack poważnie się zastanawiał, czy nie odwołać popołudniowych ćwiczeń w strzelaniu z armat, tak wielu ludzi chwiało się na nogach. Któryś z podpitych głupców mógł podłożyć stopę pod cofającą się lawetę lub w momencie wystrzału zajrzeć w wylot lufy. Skończyło się na tym, iż przećwiczone jedynie przetaczanie dział, bez odpalania.

Na okrętach panowały różne zwyczaje co do zachowania się okładanych batem ludzi. Członkowie starej załogi „Sophie” przyjmowali razy, milcząc, lecz na przykład Edwards (jeden z nowych) został przeniesiony z okrętu „King's Fisher”, na którym w podobnej sytuacji nie obowiązywało milczenie. Po pierwszym uderzeniu krzyknął więc głośno, co bardzo poruszyło młodego pomocnika bosmana. Trzymająca bicz ręka zadrżała i dwa następne razy były wyraźnie słabsze.

–Co to ma znaczyć, Bell? – zapytał bosman z wyrzutem. Nie był bynajmniej wrogiem Edwardsa, który w tej chwili znaczył dla niego tyle, co przeznaczone na ubój jagnię dla rzeźnika. Po prostu na okręcie każda robota powinna być wykonywana porządnie. Uwaga poskutkowała natychmiast i kolejne przeraźliwe okrzyki chłostanego marynarza były jak najbardziej uzasadnione. Jeszcze gorzej wyglądała sprawa z następnym nieszczęśnikiem, który słysząc wrzaski Edwardsa, załamał się zupełnie. John Surel, poborowy z Exeter, nigdy przedtem nie był chłostany i z powodzeniem oprócz pijaństwa zarzucić mu można było nieopanowanie oraz brak odwagi. Pomimo szamotaniny, jęków i rozdzierającego płaczu wyrok został sumiennie wykonany. Poirytowany Bell sprawnie wydzielał silne razy, chcąc jak najszybciej zakończyć tę przykrą i żalosalną scenę.

„Jakże barbarzyńskie może się to wydać dla widza, który nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić do podobnego widoku, i jak mało znaczy dla tych, którzy już do takich

scen przywykli" – zauważył Stephen w duchu. – „Tylko ów dzieciak jest wyraźnie wstrząśnięty”. Babbington rzeczywiście był bardzo blady i wystraszony, gdy kara została wymierzona do końca, a kilku zawstydzonych marynarzy odprowadziło jęczącego Surela na bok.

Widocznie jednak podchorąży nie przejął się tym aż tak bardzo, bo upłynęło zaledwie dziesięć minut od chwili, gdy zmyto z pokładu ostatnie ślady chłosty, a już uganiał się za Rickettsem wysoko w olinowaniu. Daleko z tyłu ostrożnie gramolił się ich śladem uradowany klerk.

–Kto tam skacze po masztach? – zapytał Jack, widząc poruszające się za cienkim płótnem grotbombramsla cienie. – Chłopcy?

–Młodzi dżentelmeni, panie kapitanie – wyjaśnił oficer wachtowy.

–No właśnie... – Jack zastanawiał się przez chwilę. – Chcę z nimi porozmawiać.

Wkrótce twarze podchorążych znów były blade i wystraszone. Tym razem z innego, ważnego powodu. Jednym z obowiązków przyszłych oficerów było przeprowadzanie w południe obserwacji astronomicznych i określanie na ich podstawie pozycji statku, którą następnie zapisywali na kawałku papieru. Owe kartki nazywane były zwyczajowo „pracami młodych dżentelmenów”. Stojący na warcie u drzwi kapitańskiej kabiny żołnierz piechoty morskiej wręczał je dowódcy okrętu ze słowami: „Prace młodych dżentelmenów, sir”. Kapitan Allen (niedbały i leniwy człowiek) odpowiadał zawsze: „Ach, prace młodych dżentelmenów...” i wyrzucał obliczenia przez okno. Początkowo Jack zbyt był zajęty innymi sprawami, by zaprzętać sobie głowę edukacją podchorążych. Spojrzał jednak na wczorajsze ich karteczki i ze zdumieniem stwierdził, iż pozycja „Sophie” została określona na 39°21'N, co z grubsza odpowiadało prawdzie, lecz chcąc znaleźć się w podanej równocześnie długości geograficznej, należałoby pokonać łańcuch gór za Walencją i przebyć prawie trzydzieści siedem mil w głąb lądu.

–Co to ma znaczyć? Dlaczego oddajecie mi takie bzdury? – zawołał gniewnie. Nie oczekiwał odpowiedzi na to pytanie, podobnie jak i na wiele innych. Podchorążowie nie próbowali zresztą się tłumaczyć. Przyznali mu gorliwie rację, gdy powiedział, że ich pobyt na okręcie wojennym to nie zabawa czy sposób na przyjemne spędzenie czasu, lecz okazja do nauki morskiego rzemiosła. Ich dzienniki (zebrał je i przejrzał) nie były ani dokładne, ani aktualne, okrętowy kot z pewnością pisałby staranniej. W przyszłości mieli bardziej interesować się obserwacjami i obliczeniami pana Marshalla – od dziś codziennie będą nanosić pod jego kontrolą pozycję na mapie. Chcąc zostać porucznikiem, nie wspominając nawet o samodzielnym dowodzeniu okrętem (Jack miał nadzieję, że litościwy Bóg wybaczy mu te słowa), należy w każdej chwili umieć określić pozycję z dokładnością do jednej minuty... do trzydziestu sekund... Co więcej, w każdą niedzielę podchorążowie przedstawiać mają do

sprawdzenia swoje dzienniki, starannie, poprawnie i rozsądnie prowadzone.

–Mam nadzieję, że potraficie pisać czysto i wyraźnie? Jeśli nie, to poproście klerka, on was tego nauczy... – Nie uwierzył ich gorliwym zapewnieniom, posadził wszystkich przy stole, rozdał papier i pióra, kazał podać sobie książkę, i rozpoczął dyktando.

Stephen przebywał właśnie u swych chorych. Chciał w spokoju zastanowić się nad stanem jednego z pacjentów. Puls tego człowieka był słaby, prawie niewyczuwalny. Dookoła panowała cisza i pod rozpięty nad gretingiem płócienny nawiewnik, pozwalający na nieco lepszą wentylację tu na dole, dolatywały z wiatrem słowa Jacka, wypowiedane grobowym, przerażającym tonem. Kapitan czytał nienaturalnie powoli, starannie wymawiając każde słowo:

„Pokład okrętu wojennego traktować można jako państwową szkołę, której zadaniem jest kształcenie naszej młodzieży. Tutaj młodzi ludzie uczą się dyscypliny i poznają morskie rzemiosło, nabywając umiejętności związanych ze służbą na morzu. Pobyt na okręcie w usystematyzowany sposób wykształca u nich niezwykle pożyteczne cechy, takie jak punktualność, dbałość o swój ubiór oraz wygląd, pracowitość, trzeźwość, zdolność do poświęceń i wyrzeczeń. Ucząc się posłuszeństwa, przyszli oficerowie nabywają równocześnie umiejętności dowodzenia”.

–No tak. Ładnie... – Stephen mruknął pod nosem, potem znów zajął się swym pacjentem: nieszczęśliwym, zabiedzonym człowiekiem o zajęczej wardze, leżącym w hamaku tuż obok. Nieszczęśnik był jednym z nowo zaciągniętych rekrutów i należał do wachty prawej burty. – Ile możesz mieć lat, Cheslin? – zapytał doktor łagodnym głosem.

–Och, nie potrafię powiedzieć, sir. – Pomimo apatii w głosie Cheslina słychać było zniecierpliwienie. – Chyba ze trzydzieści. Tak mi się zdaje... – Chory przerwał na chwilę. – Miałem piętnaście lat, kiedy zmarł mój ojciec. Gdybym się chwilę zastanowił, chyba udałoby mi się policzyć, ile to żniw minęło od tamtego czasu. Teraz nie mogę...

–Nie szkodzi. Cheslin, słuchaj, będziesz bardzo chory, jeśli nie zaczniesz jeść. Każę ugotować dla ciebie trochę zupy, a ty ją zjesz.

–Dziękuję, sir. To mi i tak nie pomoże. Oni nie pozwalają mi nic jeść...

–Dlaczego opowiedziałeś im o wszystkim?

Cheslin nie odpowiadał, patrzył tylko na Stephena smutnym wzrokiem.

–Wszystko przez ten grog. Taki mocny. Nie przypuszczałem, że tak się wystraszą.

Ale tak naprawdę, to ludzie w okolicach Carborough też nie lubią o tym mówić.

Właśnie zagwizdano na obiad i mesa załogowa, w której Stephen wydzielił płóciennym parawanem nieco spokojniejsze miejsce dla chorych, wypełniła się głodnymi ludźmi. Wszystko odbywało się w sposób uporządkowany: ośmioosobowe grupy gnały na wyznaczone miejsca, pojawiały się wiszące pod belkami sufitu stoły oraz drewniane miski z soloną wieprzowiną (kolejny dowód na to, iż dzisiaj był czwartek) i gotowaną fasolą. Z największą ostrożnością, tak aby broń Boże nie uronić ani kropli, przyniesiono z pokładu grog, przyrządzony przed chwilą przez pana Pullingsa przy włązie koło grotmasztu.

Przed Stephenem natychmiast utworzyło się szerokie przejście, wszyscy dookoła uśmiechali się i spoglądali na niego życzliwie. Zauważył, iż ludzie, których plecy smarował olejem dziś rano, wyglądają na zadowolonych. Zwłaszcza Edwards, Murzyn, którego uśmiech lśnił bielą w panującym pod pokładem półmroku. Czyjeś ręce odstawiły na bok zagradzającą drogę ławkę, chłopiec okrętowy został gwałtownie obrócony dookoła swej osi i pouczony, iż, jeśli nie chce, by nauczono go dobrych manier, ma nie odwracać się plecami do doktora". Wszyscy byli tacy uprzejmi, mieli tak dobroduszne twarze. To oni jednak uśmiercali Cheslina.

–Mam w moim szpitaliku bardzo interesujący przypadek... – powiedział Stephen do Dillona, gdy po obiedzie popijali porto. – Pewien człowiek jest bliski śmierci z niedożywienia, umrze na pewno, jeśli nie uda mi się wyrwać go z apatii.

–Jak ten biedak się nazywa?

–Cheslin, ma zajęczą wargę.

–Wiem który. Ze śródkręcia, wachta prawej burty. Do niczego się nie nadaje...

–Tak? W swoim czasie był bardzo potrzebny wielu ludziom.

–Czym się zajmował?

–Zjadał grzechy.

–Boże...

–Rozlewasz wino.

–Co to za historia z tym człowiekiem? – zapytał James, wycierając blat stołu.

–Nic specjalnego. Posyłano po niego, gdy ktoś umarł. Na piersiach zmarłego kładziono kawałek chleba. Cheslin zjadał ów chleb, biorąc na siebie grzechy nieżyjącego. Otrzymywał za to srebrną monetę, po czym wyrzucano go z domu.

Ludzie pluli na niego i gdy uciekał, rzucali za nim kamieniami.

–Słyszałem o czymś takim, lecz nie przyszło mi do głowy, że podobne rzeczy dzieją się naprawdę. – Dillon pokręcił głową.

–Takie praktyki są nawet dosyć częste, tylko nikt o tym nie mówi. Okazuje się, że marynarze traktują je znacznie poważniej niż zwykli ludzie. Cheslin opowiedział w kubryku o swoim zajęciu, a załoga natychmiast obróciła się przeciwko niemu. Został wydalony z mesy, nikt się do niego nie odzywa, nie wolno mu jeść lub spać w pobliżu kogokolwiek. Z medycznego punktu widzenia jest całkiem zdrowy, lecz jeśli nie uda mi się mu pomóc, umrze w ciągu tygodnia.

–Powinien pan polecić, by przywiązano tego człowieka do trapu i wymierzono mu sto batów, doktorze! – zawołał ochmistrz ze swej kabiny. Sprawdzał właśnie jakieś rachunki. – To pomaga. Gdy między kolejnymi wojnami służyłem na statku niewolniczym, wśród przewożonych przez nas z Gwinei Murzynów byli jacyś voo-doo czy coś takiego. Umierali tuzinami podczas podróży przez ocean tylko i wyłącznie z żalu

i rozpaczy. Tak bardzo przeżywali fakt, iż zostali zabrani ze swej ojczyzny i rozłączeni z przyjaciółmi. Udało nam się uratować wielu z nich od śmierci za pomocą porannej chłosty bykowcem. Niech pan nie zawraca sobie głowy tym biedakiem, doktorze. Ludzie i tak skręcą mu kark lub wyrzucą go za burtę. Żeglarze zgodzą się na wiele, lecz nigdy nie na towarzystwo Jonasza. Ktoś taki jest jak biała wrona – inne wrony natychmiast zadziobią ją na śmierć. Albo jak albatros. Wystarczy złapać albatrosa – to nic trudnego, potrzebny jest tylko kawałek

liny – i namalować mu na brzuchu krzyż czerwoną farbą. Zostanie rozszarpany przez swych braci, zanim zdąży pan wyjąć lunetę. Często robiliśmy tak dla śmiechu koło Przylądka Dobrej Nadziei. Załoga nigdy nie zgodzi się, by ten człowiek jadł z nimi w jednej mesie. W żadnym wypadku – służba w marynarce trwa przecież pięćdziesiąt lat... Prawda, panie Dillon?

–Zgadza się – potwierdził James. – Po co ktoś taki zaciągnął się na okręt? Był przecież ochotnikiem, nie został wcielony siłą.

–Pewnie nie chciał już być białą wroną... – obojętnie rzekł Stephen. – Nie mam zamiaru dopuścić do śmierci mego pacjenta tylko z racji jakichś marynarskich przesądów. Muszę go trzymać na razie z dala od tych złośliwych ludzi, a gdy wydobrzeje, zostanie moim sanitariuszem. To szczególne zajęcie, a człowiek, który teraz mi pomaga...

–Przepraszam, sir... Kapitan przesyła panu wyrazy uszanowania i pyta, czy nie zechciałby pan zobaczyć czegoś niezmiernie interesującego! – zawołał Babbington,

wbiegając do mesy oficerskiej.

Po wyjściu z panującego pod pokładem półmroku trudno było dostrzec cokolwiek na zalanym oślepiającym słońcem pokładzie. Przymrużywszy oczy, Stephen zdołał rozpoznać starszego z dwóch greckich poławiaczy gąbek. Ociekający wodą, nagi Grek stał dumny przy relingu na prawej burcie i trzymał w dłoniach kawałek blachy z miedzianego poszycia okrętu. Jack stał obok, z założonymi na plecach rękami, i uśmiechał się triumfalnie. Zgromadzeni w pobliżu marynarze z zaciekawieniem wyciągali głowy i przyglądali się uważnie. Grek uniósł w górę skorodowaną blachę i odwrócił ją na drugą stronę. Patrzył przy tym uważnie w twarz Stephena. Od spodu do miedzianego arkusza przylepiona była mała ciemna ryba – dzięki znajdującej się z tyłu głowy przyssawce przylgnęła mocno do metalu.

–Remora! – wykrzyknął Stephen z radością i zaskoczeniem, na które tak bardzo liczyli Jack i poławiacz gąbek. – Dajcie tu wiadro! Ostrożnie... Co za pocziwy Grek. Tak się cieszę... To prawdziwe szczęście zobaczyć remorę!

Obaj Grecy, starszy i młodszy, korzystając z zupełnie bezwietrznej pogody, nurkowali za burtą „Sophie”, zdrapując z kadłuba wodorosty hamujące ruch okrętu. W przezroczystej wodzie widać było wyraźnie sylwetki obu nurków, pracujących wzdłuż lin obciążonych siatkami z kulami armatnimi. Wstrzymywali oddech na dwie minuty i dłużej, czasem nurkując pod stępką i wypływając na powierzchnię po drugiej stronie. Wtedy starszy z nich dostrzegł przyklejonego pod pasem przy stępkowym przebiegłego wroga. Szybko wyjaśniono doktorowi, iż remora jest tak silna, iż na pewno to ona oderwała fragment miedzianego poszycia. Co więcej – ta ryba mogłaby bez trudu zatrzymać w miejscu okręt, nawet przy silnym wietrze! Nie udało jej się jednak... Sprytni Grecy dopadli tego diabła i uwolniona od niego „Sophie” pomknie teraz po falach jak łabędź. Przez moment Stephen chciał się z tym spierać, odwoływać się do zdrowego rozsądku, tłumaczyć, że ruchu okrętu nie może zahamować dziewięciocalowa ryba o delikatnych płetwach. Na szczęście był zbyt mądry i zbyt szczęśliwy, by wdawać się w podobne dyskusje. Szybko zaniósł wiadro z remorą do swej kabiny, by tam w samotności nacieszyć się niezwykłą zdobyczą.

Jako filozof nie wydawał się też specjalnie zakłopotany faktem, iż w chwilę później powierzchnia morza zmarszczyła się i z lewego baksztagu zawiąła nagle świeża bryza. Uwolniona od przeklętej remory „Sophie” pochyliła się lekko i ruszyła dziarsko do przodu. Z prędkością siedmiu węzłów żeglowała aż do zachodu słońca, kiedy to obserwator na maszcie zawołał:

–Łąd na horyzoncie! Przed dziobem, dwa rumby z prawej burty...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zauważony na horyzoncie ląd okazał się przylądkiem Nao, wytyczającym południowy kraniec objętego patrolem obszaru. Ciemny pas wybrzeża był wyraźnie widoczny na tle błękitnego nieba.

–Całkiem ładny brzeg – powiedział Jack, powróciwszy z marsa grotmasztu. Przez dłuższą chwilę oglądał stamtąd przylądek przez lunetę. – Nawet królewski astronom nie poradziłby sobie lepiej...

–Dziękuję, sir. Dziękuję... – odparł pierwszy nawigator, który dla określenia dokładnej pozycji brygu musiał dodatkowo przeprowadzić pracochłonną serię obliczeń na podstawie obserwacji księżyca. – Bardzo cieszę się, że... że jest pan... zadowolony... – Biedakowi zabrakło słów i na zakończenie potrząsnął tylko głową, splatając nerwowo dłonie. Był to niecodzienny widok: postawny, budzący respekt mężczyzna o surowej twarzy nie potrafił znaleźć wystarczająco dużo delikatności i taktu, by wyrazić swe uczucia. Nic dziwnego, że kilku pracujących na pokładzie ludzi wymieniło porozumiewawcze spojrzenia. Jack nie zdawał sobie z tego sprawy. Zawsze wysoko cenił precyzyjną i starannie przez pana Marshalla prowadzoną nawigację. Szanował gorliwość, sumienność i wrodzoną dobroduszość tego człowieka. Poza tym był zbyt zajęty pomysłem wypróbowania dział w nocy, by zwracać uwagę na jakieś błahostki. Znajdowali się wystarczająco daleko od brzegu, by nikt ich nie usłyszał. Wiatr wiał od lądu. Poziom wyszkolenia artyleryjskiego załogi „Sophie”, co prawda, podniósł się znacznie, lecz Aubrey nie mógłby zasnąć spokojnie, gdyby któregoś dnia nie zostały przeprowadzone ćwiczenia, będące jedyną drogą do perfekcji.

–Panie Dillon... Przeprowadzimy dzisiaj zawody w nocnym strzelaniu – oznajmił. – Zobaczymy, która burta okaże się lepsza. Tak, wiem... – mówił dalej, widząc, jak twarz porucznika wydłuża się w niemym sprzeciwie. – Będą strzelać z oświetlonego pokładu w ciemność, więc chyba nawet najwięksi głupcy nie dostaną się pod lawetę lub przed lufę działa i nie powypadają za burtę. Proszę przygotować kilka pustych beczek do strzelania w dzień i kilka pływających celów z latarniami, pochodniami lub czymś podobnym do ćwiczeń w nocy.

Już od pierwszego strzelania artyleryjskiego, którego dane było mu być świadkiem (ileż to dni upłynęło od tej chwili), Stephen starał się unikać takich atrakcji. Irytował go huk dział i zapach prochu. Jako lekarz obawiał się też podświadomie wypadku i bolesnych urazów wśród obsługujących armaty ludzi. Ponadto podczas tak hałaśliwych ćwiczeń nie było najmniejszej nadziei, iż uda się zobaczyć na niebie jakiegokolwiek ptaka. Tego wieczora wyszedł jednak na pokład, nieświadom zbliżającego się zamieszania. Zamierzał podejść do pompy na forkasztelu, do owej pompy z pnia wiązu, której głowicę gotowi pójść za doktorem w ogień marynarze

demontowali dwa razy dziennie. Słońce zachodziło i należało wykorzystać padające z ukosa i oświetlające wodę pod dnem „Sophie” promienie. Jack Aubrey bardzo się ucieszył na widok przyjaciela.

–Jest pan, doktorze. Pewnie chce pan sprawdzić, jak wielkie zrobiliśmy postępy? To porywający widok, gdy strzelają działa, prawda? Dzisiaj zobaczy pan, o ile piękniej coś podobnego wygląda w ciemnościach. Boże, szkoda, że nie widział pan tej bitwy na Nilu! I że jej pan nie słyszał. Na pewno byłby pan szczęśliwy...

Zmiany na lepsze były bardzo wyraźne nawet dla tak niedoświadczonego w tej kwestii obserwatora jak Stephen. Jack wprowadził bowiem system, który okazał się zarówno skuteczny, jak i łagodny dla kadłuba brygu (wręgi naprawdę nie mogły wytrzymać pełnej salwy burtowej): znajdujące się na zawietrznej działa baterii burtowej strzelało pierwsze, a gdy jego laweta odskakiwała do tyłu, wypalała sąsiednia armata. W ten sposób kolejno w niewielkich odstępach czasu odzywały się wszystkie armaty, a obsługujący je ludzie pomimo dymu wciąż widzieli cel. Jack wyjaśniał to doktorowi, podczas gdy załadowany pustymi beczkami kuter zniknął w mroku.

–Oczywiście – dodał na zakończenie – będziemy strzelali z bliska. Jak dotąd udało nam się wystrzelić najwyżej trzy następujące po sobie salwy. Marzę o chwili, kiedy dojdziemy do czterech...

Obsługujący armaty ludzie byli rozebrani do pasa, głowy przewiązane mieli czarnymi jedwabnymi chustkami i wydawali się bardzo skoncentrowani, spokojni i kompetentni. Dla tych, którzy trafią do celu, przewidziana była nagroda. Znacznie wyżej nagrodzona miała być wachta, która będzie strzelać najszybciej – rzecz jasna nie wolno było zaniedbywać starannego celowania.

Kuter znajdował się już daleko na zawietrznej. Stephena zawsze zaskakiwało to, że poruszające się powoli po wodzie obiekty, początkowo płynące obok siebie, mogą nagle oddalić się o mile bez specjalnego wysiłku lub wyraźnego przyrostu prędkości. Wystarczyło tylko na chwilę odwrócić od nich uwagę. Na falach kołysała się beczka. Słup wykonał zwrot przez rufę i płynął spokojnie z wiatrem, z postawionymi marslami. Widać było, iż przejdzie w odległości kabła od celu.

–Nie warto strzelać z większego dystansu – powiedział Jack. W jednej ręce trzymał zegarek, a w drugiej kawałek kredy. – Kule nie uderzałyby z dostateczną siłą.

Chwile mijały i beczka znalazła się z lewej strony przed dziobem.

–Zwolnić działa! – zawołał James Dillon. Na pokładzie czuć już było zapach palących się lontów. – Wypoziomować... odczopować... podtoczyć... podsypać... celuj... Ognia!

Odgłos wystrzałów przywodził na myśl olbrzymi młot, uderzający w zadziwiająco równych odstępach o kamień. Dym ułożył się w długą smugę przed dziobem brygu. Strzelały działa baterii lewoburtowej; ludzie z wachty prawej burty, którzy najpierw komentowali skwapliwie wszelkie niedociągnięcia, teraz wyciągali szyje, chcąc sprawdzić, czy kule dosięgły celu: uderzyły o trzydzieści jardów za daleko, lecz upadły blisko siebie. Załogi dział pracowały w tym czasie z zapalem, czyszcząc lufy, przybijając ładunki, odciągając i podtaczając lawety. Plecy uwijających się jak w ukropie ludzi lśniły od potu.

Beczka znajdowała się niemal dokładnie na trawersie, gdy następna salwa rozniosła ją na kawałki.

–Dwie minuty i pięć sekund – oznajmił Jack uradowany.

Obsady dział nie traciły czasu na okrzyki radości. Wszyscy poruszali się coraz szybciej. Znów rozległo się siedem szybkich uderzeń gigantycznego młota. Tuż obok pogruchotanych klepek wykwitły białe fontanny wody. W ruch poszły wyciory, stękający z wysiłku ludzie sprawnie podtaczali działa do burty, obracając lufy za pomocą handszpaków i łomów. Niestety. Rozbite szczątki beczki odpłynęły już zbyt daleko.

–Nic nie szkodzi! – zawołał kapitan. – Prawie się udało. Sześć minut i dziesięć sekund. – Marynarze z lewo-burtowej wachty westchnęli ciężko. Tak chcieli wystrzelić jeszcze czwartą salwę i zmieścić się w czasie poniżej sześciu minut. Wiedzieli dobrze, że prawa burta dokona tej sztuki.

Rzeczywiście. Bateria na prawej burcie wystrzeliła cztery razy w czasie pięciu minut i pięćdziesięciu siedmiu sekund. Żadne z dział nie trafiło jednak w beczkę i w panującym na pokładzie mroku rozlegały się ciche, złośliwe uwagi na temat „bezczelnych cwaniaków, którzy strzelali na ślepo, byle tylko zwyciężyć we współzawodnictwie. A proch kosztuje przecież osiemnaście pensów za funt...”

Dzień całkowicie ustąpił miejsca nocy i Jack z satysfakcją zauważył, iż strzelającym z dział ludziom nie robiło to specjalnej różnicy. Słup nabrał nieco wysokości względem wiatru, odpadł na przeciwnym halsie i skierował się ku pochodni umocowanej na trzeciej beczce. Salwy padały jedna za drugą, szkarłatne języki ognia przeszywały dym i mrok. Przynoszący proch chłopcy pędzili przez pokład, zbiegali pod pokład obok stojącego przy osłoniętym zejściu do prochowni wartownika i wracali z kolejnymi ładunkami. Obsady dział sapały i stękały z wysiłku, lonty spalały się powoli. Wszystko przebiegało w regularnym, prawie niezmiennym tempie.

–Sześć minut i czterdzieści dwie sekundy – obwieścił Aubrey głośno, spoglądając na zegarek w świetle latarni, gdy padła ostatnia salwa. – Zwyciężyła lewa burta. Całkiem udane ćwiczenia, prawda, panie Dillon?

–Muszę przyznać, że nie spodziewałem się takiego rezultatu.

–No cóż, może pozwolimy sobie na chwilę muzyki? – zwrócił się Jack do doktora Maturina. – Mam nadzieję, że nie dzwoni panu w uszach od huków wystrzałów? Poruczniku, czy możemy pana zaprosić? Pan Marshall ma chyba teraz służbę na pokładzie.

–Dziękuję za zaproszenie, sir. Proszę jednak nie zawracać sobie mną głowy. Wie pan doskonale, że zupełnie nie mam słuchu...

–Bardzo jestem zadowolony z dzisiejszego strzelania – przyznał Jack, strojąc skrzypce. – Teraz z czystym sumieniem mogę skierować okręt blisko brzegu, nie ryzykując wiele.

–Cieszę się, że jest pan usatysfakcjonowany. Załoga rzeczywiście dała z siebie wszystko. Pozwolę sobie zwrócić panu uwagę, iż to nie jest dźwięk A.

–Doprawdy? – zawołał Jack wzburzony. – Czy teraz lepiej?

Stephen skinął głową, postukał stopą trzy razy o podłogę i wspólnie wykonali divertimento pana Browna.

–Czy zauważył pan, jak posługiwałem się smyczkiem w tym fragmencie: pum-pum-pum-pum? – zapytał Aubrey.

–Oczywiście. Bardzo wesoła i zręczna interpretacja. Spostrzegłem też, że ani razu nie uderzył pan w tę wiszącą półkę i w lampę. Ja również tylko raz zahaczyłem ręką o szafkę.

–Wydaje mi się, że najważniejszą sprawą jest po prostu o tym nie myśleć. Ci ludzie przetaczający i ładujący działa także wykonują swoje czynności w czysto mechaniczny sposób. Jestem z nich dumny, zwłaszcza z tych obsługujących działa numer trzy i pięć na lewej burcie. Kiedy zaczynaliśmy ćwiczenia, do niczego się nie nadawali.

–Bardzo panu, jak widzę, zależy na tym, by wszyscy jak najszybciej doszli do mistrzowskiej wprawy.

–Oczywiście. Nie mamy ani chwili do stracenia.

–No cóż... Czy nie sądzi pan, że ludzie ów nieustanny pośpiech mogą uznać za złośliwość z pańskiej strony? Że się tym zmęczą?

–O Boże, nie. Takie jest życie na okręcie. Na morzu wszystko się zmienia, bardzo wiele może się wydarzyć w ciągu zaledwie pięciu minut... Powinien pan słyszeć, co

mawiał na ten temat lord Nelson. Strzelanie z dział to bardzo istotna sprawa. Pojedyncza salwa burtowa może powalić maszt i przez to zapewnić zwycięstwo w bitwie. Nie wiadomo, kiedy będziemy musieli strzelać naprawdę. Może to tylko kwestia godzin?

Jakże słuszne były to słowa. Wszystkowidzące oko, zdolne przebić ciemność, zdołałoby zapewne wyśledzić hiszpańską fregatę „Cacafuego” zdążającą do Kartageny. Oba okręty spotkałyby się na pewno, gdyby bryg nie stracił dodatkowych piętnastu minut na pozbieranie oświetlonych pochodniami beczek. „Cacafuego” i „Sophie” minęły się jednak bezgłośnie w odległości półtorej mili, nic wzajemnie o sobie nie wiedząc. To samo oko wypatrzyłoby pewnie wiele innych statków w pobliżu przylądka Nao. Jack wiedział o tym doskonale: wszystkie jednostki zmierzające z Almerii, Alicante i Malagi musiały opłynąć ten wychodzący w morze ląd. Istotny był zwłaszcza pewien niewielki konwój, kierujący się do Walencji, chroniony przywilejem kaperskim. Jeśli „Sophie” dalej popłynie tym samym kursem, na godzinę przed świtem powinna znaleźć się w pobliżu wybrzeża i na nawietrznej owego konwoju.

–Sir, sir. – Babbington zapiszczał Jackowi prosto do ucha.

–Spokojnie, kochanie... – wymamrotał budzący się ze snu kapitan, którego myśli wciąż zajęte były pewną piękną przedstawicielką płci przeciwnej. – Co jest?

–Pan Dillon mówi, że widać jakieś światło topowe, sir.

–Ach tak! – zawołał dowódca „Sophie”, natychmiast obudzony, i w nocnej koszuli wybiegł na pogrążony w mroku pokład.

–Dzień dobry, sir – powiedział Dillon, salutując, i podał kapitanowi nocną lunetę.

–Dzień dobry – odpowiedział Aubrey na powitanie, dotykając szlafmicy. – Gdzie są te światła?

–Dokładnie na trawersie, sir.

–Do licha, bardzo dobre ma pan oczy – rzekł z podziwem. Opuścił teleskop, wytarł szkła i ponownie spojrzął w ciemność. Nad morzem unosiła się leciutka mgiełka. – Są! Dwa. Trzy. Chyba widzę czwarte...

„Sophie” leżała w dryfie, z fokmarslem ustawionym na wiatr i wypełnionym grotmarslem, tak iż siły działające na oba żagle wzajemnie się równoważyły. Nie opodal wznosiło się skaliste wybrzeże. Wiatr, jeśli w ogóle można go było nazwać wiatrem, wiał w nieregularnych i niepewnych podmuchach z północnego zachodu, niosąc ze sobą ciepły zapach trawy. Po wschodzie słońca, gdy ląd zacznie się nagrzewać, kierunek bryzy powinien zmienić się na północno-wschodni lub wschodni. Jack chwycił rękoma wanty.

–Spróbujmy przyjrzeć się sytuacji z góry – zdecydował szybko. – Niech szlag trafi tę cholerną suknię...!

Było coraz jaśniej. Wisząca nad powierzchnią morza mgiełka rozrzedzała się, odsłaniając pięć statków płynących w nieregularnej grupie. Widać było ich kadłuby, odległość do najbliższej jednostki wynosiła nie więcej niż ćwierć mili. Zdążyły z północy na południe, prowadzone przez „Gloire”, bardzo szybki statek piracki z Tulonu, o ożaglowaniu okrętu wojennego, z dwunastoma ośmioletnimi działami. Statek ten został wynajęty przez bogatego kupca z Barcelony, o nazwisku Jaime Mateu, do ochrony dwóch settee o nazwach „Pardal” i „Xaloc”. Oba te statki miały po sześć dział, na ostatnim z nich znajdował się cenny (i nielegalny) ładunek pochodzącej z przemytu rtęci. „Pardal” płynął za rufą pirata, na zawietrznej; na podobnej pozycji, ale na nawietrznej, znajdowała się „Santa Lucia”, neapolitański bryg z dodatkowym masztem, przy należący do „Gloire”, przewożący francuskich rojalistów schwytanych podczas próby przedostania się do Gibraltaru. Dalej znajdował się „Xaloc” i na końcu tartan, który przyłączył się do konwoju koło Alicante, szczęśliwy, iż w ten sposób zyskał ochronę przed barbarzyńskimi galerami, kaprami z Minorki i brytyjskimi patrolowcami. Wszystkie te statki były małe i obawiały się niebezpieczeństwa od strony otwartego morza (dlatego nakładając drogi, podróżowały blisko lądu, by w każdej chwili móc schronić się pod osłonę baterii brzegowych). Nawet gdyby na którejś z tych jednostek ktoś zauważył „Sophie”, pomyślałby zapewne, iż jest to mały bryg handlowy, wlokący się samotnie niedaleko wybrzeża i zmierzający do Denii.

–Co pan powie o tym okręcie? – zagadnął Jack.

–Nie mogę policzyć furt burtowych, jest jeszcze zbyt ciemno. Sądząc po wielkości, na pewno nie jest to żadna z ich osiemnastodziałowych korwet. Tak czy inaczej, na pewno ta jednostka ma taką samą siłę ognia jak my i jest tutaj psem pilnującym owiec. – Zgadza się. – To było oczywiste. „Sophie” znajdowała się na nawietrznej opływającego przylądek konwoju, lecz kierunek wiatru zmieniał się powoli. Umysł kapitana pracował na najwyższych obrotach. Błyskawicznie analizował wszystkie możliwości. Równocześnie był dowódcą „Sophie” i statku pirackiego.

–Czy mogę coś zaproponować, sir?

–Proszę bardzo – odpowiedział Aubrey cicho. – Nie będziemy chyba prowadzić narady wojennej... Na okręcie wojennym nie podejmuje się decyzji w ten sposób. – Zaprosił porucznika na górę w dowód uznania, był mu to winien za wykrycie konwoju. Nie zamierzał jednak konsultować z kimkolwiek swoich przemyśleń. Miał cichą nadzieję, że Dillon nie wyrwie się z żadną, nawet najmądrzejszą uwagą. W tej sprawie decyzje podejmować mogła tylko jedna osoba, dowódca „Sophie”.

–Może powinienem ogłosić alarm bojowy? – odparł James sztywno, dotknięty

odpowiedzią kapitana.

–Widzi pan malutki bryg z dodatkowym masztem, ten pomiędzy nami a tym okrętem? – zapytał Jack, wskazując ręką kierunek. – Jeśli zgrabnie przebrasujemy reje, w ciągu dziesięciu minut znajdziemy się w odległości kilkuset jardów od tego stateczku, który zasłoni nas wtedy przed okrętem. Rozumie pan, o co mi chodzi?

–Oczywiście.

–Obsadzi pan obie łodzie ludźmi i wejdzie na pokład tego brygu, zanim jego załoga zdoła się zorientować. Na wasz widok narobią na pewno trochę hałasu i okręt natychmiast ruszy im na ratunek. Nie ma wystarczająco dużo wolnej przestrzeni, by mógł wykonać zwrot przez sztag, będzie musiał odpadać do zwrotu przez rufę. Jeśli skieruje pan zdobytą jednostkę z wiatrem, będę mógł wejść w lukę, jaka wówczas powstanie, i postać mu jedną albo dwie salwy, gdy będzie się obracał. Może uda się przy okazji strącić jakąś reję tamtego drugiego statku. Na pokładzie! – zawołał nieco donośniejszym głosem. – Ciszej tam. Proszę odesłać wszystkich z powrotem na dół. – Na okręcie rozeszła się już informacja o wykryciu konwoju i marynarze zaczęli się tłoczyć w dziobowej zejściówce. – Niech przygotuje się oddział abordażowy. Najlepiej będzie, jeśli pošlemy wszystkich naszych Murzynów... Hiszpanie bardzo się ich boją. Proszę po cichu przygotować okręt do walki, wszyscy mają być gotowi do zajęcia stanowisk. Na razie nikomu nie wolno się pokazywać. Nie więcej jak dwunastu ludzi na pokładzie. Musimy wyglądać jak statek handlowy. – Jack wychylił się poza krawędź marsa, nocna koszula trzepotała poruszana wiatrem. – Nie może być widać żadnych podejrzanych czynności.

–A hamaki, sir?

–Jasne. – Jack zawiesił głos. – Muszą szybko znaleźć się na górze, inaczej przyjdzie nam walczyć bez nich. Ani jeden hamak nie może spocząć w siatce przed wyruszeniem oddziału abordażowego. Najważniejsze jest zaskoczenie.

Tak, zaskoczenie. Wielu ludzi zostało zaskoczonych. Pierwszym z nich był Stephen – obudzony nagle w samym środku zadziwiającego, niemal bezgłośnego zamieszania. Ludzie biegali w ciemnościach pod pokładem, słychać było szcęk wydawanej broni, członkowie oddziału abordażowego chyłkiem przekradali się do opuszczonych nad wodę od strony lądu łodzi. Pomocnicy bosmana szeptem ogłaszali pogotowie bojowe, a chorążowie sprawdzali swoje pododdziały, uciszając głupców („Sophie" miała ich kilku na pokładzie), którzy usilnie próbowali odgadnąć, co się dzieje. Jack wołał w głąb zejściówki:

–Panie Ricketts, panie Babbington!

–Tak jest, sir?

–Na mój rozkaz natychmiast poprowadzą panowie ludzi na maszty. Błyskawicznie mają zostać postawione dolne żagle i bramsle.

–Tak jest, sir.

Zaskoczona została również wachta na pokładzie żaglowca „Santa Lucia”. Śpiący ludzie z coraz większym zdumieniem patrzyli na zbliżający się szybko bryg. Czyżby zamierzał przyłączyć się do konwoju?

–To ten Duńczyk, który pływa tam i z powrotem wzdłuż wybrzeża – stwierdził Jean Wiseacre. Zdumienie przerodziło się w przerażenie, gdy zza kadłuba brygu wypłynęły dwie wypełnione ludźmi łodzie. Po krótkiej chwili niedowierzania Francuzi zaczęli, najlepiej jak potrafili, przygotowywać się do obrony: pobiegli po muszkiety, sięgnęli po białą broń, próbowali zwolnić działą. Było ich jednak tylko siedmiu i każdy z nich działał na własny rachunek, ponadto mieli zaledwie niecałą minutę do namysłu. Gdy ludzie z „Sophie” z krzykiem wdarli się na pokład, załoga przytu powitała napastników pojedynczym wystrzałem muszkietowym, kilkoma nieśmiały mi strzałami z pistoletów i niemrawym brzękiem szabel. W chwilę później czterech najsprawniejszych obrońców wspięło się na olinowanie, a jeden uciekł pod pokład, na którym leżały dwa nieruchome ciała.

Dillon otworzył kopnięciem drzwi kabiny, spojrzął wzdłuż lufy ciężkiego pistoletu na młodego oficera ze statku pirackiego i zapytał:

–Poddajecie się?

–*Oui, monsieur* – drżącym głosem odparł przerażony młodzian.

–Na pokład – polecił Dillon, energicznie poruszając głową. – Murphy, Bussell, Thompson i King... Weźcie się do pokryw ładowni. Davies, Chambers, Wood – do żagli. Andrews – wybrać kliwer. – Pobiegł do steru, odsunął leżące zwłoki i zakręcił kołem. „Santa Lucia” odpadała, najpierw powoli, później coraz szybciej. Patrząc przez ramię, widział, jak na masztach „Sophie” błyskawicznie rozwijają się bramsle

i jak niemal w tej samej chwili pojawia się fok, grotsztaksel oraz gaflowy grot. Odwrócił głowę i schylony tak, by patrzeć pod dolnym likiem foka, obserwował znajdujący się przed dziobem przytu okręt. Statek piracki zaczynał właśnie odpadać, chcąc wykonać zwrot przez rufę, zmienić hals i odbić „Santa Lucię”. Na jego pokładzie panowało wielkie poruszenie, podobnie jak na pokładach pozostałych jednostek konwoju. Ludzie biegali tam i z powrotem, słyhać było okrzyki, gwizdki i grzechot werbla. Przy tak słabej bryzie i niewielkiej powierzchni żagli na masztach wszystkie manewry odbywały się w iście ślimaczym tempie. Na rejach, co prawda, kolejno pojawiały się nowe płótna, lecz potrzeba było czasu, by statki mogły choć trochę zwiększyć prędkość. Prawdopodobnie z racji owej powolności James miał

wrażenie, iż wszystko przebiega w absolutnej ciszy, która jednak już w chwilę później została zakłócona, gdy „Sophie” z dumnie powiewającą banderą przemknęła z lewej strony tuż przed dziobem przyżu. Załoga słupa krzyknęła donośnie na wiwat, James z dumą zauważył, iż szoty wszystkich żagli były wybrane, wszystkie płótna pracowały, a hamaki wędrowały do siatek z niewiarygodną wręcz prędkością. Dwa właśnie wypadły za burtę. Stojący na rufie Jack Aubrey uniósł wysoko kapelusz i zawołał:

–Dobra robota, poruczniku!

Zdobywcy przyżu zareagowali okrzykiem na wiwaty swych kolegów z przepływającego obok brygu i nagle znikła panująca na pokładzie „Santa Lucii” atmosfera bezwzględного okrucieństwa. Ludzie Dillona krzyknęli ponownie i na ten okrzyk odpowiedziało nieśmiało wołanie z głębi ich statku.

Prędkość płynącej pod wszystkimi żaglami „Sophie” wynosiła prawie cztery węzły. Statek piracki był ledwo sterowny i cały czas powoli się obracał, płynąc z wiatrem. Lada moment bezbronna rufa „Gloire” powinna znaleźć się w zasięgu dział brygu. Obie jednostki oddalone były od siebie o ćwierć mili i dzielący je dystans zmniejszał się szybko. Francuz nie był jednak głupcem. Marsel stermasztu pirackiego statku został błyskawicznie wypchnięty na wiatr, a reje przednich masztów zbrasowano tak, by niekorzystny manewr został jak najprędzej zahamowany i odwrócony. Przy tak małej prędkości ster niemal nie działał.

–Za późno, bratku... – powiedział Jack cicho. Odległość zmalała do trzystu jardów, potem do dwustu pięćdziesięciu. – Edwards! – zwrócił się do dowódcy i zarazem celowniczego najbliższego dział rufowego. – Proszę strzelić przed dziób settee.

Kula w rzeczywistości przeszła przez przedni żagiel statku handlowego. Pozostałe płótna natychmiast zostały zrzucone i podenerwowana postać pobiegła na rufę, aby podnieść i demonstracyjnie opuścić banderę. Na razie nie było jednak mowy o zajęciu poddającej się jednostki, nie mieli na to czasu. – Wyostrzyć i tak trzymać! – polecił Aubrey i „Sophie” zbliżyła się do linii wiatru. Jej fok przestał pracować, lecz za chwilę znów się wypełnił. Od pewnego czasu piraci znajdowali się w zasięgu skierowanych maksymalnie do przodu dział brygu. – Dobrze, jeszcze trochę... – Jack zawiesił głos i na burcie rozległo się stękanie osób obracających armaty tak, by lufy nadal wymierzone były dokładnie w cel. Wszyscy czekali teraz w pełnym napięcia milczeniu na wyznaczonych stanowiskach.

Lonty spalały się powoli w dłoniach klęczących obok armat celowniczych ludzi, którzy co jakiś czas dmuchali na rozżarzone końce, by podtrzymać nikły płomyk. Dowódcy dział, nisko pochyleni, patrzyli wzdłuż luf na bezbronną rufę pirata.

–Ognia! – Komendę zagłuszył huk następujących kolejno po sobie wystrzałów. Kadłub „Sophie” zadygotał i kłęby dymu przesłoniły morze. Jack wpychał bezwiednie

koszulę w spodnie, gdy uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. Coś złego działo się z obłokiem dymu – zaszła chyba nagła zmiana kierunku wiatru. Rzeczywiście. niespodziewany podmuch z północnego wschodu rozmył pachnącą prochem chmurę, zamieniając ją w długą wstęgę ciągnącą się za rufą. W tej samej chwili przednie żagle brygu zapracowały do tyłu i dziób został gwałtownie odepchnięty w prawo.

–Do brasów! – zawołał pan Marshall, wykładając ster tak, by okręt powrócił na poprzedni kurs. Gdy się to udało, zagrziała druga salwa burtowa. Ów nagły podmuch obrócił również statek piracki, który odpowiedział ogniem, gdy tylko kłęby dymu odpłynęły z wiatrem. Tymczasem Jack dostrzegł, że rufa zaatakowanej jednostki mocno ucierpiała – po oknach kabiny i małej galeryjce na pawęży nie było nawet śladu. Zauważył też, że statek ma na pokładzie dwanaście dział i walczy pod francuską flagą.

„Sophie” straciła rozpęd, podczas gdy płynący znów lewym halsem pirat szybko nabierał prędkości. Obie jednostki płynęły równoległymi kursami, ostro na wiatr, „Sophie” pozostawała nieco z tyłu. Rozpoczęła się nieprzerwana wymiana ognia. Pomiędzy walczącymi zawisła ciężka chmura dymu, rozświetlana przesywającymi ją z obu stron purpurowymi językami ognia Salwy następowały jedna po drugiej. Mijały minuty, na brygu odwrócono klepsydrę i okrętowy dzwon wybił szklanki. Dym gęstniał coraz bardziej, a konwój został daleko za rufą.

Sytuacja w pewien sposób się ustabilizowała, nic więcej nie można było zrobić. Dowódcy poszczególnych działonów znali swoje rozkazy i wykonywali je z zapalem. Strzelali, mierząc w kadłub, tak szybko, jak to było możliwe. Podoficerowie dowodzący pododdziałami biegali wzdłuż linii dział, pomagając i interweniując, gdy coś się komplikowało. Ładunki i kule wędrowały z prochowni na pokład z perfekcyjną regularnością. Bosman chodził tu i tam ze swymi ludźmi, szukając uszkodzeń w takielunku. Na marsach odzywały się muszkiety strzelców wyborowych. Jack stał na rufie, zamyślony. Znajdujący się obok niego, z lewej strony, klerk i Ricketts ze stoickim spokojem reagowali na uderzające głucho w kadłub lub przelatujące wysoko ze świstem pociski. Kula armatnia przeszła przez wypełnioną hamakami siatkę, przeleciała o kilka stóp przed kapitanem, uderzyła w metalowy stojak i ugrzęzła w hamakach na przeciwległej burcie. – Ośmioletnia – zauważył obojętnie dowódca „Sophie”.

Francuzi jak zwykle strzelali zbyt wysoko i z dziką zawziętością. Na nawietrznej, gdzie morze było zaskakująco błękitne i wolne od dymu, w odległości około pięćdziesięciu jardów widać było fontanny wody, wzbijające się w górę za rufą i przed dziobem brygu – najczęściej przed dziobem. Sądząc po błyskach przesywających wiszącą między okrętami chmurę i po zmieniającym się stopniowo odgłosie wystrzałów, „Gloire” coraz bardziej wysuwała się do przodu. Koniecznie należało to zmienić.

–Panie Marshall! – zawołał Jack przez tubę. – Przejdziemy im za rufą! – Gdy wypowiadał te słowa, na dziobie wybuchło zamieszanie i odezwały się okrzyki. Jedna z armat leżała przewrócona. – Przerwać ogień! – krzyknął głośno. – Uwaga przy działach na lewej burcie!

Dym rozpływał się powoli. „Sophie” zaczęła zmieniać kurs w prawo, tak by salwa z lewej burty z całą siłą mogła uderzyć w rufę „Gloire”. Działa zagrzmiały, kule nie dosięgły jednak celu. Dowódca statku pirackiego, jakby tknięty złym przeczuciem, wyłożył ster na burtę zaledwie w pięć sekund po tym, jak bryg rozpoczął manewr. Kłęby dymu ponownie odplynęły na bok i stojący przy siatce z hamakami na lewej burcie Aubrey ujrzał wreszcie swego przeciwnika. Francuski kapitan, niski, siwiejący mężczyzna, stał przy rufowym relingu i wpatrywał się w „Sophie” nieruchomym wzrokiem. Po krótkiej chwili sięgnął za siebie, oparł łokcie na poręczy i bardzo starannie wycelował w Jacka z muszkietu. Sytuacja nabrała teraz szczególnego, osobistego wymiaru. Mięśnie twarzy Jacka odruchowo zeszywniały, w piersiach poczuł dziwny ciężar.

–Bombramsle, panie Marshall – polecił. – Oni wyraźnie oddalają się od nas. – Ogień artyleryjski ucichł, gdyż działa nie mogły strzelać pod tak ostrym kątem. W ciszy, jaka zapadła, odgłos wystrzału muszkietowego rozległ się tak wyraźnie, jakby oddano go tuż obok, na pokładzie brygu. W tej samej sekundzie Christian Pram, sternik, krzyknął przeraźliwie i zatoczył się, pociągając za sobą koło sterowe. Ramię Duńczyka rozorane było głęboko od nadgarstka aż po łokieć. Dziób „Sophie” gwałtownie zbliżył się do linii wiatru i mimo że Jack i Marshall rzucili się natychmiast do steru, prędkość okrętu wyraźnie zmalała. Aby oddać salwę z lewej burty, trzeba by było jeszcze bardziej zmienić kurs, a to oznaczałoby zwiększenie dzielącej obie jednostki odległości. Nie można było sobie na to pozwolić. „Sophie” znajdowała się dobre dwieście jardów z prawej strony za rufą „Gloire” i chcąc wznowić przerwana walkę, musiałyby koniecznie zwiększyć prędkość. Postawiono już wszystko, co można było postawić. Wiatr wiał za bardzo z dziobu i o postawieniu żagli bocznych nie mogło być mowy.

Jack obserwował uważnie krzątających się na pokładzie „Gloire” ludzi. Czekał na najmniejsze choćby załamanie w kilwaterze uciekającego statku; znaczyłoby to, że Francuzi zamierzają odwrócić się prawą burtą, przeciąć drogę „Sophie”, posyłając jej morderczą salwę, i ruszyć na ratunek rozproszonemu konwojowi. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Statek piracki nie zmieniał kursu. Oddalał się od ścigającego go brygu nawet bez bombramżagli, które teraz dopiero stawiano. Wiatr był dla „Gloire” o wiele bardziej korzystny.

W kącikach oczu Jacka zakręciły się łzy – tak uporczywie wpatrywał się, pod słońce, w coraz dłuższy kilwater Francuza. Dookoła pochylonego kadłuba uciekającej jednostki pieniała się odplywająca szybko za rufę woda. Siwowłosey kapitan strzelał uparcie – stojący obok niego człowiek podawał mu naładowaną broń. Jedna z kul

przerwała wyblinkę o dwie stopy od głowy Jacka. Znajdowali się prawie poza zasięgiem strzału muszkietowego i owa trudna do określenia granica między osobistą nienawiścią a anonimową wymianą strzałów dawno została przekroczona. Aubrey zupełnie już nie zwracał uwagi na przelatujące kule.

–Panie Marshall, proszę odpaść trochę, tak żebyśmy mogli ich zdrowo poczęstować – polecił.

„Sophie” powoli odchyłała się od poprzedniego kursu. Na jej lewej burcie zagrzmiało najbliższe dziobu działo, tuż po nim w równych odstępach czasu odzywały się kolejne armaty. Salwa została jednak oddana zbyt wcześnie – kule przeszły, co prawda, na odpowiedniej wysokości, lecz wpadły do morza o dwadzieścia, a nawet trzydzieści jardów za rufą „Gloire”. Dowódca statku pirackiego bardziej przejmował się własnym bezpieczeństwem niż honorem, całkiem też zapomniał o zobowiązaniach wobec Senora Mateu. Rezygnując z zemsty, nie zmienił kursu, by odpowiedzieć salwą – po prostu wyostrzył do wiatru. Dzięki trzem masztom „Gloire” mogła żeglować znacznie ostrzej niż dwumasztowa „Sophie” i piraci bez skrupułów z tego skorzystali. Wspomagała ich także znacznie łaskawsza dla nich bryza. Najzwyczajniej w świecie rzucili się do ucieczki. Dwie kule następnej salwy brygu prawdopodobnie doleciały do celu. Jedna z nich na pewno przebiła sterniarsel „Gloire”. Uciekający statek malał stopniowo, w miarę jak zwiększała się odległość dzieląca płynące rozbieżnymi kursami jednostki.

Po ośmiu kolejnych salwach Jack kazał przerwać ogień. Załodze „Sophie” udało się mocno uderzyć w uciekających i zniszczyć ich statek, lecz żadna z salw nie uszkodziła w znaczący sposób olinowania. Nie została ścięta ani jedna reja lub maszt. Piraci wyraźnie też nie mieli ochoty dać się sprowokować do uczciwej walki burta w burtę. Aubrey raz jeszcze spojrzął w ślad za oddalającymi się Francuzami i podjął decyzję.

–Wracamy w stronę przylądka. Panie Marshall, kurs na południowy zachód.

„Sophie” zadziwiająco niewiele ucierpiała na skutek długotrwałej wymiany strzałów.

–Czy są jakieś naprawy, z którymi nie można by poczekać pół godziny, panie Watt?
– zapytał kapitan, odruchowo obkładając na kołkownicy luźną linę.

–Nie, sir. Nie ma nic pilnego. Tylko żaglomistrz będzie miał trochę roboty. Ci dranie ani razu nie posłali nam łańcuchów, a ich kule nie trafiały w olinowanie. Marni z nich strzelcy, sir, nie to co tamten Turek... On wtedy naprawdę zdrowo nam przyłożył.

–Proszę w takim razie zagwizdać na śniadanie, a splataniem lin zajmie się pan później. Panie Lamb, jakie pan znalazł uszkodzenia?

–Nic poniżej linii wodnej, sir. Cztery paskudne otwory na śródkręciu oraz rozbita w

drzazgi burta między furtami dział numer dwa i cztery. Reszta to nic ważnego. Nie ma porównania z tym, co oni od nas dostali... Parszywcy – dodał cichutko.

Jack przeszedł na dziób, do przewróconego dział. Kula wystrzelona z „Gloire” roztrzaskała fałszburtę, do której przymocowane były tylne uchwyty upręży, w chwili, gdy laweta armaty numer cztery cofała się, pchnięta odrzutem. Ponieważ napięły się talie tylko z jednej strony, dział zatoczyło łuk, blokując odsuniętą od burty sąsiednią armatę i przewróciło się na bok. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności między działami nie było dwu ludzi, którzy normalnie powinni się tam znajdować – cudem nie zostali zmiżdżeni. Jeden zmywał nad wiadrem strażaka krew z zadraśniętej twarzy, a drugi pobiegł po dodatkowe lonty. Szczęściem był też fakt, iż armata przewróciła się – trudno sobie wyobrazić spustoszenie, jakie poczyniłaby, pędząc po pokładzie.

–No cóż, panie Day... – zwrócił się kapitan do artylerzysty. – Tak czy inaczej, wszystko dobrze się skończyło. Mogło być gorzej. To dział można na razie przenieść na dziób, do czasu, gdy pan Lamb zamocuje nowe uchwyty.

W drodze na rufę Jack zdjął płaszcz (nagle zrobiło się bardzo gorąco), zatrzymał się i spojrzał uważnie na horyzont przed dziobem. W lekkiej mgiele, która pojawiła się nie wiadomo skąd, nie było widać przylądka Nao ani żagli konwoju. Dopiero teraz zauważył, że weszło słońce – złota kula wisiała wysoko na niebie. Najwyraźniej znajdowali się bardzo daleko od brzegu.

–Boże, przecież ja jeszcze dzisiaj nie piłem kawy – zawołał, gdy wszystko niespodziewanie powróciło do normalnego porządku. Czas znów płynął powoli i śniadanie stało się ważną sprawą. Po chwili o czymś sobie jednak przypomniał. „Nic z tego...” – pomyślał ze smutkiem. – „Muszę zejść na dół”. To było to, czego naprawdę się obawiał. Tam na dole można było z bliska zobaczyć, co się dzieje, gdy pocisk armatni zderzy się z ludzką twarzą.

–Kapitanie Aubrey! – Stephen wstał, zamykając książkę, gdy Jack zszedł do kokpitu. – Stało się coś strasznego...

–Trudno, proszę mówić, słucham – odparł Jack, rozglądając się dookoła. Szukał w półmroku tego, co tak bardzo zawsze go przerażało.

–Któryś z tych drani dobrał się do mojej żmii. Mówię panu, ktoś dobrał się do mojej żmii! Nie dalej jak trzy minuty temu poszedłem po książkę do mojej kabiny. Wie pan, co zobaczyłem? Słój opróżniony do ostatniej kropelki! Do sucha!

–Proszę powiedzieć mi najpierw, ilu ma pan pacjentów, ilu ludzi pan dziś kroił?

–Ach... Niewielu. Kilka draśnięć, człowiek z głęboko rozoranym przedramieniem, parę drzazg do wyciągnięcia... Nic szczególnego... Przeważnie bandażowanie. W

mojej izbie chorych znajdzie pan tylko jedno zatrucie pokarmowe z niewysoką gorączką, jeden przypadek przepukliny... No i tego biedaka z rozciętym przedramieniem. Jeśli zaś chodzi o moją żmiję...

–Nie ma zabitych? Nie ma ciężko rannych? – zawołał Jack uradowany.

–Nie, nie ma. A moja żmija? – Doktor zabrał ze sobą na okręt zakonserwowanego w spirytusie winnym węża i niedawno jakiś zbrodniarz zabrał słój, wypił cały alkohol i zostawił na dnie wysuszonego gada.

–Bardzo mi przykro z tego powodu. Czy ów złoczyńca nie umrze? Czy nie będzie wymiotował?

–Nie. I to jest właśnie najbardziej irytujące. Ten przeklęty pijak nie umrze. To był najczystszy, podwójnie destylowany spirytus!

–Zapraszam pana na śniadanie do mojej kabiny. Kubek kawy i dobrze wysmażony kotlet na pewno poprawi panu humor. Zapomni pan o swojej żmii... – Serce Jacka wypełniała tak wielka radość, iż miał szczerą ochotę pożartować. Nie zdobył się jednak na to, wybuchając jedynie śmiechem, na tyle serdecznym, na ile pozwalała wściekłość doktora. – Ci cholerni łajdacy nam uciekli. Czeka nas długa droga z powrotem – wyjaśnił. – Ciekaw jestem, czy Dillon zdołał zająć tamten statek, który się poddał...? Może im też udało się uciec?

Wszyscy na pokładzie „Sophie”, oprócz Stephena, zadawali sobie to samo pytanie. Nic nie wskazywało na to, by ich ciekawość miała zostać zaspokojona. Minęło przedpołudnie i wiatr ucichł prawie zupełnie. Żagle z założonego rano nowego kompletu obwisły na rejach. Ludzie zajęci naprawą poprzebijanych przez kule płócien musieli schronić się przed słońcem pod brezentowym daszkiem rozpiętym nad pokładem. Rozgrzane powietrze było tego dnia tak wilgotne, że niemal nie nadawało się do oddychania. Jack chciał jak najszybciej przyjąć z powrotem na pokład ludzi z oddziału abordażowego, odesłać przyz i ruszyć dalej wzdłuż wybrzeża – nie zdecydował się jednak na użycie wiosel. Załoga walczyła dziś z prawdziwym poświęceniem (choć działa wciąż jeszcze strzelały zbyt wolno) i wszyscy bardzo gorliwie pracowali przy usuwaniu spowodowanych przez „Gloire” uszkodzeń. „Dam im spokój aż do psiej wachty” – postanowił.

Upał wisiał nad morzem jak ciężka zasłona. Dym z komina kuchennego snuł się nad pokładem, wymieszany z zapachem grogu i cetnara solonej wołowiny, przeznaczonej na dzisiejszy obiad. Odstępy, w jakich regularnie rozbrzmiewał okrętowy dzwon, dziwnie się wydłużyły i po pewnym czasie Jackowi zaczęło się wydawać, iż poranna bitwa była częścią jakiegoś innego życia, innej epoki. Gdyby nie przesiąknięta wciąż zapachem prochu poduszka pod głową, uwierzyłby chętnie, że niedawne wydarzenia były treścią przeczytanej ostatnio historii. Wyciągnął się wygodnie na koi i pozwolił

swym myśłem toczyć się powoli, coraz wolniej, głęboko...

Obudził się niespodziewanie, wypoczęty, spokojny i świadomy faktu, iż „Sophie” od pewnego czasu mknęła lekko po falach, popychana przez świeżą bryzę. Rufa brygu wynurzyła się, dziób wszedł głębiej w wodę, a kadłub był wyraźnie pochylony na zawietrzną – stopy Jacka znajdowały się wyżej niż głowa.

–Pewnie ci przekłęci chłopcy obudzili pana, sir – powiedział pierwszy nawigator Marshall zatroskany. – Posłałem ich za to na górę, ale już chyba było za późno. Wydierali się i skakali jak stado pawianów. Szlag by ich trafił...

Jack z natury był szczery i prawdomówny, tym razem jednak bez namysłu odpowiedział, że już nie spał. Spojrzał na topy obu masztów: podchorążowie zerkali stamtąd w dół, ciekawi, czy kapitanowi doniesiono o ich występku. Napotkawszy jego spojrzenie, zeszytnieli i z demonstracyjną wręcz gorliwością popatrzyli w kierunku settee i brygu. Oba statki szybko zbliżały się do płynącej ze wschodnią bryzą „Sophie”.

„Są więc...” – pomyślał Jack uradowany. – „Udało mu się zdobyć i settee. Porządny z niego chłop... i doskonały oficer”. Poczul nagły przyływ sympatii do Dillona. Drugi przyz mógł przecież umknąć, gdy porucznik zajmował się zdobytym brygiem. Chcąc opanować obie jednostki, należało wykazać się nie lada inwencją i sprawnością. Nie można było liczyć na to, iż mając możliwość ucieczki, załoga settee choć przez chwilę będzie respektowała własną kapitulację.

–Świetna robota, panie Dillon! – zawołał Aubrey, gdy porucznik wszedł na pokład „Sophie”, prowadząc ze sobą mężczyznę w dziwnym, podniszczonym mundurze. – Czy ci dranie nie próbowali wam uciec?

–Próbowali, sir – odparł James. – Proszę mi pozwolić przedstawić: kapitan La Hire, z królewskiej artylerii francuskiej. Rojalista. – Nieznajomy zdjął z głowy kapelusz i ukłonił się. Kapitan odpowiedział takim samym gestem i wyciągnął rękę na powitanie.

–Bardzo mi miło – odezwał się Francuz melodyjnym głosem.

–*Domestique, monsieur.* - Jack miał okazję popisać się znajomością francuskiego.

–Ten bryg okazał się neapolitańskim przyzem, sir. Kapitan La Hire objął dowodzenie nad pasażerami, francuskimi rojalistami, oraz grupą włoskich marynarzy i zajął się załogą tego statku, podczas gdy my opanowaliśmy settee. Dwie pozostałe jednostki znajdowały się zbyt daleko na nawietrznej i udało im się w tym czasie uciec wzdłuż wybrzeża. Schroniły się w zasięgu dział baterii brzegowej, w rybackim porcie Almoraira...

–Ach tak? Trzeba będzie tam zajrzeć, gdy tylko zakończymy przekazywanie jeńców.

Ilu ich jest, panie Dillon?

–Zaledwie około dwudziestu, sir. Ludzie na brygu okazali się sprzymierzeńcami. Piraci dopadli ich w drodze do Gibraltaru.

–Kiedy to się stało?

–Och, ten bryg jest uczciwym przyzem, sir. Minęło już osiem dni.

–Im więcej, tym lepiej. Czy napotkaliście jakiś opór?

–Nie, sir, prawie nie. Dwaj piraci z załogi przyżu oberwali od nas po głowie, a na pokładzie settee powstało małe zamieszanie i jeden biedak zginął od kuli pistoletowej. Myślę, że i u pana nie było większych strat?

–Nie. Wszystko dobrze się skończyło. Nikt nie zginął, nikt nie odniósł ciężkich obrażeń. Ci dranie zbyt szybko rzucili się do ucieczki i nie zdążyli wyrzucić nam wielu szkód. Żeglowali cztery mile na nasze trzy, nawet bez bombramzagli. Mają naprawdę szybki statek...

Aubrey zauważył, że na twarzy porucznika zagościł jakby ironiczny uśmiech... a może była to tylko drobna zmiana w tonie głosu? Pojawiło się nagle tyle nowych, wymagających szybkiego załatwienia spraw, że w pierwszej chwili nie umiał jednoznacznie określić, co w zachowaniu Dillona tak nieprzyjemnie go zastanowiło. To dziwne uczucie powróciło już w trzy godziny później – tym razem było o wiele bardziej wyraźne, prawie możliwe do nazwania.

Jack był wtedy w swojej kabinie, na stole przed nim leżała rozpostarta mapa przyładka Nao, z którego masywnej podstawy wychodziły w morze dwa następne przyładki: Almoraira i Ifach. W głębi zatoki pomiędzy nimi leżała mała wieś rybacka. Almoraira. Po prawej ręce Jacka siedział James Dillon, po lewej Stephen Maturin, a po przeciwnej stronie stołu pan Marshall.

–...co ważniejsze – mówił z naciskiem kapitan – z tego, co jeden z Hiszpanów powiedział doktorowi, wynika, że na settee, w workach z mąką, ukryty jest ładunek rtęci. Dlatego musimy bardzo uważać na ten właśnie statek.

–Och, oczywiście – przyznał Dillon. Aubrey spojrzał na porucznika bardzo uważnie i opuścił wzrok na mapę oraz sporządzony przez Stephena Maturina rysunek. Ów plan przedstawiał niewielką zatokę, w głębi której znajdowała się wieś rybacka i fort broniący wejścia do portu. Niski falochron wychodził na dwadzieścia do trzydziestu jardów w morze, skręcał w lewo i kończył się kamienną głowicą, pięćdziesiąt jardów dalej, tworząc zaciszną przystań, odsłoniętą jedynie dla fali z południowego zachodu. Wybrzeże od wsi do północno-wschodniego krańca zatoki było urwiste i wysokie. Z drugiej strony, od umocnień fortu do krańca południowo-zachodniego, rozciągała się

piaszczysta plaża. Dalej brzegi znów wznosiły się stromo w górę. „Czy ten człowiek nie myśli czasem, że boję się walki?” – rozmyślał Jack. – „Może sądzi, że odstąpiłem od pościgu, gdyż obawiałem się strat i wolałem zająć się przyzem?” Działa baterii brzegowej znajdowały się właśnie w owym forcie, jakieś dwadzieścia jardów na południe od wioski i drugiej plaży, na którą rybacy wyciągali swe łodzie.

–Ta głowica falochronu... – powiedział głośno. – Czy naprawdę ma dziesięć stóp wysokości?

–Chyba więcej – zapewnił Stephen. – Ostatni raz byłem tutaj osiem lub dziewięć lat temu, dlatego nie mogę mówić z absolutną pewnością. Wiem, że do zbudowanej tam kaplicy nie sięgają nawet wysokie fale podczas zimowych sztormów.

–Wobec tego falochron będzie wystarczającą osłoną dla kadłuba „Sophie”. Jeśli rzuci się kotwicę w tym miejscu, a do łańcucha zostanie umocowany szpring... – Palec kapitana poruszał się od stanowisk dział do głowicy falochronu i dalej do pozycji kotwiczenia -...okręt będzie względnie bezpieczny i otworzy stąd maksymalnie silny ogień w stronę falochronu oraz tych umocnień. Łodzie ze zdobytych statków przybiją do brzegu, o tutaj, w miejscu pokazanym przez doktora. – Jack wskazał na punkt położony tuż poza południowo-zachodnim krańcem zatoki. – Pozostanie nam tylko pobiec, ile sił w nogach, wzdłuż wybrzeża, by zaatakować baterię od tyłu. Gdy będziemy dwadzieścia jardów od niej, wystrzelimy raketę, a pan skieruje lufy armat tak, by kule padały z dala od fortu, oczywiście żadne z dział „Sophie” nawet na chwilę nie może przestać strzelać.

–Ja, sir?

–Tak, pan. Ja schodzę na brzeg. – Nikt się nie odezwał i po krótkiej przerwie Jack zaczął dalej omawiać szczegóły akcji. – Będziemy potrzebowali dziesięciu minut na wyjście z łodzi, dobiegnięcie do murów i...

–Niech pan przeznaczy na ten bieg co najmniej dwadzieścia minut – wtrącił Stephen. – Otyli ludzie o rumianych

twarzach często umierają niespodziewanie na skutek zbyt wielkiego wysiłku, zwłaszcza podczas upałów. Wylew, skrzep...

–Nie życzę sobie, naprawdę sobie nie życzę, by mówił pan podobne rzeczy, doktorze – rzekł Aubrey cicho. Wszyscy obecni spojrzeli na Maturina karcąco. – Poza tym, nie jestem wcale otyły... – dodał oburzony.

–Pan kapitan ma niezwykle zgrabną figurę – zauważył pan Marshall.

Pogoda wyjątkowo sprzyjała planowanemu atakowi. Słabnący wschodni wiatr powinien pomóc „Sophie” wejść do zatoki, a nocna bryza, która powieje od lądu tuż

po wschodzie księżycy, ułatwi ucieczkę na pełne morze ze zdobyczą. Jack przez dłuższą chwilę obserwował port ze szczytu masztu, przyglądał się settee i paru innym jednostkom zacumowanym do wewnętrznej krawędzi falochronu. Wszystkie statki znajdowały się dokładnie naprzeciwko dział odległego o sto jardów fortu, widocznego po drugiej stronie basenu portowego.

„Na pewno nie jestem bez wad” – rozmyślał – „lecz nigdy nie brakowało mi odwagi. Jeśli nie uda nam się zdobyć tych statków, spalę je przynajmniej”. W naturze Jacka nie leżało jednak zbyt długie zaprzątanie sobie głowy podobnymi refleksjami. Z pokładu neapolitańskiego brygu patrzył, jak „Sophie” w zapadającym mroku okrąży przylądek Almoraira i wpływa do zatoki. W tym samym czasie oba zdobyte statki, ciągnące za sobą łodzie, podążały w stronę wskazanego przez doktora odcinka wybrzeża. Ponieważ settee i tartan zdążyły wejść do portu, nie można było liczyć na zaskoczenie. Wiadomo było, iż przed rzuceniem kotwicy „Sophie” nieuchronnie zostanie narażona na ogień dział baterii brzegowej. Załozce fortu niespodziankę sprawić mogły jedynie łodzie. Było już zbyt ciemno, by ktokolwiek na łodzi zauważył przyby zmierzające w stronę południowo-zachodniego krańca zatoki, do „jedynego znanego mi miejsca, w którym jerzyki z białym brzuchem budują swoje gniazda”, jak opisał ów brzeg Stephen. Jack obserwował „Sophie” z rosnącym napięciem. Tak bardzo chciałby się znajdować w dwu miejscach jednocześnie. Wyobraźnia nieustannie podsuwała mu wizje klęski: armaty fortu (doktor nie potrafił określić, jakie to były działa) mogły, po kilku kolejnych trafieniach, roztrzaskać kadłub „Sophie” na drobne kawałki. Wiatr w każdej chwili mógł przestać wiać lub zmienić kierunek. Silny podmuch w stronę lądu byłby prawdziwą katastrofą. Dillon nie miał dość ludzi, by używając wiosł, uciec spod luf, a wszystkie łodzie znajdowały się daleko. To przedsięwzięcie było zwariowane, szalone.

–Cisza na pokładzie – zawołał ostro Aubrey. – Czy chcecie obudzić całe wybrzeże?

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak silne więzy emocjonalne łączyły go z okrętem. Bez trudu wyobraził sobie, jak „Sophie” wpływa do zatoki. Nieomal słyszał skrzypienie więźby grotrei, szmer drgającego pod naporem wody steru. Wydawało mu się, iż ta podróż obcym statkiem nigdy się nie skończy.

–Sir, to miejsce jest teraz chyba dokładnie na trawersie... – nieśmiało odezwał się Pullings.

–Zgadza się – potwierdził Jack, oglądając brzeg przez nocną lunetę. – Światła wioski gasną po kolei, więc opływamy już przylądek. Ster lewo na burtę, Algren. Panie Pullings, proszę posłać jakiegoś rozsądnego człowieka z sondą na dziób. Powinno tu być dwadzieścia sążni. – Podeszedł do rufowego relingu i zawołał w ciemność: – Panie Marshall! Podchodzimy do brzegu.

Na tle rozgwieżdżonego nieba pojawił się ciemny pas lądu. Gwiazdy znikwały jedna

po drugiej, zasłonięte urwiskiem, w miarę jak zbliżali się do skalistego brzegu. Gasły kolejno Arcturus, Corona i położona wysoko Vega. Słysząc było plusk sondy, rzucanej w wodę w regularnych odstępach, i monotony głos podającego głębokość człowieka:

–Ponad dziewięć; ponad dziewięć; dokładnie siedem; pięć i pół; pięć bez jednej czwartej...

Przed dziobem ujrzeli wskazaną przez doktora niewielką zatoczkę u stóp klifu i białą linię fali przybojowej fali.

–Wystarczy – zdecydował Jack i bryg stanął w linii wiatru. Pracujący wstecz fok przypominał w mroku jakieś żywe stworzenie. – Panie Pullings, pan i pańscy ludzie do łodzi.

–Czternastu ludzi przemknęło bezgłośnie przez pokład, znikając za burtą w uderzającej lekko o kadłub statku łodzi. Wszyscy mieli na ramionach białe opaski. – Sierżancie Quinn... – O deski zatupały ciężkie buty uzbrojonych w muszkiety żołnierzy piechoty morskiej. Aubrey poczuł nagle, że ktoś ostrożnie dotyka jego brzucha. To kapitan La Hire, ochotnik przydzielony do oddziału żołnierzy, chciał uścisnąć dłoń Jacka.

–Powodzenia! – powiedział Francuz, gdy ich ręce spotkały się w ciemności.

–*Merci. Merci...* bardzo – odpowiedział Jack, wychylając się za burtę. W tej samej chwili niebo rozświetlił błysk ognia i rozległ się wystrzał z ciężkiego działa. – Czy to kuter czeka tu pod burtą? – dopytywał się, gdyż jego oślepienie blaskiem oczy utraciły zdolność widzenia w ciemności.

–Tak sir, tutaj... – odezwał się w dole głos sternika kapitańskiej łodzi.

–Panie Ricketts, gdzie jest latarnia? – zapytał Jack, schodząc za burtę.

–Mam ją pod kurtką, sir.

–Proszę wywiesić ją potem za rufą. Odpływamy. – Znowu usłyszeli działą, w chwilę później równocześnie wypaliły dwa inne. Bez wątplenia ćwiczyły. Niepokojący był jednak ich odgłos... Może to trzydziestossześcifuntówki? Aubrey rozejrzał się dookoła. Z tyłu dojrzał z trudem cztery łodzie i niewyraźny zarys obu przów. Odruchowo dotknął ręką pistoletów i szpady. Nigdy w życiu nie był bardziej zdenerwowany. W największym napięciu czekał teraz, aż z prawej strony zabrzmie odgłos salwy dział burtowych „Sophie”.

Kuter mknął po wodzie, wiosła skrzypiały cicho, poruszane przez stękających z wysiłku ludzi.

–Obie stop! Wiosła! – poleciał cicho sternik. W kilka sekund łódź zaryła dziobem w piasek plaży. Tuż obok przybiła druga łódź z „Sophie”, szalupa neapolitańskiego brygu z oddziałem Mowetta, bączek z ludźmi bosmana i szalupa z settee dowodzona przez pana Marshalla.

Na niewielkim skrawku plaży zaroilo się od ludzi.

–Gdzie lina, panie Watt? – zapytał cicho kapitan.

–Nasi strzelają... – odezwał się w ciemności czyjś głos. Zza klifu dobiegł przytłumiony huk salwy siedmiu dział „Sophie”. – Jest tutaj, sir! – zawołał bosman, dźwigający na ramieniu dwa zwoje mocnej liny.

Jack chwycił jeden z końców.

–Panie Marshall, niech pan zrobi to samo. Każdy człowiek łapie za swój węzeł. – Wszyscy odnaleźli swe miejsca tak sprawnie, jakby zbierali się na apel na pokładzie „Sophie”.

Gotowe? Wszyscy gotowi? Ruszamy. Z życiem!

Po kilku minutach dotarli do krańca zatoki. Plaża zwężała się tutaj do zaledwie paru stóp u podnóża klifu. Za Jackiem, uczepleni mocno liny, biegli członkowie jego oddziału. Czuł narastające, szalone podniecenie. Czekanie nareszcie się skończyło, teraz trzeba było działać. Wybiegli zza skalnego narożnika. Przed nimi pojawiły się oślepiające fajerwerki, odgłos wystrzałów był dziesięciokrotnie silniejszy niż przed chwilą. Od murów fortu, nisko, tuż nad ziemią, co jakiś czas odrywały się cztery purpurowe strumienie ognia. W nieregularnych, rozjaśniających niebo błyskach wystrzałów widać było, że marsle „Sophie” są podebrane na gejtawach. Jej działa odzywały się raz po raz, zasypując kulami i gradem kamiennych odłamków falochron, tak by nikomu nie przyszedł do głowy pomysł przeholowania settee bliżej brzegu. Aubrey z satysfakcją stwierdził, iż „Sophie” stoi niemal idealnie w oznaczonej na mapie pozycji, osłonięta z lewej burty zakończeniem falochronu i zbudowaną na skale kaplicą. Jedyne fort znajdował się o wiele dalej, niż to wynikało z planu. Niezwykle, niewyobrażalne wręcz uniesienie dodawało skrzydeł, lecz równocześnie stopy grzęzły głęboko w miękkim piasku. Jack potknął się i z uporem zaczął powtarzać sobie, że za żadną cenę nie wolno mu upaść. Słyszał, jak przewrócił się któryś ze złączonych drugą liną ludzi pana Marshalla. Coraz trudniej było się poruszać. Wydawało się, że każdy następny krok może być ostatnim. Bicie serca powoli zagłuszało myśli. Nagle Jack poczuł twardszy grunt pod stopami i natychmiast ruszył szybko do przodu, tak jakby zrzucił z ramion niepotrzebny ciężar. Nareszcie naprawdę biegł. Za plecami słyszał ciężkie, urywane oddechy podążających jego śladem ludzi. W tym miejscu piasek był twardy, ubity i tłumiał odgłos kroków. Fort był coraz bliżej. Przez szczeliny w obłankowaniu widać było

uwijających się przy działach Hiszpanów. Wystrzelona z „Sophie” kula przeleciała wysoko ponad głowami biegnących, niespodziewany podmuch wiatru przyniósł od strony dział chmurę gryzącego dymu prochowego. Czy należało wystrzelić już rakiety? Znajdowali się bardzo blisko baterii. Słyszeli podniesione głosy artylerzystów i turkot podtaczanych dział. Hiszpanie byli całkowicie zajęci walką z „Sophie”, warto więc było spróbować podejść nieco bliżej i jeszcze bliżej. Wszyscy skradali się teraz, chociaż nie było takiego rozkazu. W błyskach wystrzałów podążające chyłkiem w kierunku fortu sylwetki były doskonale widoczne.

–Rakieta, Bonden – cicho polecił Jack. – Panie Watt, kotwiczki. Niech wszyscy przygotowują broń.

Bosman przywiązał szybko kotwiczki do końców lin. Sternik kapitańskiej łodzi przygotował rakiety i wykrzesał ogień. Stał, rozdmuchując na hubce mały płomyk. Wszyscy poprawiali pasy. W potężnym huku dział zginął szcęk sprawdzanego uzbrojenia. Zmęczeni biegiem ludzie nareszcie złapali oddech.

–Wszyscy gotowi? – wyszeptał kapitan.

–Gotowi, sir – szeptem odpowiedzieli oficerowie. Jack pochylił się, zasyczał lont, rakietę poleciała wysoko,

ciągnąc za sobą warkocz czerwonych płomieni i rozkwitając na niebie błękitem.

–Ruszamy! – zawołał, jego głos utonął w donośnym okrzyku bojowym.

Biegiem, biegiem. W dół do pustej fosy. Pistolety strzelające zza oblankowania, wspinający się na górę po linach jeden za drugim ludzie. Okrzyki. Charkot. Tuż przy uchu głos sternika łodzi:

–Dalej, przyłóż mu, bracie! – Szorstkie, chropowate kamienie i już po chwili kapitan był na górze, z wydobytą z pochwy szpadą. Nie miał jednak z kim walczyć. Artylerzyści kolejno zeskakiwali z murów i w ślepej panice uciekali w stronę wioski, pozostawiając za sobą ciała dwóch zabitych i jednego rannego, który klęczał koło znajdującej się za działami wielkiej latarni. – Johnson! – zawołał Jack głośno. – Zagwoździć te działa! Sierżancie Quinn, niech pańscy ludzie nie przestają strzelać!

Kapitan La Hire szybko wbijał łomem gwoździe w otwory rozgrzanych luf dwudziestoczwurfuntowych armat.

–Lepiej wszystko wysadzić! – zaproponował. – Lepiej niech to wszystko wyleci w powietrze!

–*Vou savez faire...* Czy wie pan, jak to zrobić?

–Ech, *pardi* - odpowiedział La Hire, uśmiechając się z przekonaniem.

–Panie Marshall, proszę zebrać wszystkich i ruszyć w kierunku przystani. Żołnierze pójdą z tyłu. Sierżancie, proszę strzelać bez przerwy, niezależnie od tego, czy widzicie kogokolwiek, czy nie. Proszę obrócić settee w stronę wyjścia z portu i przygotować żagle do postawienia. My z kapitanem La Hire wysadzimy ten fort...

–Boże, jak ja nienawidzę pisania oficjalnych listów. Aubrey westchnął głośno. W uszach wciąż mu dzwoniło

po potężnym wybuchu (kapitan La Hire nie przewidział istnienia dodatkowego magazynu prochu w kazamatach tuż poniżej głównej prochowni), przed oczami ciągle widział kolorowe plamy (pamiętka po strzelającym na pół mili w niebo oślepiającym słupie ognia). Włosy z lewej strony głowy spłonęły mu podczas eksplozji, skóra na obolałym karku, głowie oraz twarzy była osmalona i poznaczona sińcami. Na stole w kapitańskiej kabinie „Sophie” leżały cztery nieudane wersje oficjalnego pisma. Na zawietrznej brygu żeglowały trzy zdobyte przyzy, a daleko za rufą, w wiosce Almoraira, nadal unosił się w niebo słup dymu.

–Proszę, niech pan posłucha tego... – zaproponował Jack ostrożnie. – Powie mi pan, czy poprawna jest gramatyka i język. Początek taki jak zawsze: *Sophie, na morzu; Wasza Wysokość, niniejszym mam zaszczyt powiadomić pana, iż zgodnie z otrzymanymi rozkazami skierowałem się ku przylądkowi Nao, gdzie napotkałem konwój trzech statków handlowych eskortowanych przez francuską korwetę o dwunastu działach.* Dalej wspominam o zajęciu brygu, ogólnikowo relacjonując starcie z piratami. Podkreśliłem tylko ich *wolę walki...* Potem od razu przechodzę do akcji na brzegu. *Ponieważ okazało się, iż pozostałe statki konwoju schroniły się pod osłonę armat baterii brzegowej w porcie Almoraira, w celu zdobycia wspomnianych jednostek przeprowadzona została akcja na lądzie, w wyniku której o godzinie drugiej dwadzieścia siedem wysadzono w powietrze fort mieszczący wspomniane wyżej działa.* *Desant na brzeg odbył się za pomocą łodzi, od południowo-zachodniego krańca zatoki. Trzy zdobyte w porcie tartany musiały niestety zostać spalone, lecz udało się nam przechwycić i wyprowadzić w morze settee o nazwie „Xaloc” z wartościowym ładunkiem rtęci ukrytym w workach z mąką.* Ładnie, prawda? Jadę dalej. *Podczas wspomnianej akcji szczególnie wybił się porucznik James Dillon, który samodzielnie wprowadził do zatoki pozostający pod moim dowództwem słup Jego Królewskiej Mości, a następnie utrzymywał ciągły ogień artyleryjski w kierunku fortu i falochronu. Wszyscy oficerowie i członkowie załogi wykazali się tak wielkim męstwem i poświęceniem, iż niesprawiedliwe byłoby wyróżnianie kogokolwiek. W ogólności pragnę jednak podkreślić uprzejmość pana La Hire z królewskiej artylerii francuskiej, który zgłosił się na ochotnika do udziału w tym wypadzie i zaoferował pomoc w przygotowaniu ścieżki prochowej i wysadzeniu fortu w powietrze. Na skutek wybuchu został on lekko ogłuszony i poturbowany. W załączeniu przesyłam listę zabitych i rannych. Zabici: John Hayter,*

żołnierz piechoty morskiej, i James Nightingale, marynarz. Ranny: Thomas Thompson, marynarz. Mam zaszczyt pozostawać pańskim... i tak dalej. I co? Co pan o tym myśli?

–No cóż, udało się panu przedstawić wszystko odrobinę jaśniej niż przed chwilą – odparł Stephen. – Wydaje mi się, że zamiast „w ogólności” lepiej byłoby napisać: „w szczególności”.

–Powinno być „w szczególności”, to oczywiste. Wiedziałem, że w tym zdaniu coś jest nie w porządku. W szczególności... świetne słowo. W którym miejscu mam je wpisać? Znajdowali się teraz w pobliżu portu San Pedro. Miniony tydzień na pokładzie spędzili bardzo pracowicie. W dzień, gdy „Sophie” umykała daleko za horyzont, odbywały się ćwiczenia, których rezultaty były coraz lepsze; tymczasem rozłoszczeni Hiszpanie szukali jej wzdłuż wybrzeża. Nocą podkradała się blisko brzegu, by tuż przed świtem niepokoić wybrane małe porty i zmierzające do nich statki. Był to bardzo niebezpieczny i nietypowy sposób działania, wymagający niezwykle starannych przygotowań oraz szczęścia. Szczęście jej na razie sprzyjało i kolejne nocne wypadki uwieńczone były sporymi sukcesami. Podobne postępowanie stawiało również określone wymagania przed załogą brygu. Gdy byli na pełnym morzu, Jack wyciskał ze swych ludzi siódme poty, ćwicząc ich w strzelaniu z dział. James Dillon zaś dbał o to, by żagle stawiane były coraz szybciej i sprawniej. Porucznik był wyjątkowo sumiennym oficerem. Okręt zawsze musiał być u niego zadbane, niezależnie od tego, że właśnie trwały ćwiczenia lub toczyła się walka. Wszystkie nocne eskapady lub poranne potyczki nieuchronnie kończyły się szorowaniem pokładów oraz polerowaniem mosiężnych luf i okuć. Jak mawiali ludzie, Dillon był drobiazgowy, lecz jego upodobanie do dokładnego malowania, do idealnie wybranych żagli, równo zbrasowanych rej i sklarowanych lin było niczym wobec gorliwości, z jaką gotów był rzucić się do walki z nieprzyjaciółmi Jego Królewskiej Mości. Nie przeszkadzał mu fakt, iż może oznaczać to roztrzaskanie na kawałki lub spalenie tego, o co z taką skrupulatnością dbał. Załoga znosiła to wszystko z zaskakującą cierpliwością. Ludzie byli co prawda zmęczeni, lecz równocześnie nie brakowało im zapału. Żyli myślą o tym, co zrobią, gdy będą mogli zejść w porcie na ląd. Innym tematem rozmów w kubryku była ewidentna zmiana, jaka zaszła na kapitańskim pokładzie rufówki. Bez trudu można było zauważyć, że po akcji w Almoraira Dillon zaczął darzyć dowódcę nie ukrywanym szacunkiem. Często chodzili razem, dyskutując o różnych sprawach. James z ogromnym uznaniem mówił ostatnio przy stole w mesie oficerskiej o zniszczeniu hiszpańskich dział. Jego słowa, przekazywane z ust do ust, natychmiast obiegiły okręt. – Jeśli nie pomyliłem się w dodawaniu – powiedział Jack, podnosząc głowę znad kartki papieru – jak dotąd podczas tego patrolu zdobyliśmy, spaliliśmy lub zatopiliśmy statki

o tonażu dwudziestosiedmiokrotnie większym od naszego. Wszystkie te jednostki łącznie mogłyby skierować w naszą stronę aż czterdzieści dwa działa, wliczając w to falkonety. To właśnie miał na myśli admirał, gdy mówił o dokuczaniu Hiszpanom.

Ponadto – Aubrey roześmiał się głośno – dzięki temu będziemy bogatsi o kilka tysięcy gwinei... W końcu od przybytku głowa nie boli.

–Przepraszam, sir, czy mogę wejść? – zapytał ochmistrz, stając w otwartych drzwiach kabiny.

–Dzień dobry, panie Ricketts, proszę, niech pan wejdzie i usiądzie tu z nami. Czy to dane na dzisiaj?

–Tak, sir. Obawiam się, że nie będzie pan uradowany. Druga beczka w dolnym rzędzie została uszkodzona i straciliśmy prawie pięćdziesiąt galonów.

–W takim razie musimy modlić się o deszcz – oświadczył kapitan beztrosko, lecz po wyjściu ochmistrza rzekł do Stephena ze smutkiem: – Byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie ta cholerna woda. Wszystko inne jest w najlepszym porządku. Ludzie zachowują się wzorowo, udany patrol, nikt nie zachorował... Szkoda, że nie dokończyliśmy pobierania wody w Mahon. Nawet przy maksymalnych ograniczeniach zużywamy jej pół tony dziennie. Jest gorąco, mamy tylu jeńców, mięso musi być płukane, a grog rozcieńczany. Co z tego, że pierzemy w wodzie morskiej. – Jack bardzo chciał skierować swój okręt w pobliże skrzyżowania szlaków żeglugowych w okolicach Barcelony; było to prawdopodobnie najbardziej ruchliwe miejsce na całym Morzu Śródziemnym. Według początkowych planów i marzeń miał to być punkt kulminacyjny patrolu. Okazało się jednak, iż trzeba będzie wracać na Minorkę, a tego, co czekało tam na „Sophie”, można się było tylko obawiać. Wielką niewiadomą stanowiły zwłaszcza nowe rozkazy. Pozostało bardzo niewiele przewidzianego na patrol czasu i kapryśne wiatry lub kaprysy komendanta mogły oznaczać koniec samodzielności. Z pewnością by tak było. – Jeśli potrzebna jest woda, mogę pokazać panu niedaleko stąd zatoczkę, w której bez kłopotu napełnimy wszystkie nasze beczki.

–Dlaczego dopiero teraz pan mi o tym mówi? – zawołał Jack uradowany. Uśmiech nie bardzo pasował do wyglądu jego twarzy. Lewa strona twarzy oraz karku, wciąż poznaczona sińcami i oparzeniami, lśniła od leczniczej maści doktora. Przez jej warstwę przebijały się odrastające jasne włosy. W porównaniu z opaloną i nietkniętą drugą połową twarzy sprawiało to niesamowite wręcz wrażenie.

–Nigdy mnie pan o to nie pytał.

–Nikt tego miejsca nie broni? Nie ma tam czasem kolejnej baterii brzegowej?

–Tam nie ma ani jednego budynku, a tym bardziej działa. Kiedyś ktoś tam mieszkał, gdyż na cyplu znajdują się ruiny rzymskiej willi. Można też odnaleźć ślady zarośniętej drogi. Bez wątplenia mieszkańcy owego domu korzystali ze źródła. Jak mi się zdaje, może ono mieć właściwości lecznicze. Mieszkańcy pobliskich wsi wierzą, że woda z

niego leczy impotencję.

–I myśli pan, że uda się je panu odnaleźć?

–Z pewnością – odpowiedział Stephen i spuścił głowę. – Czy mógłbym pana o coś przy tej okazji prosić? – zapytał.

–Proszę bardzo.

–Znam pewną osobę, która mieszka dwie lub trzy mile od tego miejsca w głąb lądu. Czy mógłby pan wysadzić mnie na brzegu i potem zabrać z powrotem na okręt, powiedzmy po dwunastu godzinach?

–Dobrze – zgodził się Jack. Nic nie stało temu na przeszkodzie. – Nie ma sprawy – dodał, uśmiechając się porozumiewawczo. – Zakładam, że zechce pan spędzić tam noc...? Podejmiemy do brzegu dziś wieczorem. Czy to absolutnie pewne, że nikt nas nie zaskoczy?

–Oczywiście.

–Wyślę po pana łódź tuż po wschodzie słońca. Co pan zrobi, jeśli z jakichś powodów nie będę mógł zbliżyć się do lądu?

–Będę czekał na tym samym miejscu następnego ranka... Przez kilka dni, jeśli zajdzie taka potrzeba. Muszę już iść – rzekł Maturin, wstając, gdyż rozległo się brzęczenie dzwonka. To nowy sanitariusz dzwonił na znak, że chorzy mogą zgłaszać się do lekarza. – Boję się, że ten człowiek coś narozrabia. Nie powinien sam wydawać lekarstw.

Zjadacz grzechów stał się ostatnio bardzo złośliwy wobec członków załogi. Niedawno próbował wlać im do zupy silny środek na przeczyszczenie. Gdyby wystarczała tylko zła wola Cheslina, z okrętowej izby chorych dawno uciekliby wszyscy pacjenci.

Obie łodzie płynęły w zapadającym powoli mroku: Dillon i sierżant Quinn uważnie obserwowali zalesione ujście strumienia. Było bardzo ciepło i gdy znaleźli się o dwieście jardów od wybrzeża, dotarł do nich zapach sosen zmieszany z wonią trawy.

–Jeśli popłyniemy nieco bardziej w prawo, uda nam się ominąć kamienie, pod którymi żyją raki – powiedział Stephen. Pomimo gorąca miał na ramionach czarny płaszcz. Siedząc na rufie łodzi, patrzył czujnie w głąb zwężającej się zatoczki. Jego twarz wydawała się śmiertelnie blada.

Piasek niesiony podczas deszczów przez wpadający do morza strumień utworzył w pewnej odległości od brzegu pływającą, na której zatrzymały się łodzie. Ludzie

wyskoczyli z nich szybko, tak by mogły zejść z mielizny; dwaj wioślarze przenieśli doktora ostrożnie na ląd. Postawili go w miejscu, gdzie nigdy nie sięgały fale, ostrzegając, by uważał na porozrzucane wszędzie uschnięte gałęzie. Szybko wrócili do łodzi po jego płaszcz. Spadająca z góry woda wypłukała w kamiennym podłożu, u szczytu plaży, coś w rodzaju basenu i tam marynarze rozpoczęli napełnianie beczek. Żołnierze piechoty morskiej stanęli na straży na obu krańcach zatoki.

–Wspaniały był dzisiejszy obiad – zauważył Dillon. Obaj ze Stephenem siedzieli na ciepłej, gładkiej skale, przyjemnie rozgrzewającej im pośladki.

–Nie pamiętam, gdzie ostatni raz jadłem coś równie smacznego – przyznał Stephen.
– Na pewno nie na morzu... – Jack zatrzymał na okręcie francuskiego kucharza z „Santa Lucii”, rojalistę, i szybko przybierał na wadze. – Był pan też dziś w doskonałym nastroju... – dodał doktor po chwili.

–To prawda, choć zachowywałem się niezgodnie z obowiązującymi we flocie zwyczajami. Przy kapitańskim stole nikt nie odzywa się nie pytany. Zgodzi się pan ze mną, że podobny posiłek nie może być zbyt zajmujący, lecz takie są zasady. Kapitan reprezentuje przecież króla, tak mi się przynajmniej zdaje. Tym razem uznałem, że mogę pozwolić sobie na pewną swobodę. Chciałem, by to spotkanie przebiegało mniej oficjalnie. Wie pan, że nie byłem zupełnie w porządku wobec naszego kapitana. Co do tego nie ma dyskusji. Mimo to on mnie dzisiaj do siebie zaprosił. To bardzo miłe z jego strony.

–Nasz dowódca kocha pieniądze z przyzów, lecz ich zdobywanie nie jest tym, na czym mu najbardziej zależy.

–Właśnie. Myślę jednak, że nie wszyscy potrafią go docenić, nie wszyscy go rozumieją. Weźmy na przykład naszą załogę. Gdyby ci ludzie nie byli trzymeni w ryzach przez zrównoważonych oficerów, bosmana, artylerzystę i, co muszę przyznać, pana Marshalla, dawno zaczęliby sprawiać kłopoty. Wciąż możemy spodziewać się problemów. Od pieniędzy z łupów niedaleko jest do rozbijania magazynów i kradzieży. Były ostatnio takie przypadki. Od kradzieży i pijaństwa nie jest z kolei zbyt daleko do zupełnego braku posłuszeństwa, a nawet buntu. Bunty zawsze zdarzają się na statkach, gdzie dyscyplina jest bądź za bardzo rozluźniona, bądź zbyt surowa.

–Moim zdaniem całkowicie się pan myli, twierdząc, że członkowie załogi nie doceniają charakteru i postępowania swego dowódcy. Prości, niewykształceni ludzie obdarzeni są w podobnych sprawach szczególną mądrością i spostrzegawczością. To coś takiego jak ich zdolność do zapamiętywania wierszy. Znałem wieśniaków, którzy z pamięci recytowali dwa lub nawet trzy tysiące wierszy. Czy wydaje się panu, że załozce brakuje dyscypliny? To zaskakujące, choć nie znam się zbyt dobrze na tych sprawach.

–Nie, tego, co powszechnie określane jest jako dyscyplina, z pewnością na „Sophie” nie brakuje. Chodzi mi o coś innego, pośredniego. Rozkazy dowódcy są wykonywane przez jego podwładnych, ponieważ on sam wykonuje rozkazy swoich przełożonych. Nie może kierować się osobistymi celami. Jeśli nie wypełni poleceń, łańcuch posłuszeństwa zostaje przerwany. Mówię to bardzo poważnie. Przypomniał mi o tym pewien żołnierz w Mahon. Ten pechowiec myślał, że i ja wyznaję podobną moralność. Czy nie zauważył pan, że często podczas obiadu jest się wesołym i beztroskim, a już przy kolacji człowiek zaczyna się zastanawiać, po co w ogóle Bóg stworzył ten świat?

–Zgadza się, ale jaki ma to związek z tym żołnierzem?

–Walczyłem z nim właśnie z powodu pieniędzy z przyzów. Powiedział, że uzyskiwanie takich dochodów nie jest uczciwe. Był biedny i bardzo rozżalony. Stwierdził, iż to owe pieniądze są jedynym motywem, dla którego my, oficerowie marynarki, służymy we flocie. Gdy temu zaprzeczyłem, nazwał mnie kłamcą. Poszliśmy do podłużnego ogrodu na końcu nabrzeża... Był ze mną Jevons z „Implacable”... Wszystko zakończyło się błyskawicznie. Ten niezdara i dureń sam nadział się na koniec mojej szpady. O co chodzi, Shannahan?

–Sir, wszystkie beczki są pełne.

–Możecie je więc zaszpunktować i stoczyć do wody.

–Do widzenia – powiedział Stephen, wstając.

–Już pan odchodzi? – zapytał James

–Tak, chcę dotrzeć na miejsce, zanim będzie całkiem ciemno.

Nawet w najczarniejszą noc doktor nie zbłądziłby ze ścieżki, która wiała się to z jednej, to z drugiej strony strumyka. Wydeptali ją łowiący raki rybacy i impotenci, zamierzający wykąpać się w skalnym zbiorniku. W pewnej chwili sięgnął odruchowo po gałąź, służącą jako poręcz przy przechodzeniu przez głęboki w tym miejscu strumień – kora była gładko wypolerowana przez wiele dłoni.

Szedł wyżej i wyżej. Zatrzymał się na nagiej skale i w dole, zaskakująco daleko, ujrzał w półmroku obie łodzie, holujące za sobą szereg powiązanych i na wpół zatopionych beczek. Z oddali przywodziły na myśl składającą skrzek ropuchę. Dalej ścieżka znów biegła między drzewami i na otwartą przestrzeń wyszedł dopiero na szczycie wzgórza, który porośnięty był macierzanką i trawą i otoczony morzem sosen. Nad pobliskimi pagórkami wisiała błękitna mgiełka, niebo na zachodzie płonęło czerwienią. Kolory znikły już dookoła, ustępując miejsca szarości. Dostrzegł jeszcze białe ogonki uciekających w krzaki dzikich królików i coraz bardziej niewyraźne kształty krążących nad głową ptaków. Kozodoje... – wiedział, że je tutaj

zobaczy. Usiadł przy wielkim kamieniu. Wykuty na głazie napis głosił: *Non fui non sum non curo*. Króliki powoli wychodziły z ukrycia i wkrótce słyhać było, jak skubią szybko macierzankę. Stephen miał zamiar siedzieć tutaj aż do świtu. Chciał uporządkować myśli, jeśli okaże się to możliwe, a odwiedziny u przyjaciółki (aczkolwiek istniejącej naprawdę) były tylko pretekstem. Cisza, mrok, niezliczone znajome zapachy oraz ciepło nagrzanego ziemi były mu teraz potrzebne jak powietrze.

–Myślę, że możemy już ruszyć w stronę brzegu – oznajmił Jack. – Nic się nie stanie, jeśli zjawimy się na miejscu odrobinę przed czasem. Chcę też przy okazji przejść się trochę. W każdym razie trzeba jak najprędzej zabrać stamtąd doktora. Niepokoję się o niego. Czasami wydaje mi się, że nie powinno się puszczać go nigdzie samego, a czasem chętnie powierzyłbym mu dowództwo nad całą flotą. Prawie...

„Sophie” przez całą noc lawirowała nie opodal lądu. Kończyła się właśnie środkowa wachta i James Dillon zmieniał pana Marshalla. „Korzystając z faktu, iż cała załoga jest na pokładzie, warto by było wykonać zwrot przez sztag” – pomyślał Jack, wycierając rosę z poręczy relingu. Wychylił się za burtę i patrzył na holowany za rufą kuter, wyraźnie widoczny na tle fosforyzującej, cieplej jak mleko wody.

–Tu właśnie napełniliśmy beczki, sir – powiedział Babbington, wskazując ręką ledwie widoczną w mroku plażę. – Gdyby nie było tak ciemno, zobaczyłby pan ścieżkę, którą doktor poszedł na górę. Jack wyszedł z łodzi na brzeg, by przyjrzeć się dróżce i skalnemu basenowi. Potknął się kilka razy, zanim nogi przyzwyczyliły się do stałego lądu. Ziemia nie uciekała spod nóg jak chybotliwy pokład. Przeszedł kilka razy tam i z powrotem, ucząc się na nowo trudnej sztuki chodzenia bez potknięć i trudności z utrzymaniem równowagi. Zastanowił go fakt, iż światło dnia pojawia się w nierównomierny sposób, wyraźnymi skokami. Myślał o pozytywnych zmianach, jakie zaszły w zachowaniu jego porucznika po akcji w Almoraira, i o zaskakujących nastrojach pierwszego nawigatora, który ostatnio bywał często bardzo ponury. Dillon miał w domu sforę psów myśliwskich – trzydzieści pięć sztuk – i kilka razy z powodzeniem używał ich podczas łowów. To musiała być wyjątkowa okolica, zamieszkała przez niezwykle sprytne lisy, skoro dotąd nie zostały zupełnie wytrzebione. Jack zawsze podziwiał ludzi, którzy potrafili polować z psami. Dillon z pewnością znał się na tym, choć dziwne było, że nie zwracał uwagi na odgłosy wydawane przez idące za zwierzyną psy. Przecież ujadanie naprawdę zgranej sfory...

Ostrzegawczy wystrzał „Sophie” niespodziewanie przerwał te spokojne rozmyślenia. Aubrey obrócił się gwałtownie. Przy burcie brygu wciąż wisiał obłoczek dymu. Na maszcie pojawiły się flagi sygnałowe, lecz z tej odległości i w tym świetle nie można było bez lunety odczytać ich znaczenia. Słup ustawił się z wiatrem i jakby rozumiejąc zaniepokojenie kapitana, nadał najstarszy ze wszystkich sygnałów: szoty bramslu zostały puszczone wolno, płótna załopotwały wyluzowane. „Zauważono podejrzanego żagle” – wiadomość podkreślono kolejnym wystrzałem.

Jack spojrział na zegarek i z żalem popatrzył na ginącą między nieruchomymi sosnami ścieżkę.

–Potrzebny mi będzie twój nóż, Bonden – powiedział i podniósł z ziemi duży płaski kamień. Wyskrobał na nim słowo *Regrediar* (pomyślał o zachowaniu ostrożności), zaznaczył godzinę i podpisał się swymi inicjałami. Położywszy kamień na widocznym miejscu na brzegu, wskoczył do łodzi.

Gdy tylko kuter przybił do burty, reje „Sophie” zaskrzypiały, żagle wypełniły się i bryg ruszył w kierunku otwartego morza.

–To okręty wojenne, sir. Jestem prawie pewny – wyjaśnił James. – Pomyślałem, że na pewno zechce pan czym prędzej wydostać się na szersze wody.

–Bardzo słusznie, panie Dillon – pochwalił go Jack. – Czy mogę skorzystać z pańskiej lunety?

Na topie masztu, z trudem łapiąc oddech po pośpiesznej wspinaczce, widział obie zbliżające się jednostki dosyć wyraźnie. Rozwidniło się już zupełnie, nad morzem nie było nawet śladu mgły. Od nawietrznej, pod pełnymi żaglami, szybko płynęły dwa okręty. Okręty wojenne. Co do tego nie było najmniejszej wątpliwości. Jakie? Angielskie? Francuskie? Hiszpańskie? Tam dalej wiatr był znacznie silniejszy i ich prędkość wynosiła dobre dziesięć węzłów. Aubrey spojrział przez ramię na wychodzący daleko w morze ląd. Sporo czasu upłynie, zanim „Sophie” uda się otoczyć cypel. Musi zdążyć przed tymi okrętami, w przeciwnym razie zostanie zablokowana w zatoce. Tak, to okręty wojenne. Wyłoniły się ich kadłuby i chociaż z tej odległości nie można było policzyć furt działowych, Jack był pewien, że są to dwie ciężkie fregaty o trzydziestu sześciu działach. Tak, na pewno fregaty.

Gdyby „Sophie” zdołała pierwsza opłynąć przylądek, miałyby szansę ucieczki. Przechodząc w poprzek płycizny między krańcem cypla a skałą nieopodal, zyska milę. Żadna głęboko zanurzona fregata nie mogłaby przejść tędy.

–Wyślemy załogę na śniadanie, panie Dillon – zdecydował kapitan. – Potem proszę przygotować okręt do walki. Jeśli mamy oberwać, to równie dobrze możemy przed tym się najeść.

Niewielu jednak ludzi na pokładzie „Sophie” miało tego pięknego ranka apetyt. Owsianka i suchary nie smakowały specjalnie nikomu, wszyscy wydawali się dziwnie poirytowani i zniecierpliwieni. Nawet świeżo palona i zmielona kawa Jacka na darmo pachniała na rufie. Oficerowie stali wpatrzeni w zbliżające się okręty, oceniali ich kursy i prędkość, próbowali określić miejsce spotkania oraz warianty rozwoju wydarzeń. Dwie fregaty na nawietrznej, na zawietrznej nieprzyjacielski brzeg i groźba znalezienia się w potrzasku – to w zupełności wystarczało, by wszyscy zapomnieli o

głodzie.

–Na pokładzie! – zawołał ukryty wysoko wśród żagli obserwator. – Na jednym z tych okrętów podniesiono banderę brytyjską.

–To dobrze – ucieszył się Jack. – Przynajmniej taką mam nadzieję... Panie Ricketts, odpowiemy tak samo.

Wszystkie lunety na „Sophie” były teraz skierowane na fokmaszt najbliższej fregaty i oczekiwały na sekretny sygnał. Brytyjskie kolory pokazać mógł każdy, lecz tylko okręty Jego Królewskiej Mości miały prawo znać umówiony znak: czerwona flaga pojawiła się na fokmaszcie fregaty, w chwilę później podniesiono białą flagę i porzecz na grotmaszcie, wreszcie rozległ się przytłumiony odgłos pojedynczego wystrzału z działa na nawietrznej. Emocje na pokładzie „Sophie” natychmiast opadły.

–Bardzo dobrze – powiedział Jack spokojnie. – Proszę odpowiedzieć i podać nasz numer. Panie Day, trzy wystrzały na zawietrzną, z wyraźnym odstępem.

–To „San Fiorenzo”, sir – oznajmił Dillon, pomagając zdenerwowanemu podchorążemu utrzymać książkę kodową. Jej kolorowe strony chętnie poleciałyby z przybierającym na sile wiatrem. – Wzywają naszego kapitana...

–Boże... – mruknął Jack do siebie. Dowódcą „San Fiorenzo” był Sir Harry Neale, kiedyś pierwszy porucznik na „Resolution” (Jack był tam wtedy najmłodszym podchorążym), potem kapitan okrętu „Success” – służbista, szczególnie uczulony na punkcie czystości, punktualności, schludności stroju i poszanowania przełożonych. Jack był dzisiaj nie ogolony, ocalałe na głowie po wybuchu włosy sterczały we wszystkie strony. Na dodatek poparzoną połowę twarzy pokrywała błękitna maść Stephena. Nic nie można jednak było na to poradzić. – Proszę się do nich zbliżyć – poleciał i pobiegł do swojej kabiny. – Jest pan, nareszcie... – Sir Harry spojrzał na Jacka z wyraźną niechęcią. – Boże, kapitanie Aubrey, długo kazał pan na siebie czekać.

W porównaniu z „Sophie” fregata wydawała się olbrzymem. Strzelające w górę maszty przywodziły na myśl okręt liniowy pierwszej klasy. Lśniły całe akry wyszorowanego do białości pokładu. Jack miał absurdalne i jednocześnie przykre uczucie, iż jego ciało nagle się skurczyło, że w jednej chwili z absolutnego władcy przeistoczył się w pozbawionego wszelkich praw podwładnego.

–Przepraszam, sir – powiedział bezbarwnym głosem.

–Cóż, proszę do mojej kabiny. Pański wygląd niewiele się zmienił, Aubrey – zauważył dowódca fregaty, wskazując dłonią krzesło. – Tak czy inaczej, cieszę się z naszego spotkania. Mamy zbyt wielu jeńców i zamierzam przekazać na pański okręt pięćdziesięciu z nich.

–Jest mi naprawdę bardzo przykro, sir, lecz nie będę mógł panu pomóc. My również mamy...

–Pomóc? Co pan wygaduje? Nie proszę pana o pomoc, tylko wydaję panu polecenie. Czyżby nie wiedział pan, kto tutaj jest starszy stopniem? Ponadto wiem doskonale, że wysłał pan do Mahon obsadzone swoimi ludźmi przyzy – moi jeńcy zajmą więc zwolnione miejsce. Będzie pan mógł ich zdać już po kilku dniach, a zatem nie ma o czym mówić.

–A co z moim patrolem, sir?

–Pański patrol znacznie mniej mnie obchodzi niż dobro służby. Musimy załatwić sprawę przekazania tych ludzi jak najszybciej, gdyż mam dla pana dalsze polecenia. Poszukujemy amerykańskiego statku o nazwie „John B. Christopher”, zmierzającego z Marsylii do Barcelony i do Stanów Zjednoczonych. Obecnie ta jednostka powinna być gdzieś między Majorką a kontynentem. Wśród pasażerów tego statku mogą ukrywać się dwaj buntownicy, członkowie organizacji Zjednoczonych Irlandczyków. Jeden z nich to rzymskokatolicki ksiądz o nazwisku Mangan, a drugi to niejaki Roche, Patrick Roche. Należy ich aresztować, używając siły, jeśli okaże się to konieczne. Prawdopodobnie posługują się francuskimi paszportami, mówią też biegle po francusku. Oto ich rysopisy: *średniego wzrostu szczupły mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, o śniadej cerze, brunet, noszący jednak zwykle perukę. Nos haczykowaty, ostry podbródek, oczy szare i duża brodawka w pobliżu ust. To ksiądz. Ten drugi to wysoki, dobrze zbudowany trzydziestopięcioletni mężczyzna, wzrost ponad 6 stóp, szatyn o błękitnych oczach. Nie ma małego palca u lewej dłoni i kuleje na skutek rany.* Lepiej niech pan weźmie te wydrukowane instrukcje.

–Panie Dillon, proszę przygotować okręt do przyjęcia dwudziestu pięciu jeńców z „San Fiorenzo” i dwudziestu pięciu z „Amelii” – polecił Jack. – Potem ruszamy na poszukiwania... Mamy znaleźć jakichś buntowników.

–Buntowników? – zawołał James wzburzony.

–Tak – potwierdził Jack obojętnie, spoglądając na luźną bulinę fokbramsla. Odwrócił się na moment, by wydać rozkazy. – Tak. Proszę przy okazji przeczytać te rysopisy, gdy będzie pan miał chwilę wolnego czasu.

–Pięćdziesięciu więcej ludzi do wykarmienia – narzekał ochmistrz. – Co pan na to powie, panie Marshall? Trzydzieści trzy dodatkowe pełne racje. Skąd mam je wziąć?

–Musimy po prostu jak najszybciej wracać do Mahon, panie Ricketts, takie jest moje zdanie. Możemy już zapomnieć o patrolu. Nie jesteśmy w stanie wyżywić tych pięćdziesięciu jeńców i to wszystko. Naprawdę jest czym się martwić... Pięćdziesięciu!

–Pięćdziesięciu drani więcej – kręcąc głową, powiedział James Sheehan. – I oczywiście wszystkim im należą się królewskie wygody. Jezus, Maria...

–Pomyśl też, bracie, o naszym biednym doktorze. Nieszczęsny siedzi teraz sam w tym lesie. Przecież tam mogą być sowy! Niech szlag trafi „San Fiorenzo” razem z „Amelią”.

–Sam w lesie? Nie bój się, to mu nie grozi. W każdym razie masz rację: do cholery z tym wszystkim.

Taki nastrój panował na pokładzie, gdy „Sophie”, kierując się na północny zachód, zajęła wyznaczone miejsce w szyku. Była ostatnim okrętem z prawej strony, na jej trawersie, pod zredukowanymi do połowy marslami, płynęła „Amelia”. Dalej, w takiej samej jak „Sophie” odległości, najbliżej brzegu i z największymi szansami na zdobycie jakiegoś przyszu, żeglowała druga fregata, „San Fiorenzo”, zupełnie już niewidoczna z pokładu brygu. W ten sposób okręty do wieczora wspólnie przeczesywały szeroki na sześćdziesiąt mil pas błękitnych wód Morza Śródziemnego.

To był niezwykle długi dzień, wszyscy na pokładzie mieli pełne ręce roboty. Należało opróżnić dziobową ładownię, rozlokować i pilnować więźniów (wielu z nich służyło na statkach pirackich, byli więc bardzo groźni). Sprawdzone też po drodze trzy powolne i ociążałe statki handlowe. Wszystkie należały do państw neutralnych i nie bardzo miały ochotę się zatrzymywać. Jeden z nich zameldował o znajdującej się o dwa dni drogi pod wiatr jednostce, na której prowizorycznie naprawiano uszkodzoną stengę fokmasztu – to mógł być ów Amerykanin. Przez cały czas załoga „Sophie” zajęta była przy obsłudze żagli; chodziło o to, by maksymalnie wykorzystać zmienny i niebezpiecznie porywisty wiatr, tak by powolny bryg mógł dotrzymać kroku fregatom. Chcąc uniknąć wstydu, musieli usilnie się starać. Na pokładzie brakowało ludzi: Mowett, Pullings i stary Alexander, godny zaufania oficer wachtowy, znajdowali się na przyczach, to oznaczało, że na zdobyte jednostki przeszła blisko jedna trzecia najlepszych marynarzy. Dlatego Dillon i pierwszy nawigator, pan Marshall, na zmianę nieustannie pełnili służbę. Wielu ludzi nie potrafiło utrzymać nerwów na wodzy i szybko wydłużała się lista tych, którzy w ten czy inny sposób przewinili.

„Nie przypuszczałem, że Dillon potrafi tak wrzeszczeć” – pomyślał Jack, gdy porucznik, krzycząc wściekle, wysłał na górę szlochającego Babbingtona i marynarzy z okrojonej podwachtu żaglowej fokmasztu, polecając im po raz trzeci już dzisiaj postawić lewy boczny fokmarsel. To prawda, że słup płynął z zadziwiającą prędkością (oczywiście na miarę swych ograniczonych możliwości), lecz przykro było patrzeć, jak z okrętu i załogi w brutalny sposób wyciskane są ostatnie poty.

Z drugiej strony tego właśnie wymagało dobro służby i Jack absolutnie nie miał

prawa i ochoty się wtrącać. Znow zajął się własnymi myślami. Bardzo martwił się o Stephena – ta wyprawa na ląd była prawdziwym szaleństwem. Doktor włóczy się tam gdzieś teraz, sam wśród nieprzyjaciół... Inną sprawą, która nie dawała kapitanowi „Sophie” spokoju, było jego własne zachowanie na pokładzie „San Fiorenzo”. Sir Harry pozwolił sobie na ewidentne nadużycie posiadanych uprawnień – należało na to zareagować o wiele bardziej stanowczo. Jednak najbardziej zdecydowane protesty nie na wiele by się zdały, przesądzały o wszystkim pisemne polecenia dowództwa oraz *Articles of War*. Kolejnym problemem była kwestia podchorążych. Na okręcie potrzeba ich było przynajmniej dwóch więcej – starszego i młodszego. Aubrey postanowił zapytać Dillona, czy ten nie zna jakiegoś chłopca, którego można by mianować podchorążym. Mógłby to być kuzyn, siostrzeniec, chrześniak – podobna propozycja ze strony kapitana byłaby dla porucznika niewątpliwym dowodem uznania, często spotykanym na innych okrętach, zwłaszcza gdy w grę wchodziła też osobista sympatia. Starszym podchorążym winien natomiast zostać ktoś doświadczony, ktoś, kto bardzo szybko mógłby awansować na oficera nawigacyjnego. Jack pomyślał najpierw o sterniku swej łodzi, wspaniałym marynarzu i dowódcy podwachtu żaglowej grotmasztu. W załodze było jeszcze kilku innych obiecujących młodych ludzi. Aubrey musiał przyznać, iż wolałby widzieć na tym stanowisku prostego marynarza, takiego jak Pullings – na pewno dla okrętu byłby to lepszy nabytek od nieomal każdego z tych młodych ludzi, których rodzice są wystarczająco bogaci, by posłać syna na morze. Jeśli Hiszpanie schwytają Stephena Maturina, rozstrzelają go jako szpiega.

Gdy zakończono sprawdzanie trzeciego statku handlowego, zrobiło się prawie ciemno. Jack był kompletnie wyczerpany. Zaczerwienione oczy piekły, irytowały go nawet najcichsze dźwięki, nogi miał jak odlane z ołowiu. Cały dzień spędził na pokładzie – długi i ciężki dzień, który rozpoczął się na dwie godziny przed świtem. Zasnął, gdy tylko głowa dotknęła poduszki. W pogrążającym się błyskawicznie we śnie umyśle zdążyły zakolatać dwie nieoczekiwane refleksje. Intuicja podpowiadała Jackowi, że Stephenowi Maturinowi na pewno nie przydarzyło się nic złego i że coś niezwykłego dzieje się z Jamesem Dillonem. „Nie wiedziałem, że Dillon aż tak bardzo przeżyje konieczność przerwania patrolu. Z drugiej strony, ostatnio wyraźnie zaprzyjaźnił się z doktorem. Może się martwi? W sumie – dziwak z niego...” Dowódca „Sophie” zasnął kamiennym snem.

Spał mocno, lecz po kilku godzinach obudził się niespodziewanie, dziwnie zaniepokojony. Zza okien rufowych do kabiny docierał szmer przyciszonych, zdenerwowanych, sprzeczących się głosów. Przeraziła go myśl o nagłym ataku, o abordażu dokonanym z nadpływających w ciemnościach łodzi. Gdy oprzytomniał nieco bardziej, uświadomił sobie, że słyszy ożywioną rozmowę Dillona i pana Marshalla – uspokojony tym zasnął znowu. „Dlaczego oni obaj są teraz na pokładzie” – pytał sam siebie we śnie. – „Przecież to nie była pora zmiany wacht. Dzwon okrętowy musiałby przedtem uderzyć osiem razy”. Jakby na potwierdzenie tych

myśli zabrzmiały trzy szklanki. W różnych punktach brygu odezwały się przyciszone głosy pełniących służbę ludzi – zgłaszali kolejno, że wszystko jest w porządku.

Coś jednak wyraźnie się zmieniło. Żagle pracowały inaczej. Dlaczego? Włożył szybko szlafrok i wyszedł na pokład. „Sophie” miała nie tylko zredukowane żagle, lecz również zmieniła kurs, płynęła na północny wschód.

–Sir... – powiedział Dillon, robiąc krok naprzód. – To ja ponoszę odpowiedzialność za to wszystko. Przejąłem dowództwo i poleciłem pierwszemu nawigatorowi, by zmienił kurs, gdyż zdawało mi się, że zauważyłem jakiś statek, o kilka rumbów od dziobu z prawej burty.

Kapitan spojrział w srebrną mgiełkę wiszącą nad morzem. Świecił księżyc, część nieba przysłoniły chmury. Na widnokręgu nie było widać żadnego statku ani światła. To oczywiście niczego nie dowodziło. Wziął do ręki tabliczkę kursową i sprawdził, dokąd „Sophie” zmierza w tej chwili.

–Płyniemy prosto w kierunku wybrzeży Majorki – rzekł, ziewając.

–Tak, sir. Dlatego pozwoliłem sobie zredukować żagle.

Podobne postępowanie było niesłychanym wręcz naruszeniem dyscypliny. Dillon wiedział o tym na pewno aż nazbyt dobrze. Nie warto było przypominać mu obowiązujących na okręcie zasad. Nie tutaj, nie teraz i nie przy świadkach.

–Który z panów ma teraz wachtę?

–Ja, sir – odpowiedział pierwszy nawigator. Mówił cicho, nienaturalnym, zmienionym głosem, tak samo jak przed chwilą Dillon. Na pokładzie rufówki musiało coś zająć, jakieś nieporozumienie. Z całą pewnością nie była to tylko sprzeczka o dostrzeżone na horyzoncie światło.

–Kto pełni służbę na oku?

–Assei, sir.

Assei był inteligentnym, godnym zaufania Hindusem.

–Ahoj, Assei!

–Słucham – odezwał się przytłumiony głos w ciemności, wysoko nad ich głowami.

–Co widzisz?

–Nic, tylko gwiazdy...

Niczego to nie przesądzało. Nadal nie było można powiedzieć, że porucznik się mylił. Prawdopodobnie miał rację. Nigdy wcześniej nie pozwolił sobie na coś takiego. Nowy kurs był jednak bardzo dziwny.

–Czy jest pan absolutnie pewny, że widział pan jakieś światło, panie Dillon?

–Tak, sir. Cieszę się, że udało mi się je dojrzeć.

„Cieszę się”? Zaskakujące słowa, na dodatek wypowiedziane nienaturalnym, chrapliwym głosem. Jack nie odpowiedział, polecił, by zmieniono kurs o półtora rumbu na północ, i rozpoczął zwyczajowy spacer, tam i z powrotem po pokładzie. Gdy zabręczały cztery uderzenia okrętowego dzwonu, niebo zaczęło się szybko rozjaśniać od wschodu. Przed dziobem, z prawej burty, pojawił się ład przesłonięty wiszącą nad wodą mgiełką. Niebo było zupełnie czyste, jego kolor powoli przechodził w coraz jaśniejszy błękit. Kapitan zszedł na dół, by się ubrać, i gdy wkładał koszulę, obserwator na maszcie okrzykiem dał znać, iż zauważył żagiel.

Z opadającej brązowej mgły, zaledwie o dwie mile na zawietrznej, wyłonił się statek handlowy z prowizorycznie naprawioną stengą fokmasztu, obciążoną jedynie mocno zrefowanym marslem. Wszystko było jasne. Dillon oczywiście miał rację. To była poszukiwana jednostka, odnaleziona dziwnie daleko od przewidywanego kursu. Najwyraźniej jakiś czas temu wykonała zwrot koło Dragon Island i obecnie powoli zmierzała w stronę szerokiego przejścia na południu. Za godzinę lub dwie „Sophie” wypełni niewdzięczne zadanie i przed południem ruszy swoją drogą. Ktoś przecież na nią czekał.

–Świetna robota, panie Dillon! – zawołał Jack. – To prawie cud, że ich tutaj dopadliśmy. Nigdy bym nie pomyślał, że popłyną tak blisko wyspy. Proszę podnieść banderę i wystrzelić z działa.

Kapitan statku „John B. Christopher” nie przejął się zbytnio zatrzymującym go okrętem wojennym, chcąc pewnie popisać się przed Anglikami odwagą (oczywiście przy założeniu, że załogę „Sophie” stanowili wyłącznie Anglicy). Nie miał jednak prawie żadnych możliwości ucieczki, zwłaszcza z uszkodzoną stengą fokmasztu i zdjętymi na pokład bramstengami. Próbował pośpiesznie postawić dodatkowe żagle, odpadać, lecz w końcu marsle amerykańskiego statku zostały wypchnięte na wiatr, a na maszcie pojawiła się flaga Stanów Zjednoczonych. „John B. Christopher” stanął w dryfie, oczekując na łódź z „Sophie”.

–Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pan tam popłynie – zwrócił się Jack do Dillona, który wciąż trzymał przy oku lunetę, skulony, zaciekawiony widocznie jakimś szczegółem osprzętu zatrzymanego statku. – Mówi pan po francusku lepiej niż ktokolwiek inny na pokładzie, a nie ma z nami doktora. Zresztą... To pan wypatrzył ten statek w tak nieoczekiwanym miejscu. To pańska zdobycz. Czy chce pan jeszcze

raz przeczytać te rysopisy? A może... – urwał w pół zdania. Podczas służby w marynarce widział wielu pijanych ludzi – admirałów, starszych kapitanów, dowódców okrętów i pijanych dziesięcioletnich chłopców okrętowych. Jego samego przywieziono kiedyś na okręt w dwukołowym wózku. Nie uznawał jednak picia na służbie. Bardzo mu się to nie podobało, zwłaszcza tak wcześnie rano. – Widzę, że lepiej będzie, jeśli wyślę tam pana Marshalla – rzekł chłodno. – Proszę go zawołać.

–Ależ nie, nie trzeba, sir – zawołał Dillon szybko, wyraźnie przytomniejąc. – Przepraszam, to tylko chwilowa niedyspozycja, już wszystko w porządku. – Rzeczywiście. Znikła nienaturalna bladość pokrytej kropelkami potu twarzy, oczy przestały wpatrywać się w jeden punkt. Za to na policzkach Jamesa pojawił się niezdrowy rumieniec.

–Dobrze – zgodził się Jack z wahaniem. Po chwili Dillon z werwą wzywał załogę kutra, biegał tam i z powrotem, sprawdzał uzbrojenie ludzi. Wymienił też szybko skałki w swoich pistoletach. W pełni odzyskał samokontrolę. Gdy łódź czekała gotowa przy burcie, powiedział do Jacka:

–Sir, poproszę o te rysopisy. Przeczytam je jeszcze raz po drodze...

„Sophie” kołysała się lekko w pobliżu kontrolowanego statku, przygotowana na to, by w razie kłopotów natychmiast przeciąć mu drogę bądź posłać druzgoczącą salwę. Nic podobnego się nie wydarzyło. Z forkasztelu co jakiś czas odzywały się mniej lub bardziej prowokujące okrzyki amerykańskich marynarzy. Uśmiechnięci ludzie, stojący przy starannie wymierzonych działach (w każdej chwili gotowi bez wahania posłać kuzynów zza oceanu na tamten świat), chętnie odpowiedzieliby tak samo. Niestety, taka reakcja nie podobałaby się kapitanowi. Zadanie, jakie wykonywali było bardziej niż nieprzyjemne i nikt nie powinien żartować. Gdy z pokładu „Sophie” padł pierwszy obraźliwy okrzyk pod adresem Amerykanów, Aubrey zawołał:

–Cisza na pokładzie! Panie Ricketts, proszę ustalić i zanotować nazwisko tego dowcipnisia.

Czas mijał. Lonty spalały się powoli, zwój po zwoju. Wysoko na niebie przeleciał śnieżnobiały głupek i Jack pomyślał o Stephenie, zupełnie zapominając o Bożym świecie. Słońce wspinało się coraz wyżej.

W końcu na trapie amerykańskiego statku pokazali się ludzie z załogi kutra, za nimi zszedł James Dillon. Sam. Uprzejmie pożegnał się z kapitanem i zgromadzonymi przy relingu pasażerami. Żagle jednostki handlowej wypełniły się wiatrem – słychać było wyraźnie, jak oficer z dziwnym kolonialnym akcentem pokrzykuje na ciągnących brasy marynarzy. „John B. Christopher” ruszył na południe. Łódź zmierzała szybko w kierunku „Sophie”.

Płynąc do zatrzymanego statku, James nie wiedział, jak powinien się zachować. Przez cały wczorajszy dzień, od chwili, w której usłyszał o nowym zadaniu, prześladowały go złe przeczucia. Miał wiele godzin do namysłu, lecz nadal nie wiedział, jak postąpić. Poruszał się jak we śnie – wszedł na pokład wbrew własnej woli, jakby popychany jakąś niewidzialną siłą. Wiedział oczywiście, że znajdzie ojca Mangana, chociaż zrobił wszystko, by tego uniknąć. Wykorzystał wszelkie możliwości, oprócz pewnie próby wywołania buntu na pokładzie lub zatopienia „Sophie”. Zmienił nawet samowolnie kurs okrętu i zredukował żagle, szantażując pierwszego nawigatora. Pomimo tego był przez cały czas przekonany, że i tak spotka poszukiwanych Irlandczyków. Nie przewidział tylko jednego – ksiądz zagroził mu denuncjacją, gdyby wykonał rozkaz. James stracił sympatię do niego już w chwili, gdy pierwszy raz spojrzeli na siebie na pokładzie. Natychmiast też zrozumiał, iż w żadnym wypadku nie będzie mógł zachować się jak żandarm i aresztować tych ludzi. Tuż potem padła ponura groźba. W pierwszej sekundzie Dillon sądził, że absolutnie go to nie dotyczy, że nie powinien zwracać na to uwagi. Z przykrością uświadomił sobie jednak, iż zabrnął w ślepią uliczkę. To było nie do zniesienia. Musiał zmobilizować wszystkie siły, by powoli dokończyć sprawdzanie pozostałych paszportów, tak jakby nic się nie stało. Wiedział, iż jest w sytuacji bez wyjścia, że każde działanie, na jakie się zdecyduje, będzie miało niewiele wspólnego z honorem i uczciwością. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bolesne może być podobne postępowanie – był zawsze bardzo dumnym człowiekiem. Uśmiezek zadowolenia na twarzy ojca Mangana zranił Jamesa bardziej niż cokolwiek, czego dane mu było w życiu doświadczyć. Na dodatek oprócz bolesnej rany pojawiły się niezliczone wątpliwości. Łódź uderzyła o burtę „Sophie”.

–Na pokładzie tego statku nie ma takich pasażerów, sir – zameldował.

–Tym lepiej. – Aubrey uśmiechnął się uradowany i pomachał zdjętym z głowy kapeluszem amerykańskiemu kapitanowi. – Pół rumbu na południe od zachodu, panie Marshall. Proszę też podtoczyć i zamocować działa. – Z rufowej zejściówki dolatywał kuszący zapach świeżo zaparzonej kawy.

–Poruczniku, zapraszam pana do mnie na śniadanie – powiedział, chwytając Jamesa po przyjacielsku za ramię. – Wciąż jest pan bardzo blady...

–Musi mi pan wybaczyć, sir – wyszeptał Dillon, wyzwalając się z uścisku, i spojrzał na Jacka z nienawiścią. – Nie czuję się najlepiej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zupełnie nie wiem, co począć. Naprawdę. Dlatego proszę pana o opinię w tej sprawie. Zdaję się na pańską bezstronność i zdrowy rozsądek. Po prostu nie potrafię sobie z tym poradzić. Nie rozumiem też, co w moim zachowaniu... Nie chodzi przecież o wysadzenie na Dragon Island przekazanych nam bezprawnie jeńców. Takie postępowanie mogło mu się nie spodobać, lecz kłopoty zaczęły się już przedtem, wcześniej rano. – Stephen słuchał z powagą, uważnie, nie przerywał. Upomniał się tylko kilka razy o pewne pominięte szczegóły, czasem pytał też o coś, próbując ustalić kolejność wydarzeń. Jack przedstawiał tymczasem historię swych stosunków z Jamesem Dillonem – dobrych, złych, potem znów dobrych i złych; zwłaszcza ta ostatnia zmiana była bolesna i przykra. Niezwykle trudno jest pogodzić się z czymś podobnym, jeśli oprócz wzajemnego szacunku w grę wchodzi również osobista sympatia. Także zachowanie pana Marshalla chwilami było bardzo zaskakujące, lecz ta sprawa nie była chyba tak istotna. Jack wyraził bardzo ostrożnie swój wielokrotnie powtarzany pogląd, iż chcąc zwyciężać bitwy, należy najpierw zadbać o poprawne stosunki na okręcie. Ludzie walczą dobrze tylko wtedy, gdy są zadowoleni. Przytaczał przykłady za i przeciw, a jego towarzysz słuchał w milczeniu. Stephen nie mógł jednak służyć Jackowi swą mądrością i radą (choć Aubrey tak bardzo tego pragnął) – był słuchaczem idealnym, w rzeczywistości przebywał o dziewięćdziesiąt mil na południowy zachód. Rozdzielała ich olbrzymia połać morza. Wzburzonego morza: po kilku dniach irytującej ciszy zerwał się wreszcie lekki, potem silniejszy wiatr z południowego zachodu. W nocy bryza zmieniła kierunek na wschodni i bardzo przybrała na sile. Fale wiatrowe krzyżowały się z wczorajszym rozkołysem i „Sophie” pracowała ciężko, płynąc pod podwójnie zrefowanymi marslami oraz dolnymi żaglami. Grzywacze rozbijały się o jej dziób, zalewając co jakiś czas bryzgami obserwatora na forkasztelu i odchylając w różnych kierunkach od pionu Jamesa Dillona, stojącego na rufie i paktującego z diabłem. Kołysały też łagodnie leżącego w koi i wpatzonego w mrok Jacka.

Do tej pory Aubrey żył bardzo aktywnie i nigdy nie miał czasu na filozoficzne refleksje. Teraz jednak, mijając stojącego przy drzwiach strażnika, wchodził do swej kabiny i bez przeszkód korzystał z przywileju samotności. Dużo rozmyślał, lecz nie warto było rozmieniać się na drobne, podobnie jak nie warto było zaprzętać sobie uwagi prostą melodyjką, graną na pasterskiej fujarce. „Muszę z nim koniecznie o tym porozmawiać, kiedy go stamtąd zabierzemy” – postanowił. – „Powie mu, oczywiście w bardzo ogólnikowy sposób, o tym, jak ważną sprawą jest dla mnie obecność na pokładzie kogoś, kogo mógłbym uznać za zaufanego przyjaciela. Podyskutujemy trochę o marynarskim życiu, o tym, że czasem tak szczerze ma się dosyć towarzystwa innych ludzi, iż trudno nawet oddychać, nie mówiąc o zagranju czegoś trudniejszego na skrzypcach... Innym znów razem człowiek czuje się jak skazany na samotność pustelnik. To dla mnie nowe i niezwykle doświadczenie”.

Jack Aubrey reagował na stres w dwojaki sposób: stawał się agresywny lub kochliwy. Marzył bądź o naglej, rozwiązującej wszystko w radykalny sposób bitwie, bądź o gwałtownym miłosnym spełnieniu. Lubił walczyć i lubił kochać.

„Teraz wiem, dlaczego niektórzy dowódcy okrętów zabierają ze sobą kobietę na okręt” – pomyślał. – „Oprócz niewątpliwej przyjemności jest to wspaniałe rozwiązanie wielu problemów. Wystarczy zatracić się w ciepłym, namiętym i pełnym pasji...” – Posmutniał. – „Chciałbym, żeby i w tej kabinie była kobieta” – dodał w myślach.

Te rozterki i niepokoje wewnętrzne istniały oczywiście tylko za zamkniętymi drzwiami kapitańskiej kabiny. Na zewnątrz trudno było dostrzec jakąkolwiek zmianę w wyglądzie lub zachowaniu dowódcy „Sophie”. Jedynie bardzo uważny obserwator mógłby zauważyć, iż nagle wyparowała przyjaźń budząca się między Jackiem i Jamesem Dillonem. Pierwszy nawigator był spostrzegawczym obserwatorem. Osmalona twarz kapitana nadal pokryta była leczniczą maścią i z tego względu jego oblicze nie zdradzało zbyt wiele, lecz sympatia, jaką darzył porucznika, była do niedawna aż nazbyt widoczna. Obudziła w sercu pana Marshalla szczególną zazdrość, która zadziałała w przeciwnym kierunku i przyniosła tak nieoczekiwane skutki. Zaślepiony nią Dillon nie cofnął się nawet przed bezpośrednimi pogrózkami, sformułowanymi w sposób nie pozostawiający niemal cienia wątpliwości. Z tego powodu pierwszy nawigator obserwował stosunki między kapitanem i porucznikiem z bolesnym zainteresowaniem.

–Panie Marshall... – odezwał się Jack w ciemności i pełniący wachtę pierwszy oficer podskoczył, tak jakby obok wystrzelił ktoś z pistoletu. – Jak pan myśli, kiedy znajdziemy się koło brzegu?

–Za dwie godziny, sir. Oczywiście jeśli ten wiatr się utrzyma.

–Miejmy taką nadzieję... – Aubrey spojrział w górę na żagle. – Wydaje mi się, że może pan już zdjąć refy. Jeśli uspokoi się jeszcze bardziej, proszę postawić bramsle. Może pan zresztą rozwinąć wszystko, co się da... Proszę zawiadomić mnie natychmiast, jak tylko ląd będzie widoczny.

Kapitan pojawił się na pokładzie po dwóch godzinach, by spojrzeć na poszarpaną linię wybrzeża, daleko przed dziobem z prawej burty. W oddali widać było charakterystyczne samotne wzgórze, przypominające połówkę gigantycznego kurzego jaja. Oznaczało to, iż bezbłędnie trafili do zatoczki, w której niedawno uzupełniali zapas wody.

–Do licha, naprawdę doskonały z pana oficer, panie Marshall... – stwierdził Jack z uznaniem, składając lunetę. – Powinien pan być pierwszym nawigatorem floty!

Potrzebowali około godziny na wejście do zatoki. Już za chwilę wszystko powinno się wyjaśnić i kapitan był coraz bardziej zdenerwowany. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak wiele znaczy dla niego ta sprawa.

–Proszę przysłać do mnie mojego sternika – polecił, przerywając niespokojny spacer tam i z powrotem po pokładzie rufówki.

Barret Bonden, sternik kapitańskiej łodzi i dowódca podwachtu żaglowej grotmasztu, był wyjątkowo młodym człowiekiem. Bardzo rzadko podobne obowiązki powierzano ludziom w jego wieku: uczciwy i szczery, silny, lecz nie brutalny, pogodny – doskonały marynarz, od dzieciństwa związany z morzem.

–Siadaj, Bonden – powiedział kapitan uroczyście. Miał do zaoferowania bardzo wiele: kto wie, może nawet kapitański pokład rufówki, możliwość wspięcia się na sam szczyt okrętowej hierarchii? – Czy nie chciałbyś zostać podchorążym?

–Cóż, sir. Na pewno nie – odpowiedział marynarz natychmiast, jego białe zęby zaśniły w półmroku. – Dziękuję panu bardzo. Cieszę się, że ma pan o mnie tak dobre zdanie.

–Och! – zawołał Jack zaskoczony. – Dlaczego nie?

–Po prostu brakuje mi wykształcenia... – odparł Bonden, śmiejąc się szczerze. – Z trudem składam litery i jestem za stary na naukę pisania. Śmiesznie bym wyglądał wystrojony jak oficer. Moi dawni koledzy mieliby znakomitą okazję do głupich żartów.

–Wielu świetnych oficerów zaczynało służbę w marynarce od dolnego pokładu – przekonywał kapitan. – Sam sypiałem kiedyś w załogowym kubryku – dodał. Wypowiadając te słowa, pożałował, że wcześniej nie ugryzł się w język.

–Wiem o tym, sir. – Bonden znowu się uśmiechnął.

–Skąd?

–W wachcie prawej burty jest pewien człowiek, który służył razem z panem na starym „Reso”, koło przylądka Dobrej Nadziei.

„O Boże...” – pomyślał Jack wstrząśnięty. – „Dlaczego go nie zauważyłem? Ładnie teraz wyglądam. Udaję sprawiedliwego, jak Piłat, każę im odesłać kobiety na ląd, a oni o wszystkim wiedzą... No ładnie...”

–Trudno, Bonden, zastanów się nad tym, co ci powiedziałem – rzekł głośno, trochę zaniepokojony. – Szkoda cię będzie, jeśli nie zmienisz zdania.

–Proszę wybaczyć mi śmiałość, sir – przemówił marynarz, wstając. Był dziwnie

zakłopotany. – Jest tutaj na okręcie syn mojej ciotki, George. George Lucock. Z podwachtę żaglowej fokmasztu, wachta lewej burty. To prawdziwy uczony. Potrafi pisać tak małymi literkami, że trudno je przeczytać. Jest też znacznie młodszy niż ja... no i o wiele bystrzejszy.

–Lucock? – Jack z powątpiewaniem pokiwał głową. – To jeszcze dzieciak. Czy to nie on został wychłostany w zeszłym tygodniu?

–Zgadza się, sir. Jego działo znów strzelało najlepiej. Chłopak nie umiał zrezygnować ze swojej części nagrody. To nie byłoby w porządku wobec ofiarodawcy...

–No cóż... – Jack zawiesił głos. To prawda, że istniały na pewno inne sposoby premiowania zwycięzców. Niekoniecznie nagrodą musiała być butelka, chociaż właśnie taką wygraną ceniono na okręcie najwyżej. – Dobrze, zwrócę na niego uwagę...

Kapitan wciąż zajęty był sprawą podchorążych, gdy „Sophie” mozolnie halsowała pod wiatr, zmierzając w stronę brzegu.

–Panie Babbington! – zawołał niespodziewanie, przerywając w pół kroku spacer w tę i z powrotem. – Proszę wyjąć ręce z kieszeni! Kiedy ostatnio napisał pan list do domu? Powiedziane podobnym tonem pytanie wywołuje poczucie winy. Tym razem dowódca trafił w dziesiątkę. Podchorąży poczerwieniał.

–Nie pamiętam, sir... – odpowiedział ostrożnie.

–Proszę spróbować sobie przypomnieć! – Pogodna twarz Jacka spochmurniała. – Z jakiego portu wysłał pan ten list? Z Mahon? Z Leghorn? Z Genui? A może z Gibraltaru? Zresztą... to nieważne. – Na odległej plaży nie było widać nikogo. – Nieważne. Proszę napisać długi list. Przynajmniej na dwie strony. Przejrzę go jutro razem z pańskimi obliczeniami nawigacyjnymi. Proszę też pozdrowić swojego ojca ode mnie i powiadomić go, że korzystam z usług domu bankowego Hoares. – Jack, podobnie jak większość kapitanów, zarządzał przesyłanymi przez rodziców pieniędzmi młodych ludzi. – Hoares... – powtórzył. – Dom bankowy Hoares... – Dziwny, nieprzyjemny odgłos sprawił, że kapitan odwrócił się szybko. Za jego plecami młody Ricketts dusił się ze śmiechu. Chłodne spojrzenie dowódcy sprawiło, iż chłopak natychmiast opanował wesołość. – A pan, panie Ricketts? Czy pisał pan ostatnio do rodziców?

–Nie, sir... – wykrztusił z trudem podchorąży.

–W takim razie i pan napisze list... Na dwie strony. Proszę pisać małymi literami. I bez żadnych próśb o nowe kwadranty, paradne kapelusze lub wieszaki do ubrań – polecił tonem nie znoszącym sprzeciwu. Podchorąży wiedział aż nazbyt dobrze, iż

nie powinien nawet próbować wyjaśniać, że jego jedyny, kochający rodzic widuje się z nim tu na okręcie codziennie i bardzo będzie zaskoczony długim listem. Nie było warto. Wszyscy na pokładzie zdawali sobie doskonale sprawę ze stanu ducha, w jakim znajdował się ich kapitan.

–Nasz Złotowłosa martwi się o doktora – mówili. – Trzeba uważać, bo z byle powodu może rozpętać się burza...

Gdy na sygnał gwizdka zaczęto wynosić na pokład hamaki, ludzie, którzy musieli przechodzić obok kapitana w drodze na pokład rufówki, przyglądali mu się bardzo uważnie. Jeden z marynarzy, próbując równocześnie patrzeć na niego, na oficera wachtowego i uskok pokładu, przewrócił się i rozbił sobie twarz.

Jak się okazało, nie tylko Jack przejmował się losem doktora. Gdy wreszcie między drzewami pojawiła się sylwetka Stephena Maturina, zmierzającego w stronę plaży i czekającej na niego łodzi, na śródokręciu i forkasztelu rozległ się radosny okrzyk – karygodne naruszenie dyscypliny...

–Cieszę się, że znów pana widzę! Naprawdę się cieszę – zawołał Aubrey, gdy Stephen wgramolił się na burtę przy pomocy uradowanych członków załogi. – Jak się pan czuje, doktorze? Zapraszam do mojej kabiny. Specjalnie czekam na pana ze śniadaniem. Chyba nic złego się nie stało? Wprost przeciwnie, widzę, że pobyt na łodzi panu służy...

–Tak, dziękuję, wszystko w porządku – odpowiedział Maturin, mniej blady niż zwykle (zapewne tak wyglądały u niego rumieńce) i wzruszony serdecznym powitaniem. – Pozwoli pan, że zerknę na dół, do moich chorych. Potem chętnie zjem z panem odrobinę smażonego boczku. Dzień dobry, panie Day! Czy może pan zdjąć kapelusz? Bardzo ładnie. Naprawdę ładnie. Mogę być z siebie dumny. Proszę jednak na razie unikać słońca. Doradzałbym panu zakup dobrze dopasowanej peruki... Dzień dobry, Cheslin. Mam nadzieję, że podczas mojej nieobecności zaopiekowałeś się naszymi pacjentami?

–Przez cały czas o to najbardziej się martwiłem – wyjaśnił Stephen, wycierając zatłuszczone wargi. – Ta sprawa nie dawała mi spokoju. Bez przerwy zadawałem sobie pytanie, czy mój sanitariusz odpłaci oddanym pod jego opiekę ludziom pięknym za nadobne albo czy załoga znów zacznie go prześladować... Ciekaw byłem, jak szybko ten biedak odnajdzie się w nowej roli i przyzwyczai do nowej tożsamości...

–Tożsamości? – zdziwił się Jack, bez pytania dolewając doktorowi kawy. – Czy tożsamość nie jest czymś, z czym każdy z nas się rodzi?

–Może trochę niejasno się wyraziłem. Myślę o tożsamości pojmowanej w szczególności

sposób. Rozumiem ją jako coś, co oddziela człowieka od reszty świata. To taki punkt, w którym zbiega się to, co o nas myślą inni, jak nas postrzegają, i to, co sami myślimy o sobie. Oczywiście ów punkt jest w nieustannym ruchu. To funkcja bardzo wielu zmiennych, sir. Moja tożsamość, rozumiana w ten właśnie sposób, także nie jest jednoznacznie określona. Pańska również. Gdyby na przykład mógł pan, tak jak ja, spędzić kilka dni w Hiszpanii, stwierdziłby pan, iż pańska osoba postrzegana jest tam zupełnie inaczej. Wszyscy uważają pana za wstrętne, pozbawionego skrupułów i zasad moralnych złoczyńcę.

–Są po prostu trochę rozzłoszczeni – powiedział Jack z uśmiechem. – Na pewno widzą we mnie potwora. To jednak wcale nie oznacza, że nim jestem.

–Tak pan myśli? Możliwe. W każdym razie zaszкодził pan handlowi na całym wybrzeżu i zakłócił pan przybrzeżną żeglugę. Jest pewien bardzo bogaty człowiek, niejaki Mateu, który usilnie pragnie zemścić się na panu. Do niego właśnie należał ów cenny ładunek rtęci, który jako kontrabanda nie mógł być ubezpieczony; on też jest właścicielem statku, który uprowadził pan z portu Almoraira. Nie wspomnę już... o tartanie spalonym koło Tortosy – połowa zniszczonych towarów była własnością tego bogacza. Dzięki znajomościom w ministerstwie udało mu się wraz z przyjaciółmi, pomimo opieszałości leniwych urzędników, wyczarterować okręt wojenny...

–Z pewnością nie wyczarterować, mój drogi panie. Żadna prywatna osoba nie może wyczarterować okrętu wojennego, należącego do króla i państwa. Nawet w Hiszpanii...

–Tak? Może użyłem niewłaściwego słowa. Często mi się to zdarza, gdy próbuję mówić o sprawach związanych z morzem i żeglugą. Tak czy inaczej, chodzi o groźną i dobrze uzbrojoną jednostkę, której zadaniem jest nie tylko ochrona przybrzeżnych szlaków handlowych. Ma ona też odnaleźć i zniszczyć „Sophie”, która jest teraz świetnie znana zarówno z nazwy, jak i z wyglądu. Powiedział mi to podczas tańca sam kuzyn pana Mateu...

–Podczas tańca? Pan tańczył? – zawołał Jack. Na pewno byłby znacznie mniej zaskoczony, gdyby doktor przyznał, iż jadł po prostu obiad z tym człowiekiem.

–Oczywiście. Dlaczegoż by nie?

–To prawda, że ma pan prawo tańczyć i zapewne jest pan znakomitym tancerzem. Zdziwiłem się tylko... Chyba nie poszedł pan, ot tak sobie, na tańce?

–Poszedłem. Nie był pan nigdy w Katalonii, prawda?

–Nie byłem.

–Muszę wobec tego wyjaśnić panu, iż w niedzielne poranki ludzie mają tam zwyczaj tańczyć po wyjściu z kościoła – niezależnie od wieku i pozycji społecznej. Dlatego tańczyłem z Ramonem Mateu y Cadafalch na placu przed katedrą w Tarragonie, gdzie udałem się, aby wysłuchać Missa brevis Palestriny... Ów szczególny taniec kataloński nazywa się sardana. Jeśli będzie pan tak uprzejmy i poda mi swoje skrzypce, zagram panu fragment melodii. Oczywiście musi pan pamiętać o tym, że nie jestem wirtuozem...

–To urzekająca muzyka – stwierdził Jack, gdy doktor odłożył instrument. – Trochę w arabskim stylu, prawda? Muszę przyznać, że ciarki chodzą mi po plecach, gdy pomyślę, iż włóczył się pan po okolicy... po portach i miastach... Byłem przekonany, że cały czas będzie pan u swojej przyjaciółki, ukryty w jej pokoju... to znaczy...

–Mówiłem panu, że bez najmniejszych obaw mogę przemierzyć ten kraj wzdłuż i wszerz.

–Och tak. Mówił pan... – Aubrey zamyślił się. – Gdyby pan zechciał, bez trudu mógłby się pan dowiedzieć, jakie konwoje lub statki wychodzą w morze, kiedy są spodziewane i jakie przewożą ładunki. Pewnie zdobyłby pan informacje nawet o galeonach?

–Oczywiście, że bym zdobył – zgodził się Stephen – gdybym zechciał bawić się w szpiega. To może wydać się nielogiczne, lecz z mojego punktu widzenia zupełnie inaczej wygląda sprawa, gdy chodzi o wrogów „Sophie”, i inaczej, gdy chodzi o jej zdobycz.

–To prawda... – Jack spojrział na doktora ze smutkiem.

–Nawet ścigana zwierzyna ma swoje prawa. Mówił pan o okręcie wojennym, co panu o nim wiadomo? Co to za jednostka? Jak uzbrojona? Gdzie w tej chwili się znajduje?

–Nazywa się „Cacafuego”.

–„Cacafuego”? Nigdy nie słyszałem tej nazwy. Na pewno nie jest to więc okręt liniowy. Ile ma masztów?

Stephen zastanawiał się przez chwilę.

–Wstyd mi się przyznać, lecz o to nie zapytałem – odparł. – Sądząc jednak ze sposobu, w jaki wymawiano tę nazwę, musi to być coś dużego i groźnego...

–No cóż, powinniśmy zatem schodzić temu okrętowi z drogi. Ponieważ nasza „Sophie” jest im dobrze znana, musimy trochę zmienić jej wygląd. Wystarczy warstwa farby i pas żaglowego płótna... Czasem przydaje się też połatany w charakterystyczny sposób kliwer czy naprawiona prowizorycznie stenga. Właśnie.

Przy okazji... Myślę, że na łodzi powiedziano panu, dlaczego musieliśmy pana zostawić na brzegu?

–Słyszałem o fregatach i zatrzymaniu amerykańskiego statku.

–Tak. Ciekawa sprawa. Nie znaleźliśmy żadnego z poszukiwanych ludzi. Dillon przeszukiwał tego Amerykanina prawie przez godzinę. Prawdę mówiąc, ucieszyło mnie to, gdyż zapamiętałem z rozmowy z panem, iż ci Zjednoczeni Irlandczycy nie są tacy źli. Przynajmniej nie tak jak ci inni... Jak oni się nazywali? Oranżyści.

–Zjednoczeni Irlandczycy? Powiedziano mi, iż szukaliście jakichś Francuzów...

–Ci ludzie tylko udawali, że są Francuzami. To znaczy, udawaliby, gdyby w ogóle byli na tym statku. Dlatego posłałem tam Dillona, który tak dobrze mówi po francusku. Nikogo jednak nie znalazł. Moim zdaniem, cała ta sprawa to jakaś bzdura. Ja byłem z tego zadowolony, lecz Dillon bardzo to przeżył. Wydaje mi się, że chciał ich schwytać, a może wyprowadziła go z równowagi konieczność przerwania patrolu? Od tego czasu... ale nie powinienem pana zanudzać. Czy słyszał pan też o jeńcach?

–O tym, że fregaty przekazały panu pięćdziesięciu więźniów?

–Właśnie. Dla własnej wygody. Wcale nie chodziło o dobro służby. To było podłe i bezczelne nadużycie! – zawołał Jack, jego oczy wściekle zaiskrzyły się na wspomnienie tej sprawy. – Szybko pozbyłem się kłopotu. Po sprawdzeniu Amerykanina skierowaliśmy się w stronę „Amelii”, powiadomiliśmy ich, że na pokładzie nie było poszukiwanych buntowników, i pożegnaliśmy obie fregaty. Ponieważ wiatr nam sprzyjał, w kilka godzin później wysadziliśmy tych wszystkich ludzi na Dragon Island.

–To ta wysepka koło Majorki?

–Tak.

–Czy to nie był błąd? Czy nie zostanie pan ukarany? Czy nie grozi panu sąd wojenny?

Jack skrzywił się i uderzył dłonią w drewniany blat stołu.

–Niech pan wypluje te słowa. Sama myśl o tym potrafi zepsuć człowiekowi cały dzień.

–Naprawdę nie będzie pan miał z tego powodu kłopotów?

–Nie, jeśli wejdę do Mahon ze wspaniałym przyzem za rufą – odpowiedział Jack z

uśmiechem. – Pozostało nam trochę czasu i możemy spokojnie ruszyć w kierunku Barcelony, oczywiście jeśli wiatr nadal będzie nam sprzyjał. Zdążymy uderzyć raz lub dwa i musimy wracać do Mahon z tym, co uda nam się złapać. Nie zdołamy obsadzić następnych przyzów, mamy za mało ludzi. Nie możemy też dłużej być w morzu, bo kończą nam się zapasy. Jeszcze trochę i zaczniemy zjadać się nawzajem.

–Pomimo wszystko...

–Niech pan się tym nie przejmuj, doktorze. W rozkazie nie polecono mi wysadzić jeńców w jakimś konkretnym miejscu. Nie było w ogóle w tej sprawie żadnych poleceń. Rzecz jasna, rozliczę się z należnych za nich pieniędzy. Mam też inne usprawiedliwienie: wszyscy nasi oficerowie formalnie przyznali, iż to brak odpowiedniej ilości prowiantu i wody zmusił mnie do takiego posunięcia. Poparł mnie pan Marshall, Ricketts, nawet Dillon w końcu się zgodził, choć był bardzo oburzony i udawał świętego.

Na pokładzie „Sophie” pachniało sardynkami z rusztu i świeżą farbą. Stali w martwej ciszy, piętnaście mil od przylądka Tortosa. Okręt kołysał się ociężale na martwej fali. Od obiadu minęło pół godziny, lecz błękitny dym po smażeniu ryb, kupionych z łowiącej nocą barcalongi (zakupiono cały połów), wciąż snuł się po pokładach, dookoła żagli, masztów i lin.

Duża grupa ludzi pracowała na ławkach bosmańskich za burtą – pokrywali żółtą farbą czarno-białe, starannie pomalowane w stoczni burty. Żaglomistrz z dwunastoma osobami przygotowywał długi, wąski pas płótna, mający przysłonić furty działowe okrętu. Porucznik opływał bączkiem bryg dookoła, oceniając skutek tych prac. Poza nim w łódce był tylko Stephen Maturin. Rozmawiali. James relacjonował doktorowi wydarzenia ostatnich dni:

–...wszystko. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, by temu zapobiec. Absolutnie wszystko. Złamałem wszelkie zasady. Zmieniłem kurs. Zredukowałem żagle... To wręcz niewyobrażalna samowola... Posuwając się do szantażu i grózb, zmusiłem do posłuszeństwa pierwszego nawigatora. I oczywiście rano ujrzeliśmy ich o dwie mile od nas, na zawietrznej, w miejscu, gdzie nie mieli prawa się znajdować... Ahoj, panie Watt! Sześć cali niżej, na całej długości!

–Mimo to wszystko dobrze się skończyło. Gdyby na pokład tego statku wszedł ktokolwiek inny, ci ludzie zostaliby aresztowani.

Dillon zamilkł. Po chwili przemówił przyciszonym głosem:

–On pochylił się nad stołem, tak że czułem na twarzy jego cuchnący oddech, i z nienawistnym spojrzeniem zaczął stawiać warunki. Już wcześniej zdecydowałem, co zrobię, a wyglądało na to, że przeląknęłam się podłych grózb. W dwie minuty później

uwierzyłem, że tak właśnie było.

–Wiesz przecież, że to nieprawda. Nie możesz tyle o tym rozmyślać, James. Wpędzasz się w depresję. Zapomnij o tym, proszę. Tak będzie lepiej, a pozostałe sprawy są zupełnie bez znaczenia. Niepotrzebnie tak bardzo się nimi przejmujesz. Tak na dobrą sprawę, jakie to wszystko ma znaczenie?

–Musiałbym chyba w trzech czwartych umrzeć, chcąc zapomnieć o czymś takim. Nie da się tego w żaden sposób pogodzić z właściwie pojmowaną uczciwością i poczuciem obowiązku... Panie Watt, teraz jest bardzo dobrze.

Stephen siedział w milczeniu, zastanawiając się, czy wolno mu powiedzieć: „Nie możesz nienawidzić za to Jacka Aubreya. Nie pij też tyle. Niszczysz samego siebie, zamartwiając się z powodu nieistotnych spraw...” Nie wiadomo było, czy podobne słowa nie spowodują wybuchu. James Dillon tylko na pozór był opanowany. W jego wnętrzu kipiało i wystarczyłaby iskra... Nie mogąc się zdecydować, doktor wzruszył ramionami i uniósł prawą dłoń w geście, który należało prawdopodobnie odczytać jako „zapomnijmy o tym”. „Muszę namówić go, by wieczorem zażył coś na uspokojenie, najlepsza będzie mandragora. Tyle przynajmniej mogę dla niego zrobić” – pomyślał. – „W moim dzienniku napiszę: *J.D. postawiony przed koniecznością zagrania roli Judasza, zmuszony przez okoliczności do dokonania wyboru spośród dwóch możliwości, z których żadna nie była uczciwa, znenawidził samego siebie i teraz przelewa swą nienawiść na Bogu ducha winnego J.A. Nie istnieje żadne logiczne wyjaśnienie podobnego postępowania, gdyż tak naprawdę J.D. nie ma nic przeciwko J.A., wprost przeciwnie*”.

–Mam chociaż nadzieję – odezwał się James, gdy płynęli z powrotem w stronę brygu – że wreszcie skończą się te złodziejskie podchody i będzie okazja do otwartej, uczciwej walki. To najlepszy sposób na pogodzenie się z samym sobą... i często z innymi.

–Co robi na rufie ten człowiek w popielato-żółtej kamizelce?

–To Pram. Dowódca przebrał go za duńskiego kapitana. To część naszego planu. Nie pamięta pan żółtej kamizelki, jaką miał na sobie kapitan „Clomera”? To typowy strój Duńczyków.

–Nie pamiętam. Czy takie rzeczy często zdarzają się na morzu?

–Och, tak. To są prawa i reguły wojny. Nierzadko również oszukujemy nieprzyjaciela fałszywymi sygnałami – poza wezwaniem o pomoc w niebezpieczeństwie. Proszę uważać na farbę...

W tym momencie Stephen wpadł z pluskiem do wody, między łodzią a burtą statku, gdyż bączek oddalił się nieco od „Sophie”. Biedak pogrążył się w głębinach,

wynurzył się na chwilę, gdy łódź dotknęła znów brygu, i próbował wcisnąć głowę między złączone ze sobą burty. Ponownie zniknął pod wodą, z głośnym bulgotaniem. Prawie wszyscy umiejący pływać członkowie załogi „Sophie” natychmiast znaleźli się w wodzie, wśród nich także kapitan. Pozostali pobiegli po bosaki, kotwiczki i haki. Stephena znaleźli jednak bracia Grecy – był pięć sążni pod wodą (same kości, ani odrobiny tłuszczu, podkute ołowiem buty) – i oni wyciągnęli go na powierzchnię. Ubranie doktora było jeszcze bardziej czarne niż zwykle, a twarz znacznie bardziej blada. Święcie oburzony, kaszłał i wypluwał wodę.

Nie było to epokowe wydarzenie, lecz dzięki temu w mesie oficerskiej pojawił się temat do rozmów, właśnie teraz, kiedy tak trudno było zachować choćby pozory dawnych stosunków i zażyłości. Przez większość czasu James był ostatnio otępiąły i milczący. Oczy miał przekrwione od grogu, lecz alkohol nie poprawiał jego wisielczego humoru i nie przynosił ukojenia. Pierwszy nawigator również sprawiał wrażenie nieobecnego myślami. Co jakiś czas spoglądał na Dillona ukradkiem. Gdy więc wszyscy zasiedli przy stole, z największą gorliwością podjęto temat korzyści wynikających z niezwykle rzadkiej wśród marynarzy umiejętności pływania: szansa na uratowanie własnego lub cudzego życia, przyjemność (oczywiście w odpowiednim klimacie), możliwość przeniesienia liny na brzeg w nagłych wypadkach. Oczywiście były i ciemne strony – niepotrzebne przedłużanie agonii w przypadku katastrofy lub nie zauważonego przez nikogo wypadnięcia za burtę. Pływanie mogło być postrzegane jako swoiste wyzwanie rzucone naturze (czy Bóg naprawdę chciał czegoś podobnego?) Zastanawiano się też nad zaskakującym faktem, że młode foki nie potrafią pływać. Później tematem rozmowy stało się używanie nadmuchanych pęcherzy podczas nauki pływania oraz wszelkie inne sposoby uczenia się i doskonalenia sztuki utrzymywania się na wodzie.

–Cała trudność polega na tym, by wykonywać odpowiednie ruchy – wyjaśniał ochmistrz już po raz siódmy. – Trzeba złączyć ręce przed sobą, tak jak podczas modlitwy... – Pan Ricketts przymrużył oczy i bardzo starannie złożył dłonie. – ... potem szybkim ruchem należy je rozchylić szeroko, o tak... – Tym razem uderzył w stojącą na stole butelkę, która upadła na półmisek z pieczenia i oblepiona tłustym sosem poleciała dalej, prosto na kolana pana Marshalla.

–Wiedziałem, że pan to zrobi! – zawołał nawigator, wstając. Próbował zetrzeć plamę. – Mówiłem panu, że prędzej czy później przewróci pan tę cholerną flaszkę. I tak nie potrafi pan nawet przez sekundę utrzymać się na wodzie! Gada pan tylko bez sensu, jak obłąkany. Zniszczył pan moje najlepsze nankinowe spodnie...

–Nie zrobiłem tego celowo – powiedział ochmistrz ostrożnie. Zapadła ponura cisza.

Trudno byłoby powiedzieć, że halsująca wytrwale pod wiatr „Sophie” jest szczęśliwym i wesołym okrętem z zadowoloną załogą. Jack siedział sam w swej pięknej, malutkiej kabinie i przeglądał *Navy List* Steela. Czuł się bardzo podle. Nie

tyle z powodu wielkiej liczby nazwisk ludzi wyższych od niego rangą, ile z racji panującego na okręcie nastroju. Nie mógł zrozumieć tajemniczych zgryzot i rozterek dręczących Dillona i pana Marshalla. Nie wiedział, że trzy jardy dalej porucznik próbuje pokonać wszechogarniającą rozpacz, odmawiając kolejną z rzędu litanie. James myślał już nawet o porzuceniu służby we flocie, o rezygnacji, lecz teraz modlił się tylko, mechanicznie powtarzając wyuczone słowa. Pozostała część jego umysłu zajęta była obracaniem dręczącego duszę niepokoju w nienawiść. W dziką nienawiść wobec ustalonego porządku, władzy, a co za tym idzie i kapitana; wobec wszystkich ludzi, którzy nie stając nigdy przed koniecznością dokonania wyboru między honorem a poczuciem obowiązku, bez chwili zastanowienia gotowi byłiby jednoznacznie ocenić to, co zaszło na pokładzie amerykańskiego statku. O kilka cali nad głową Aubrey słyszał kroki pierwszego nawigatora, który chodził po pokładzie. Również w tym przypadku nie potrafiłby pewnie pojąć szczególnego stanu, w jakim znajdowało się kochające serce tego poczciwego człowieka. Nie rozumiałby skłębionych emocji i panicznego lęku przed zdemaskowaniem. Jack doskonale wiedział, że cały jego – Jacka zamknięty, uporządkowany świat zupełnie się rozstroił. Najbardziej bolało go poczucie klęski – nie udało się zrealizować tak wielu zamierzeń i planów. Bardzo chciał pomówić o tym ze Stephenem Maturinem, chciał prosić go o wyjaśnienie przyczyn owej porażki, podyskutować o czymś nieistotnym i pomuzykować. Wiedział jednak, że zaproszenie do kapitańskiej kabiny jest czymś w rodzaju rozkazu, nie tylko dlatego, iż odmowa byłaby zachowaniem więcej niż niezwykłym. Uświadomił to sobie bardzo jasno, gdy Dillon zrezygnował z wspólnego śniadania. Kiedy nie było mowy o równości, nie było też nadziei na partnerstwo i szczerą przyjaźń. Gdy człowiek musi na każde pytanie odpowiadać „Tak, sir”, jego zgoda na cokolwiek nie jest wiele warta, nawet jeśli zdarzy się, iż nie została wymuszona. Jack zdawał sobie z tego sprawę od początku służby na morzu – zawsze wydawało mu się to oczywiste; mimo to nie przypuszczał, że on sam tak boleśnie zetknie się z tym problemem. Trochę niżej, w prawie pustym kubryku podchorążych, również panował smętny nastrój, o wiele bardziej odczuwalny i wyraźny, gdyż obaj chłopcy siedzieli ze łzami w oczach. Gdy Mowett i Pullings przeszli na przyzy, dwaj pozostali podchorążowie musieli na zmianę trzymać wachtę, co oznaczało, iż żaden z nich nie mógł pospać dłużej niż cztery godziny. Trudno znieść podobną sytuację w tak młodym wieku, kiedy wylegiwanie się w hamaku jest jedną z największych przyjemności. Na dodatek, pisząc posłusznie listy do domu, umazali się atramentem, za co otrzymali surową reprimendę, gdy tylko pojawili się na pokładzie. Babbington, nie wiedząc, o czym pisać, wypełnił kartki pytaniami o wszystkich w domu i w okolicy. Pytał o ludzi, psy, konie, koty, ptaki, a nawet o wielki zegar w przedpokoju, i ogarnęła go niewyobrażalna wręcz nostalgia. Obawiał się ponadto, iż wkrótce jego włosy i zęby zaczną wypadać, kości staną się miękkie, a twarz i całe ciało pokryje się wrzodami. Starszy i o wiele bardziej doświadczony klerk, Richards, zapewnił go, iż tak kończą się nieuchronnie rozmowy z prostytutkami. W przypadku młodego Rickettsa sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Jego ojciec, ochmistrz, sporo ostatnio mówił o przeniesieniu na pływający magazyn

lub okręt transportowy, do bardziej spokojnej i bezpiecznej służby – podchorąży z zachwytem myślał o możliwym rozstaniu. Okazało się, iż separacji nie będzie, gdyż pan Ricketts zamierzał zabrać syna z sobą, a to oznaczało konieczność zerwania z „Sophie” i życiem, które tak kochał. Pan Marshall, widząc, w jak opłakanym stanie ducha znajduje się chłopak, odesłał go na dół. Młody człowiek siedział na swoim kuferku, zbyt wyczerpany, by wejść do hamaka, spod wciąż umazanych atramentem palców płynęły łzy.

Przed masztem nastrój był trochę lepszy, choć paru ludzi (było ich tym razem więcej niż zwykle) z niepokojem oczekiwało czwartkowego poranka, kiedy to mieli zostać wychłostani. Pozostali nie mieli specjalnych powodów do zmartwień, pomijając oczywiście ciężką pracę i marne wyżywienie. Załoga „Sophie” była wystarczająco zgraną społecznością i wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że na okręcie coś nie jest w porządku i że chodzi nie tylko o zmienne ostatnio humory oficerów. Nie domyślali się jednak, dlaczego wszystko się zmieniło. Panujące na pokładzie rufówki przygnębienie powoli rozpląnęło się po całym okręcie i doszło aż do kóz, komory łańcuchowej i kotwic.

Nie można więc było powiedzieć, że załoga „Sophie” jako całość była w najlepszej formie psychicznej, gdy okręt halsując, płynął przez noc i zmagał się ze słabnącą powoli tramontaną. Podobnie było nad ranem, gdy północny wiatr zmienił się w napływające z południowego zachodu kłęby mgły, urokliwe pewnie dla tych, którzy nie musieli żeglować blisko brzegu. Pojawiły się też pierwsze oznaki nadchodzącego upalnego dnia. Wszystko to było niczym w porównaniu ze skrajnym napięciem, smutkiem, a może nawet lękiem, jaki panował na pokładzie rufówki w chwili, gdy Stephen po wschodzie słońca wyszedł na górę.

Obudził go odgłos bębna wzywającego wszystkich na stanowiska. Doktor poszedł bezzwłocznie do kokpitu i tam, przy pomocy Cheslina, przygotował swoje instrumenty. Czyjaś ożywiona i uradowana twarz zajrzała w głąb zejściówki z informacją, iż za przyładkiem został dostrzeżony olbrzymi xebek, częściowo zasłonięty przez ład. Maturin skinął głową, w podziękowaniu za wiadomość, i spokojnie zajął się ostrzeniem lancetów i piły chirurgicznej, używając w tym celu małej osełki zakupionej specjalnie w Tortosie. Czas mijał i w zejściówce ukazała się druga twarz, tym razem blada i zatroskana, z pozdrowieniami od kapitana i prośbą, by Stephen zgłosił się na pokładzie.

–Dzień dobry, doktorze – powitał go Jack. Maturin natychmiast zwrócił uwagę na wymuszony uśmiech i niepokój w oczach kapitana. – Wygląda na to, że trafiliśmy na kogoś sprytniejszego od siebie... – Ruchem głowy wskazał na długi, uderzająco piękny okręt o jasnoczerwonych burtach, wyraźnie widoczny na tle urwistego wybrzeża. Był głęboko zanurzony (czterokrotnie większy niż „Sophie”) i miał coś w rodzaju wysokiej platformy, wysuniętej mocno do tyłu, tak iż rufa znajdowała się daleko poza nawisem kadłuba. Podobny do ptasiego dzioba występ wychodził

również do przodu, o dobre dwadzieścia stóp przed dziobnicę. Na stermaszcie i grotmaszcie zawieszane były olbrzymie, zakrzywione i zwężające się z obu stron łańskie reje. Ich żagle gubiły wiatr, tak by „Sophie” mogła się zbliżyć. Nawet z tej odległości Stephen zdołał zauważyć, że także reje pomalowane były na czerwono. Na skierowanej w stronę brygu prawej burcie widać było szesnaście furt działowych, na pokładach tłoczyło się mnóstwo ludzi.

–To xebek-fregata o trzydziestu dwu działach – wyjaśnił Jack. – Na pewno hiszpańska. Te jej furty działowe bardzo nas zmyliły, do ostatniej chwili myślałem, że to statek handlowy, no i prawie cała załoga była pod pokładem. Panie Dillon, niech jeszcze kilku ludzi dyskretnie zejdzie na dół. Panie Marshall, proszę posłać trzech, nie więcej, ludzi, niech zajmą się fokmarslem. Mają to robić powoli i niezdarnie. Anderssen, zawołaj coś po duńsku i powieś to wiadro na linie za burtą. – Zwracając się znów do Stephena, Aubrey ściszył głos: – Widzi pan, jacy z nich spryciarze? Te furty działowe otworzyły się dopiero dwie minuty temu, przedtem nie było ich widać, tak są pomalowane. Chociaż zamierzali właśnie zmienić ożaglowanie z łańskiego na prostokątne, rejowe – proszę spojrzeć na ich fokmaszt – natychmiast mogą z powrotem postawić łańskie żagle i dopaść nas w jednej chwili. Nie możemy uciekać, nie mamy wyboru. Zobaczymy, może uda nam się ich zmylić... Panie Ricketts, czy przygotował pan flagi? Proszę zdjąć kurtkę i wrzucić ją do schowka. Tak, odezwali się... – Na pokładzie rufowym fregaty odezwało się działo – pocisk przeleciał przed dziobem brygu, na maszcie, ponad obłokiem dymu po wystrzale ostrzegawczym, pojawiła się hiszpańska bandera. – Teraz, panie Ricketts – polecił Jack. Pod gaflem „Sophie” rozwinęła się bandera królestwa Danii, a na fokmaszcie żółta flaga kwarantanna. – Pram, podejdź tutaj i pomachaj rękami. Wydawaj głośno rozkazy po duńsku. Panie Marshall, proszę podejść do nich nieudolnie na odległość jednego kabla. Nie bliżej.

Dystans między jednostkami malał powoli. Na pokładzie „Sophie” panowała martwa cisza. Od strony fregaty dolatywał gwar ożywionych rozmów. Jack stanął za sterem, tuż za plecami Prama, w samej koszuli i spodniach, bez kurtki mundurowej.

–Proszę spojrzeć, ilu tam jest ludzi – powiedział do Stephena. – Trzystu albo więcej. Za kilka minut krzykną do nas. Pram powie im wtedy, że jesteśmy duńskim statkiem handlowym, który kilka dni temu wyszedł z Algieru. Bardzo pana proszę o pomoc w tej rozmowie. Może pan użyć hiszpańskiego lub każdego innego języka, jaki wyda się panu stosowny...

–Jak się nazywa ten bryg? – rozległo się wołanie z pokładu fregaty.

–Głośno i wyraźnie, Pram – szepnął Jack.

–„Clomer”! – zawołał ubrany w żółto-popielatą kamizelkę Duńczyk. Jego okrzyk powrócił, odbity od skalistego brzegu, tak samo niepokorny i wyzywający, lecz

znacznie cichszy.

–Fokmarsel na wiatr, powoli, panie Marshall – wycedził Jack przez zęby. – Niech ludzie zostaną przy brasach – mruknął cicho, gdyż wiedział, iż w tej chwili lunety hiszpańskich oficerów na pewno skierowane są na rufę „Sophie”. Uległ złudnemu przeświadczeniu, iż szkła optyczne mogą również wzmocnić jego głos.

Bryg zaczął zwalniać; w tym samym czasie rozproszyły się zwarte grupki ludzi na pokładzie fregaty – obsady dział. Jack pomyślał, iż wszystko się skończyło, i jego serce, przedtem uśpione, znów zabiło głośno. Jednak nie. Przy burcie hiszpańskiego okrętu pojawiła się łódź.

–Chyba nie unikniemy walki – powiedział. – Panie Dillon, działa oczywiście są podwójnie załadowane?

–Potrójnie, sir – odparł James. Stephen dostrzegł w jego twarzy ową szczególną, bliską obłędu radość, którą tak dobrze zapamiętał z dawnych lat. Dillon przypominał lisa, który za chwilę zrobi coś absolutnie szalonego.

Za sprawą bryzy i prądu „Sophie” powoli zbliżała się do fregaty, której załoga z powrotem zajęła się zmianą ożaglowania z łacińskiego na rejowe. Ludzie tłoczyli się na wantach, spoglądając z zaciekawieniem na bryg, do którego podpływała łódź wysłana z ich okrętu.

–Zawołaj ich oficera, Pram – polecił Jack i Duńczyk podszedł do relingu. Powiedział coś głośno po duńsku. Było to dość długie zdanie, wypowiedziane głośno i wyraźnie, lecz z pewnością niezrozumiałe dla kogoś, kto nie znał tego języka. Nazwa Algier nie zabrzmiała w jakiegokolwiek znanej formie. Z trudem można było się domyślić, iż Pram dwukrotnie wspomniał coś o wybrzeżu Afryki.

Człowiek siedzący na dziobie łodzi miał właśnie dotknąć bosakiem burty „Sophie”, gdy Stephen Maturin odezwał się po hiszpańsku, z wyraźnym skandynawskim akcentem:

–Czy macie na okręcie lekarza, który potrafi leczyć zarazę? Hiszpański marynarz opuścił bosak.

–A o co chodzi? – zapytał oficer.

–Kilku naszych ludzi zachorowało w Algierze i wszyscy jesteśmy bardzo wystraszeni. Nie wiemy, co im jest.

–Do tyłu – polecił oficer wioślarzom. – Jak nazywał się ten port?

–Algier, Argel, jakoś tak. Właśnie tam ci ludzie schodzili na ląd. Czy wie pan może,

jakie są objawy zarazy? Czy występuje obrzęk, opuchlizna? Proszę, niech pan wejdzie na nasz pokład i rzuci na nich okiem. Podam panu linę.

–Do tyłu – powtórzył polecenie Hiszpan. – Oni schodzili na ląd w Algierze?

–Tak. Przyślecie do nas waszego lekarza?

–Nie. Niech Matka Boska ma was w swojej opiece, biedacy.

–Czy możemy wobec tego popłynąć na wasz okręt po lekarstwa? Proszę pozwolić mi zejść do łodzi...

–Nie – odpowiedział oficer i przeżegnał się szybko. – Nie, nie. Trzymajcie się z daleka, bo zaczniemy do was strzelać. Płyńcie na otwarte morze. Morze ich wyleczy. Bóg z wami. Szczęśliwej podróży... – zawołał i polecił marynarzowi wyrzucić bosak za burtę. Łódź pomknęła z powrotem.

Dzieliła ich niewielka odległość i jakiś głos z pokładu hiszpańskiej jednostki wykrzyknął kilka słów po duńsku. Pram odpowiedział, a wysoki, szczupły mężczyzna, stojący na pokładzie rufówki, na pewno dowódca fregaty, zapytał, czy nie widzieli angielskiego okrętu wojennego, brygu.

–Nie – odparli i gdy zaczęli się od siebie oddalać, Jack wyszeptał:

–Proszę zapytać, jak ten okręt się nazywa.

–„Cacafuego” – padła odpowiedź. – Szczęśliwej podróży.

–Dziękujemy, szczęśliwej podróży...

–A więc to jest fregata – stwierdził Stephen, patrząc w stronę „Cacafuego” uważnie.

–Xebek-fregata – wyjaśnił Jack. – Niech ludzie wolniej ciągną te brasy, panie Marshall. Bez pośpiechu... Xebek-fregata. Niezwykle interesujące ożaglowanie, prawda? Nie ma chyba szybszej jednostki, tak mi się przynajmniej zdaje: szeroki kadłub, by mógł nieść olbrzymią powierzchnię żagli, i bardzo wąski pokład. Do obsługi takiego okrętu potrzeba wyjątkowo licznej załogi. Widzi pan... Przy kursach na wiatr używa się żagli łacińskich, lecz gdy wiatr wieje od rufy, zdejmuje się je na pokład, a na ich miejsce zakładane są reje, na których stawia się prostokątne płótna. Oczywiście taka operacja jest pracochłonna. Załoga tej fregaty musi liczyć co najmniej trzystu ludzi. Właśnie zmieniają osprzęt z łacińskiego na rejowy, co oznacza, iż zamierzają popłynąć w górę wybrzeża. My powinniśmy więc udać się na południe, specjalnie nie zależy nam na takim towarzystwie. Panie Dillon, może zerkniemy na mapę? – Dobry Boże... – powiedział Jack, klaszcząc w dłonie i śmiejąc się radośnie. Siedział za stołem w swojej kabinie. – Myślałem, że tym razem nam się

dostanie, że nas zatopią, spalą, powywieszają lub wezmą do niewoli'. Nasz doktor to prawdziwy skarb! Jak sprytnie poruszał tą liną, jak ich zapraszał na pokład! Rozumiałem wszystko, chociaż mówił tak szybko. Cha, cha, cha. Czy to nie było zabawne?

–Bardzo zabawne, to prawda, sir.

–Doktor powiedział *Que vengan* nieszczęśliwym głosem i poruszył liną, a oni cofnęli się, posępni i przejęci... Wyglądali jak sowy. *Que vengan*, cha, cha, cha. O Boże... Widzę jednak, że pana to nie bawi?

–Jeśli mam być szczery, sir, zbyt byłem zaskoczony faktem, iż rezygnujemy z walki, i nie w głowie były mi żarty.

–Tak? Dlaczego? – zapytał Jack z uśmiechem. – Co pańskim zdaniem mieliśmy zrobić? Zaatakować ich?

–Sądziłem, iż takie właśnie mieliśmy zamiary – odpowiedział James z pasją. – Myślałem, że chce pan na nich uderzyć. Byłem tym zachwycony.

–Bryg o czternastu działach przeciwko trzydziestodwudziałowej fregacie? Chyba nie mówi pan poważnie?

–Jak najbardziej. W chwili, gdy podnosili łódź, a połowa załogi pracowała na masztach, nasza salwa burtowa i muszkiety rozniosłyby ich na strzępy. Przy tej bryzie bylibyśmy na pokładzie fregaty, zanim ci biedacy zdążyliby się pozbierać.

–Och, to tylko przypuszczenia. Ponadto takie zdradzieckie uderzenie nie byłoby zbyt honorowe.

–Być może nie znam się na sprawach honoru – rzekł Dillon. – Wyraziłem tylko swoje prywatne zdanie.

Mahon. „Sophie” spowita w kłęby dymu – obie salwy burtowe jedna po drugiej, potem jeszcze jedna salwa – w salucie dla admirałskiej flagi na maszcie „Fourdroyanta”. Imponujące cielsko admirałskiego okrętu, leżące pomiędzy Pigtail Steps i nabrzeżem artyleryjskim.

Mahon. Schodzący na przepustkę na ląd marynarze, wypychający kieszenie pieczoną wołowiną i świeżym chlebem. Coraz lepsze humory, ogólne zadowolenie. Otwierane jedna po drugiej beczki z winem, masowy ubój świń, młode kobiety schodzące się tłumnie z daleka i z bliska.

Aubrey siedział na krześle, sztywny i wyprostowany. Miał spocone dłonie, zaschło mu w gardle, z trudem przełykał ślinę. Brwi lorda Keitha były czarne, mocno

posrebrzone siwizną. Zimne spojrzenie szarych oczu siedzącego po drugiej stronie stołu admirała zdawało się przeszywać Jacka na wylot.

–A więc twierdzi pan, że został pan do tego zmuszony? Że było to absolutną koniecznością?

Admirał mówił oczywiście o jeńcach wysadzonych na Dragon Island. Ta właśnie sprawa była głównym tematem rozmowy.

–Tak, Wasza Wysokość.

Dowódca floty śródziemnomorskiej zamilkł na krótką chwilę.

–Gdyby kierowało panem lekceważenie zasad dyscypliny – przemówił wreszcie – gdyby okazało się, iż wyżej ceni pan sobie własne zdanie niż polecenia przełożonych, byłbym zmuszony do podjęcia bardzo stanowczych kroków. Lady Keith darzy pana wielką sympatią, kapitanie Aubrey. Zapewne wie pan o tym... Przykro byłoby mi obserwować, jak w bezsensowny sposób marnuje pan szansę na dalszą karierę. Będę więc rozmawiał z panem zupełnie szczerze...

Już widząc śmiertelnie poważną twarz sekretarza admirała, Jack domyślił się, iż to spotkanie nie będzie przyjemne. To, co nastąpiło, okazało się o wiele bardziej przykre niż najgorsze przypuszczenia. Lord Keith był niezwykle dobrze poinformowany. Znał wszystkie szczegóły: oficjalna nagana za drażliwość i konfliktowość; lekceważenie rozkazów (zarzut poparty był kilkoma przykładami); działanie na własną rękę; zuchwałość granicząca z niesubordynacją; pogłoski o niewłaściwym zachowaniu na lądzie; pijaństwo i tak dalej. Wszystko to sprawiło, iż nie widział dla Jacka najmniejszej szansy na awans. Mimo to kapitan Aubrey nie powinien zbytnio się tym przejmować, gdyż wielu ludziom nigdy nie udało się zostać dowódcami okrętów, a to bardzo odpowiedzialne stanowisko. Z pewnością nie można powierzyć zespołu okrętów liniowych komuś, kto będzie próbował rozgrywać bitwę zgodnie z własną, nieodpowiedzialną strategią. Nie, nie ma najmniejszych szans na awans, chyba że wydarzy się coś nadzwyczajnego. Dotychczasowy przebieg służby kapitana Aubreya bardzo daleki był od tego, czego można by sobie życzyć... Lord Keith mówił powoli, z powagą, starannie dobierając wyrazy, fakty i intonację głosu. Z początku Jack cierpiał tylko, niespokojny i zawstydzony, lecz z czasem w jego sercu zapaliła się iskra, która wkrótce mogła przerodzić się w płomień trudnego do opanowania gniewu. Spuścił więc nisko głowę, przekonany, iż bez trudu można było ową złość wyczytać z jego twarzy.

–Z drugiej jednak strony – kontynuował admirał – jest pan wspaniałym dowódcą okrętu. Ma pan też sporo szczęścia. Żaden inny patrolowiec nie narobił tak dużo zamieszania w nieprzyjacielskiej żegludze i żaden inny nie zdobył tylu przyzów. Dlatego zaraz po powrocie z Aleksandrii wypłynie pan na kolejny patrol.

–Dziękuję, Wasza Wysokość...

–Moja decyzja wywoła na pewno sporo krytyki i zazdrości, lecz szczęście nie sprzyja nikomu zbyt długo... takie są przynajmniej moje osobiste doświadczenia. Powinniśmy mu więc trochę pomagać.

Jack podziękował raz jeszcze, podkreślając, iż szczególnie jest wdzięczny admirałowi za jego życzliwość i dobre rady, przekazał pozdrowienia dla Lady Keith i wyszedł. Ogień w sercu płonął pomimo obiecanego patrolu i Aubrey z trudem dotrwał do końca rozmowy. Gdy opuszczał admirałską kabinę, miał taki wyraz twarzy, iż z ust stojącego przy drzwiach wartownika natychmiast zniknął ironiczny uśmiech i żołnierz zeszywniał z przerażenia.

„Jeśli teraz ten śmieć Harte spróbuje rozmawiać ze mną w taki sam sposób...” – rozmyślał Jack, idąc ulicą – „...rozkwaszę mu nos i niech diabli wezmą służbę w marynarce!” Potrącił stojącego na chodniku przechodnia, który uderzył mocno o ścianę.

–Mercy, kochanie! – zawołał, wchodząc po drodze do gospody „Pod Koroną”. – Przynieś mi wina, kochana, i *aguardiente... Copito*. Niech szlag trafi wszystkich admirałów – mruknął pijąc chłodne, zielone, kwiatowe wino.

–Ten stary admirał to przecież wspaniały człowiek, capitano... – powiedziała Mercedes, strzepując niewidoczny pyłek z kołnierza mundurowej kurtki Jacka. – Wyśle pana na patrol, gdy tylko wróci pan z Aleksandrii...

Jack spojrzał na nią uważnie.

–Mercy, *querido* - westchnął. – Gdybyś wiedziała o ruchach hiszpańskich okrętów chociaż połowę tego, co wiesz o naszych, mogłabyś naprawdę mnie uszczęśliwić... – Przełknął ostatni łyk mocnego koniaku i poprosił o kolejny kieliszek wina, które tak bardzo mu smakowało.

–Mam ciotkę... – wyjaśniła dziewczyna. – Ona sporo wie...

–Naprawdę, moja kochana? – zainteresował się Jack. – Opowiesz mi o niej dziś wieczorem. – Pocałował Mercy niedbale i wcisnął głębiej na nową perukę obszywaną złotem kapelusz. – Teraz do tego śmiecia... – rzekł do siebie.

Kapitan Harte był jednak bardziej niż uprzejmy i gratulował Jackowi akcji w Almoraira.

–...ta bateria brzegowa napsuła nam sporo krwi. Pociski z tych dział trzy razy trafiły w kadłub „Pallas”, a „Emerald” stracił tam stengę jednego ze swych masztów. Już dawno należało zrobić z tym porządek. – Chwilę później Jack został zaproszony na

obiad. – Proszę koniecznie przyprowadzić ze sobą pańskiego lekarza. Moja żona specjalnie prosiła, bym o nim nie zapomniał.

–Jestem pewny, że sprawi mu to wielką przyjemność. Oczywiście jeśli nie jest już z kimś umówiony. Co słyhać u pani Harte? Muszę przekazać jej wyrazy mego uszanowania.

–Och, dziękuję w jej imieniu... Dziś rano nie uda się panu z nią zobaczyć. Pojechała na konną przejażdżkę... Towarzyszy jej pułkownik Pitt. Nie wiem, jak ona wytrzymuje ten upał. Tak przy okazji... Chciałbym prosić pana o przysługę... – Jack spojrzał na komendanta uważnie, nie zdradzając większego zainteresowania. – Mój doradca finansowy pragnie wysłać swego syna na morze. Brakuje panu na okręcie młodzika, więc chyba nie będzie z tym większych trudności. To bardzo porządna rodzina. Matka tego chłopca chodziła do szkoły razem z Molly. Pozna ich pan podczas obiadu...

Stephen klęczał na podłodze, z głową tuż przy blacie stołu. Obserwował, jak samiec modliszki powoli i ostrożnie zbliża się do samicy – wspaniałej, zielonej, dobrze zbudowanej. Stała wyprostowana na czterech tylnych nogach. Jej przednie odnóża przypominały złożone pobożnie ręce. Od czasu do czasu jej ciałem wstrząsało silne drżenie, cienki odwłok wibrował gwałtownie i za każdym razem brązowy samiec odskakiwał do tyłu. Szedł uważnie, w poprzek stołu, wysuwając daleko groźne, uzbrojone w zęby przednie nogi i wyciągając czułki. Nawet w tak silnym świetle Stephenowi udało się dostrzec niezwykle wewnętrzny płomień, ukryty w głębi dużych, owalnych oczu owada. Samica powoli obróciła głowę o czterdzieści pięć stopni, jakby spoglądając ukradkiem na zalotnika. „Czy to nawiązanie znajomości?” – pytał Stephen sam siebie, unosząc szkło powiększające. Chciał jak najdokładniej widzieć wszystkie ruchy czulek samicy. – „A może to przyzwolenie?”

Brązowy samiec najwyraźniej zrozumiał to spojrzenie w ten właśnie sposób i trzema szybkimi ruchami znalazł się na swej wybrance. Jego nogi przycisnęły pokrywy jej skrzydeł, a czułki pieściły jej czułki. Oprócz elastycznego, zamortyzowanego miękko wstrząsu, w chwili, gdy na jej grzbiecie pojawił się dodatkowy ciężar, modliszka nie zareagowała w żaden widoczny sposób. Nie sprzeciwiała się i po krótkiej chwili rozpoczęła się gwałtowna kopulacja. Maturin nastawił zegarek i zapisał czas w otwartym na podłodze zeszytcie.

Mijały minuty. Samiec zwolnił nieco uścisk. Samica poruszyła trójkątną głową, obracając ją powoli z lewa na prawo. Przez lupę doktor widział otwierające i zamykające się szczęki. Nagle nastąpiła seria gwałtownych ruchów, za którymi pomimo maksymalnie wytężonej uwagi nie mógł nadażyć. Podobna do malutkiej cytryny głowa samca leżała tuż pod zielonymi, złożonymi jak do modlitwy przednimi odnóżami samicy, która zatopiła zęby w odgryzionym fragmencie swego kochanka. Płonący w jego oczach ogień zgasł. Uczepiony jej pleców odwłok kopulował dalej,

Jeszcze silniej niż przedtem, pozbawiony wszelkich zahamowań.

–Ach! – wykrzyknął Stephen z nie ukrywaną satysfakcją i znów zanotował czas.

Dziesięć minut później modliszka odcięła trzy części długiego tułowia samca i pożarła je z wyraźnym apetytem, rozrzucając przed sobą cząstki chitynowego pancerza. Kopulacja trwała.

–Jest pan! – zawołał Jack. – Czekam na pana już od piętnastu minut!

–Och, przepraszam... – powiedział Stephen, wstając. – Naprawdę przepraszam. Wiem, jak wielką wagę przywiązuje pan do punktualności. Bardzo mi przykro. Musiałem cofnąć zegarek na początku kopulacji – wyjaśnił, sprawnym ruchem przykrywając modliszkę i jej obiad niedużym pudełkiem z otworami. – Już idę z panem.

–Nigdzie pan nie idzie – powstrzymał go kapitan. – Nie w tych pańskich nieszczęsnych butach. Dlaczego podbił je pan ołowiem?

W każdej innej sytuacji Maturin ostro zareagowałby na podobne słowa. Tym razem doskonale zdawał sobie sprawę z tego, iż przedpołudnie spędzone u admirała na pewno nie było dla Jacka przyjemne. Włożywszy pantofle, rzekł tylko:

–Żeby zaspokoić samicę, czasem nie potrzeba głowy, a często nawet i serca...

–Przypomniał mi pan o czymś – zawołał Jack. – Czy ma pan coś, co przytrzymałoby na głowie moją perukę? Przydarzyło mi się coś bardzo zabawnego. Przechodziłem przez plac i po drugiej stronie ujrzałem Dillona, idącego pod ramię z jakąś kobietą. Jak mi się zdaje, była to siostra gubernatora Walia. Porucznik zasalutował, a ja chcąc odpowiedzieć szczególnie uprzejmie, uchyliłem kapelusza. Wie pan... No i oczywiście razem z kapeluszem zdjąłem z głowy tę przekłętą perukę. Może się pan z tego śmiać, to rzeczywiście zabawne zdarzenie, lecz dla mnie nie było w tym nic wesołego. Niepotrzebnie się ośmieszyłem.

–Proszę, oto kawałek plastra – powiedział Stephen. – Proszę pozwolić mi go złożyć i umieścić na pańskiej głowie. Bardzo mi przykro z powodu tej nieprzyjemnej chyba dla obu panów historii...

–To naprawdę było nieprzyjemne – zgodził się Jack, schylając głowę, by doktor mógł przykleić plaster. Ponieważ znajdowali się na neutralnym gruncie, na lądzie, gdzie nie obowiązywały niektóre morskie zasady, Jack zdobył się na wyjątkową szczerość: – Nigdy w życiu nie byłem tak zaskoczony jak ostatnio. Dillon postawił mi otwarty zarzut... nie ośmielę się powiedzieć, jaki... w sprawie „Cacafuego”. W pewnej chwili chciałem zażądać wyjaśnień i satysfakcji. Zrezygnowałem jednak, gdyż nie jest to wcale taka prosta sprawa. Żaden z nas nie mógłby czuć się zwycięzcą. Gdybym

go pokonał, byłoby po prostu po nim. Gdyby to on zwyciężył, natychmiast usunięto by go z marynarki, co w istocie oznacza dla niego to samo...

–To prawda. James jest bardzo związany ze służbą.

–W każdym przypadku niepotrzebnie ucierpiałaby „Sophie”. Niech szlag trafi tego człowieka... Jest najlepszym porucznikiem, jakiego można sobie wymarzyć: surowy, lecz nie okrutny wobec ludzi; doskonały żeglarz; z kimś takim jak on nie trzeba zawracać sobie głowy drobiazgami i codziennymi sprawami. Wolę myśleć, że on nie pragnął mnie urazić.

–Na pewno nie chciał zarzucić panu braku odwagi – rzekł Stephen z przekonaniem.

–Czy na pewno nie chciał? – Jack z powątpiewaniem pokręcił głową, patrząc doktorowi prosto w oczy i bawiąc się trzymaną w rękę peruką. – Ma pan ochotę na obiad w domu państwa Harte? – zapytał po chwili. – Muszę tam pójść i pańskie towarzystwo sprawiłoby mi wielką przyjemność. Oczywiście pod warunkiem, iż nie jest pan zaproszony gdzie indziej...

–Obiad? – zawołał Stephen tak uradowany, jakby ten posiłek dopiero co wynaleziono. – Obiad! Oczywiście, bardzo się cieszę.

–Czy jest gdzieś u pana lustro? – zapytał kapitan, wstając.

–Nie, niestety nie. Lustro jest w pokoju pana Floreya. Zajrzemy tam po drodze.

Jack lubił wyglądać elegancko. Chętnie wkładał najlepszy mundur ze złotym epoletem. Zwykle nie przejmował się zbyt swą urodą. Do tej pory nie zdarzyło mu się oglądać w lustrze własnej twarzy dłużej niż przez dwie minuty. Tym razem przyjrzał się sobie uważnie. To, co zobaczył, mocno go zmartwiło.

–Coś mi się zdaje, że nie wyglądam najlepiej...

–To prawda – zgodził się Stephen.

W pierwszym dniu postoj u kapitan ściął resztki swej fryzury i kupił perukę, chcąc przysłonić odrastające włosy. Nic jednak nie mogło ukryć oparzeń na twarzy, która na dodatek opaliła się nierówno pomimo leczniczej maści doktora. Obrzęk dookoła oka żółkł i zsiniał. Lewa strona głowy nieodparcie przywodziła na myśl afrykańskiego mandryla.

Po załatwieniu spraw w biurze agenta przowego (przyjęto ich wyjątkowo serdecznie – same uśmiechy i ukłony) obaj udali się na proszony obiad, do komendanta portu. Jack zostawił Stephena na dziedzińcu – doktor z najwyższą uwagą przyglądał się małej żabie skaczącej obok fontanny – sam zaś wszedł do

chłodnego przedpokoju, w którym spotkał Molly Harte. Była sama.

–Boże, Jack! – zawołała na jego widok. – Peruka?

–Tylko na razie – wyjaśnił, podchodząc bliżej.

–Ostrożnie – wyszeptała, odsuwając się na bok i stając za stołem wykonanym z jaspisu, onyksu oraz kornaliny. Ów mebel, szeroki na trzy stopy, długi na siedem i pół stopy, ważył dziewiętnaście cetnarów. – Służba...

–Dzisiaj w nocy w altanie, dobrze? – rzekł Aubrey cicho.

Potrząsnęła głową z dziwnym grymasem na twarzy i odpowiedziała prawie bezgłośnie:

–Dzisiaj nie, jestem niedysponowana... – Dalej mówiła normalnym tonem: – Pozwól, że opowiem ci o Ellisach... Będą dziś u nas na obiedzie. Ona jest ponoć moją daleką krewną, tak przynajmniej twierdzi. Uczęszczaliśmy razem do szkoły pani Capell. Letycja jest ode mnie dużo starsza, była wtedy dla mnie jedną z tych dorosłych już panien. Poślubiła potem właśnie pana Ellisa, finansistę z City. To naprawdę godny szacunku i dobrze wychowany człowiek, niezwykle bogaty. Bardzo dobrze opiekuje się naszymi pieniędzmi. Z tego, co mi wiadomo, mój mąż, kapitan Harte, ma wobec niego jakieś zobowiązania. Od dawna znamy się też z Letycją. Widzisz więc, że w grę wchodzi tu... jakby to powiedzieć... podwójna zażyłość? Chcą wysłać swojego chłopca na morze. Sprawiłbyś mi bardzo wielką przyjemność...

–Zrobię dla ciebie wszystko – oparł Jack głucho. Słowa: „nasze pieniądze” zraniły go głęboko.

–Doktorze Maturin! Tak się cieszę, że pan przyszedł – zawołała Molly, odwracając się w stronę drzwi. – Przedstawię dziś panu pewną bardzo wykształconą damę.

–Naprawdę? Przyjemnie mi to słyszeć. W jakiej dziedzinie wiedzy specjalizuje się owa dama?

–We wszystkich dziedzinach – wyjaśniła pani Harte z rozbrajającym uśmiechem.

Również sama pani Letycja miała o sobie podobne zdanie. Natychmiast wyłożyła Stephenowi swoje poglądy na temat leczenia nowotworów i polityki aliantów. Według niej w obu tych kwestiach jedyne słuszne rozwiązanie wszelkich problemów stanowiła modlitwa, miłość bliźniego i studiowanie Ewangelii. Była drobną, podobną do lalki istotą, o twarzy zupełnie pozbawionej wyrazu – równocześnie wstydliwa i wyjątkowo pewna siebie, raczej zastanawiająco młoda. Mówiła bardzo powoli, w szczególny sposób skręcając górną część ciała i wpatrując się w łokieć lub żołądek rozmówcy. Między innymi dlatego jej wypowiedzi trwały zawsze tak długo. Mąż tej

kobiety był wysokim mężczyzną o wilgotnych oczach, spoconych dłoniach, pospolitej twarzy i trzęsących się kolanach. Gdyby nie owe kolana, wyglądałby jak typowy lokaj. „Jeśli ten człowiek pożyje dostatecznie długo” – zauważył Stephen w duchu, gdy Letycja paplała coś o Platonie – „stanie się wstrętnym starym sknerą, bardziej jednak prawdopodobne, że wcześniej się powiesi. Chroniczne obstrukcje, hemoroidy, płaskostopie...”

Do stołu zasiadło dziesięć osób; obok Stephena, z lewej strony, usiadła pani Ellis. Jego sąsiadką z prawej strony była panna Wade, prosta, pogodna dziewczyna o wspaniałym apetycie. Nie przeszkadzał jej upał i wilgotne powietrze. Nie przejmowała się też swoją figurą i wymogami mody. Dalej zajmował miejsce Jack, za nim pani Harte i pułkownik Pitt. Maturin zajęty był rozmową z panną Wade o najważniejszych różnicach między rakiem a langustą, gdy z lewej strony rozległ się natarczywy głos:

–Nie rozumiem. Skoro jest pan prawdziwym lekarzem, jak mi przed chwilą powiedziano, jak trafił pan do marynarki? Co sprawiło, że wykształcony lekarz służy na okręcie?

–Bieda, droga pani. Bieda. Na łądzie nie wszystko, co się świeci, jest złotem. No i oczywiście bardzo chciałem przelewać krew za ojczyznę.

–Ten pan żartuje, moja droga – odezwał się jej mąż z drugiej strony stołu. – Przy tylu zdobytych przyczach jest łakomym kąskiem dla każdego banku – dodał, kiwając głową i uśmiechając się krzywo.

–Och! – zawołała Letycja oburzona. – Żartowniś z pana... Muszę na pana uważać. Pomimo tego, doktorze, musi pan zajmować się także prostymi marynarzami. Pańskimi pacjentami nie są wyłącznie oficerowie i podchorążowie. To chyba jest straszne...

–Dlaczego, droga pani? – Stephen spojrzał na nią z zaciekawionym. Jak na tak drobną i studiującą Pismo Święte kobietę wypiła dość sporo wina. Na jej twarzy pojawiły się rumieńce. – To nic strasznego – wyjaśnił – radzę sobie z nimi bardzo dobrze. Zapewniam panią. Zwykle aplikuję im okładanie batem.

–Całkiem słusznie – przemówił milczący dotąd pułkownik Pitt. – W moim regimencie nie ma narzekania.

–Doktor Maturin rzeczywiście jest bardzo surowy – potwierdził Jack. – Często domaga się, bym kazał chłostać tych ludzi. Jego zdaniem jest to najlepsze lekarstwo na lenistwo i ociężałość. Przy okazji puszcza się im trochę krwi... Nic tak nie służy zdrowiu jak sto batów...

–To jest dopiero dyscyplina – wtrącił pan Ellis, kręcąc głową.

W pewnej chwili Stephen poczuł, iż ma odkryte kolana. Oznaczało to, że jego serweta spadła gdzieś pod stół – schylił się więc, aby ją podnieść. Pod zwisającym nisko obrusem naliczył dwadzieścia cztery nogi, z tego sześć stołowych i osiemnaście należących do biesiadników. Pani Wade zdjęła buty, a kobieta po przeciwnej stronie stołu upuściła na podłogę małą pogniecioną chusteczkę. Lśniący wojskowy but pułkownika Pitta przyciskał prawą stopę pani Harte, a lewa jej stopa, odsunięta dość daleko od prawej, przyciśnięta była znacznie lżejszym i bardziej eleganckim pantoflem Jacka.

Na stole pojawiały się kolejne dania. Przeciętne w smaku potrawy rodem z Minorki, przyrządzane na angielskiej wodzie. Liche wino, wymieszane z tutejszym sokiem owocowym. Po pewnym czasie Stephen znów usłyszał natrętny głos swojej sąsiadki.

–Mówiono mi, że cieszy się pan na okręcie niezwykłym autorytetem...

W tej chwili pani Harte wstała od stołu i lekko utykając, przeszła do salonu. Mężczyźni skupili się przy końcu stołu, opróżniając kolejne kieliszki błotnistej porto.

Wino sprawiło, iż pan Ellis poczuł się zupełnie swobodnie. Zniknęła jego bojaźliwość i nieśmiałość. Pozostała jedynie bezczelna pewność siebie bogatego człowieka. Opowiadał wszystkim o utrzymaniu dyscypliny. Porządek i dyscyplina miały, jego zdaniem, fundamentalne wręcz znaczenie. Rodzina, zdyscyplinowana rodzina, stanowiła jedną z podstawowych wartości chrześcijańskiej cywilizacji. Niezliczeni ojcowie rodzin byli dowódcami, okazującymi miłość poprzez stanowczość i rygor. Jego przyjaciel, niejaki Bentham, który napisał dzieło zatytułowane *W obronie lichwiarzy* (powinno się je wydrukować złotymi literami), wynalazł nawet maszynę do chłosty. Najważniejsze jest zdecydowanie i strach – bo tylko dwa uczucia rządzą światem: lęk i chciwość, drodzy panowie. Weźmy choćby Rewolucję Francuską, ostatnie powstanie w Irlandii, nie mówiąc nawet – tu mówca spojrzał na ponure twarze swoich słuchaczy – o tym, co działo się w Spithead i Nore. Wszystkie te wydarzenia spowodowane były przez chciwość i stłumione dzięki terrorowi.

Pan Ellis czuł się w domu komendanta jak u siebie. Nie pytając nikogo o drogę, podszedł do stojącej przy ścianie szafki, otworzył okute ołowiem drzwiczki i wyjął nocnik. Spoglądając na swych towarzyszy przez ramię, kontynuował wykład. Wygłosił, iż ludzie niższego stanu obserwują dżentelmenów i kochają ich na swój prymitywny sposób. Jednak wyłącznie dżentelmeni mogą być oficerami. Taki jest ustalony przez Boga porządek rzeczy – dodał, zapinając rozporek. Siadając z powrotem przy stole, oznajmił, iż zna dom, w którym używa się nocnika wykonanego ze srebra. Z czystego srebra. Tak. Rodzina to wspaniała sprawa. Finansista zaproponował w końcu toast za posłuszeństwo i dyscyplinę. Bat to znakomity wynalazek – zauważył – warto więc wypić również za różne jego rodzaje. Oszczędzając różgę, psuje się dziecko...

–Musi pan przyjść na nasz okręt w któryś czwartek rano – powiedział Jack. – Zobacz pan, jak ludzie bosmana pieścą batem tych, którzy sobie na to zasłużyli.

Pułkownik Pitt, przez cały czas przyglądający się panu Ellisowi z tępym zadowoleniem, roześmiał się rubasznie i pożegnał wszystkich. Musiał wyjść w sprawach służbowych. Jack chciał pójść w jego ślady, lecz pan Ellis poprosił jeszcze o chwilę rozmowy.

–Prowadzę część interesów pani Jordan i miałem zaszczyt, naprawdę wielki zaszczyt, być przedstawionym księciu Clarence'owi – zaczął pompatycznie. – Czy zna go pan może?

–Jestem zaprzyjaźniony z Jego Wysokością – odparł Jack obojętnym tonem. Służył kiedyś na jednym okręcie z tym wyjątkowa nieprzyjemnym, w gorącej wodzie kąpanym i okrutnym wobec ludzi arystokratą.

–Wspomniałem w jego obecności o naszym synu, zaznaczając, iż marzymy o tym, aby Henry został oficerem. Książę poradził nam, byśmy posłali chłopca na morze. Zastanawialiśmy się nad tym długo i wspólnie z żoną doszliśmy do wniosku, iż bardziej odpowiadałby nam jakiś niewielki okręt. Nie chcemy ogromnego liniowca, na którym można spotkać bardzo... wątpliwe towarzystwo. Chyba rozumie pan, o co mi chodzi. Moja małżonka zwraca na podobne rzeczy szczególną uwagę: pochodzi przecież z Plantagenetów... Ponadto niektórzy kapitanowie wymagają, by młodzi dżentelmeni otrzymywali z domu roczną pensję w wysokości aż pięćdziesięciu funtów...

–Zawsze nalegam, aby moi podchorążowie otrzymywali pensję przynajmniej w takiej wysokości – wtrącił Jack.

–Och... – Pan Ellis był mocno zakłopotany. – Myślę, że wiele potrzebnych rzeczy można kupić z drugiej ręki... Oczywiście absolutnie nie przywiązuję do takich spraw wielkiej wagi... Na początku wojny wszyscy na naszej ulicy wysłaliśmy do Jego Królewskiej Mości list, w którym zadeklarowaliśmy gotowość poświęcenia życia i naszych majątków. Nie chodzi o te pięćdziesiąt funtów czy nawet trochę większą sumę, pod warunkiem, że mój syn będzie przebywał na okręcie w towarzystwie dżentelmenów. Pani Harte, dobra przyjaciółka mojej żony, opowiadała nam o panu. Co ważne, jest pan zdeklarowanym torysem, podobnie jak ja. Wczoraj widzieliśmy też pańskiego porucznika, pana Dillona, siostrzeńca lorda Kenmare. Z tego, co mi wiadomo, pan Dillon posiada spory majątek ziemski, a co za tym idzie z całą pewnością jest dżentelmenem. Krótko mówiąc, sir, byłbym bardzo zobowiązany, gdyby zechciał pan wziąć do siebie mojego chłopaka. Chciałbym też dodać – próbował mówić żartobliwym tonem, lecz nie bardzo mu się to udawało – iż dzięki memu doświadczeniu i znajomości rynku na pewno pan tego nie pożałuje. Tak. Również i panna tym skorzysta. Zapewniam...

–Chodźmy teraz porozmawiać z paniami – zaproponował kapitan Harte, czerwony ze wstydu i gotów zrobić wszystko, by jego gość nic więcej nie mówił.

–Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wezmę pańskiego chłopca na okręt na miesiąc lub dwa – powiedział Jack, wstając. – Zobaczymy, jak mu się spodoba służba na morzu i czy się do niej nadaje. Dopiero później porozmawiamy o szczegółach...

Chwycił Stephena za ramię i prowadząc go w dół po Pigtail Steps, usprawiedliwiał się:

–Przykro mi, że wpakowałem pana w taką kabałę. – Po spalonym słońcem kamiennym murze biegały małe zielone jaszczurki. – Nie przypuszczałem, że obiad u Molly Harte może być aż tak beznadziejny. Nie wiem, co się z nią ostatnio dzieje. Czy zwrócił pan uwagę na tego wojskowego?

–Tego w czerwonej kurtce ozdobionej złotem i ciężkich butach?

–Zgadza się. Ów człowiek jest chodzącym przykładem tego, o czym kiedyś panu mówiłem. W armii spotkać można ludzi dwóch rodzajów. Jedni są uprzejmi i łagodni, tacy jak mój kochany stary wuj, inni to tępi brutale, jak pułkownik Pitt. W marynarce jest zupełnie inaczej. Spotkałem się z tym już wiele razy i do dziś nie pojmuję, w jaki sposób tak różni ludzie ze sobą współpracują. Obawiam się, że ten drab może być bardzo natrętny wobec pani Harte. Ona jest czasami taka naiwna i nieostrożna... Zbyt łatwo ulega różnym wpływom.

–Najciekawszym okazem był, moim zdaniem, ten specjalista od bankowości. Nie pamiętam jego nazwiska... – Stephen uśmiechnął się do siebie.

–Ach, Ellis. – Jack wyraźnie nie był zainteresowany tą postacią. – Czegóż można się spodziewać po kimś, kto przez cały dzień myśli tylko o pieniądzach? Tacy jak on często mają kłopoty z pęcherzem. Harte musi być bardzo u niego zadłużony, skoro zaprasza go do siebie.

–To prawda. Na pewno pan przyzna, że ów ponury typ jest wyjątkowo nieprzyjemnym ignorantem. To skończony głupiec. I na dodatek gaduła. To typowy przedstawiciel burżuazji, zaniepokojony problemami społecznymi... Widać u niego klasyczne objawy hemoroidów i chronicznych obstrukcji. Do tego dochodzą krzywe nogi, okrągłe plecy, płaskostopie, nieświeży oddech, wytrzeszczone oczy i ziemista cera. Koszmar. Zapewne zwrócił też pan uwagę na jego prawdziwie babski upór w kwestii dyscypliny i kar cielesnych. Gdy się upił, nie potrafił mówić o niczym innym. Mogę się założyć, że jest prawie impotentem. To wyjaśniałoby nadmierną gadatliwość jego żony, jej nieustanne dążenie do dominacji, w absurdalny sposób połączone z mentalnością małej dziewczynki. No i te jej rzadkie włosy... Ta kobieta wyłysieje za rok lub dwa...

–Może byłoby lepiej, gdyby na świecie byli sami impotenci – zauważył Jack z filozoficznym smutkiem. – Oszczędziłoby to wielu kłopotów.

–Ponieważ poznałem rodziców, bardzo chciałbym zobaczyć ich syna. Ciekawe, jak wygląda owoc związku tak nieatrakcyjnych ludzi. Czy będzie może jakimś mutantem? Małym kapralem? Chyba że w dzieciństwie...

–Będzie utrapieniem, to pewne. Dowiemy się jednak, czy w ogóle nadaje się do czegokolwiek. Wystarczy mu ten rejs do Aleksandrii i z powrotem. Nie jesteśmy przecież skazani na towarzystwo tego malca.

–Czy powiedział pan: do Aleksandrii?

–Tak.

–W Dolnym Egipcie?

–Oczywiście. Nie wspominałem panu o tym? Mamy zawieźć rozkazy do szwadronu, którym dowodzi Sir Sidney Smith, a potem wyruszymy na następny patrol. Oni tam pilnują Francuzów, wie pan...

–Aleksandria! – zawołał Stephen, zatrzymując się pośrodku nabrzeża. – O radości! Dlaczego nie powiedział mi pan o tym od razu, gdy tylko się spotkaliśmy? Bardzo roztropny i życzliwy człowiek z tego admirała. *Pater classis*. Bardzo go szanuję...

–Dlaczego? To tylko nieskomplikowana podróż tam i z powrotem po Morzu Śródziemnym, około tysiąca ośmiuset mil w jedną stronę, bez najmniejszej szansy na zdobycie jakiegokolwiek przyzu.

–Nie przypuszczałem, że myśli pan tylko o przyziemnych sprawach – oburzył się Stephen. – Wstyd. Przecież Aleksandria to historyczne miejsce...

–Ależ tak. – Jack z uśmiechem przyznał doktorowi rację. Widząc radość Stephena, odzyskał swój zwykły optymizm i pogodę ducha. – Myślę, iż uda nam się zobaczyć Krete... Chodźmy jednak. Musimy wracać na okręt. Od stania tutaj rozboleły mnie nogi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wiem, że nie powinienem narzekać" – napisał doktor w swoim dzienniku.– „lecz gdy pomyślę, iż mogłem dotknąć stopą gorących piasków Libii, obfitujących (według Goldsmitha) w najrozmaitsze węże, zwiedzić Egipt, ujrzeć ibisa, a może nawet krokodyla, gdy przypomnę sobie, jak tylko z oddali dane mi było spoglądać na północne wybrzeże Krety i starożytną górę Ida (przez cały dzień widać ją było jak na dłoni), jak przepływaliśmy tuż obok Kithiry, lecz moje usilne prośby o zatrzymanie okrętu lub zmianę kursu zostały zlekceważone, gdy uświadomię sobie, iż tak obojętnie mijaliśmy Cyklady, Peloponez i wspaniałe Ateny, na pół dnia nawet nie zbacząc z drogi... dlaczego nie miałbym życzyć naszemu kapitanowi wszystkiego najgorszego? Z drugiej strony, jeśli spojrzę na moje zapiski, zapominając o owych niespełnionych możliwościach, mogę wyliczyć wiele radosnych uniesień i przeżyć. Przemierzyłem jednak opisane przez Homera wody (skoro nie ląd). Widziałem pelikana i miałem okazję dokładnie obejrzeć wielkiego białego rekina, złowionego dla mnie przez uczynnych marynarzy. Była też *euspongia mollissima* (którą – jak twierdzą niektórzy uczeni – Achilles wkładał w swój hełm), jakaś nieznana mi mewa, żółwie! Mógłbym uznać, iż były to jedne z najszcześniejszych tygodni, gdyby nie ciągła świadomość, że J.A. i J.D. mogą się nawzajem pozabijać (w jak najbardziej cywilizowany i uprzejmy sposób, podczas najbliższego postoju w porcie – wygląda na to, iż w morzu podobne rzeczy się nie zdarzają). J.A. wciąż bardzo jest poruszony pewnymi uwagami w sprawie „Cacafuego", ma wrażenie, że podano w wątpliwość jego odwagę – nie potrafi tego znieść, to dla niego ogromne obciążenie. J.D. wydaje się ostatnio nieco spokojniejszy, lecz jego zachowanie nadal trudne jest do przewidzenia. Nieszczęśliwy, przepelniony skrywaną złością, w każdej chwili może wybuchnąć. Nie umiem przewidzieć, kiedy ów wybuch nastąpi. Czuję się chwilami tak, jakbyśmy siedzieli na beczce prochu, ustawionej w kuźni, blisko sypiącego iskrami paleniska (moja osoba była kilka razy taką iskrą...)"

Pomimo nieustannego napięcia, mimo wiszącej nad „Sophie" ciemnej chmury żeglowali spokojnie wzdłuż Morza Śródziemnego. Trudno wyobrazić sobie przyjemniejszy sposób na spędzenie późnego lata. Bryg poruszał się teraz znacznie szybciej niż kiedyś – Jack znalazł wreszcie najkorzystniejsze przegłębienie kadłuba, przenosząc balasty z ładowni do ładowni tak, aby zanurzyć bardziej rufę. Przywrócił ponadto masztom ich pierwotny kąt nachylenia względem pokładu, zgodny z zamierzeniami hiszpańskich budowniczych okrętu. Bracia Grecy, wraz z dwunastoosobowym oddziałem potrafiących pływać członków załogi, w chwilach ciszy zajmowali się nadal czyszczeniem dna porośniętego wodorostami. Pewnego wieczora, gdy Stephen siedział i obserwował spokojne morze, „Sophie" chwyciła niespodziewanie podmuch silniejszego wiatru w górne żagle i pomknęła lekko do przodu, zostawiając za sobą długą smugę spienionej wody, podświetloną nieziemskim, fosforyzującym światłem i ciągnącą się na dobre ćwierć mili za rufą. Dnie i noce żeglowali pod niewiarygodnie czystym niebem. Na Morzu Jońskim nocą

spokojna bryza wypełniała gaflowego grota, wachty zmieniały się i nikt nie dotykał nawet brasów. Jack i Stephen koncertowali na pokładzie, zagubieni w muzyce; przerywali dopiero wtedy, gdy spadająca rosa rozstrajała struny. Poranki były tak piękne i otaczająca okręt pustka tak zupełna, iż ludzie nie śmieli się do siebie odzywać. Była to wyjątkowa podróż, której cel jakby nie istniał i która była podróżą samą w sobie. Z materialnego punktu widzenia „Sophie” była okrętem w pełni obsadzonym przez załogę – na jej pokład powrócili w Mahon ludzie z przyzów. Płynęli spokojnie, bez zbędnej nerwowości i pośpiechu, wszyscy zajmowali się swymi zwykłymi, codziennymi obowiązkami. Każdego dnia odbywały się ćwiczenia w strzelaniu, obsady dział popisywały się coraz większą sprawnością, aż wreszcie pewnego dnia, na pozycji 16°31'E, baterii na lewej burcie udało się oddać trzy salwy w ciągu pięciu minut. Ponad wszystko jednak ważna była wspaniała pogoda i w miarę korzystne wiatry (pomijając ów tydzień ciszy na wschodzie, tuż po tym, jak przekazali rozkazy szwadronowi, którym dowodził Sir Sidney). Wiodło im się aż za dobrze. Gdy chroniczny brak wody zmusił ich do podjęcia decyzji o zawinięciu na Malte, jak na zawołanie rozdmuchał się umiarkowany lewanter. Jack powiedział wtedy z niepokojem:

–To jest zbyt piękne, by mogło trwać dłużej. Obawiam się, iż wkrótce przyjdzie nam za to zapłacić...

Szczególnie zależało mu na szybkim powrocie, na bardzo krótkim rejsie, który przekonałby lorda Keitha, iż kapitan Aubrey z największą powagą traktuje powierzone mu zadania i wykonuje je z gorliwością. Nic nigdy nie wstrząsnęło tak Jackiem (po refleksji) jak owe uwagi na temat braku szans na awans. Słowa admirała były bardzo wyważone, życzliwe i przekonujące. Nie dawały Jackowi spokoju.

–Dziwię się, iż tak zależy panu na jakimś stopniu, na pompatycznym tytule – zauważył Stephen. – Przecież już teraz wszyscy mówią o panu „kapitan Aubrey”. Również po awansie nadal będą nazywali pana w ten sposób. Z tego, co mi wiadomo, nie mówi się: „panie starszy kapitanie”... A może w grę wchodzi dążenie do symetrii? Może irytuje pana ten jeden epolet i chciałby pan mieć komplet?

–To też jest dla mnie ważne, tak jak i dodatkowe osiemnaście pensów dziennie. Co się tyczy tytułu, na pewno nie ma pan racji. Obecnie jestem nazywany kapitanem tylko grzecznościowo. Dzięki uprzejmości paru mądrali wykonuję po prostu obowiązki dowódcy okrętu. Podobnie jest w przypadku lekarzy – do felczera mówi się przeważnie: „panie doktorze”. Chyba i panu nie byłoby przyjemnie, gdyby pacjent zwracał się do pana inaczej. Po awansie rzeczywiście stałbym się kapitanem. Miałbym do tego tytułu niepodważalne prawo. Jeśli zaś chodzi o symetrię, to nawet wtedy nie nosi się obu epoletów. Mógłbym jedynie przełożyć ten, który już posiadam, z lewego ramienia na prawe. Dopiero po trzech latach uzyskuje się prawo do drugiego epoletu. Wszyscy oficerowie we flocie marzą jednak o randze starszego kapitana z zupełnie innego powodu. Ten stopień otwiera drogę do kariery. To jest

naprawdę coś... Od tego czasu wystarczy żyć odpowiednio długo, by zostać kiedyś admirałem.

–I to właśnie jest szczytem ludzkich marzeń? Czy dopiero wówczas człowiek jest w pełni szczęśliwy?

–Oczywiście. – Jack spojrzał na doktora zdziwiony. – Czy nie wydaje się to panu jasne?

–Och, tak...

–Później – Jack mówił dalej, uśmiechając się na myśl o tej możliwości – człowiek bez przerwy pnie się w górę. Stale posuwa się wyżej na liście od momentu, w którym zostaje na nią wpisany. Niezależnie od tego, czy dowodzi statkiem czy nie. Wszystko według kolejności. W idealnym porządku. Awanse na kolejne admirałskie stopnie i funkcje, a jest ich sporo... Bez względu na zasługi. Tutaj już nie ma selekcji. Tego właśnie pragnę. Wcześniej wszystko zależy od pieniędzy, szczęścia lub poparcia przełożonych, którzy w większości bardzo przypominają bandę starych bab. Nieustannie trzeba korzyć się przed nimi: „tak, sir”, „nie, sir”, „pozostaję uniżonym sługą szanownego pana"... Tak... Czy czuje pan zapach pieczonej baraniny? Może zje pan ze mną obiad? Zaprosiłem też oficera i podchorążego z wachty...

Oficerem tym był Dillon, towarzyszył mu młody Ellis, pełniący tymczasowo na okręcie obowiązki podchorążego. Jack już dawno zdecydował, iż nie będzie to specjalnym naruszeniem zwyczajów i dyscypliny, jeśli raz w tygodniu zaprosi do siebie na obiad oficera (i czasem podchorążego) z przedpołudniowej wachty. Również kapitan w rewanżu zapraszany był co tydzień do mesy oficerskiej. Dillon w taktowny sposób respektował ów zwyczaj i obaj panowie byli wtedy wobec siebie niezwykle uprzejmi. Stwarzało to pozory normalności, tak potrzebnej na przepelnionym okręcie.

Henry Ellis stanowił dzisiaj dodatkową osłonę, zabezpieczenie. Okazał się zwykłym, raczej sympatycznym chłopcem. Z początku nieśmiały i skromny, prześladowany przez Babbingtona i Rickettsa, szybko odnalazł swoje miejsce. Może tylko trochę za dużo mówił. Nie pozwalał sobie na to teraz, przy kapitańskim stole. Siedział sztywno, nie odzywając się ani słowem. Czubki palców i uszy lśniły czystością, łokcie trzymał przyciśnięte do boków. Jadł z wilczym apetytem, połykając w całości ogromne kęsy mięsa. Jack darzył zawsze sympatią młodych ludzi, uważał też, iż każdy gość przy stole zasługuje na szacunek oraz uwagę. Dlatego poczęstował podchorążego kieliszkiem wina i uśmiechnąwszy się uprzejmie, powiedział:

–Dziś rano na fokmaszcie recytowali panowie wiersze. Bardzo ładne. Zostały chyba napisane przez pana Mowetta, prawda? Zupełnie dobrze mu to wychodzi... – Rzeczywiście. Wszyscy na okręcie podziwiali piękny poemat o nowym grotźaglu. W

innym swoim utworze Mowett porównał okręt do kąpiącej się dziewicy i ten fragment, a zwłaszcza wyraz „dziewica”, wywoływał szczególne skojarzenia u najmłodszych podchorążych. Dziś rano powtarzali głośno ową zwrotkę, mając nadzieję, iż uda im się w ten sposób dokuczyć autorowi. – Może zarecytuje nam pan ten wiersz? Doktor na pewno chciałby go usłyszeć.

–Och tak, bardzo proszę – zainteresował się Stephen. Nieszczęśliwy chłopak upchnął w policzku nie połknięty kawałek baraniny i zebrawszy wszystkie siły, odpowiedział: „Tak, sir”. Patrząc w okno, rozpoczął recytację.

–*Po srebrzystej toni bezkresnego morza...* - „O Boże, nie każ mi teraz umierać...” – *Po srebrzystej toni bezkresnego morza.* - Druga linijka poszła gładko, lecz w połowie trzeciej, tej najważniejszej, głos podchorążego nagle zawibrował, zachrypiał i załamał się zupełnie. W końcu Ellis wydusił z siebie słowo „dziewica”, lecz nie mógł powiedzieć niczego więcej.

–Bardzo ładne! – zawołał Jack, przerywając ciszę. – Bardzo interesujące. Panie doktorze, może kieliszeczek wina?

Mowett wszedł do kabiny cicho jak cień, odrobinę za późno, by podpowiedzieć koledze.

–Przepraszam, że przeszkadzam, sir – powiedział. – Trzy rumby na prawo od dziobu widać górne żagle jakiegoś okrętu.

Podczas całej podróży nie spotkali na pełnym morzu żadnych statków, jeśli nie liczyć kilku łodzi rybackich koło Grecji i transportowca zmierzającego z Sycylii na Maltę. Nic więc dziwnego, iż dostrzeżone na horyzoncie żagle obserwowano ze znacznie większą uwagą niż zwykle. Z pokładu brygu widoczne były już marsle i dolne reje z fragmentami rozpiętych płócien. Dziś rano „Sophie” wyszła z Cieśniny Sycylijskiej i płynęła na zachód. Gdy zauważony został ów okręt, znajdowała się w odległości około siedemdziesięciu mil na południe od przylądka Teluada na Sardynii. Wiała umiarkowana bryza z północnego wschodu, do Mahon pozostało tylko dwieście pięćdziesiąt mil. Nieznany okręt zmierzał również w kierunku zachodnim, lecz bardziej na południe, tak jakby kierował się w stronę Gibraltaru, a może Oranu. Pojawił się na horyzoncie na północny zachód od „Sophie” i jego kurs powinien przeciąć się z kursem brygu. Nie było na razie wiadomo, kto komu przejdzie za rufą.

Uważny obserwator dostrzegłby na pewno, iż „Sophie” pochyliła się wyraźnie, gdyż wszyscy członkowie jej załogi stali wzdłuż relingu na prawej burcie. Zauważyłby też bez trudu, że podekscytowane głosy na forkasztelu ucichły nagle, jakby ucięte nożem. Zgromadzeni na pokładzie ludzie jak na komendę przygryźli wargi (wyglądało to trochę zabawnie), gdy na widocznych na horyzoncie masztach ukazały się bramsle. Z całą pewnością był to więc okręt wojenny, zapewne fregata, jeśli nie

liniowiec. Jego żagle postawione zostały bardzo nieudolnie – nie tak, jak powinno to wyglądać w Royal Navy.

–Proszę pokazać im sygnał, panie Pullings. Panie Marshall, musimy odpaść trochę. Panie Day, proszę przygotować działą.

Złożona w pakiecik czerwona flaga powędrowała szybko w górę, na fokmaszcie, by rozwinąć się w stronę dziobu. W tym samym czasie na grotmaszcie podniesiono białą flagę i proporzec. Działą wypaliło na nawietrzną.

–Błękitna brytyjska bandera, sir – zameldował Pullings, trzymający przy oku lunetę.
– Czerwony proporzec na grotmaszcie, a bandera z przodu...

–Do brasów! – zawołał Jack. – Kurs półtora rumba na południe od południowego zachodu – poleciał stanowczym głosem. Podobny zestaw flag był odpowiedzią na sygnał przed sześciu miesięcy. – Postawić bombramsle, dolne żagle boczne i boczne bramsle. Panie Dillon, niech pan dokładnie przyjrzy się temu okrętowi.

James wspiął się na saling i skierował lunetę w stronę widocznego na horyzoncie żaglowca, gdy tylko „Sophie” znieruchomiła na nowym kursie. Ponieważ bryg kołysał się na długiej martwej fali z południa, porucznik musiał równoważyć przechyły wahadłowym ruchem wyciągniętej do przodu ręki. W końcu udało mu się uchwycić i zatrzymać w polu widzenia obcą jednostkę. W popołudniowym słońcu zaśniło złotem na jej dziobie mosiężne działą pościgowe. Z pewnością była to fregata. Nie mógł policzyć jej furt działowych, lecz co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Ciężka fregata. Bardzo piękna. Jej załoga również stawiała dolne żagle boczne – mieli trudności z jednym z wytyków.

–Sir! – Gdy James schodził z powrotem na pokład, zatrzymał go stojący na marsie podchorąży. – Jest tutaj Andrews, który mówi, że to może być „Dedaigneuse”.

–Niech popatrzy jeszcze raz przez moją lunetę. – Porucznik podał marynarzowi swój teleskop, najlepszy na statku.

–Tak, to na pewno „Dedaigneuse” – potwierdził Andrews, mężczyzna w średnim wieku, ubrany w czerwoną, poznaną tłustymi plamami kamizelkę, włożoną wprost na spalone ciało. – Poznaję ten charakterystyczny dziób. Byłem na niej więźniem przez trzy tygodnie. Wzięli mnie do niewoli z węglowca, na którym wtedy służyłem.

–Jakie mają uzbrojenie?

–Dwadzieścia sześć osiemnastofuntówek na głównym pokładzie, sir, osiemnaście długich ośmiofuntówek na rufówce i forkasztelu i długa, mosiężna pościgowa dwunastofuntówka na dziobie. Kazali mi ją czasem polerować.

–To oczywiście fregata, sir – zameldował James na dole. – Andrews z podwachtu żaglowej twierdzi, że to „Dedaigneuse”, był na niej jeńcem.

–Cóż – uśmiechnął się Jack. – Mamy szczęście, że już tak blisko do wieczora... – Rzeczywiście. Słońce powinno zająć za cztery godziny, a zmierzch na tych szerokościach geograficznych nie trwa długo. Był też nów księżyc. Chcąc schwytać „Sophie”, fregata musiałaby żeglować o dwa węzły szybciej niż teraz, co było prawie niemożliwe. Była dobrze uzbrojona, lecz nie tak szybka jak „Astree” czy „Pomone”. Tak czy inaczej, jedyną troską Jacka było rozwinięcie jak największej prędkości. Zapadnięcie zmroku niekoniecznie oznaczało zakończenie pościgu. Gdy służył w Indiach Zachodnich, brał kiedyś udział w pogoni trwającej aż trzydzieści dwie godziny. Ważny mógł być każdy żagiel, każda reja. Wiatr wiał z lewego baksztagu, z najkorzystniejszego kierunku, i „Sophie” poruszała się z prędkością ponad siedmiu węzłów. Jej liczna, sprawna załoga szybko poradziła sobie z postawieniem dodatkowych żagli i w ciągu kwadransa fregata została nieco z tyłu. „Oby tak dalej” – pomyślał Jack, spoglądając na słońce przez słabe, poprzecierane płótno marsła. Za sprawą ulewnych deszczów na zachodnim Morzu Śródziemnym, greckiego słońca oraz porywistych wiatrów żagle zdeformowały się i straciły impregnację. Zniszczone i powypychane, z powyciąganymi likami, nadawały się jedynie do żeglugi z wiatrem. Gdyby przyszło im ścigać się z fregatą, halsując pod wiatr, skutek byłby na pewno opłakany. Z tak workowatymi żaglami nie mogliby płynąć wystarczająco blisko wiatru.

Niestety. Gdy wypełniły się wiatrem wszystkie nieudolnie stawiane dodatkowe płótna fregaty, jej prędkość wzrosła i odległość między obiema jednostkami wyraźnie się zmniejszała. Z początku trudno to było zauważyć – na horyzoncie widniała tylko lśniąca bielą piramida żagli – lecz po trzech kwadransach z pokładu rufówki „Sophie” widać już było kadłub ścigającego ją okrętu. Jack polecił, by zmieniono kurs o kolejne pół rumba i postawiono rozprzowego marsła.

Na rufie Mowett wyjaśniał Stephenowi, jak stawia się ów żagiel: na zaciśniętym dookoła stengi bukszprytu jumpsztagu ze specjalnym ślizgaczem. Rzadko widywało się coś podobnego na okrętach wojennych. Jack stał obok działa rufowego na prawej burcie i nie spuszczał oka z fregaty, analizował w myślach ryzyko związane z postawieniem bocznych bramslu przy tak silnej bryzie. Nagle na dziobie rozległo się donośne wołanie:

–Człowiek za burtą!

Henry Ellis wypłynął na powierzchnię poniżej stojącego na rufie kapitana. Zdziwiona twarz chłopca ociekała wodą. Mowett rzucił mu natychmiast koniec liny z wolnego żurawika. Obie ręce sięgnęły ku niej rozpaczliwie, lecz głowa chłopaka zniknęła pod wodą i dłonie chwyciły próżnię. Po chwili widać było tylko głowę podskakującą pośrodku kilwateru.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Jacka. Jego twarz zeszytywniała. Każde zmarnowane dziesięć minut oznaczało stratę przynajmniej jednej mili. Należało też wziąć pod uwagę chaos, jaki zapanuje, gdy żagle boczne zaczną pracować wstecz przy nagłej zmianie kursu, oraz czas potrzebny na ponowne rozpędzenie okrętu. Zagrożone było życie dziewięćdziesięciu ludzi. Były też inne względy: wpatrzone w dowódcę z ogromnym napięciem oczy, okropni, odpychający rodzice chłopca, który był jednak w pewnym sensie gościem na okręcie i protegowanym Molly Harte. Wszystkie te myśli pędziły jedna za drugą z prędkością błyskawicy, aż wreszcie Jackowi udało się złapać oddech.

–Spuścić bączek! – zawołał chrapliwym głosem. – Do żagli! Panie Marshall, proszę wyostrzyć. – Bryg stanął w linii wiatru, łódź z pluskiem uderzyła o wodę. Prawie nie trzeba było wydawać rozkazów. Reje zostały przebrasowane, podebrane w górę żagle skurczyły się gwałtownie. Fały, gejtawy i gordingi bez słowa komendy gnały przez bloki. Pomimo ogarniającej go ślepej furii Jack z podziwem obserwował swoją załogę.

Bączek pełził boleśnie powoli, ścinając łuk zakrzywionego kilwateru. Mijały cenne minuty. Ludzie z załogi łodzi wychylili się za burtę, manipulując bosakiem. Niewiarygodnie długo. Nareszcie zawrócili. Byli już w jednej czwartej drogi z powrotem, gdy nagle wszyscy pospadali z ławek. Wioślarz pociągnął tak mocno, że jego wiosło złamało się, a on sam poleciał do tyłu.

–Jezus, Maria... – mruknął stojący obok kapitana Dillon. Zanim bączek znalazł się przy burcie, a topielec na pokładzie, okręt ruszył z miejsca i zaczął nabierać prędkości.

–Nie żyje – orzekli ludzie wciągający chłopca na górę.

–Stawiać żagle – polecił Jack. Wszyscy wiedzieli dokładnie, co mają robić, rozkazy były nieomal niepotrzebne. Czynności wykonywano zadziwiająco szybko i sprawnie. Zbyt szybko. „Sophie” nie zdążyła wrócić na swój poprzedni kurs, nie zdążyła rozpędzić się nawet do połowy poprzedniej prędkości, gdy rozległ się nieprzyjemny trzask i reja fokbramsła pękła na dwoje tuż przy maszcie.

Maturin ukląkł przy wydobytym z wody chłopcu i spojrzał na Jacka, który wydał Dillonowi zupełnie dla doktora niezrozumiałe polecenia. Porucznik natychmiast powtórzył to wszystko przez tubę wbiegającemu na górę po wantach bosmanowi i marynarzom z podwachtu żaglowej fokmasztu. Kolejne polecenia były przeznaczone dla cieśli i jego pomocników. Przez moment kapitan analizował zmieniony układ sił działających na ożaglowanie oraz kadłub i kazał odpowiednio zmienić kurs. Wreszcie, zerknąwszy przez ramię na fregatę, z uwagą spojrzał w dół.

–Czy jest coś, co może pan zrobić, doktorze? Czy potrzebuje pan pomocy?

–Jego serce przestało bić – oznajmił Stephen. – Chciałbym jednak spróbować... Czy można w jakiś sposób podnieść go nogami do góry, tu na pokładzie? Na dole nie ma wystarczająco dużo miejsca...

–Shannahan, Thomas, użyjcie tej talii. Tylko przywiążcie go mocno... Róbcie, co doktor wam każe. Panie Lamb, to wzmocnienie...

Stephen posłał Cheslina pod pokład po lancety, cygara i kuchenny mieszek do rozpalania ognia. Gdy pozbawione życia ciało chłopca uniosło się w górę, doktor pokręcił nim mocno dwa lub trzy razy; twarz Ellisa skierowana była do dołu, język wychodził na wierzch. Na pokład wylało się trochę wody.

–Trzymajcie go w ten sposób – polecił Maturin marynarzom i puścił topielcowi krew za lewym i prawym uchem. – Panie Ricketts, proszę zapalić cygaro... – Dookoła zebrali się wszyscy obecni na pokładzie członkowie załogi „Sophie”, którzy nie zajmowali się naprawą złamanej rei, wymianą żagla, poprawianiem ustawienia płócien i spoglądaniem na fregatę. Mieli okazję obserwować, jak Maturin wpycha do nozdrzy Ellisa wylot napełnionego dymem z cygara mieszka. Pomocnik doktora zatkał drugą dziurkę nosa i usta chłopca. Stephen umiejętnie skręcał wiszące do góry nogami ciało, tak aby wnętrzności rytmicznie naciskały na przeponę. Rozległo się sapanie, potem urywany charkot. Kolejne ruchy mieszkami, jeszcze więcej dymu, znów charkot i wreszcie kaszel. – Możecie go opuścić – powiedział doktor do zafascynowanych marynarzy. – Co ma wisieć, nie utonie...

Tymczasem, ścigający „Sophie” okręt przybliżył się znacznie. Można było bez lunety policzyć jego furty działowe. Rzeczywiście była to duża fregata – oddając salwę burtową, posyłała w kierunku przeciwnika kule o łącznej wadze trzystu funtów (na dwadzieścia osiem funtów salwy burtowej „Sophie”) – bardzo mocno jednak obciążona. Jej głęboko zanurzony kadłub nawet przy umiarkowanym wietrze pracował ciężko. Fale rozbijały się o dziób, bryzgi zalewały pokład. Pomimo to odległość dzieląca obie jednostki malała. „Jestem pewien, że przed zapadnięciem zmroku ten Francuz pozbędzie się bombramsli” – pomyślał Jack. – „Ma bardzo niedoświadczonych marynarzy...” Uważna obserwacja fregaty pozwalała przypuszczać, iż na jej pokładzie znajdowało się wielu nowych ludzi, może całą załogę stanowili świeżo upieczeni żeglarze. Często zdarzało się to na francuskich okrętach. „Mogą strzelić do nas kilka razy na próbę...”

Aubrey spojrzął na zachodzące powoli słońce. Zadowolone z siebie, wisiało wciąż wysoko nad horyzontem. Gdy dowódca „Sophie” po raz setny, odliczając, przemierzył odległość dzielącą ostatnie działko od rufowego relingu, złocista tarcza nadal znajdowała się w tym samym miejscu co poprzednio, tuż pod wybrzuszonym likiem marsła.

Życie na pokładzie brygu toczyło się ustalonym trybem. Na początku pierwszej psiej

wachty gwizdki wezwały ludzi na kolację. Dopiero gdy wybito dwie szklanki, a Mowett zajęty był wybieraniem logu, Dillon zapytał ostrożnie:

–Czy mam wezwać ludzi na stanowiska, sir? – Nie wiedział, w jakim stanie ducha jest kapitan, mówił więc z wahaniem, patrząc, obok jego twarzy, na imponującą białą piramidę lśniących w słońcu żagli „Dedaigneuse”. Spienione fale przed dziobem powodowały wrażenie, iż fregata płynie z zawrotną prędkością.

–Oczywiście – potwierdził Jack. – Ogłosimy alarm, gdy tylko pan Mowett poda naszą prędkość.

–Siedem węzłów i cztery sążnie, sir – zameldował porucznikowi młody oficer wachtowy. Porucznik obrócił się na pięcie, zasalutował i zwracając się do dowódcy okrętu, powtórzył te same słowa.

Zabrział bęben, w kubryku, w zejściówkach i na pokładzie zatupały głucho bosc stopy. Rozpoczął się pracochłonny proces przysznurowywania bonnetów do marsli i bramsl. Mocowano również dodatkowe baksztagi, mające wzmocnić bramstengi, gdyż Jack zamierzał postawić w nocy dodatkowe żagle. Co najmniej sto razy poprawiono ustawienie pracujących już płócien. Zajęło to sporo czasu, lecz słońce nadal wisiało wysoko, a fregata przybliżała się coraz bardziej. Na fokmaszcie i stermaszcie niosła stanowczo za dużo żagli, lecz jej osprzęt musiał być chyba zrobiony ze stali. Niczego na razie nie zrzucili, wiatr nie zerwał żadnego z płócien (na to Jack najbardziej liczył). Podczas ostatniej wachty „Dedaigneuse” zatoczyła się kilka razy gwałtownie, w nie kontrolowany sposób – na pewno zamierało wówczas serce jej francuskiego kapitana. „Dlaczego on nie zmieni ustawienia grotżagla, tak by ulżyć jej odrobinę?” – pytał sam siebie Aubrey. – „Musi być bardzo zawzięty, skoro tak ryzykuje”.

Na „Sophie” zrobiono już wszystko, co było możliwe. Oba okręty ścigały się po ciepłym morzu, w promieniach zachodzącego słońca. Odległość dzieląca fregatę od brygu malała powoli.

–Panie Mowett! – zawołał Jack, przerywając nie kończący się spacer. Młody nawigator wystąpił z grupki oficerów, stojących przy lewym relingu pokładu rufówki i obserwujących „Dedaigneuse”. – Panie Mowett... – zawiesił głos. Pomimo jękliwego zawodzenia grającego na wantach wiatru i skrzypienia takielunku spod pokładu słycać było dźwięki suity wiolonczelowej. Oficer wachtowy czekał cierpliwie, z szacunkiem pochylony w stronę dowódcy. Bezwiednie korygował pozycję ciała, tak by równoważyć kołysanie. – Panie Mowett, czy mógłby pan powiedzieć swój wiersz o nowym grotżaglu? Bardzo lubię poezję... – Jack uśmiechnął się przyjaźnie, widząc przerażenie w oczach młodego człowieka.

–Dobrze, sir – odpowiedział miękko oficer, z wyraźnym wahaniem. Zakaszłał,

wyprostował się. – „Nowy grotżagiel” – rzekł dobitnie i rozpoczął recytację. Jego głos był teraz znacznie bardziej chrapliwy i szorstki.

Grot przez szkwał rozdarty i w strzępy porwany

Leży z rei zdjęty. Już przygotowany

Jest nowy grotżagiel, zmieniono gejtawy

I na maszt wciągnięto. Teraz trzeba wprawy...

– Mowett deklamował dalej, opisując szczegółowo czynności wykonywane podczas mocowania do rei nowego żagla. Skończył wreszcie.

–Wspaniale! Naprawdę się to panu udało! – zawołał kapitan zachwycony, klepiąc młodego oficera po ramieniu. – Pańskie wiersze powinny być drukowane w „Gentleman's Magazine”. Czy mógłby pan powiedzieć coś jeszcze?

Mowett skromnie spuścił oczy, nabrał powietrza i zaczął mówić.

– „Na specjalną okazję”:

Gdybyż mi tę sztukę posiąść było dane,

Bym zbudzić serce umiał, śpiące pośród myśli biegu,

Udręczonej mej duszy będzie wtedy znane

Zło, które się skryło na zawietrznym brzegu.

– Och, tak. Zawietrzny brzeg... – mruknął Jack, potrząsając głową. W tej chwili rozległ się pierwszy próbny wystrzał fregaty. Po około stu dwudziestu linijskich odgłos pościgowego działa „Dedaigneuse” znów przerwał recytację Mowetta, lecz w pobliżu „Sophie” nie spadła ani jedna kula.

Pierwszy dwunastofuntowy pocisk przeleciał o dwadzieścia jardów za prawą burtą brygu dopiero wtedy, gdy dolna krawędź tarczy słonecznej dotknęła widnokregu. Mowett wygłaszał właśnie raczej niefortunny fragment:

Owładnięci strachem - przyszła pora próby,

Ulegli rozpaczy, nie chcieli swej zguby...

Po tych słowach przerwał na chwilę. Uważał, iż koniecznie powinien coś wyjaśnić.

– Oczywiście chodzi tutaj, sir, o ludzi służących w marynarce handlowej...

–Tylko tak można ten fragment rozumieć – zgodził się kapitan. – Obawiam się, że będę musiał panu przerwać. Proszę powiedzieć ochmistrzowi, że potrzebne będą trzy z jego największych beczek. Proszę od razu zatoczyć je na dziób. Panie Dillon... Panie Dillon, zrobimy teraz tratwę, na której umieścimy latarnię rufową i cztery mniejsze światła. Trzeba to zrobić na forkasztelu, pod osłoną żagli.

Nieco wcześniej niż zwykle Jack polecił, by zapalono wielką latarnię rufową i zszedł do swojej kabiny. Chciał sprawdzić, czy wybrane okna na rufie były oświetlone dokładnie tak, jak zaplanował. Gdy zapadł zmrok, również na fregacie zapaliły się światła. Co więcej, z jej fokmasztu i sternmasztu znikły bombramsle. Była teraz czarnym cieniem na tle fioletowego nieba. Jej dziobowe działo wypluwało co trzy minuty czerwono pomarańczową strugę ognia, na długo przed tym, zanim na pokład „Sophie” dolatywał odgłos wystrzału.

Jaskrawa Wenus schowała się za horyzontem i zrobiło się zupełnie ciemno. Fregata nie strzelała już od dłuższego czasu. Jej pozycję zdradzały jedynie światła, które wyraźnie przestały się przybliżać.

–Proszę przeciągnąć tratwę za rufę – polecił Jack i prowizoryczna konstrukcja powoli zaczęła przesuwac się wzdłuż burty, zahaczając po drodze o wytyki bocznych żagli i wszystko inne, czego dotykała. Pośrodku tratwy sterczała długa tyczka, na której, na wysokości rufowego relingu „Sophie”, zawieszono zapasową latarnię rufową. Nieco niżej umieszczono w rzędzie cztery mniejsze lampy. – Potrzebuję teraz kogoś bardzo sprytnego... – Jack rozejrzał się dookoła. – Luccock!

–Tak, sir?

–Zejdiesz na tratwę i będziesz zapalał kolejno latarnie dokładnie w chwili, kiedy to samo światło zgaśnie na okręcie.

–Tak jest, sir. Światła na okręcie gasną, a ja wtedy natychmiast zapalam lampy na tratwie.

–Weź ze sobą ogień, najlepiej zasłoniętą latarnię, i przewiąż się w pasie liną.

Była to niezwykle ryzykowna operacja, gdyż bryg znajdował się w ruchu i za rufą kotłowała się woda. Ponadto istniało niebezpieczeństwo, iż ktoś dostrzeże z pokładu fregaty poruszającego się za rufą „Sophie” człowieka. Luccock wszedł jednak przez reling na pogrążony w mroku pokład.

–Dobra robota – pochwalił kapitan. – Zwolnić tratwę!

Oświetlona pięcioma lampami tratwa została z tyłu, „Sophie” odetchnęła, uwolniona od dodatkowego ciężaru. Z oddali światła dobrze imitowały okręt, jedynie trochę za bardzo kołysały się na fali. Bosman przymocował do platformy skrzyżowane z sobą

w kilku miejscach kawałki starej liny, które świetnie udawały ramy okienne.

Jack przyglądał się tratwie przez chwilę i polecił, by postawiono boczne bramsle. Marynarze rozplynęli się w mroku na górze i wszyscy na pokładzie zastygli w napięciu, nasłuchując z najwyższą uwagą. Wiatr co prawda osłabł, lecz fokbramreja była uszkodzona i dodatkowe żagle... Szoty zostały w końcu wybrane, naprężyły się dodatkowe nawietrzne baksztagi. Świst wiatru w olinowaniu podniósł się o pół tonu i „Sophie” dziarsko ruszyła do przodu. Ludzie, którzy zeszli z masztów, stali obok swych wyteżających z obawą słuch kolegów, równie zatroskani, co jakiś czas spoglądając na kołyszącą się w oddali tratwę. Nic złego się nie wydarzyło, dodatkowe żagle pracowały poprawnie i napięcie na pokładzie osłabło. Zgromadzeni na pokładzie członkowie załogi przestali zerkać na siebie nerwowo. Wkrótce uwagę wszystkich zaprzątnęło coś zupełnie innego: „Dedaigneuse” znów zaczęła strzelać, raz za razem, nagle zmieniła kurs, ustawiając się oświetloną burtą w stronę tratwy i oddając pełną salwę burtową. Był to wspaniały widok: długa linia jaskrawych rozbłysków i huk podobny do przytłumionego grzmotu. Tratwa nie ucierpiała i na pokładzie brygu ludzie chichotali uradowani. Francuzi strzelali z wściekłą pasją, kolejne salwy odzywały się jedna za drugą, aż wreszcie wszystkie kołyszące się na wodzie światła zgasły w jednej chwili.

„Czy myślą, że nas zatopili?” – zastanawiał się Jack, patrząc na widoczną w oddali oświetloną burtę fregaty. – „A może odkryli nasz podstęp? Czy będą dalej nas ścigać? W każdym razie na pewno nie przyjdzie im na myśl, że popłynęliśmy dalej tym samym kursem. Daję głowę”.

Podobne przeświadczenie nie mogło jednak przewyciężyć skrytego w sercu i umyśle niepokoju. Gdy weszły Plejady, Jack wspiął się na top masztu i przez nocną lunetę obserwował uważnie morze za rufą. Pozostał tam aż do świtu, a nawet do wschodu słońca, choć już wiadomo było, iż fregata została daleko z tyłu lub kontynuując pościg, zmieniła kurs.

„Prawdopodobnie skierowali się na północny zachód” – pomyślał Jack, odkładając lunetę. Oparł ją o brzuch i złożył szybko, mrużąc oczy oślepione jaskrawym światłem słonecznym. „Przynajmniej ja bym tak zrobił...” Zszedł ostrożnie na pokład i do swojej kabiny. Posłał po pierwszego nawigatora, który powinien znać już dokładną pozycję brygu. Czekał na pana Marshalla, zamknął na chwilę oczy.

Okazało się, iż znajdują się zaledwie piętnaście mil od przylądka Bougaroun, na północnym wybrzeżu Afryki. Uciekając przed pościgiem, przebyli ponad sto mil, z tego większość w niekorzystnym kierunku.

–Będziemy teraz musieli płynąć bardzo ostro do wiatru, jeśli to, co teraz wieje, można w ogóle nazwać wiatrem (podczas środkowej wachty bryza zmieniła kierunek i osłabła wyraźnie). Musimy iść tak ostro, jak to tylko możliwe. Tak czy inaczej, nie ma

co marzyć, że rejs będzie krótki... – Mówiąc te słowa, kapitan odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Pomyślał, iż dobrze się stało, że Afryka nie przesunęła się jakimś cudem w nocy o pół stopnia na północ. Uśmiechnął się na myśl o tym i zasnął.

Pan Marshall wypowiedział kilka uwag, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Przez chwilę z troską przyglądał się śpiącemu dowódcy, z czułością ułożył mu wyżej nogi i wsunął delikatnie pod głowę poduszkę, zwinął mapy i na palcach wyszedł z kabiny.

Tak. Nic nie wyszło z krótkiego rejsu. „Sophie” musiała teraz żeglować na północny wschód i z tego też kierunku (co jakiś czas tylko) wiał wiatr. Przeważnie panowała martwa cisza i w końcu, aby dotrzeć do Mahon, załoga spędziła dwanaście godzin przy wiosłach. Do portu dowlekli się wycieńczeni – w ciągu czterech ostatnich dni obowiązywał zmniejszony do jednej czwartej przydział wody.

Gdy „Sophie” wychodziła w morze, również posuwała się po kanale portowym z prędkością żółwia. Obie łodzie holowały z przodu, na pokładzie ludzie powoli poruszali ciężkimi wiosłami. W nieruchomym powietrzu unosił się wstrętny odór z garbarni.

–To paskudne miejsce – zauważył Jack, patrząc w stronę wyspy kwarantannowej.

–Tak pan uważa? – zapytał Stephen. Wracając dziś na okręt, przyniósł ze sobą zawiniętą w żaglowe płótno ludzką nogę. Zupełnie świeżą – prezent od pana Floreya.
– Moim zdaniem ta wyspa ma swoje uroki...

–Może dla pana, bo bardzo interesuje się pan ropuchami – odpowiedział Jack złośliwie. – Panie Watt! Niech ci ludzie przyłożą się trochę do wiosła!

Kapitan wciąż był poirytowany przykrością, jaka spotkała go ostatnio. W istocie nie tyle była to przykreść, co denerwująca i niepotrzebna złośliwość. Zaprosił do swej łodzi, proponując podwiezienie, Evansa, dowódcę okrętu „Aetna”, chociaż oznaczało to konieczność uciążliwego lawirowania wśród transportowców wyruszającego na Maltę konwoju. W pewnej chwili Evans spojrzął znacząco na epolet Jacka i zapytał gburowato:

–Gdzie go pan kupił?

–U Pauncha.

–Tak myślałem. Paunch sprzedaje epolety wykonane w dziewięciu dziesiątych z mosiądzu. Prawie nie ma w nich złota. Po jakimś czasie widać to od razu.

Złośliwość i zawiść. Aubrey usłyszał niedawno kilka takich uwag, wszystkie wynikały z takich samych, żalonych pobudek. Nie potrafił zrozumieć czegoś

podobnego. Nigdy nie zazdrościł nikomu samodzielnego patrolu lub szczęścia w zdobywaniu przyzów. Nigdy nie był wobec kogoś nieuprzejmy z tego powodu. Jak się później okazało, szczęście nie sprzyjało mu aż tak bardzo. Pan Williams przyjął go z niewyraźną miną, gdyż część ładunku statku „San Carlos” nie mogła zostać sprzedana. Towar ów należał do pewnego Greka z Ragusy i na dodatek objęty był brytyjskim ubezpieczeniem. Niezwykle wysokie opłaty w sądzie kaperskim sprawiały, iż nie opłacało się przysyłać do Mahon mniejszych jednostek. Jakby tego było mało, stocznia urządziła karczemną awanturę z powodu owej złamanej niefortunnie fokbramrei, chociaż to był tylko kawałek drewna, nic więcej. No i te baksztagi... Wszystkie te sprawy wydawały się jednak niczym w porównaniu z faktem, że Molly Harte była u siebie tylko przez jedno popołudnie. Musiała wyjechać do Lady Warren, do Ciudadela: ta dłuższa wizyta była zaplanowana już od dawna, tak przynajmniej powiedziała. Jack nie przypuszczał, że tak wiele może to dla niego znaczyć, że będzie aż tak nieszczęśliwy.

Tak. Ten postój w porcie przyniósł całą serię rozczarowań i nieszczęść. Mercy i to, co dziewczyna miała mu do powiedzenia – owszem, to rzeczywiście było przyjemne, nic więcej. Lord Keith odplynął dwa dni wcześniej. Był podobno bardzo zdziwiony, iż „Sophie” tak długo nie wraca. Kapitan Harte oczywiście nie omieszkał przy pierwszej sposobności wspomnieć o tym jej dowódcy. Wyspy nie opuścili jeszcze rodzice młodego Ellisa i Jack ze Stephenem musieli skorzystać z ich gościnności. Po raz pierwszy w życiu mieli okazję widzieć, jak pół butelki lichego białego wina podzielono między cztery osoby. Rozczarowania. Załoga, rozpuszczona przez pieniądze z przyzów, zachowywała się fatalnie, gorzej niż źle, nawet jeśli wzięto się poprawkę na dopuszczalne w porcie rozluźnienie dyscypliny. Czterech ludzi osadzono w więzieniu za gwałt, czterej inni tuż przed wyjściem statku w morze upili się do nieprzytomności, jeden złamał sobie nadgarstek i obojczyk.

–Pijane bydlaki... – powiedział Jack z wyrzutem, patrząc na wiosłujących marynarzy. Wielu z nich było w opłakanym stanie: brudni, nie ogoleni, półprzytomni. Niektórzy wciąż mieli na sobie swoje najlepsze ubrania, teraz brudne i wygniecione. Na pokładzie unosiła się woń zjełczanego dymu, tytoniu, potu i charakterystyczny zapach burdelu. „W ogóle nic przejmują się karami. Muszę mianować tego niemego Murzyna, Kinga, pomocnikiem bosmana. Trzeba też będzie zainstalować na pokładzie przyzwoity pręgierz. Może to nauczy ich trochę rozsądku”. Rozczarowania. Bele porządnego płótna żaglowego numer trzy i cztery, które Jack zamówił i za które zapłacił z własnej kieszeni, nie zostały dostarczone. W sklepach zabrakło strun do skrzypiec. Jego ojciec pisał w liście rozentuzjasmowanym tonem o zaletach ponownego małżeństwa. O wielkiej wygodzie, jaką jest prowadząca gospodarstwo domowe kobieta, o tym, jak pożądaną z każdego punktu widzenia rzeczą jest małżeństwo, nasz wielki obowiązek względem społeczeństwa. Nieistotna była pozycja społeczna wybranki – pisał generał Aubrey. Pozycja społeczna kobiety jest taka sama jak pozycja jej męża. Najważniejsza była „dobroć serca”, a kobiety o

dobrym sercu można znaleźć również w wiejskich chałupach. Różnica wieku między prawie sześćdziesięcioletnią a dwudziestoletnią dziewczyną była „nieważna”. Zdanie: „To tak jakby stary ogier wziął sobie młodą...” zostało przekreślone i obok strzałki wskazującej słowa „prowadząca gospodarstwo domowe” znajdował się dopisek: „Ktoś taki jak twój porucznik na okręcie”.

Jack spojrzawszy ponad pokładem rufówki na Dillona, pokazującego młodemu Luccockowi, jak należy trzymać sekstant i jak sprowadza się słońce w dół, aż do horyzontu. Całe ciało chłopca wyrażało skrywaną, lecz niezwykle intensywny zachwyt, radość z możliwości poznania tak wielkiej tajemnicy, starannie i (co najważniejsze) w przystępny sposób wyjaśnionej. Widząc to, Jack zaczął powoli zapominać o złym humorze. W tej samej chwili postanowił skierować statek na południe, dookoła wyspy, i zawinąć do Ciudadela. Zobaczy tam Molly – w całej tej sprawie chodziło zapewne o jakieś małe głupie nieporozumienie, które na miejscu wyjaśni – spędzą razem cudowną godzinę w osłoniętym wysokim murem ogrodzie, wysoko ponad zatoką.

W oddali, za fortem Świętego Filipa, pas pomarszczony woda zapowiadał poruszające się powietrze, dawał nadzieję na zachodnią bryzę. Po dwóch godzinach wiosłowania w coraz większym upale, dotarli tam wreszcie, złani potem. Łodzie zostały podniesione z wody, żagle przygotowane do postawienia.

–Może pan teraz skierować się w stronę wyspy Ayre – powiedział Jack do pierwszego nawigatora.

–Na południe, sir? – zapytał pan Marshall zdumiony, gdyż najkrótszy kurs w kierunku Barcelony prowadził na północ, dookoła Minorki. Wiatr też sprzyjał.

–Tak – odpowiedział Jack krótko.

–Południe do zachodu – nawigator podał kurs sternikowi.

–Jest południe do zachodu, sir – oznajmił sternik i przednie żagle wypełniły się wiatrem.

Od strony otwartego morza nadleciał podmuch świeżego powietrza, pachnący solą i pozwalający zapomnieć o smrodzie. „Sophie” pochyliła się nieznacznie i ożyła wreszcie. Stephen wrócił na rufę z forkasztelu, gdzie stał przy swojej pompie z pnia wiązu. Widząc go, Jack zawołał:

–Boże, jak to wspaniale znowu być w morzu! Czy na łodzi nie czuje się pan jak borsuk zamknięty w beczce?

–Borsuk w beczce? – zdziwił się Stephen, myśląc o wszystkich znanych sobie rasach borsuków. – Raczej nie.

Rozmawiali cicho i chaotycznie o borsukach, wydrach i lisach. O pogoni za lisem, o zaskakujących przykładach lisiej przebiegłości, perfidii, wytrwałości i dobrej pamięci. Omówili polowania na jelenie i dziki. W tym czasie bryg poruszał się powoli wzdłuż brzegów Minorki.

–Pamiętam, że jadłem niedawno mięso z dzika – zauważył Jack. Całkowicie powrócił jego dobry humor. – Jedliśmy razem taką potrawę... Wtedy, gdy pierwszy raz miałem przyjemność spożywać obiad w pańskim towarzystwie. Przypomina pan sobie?

–Tak. Pamiętam, że rozmawialiśmy o języku katalońskim, a to z kolei przypomniało mi o czymś... Już wczoraj wieczorem chciałem panu o tym opowiedzieć. Wybraliśmy się z Jamesem Dillonem ostatnio aż za Ulla, aby obejrzeć starożytne kamienne rzeźby sakralne (z pewnością celtyckie), i dwóch pracujących w polu chłopów rozpoczęło rozmowę na nasz temat. Wołali do siebie głośno z daleka. Spróbuję powtórzyć ich rozmowę. Pierwszy wieśniak: Widzisz tych zadowolonych z siebie heretyków? Na spacer się wybrali... Ten rudy to pewnie jakiś potomek Judasza Iskarioty. Na pewno. Drugi wieśniak: Tam gdzie przejdą Anglicy, ciężarne owce tracą jagnięta. Oni wszyscy są tacy. Niech ich krew zaleje. Dokąd idą ci dwaj? Skąd przyszli? Pierwszy wieśniak: Idą zobaczyć rzeźby, obaj są z udającego statek handlowy okrętu, zakotwiczonego naprzeciwko magazynu Bepa Ventury. Wyplływają w morze o świcie w czwartek, na patrol wzdłuż wybrzeża, od Castellonu do przylądka Creus. Na sześć tygodni. Bardzo mało płacą za świnie. Tak. Niech ich krew zaleje.

–Nie byli zbyt oryginalni – powiedział Jack z zadumą. – Wyraźnie niezbyt dobrze nam życzą. I pomyśleć, że przez większość ostatniego stulecia zapewnialiśmy im bezpieczeństwo.

–To zaskakujące, prawda? – zgodził się Stephen. – Chodziło mi jednak o coś innego. Chciałem zwrócić panu uwagę na to, iż nasz patrol może nie być dla Hiszpanów tak wielką niespodzianką, jak pan przypuszcza. Między tą wyspą a Majorką trwa bardzo ożywiony ruch: rybacy, przemytnicy... Na stole hiszpańskiego gubernatora znaleźć można raki z Fornells, masło z Xambo i ser z Mahon.

–Tak, rozumiem, o co panu chodzi. Dobrze, że zwrócił mi pan na to uwagę. Dziękuję.

Od posępnego, wysokiego brzegu na prawym trawersie oderwał się nagle jakiś ciemny kształt. Olbrzymie, ponure i złowieszcze ptaszysko. Stephen chrząknął w sposób dziwnie przypominający świnie, wyrwał spod pachy kapitana lunetę, odepchnął go łokciem i przykucnąwszy przy relingu, oparł teleskop na poręcz. Z napięciem ustawiał najlepszą ostrość.

–Brodaty sęp! To brodaty sęp! – zawołał. – Młody brodaty sęp!

–No cóż – odezwał się Jack bez chwili wahania. – Na pewno zapomniał się dziś rano ogolić. – Jego rumiana twarz wykrzywiła się, oczy zamieniły się w wąskie błękitne szparki. Uderzył dłonią w udo, zgięty w paroksyzmie prawie bezgłośniego, zaraźliwego śmiechu. Pomimo obowiązującej na „Sophie” surowej dyscypliny stojący za kołem sterowym marynarz nie potrafił oprzeć się wesołości i zarechotał zduszonym głosem, szybko jednak został uciszony przez wydającego komendy na ster oficera.

–Są chwile, w których rozumiem powody, dla których lubi pan tego człowieka – powiedział James cicho. – Nie spotkałem dotąd nikogo, kto potrafiłby tak intensywnie cieszyć się z najprostszyc rzeczy.

Wachtę pełnił pan Marshall. Ochmistrz był na dziobie i omawiał z bosmanem jakieś rachunki. Kapitan siedział w swojej kabinie. Był wciąż we wspaniałym humorze. Część umysłu Jacka zajęta była obmyślaniem nowego kamuflażu dla „Sophie”, inna część delectowała się szczęśliwym, jak oczekiwał, zakończeniem wizyty u pani Harte w Ciudadela dziś wieczorem. Na pewno Molly zdziwi się na jego widok. Jakże szczęśliwi będą razem! Stephen i James grali w szachy w mesie oficerskiej. Brawurowy atak Jamesa, oparty na poświęceniu skoczka, gońca i dwóch pionków, rozwinął się już na tyle, iż Stephen długo musiał zastanawiać się nad ruchem nie prowadzącym do mata w następnych trzech posunięciach. Nie znajdował innego wyjścia niż zrzućcie ze stołu szachownicy. James bardzo przejmował się podobnymi rzeczami, więc Stephen postanowił przeczekać do chwili, w której werbel wezwie wszystkich na stanowiska. Machał w zadumie trzymaną w ręku królową i nucił coś cicho.

–Wygląda na to – przerwał ciszę James – że istnieje spore niebezpieczeństwo zawarcia pokoju. – Stephen przygryzł wargi i zamknął jedno oko. On również słyszał podczas postoj u Mahon takie plotki. Dillon mówił dalej: – Mam więc nadzieję, że uda nam się zakosztować prawdziwej walki, zanim będzie za późno. Pański ruch...

–Wiem o tym – powiedział szybko Maturin. Spojrzał ukradkiem na Jamesa i ze zdziwieniem dostrzegł na jego twarzy nie skrywaną rozpacz. Czas nie działał tak, jak się tego Stephen spodziewał, rany wciąż się nie zablizniały. Na horyzoncie nadal widać było amerykański statek. – Czy pańskim zdaniem do tej pory nie mieliśmy żadnej okazji do walki? – zagadnął po chwili.

–Chodzi panu o tę samotanicę? Myślałem o czymś znacznie poważniejszym, na szerszą skalę...

–Nie, panie Watt – mówił ochmistrz, odhaczając ostatnią pozycję na prywatnym porozumieniu, dzięki któremu wraz z bosmanem uzyskiwali po cichu trzynaście i pół procent wartości niektórych dostaw zamawianych przez ich działy. – Może pan mówić, co się panu podoba, lecz według mnie ten nieopierzony młokos straci w

końcu „Sophie”. Co gorsza, my wszyscy dostaniemy przy tym po głowie lub zostaniemy jeńcami. Nie mam wcale ochoty spędzić reszty swoich dni w hiszpańskim lub francuskim więzieniu, że nie wspomnę o algierskiej galerze. Nie chcę skończyć przykuty do wiosła i w deszczu lub w piekącym słońcu siedzieć we własnym gnoju. Nie chcę też, by mój Charlie oberwał po głowie. Dlatego myślę o przeniesieniu. Zawód oficera marynarki niesie ze sobą spore ryzyko, to prawda. Godzę się na to, by mój syn był na nie narażony. Chodzi mi jednak o narażanie się na niebezpieczeństwo w normalnie przyjętych granicach. Nie o takie szalone wybryki jak wysadzenie tych cholernych dział; zbliżanie się nocą pod sam brzeg, tak jakby on do nas należał; nabieranie wody tu i tam tylko po to, by trochę dłużej pozostać w morzu; rzucanie się na wszystko, co tylko się porusza, niezależnie od rozmiarów... Do tej pory udawało się nam, lecz nie możemy ciągle liczyć na szczęście. To tylko ślepy traf.

–Może ma pan rację, panie Ricketts – zgodził się bosman. – Ja też nie mogę powiedzieć, żeby podobały mi się niektóre ostatnie zmiany w olinowaniu. Myli się pan jednak, twierdząc, iż wszystkim rządzi tu przypadek. Niech pan spojrzy na te liny. Lepszych nigdzie pan nie zobaczy. Nie ma w nich nitki identyfikacyjnej. – Bosman mówił, rozczesując koniec liny marszpikiem. – Niech pan popatrzy. A dlaczego nie ma w tych linach nitki identyfikacyjnej, panie Ricketts? Ponieważ nie przysłała ich tutaj królewska stocznia, ot co. Ten cholerny sknera, zarządca stocznii Brown, nie widział ich nawet. Nasz kapitan zapłacił za nie z własnej kieszeni, podobnie jak za farbę, na której pan właśnie siedzi... – „I co teraz, ty rozlazły, podły dusigroszu?” – dodałby pan Watt chętnie na zakończenie, gdyby nie był spokojnym i ugodowym człowiekiem i gdyby odgłos bębna nie zaczął wzywać wszystkich na stanowiska.

–Proszę wezwać sternika mojej łodzi – polecił Jack, gdy bicie bębna obwieściło zakończenie ćwiczeń. Ludzie szybko przekazywali sobie polecenie dowódcy: „Kapitański sternik, kapitański sternik, gdzie jesteś, George? Pokaż nogę, George. Biegiem, George. Masz kłopoty, George. George zaraz dostanie za swoje... Cha, cha, cha...” Po chwili na pokładzie rufówki pojawił się Barret Bonden. – Bonden, chcę, żeby załoga łodzi wyglądała przyzwoicie: umyć, ogoleni, uczesani, surduty, słomkowe kapelusze i wstążki.

–Tak jest, sir – odpowiedział sternik z kamienną twarzą, bardzo był jednak zdumiony. Ogoleni? Uczesani? We wtorek? W czwartki i w niedziele wszyscy stawali umyć na apelu, lecz kto to widział golić się we wtorek? W morzu! Popędził do fryzjera okrętowego. Jeszcze nie wszyscy wioślarze byli gotowi, gdy sprawa się wyjaśniła. Okręt opłynął przylądek Dartuch i przed dziobem, z prawej strony, pojawiło się miasto Ciudadela. Zamiast pożeglować na północny zachód, „Sophie” skierowała się w stronę portu i stanęła w dryfie z pracującym wstecz fokmarslem, na piętnastosążniowej wodzie, ćwierć mili od falochronu.

–Gdzie jest Simmons? – zapytał James Dillon, spoglądając na schodzących za burtę do łodzi marynarzy.

–Zachorował, sir – wyjaśnił Bonden i nieco ciszej dodał: – Dziś są jego urodziny...

Porucznik skinął głową. W oczy rzucał się również człowiek zastępujący Daviesa: był co prawda odpowiedniego wzrostu i miał na głowie słomkowy kapelusz z czarną wstążką z wyhaftowanym napisem „Sophie”, lecz ciemnogrnatowy surdut tego wioślarza wyraźnie różnił się od pozostałych. Nic nie można już było na to poradzić, gdyż na pokładzie pojawił się kapitan, bardzo elegancki w swym najlepszym mundurze, z paradną szpadą i w obszywanym złotem kapeluszu.

–Będę na brzegu nie dłużej niż godzinę, panie Dillon – powiedział. W jego zachowaniu widać było pozorowaną obojętność, pod którą skrywał rosnące podniecenie. Rozległ się gwizdek bosmana i zszedł do wyszorowanej, lśniącej czystością łodzi. Bonden nie pomylił się w doborze ludzi: Jacka absolutnie nie obchodziło to, w jakiego koloru surduty ubrani byli siedzący u wiosła marynarze.

O zachodzie słońca niebo było trochę zachmurzone. Dzwony w Ciudadela biły na Anioł Pański, a okrętowy dzwon „Sophie” obwieścił rozpoczęcie nowej wachty. Wzeszedł księżyc, bardzo bliski pełni, wspinał się dziarsko po niebie za Black Point. Na sygnał gwizdka ludzie znieśli hamaki na dół. Wachty zmieniły się. Zarażeni od Lucocka pasją do nawigacji, podchorążowie dokonywali obserwacji wschodzącego księżyca i wybranych gwiazd. Osiem szklanek. Środkowa wachta. W Ciudadela zgasły już prawie wszystkie światła.

–Łódź się zbliża, sir – zameldował obserwator. W dziesięć minut później Jack wszedł na pokład. Był bardzo blady i w świetle księżyca wyglądał przerażająco. W miejscu oczu i ust ziała czarna pustka.

–Wciąż jest pan na pokładzie, panie Dillon? – zapytał, siląc się na uśmiech. – Proszę postawić żagle. Ta słabnąca morska bryza pomoże nam oddalić się od brzegu – powiedział i chwiejnym krokiem zszedł do swej kabiny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Majmonides relacjonuje historię pewnego lutnisty, który mając zagrać podczas jakiejś uroczystości, stwierdził, że nie tylko zapomniał utwór, lecz również całkowicie stracił umiejętność gry, palcowania, wszystko" – pisał Stephen. – „Czasami obawiam się, iż ze mną może stać się coś podobnego. Nie jest to tylko irracjonalny lęk, gdyż dane mi już było doświadczyć czegoś takiego. Gdy jako chłopiec po ośmioletniej nieobecności powróciłem do Aghamore, wybrałem się do Birdie Coolan, a ona odezwała się do mnie po irlandzku. Jej głos był mi jak najbardziej znajomy (była moją nianią), znajoma była także intonacja i brzmienie niektórych wyrazów. Niczego jednak nie mogłem zrozumieć. Birdie mówiła coś do mnie, a ja nie pojmowałem znaczenia jej słów. Zupełnie wtedy osłupiałem. Wspominam o owym zdarzeniu, gdyż ostatnio nie potrafię powiedzieć, co moi przyjaciele czują, myślą, zamierzają, o co im chodzi. To oczywiste, że J.A. przeżył w Ciudadela jakieś olbrzymie rozczarowanie – nie przypuszczałem, iż cokolwiek może do tego stopnia wstrząsnąć tym człowiekiem – a J.D. nadal jest wielce nieszczęśliwy. Tylko tyle wiem – obaj nie rozmawiają ze mną i nie udaje mi się zajrzeć w głąb ich dusz. Pewną przeszkodą jest też moja niecierpliwość. Muszę teraz uważać, nie wolno mi zarazić się od nich złym humorem. Bardzo lubię ich obu, lecz z chęcią posłałbym i jednego, i drugiego do diabła. Irytuje mnie ich nadmiernie wybujałe, egocentryczne poczucie honoru oraz bezmyślne prowokowanie się nawzajem do dokonywania niezwykłych czynów, do podejmowania ryzyka, które może skończyć się tragedią. Nawet śmiercią. Nie chodzi mi o to, iż może zginąć jeden z nich – to ich prywatna sprawa. Zagrożone jest również moje życie i życie pozostałych członków załogi. Ci dwaj narwańcy nie biorą pod uwagę tego, że wszyscy możemy zostać zabici, że okręt zatonie, że moje zbiory przepadną bezpowrotnie. Ważniejsze są dla nich jakieś idiotyczne konwenanse. Irytuje mnie takie lekceważenie innych aspektów ludzkiego istnienia. Połowę czasu spędzam, puszczając im obu krew, zalecając dietę, podając środki na przeczyszczenie i pigułki nasenne. Obydwaj jedzą zbyt wiele i stanowczo za dużo piją, zwłaszcza J.D. Czasami wydaje mi się, iż obaj tak zamknęli się przede mną, gdyż postanowili pojedynkować się podczas najbliższego postoju w porcie – wiedzą doskonale, iż zrobiłbym wszystko, aby temu zapobiec. Tak mnie to denerwuje! Gdyby to oni zajmowali się szorowaniem pokładów, stawianiem żagli i sprzątaniami ustępów na dziobie, dawno wywietrzałyby im z głów podobne pomysły. Nie mam już cierpliwości. Obaj są dziwnie niedojrzali, jak na mężczyzn w ich wieku i na tak odpowiedzialnych stanowiskach. Z drugiej strony, inaczej po prostu by ich tutaj nie było. W pełni dorosły i myślący człowiek nie zaciąga się na okręt wojenny, by tułać się po morzach i oceanach w poszukiwaniu okazji do użycia bezsensownej przemocy. Pomimo swej wrażliwości (z niezwykłą delikatnością zagrał transkrypcję *Deh vieni*, tuż przed naszym przybyciem do Ciudadela) J.A. pod wieloma względami bardzo pasuje do roli przywódcy piratów na Karaibach sto lat temu. J.D. z kolei, mimo tak bystrego rozumu, z łatwością może stać się entuzjastą, współczesnym Loyolą, jeśli oczywiście przedtem nie oberwie po

głowie lub nie nadzieje się na coś ostrego. Sporo dała mi do myślenia ta nieszczęsna rozmowa..." „Sophie", ku wielkiemu zaskoczeniu załogi, po opuszczeniu Ciudadela nie skierowała się w stronę Barcelony. Ruszyła na północny zachód i o świcie, okrążywszy przylądek Salou, tuż przy brzegu napotkała załadowany do pełna hiszpański statek handlowy o wyporności około dwustu ton. Na jego pokładzie znajdowało się sześć sześćofuntowych armat, żadnej z nich jednak nie użyto. „Sophie" czekała od strony lądu, tak jakby to spotkanie zostało umówione na kilka tygodni wcześniej i jakby ów statek z dokładnością co do godziny zjawił się na ustalonym miejscu.

–To bardzo dochodowy interes – stwierdził James, patrząc na przyz odpływający ze sprzyjającym wiatrem do Mahon. „Sophie", halsując, płynęła tymczasem w kierunku objętego patrolem obszaru, jednego z najbardziej ruchliwych szlaków żeglugowych na świecie. Nie o te słowa Jamesa chodziło Stephenowi.

Nie. Ta rozmowa odbyła się znacznie później, po obiedzie, gdy doktor przechadzał się z Jamesem po pokładzie rufówki. Dyskutowali beztrąsko o obyczajach charakterystycznych dla różnych narodów: o życiu nocnym Hiszpanów; o tym, że Francuzi po posiłku wstają wszyscy razem, mężczyźni i kobiety, i przechodzą do salonu; że w Irlandii wszyscy pozostają w jadalni, pijąc wino, aż do chwili, gdy któryś z gości zechce odejść od stołu (w Anglii wybór odpowiedniej ku temu chwili należy do gospodarza); o różnicach w sposobie pojedynkowania się.

–W Anglii pojedynki zdarzają się bardzo rzadko – zauważył James.

–To prawda – zgodził się Stephen. – Gdy pierwszy raz pojechałem do Londynu, byłem bardzo zaskoczony, że mężczyzna przez okrągły rok może się tam nie pojedynkować.

–Tak. Honor w obu królestwach pojmowany jest zupełnie inaczej. Wiele razy bezskutecznie prowokowałem Anglików w sposób, który w Irlandii musiałby doprowadzić do walki. Nie wiem, jak to nazwać: nieśmiałością czy raczej tchórzostwem? – Dillon wzruszył ramionami i miał właśnie zacząć mówić dalej, gdy na pokładzie otworzył się świetlik kabiny i pojawiła się w nim głowa Jacka. „Nigdy nie przypuszczałem, iż na tak prostodusznej twarzy może malować się tyle nienawiści" – pomyślał wtedy Stephen.

„Czy J.D. powiedział to celowo?" – napisał później. – „Nie wiem na pewno, lecz zdaje mi się, że tak. Te słowa wyjaśniałyby jego częste uwagi, w których stara się skrytykować i wyszydzić wszelkie przejawy roztropnej ostrożności. Nie jestem tego absolutnie pewny, choć oczywiście powinienem... Wiem za to, iż J.A. szuka w walce zapomnienia, bo jest rozgoryczony postępowaniem przełożonych, koniecznością podporządkowania się regułom służby, pobudzony własnym niespokojnym temperamentem lub też (ostatnio) poruszony niewiernością kochanki. J.D. również

marzy o walce, ale skłaniają go do tego inne powody. Różnica między nimi polega na tym, iż J.A. zadowala się jedynie niesamowitym hałasem, wytężoną aktywnością umysłu i ciała, wszechogarniającą świadomością obecnej chwili, a J.D., obawiam się, pragnie czegoś więcej". Stephen zamknął zeszyt i przez dłuższą chwilę przyglądał się okładce, nieobecny myślami. Dopiero pukanie do drzwi sprowadziło go z powrotem na ziemię, a raczej na pokład „Sophie”.

–Panie Ricketts, czym mogę panu służyć? – zapytał.

–Sir... – nieśmiało odezwał się podchorąży. – Pan kapitan pyta, czy nie zechciałby pan wyjść na pokład i spojrzeć na brzeg?

–Na lewo od tego dymu, na południu, leży wzgórze Montjuich, z wielkim zamkiem, a ten występ z prawej strony to Barceloneta – wyjaśnił Stephen. – Za miastem wznosi się Tibidabo: właśnie tam, gdy byłem chłopcem, zobaczyłem po raz pierwszy sokoła. Na końcu linii, od Tibidabo przez wieżę katedry aż do morza, leży Moll de Santa Creu z wielkim portem handlowym. Po lewej zaś stronie znajduje się basen, w którym stoją królewskie okręty wojenne i kanonierki.

–Czy dużo jest tych kanonierek? – zapytał Jack.

–Tak mi się zdaje, choć nigdy mnie to zbytnio nie interesowało.

Jack skinął głową, spojrział jeszcze raz uważnie w głąb zatoki, by zapamiętać wszystkie szczegóły, i schylając się, zawołał:

–Na pokładzie...! Możecie opuszczać, tylko ostrożnie. Panie Babbington, z życiem tam z tą liną.

Stephen zawisł o sześć cali ponad swym stanowiskiem, wysoko na maszcie. Ze skrzyżowanymi rękami, tak by nie zahaczyć lin, bloków i rej, zaczął zjeżdżać z zawrotnej wysokości pionowo w dół, opuszczany przez grupkę dowodzonych przez Babbingtona marynarzy. Na pokładzie pomogli oni doktorowi wydostać się ze specjalnej uprząży – nikt na okręcie nie miał złudzeń co do jego marynarskich umiejętności.

Stephen podziękował im zamyślony i zszedł na dół, gdzie pomocnicy żaglomistrza zaszywali hamak z ciałem Toma Simmonsa.

–Czekamy tylko na kule, sir – wyjaśnili. W tej samej chwili pojawił się pan Day z siatką z pociskami armatnimi.

–Jestem mu to winien – powiedział, układając je wprawną ręką przy nogach zmarłego. – Służyliśmy razem na „Phoebe”. Już wtedy miał kłopoty ze zdrowiem – dodał szybko.

–To prawda. Tom, chociaż taki młody, był bardzo słabowity – zauważył jeden z ludzi żaglomistrza.

Te słowa i szczególna delikatność, z jaką je wypowiedziano, miały pocieszyć doktora, który mimo wszelkich starań nie zdołał zapobiec śmierci pacjenta. Czterodniowa śpiączka zakończyła się zgonem.

–Niech mi pan powie, panie Day – zapytał Stephen artylerzystę po odejściu marynarzy – ile on wypił? Pytałem o to jego kolegów, lecz udzielali mi wymijających odpowiedzi, kłamali.

–Jasne, przecież upijanie się jest niezgodne z prawem. Ile on mógł wtedy wypić? No cóż... Tom był bardzo popularny wśród kolegów, dlatego, moim zdaniem, odstąpili mu cały przydział. Zostawili sobie może po malutkim łyeczku do posiłku... To daje około kwarty.

–Kwarta? To sporo, lecz nie wydaje mi się, by taka ilość mogła zabić człowieka. W przypadku roztworu w stosunku trzy do jednego daje to około sześciu uncji... Tyle alkoholu wystarczy, żeby się upić, lecz na pewno nikogo nie zabije.

–Boże... – Artylerzysta spojrział na swego rozmówcę z politowaniem. – Tu nie chodzi o roztwór, tylko o normalny, mocny rum.

–Kwarta rumu? Czystego rumu? – zawołał Stephen.

–Oczywiście, sir. Każdemu członkowi załogi przysługuje codziennie po ćwierć kwarty, w dwóch ratach. To razem daje po kwarcie na każdy stół, do obiadu i do kolacji. Dopiero do tego dolewana jest woda. Coś podobnego... – Pan Day roześmiał się cicho i poklepał zawinięte w hamak ciało. – Gdyby ludzie dostali tylko po ćwierć kwarty wodnistego grogu, szybko mielibyśmy tu krwawy bunt. W słusznej sprawie...

–Ćwierć kwarty alkoholu dziennie dla każdego członka załogi? – Stephen z gniewu poczerwieniał na twarzy. – Spory kubek? Porozmawiam o tym z kapitanem. Będę nalegał, aby cały zapas rumu został wylany za burtę.

–I powierzamy jego ciało głębinom – powiedział Jack, zamykając książeczkę do nabożeństwa.

Marynarze, z którymi Tom Simmons jadał przy jednym stole, przechylili greting. Rozległ się odgłos szorującego o drewno płótna, cichy plusk i w przezroczystej wodzie pojawiły się pęcherzyki powietrza.

–Teraz, panie Dillon – w głosie dowódcy nadal słychać było oficjalny ton, jakim przed chwilą odczytywane były modlitwy – możemy zająć się bronią i malowaniem.

Okręt stał w dryfie, Barcelona została daleko za horyzontem. Niedługo po tym, jak ciało Toma Simmonsa spoczęło na dnie, na „Sophie” w najlepsze trwały prace, których celem miało być przekształcenie jej w bryg z dodatkowym masztem. Kadłub przemalowywano na biało, górną część burt na czarno, a na rufie umocowano pionowo kawałek grubej liny, mający udawać ów dodatkowy, trzeci maszt, na którym powinno stawać się bezana. W tym samym czasie ustawiony na forkasztełu toczak obracał się cierpliwie, ostrząc marynarskie szable, piki, topory abordażowe, bagnety żołnierzy piechoty morskiej, kordziki podchorążych i szpady oficerów.

Na pokładzie wrzała ożywiona praca, lecz wszystko odbywało się ze szczególną powagą: najbliżsi koledzy zmarłego nie mieli powodów do radości tuż po pogrzebie. Tom Simmons był ogólnie lubiany (w przeciwnym razie nie otrzymałby zabójczego urodzinowego prezentu) i ponury nastrój zapanował na całym okręcie. Nie było zwyczajowych śpiewów i żartów na forkasztełu. Wszyscy byli cisi, skupieni. Nie wyczuwało się złości lub rozdrażnienia, lecz coś wisiało w powietrzu, coś złowieszczonego, przynębiającego, straszego...? – leżąc w koi (całą noc spędził przy biednym Simmonsie), Stephen szukał odpowiedniego słowa. Tuż obok pan Day ze swymi ludźmi zajęty był przeglądem zawartości schowków, w których przechowywano kule armatnie. Pociski z jakimikolwiek nierównościami lub śladami rdzy były starannie ostukiwane i z łoskotem toczyły się w dół po desce. Setki czterofuntowych kul armatnich grzechotały, zderzały się ze sobą. Pomimo niesamowitego hałasu doktor zasnął, nie zdążywszy zakończyć swych rozmyślań.

Obudził go dźwięk jego własnego nazwiska.

–Doktor Maturin? Nie, nie może pan widzieć się z doktorem. – Z mesy oficerskiej dobiegał głos pana Marshalla. – Proszę zostawić dla niego wiadomość, a ja mu ją przekażę, jeśli obudzi się przed obiadem.

–Chciałem zapytać, czy to prawda, że skorbut i inne choroby najlepiej leczy się, trzymając codziennie nogi przez godzinę w morskiej wodzie... – wyjaśnił Ellis drżącym głosem, pełen wątpliwości.

–Kto pana tutaj z tym przysłał? Na pewno ten łobuz Babbington... Wstyd. Po tylu tygodniach spędzonych na morzu wciąż daje się pan nabierać!

Podobne żarty oznaczały, iż panująca na okręcie zła atmosfera nie dotarła do kubryku podchorążych lub już stamtąd wywietrzała. Jakże inne, beztroskie życie wiedli ci chłopcy. Maturin pomyślał o własnym dzieciństwie, o intensywnym wówczas przeżywaniu każdej chwili. W młodym wieku często jest się szczęśliwym w nieodpowiedniej chwili, niezależnie od okoliczności. Mijały minuty i gdy rozległ się dźwięk gwizdka bosmana, wzywającego załogę na obiad, żołądek Stephena jak na komendę zaczął skręcać się z głodu. „Jestem już wytresowany” – zauważył doktor zdziwiony i szybko wstał z koi.

Patrol dopiero się rozpoczął, ciągle trwały tłuste dni i zamiast sucharów na stole leżał chleb. Dillon stał, pochylając głowę pod belkami, i kroił wspaniałe comber barani.

– Witamy na zupełnie innym okręcie, doktorze. Nie jesteśmy już zwykłym brygiem – powiedział na widok wchodzącego do mesy Stephena.

– Mamy o jeden maszt więcej – wyjaśnił pierwszy nawigator, unosząc wysoko dłoń z trzema wyprostowanymi palcami.

– Naprawdę? – zapytał doktor, gorliwie podsuwając porucznikowi swój talerz. – Dlaczego? Czemu ma to służyć? Większej prędkości, elegancji, urodzie?

– Chcemy w ten sposób zmylić nieprzyjaciół... – odparł James.

Podczas posiłku dyskutowano o sztuce wojennej, porównywano sery z Mahon i Ceshire, ktoś zwrócił uwagę, iż Morze Śródziemne nawet w pobliżu lądu bywa zaskakująco głębokie. Stephen po raz kolejny zauważył szczególną umiejętność (zapewne rezultat wielu lat spędzonych przez wszystkich na morzu i tradycji licznych pokoleń służących na zatłoczonych okrętach) prowadzenia konwersacji w sposób sprawiający, iż obiad nie tylko upływał spokojnie, lecz był w miarę przyjemny. Częściowo było to zasługą ochmistrza, który łagodził zadrażnienia i w chwilach ciszy podtrzymywał rozmowę.

– Ostrożnie, doktorze – ostrzegł pierwszy nawigator, podtrzymując Stephena od tyłu w zejściówce. – Zaczęło trochę kiwać.

Rzeczywiście. Różnica poziomów między pokładem a położoną poniżej linii wodnej mesą oficerską nie była zbyt wielka, lecz kołysanie było na górze bardzo wyraźne. Maturin na moment stracił równowagę, chwycił się wspornika i z rozczarowaniem popatrzył dookoła.

– Gdzie jest ten pański trzeci maszt, mający niby zmylić wroga? Jak pan może żartować sobie ze mnie w ten sposób? Czy pańskim zdaniem to zabawne? Wiem, że jestem dla pana szczurem lądowym... Pewnie dlatego kpi pan sobie ze mnie? Nie spodziewałem się tego po panu.

– Ależ sir... – zawołał nawigator, wstrząśnięty ostrą reakcją i wściekłym spojrzeniem doktora. – Przysięgam... Panie Dillon, może pan...

– Drogi przyjacielu... – mówił James, prowadząc doktora w stronę grubej liny rozpiętej pionowo, o sześć cali z tyłu za grotmasztem. – Pozwolę sobie wyjaśnić, iż dla każdego patrzącego na nas z oddali marynarza ta lina to właśnie nasz trzeci maszt. Już za chwilę zostanie na niej postawiony bezan, czyli stary gaflowy grot, a na tej rei nad naszymi głowami pojawi się sterżagiel. Żaden człowiek morza nie

weźmie nas teraz z daleka za bryg.

–No cóż, muszę wam wierzyć. Panie Marshall, przepraszam za to, co powiedziałem. Poniosły mnie nerwy. Przepraszam.

–Nic nie szkodzi, sir. Chcąc mnie urazić, musiałby pan trochę lepiej się postarać – odparł pierwszy nawigator, świadomy tego, iż doktor bardzo go lubi. – Gdzieś na południu nieźle powiało – dodał, wychylając się za burtę.

„Sophie” kołysała się na długiej martwej fali, nadciągającej od strony odległych brzegów Afryki. Pomarszczona wiatrem powierzchnia wody wydawała się płaska, lecz horyzont unosił się wysoko i opadał w regularnych odstępach. Stephen z łatwością mógł wyobrazić sobie, jak przybój łamie się na skałach katalońskiego brzegu, jak spieniona fala wylewa się na kamienistą plażę i za chwilę wraca z charakterystycznym grzechotem toczących się kamieni.

–Oby tylko nie zaczęło padać – westchnął. Pamiętał z minionych lat, iż takie fale, przy pozornie spokojnym morzu, zapowiadały o tej porze roku południowo-wschodni wiatr, brunatne chmury i ulewne deszcze, tłukące bezlitośnie w gotowe do zbioru kiście winogron.

–Żagiel na horyzoncie! – zawołał obserwator na maszcie.

Był to średniej wielkości tartan, głęboko zanurzony, zmagający się z rześką wschodnią bryzą. Prawdopodobnie wyszedł z Barcelony; znajdował się o dwa rumbry na lewo przed dziobem „Sophie”.

–Dobrze, że nie spotkaliśmy ich godzinę temu – zauważył Dillon. – Panie Pullings, proszę powiadomić kapitana... – Nie zdążył wypowiedzieć tych słów, gdy na pokładzie pojawił się Jack. Był wyraźnie podekscytowany. W dłoni trzymał pióro.

–Niech będzie pan tak uprzejmy... – powiedział, podając je doktorowi, i lekko jak chłopiec wbiegł na sam szczyt masztu.

Na pokładzie zaroilo się od marynarzy, usuwających ślady porannej pracy i ustawiających żagle, gdyż okręt zmienił natychmiast kurs, by odciąć od lądu zauważony na horyzoncie statek. Wszyscy biegali tam i z powrotem, obładowani. Dwukrotnie Stephen został brutalnie potrącony i pewnie ze sto razy poproszono go, by nie przeszkadzał i usunął się z drogi. Poirytowany takim traktowaniem zszedł do kapitańskiej kabiny. Usiadł za stołem, zastanawiając się nad tym, jakże inaczej ludzie zachowują się w grupie. W widzianej jako całość społeczności giną bez śladu cechy pojedynczych osób.

–Tutaj pan jest! – zawołał Jack, wchodząc. – To chyba jakiś nieduży statek handlowy. Niedobrze. Miałem nadzieję na coś więcej...

–Zatrzymamy ich, oczywiście?

–Tak, nawet gdyby w tej chwili zrobili zwrot i spróbowali uciekać z wiatrem. Nie wydaje mi się jednak, by była okazja pohłasować... Szkoda, nie ma pan pojęcia, jak to poprawia nastrój. Działa tysiąc razy lepiej niż pańskie puszczenie krwi, rabarbar czy senes. Może... jeśli będzie trochę czasu, pomuzykujemy razem dziś wieczorem?

–Z największą przyjemnością – odparł Stephen. Patrząc na Jacka, z łatwością wyobraził sobie, jak ów człowiek będzie wyglądał, gdy wypali się w nim płomień młodości: stanie się ociężałym, siwym despotą, kto wie, czy nie zgryźliwym, zgorzkniałym i okrutnym...

–Tak... – Kapitan zawiesił głos, jakby chciał coś powiedzieć. Nie odezwał się i wyszedł z kabiny.

„Sophie” mknęła szybko po wodzie. Nie postawiono dodatkowych żagli, jej kurs również się nie zmienił, tak jakby tartan w ogóle jej nie interesował. Była handlowym brygiem z dodatkowym masztem i najspokojniej w świecie zmierzała do Barcelony. Gdy upłynęło pół godziny, można było bez trudu dostrzec, iż tartan uzbrojony był w cztery działa, miał niepełną załogę (kucharz pomagał przy obsłudze żagli) i zachowywał się w dziwnie beztroski sposób, jakby nosił banderę neutralnego kraju. Pomimo tego, gdy przygotowywał się do kolejnego zwrotu przez sztag, na „Sophie” w jednej chwili postawiono sztaksle oraz bramsle i bryg ruszył w jego stronę z zaskakującą prędkością. Tak zaskakującą, iż statek handlowy zrezygnował z rozpoczętego zwrotu i wrócił na lewy hals.

Gdy odległość wynosiła pół mili, pan Day (zawsze uwielbiał strzelać z działa), starannie mierząc, posłał kulę armatnią przed dziób tartana, który stanął w dryfie i czekał z opuszczoną reją. „Sophie”, zbliżywszy się, stanęła nie opodal, burta w burtę. Jack wywołał ich kapitana, zapraszając go do siebie.

W imieniu dowódcy statku odpowiedziała ładna młoda kobieta, prawdopodobnie pani Tartan lub coś w tym rodzaju: kapitan bardzo chciałby skorzystać z zaproszenia, lecz nie będzie to możliwe, gdyż dno jedynej na statku łodzi zostało niedawno uszkodzone. Statek pochodzi z neutralnej Ragusy i płynie pod balastem do tego właśnie portu. Jakiś mały człowieczek pokazał otwór w poszyciu łódki. Rzeczywiście, dno było dziurawe.

–Jak się nazywa wasz statek? – zapytał Jack.

–„Pola” – odpowiedziała szybko dziewczyna.

Aubrey stał i zastanawiał się. Był w podłym nastroju. Kadłuby obu jednostek na przemian unosiły się i opadały na fali. Z tyłu, za tartanem, w regularnych odstępach czasu ukazywał się ląd. Na dodatek na południu pojawiły się dwie łodzie rybackie,

zęglujące z wiatrem. Ostronose barcalongi. Marynarze z załogi „Sophie” w milczeniu przyglądali się młodej kobiecie. Oblizywali wargi i głośno przełykali ślinę.

Tartan na pewno nie płynął pod balastem – to bezczelne kłamstwo. Z pewnością nie był też zbudowany w Ragusie. A „Pola”? Czy to prawdziwa nazwa?

–Proszę opuścić łódź na wodę – polecił Jack stanowczym głosem. – Panie Dillon, czy mamy na pokładzie kogoś, kto mówi po włosku? John Baptist jest Włochem...

–I Abraham Codpiece, pomocnik ochmistrza, sir.

–Panie Marshall, weźmie pan ze sobą ich obu. Proszę sprawdzić ten statek. Niech pan przejrzy papiery, zajrzy do ładowni. W razie potrzeby proszę przeszukać kapitańską kabinę.

Łódź podpłynęła ostrożnie, utrzymywana przez sternika w odpowiedniej odległości od świeżo pomalowanego kadłuba. Uzbrojeni po zęby ludzie schodzili do niej po opuszczonej z noku grotrei linie. Woleli ryzykować skręcenie karku niż rozmazanie starannie i równo położonej czarnej farby.

Po chwili byli obok tartana, weszli na jego pokład. Marshall, Codpiece i John Baptist zniknęli w kapitańskiej kabinie. Słysząc było rozwścieczony kobiecy głos, potem przeraźliwy krzyk. Ludzie zgromadzeni na forkasztele „Sophie” zaczęli przestępować z nogi na nogę i spoglądać na siebie niespokojnie.

Na pokładzie zatrzymanego statku pojawił się pan Marshall.

–Co pan zrobił tej dziewczynie? – zapytał Jack.

–Przyłożyłem jej zdrowo – odpowiedział nawigator obojętnie. – Ten tartan ma tyle samo wspólnego z Ragusą co ja. Kapitan mówi tylko po francusku i w ogóle nie zna włoskiego. Tak przynajmniej twierdzi Codpiece. Nasza miła pani miała w fartuszkach komplet hiszpańskich dokumentów; ładownia pełna jest towaru z Barcelony do Genui.

–To podłość: brutalnie uderzyć kobietę... – oburzył się głośno James Dillon. – I pomyśleć, że musimy przebywać na jednym okręcie z kimś takim.

–Zobaczymy, co pan powie, gdy się pan ożeni, poruczniku – powiedział ochmistrz, chichocząc.

–Dobra robota, panie Marshall – pochwalił Jack. – Bardzo dobra. Ilu mają ludzi na pokładzie i co to za ludzie?

–Ośmiu, sir. Łącznie z pasażerami. Podejrzana banda.

–Proszę ich przysłać tutaj. Panie Dillon, potrzebni będą odpowiedzialni ludzie do obsadzenia przyżu.

Gdy kapitan wypowiadał te słowa, zaczął padać deszcz. Wraz z pierwszymi kroplami dobiegało z oddali charakterystyczne dudnienie i twarze wszystkich ludzi na pokładzie zwróciły się na północny wschód. To nie był odgłos nadciągającej burzy. Gdzieś strzelały działa.

–Proszę pośpieszyć się z jeńcami! – zawołał Jack. – Panie Marshall, odprowadzi pan przyż do Mahon. Czyba towarzystwo kobiety nie będzie panu przeszkadzało?

–To nie ma dla mnie znaczenia, sir – odparł nawigator. Po pięciu minutach okręt był już w ruchu. Płynęli w strugach

ulewnego deszczu, przecinając na ukos martwą falę. Pokład „Sophie” kołysał się miękkim spiralnym ruchem. Wiatr wiał z trawersu. Bramse zostały błyskawicznie zrzucone, chociaż wystarczyło zaledwie pół godziny, by tartan został daleko z tyłu. Stephen stał przy rufowym relingu i patrzył na długą wstęgę kilwateru, myślami oddalony o tysiąc mil od miejsca, w którym się znajdował. Nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za płaszcz. Obrócił się i ujrzał uśmiechniętego Mowetta. Nieco dalej z tyłu młody Ellis klęczał przy małym otworze w nadburciu i wymiotował ostrożnie do morza.

–Sir... – rzekł Mowett. – Zmoknie pan.

–Tak – przyznał Stephen niepewnie i dodał: – Deszcz pada.

–Właśnie, sir. Woli pan zejść pod pokład czy mam przynieść panu brezentową kurtkę?

–Nie, nie... Nie trzeba. Bardzo pan uprzejmy... – odparł Stephen rozkojarzony. Nie zrażony niepowodzeniem pierwszej części swej misji, Mowett przeszedł do części drugiej: miał skłonić doktora, by przestał pogwizdywać, gdyż bardzo irytowało to i niepokoiło obecnych na pokładzie marynarzy.

–Czy mogę wyjaśnić panu kolejne pojęcie związane z morzem i żegluga, sir? – zagadnął młody oficer ostrożnie. – O! Słyszysz pan? Znowu odezwały się te działa...

–Bardzo proszę – odpowiedział Stephen i nareszcie przestał gwizdać.

–Widzi pan... – Mowett wskazał ręką w kierunku Barcelony, ponad szarym, poznaczonym przez tysiące deszczowych kropel morzem. – Tam właśnie jest zawietrzny brzeg.

–Ach tak? – Na twarzy doktora pojawiło się zainteresowanie. – Zawietrzny brzeg,

którego tak się wszyscy obawiacie? Czy to nie przesąd? Czy ten wasz lęk ma jakieś racjonalne podstawy?

–Jest jak najbardziej uzasadniony, sir... – Mowett opisał szybko, co to jest dryf, jak przy zwrocie przez rufę i na pełnych kursach statek traci dystans względem wiatru. Podczas silnej wichury niemożliwa staje się żegluga ostrymi kursami i halsowanie pod wiatr. Bardziej niż tragiczna jest sytuacja, w której żaglowiec zostaje uwięziony w zatoce przez sztorm wiejący w kierunku brzegu. Nieuniknione staje się wówczas dryfowanie ku brzegowi znajdującemu się na zawietrznej. Łatwo sobie wyobrazić, czym to grozi. Te wyjaśnienia co jakiś czas przerywane były przez dobiegające z oddali odgłosy wystrzałów armatnich. Niekiedy rozlegało się trwające pół minuty nieprzerwane dudnienie, odzywały się też pojedyncze działa. – Tak bardzo chciałbym wiedzieć, co tam się dzieje! – Mowett przerwał opowieść o brzegu zawietrznym i stanął na palcach, wyciągając szyję.

–Nie ma się czego obawiać – oświadczył Stephen. – Już wkrótce wiatr powieje z kierunku, z którego przychodzą te fale. Zdarza się tak często o tej porze roku, przed dniem Świętego Michała. Gdyby tak mógł ktoś rozpiąć nad winnicami olbrzymi parasol i zasłonić winogrona przed deszczem...

Nie tylko Mowett interesował się odległą kanonadą. Ze zrozumiałych względów bardzo zaniepokoiła ona dowódcę „Sophie” i stojącego tuż obok na pokładzie rufówki porucznika. Obaj, choć tak sobie obcy, równie gorąco marzyli o oczyszczającym duszę ogniu walki. Wytężając wszystkie zmysły, z napięciem nasłuchiwali dobiegającego z północnego zachodu odgłosu wystrzałów. Podobnie zachowywali się prawie wszyscy pozostali członkowie załogi. Odległa bitwa najwyraźniej zaintrygowała też załogę uzbrojonego w siedem dział hiszpańskiego statku pirackiego „Felipe V”, który niespodziewanie wynurzył się z oślepiającego deszczu, od strony lądu, nieco z tyłu za trawersem „Sophie”. Z postawionymi żaglami zmierzał w kierunku toczącego się gdzieś za horyzontem artyleryjskiego starcia. Obydwie jednostki dostrzegły się nawzajem w tym samym momencie. „Felipe” wystrzelił przed dziób brygu i podniósł banderę. „Sophie” odpowiedziała salwą burtową. Statek piracki zrozumiał swą pomyłkę i błyskawicznie skierował się z powrotem w stronę Barcelony. Silny wiatr wiał z jego lewego baksztagu, duże łańskie żagle kołysały się i trzepotały na martwej fali.

Ster „Sophie” został wyłożony na burtę w sekundę po manewrze pirata. Przygotowano do strzału działa na prawej burcie. Obsługujący je ludzie osłaniali dłońmi skwierczące w deszczu lonty i świeżą podsypkę.

–Mierzyć w ich rufę! – zawołał Jack. W ruch poszły handszpaki i łomy. Lufy armat obróciły się o pięć stopni do tyłu. – Strzelać wysoko na fali! Tak jak teraz, dobrze... – Działa odezwały się kolejno. Hiszpański statek zatoczył łuk, tak jakby piraci zamierzali dokonać abordażu. Trzepoczący łański sterzagiel opadł na pokład. Nagle

znów zmienili kurs i płynęli z wiatrem. Kula armatnia roztrzaskała ich koło sterowe. Pozbawiony możliwości sterowania statek nie mógł nieść żadnych żagli na tylnym maszcie, przygotowali więc duże wiosło, mające zastąpić uszkodzony ster, i uwijali się jak w ukropie przy zrzuconej rei sterżagła. Dwa działa na ich lewej burcie wypaliły, jedna z kul uderzyła w „Sophie” z dziwnym odgłosem. Następna salwa brygu, starannie wymierzona, oddana z odległości strzału pistoletowego i połączona z huraganowym ogniem muszkietów, odebrała Hiszpanom chęć do dalszej walki. W niespełna dwanaście minut od pierwszego wystrzału pośpiesznie opuścili banderę. Na pokładzie „Sophie” rozległy się wiwaty. Uśmiechnięci ludzie radośnie poklepywali się po plecach i podawali sobie dłonie.

Deszcz przestał padać. Przesunął się na zachód, spowijając w szarość położony już o wiele bliżej port.

–Proszę zająć ten statek, panie Dillon – polecił Jack i spojrzał w górę na wiatrowskaz. Wiatr wyraźnie zmienił kierunek, jak to się często zdarzało w tych stronach po deszczu, i wiał z południowego wschodu. – Czy są jakieś uszkodzenia?

–zapytał, widząc wchodzącego na pokład rufówki cieślę.

–Gratuluje panu zdobyczy, sir – powiedział pan Lamb.

–Nie ma właściwie żadnych uszkodzeń. To znaczy... Nie ma uszkodzeń, lecz jest trochę bałaganu... Ta jedna kula trafiła w kuchnię, porozrzucała garnki i strąciła komin.

–Zaraz się tym zajmiemy – oznajmił Jack. – Panie Pullings, armaty na dziobie nie są porządnie zamocowane. Co u licha... – przerwał zaskoczony. Ludzie obsługujący wyglądali dziwnie, przez chwilę obawiał się najgorszego. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, co się stało. Prawie wszyscy umazani byli świeżą czarną farbą i kuchenną sadzą. Ci najbardziej poplamieni, z dziobu, złośliwie brudzili swych kolegów. – Skończyć natychmiast z tymi cholernymi wygłupami! Niech was wszystkich szlag trafi, popaprańcy! – ryknął wściekle. Rzadko przeklinał, tylko w wyjątkowych sytuacjach pozwalał sobie na kilka ostrzejszych słów. Wszyscy na pokładzie zamilkli, zaskoczeni zachowaniem kapitana, który powinien bardziej cieszyć się ze zwycięstwa. Co odważniejsi z marynarzy wymieniali ukradkowe spojrzenia bądź mrugali porozumiewawczo, zachwyceni i pełni zrozumienia.

–Na pokładzie! – zawołał Lucock z masztu. – Z Barcelony wychodzą kanonierki. Sześć. Osiem. Dziewięć. Jedenaście. Może więcej...

–Zrzucić łodzie – polecił Jack. – Panie Lamb, proszę popłynąć na zdobyty statek i sprawdzić, czy można naprawić roztrzaskany ster.

Podniesienie łodzi do noków rej i opuszczenie ich na wodę przy takiej fali nie było

łatwym zadaniem, lecz rozochoceni ludzie pracowali z niewiarygodnym wręcz zapalem, jakby upili się rumem, nie tracąc swej sprawności. Co chwila rozlegały się salwy przytłumionego śmiechu, zgaszone kolejnym okrzykiem z masztu. Obserwator zauważył żagiel na nawietrznej. Mogło to oznaczać, iż „Sophie” znalazła się między młotem a kowadłem. Na szczęście był to jej własny przyz, zdobyty wcześniej tartan.

Łodzie przemykały szybko tam i z powrotem. Posępni jeńcy, z kurtkami wypchanymi na piersiach pośpiesznie zebranymi rzeczami osobistymi, schodzili do przedniej ładowni. Cieśla uwijał się z pomocnikami przy naprawie uszkodzonego steru. Stephen złapał przebiegającego obok Ellisa.

–Kiedy przeszła panu morska choroba? – zapytał.

–Niemał dokładnie w chwili, gdy odezwały się działa, sir – odparł chłopiec.

Stephen skinął głową.

–Tak mi się zdawało – rzekł. – Przez cały czas pana obserwowałem...

Pierwszy pocisk armatni wzbił w górę białą fontannę wody, wysokości marsa grotmasztu, w połowie odległości między „Sophie” i jej przyzem. „Bardzo dobrze wycelowali, jak na próbny strzał” – pomyślał Jack. – „To musiała być bardzo ciężka kula...”

Kanonierki wciąż oddalone były o więcej niż milę, lecz zbliżały się zaskakująco szybko, płynąc pod wiatr. Trzy najbardziej wysunięte do przodu miały po trzydzieści wioseł i każda uzbrojona była w jedną długą trzydziestosześcioletnią. W razie przypadkowego trafienia, nawet z odległości mili, taka kula przebiłaby „Sophie” na wylot. Jack z trudem powstrzymywał się przed ponaganiem cieśli. „Skoro trzydziestosześcioletnia kula nie może skłonić go do pośpiechu, ja również nic tu nie wskóram” – zauważył w duchu. Chodził po pokładzie tam i z powrotem, spoglądając przy każdej zmianie kierunku na wiatrowskaz i na kanonierki. Już siedem z nich spróbowało trafić z daleka – strzelały chaotycznie, większość kul spadała za blisko, lecz niektóre przelatywały z przeraźliwym świstem ponad masztami brygu.

–Panie Dillon! – zawołał kapitan w stronę zdobytej jednostki. Miał przemoczone plecy, gdyż dosięgły go bryzgi wzbite przez kulę, która uderzyła w grzbiet fali tuż za rufą brygu. – Panie Dillon, pozostałych jeńców przekaże pan później. Proszę postawić żagle, gdy tylko będzie to możliwe. Chyba że chce pan, byśmy podali wam hol...

–Nie trzeba, sir. Dziękuję. Za dwie minuty będziemy mieli prowizoryczny rumpel.

„Tymczasem możemy te łódki postraszyć” – pomyślał Jack. Zauważył, iż ludzie na

pokładzie „Sophie” umilkli i są wyraźnie podenerwowani. – „Przynajmniej dym nas trochę zasłoni”.

–Panie Pullings, załogi dział na lewej burcie mogą strzelać według własnego uznania – zdecydował.

Łatwiej teraz było czekać – odezwały się armaty, zapachniało prochem, ludzie nareszcie mieli wymagające uwagi i skupienia zajęcie. Jack uśmiechnął się, widząc, z jakim przejęciem obsługa mosiężnej armaty na rufie oczekiwała na upadek pierwszego wystrzelonego pocisku. Ogień „Sophie” pobudził płynące ławą kanonierki do jeszcze większej aktywności. Szare, ponure morze na prawie ćwierćmilowym odcinku zaiskrzyło się rozbłyskami.

W pobliżu dowódcy krzątał się Babbington: celował, pomagał przetaczać działo. Na rufie przyzwoił się próbujący przekrzyczeć huk Dillon. Na zdobytym statku uruchomiono wreszcie ster.

–Stawiać żagle – polecił kapitan. Pracujący dotąd wstecz fokmarsel „Sophie” został przebrasowany i wypełnił się wiatrem. Najważniejsza była prędkość. Postawiwszy wszystkie przednie żagle, Jack skierował najpierw okręt z wiatrem, później wyostrzył na północny zachód. W ten sposób słup zbliżył się do kanonierek i przepływał przed ich dziobami. Działa na lewej burcie brygu strzelały bez przerwy, kule nieprzyjaciół uderzały w wodę lub przelatywały wysoko nad głowami. W pewnej chwili Jack poczuł przyływ entuzjazmu na myśl o nagłym wtargnięciu pomiędzy nieporadne w walce na krótki dystans łodzie. Przypomnił sobie jednak szybko o towarzyszących „Sophie” zdobytym jednostkach, o niebezpiecznych jeńcach, wciąż pozostających na pokładzie statku Dillona, i kazał tylko zbrasować mocno reje.

Oba przyzwoiłły tymczasem się rozpędzić i z prędkością pięciu lub sześciu węzłów umykały w stronę otwartego morza. Kanonierki przez pół godziny kontynuowały pościg. Gdy zaczął zapadać zmrok, a odległość zwiększyła się znacznie, jedna po drugiej zawróciły w stronę Barcelony.

–Bardzo słabo dzisiaj grałem – stwierdził Jack, odkładając smyczek.

–Nie przykładaj się pan zbyttnio – zgodził się Stephen. – Mielśmy męczyący dzień, ale można powiedzieć, że bardzo udany...

–Tak, to prawda – przyznał Jack. Jego twarz trochę się rozpogodziła. – Tak. Jestem bardzo zadowolony. – Umilkł na chwilę. – Czy pamięta pan człowieka o nazwisku Pitt? Spotkaliśmy go pewnego dnia w Mahon, na obiedzie...

–Chodzi panu o tego żołnierza?

–Tak. Czy powiedziałby pan o nim, że to przystojny mężczyzna?

–Nie. Na pewno nie.

–Cieszę się, że pan tak uważa. Bardzo cenię sobie pańskie zdanie... – Aubrey zawiesił głos. – Czy zauważył pan, jak niektóre myśli uporczywie kłębią się w głowie, gdy człowiek jest przygnębiony? Podobnie jak stare rany, które otwierają się przy szkorbutcie... To nie znaczy, że ani na moment nie zapomniałem o tym, co mi Dillon wtedy powiedział... Te słowa utkwiły głęboko w moim sercu i przez ostatni dzień lub dwa stale przychodziły mi na myśl. Wciąż je rozpamiętywałem. Doszedłem do wniosku, iż muszę poprosić go o wyjaśnienie. Już dawno powinienem tak zrobić. Porozmawiam z nim, gdy tylko zawiniemy do portu, chyba że wydarzenia najbliższych dni sprawią, iż nie będzie to konieczne.

–Pom, pom, pom, pom – zanucił Stephen unisono ze swą wiolonczelą, spoglądając na Jacka uważnie. Twarz kapitana była śmiertelnie poważna, szara, w zamglonych oczach skrzył się dziwny, czerwony blask. – Zaczynam pomału sądzić, iż to przepisy prawa są główną przyczyną ludzkich nieszczęść... – mówił doktor powoli. – Chodzi mi o to, iż zasady moralności i honoru nie zawsze zgodne są z obowiązującym prawem. Często istnieją równoległe zbiory nie powiązanych ze sobą, niekiedy całkowicie sprzecznych zasad, do przestrzegania których jesteśmy w ten czy inny sposób zobowiązani. Podobnie jest w pańskim przypadku. Zamierza pan doprowadzić do czegoś, co pozostaje w sprzeczności z przepisami prawa wojennego (sam mi pan to kiedyś wyjaśnił) oraz duchem tolerancji, gdyż uważa pan, że tego wymaga pojmowana w określony sposób moralność i kodeks honorowy. To wcale nie jest odosobniony przypadek. Codziennie stykamy się z wieloma takimi sytuacjami. Osiołek z bajki zdechł z głodu, gdyż nie potrafił zdecydować się na owies lub siano. Tak samo jest z podwójną lojalnością. To też bywa źródłem wielkiego zamieszania...

–Nie rozumiem... Nie wiem, co nazywa pan podwójną lojalnością. Człowiek może służyć tylko jednemu królowi, ludzkie serce może być w danej chwili tylko w jednym miejscu, chyba że bije w piersi łajdaka.

–Wygaduje pan głupoty – zirytował się Stephen. – Nie trzeba być specjalnie bystrym obserwatorem, by zauważyć, że mężczyzna może szczerze i z oddaniem związać się z dwiema kobietami jednocześnie, a nawet: z trzema, czterema, z wieloma... Zapewne wie pan o podobnych sprawach dużo więcej ode mnie. Nie o to mi chodzi. Miałem na myśli znacznie szerzej rozumianą lojalność, która również prowadzi czasem do konfliktu sumienia. Weźmy na przykład Amerykanów, którzy wybrali niepodległość; beznamiętnych jakobitów z czterdziestego piątego roku; katolickich księży w dzisiejszej Francji; Francuzów, o różnych orientacjach, we Francji i poza jej granicami. Takie sprawy niosą ze sobą zawsze sporo bólu, tym dotkliwszego, im bardziej uczciwy jest dany człowiek. W takich przypadkach problem jest jednak łatwy do określenia, bezpośredni i oczywisty. Moim zdaniem znacznie więcej zamieszania i nieszczęść powodują inne, nie tak ostro zarysowane sprzeczności. Jakże często

trudno jest pogodzić ze sobą prawo moralne, cywilne, wojskowe, kodeks honorowy, zwyczaje, zasady życiowe, reguły dobrego wychowania, miłosnej konwersacji, że nie wspomnę o religii, oczywiście jeśli chodzi o ludzi wierzących. Niekiedy są to sprawy zupełnie przeciwstawne, a na pewno żadna z nich nie pozostaje z innymi w idealnej harmonii. Człowiek jest nieustannie zmuszany do dokonywania wyboru, do postępowania w ten, a nie inny sposób, do pójścia w tym, a nie innym, przeciwnym czasem kierunku. Nasze życie przypomina instrument muzyczny, którego każda struna nastrojona jest według innej skali. To jest tak jakby ów biedny osiołek stał przed kilkudziesięcioma pełnymi żłobami...

–Za bardzo przejmuję się pan tymi sprzecznościami – powiedział Jack. – Jest pan pesymistą.

–Jestem pragmatykiem – poprawił go Stephen. – Napijmy się wina, a potem zaaplikuję panu coś na wzmocnienie. Może jutro powinienem puścić panu trochę krwi. Od ostatniego razu upłynęły już trzy tygodnie...

–Dobrze. Połknę to pańskie lekarstwo – zgodził się Jack. – Co się tyczy krwi, to jutro zatańczymy z tymi kanonierkami i to ja zabawię się w puszczającego krew lekarza. Nie wydaje mi się jednak, by moim pacjentom przypadł do gustu taki zabieg...

Na „Sophie” obowiązywały bardzo ograniczone przydziały wody do mycia, nikomu nie dawano też mydła. Nic więc dziwnego, że ludzie, którzy umazali siebie i innych farbą, byli wciąż brudni. Jeszcze gorzej wyglądali ci, którzy pracowali przy porządkowaniu kuchni – wszyscy wysmarowani byli od stóp do głów tłuszczem oraz sadzą z garnków i paleniska. Przypominali bandę krwiożerczych, okrutnych dzikusów. Szczególnie przerażające były czarne jak noc twarze jasnowłosych marynarzy.

–Tylko nasi Murzyni wyglądają teraz przyzwoicie – zauważył Jack. – Chyba żadnego z nich nie brakuje?

–Davies popłynął z panem Mowettem na statku pirackim, sir – odparł porucznik. – Wszyscy pozostali są na okręcie.

–O ilu mniej ludzi mamy w tej chwili? Myślę o tych, którzy pozostali w Mahon i o załogach przyzów...

–Ubyło trzydzieści sześć osób. Razem jest nas pięćdziesięciu czterech mężczyzn i chłopców.

–Bardzo dobrze, przynajmniej nie ma tłoku. Niech wszyscy dobrze się wyśpią, panie Dillon. O północy znów ruszymy w stronę brzegu.

Po deszczu powróciło lato – wiała łagodna i spokojna tramontana, powietrze było ciepłe, czyste, powierzchnia morza fosforyzowała lekko. Jaskrawe światła Barcelony migotały w oddali, nad miastem wisiała rozjaśniona od spodu chmura. Kanonierki strzegące wejścia do portu były na tym tle doskonale widoczne i to skradająca się w ciemności „Sophie” pierwsza je zobaczyła. Czekwały znacznie dalej niż zwykle, w pełnym pogotowiu.

„Gdy tylko ruszą w naszą stronę, postawimy bramsle i popłyniemy w kierunku tego pomarańczowego światła” – postanowił Jack. – „Później wyostrzymy gwałtownie i wpłyniemy pomiędzy te dwie łodzie na północnym krańcu szyku”. Serce Jacka biło spokojnie i równo, odrobinę szybciej niż zwykle. Wyraźnie czuł się lepiej i miał jaśniejszy umysł po tym, jak Stephen puścił mu dziesięć uncji krwi.

Nad morzem pojawił się mały skrawek księżyca. Odezwało się działo kanonierki – głęboki, basowy odgłos, przywodzący na myśl szczekanie starego, samotnego psa.

–Raca, panie Ellis – poleciał kapitan. W niebo wzbiła się płonąca błękitem rakietą, mająca zmylić wroga. Kanonierki odpowiedziały jakimiś hiszpańskimi sygnałami, kolorowymi światłami na masztach, daleko z prawej strony zagrzmiała armata. – Bramsle! – zawołał szybko. – Jeffreys, steruj na to pomarańczowe światło.

Poszło im wspaniale. „Sophie” płynęła szybko i pewnie, gotowa do akcji. Kanonierki nie zbliżały się jednak, tak jak się tego spodziewał Jack. Jedna po drugiej obracały się i strzelały w kierunku brygu, wszystkie powoli się cofały. Aby je sprowokować, słup zmienił nagle kurs, posyłając w ich stronę salwę burtową. Prawdopodobnie kule dosięgły celu, gdyż rozległy się przeraźliwe okrzyki. Pomimo to hiszpańskie łodzie nadal się nie zbliżały.

–Do licha! – zawołał Aubrey gniewnie. – Chyba chcą nas zwabić w pułapkę. Panie Dillon, postawimy sztaksle i bezana. Spróbujemy zająć się tą odważną owieczką, która właśnie odłączyła się od stada.

„Sophie” szybko wykonała zwrot i ruszyła półwiatrem najbliższej kanonierce, pochylała się tak, że dolna krawędź lewego nadburcia dotykała czarnej jak smoła wody. Pozostałe łodzie pokazały, co potrafią: błyskawicznie obróciły się w stronę brygu i zaczęły strzelać gwałtownie, podczas gdy wybrana kanonierka rzuciła się do ucieczki. W zasięgu ich dział znalazła się bezbronna rufa kontynuującej pościg „Sophie”. Trzydziestosześcioletnia kula z głuchym dudnieniem otarła się o kadłub, kolejny pocisk przeleciał tuż nad głowami ludzi na pokładzie. Dwa baksztagi, ucięte jak nożem, spadły na Babbingtona, Pullingsa i stojącego za sterem marynarza. Wszyscy trzej przewrócili się, ciężki blok uderzył w koło sterowe. James jednym susem znalazł się w pobliżu i chwycił za szprychy.

–Zrobimy zwrot przez sztąg, panie Dillon – zdecydował Jack i w chwilę później

„Sophie” płynęła w linii wiatru.

Obsługujący żagle ludzie pracowali bardzo sprawnie, lecz oświetlani w ciemności błyskami wystrzałów, przypominali poruszające się niezgrabnie marionetki.

–Ostro na wiatr, sir? – zapytał James.

–Odejdziemy o rumb – odparł Jack. – Powoli. Zobaczymy, czy uda nam się ich skusić, czy wyjdą za nami w morze. Proszę opuścić o kilka stóp reję grotmarsla i poluzować prawą topenantę, tak jakbyśmy zostali trafieni. Panie Watt, musimy natychmiast zająć się tymi baksztagami bramstengi.

„Sophie” stopniowo oddalała się od brzegu, jej załoga zaczęła usuwać szkody. Kanonierki podążały z tyłu, strzelając uparcie. Srebrny sierp księżycy wspinał się wytrwale po posrebrzonym gwiazdami niebie. Hiszpanie prowadzili pościg za brygiem bez specjalnej gorliwości. Gdy Dillon zgłosił zakończenie najpilniejszych napraw, Jack oznajmił:

–Jeśli postawimy błyskawicznie żagle i wykonamy zwrot przez rufę, zdołamy odciąć od lądu dwie największe łodzie.

–Do zwrotu przez rufę! – zawołał James. Odezwał się gwizdek bosmana.

–Zaraz dopadniemy tych łajdaków! – krzyknął radośnie Isaac Isaacs do Johna Lakeya i pobiegł na swoje stanowisko przy bulinie grotmarsla.

Niestety. W decydującym momencie pechowa kula strąciła reję fokbramsla. Udało się co prawda uratować żagiel, lecz prędkość „Sophie” spadła i kanonierki zdążyły skryć się za falochronem.

–Teraz, panie Ellis, ma pan wspaniałą okazję do nauki zawodu – powiedział Dillon, gdy w świetle poranka ukazały się wszystkie uszkodzenia w olinowaniu, będące skutkiem nocnej potyczki. – Będzie pan mógł aż do wieczora ćwiczyć wszelkie możliwe węzły i sploty. – Porucznik był niezwykle radosny i od czasu do czasu podśpiewywał sobie pod nosem, biegając po pokładzie.

Oprócz wymiany uszkodzonej rei należało również usunąć kilka otworów po pociskach i poprawić zamocowanie bukszprytu do dziobnicy, gdyż odbita niewiarygodnym rykoszetem kula przecięła połowę okucia, nie naruszając drewna. Nawet najstarsi marynarze nie słyszeli o podobnym przypadku, toteż informacja o owym zdarzeniu została zapisana w dzienniku okrętowym. „Sophie” przez cały słoneczny i spokojny dzień leżała w dryfie, nie niepokoiona przez nikogo. Lecząc rany, odzyskiwała nadwątlone siły. Na pokładzie wrzała praca. Wśród ludzi zapanował szczególny nastrój: wiedzieli doskonale, że wkrótce znów ruszą do walki. Może będzie to wypad na brzeg, może potyczka podobna do wczorajszej? Nie bez

znaczenia były zdobyte wczoraj i we wtorek przy (czyli czternaście gwinei, których mógł spodziewać się każdy członek załogi). Wszyscy odczuwali też zmianę, jaka zaszła ostatnio w zachowaniu kapitana. Marynarze nabrali przekonania, iż ich dowódca w niewyjaśniony sposób potrafi przewidzieć pozycje hiszpańskich jednostek. Także porucznik zachowywał się zupełnie inaczej, był dziwnie wesoły, chwilami wręcz niepoważny. Przyłapał kilku ludzi na pładrowaniu pomieszczeń statku „Felipe V”, lecz jak dotąd nie powiadomił o tym kapitana. Grabież była bardzo poważnym wykroczeniem, groził za to sąd wojenny (zwyczaj nie zabraniał przywłaszczania sobie przedmiotów znajdujących się powyżej luków) i winowajcy spoglądali na Dillona ukradkiem. Tak samo patrzyli na niego i inni członkowie załogi, gdyż wielu miało na sumieniu podobne sprawy. Na ogół wszyscy na pokładzie wydawali się skupieni, raczej pogodni, wyczuwało się jednak specyficzny niepokój.

Ponieważ ludzie byli bardzo zajęci, Stephen dopiero po dłuższym wahaniu postanowił, iż pójdzie jak zwykle na dziób, do pompy z pnia wiązu, przez którą, po zdjęciu głowicy codziennie obserwował głębiny. Jak się okazało, obecność doktora była tam rzeczą tak normalną, iż rozmawiający przy pracy ludzie nie zwracali na niego uwagi. Bez trudu odczuł ów podszyty niepokojem nastrój, którego przyczyny świetnie rozumiał.

Podczas obiadu James był w wyśmienitym humorze. Zaprosił nieoficjalnie Pullingsa i Babbingtona; przy stole nie było pana Marshalla, więc obecność młodych ludzi nadała posiłkowi radosny, odświeżony charakter. Tylko ochmistrz nie odezwał się ani słowem. Stephen z zainteresowaniem przypatrywał się rozpromienionemu Dillonowi, który donośnym głosem śpiewał refren zaintonowanej przez Babbingtona piosenki.

–Pięknie! – zawołał porucznik, uderzając dłonią w stół. – Teraz dla wszystkich kielich wina. Musimy koniecznie przepłukać gardła. Nie wyganiem panów, lecz pora wracać na pokład. Niestety... Jakie to cudowne uczucie walczyć z okrętami wojennymi, a nie z tymi cholernymi piratami – rzekł nie wiadomo po co, gdy zaproszeni goście i ochmistrz wyszli z mesy.

–To kompletna bzdura – powiedział Stephen, kręcąc głową. – Kula z pirackiego działa zabija tak samo skutecznie, jak kula wystrzelona z pokładu okrętu walczącego w imię króla.

–Bzdura? – James był oburzony i jego zielone oczy zapłonęły gniewem.

–Oczywiście, mój drogi... – Doktor uśmiechnął się z politowaniem. – Pewnie zaraz usłyszysz coś o królach i ich pochodzącej od Boga władzy?

–Cóż. Nawet ktoś tak przemądrzały musi przyznać, że to właśnie król jest dla swych poddanych wzorem prawości i honoru.

–Ja wcale tak nie uważam...

–Gdy ostatni raz byłem w domu – mówił Dillon, napełniając winem kieliszek doktora – opłakiwaliśmy pewnego starego człowieka. Nazywał się Terence Healy i był naszym dzierżawcą już w czasach mojego dziadka. Na stypie śpiewano piosenkę, która przez cały dzień kołacze mi się po głowie. Problem w tym, że pamiętam tylko fragment melodii.

–Jaka to była piosenka? Irlandzka czy angielska?

–O ile wiem, są też angielskie słowa. Jedna zwrotka brzmiała:

Dzikie gęsi płyną za morze po niebie, po niebie,

Nigdy już nie wrócą do ciebie, do ciebie...

Stephen zagwizdał dalszy ciąg zwrotki i zaśpiewał refren skrzeczącym, nieprzyjemnym głosem.

–To właśnie to. Serdeczne dzięki! – ucieszył się James. Wstał od stołu uradowany i wyszedł na pokład, podśpiewując sobie cicho.

„Sophie” odzyskała pełnię sił. Nigdy jeszcze nie była tak groźna. Tuż przed zachodem słońca ruszyła w stronę otwartego morza, w kierunku Minorki, tak jakby na zawsze żegnała Barcelonę. Przed świtem zawróciła jednak do brzegu. Wiała ta sama co wczoraj sprzyjająca bryza, ale pojawiły się już pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni. W powietrzu wisiała chłodna wilgoć, przywodząca Stephenowi na myśl grzyby i bukowy las, nad wodą ciągnęły się pasma gęstej, szarobrunatnej mgły.

Znajdowali się blisko lądu. Okręt żeglował na północny zachód. Hamaki zostały wyniesione na górę i ułożone w siatkach. Na rufie, w zawirowaniach powietrza przy przednim liku wypełnionego wiatrem bezana, zapach kawy mieszał się z wonią smażonego boczku. Z lewej strony przed dziobem, gdzieś za wiszącą nad wodą gęstą mgłą, była dolina Llobregat i ujście rzeki. Dalej, wzdłuż brzegu, wschodzące słońce rozpuściło już prawie brunatne tumany. Resztki oparów łudzaco przypominały przylądki, wyspy, łachy piasku.

–Wiem i jestem o tym absolutnie przekonany, że kanonierki chciały nas wciągnąć w pułapkę – mówił Jack. – Bardzo chciałbym wiedzieć, o co im chodziło... – Nie był mistrzem w udawaniu i obserwujący go Stephen domyślił się, iż dowódca doskonale wiedział, jakiego podstępu należało się spodziewać ze strony Hiszpanów.

Słońce pieściło powierzchnię wody, w cudowny sposób zmieniając jej kolor. Kłęby mgły pojawiały się w nowych miejscach i znikwały gdzie indziej. Fantastyczne cienie

przenikały pomiędzy linami takielunku, znaczyły szarością wypełnione wiatrem żagle i białe deski cegiełkowanego pokładu. Jakieś niespodziewane tchnienie zmiotło z powierzchni morza kolejny fałszywy cypel i o trzy rumby przed dziobem „Sophie”, z prawej strony, ukazał się duży okręt płynący na południe, wzdłuż lądu. Obserwator z masztu natychmiast poinformował o tym dowódcę, lecz była to tylko formalność, gdyż z rufówki brygu widać już było kadłub wyłaniającej się z mgły jednostki.

–Bardzo dobrze... – powiedział Jack, składając lunetę po długiej obserwacji. – Co to za okręt według pana, poruczniku?

–Wydaje mi się, że to nasi starzy znajomi, sir – odparł Dillon.

–Ja też tak uważam. Proszę postawić grotstaksel i wyostrzyć, tak byśmy mogli się do nich zbliżyć. Cały pokład ma być zaraz wytarty do sucha. Niech wszyscy zjedzą śniadanie. Może wypije pan ze mną filiżankę kawy? Zaprosiłem również doktora...

–Z największą przyjemnością, sir.

Podczas śniadania prawie nie rozmawiali. Jack zagadnął:

–Myślę, że wolałby pan, żebyśmy wszyscy włożyli jedwabne pończochy, doktorze?

–Dlaczego jedwabne pończochy? Nie rozumiem... – zdziwił się Stephen.

–Mówią, że chirurgowi o wiele łatwiej wtedy odciąć nogę...

–Tak, rzeczywiście. Wszyscy powinni włożyć jedwabne pończochy. Koniecznie.

Porucznik i kapitan nie odzywali się do siebie, lecz wyczuwało się między nimi przyjacielską zażyłość.

–Moim zdaniem ma pan całkowitą rację – powiedział Jack do Dillona, zapinając płaszcz. Wyglądało to tak, jakby podczas posiłku przez cały czas dyskutowali o napotkanym okręcie.

Na pokładzie słowa Jamesa potwierdziły się ponad wszelką wątpliwość: okrętem tym była fregata „Cacafuego”. Zmieniła kurs, zmierzając na spotkanie z „Sophie”. Załoga hiszpańskiej jednostki stawiała boczne żagle. Przez lunetę Jack widział dokładnie maszty z czerwonymi rejami i burtę lśniącą cynobrem w słońcu.

–Zbiórka na rufie – polecił. Stephen zauważył na twarzy kapitana radosny uśmiech. Ludzie zgromadzili się i dowódca z trudem zmusił się do śmiertelnej powagi. – Słuchajcie wszyscy! – zawołał, spoglądając z zadowoleniem na załogę. – Jak zapewne już wiecie, ta fregata na nawietrznej to „Cacafuego”. Niektórzy z was nie byli zbyt zadowoleni, gdy ostatnim razem rozstaliśmy się z nią bez walki. Teraz

jednak, gdy nasze działa strzelają najlepiej we flocie, sytuacja wygląda zupełnie inaczej... Panie Dillon, proszę przygotować okręt do bitwy.

Gdy Jack zaczynał mówić, połowa ludzi patrzyła na niego z radosnym podnieceniem, pozostali wydawali się trochę zakłopotani, niektórzy byli nawet niespokojni i zmartwieni. Promieniujące od dowódcy oraz stojącego tuż obok porucznika zadowolenie sprawiło jednak, iż wszelkie oznaki ponurego nastroju zniknęły szybko. Rozległ się głośny okrzyk radości. Gdy rozpoczęto przygotowania do boju, tylko na czterech lub pięciu twarzach malowało się przygnębienie. Większość członków załogi sprawiała wrażenie, jakby wybierali się na tańce.

„Cacafuego” miała na masztach żagle rejowe i płynęła szybko z wiatrem, zataczając szeroki łuk na zachód, tak by znaleźć się od strony otwartego morza i na nawietrznej brygu. „Sophie” żeglowała przez cały czas ostro na wiatr i gdy obie jednostki były w odległości pół mili, narażona była bezpośrednio na salwę burtową uzbrojonej w trzydzieści dwa działa fregaty.

–Przyjemną stroną walki z Hiszpanami nie jest bynajmniej to, że są tchórzami. To nieprawda, panie Ellis – mówił Jack, patrząc w szeroko otwarte oczy i niezwykle poważną twarz podchorążego. – Oni po prostu nigdy nie są gotowi...

Fregata znalazła się wreszcie w miejscu, które upatrzył sobie jej kapitan. Wystrzeliło działo i na maszcie pojawiła się hiszpańska bandera.

–Amerykańska flaga, panie Babbington – polecił Jack. – To da im trochę do myślenia. Proszę zapisywać czas, panie Richards.

Odległość malała bardzo szybko. „Sophie” kierowała się za rufę „Cacafuego”, tak jakby zamierzała przeciąć kilwater fregaty, która nie znajdowała się jeszcze w zasięgu dział brygu. Na pokładzie zapanowała martwa cisza. Wszyscy czekali na zwrot, który prawdopodobnie nastąpić miał dopiero po salwie przeciwnika.

–Proszę przygotować banderę – powiedział Jack cicho. – Teraz, panie Dillon – rzekł głośniej.

–Ster na zawietrzną – padła komenda i rozległ się gwizdek bosmana. „Sophie” obróciła się w miejscu, na jej maszcie ukazała się brytyjska bandera. Płynąc ostro na wiatr, słup celował dziobem prosto w burtę Hiszpana. Działa „Cacafuego” odezwały się natychmiast. Kule przeleciały ponad i pomiędzy bramslami brygu, wyrwijąc w płótnie cztery otwory. Załoga „Sophie” krzyknęła radośnie, ludzie z obsady potrójnie załadowanych armat znieruchomieli, w napięciu oczekując na rozkaz.

–Mierzyć jak najwyżej. Nie strzelać, dopóki ich nie uderzymy! – polecił Jack donośnym głosem.

Widział, jak z burty fregaty spadają do morza wyrzucane pośpiesznie klatki z kurami, jakieś pakunki i kawałki drewna. Przez dym widać było pływające po wodzie kaczkę oraz śmiertelnie przerażonego kota na zanurzonej do połowy skrzyni. Na pokład brygu doleciał zapach prochu i resztki rozplywającej się szarej chmury. Wkrótce żagle Hiszpana zasłonią „Sophie” wiatr, ale powinno wystarczyć jej rozpędu... Aubrey spojrział w czarne wyloty luf nieprzyjacielskich armat w chwili, gdy po raz kolejny plunęły ogniem. Burta fregaty znów zniknęła w kłębach dymu. „Wciąż zbyt wysoko” – zauważył obojętnie. Nie było jednak czasu na emocje. Starając się przebić wzrokiem chmurę prochu, skierował okręt w stronę dziobu i kotwic „Cacafuego”.

–Ster na burtę! – zawołał, gdy rozległ się przeraźliwy zgrzyt. – Ognia!

Fregata była głęboko zanurzona, lecz pokład „Sophie” znajdował się o wiele niżej. Oba okręty płynęły sczepione rejami, wyloty armat brygu były nisko pod furtami działowymi Hiszpana. Pierwsza salwa burtowa słupa uderzyła z odległości zaledwie sześciu cali, siejąc straszliwe spustoszenie na pokładzie przeciwnika. Na moment zapadła głucha cisza, potem zabrzmiał radosny okrzyk brytyjskich marynarzy. Podczas krótkiej pauzy usłyszeli, jak na rufie „Cacafuego” ktoś zdenerwowanym głosem wydaje rozkazy. Trzy stopy nad głową Jacka odezwały się działa. Strzelały teraz znacznie bardziej chaotycznie, z ogłuszającym hukiem.

Salwa „Sophie” zagrzmiała jak na ćwiczeniach, armaty kolejno wyrzucały pociski. Pierwsza... druga... trzecia... czwarta... piąta... szósta... siódma. Po każdym wystrzale słychać było kłaśnięcie uprząży i odgłos toczących się po pokładzie rolek. Gdy piąte działo cofało się, pchnięte odrzutem, Dillon chwycił Jacka za ramię i wołał, przekrzykując kanonadę:

–Hiszpanie dali rozkaz do abordażu!

–Panie Watt, proszę natychmiast odepchnąć nas od ich burty! – krzyknął Jack w stronę dziobu przez tubę. – Uwaga, sierżancie! – dodał szybko. Jeden z baksztagów „Cacafuego” spadł na pokład brygu, przeszkadzając w podtaczaniu rufowej armaty. Kapitan odsunął się nieco i spojrział w górę. Na burcie fregaty pojawiła się zwarta gromada ludzi. Żołnierze piechoty morskiej i uzbrojeni w broń palną członkowie załogi „Sophie” powitali ich huraganowym ogniem. Hiszpanie zawahali się. Luka pomiędzy okrętami wzrastała, gdyż ludzie bosmana na dziobie i Dillona na rufie ze wszystkich sił napierali na drzewce. Pistolety strzelały z suchym trzaskiem. Niektórzy z Hiszpanów próbowali przeskakiwać na bryg, inni chcieli zarzucać kotwiczki. Kilku zleciało do wody, paru innych upadło na pokład. Działa „Sophie”, znajdującej się teraz w odległości około dziesięciu stóp od fregaty, wypaliły wprost w stłoczonych napastników, wybijając w nadburciu siedem poszarpanych otworów.

Dziób „Cacafuego” powoli odchodził od linii wiatru. Nieprzyjacielski okręt płynął na

południe i „Sophie” miała wystarczająco wypełnione żagle, by znów zbliżyć się do jego burty. Kolejny raz odezwały się działa fregaty i straszliwy huk przetoczył się echem po niebie. Hiszpanie usiłowali obniżyć lufy armat, mierzyli z muszkietów, strzelali na ślepo za burtę z pistoletów, licząc na to, iż uda im się unieszkodliwić obsady dział brygu. Walczyli odważnie – jeden z nich długo balansował na relingu, chcąc strzelić w dół, i zrezygnował dopiero wtedy, gdy trafiła go trzecia kula – byli jednak zdezorganizowani. Jeszcze dwukrotnie chcieli dokonać abordażu, za każdym razem słup oddalał się i przez kilka minut strzelał z dystansu, demolując pokład i takielunek Hiszpana. Gdy okręty zbliżały się do siebie, salwy brygu wyrwały wnętrzości z kadłuba fregaty. Lufy dział rozgrzały się tak bardzo, że prawie nie można było ich dotknąć. Lawety odskakiwały wściekle do tyłu po każdym wystrzale. Namoczone wyciory syczały i zwęglały się wsuwane w głąb luf. Armaty były niebezpieczne nie tylko dla nieprzyjaciół, lecz również dla obsługujących je ludzi.

Hiszpanie strzelali bez przerwy. Ich ogień był chaotyczny i nerwowy. Kule armatnie raz za razem trafiały w marsa grotmasztu „Sophie” – platforma została doszczętnie rozbita i na pokład brygu spadały olbrzymie kawałki drewna, wsporniki, hamaki. Olinowanie było porwane, żagle straszyły niezliczoną ilością dziur. Płonące strzepy przybitki przez cały czas fruwały we wszystkie strony. Bezrobotni dotąd ludzie obsługujący działa na prawej burcie biegali tu i tam z wiadrami pełnymi wody. Pomimo zamieszania wszystko odbywało się w niezmaconym porządku. Z prochowni wędrowały na górę ładunki i kule. Obsady dział pracowały rytmicznie. Gdy któryś z marynarzy padł zabity lub ranny, natychmiast wynoszono go pod pokład, a jego miejsce bez słowa zajmował ktoś inny. Wszyscy byli skupieni, nieomylnie poruszali się w kłębach gęstego dymu. Nikt nikogo nie potrącał, nie popychał, niemal niepotrzebne były komendy.

„Niedługo zostaniemy bez masztów” – pomyślał Jack. Trudno było uwierzyć, że dotąd nie spadła żadna reja – to nie mogło jednak trwać długo. Kapitan schylił się i zawołał Ellisowi prosto do ucha:

– Proszę pobiec do kuchni i powiedzieć kucharzowi, żeby odwrócił wszystkie garnki do góry nogami. Pullings, Babbington, przerwać ogień. Odpychamy się. Marsle na wiatr. Panie Dillon, niech ludzie z wachty prawej burty poczernią sobie w kuchni twarze sadzą. Powiem jeszcze do nich kilka słów... Słuchajcie wszyscy! – wykrzyknął, gdy kadłub „Cacafuego” powoli przesunął się do przodu. – Musimy wejść na pokład tej fregaty i ją zdobyć! Teraz przyszła na to pora. Teraz albo nigdy. Teraz albo będzie po nas. Teraz, póki się nie otrząsnęli. Pięć minut walki i ten okręt będzie nasz. Bierzcie topory, szable i do dzieła. Niech wszyscy z wachty prawej burty idą do kuchni poczernić sobie twarze i potem szybko na dziób, z porucznikiem Dillonem. Reszta do mnie, na rufę.

Zbiegł pod pokład. Doktor miał tu czterech cierpiących w milczeniu rannych i dwa martwe ciała.

–Za chwilę dokonamy abordażu – mówił Jack pośpiesznie. – Potrzebuję pańskiego pomocnika. Potrzebuję wszystkich mężczyzn, jacy są na pokładzie. Idzie pan?

–Nie – odparł Maturin. – Mogę sterować, jeśli pan chce.

–Tak. Dobrze. Chodźmy!

Po wyjściu na zasypany kawałkami drewna i lin pokład Stephen ujrzał z lewej strony przed dziobem, w kłębach dymu, wznoszącą się wysoko rufę oddalonej o jakieś dwadzieścia jardów fregaty. Załoga „Sophie” podzielona była na dwie grupy. Członkowie jednej z nich przebiegali z kuchni na dziób z umazanymi sadzą twarzami. Drugi oddział zebrał się przy relingu na rufie. Ochmistrz stał blady i patrzył dookoła oszalałym wzrokiem. Artylerzysta mrugał nieprzyzwyczajonymi do światła oczami. Kucharz czekał gotowy z tasakiem rzeźnickim w dłoniach. Był też fryzjer okrętowy i tuż obok niego sanitariusz. Doktor spojrział na Cheslina, który wykrzywiając w uśmiechu zajęczką wargę, pieścił zakrzywiony szpikulec abordażowego topora i powtarzał w kółko:

–Zaraz im przyłożę. Zaraz im przyłożę. Zaraz im przyłożę...

Niektóre działa fregaty wciąż niepotrzebnie strzelały w próżnię.

–Do brasów! – zawołał Jack i reje zaczęły się obracać tak, by marsle schwyciły wiatr. – Doktorze, czy wie pan, co robić? – Stephen skinął głową, stanął za kołem sterowym i położył dłonie na szprychach. Pełniący do tej pory służbę na sterze marynarz odszedł na bok i z ponurym zadowoleniem sięgnął po broń. – Doktorze, jak można po hiszpańsku zawołać następnych pięćdziesięciu ludzi? – zapytał kapitan.

–*Otros cincuenta...* - odparł Maturin.

–*Otros cincuenta* - powtórzył Jack, patrząc z uśmiechem prosto w twarz Stephena. – Proszę podejść do ich burty... – Znów się uśmiechnął, skinął jeszcze raz głową i szybko wspiął się na poręcz relingu. Stał, trzymając się pierwszej od strony dziobu wanty i wymachując ciężką kawaleryjską szablą. Tuż za nim czekał gotowy do skoku sternik jego łodzi.

Podziurawione marsle „Sophie” w końcu wypełniły się wiatrem. Okręt ruszył do przodu. Stephen wyłożył ster na burtę. Rozległo się przeraźliwe skrzywienie, zgrzyt, pękła z trzaskiem jakaś lina. Bryg zadrżał i znieruchomiał przy burcie „Cacafuego”. Na dziobie i na rufie ludzie ze straszliwym wrzaskiem wspinali się na pokład fregaty.

Jack zeskoczył z pogruchotanego relingu wprost na odtoczone do tyłu, gorące, dymiące działo. Hiszpański ładowniczy rzucił się w stronę kapitana „Sophie” z wyciorem. Aubrey uderzył go w głowę. Ładowniczy zachwiał się i Jack skoczył ponad jego pochylonymi ramionami na deski pokładu.

–Dalej! Naprzód! – zawołał głośno i wściekle tnąc szablą uciekających artylerzystów i wycelowane w niego piki i szpady. Ujrzał kilkuset – aż kilkuset – stłoczonych na pokładzie „Cacafuego” ludzi. Cały czas krzyczał: – Dalej! Za mną! Razem!

W pierwszej chwili Hiszpanie cofnęli się, jakby zaskoczeni, i wszyscy członkowie załogi „Sophie” zdołali wejść na nieprzyjacielski okręt. Zaatakowali od dziobu i na śródokręciu. Zdezorientowani obrońcy fregaty dali się odepchnąć spod grotmasztu w kierunku rufy; gdy oprzytomnieli, rozgorzała zacięta walka. Padały okrutne ciosy, ludzie szamotali się ze sobą, strzelali z pistoletów, rąbali toporami, potykali się o poukładane na pokładzie drzewce. Prawie nie było miejsca, by upaść. Nieco dalej, z boku, walczyły wściekle małe dwu- lub trzyosobowe grupki. Wszyscy krzyczeli jak opętani. Aubrey znalazł się z dala od największego ścisku. Z trudem torując sobie drogę, przesunął się o trzy jardy do przodu. Naprzeciwko siebie ujrzał żołnierza i gdy ich szable zderzyły się, pika innego Hiszpana przeszła pod prawym ramieniem Jacka. Rozpruwając bok, ześliznęła się po żebrach i chciała uderzyć znowu. Jednak Barret Bonden wystrzelił z pistoletu tuż za plecami dowódcy „Sophie”, zabijając wymachującego piką człowieka. Kula oderwała kapitanowi dolną część ucha. Nie zwracając na to uwagi, wykonał on sprytną szermierczą sztuczkę i ciął swego przeciwnika z potworną siłą w ramię. Skłębiony tłum zafalował i żołnierz upadł. Jack wyrwał wbitą głęboko w kość szablę i rozejrzał się szybko dookoła.

–Nic z tego nie będzie. Nie uda nam się – powiedział do siebie.

Z przodu, pod forkasztelem, przeważający liczebnie Hiszpanie – było ich trzystu – zdołali częściowo otrząsnąć się z zaskoczenia. Spychali ludzi z „Sophie” do burty, wbijając klin między oddział Jacka i grupę Dillona na dziobie. Porucznik potrzebował wsparcia. Przebieg bitwy mógł zmienić się w każdej chwili. Aubrey wskoczył na działo i rozdzierającym gardło głosem krzyknął:

–Dillon, Dillon, zejściówka na prawej burcie! Zaatakujcie w kierunku prawej zejściówki! – Kątem oka dostrzegł daleko w dole, na pokładzie brygu, trzymającego koło sterowe i patrzącego z niepokojem w górę Stephen’a. – *Otros cincuenta* - zawołał, chcąc zmylić obrońców fregaty. Gdy doktor skinął głową i odpowiedział coś głośno po hiszpańsku, Jack rzucił się w wir walki, z uniesioną wysoko szablą i wymierzonym przed siebie pistoletem.

W tej samej chwili na forkasztelem rozległy się przeraźliwe okrzyki i oddział Dillona podjął desperacką próbę przebiccia się do prowadzącej z forkasztelem na śródokręcie zejściówki na prawej burcie. Rozgorzała zacięta walka, coś się załamało i gdy zgromadzeni na głównym pokładzie Hiszpanie odwrócili głowy, ujrzeli poczerwione twarze zbiegających w dół po schodkach angielskich marynarzy. Straszliwe zamieszanie wybuchło koło dzwonu fregaty, słychać było dzikie wrzaski i nawoływania. Umazani sadzą ludzie z załogi Sophie krzyknęli radośnie, gdy udało im się wreszcie połączyć z drugim oddziałem. Strzelały muszkiety i pistolety, brzęczały

szable, stłoczeni Hiszpanie cofnęli się z wahaniem. Nie mogli kontratakować. Ci, którzy znajdowali się na rufie, pobiegli przy lewej burcie na śródokręcie, próbując pokierować dezorientowanymi ludźmi i zaangażować beczynnych dotąd żołnierzy.

Kolejny przeciwnik Jacka, drobny marynarz, wił się z bólu za kabestanem, Aubrey z trudem wyrwał wbitą głęboko szablę. Spojrzał w tył, na opustoszały pokład rufówki.

–Bonden! – zawołał, wyciągając ramię. – Pobiegnij tam i zrzuć banderę.

Bonden pobiegł na rufę, przeskakując nad ciałem martwego hiszpańskiego kapitana. Jack krzyknął głośno i wskazał ręką. Setki oczu spojrzały w tym kierunku i na pół rozumiejąc, patrzyły, jak bandera „Cacafuego” szybko wędruje w dół.

Było już po wszystkim.

–Przerwać walkę! – wykrzyknął Aubrey i jego rozkaz został powtórzony na pokładzie.

Ludzie z załogi „Sophie” cofnęli się, a zgromadzeni na śródokręciu Hiszpanie opuścili broń, nagle pozbawieni zapału, przerażeni, sparaliżowani niepewnością, zdradzeni. Najstarszy rangą oficer fregaty wystąpił z tłumu i oddał kapitanowi „Sophie” swą szpadę.

–Czy mówi pan po angielsku, sir? – zapytał Jack.

–Rozumiem trochę – odparł oficer.

–Pańscy ludzie muszą natychmiast zejść do ładowni – powiedział Jack. – Oficerowie zostaną na pokładzie. Załoga do ładowni. Na dół, do ładowni.

Hiszpan wydał rozkazy. Jego podwładni zaczęli tłoczyć się przy zejściówkach. Dopiero teraz widać było zabitych i rannych – splątane ciała na śródokręciu, na dziobie, ciała porozrzucane tu i tam na całym pokładzie. Teraz wyszła też na jaw rzeczywista liczba napastników.

–Szybciej, szybciej! – ponaglał Jack, marynarze i żołnierze z „Sophie” nerwowo popędzali schodzących pod pokład ludzi. Doskonale zdawali sobie sprawę z zagrażającego wciąż niebezpieczeństwa. – Panie Day, panie Watt, proszę skierować kilka ich armat... te karonady... w dół zejściówek. Załadować kartaczami. Jest ich pełno na rufie. Gdzie jest pan Dillon? Proszę go zawołać.

Odezwały się wołania, nikt jednak na nie nie odpowiedział. Porucznik leżał blisko zejściówki forkasztelu, na prawej burcie, tam gdzie wrzała najgorętsza walka, o parę kroków od młodego Ellisa. Gdy Jack dostrzegł Dillona, wydawało mu się, iż James jest tylko ranny. Gdy obrócił go na plecy, ujrzał w jego piersi olbrzymią ranę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Slup Jego Królewskiej Mości „Sophie” w morzu, koło Barcelony

Sir,

Pragnę powiadomić pana, iż slup, którym mam zaszczyt dowodzić, po obustronnym ataku i gwałtownej walce zdobył hiszpańską fregatę „Cacafuego”, uzbrojoną w 32 działa: 22 długie dwunastofuntowe, 8 armat dziewięciofuntowych i 2 ciężkie karonady, dowodzoną przez Don Martina de Langara, obsadzoną przez 319 oficerów, marynarzy i żołnierzy. Przewaga sił po stronie nieprzyjaciela zmusiła mnie do poczynienia pewnych kroków, które przesądziły o zwycięstwie. Zdecydowałem się na próbę abordażu, która przeprowadzona została nieomal bez strat. Po zawziętej walce wręcz bandera hiszpańskiego okrętu została opuszczona, a jego załoga skapitulowała. Muszę wyrazić głęboki żal z powodu śmierci porucznika Jamesa Dillona, który zginął, prowadząc do boju oddział abordażowy. Śmierć poniósł także pan Ellis, pełniący obowiązki podchorążego, podczas gdy pan Watt, bosman, został ciężko ranny. Ciężkie rany odniosło również pięciu marynarzy. Mój podziw dla waleczności i odwagi pana Dillona, który w brawurowy sposób poprowadził decydujący atak, jest wprost bezgraniczny.

–Widziałem go przez chwilę – opowiadał Stephen po bitwie. – Widziałem go przez wyrwę w burcie, między dwiema furtami działowymi. Walczyli koło armaty. Gdy pan krzyknął, ruszyli do tej zejściówki. James był z przodu, a za nim czarne twarze. Strzelił do człowieka uzbrojonego w pikę, dźgnął mężczyznę, który powalił bosmana, potem starł się z oficerem w czerwonej kurtce. Po kilku szybkich złożeniach sparował cios szabli tamtego swoim pistoletem i pchnął go straszliwie. Jego szpada trafiła w kość lub coś twardego i jej ostrze się złamało. Przy rękojeści pozostało zaledwie sześć cali metalu, porucznik z niewiarygodną szybkością i siłą przebił tym swego przeciwnika. Nie uwierzyłby pan, jak bardzo James był wtedy szczęśliwy. Miał tak rozpromienioną twarz...

Powinienem też podkreślić wyjątkowe zdyscyplinowanie i sprawność bojową załogi dowodzonego przeze mnie okrętu. Na szczególne uznanie zasługuje bohaterska postawa pana Pullingsa, podchorążego z promocją, pełniącego obecnie obowiązki porucznika. Pragnę polecić tego obiecującego młodego człowieka pańskiej uwadze. W walce wyróżnili się również bosman, cieśla, artylerzysta i podoficerowie.

Pozostaję uniżonym... i tak dalej.

Załoga i uzbrojenie „Sophie” przed walką: 54 ludzi: oficerów, marynarzy, żołnierzy i chłopców okrętowych. 14 czterofuntowych dział. 3 zabitych i 8 rannych.

Załoga i uzbrojenie fregaty „Cacafuego”: 274 oficerów i marynarzy. 45 żołnierzy

Zabici: kapitan, bosman i 13 członków załogi, 41 rannych.

Jack przeczytał list raz jeszcze, zmienił w pierwszym zdaniu „Pragnę” na „Mam przyjemność”, złożył swój podpis i napisał adres kapitana Harte. Lord Keith przebywał na drugim krańcu Morza Śródziemnego – oficjalna korespondencja przechodziła więc przez ręce komendanta portu.

Tekst był do przyjęcia, ale wciąż daleki od ideału pomimo tylu wysiłków i poprawek. Jack nigdy nie miał lekkiego pióra. Na pewno udało mu się pr fakty, część faktów. Jediną nieścistością była informacja w nagłówku, iż ów list napisany został w morzu, w pobliżu Barcelony, podczas gdy powstał dopiero w Mahon, w dzień po wejściu do portu. Co ważne, w treści pisma znalazła się wzmianka o wszystkich, którzy zasługiwali na wyróżnienie – tylko Stephen Maturin nalegał, by go pominąć. Nawet gdyby było to szczytowe osiągnięcie elokwencji i epistolografii, słowami nie dałoby się przekazać prawdy o tym, co się wydarzyło. Powinien o tym doskonale wiedzieć każdy czytający ów list oficer marynarki. Na przykład: walka na pokładzie fregaty wydawała się czymś odizolowanym w czasie, beznamiętnie obserwowanym z boku, odbywającym się według z góry ustalonego planu i dokładnie zapamiętanym. W rzeczywistości najważniejsze wydarzenia rozegrały się przed tym decydującym starciem lub tuż po nim. Jack nie potrafił jednoznacznie określić, co zdarzyło się wcześniej, a co później. Nie umiał odtworzyć przebiegu wypadków. Bez dziennika okrętowego nie mógł też przypomnieć sobie, co działo się po zwycięstwie. Wszystko przesłonięte było wspomnieniem wyczerpującej pracy, zmęczenia i niepokoju. Dwudziestu czterech marynarzy musiało upilnować trzystu głodnych i złych jeńców. Na dodatek pomimo przeciwnych wiatrów trzeba było doprowadzić sześćsettonowy przyz do Mahon. Niemal całe olinowanie „Sophie”, zarówno stałe, jak i ruchome, wymagało naprawy lub wymiany. Maszty zostały posztukowane, reje zamocowane, założono nowe żagle. Bosman był ciężko ranny. Podróż na Minorkę odbywała się na granicy ryzyka, o włos od katastrofy, przy nie sprzyjającej pogodzie. Zamazane obrazy, przygnębienie. Dziwnie łatwo było rozpamiętywać tragedię „Cacafuego”, zapominając o zwycięstwie „Sophie”. Nieustanny pośpiech, który wydawał się teraz treścią życia. Mgła rozświetlona kilkoma jasnymi i wyraźnymi wspomnieniami.

Pullings, na zakrwawionym pokładzie fregaty, krzyczący kapitanowi wprost do ucha, że z portu w Barcelonie wyszły w morze kanonierki. Determinacja, z jaką podjęto próbę oddania w ich stronę salwy z dział nie uszkodzonej burty zdobytego okrętu. Radość, gdy łodzie zawróciły i znikły za horyzontem. Dlaczego?

Niesamowity odgłos, który obudził Jacka podczas środkowej wachty: cichy jęk, narastający ćwierćtonami i przechodzący w pulsujące zawodzenie; szybko wypowiedane lub raczej skandowane słowa; znów przeraźliwy jęk. Irlandzcy członkowie załogi opłakiwali w ten sposób Jamesa Dillona, leżącego na wznak z

krzyżem w dłoniach, z zapalonymi latarniami koło głowy i stóp.

Pogrzeby. Ten dzieciak Ellis, zaszyty w hamaku i przykryty flagą, przypominał ciasteczko. Na to wspomnienie w oczach kapitana ponownie zakręciły się łzy. Płakał, gdy ciała poleciały za burtę i żołnierze oddali salwę honorową.

„Mój Boże” – pomyślał. – „Dobry Boże”... Pisząc i poprawiając list, przypomniał sobie wszystko. Serce znów wypełniło się smutkiem, tym samym, który trwał od zakończenia bitwy aż do momentu, gdy wiatr ucichł na kilka mil przed przylądkiem Mola i wystrzeliły wzywające pilota oraz asystę działa. Powoli brała jednak górę radość. Próbując przywołać w pamięci chwilę, w której ostatecznie zatriumfowała, Jack dotknął delikatnie końcem pióra okaleczonego ucha, podniósł głowę i spojrzał przez okna kabiny. Wspaniała fregata, niezaprzeczalny dowód odniesionego zwycięstwa, stała zacumowana przy nabrzeżu stoczni, zwrócona w stronę „Sophie” nie uszkodzoną lewą burtą, odbijającą się czerwienią i złotem w nieruchomej wodzie. Wyglądała tak samo pięknie i dumnie jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Zadowolenie pojawiło się, kiedy przyjął pełne niedowierzania gratulacje od zaskoczonego Senneta, dowódcy „Bellerophona”. Łódź z tego okrętu pierwsza dotarła do „Sophie”. Potem przyплыnęli inni: dowodzący „Naiad” Butler, młody Harvey, Tom Widrington, kilku podchorążych, a także Marshall i Mowett. Obaj prawie odchodzili od zmysłów, żałując, iż ominęła ich taka bitwa. Byli jednak bardzo dumni. Łodzie wzięły na hol „Sophie” i jej prz. Nowo przybyli ludzie zmienili wyczerpanych żołnierzy i daymanów pilnujących jeńców.

Jack poczuł wtedy przygniatający ciężar ostatnich dni i nocy, oładnęło nim wszechogarniające zmęczenie i poszedł spać, nie chcąc już odpowiadać na zadawane wciąż pytania. Zasnął cudownym, kamiennym snem i obudził się dopiero w porcie, w samą porę, by odebrać krótki liścik od Molly Harte – nie podpisany, przysłany w podwójnej kopercie.

Tak. To chyba było wtedy. Obudził się przepelniony radością. Ciągle jeszcze nie mógł przeboleć śmierci trzech członków załogi. Chętnie oddałby prawą dłoń, gdyby w ten sposób udało się przywrócić im życie. W przypadku Dillona smutek Jacka mieszał się z nieokreślonym poczuciem winy. Pełniący czynną służbę oficer odczuwał żal bardzo intensywnie, lecz niedługo. Rozsądek podpowiadał, że zwycięstwa nad wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem nie zdarzały się na morzu zbyt często. Aubrey wiedział, iż jeśli nie popełni jakiegoś głupstwa, jeśli nie wyleci w powietrze z hukiem jak „Boyne”, wkrótce może spodziewać się z Admiralicji awansu na starszego kapitana.

Przy odrobinie szczęścia miał nawet szansę zostać dowódcą fregaty. Kolejno przypominał sobie niektóre z tych dostojnych i pięknych żaglowców: „Emerald”, „Seahorse”, „Terpsichore”, „Phaeton”, „Sibille”, „Sirius”, szczęśliwe „Ethalion”,

„Naiad”, „Alcmene” i „Triton”, mknąca po falach „Thetis”. Były też inne: „Endymion”, „San Fiorenzo”, „Amelia”... całe tuziny. Ponad sto. Czy mógł liczyć na fregatę? Nie bardzo. Raczej na jakiś uzbrojony w dwadzieścia dział mały okręt szóstej klasy. Nie powinien marzyć o fregacie, o dowodzeniu „Cacafuego” i o uprawianiu miłości z Molly Harte. A przecież kochali się... W pocztowej karecie, w altance, w innej altance, przez całą noc. Pewnie dlatego był taki senny, niezmiennie pragnął drzemki, marząc o świetlanej przyszłości. Zapewne również z tego powodu tak bardzo dokuczały mu rany. Cięcie na lewym ramieniu otworzyło się na jednym końcu. Jack nie pamiętał, kiedy mu je zadano. Odkrył je dopiero po bitwie. Stephen zaszył ranę i opatrzył ją, podobnie jak paskudny ślad po ostrzu piki. Zajął się też tym, co zostało z rozerwanego ucha.

Nie wolno mu było drzemać. Należało działać, iść za ciosem, skorzystać z nadarzającej się okazji i spróbować zostać dowódcą fregaty. Aubrey postanowił, iż natychmiast przygotowuje list do Queeney, a po południu wyśle jeszcze kilka innych listów. Może powinien napisać do ojca? Czy warto? Czy starszy pan znów nie popłacze wszystkiego? Absolutnie nie radził sobie w podobnych sprawach, nie umiał pokierować najprostszą intrygą, nie potrafił też zarządzać skromnym rodzinnym majątkiem. Nigdy nie powinien zostać generałem. Najważniejszy był urzędowy list do dowództwa. To trzeba było załatwić na samym początku. Jack wstał od stołu, ciągle się uśmiechając.

Po raz pierwszy był oficjalnie na brzegu i szybko zauważył, iż wszyscy zwracają na niego uwagę: spojrzenia, szepty, pokazywanie palcami. Zaniósł swój raport do biura komendanta, przez całą drogę dręczony wyrzutami sumienia. Jeszcze w przedpokoju czuł się skrępowany. Zapomniał o wszystkim już po pierwszych słowach kapitana Harte.

–No cóż, Aubrey – powiedział komendant na powitanie, nie wstając zza stołu. – Wydaje mi się, że kolejny raz muszę pogratulować panu niesamowitego szczęścia.

–Jest pan zbyt uprzejmy, sir – odparł Jack. – Przyniosłem panu oficjalny list...

–Och, tak. – Kapitan Harte westchnął, skrzywił się i odsunął niedbale pismo. – Natychmiast przekażę pański list dalej. Pan Brown powiedział mi, iż stocznia nie zrealizuje nawet połowy pańskich zamówień. Bardzo jest zaskoczony tym, czego pan żąda. Jak to się u licha stało, że stracił pan aż tyle drzewiec? Skąd tak wielkie ubytki w takielunku? Połamane wiosła? Nie mamy tu takich wiosła. Czy pański bosman nie przesadził trochę? Pan Brown mówi, że żadna fregata, żaden okręt liniowy nie domaga się takiej ilości lin.

–Bardzo byłbym panu Brownowi zobowiązany, gdyby wyjaśnił mi, jak można zdobyć fregatę o trzydziestu dwóch działach, nie tracąc ani jednej rei.

–Och, w przypadku nagłego, niespodziewanego ataku... Wie pan... Tak czy inaczej, będzie pan musiał udać się na Maltę po większość zamówionych rzeczy. „Northumberland” i „Superb” wymiotły nasze magazyny do czysta. – Było jasne, iż komendant za wszelką cenę silił się na złośliwość, ale jego słowa nie odnosiły zamierzonego skutku. Aubrey nie przejął się nimi zbyt, lecz następne uderzenie zraniło go bardzo głęboko. – Czy napisał pan już do rodziców małego Ellisa? Oficjalny raport – Harte uderzył palcami w leżący na stole list

–to prosta sprawa. Każdy potrafi spłodzić coś takiego. Nie zazdroszczę panu przykrego obowiązku powiadomienia najbliższych... Nie wiem, co sam napisałbym w podobnej sytuacji... – Komendant spojrzął wściekle spod zmarszczonych brwi, przygryzając kostkę zgiętego kciuka. Widać było, iż myśl o niepowodzeniach finansowych jest dla niego o wiele bardziej bolesna niż świadomość, że żona przyprawia mu rogi.

Jack oczywiście napisał ów list, tak jak i listy do wuja Jamesa Dillona i krewnych zabitego marynarza. Myślał o tym, gdy ze smutkiem na twarzy wyszedł na podwórze. Jakaś postać w mrocznej bramie znieruchomiła, przyglądając się dowódcy „Sophie” uważnie. W ocienionym przejściu prowadzącym na ulicę widać było tylko zarys sylwetki i dwa epolety starszego kapitana lub oficera flagowego. Aubrey zasalutował. Nie znał człowieka, który z wyciągniętą w powitalnym geście dłonią wyszedł z cienia na tonący w słońcu dziedziniec.

–Kapitan Aubrey, jak mi się zdaje? Keats, dowódca okrętu „Superb”. Szanowny panie, proszę przyjąć moje najserdeczniejsze gratulacje. Odniósł pan wspaniałe zwycięstwo. Opłynąłem właśnie łodzią pański przyz i jestem niezwykle zaskoczony. Czy sporo ucierpeliście? Służę wszelką pomocą. Jestem gotów oddać do pańskiej dyspozycji mego bosmana, cieślę, żaglomistrzów. Czy mogę zaprosić pana do siebie na obiad? A może jest już pan z kimś umówiony? Myślę, że tak. Każda kobieta w Mahon chciałaby się panem pochwalić... Takie zwycięstwo!

–Z całego serca panu dziękuję. – Jack zarumienił się, nie potrafiąc ukryć zadowolenia, i uściśnął dłoń kapitana Keatsa z taką siłą, że niemal słychać było trzask łamanych kości.

–Bardzo jestem panu zobowiązany. To dla mnie zaszczyt, usłyszeć od pana podobne pochwały, niezmiennie cenię sobie pańskie zdanie. Prawdę mówiąc, jestem zaproszony na obiad do gubernatora, potem mam też zostać na koncercie. Jeśli jednak mógłbym prosić o wypożyczenie mi pańskiego bosmana i kilku marynarzy... Moi ludzie są strasznie zmęczeni. Ta pomoc spadłaby nam z nieba.

–Ależ tak. Z przyjemnością panu pomogę – ucieszył się kapitan Keats. – W którą stronę pan idzie? W górę czy na dół?

–W dół, sir. Umówiłem się z pewną... osobą w oberży „Pod Koroną”.

–Świetnie. Odprowadzę pana kawalek – powiedział Keats wesoło, chwytając Jacka za ramię. Gdy przeszli na drugą stronę ulicy, zawołał: – Tom! Chodź zobacz, kogo udało mi się wziąć na hol! To kapitan Aubrey, dowódca „Sophie”! Na pewno zna pan kapitana Grenville'a?

–Bardzo mi miło! – krzyknął groźny, jednooki Grenville, o twarzy poznaczonej bliznami. Podał Jackowi dłoń i zaprosił go na obiad.

Zanim Jack rozstał się z Keatsem przed wejściem do oberży „Pod Koroną”, jeszcze pięciokrotnie zmuszony był zrezygnować z zaproszenia na obiad. Z ust ludzi, których bardzo szanował, padały takie określenia, jak: „najwspanialsza potyczka, o jakiej kiedykolwiek słyszałem”, „Nelson na pewno bardzo się ucieszy” i, jeśli na tym świecie istnieje sprawiedliwość, ta fregata zostanie zakupiona przez rząd, a kapitan Aubrey będzie jej dowódcą”. Z największym podziwem i szacunkiem spoglądali na niego mijani na zatłoczonej ulicy marynarze oraz młodszy oficerowie. Dwaj starsi wiekiem i stażem dowódcy okrętów przebiegli specjalnie przez ulicę, by złożyć mu gratulacje. Uczynili to z nie ukrywaną życzliwością i serdecznością, choć obaj nie mieli szczęścia w zdobywaniu przyzów. Wiadomo też było, iż są bardzo zazdrośni.

Jack wszedł po schodach na górę, do swego pokoju, i siadając, odrzucił na bok płaszcz. Nie znał słów pozwalających określić stan, w jakim się znajdował. Było to szczególne uczucie: mieszanina zadowolenia, wzruszenia i wszechogarniającej radości. Serce drżało, w oczach zakręciły się łzy. Przeżywał to wszystko coraz mocniej i gdy do pomieszczenia wpadła Mercedes, spojrzął na nią z bezgraniczną sympatią, jak brat na ukochaną siostrę. Dziewczyna uściskała Jacka namiętnie i zaszczębiotała do niego po katalońsku, wprost do ucha.

–Dzielny, dzielny kapitan, dobry, przystojny i dzielny – powiedziała po angielsku na zakończenie.

–Dziękuję, Mercy, kochanie. Bardzo jestem ci zobowiązany. Powiedz mi... – zagadnął Jack po dłuższej chwili, próbując zmienić pozycję (dziewczyna była pulchna i ważyła sporo). – Czy mogłabyś być tak dobra i przynieść mi trochę zimnego wina? *Sangria colda*? Bardzo chce mi się pić... *Soif*... Jestem spragniony. Naprawdę.

Odstawił na bok pokryty drobnymi kropelkami rosy dzbanek i przyznał:

–Twoja ciotka mówiła prawdę. Statek z Vinaroz był w tamtym miejscu z dokładnością co do minuty, znaleźliśmy też tych spryciarzy, udających, że są z Ragusy. Dlatego mam dla twojej cioci nagrodę... *recompenso de tua tia*... kochanie. – Wyjął z kieszeni wypchaną skórzaną sakiewkę. – *Y aqui*... Mam również coś dla ciebie – dodał, podając dziewczynie małą zapieczętowaną woskiem paczuszkę. –

Regalo para vous... niespodzianka, kochanie.

–Prezent! – wykrzyknęła Mercedes, rozwiązując wstążkę. Rozwinęła bibułkę, wyjęła jubilerski woreczek, a z niego piękny, wysadzany brylantami krzyżyk na łańcuszku. Zapiszczała radośnie, pocałowała Jacka w policzek i podbiegła do lustra. Potem znów zapiszczała, obsypując go pocałunkami. Wciągnęła brzuch i wypięła swą kształną pierś – przypominała napuszoną gołębicę. Pochyliła się do przodu, krzyżyk błyszczał na jej dekolcie, w kuszącym zagłębieniu, prawie przed nosem Jacka. – Ładny? Ładny? Podoba się?

Jack nie był już kochającym bratem. Jego krtań zeszywniała, serce biło coraz szybciej.

–O tak, podoba się – odpowiedział nieco chrapliwym głosem.

–Timely, sir, bosman okrętu „Superb” – rozległ się donośny głos od drzwi. – Och, przepraszam, sir...

–Nic nie szkodzi, panie Timely – zawołał Jack. – Cieszę się, że pana widzę...

„Może i dobrze się stało”.– pomyślał, kolejny dzisiaj raz wysiadając z łodzi przy schodkach nabrzeża. Na „Sophie” zostawił liczną grupę sprawnych i pracowitych ludzi z okrętu kapitana Keatsa, którzy natychmiast zajęli się wymianą uszkodzonych want. „Tyle jest do zrobienia... Tak czy inaczej, naprawdę słodka z niej dziewczyna...” Jack zmierzał na obiad do gubernatora. Taki przynajmniej miał zamiar. Zbyttno był jednak rozkojarzony i myśli uciekały to w przyszłość, to w przeszłość. Nie chciał też, by ktoś pomyślał, iż celowo paraduje głównymi ulicami. Wybrał więc okrężną drogę, przez ponure zaułki pachnące dojrzewającym winem, w stronę franciszkańskiego kościoła na szczycie wzgórza. Tutaj, zebrawszy myśli, zmienił kierunek i zerkając nerwowo na zegarek, przeszedł obok zbrojowni. Gdy mijali zielone drzwi domu pana Floreya, spojrzał szybko w górę; ruszył na północny zachód, ku rezydencji gubernatora.

Za zielonymi drzwiami, dwa piętra wyżej, Stephen zasiadł z panem Floreym do przygotowanego naprędce posiłku. Naczynia stały tu i tam, na krzesłach i stolikach. Od powrotu ze szpitala obaj panowie zajęci byli sekcją dobrze zachowanego delfina, leżącego na wysokim stole przy oknie, obok czegoś znacznie większego, przykrytego prześcieradłem.

–Niektórzy kapitanowie uważają, iż mądrze jest wykazać w raporcie wszelkie, nawet najdrobniejsze obrażenia i kontuzje – powiedział pan Florey. – Ich zdaniem długa lista ofiar dobrze wygląda w gazecie. Inni nie przyznają się do żadnych strat, wyszczególniając jedynie tych, którzy polegli lub są bliscy śmierci. Sądzą bowiem, iż mała liczba rannych jest dowodem roztropności dowódcy. Pański raport odpowiada

temu, co nakazuje rozsądek i przyzwoitość, choć może wydać się trochę zbyt ostrożny. Zapewne sporządzając go, miał pan na uwadze awans swego przyjaciela?

–Właśnie.

–Tak... Dam panu może plasterek wołowiny? Proszę podać mi nóż... Wołowina musi być cieniutko pokrojona, w przeciwnym razie nie ma smaku.

–Ten nóż jest bardzo tępy – stwierdził Stephen. – Niech pan spróbuje użyć lancetu. – Obrócił się w stronę delfina. – Nie... Tu go nie ma – mruknął, zaglądając pod płetwę. – Gdzie mogliśmy go położyć? Ach – zawołał, podnosząc prześcieradło. – Tutaj jest drugi... Wspaniałe ostrze, szwedzka stal. Widzę, że zaczął pan nacięcie od punktu Hipokratesa... – rzekł, unosząc prześcieradło wyżej i spoglądając na leżącą na stole młodą kobietę.

–Czy nie powinniśmy go umyć? – zastanawiał się pan Florey.

–Nie... wystarczy wytrzeć... – odparł Stephen, posługując się prześcieradłem. – Tak przy okazji... Co było przyczyną zgonu?

–Zadał pan trudne pytanie. – Florey ukroił pierwszy plaster i zaniósł mięso płowemu sępowi, uwiązanemu za nogę do krzesła w rogu pokoju. – Tak, to trudne pytanie, lecz nie wydaje mi się, by została pobita, zanim wpadła do wody. Te kaprysy i szaleństwa młodości... I awans pańskiego przyjaciela... – Chirurg zawiesił głos, przyglądając się uważnie ostrzu lancetu. – Gdy przyprawi się komuś rogi, nie można mieć żalu, jeśli ów ktoś nimi kogoś ubodzie... – zauważył z pozorną obojętnością, obserwując, jaką reakcję wywołały jego słowa.

–To prawda – zgodził się Stephen, rzucając sępowi kawałek chrząstki. – W ogólności: *fenum habent in cornu*. Chyba nie chodzi panu o zdradzanych mężów? – zapytał z uśmiechem. – Czy mógłby pan dokładnie to wyjaśnić? A może pańska uwaga odnosi się do tej młodej osoby, leżącej pod prześcieradłem? Wiem, że kieruje panem najszczerza życzliwość i zapewniam pana, iż pańskie słowa w żaden sposób mnie nie urażą.

–No cóż... – Pan Florey zaczął mówić z wahaniem. – Problem polega na tym, iż pański młody przyjaciel... Mogę chyba powiedzieć: nasz młody przyjaciel, gdyż darzę go prawdziwym szacunkiem i uważam, że jego ostatnie zwycięstwo przynosi zaszczyt nam wszystkim... Otóż nasz młody przyjaciel był bardzo nieostrożny, podobnie jak jego wybranka. Czy wie pan, o co mi chodzi?

–Mąż jest tym oburzony, a zajmuje tak wysokie stanowisko, iż łatwo może wyrazić swoje oburzenie; nasz przyjaciel musi mieć się na baczności. Ów mąż nie wyzwie go na pojedynek, gdyż taki czyn nie leży w charakterze tego pożałowania godnego człowieka, może jednak spróbować przyłapać naszego przyjaciela na

nieposłuszeństwie, doprowadzając nawet do postawienia go przed sądem wojennym. Nasz młodzieniec znany jest bardziej ze swej odwagi, szczęścia i przedsiębiorczości niż z poszanowania reguł dyscypliny. Trzeba też pamiętać, że niektórzy tutejsi starsi kapitanowie bardzo zazdroszczą mu sukcesów. Co gorsza, jest torysem (jeśli nie on sam, to ma torysów w rodzinie), a zdradzony mąż i Pierwszy Lord Admiralicji to zdeklarowani wigowie, nikczemne i wściekłe psy... Myślę, że rozumie pan, co usiłuję panu powiedzieć, doktorze?

–Tak, sir. Bardzo jestem panu wdzięczny za te szczerze i życzliwe słowa. Potwierdził pan moje przypuszczenia. Obiecuję uczynić wszystko, co w mojej mocy, by uświadomić zainteresowanemu jego trudne położenie, choć muszę przyznać – dodał z westchnieniem – iż chwilami wydaje mi się, że w tym przypadku mogłaby poskutkować jedynie radykalna operacja chirurgiczna...

–Wszystkiemu winne są pewne części ciała – zgodził się pan Florey.

Klerk David Richards również jadł o tej porze obiad na łonie rodziny.

–Jak wszyscy wiedzą – mówił słuchającej go z podziwem gromadzie krewnych – na okręcie wojennym kapitański klerk podczas bitwy znajduje się w najbardziej niebezpiecznym miejscu. Przez cały czas przebywa na pokładzie rufówki, tuż obok dowódcy, z zegarkiem i tabliczką, na której zapisuje przebieg wydarzeń. Rzecz jasna, strzelcy wyborowi i niektóre działa strzelają właśnie w tym kierunku. Pomimo to klerk musi trwać na swej pozycji, wspierając kapitana swą obecnością i radą.

–Och, Davy – zawołała ciotka – kapitan prosił cię o radę?

–Czy prosił mnie o radę? Oczywiście, przysięgam!

–Nie przysięgaj, Davy, kochanie – powiedziała ciotka odruchowo. – To nieeleganckie.

–„Ach, panie Richards!”, zawołał dowódca do mnie, kiedy mars grotmasztu runął na pokład tuż obok nas, a kawałki drewna bez trudu przebijały wypchane hamakami siatki. „Nie wiem, co robić. Zupełnie straciłem głowę...” „Jest tylko jedno wyjście, sir”, podpowiedziałem mu. „Musimy dokonać abordażu. Trzeba wejść na ich pokład od dziobu i rufy. Jestem przekonany, że zdobędziemy ten okręt w pięć minut”. Cóż, droga ciociu i drodzy kuzyni. Ponieważ nie chcę się przechwalać, muszę przyznać, że zajęło nam to aż dziesięć minut. Było jednak warto trochę dłużej się potrudzić. Dzięki temu zdobyliśmy najpiękniejszą fregatę, jaką kiedykolwiek dane mi było widzieć. Cudownie pomalowana, z nowymi okuciami i dnem świeżo obitym blachą. Gdy wróciłem na rufę, po tym, jak przebiłem kordzikiem hiszpańskiego klerka, kapitan Aubrey uściśnął mi dłoń i ze łzami w oczach powiedział: „Richards, wszyscy bardzo wiele ci zawdzięczamy”. „Bardzo to uprzejme z pańskiej strony, sir”,

odparłem. „Niczym szczególnym się nie wyróżniłem. Każdy porządny kapitański klerk zachowałby się tak samo”. – Chłopak pociągnął łyk portera i mówił dalej: – Chciałem mu wtedy zaproponować: „Słuchaj, Złotowłosa” (tak go nazywamy na okręcie – o mnie mówią Piekielny Davy albo Groźny Richards), „uczyn mnie podchorążym na »Cacafuego«, gdy rząd zakupi tę fregatę, a będziemy kwita”. Może z nim o tym porozmawiam. Czuję, że jestem urodzonym dowódcą. Ta fregata powinna osiągnąć cenę jakichś dwunastu, trzynastu funtów za tonę, prawda? – zwrócił się do wuja. – Nie zniszczyliśmy jej kadłuba aż tak bardzo.

–Tak – powiedział powoli pan Williams. – Jeśli zostanie zakupiona przez rząd, powinna uzyskać taką cenę, a jej zapasy przyniosą jeszcze raz tyle. Kapitan Aubrey dostanie z tego okrągłe pięć tysięcy, nie licząc pieniędzy za jeńców. Twój udział wyniesie... policzmy... dwieście sześćdziesiąt trzy funty, czternaście szylingów i dwa penty. Oczywiście pod warunkiem, że rząd zakupi ten okręt...

–Czyżby mogły być co do tego wątpliwości, wujku?

–Cóż... W imieniu Admiralicji okręty kupuje pewien człowiek. Ten człowiek ma żonę, która na wiele sobie pozwala. Ów ktoś może skorzystać z okazji, by pokazać, kto tutaj jest górą. Tak... Złotowłosa, mówisz? Gdyby zajął się pilnowaniem swoich interesów, zamiast udawać koguta...

–To ona go do tego nakłoniła! – zawołała pani Williams. Ostatnim zdaniem, jakie pozwoliła swemu mężowi wypowiedzieć do końca, było sakramentalne „tak” w kościele Trójcy Świętej w Plymouth w 1782 roku.

–To ci dopiero ladaczniczka! – wykrzyknęła jej niezamężna siostra, oczy siedzących przy stole dziewcząt otworzyły się szeroko.

–To dziwka – rzekła pani Thomas. – Kuzyn mojej Paquity powoził kareta, w której ta bezwstydnica czekała na nabrzeżu. Nigdy byście nie uwierzyli, że...

–Powinno się ją przeciągnąć za wozem przez całe miasto i wybatożyć. Chciałabym mieć wtedy w ręce bicz!

–Ależ, kochanie...

–Wiem, co masz na myśli, mój drogi! – skarciła męża pani Williams. – Natychmiast przestań! Ta kobieta to wstrętna wiedźma...

Reputacja owej wiedźmy rzeczywiście mocno ucierpiała w ciągu ostatnich miesięcy i żona gubernatora przyjęła tę panią bardzo chłodno, z największą rezerwą, na jaką odważyła się zdobyć. Molly Harte ostatnio wyładniała, zmieniła się wręcz nie do poznania. Już wcześniej była atrakcyjną kobietą, ale teraz stała się prawdziwą pięknoscią. Przybyła na koncert w towarzystwie Lady Warren, na ich powóz czekała

gromadka żołnierzy i marynarzy. Tłoczyli się dookoła, współzawodnicząc w prawieniu komplementów. Przypominali napuszone, gotowe do walki koguty. Tymczasem żony, siostry, a nawet narzeczone owych panów siedziały w pobliżu, szare, niegustownie ubrane. Z przygryzionymi z zazdrości wargami przyglądały się wspaniałej szkarłatnej sukni, niemal całkowicie przesłoniętej przez mundury.

Wszyscy mężczyźni odsunęli się, gdy przybył Jack, niektórzy z nich powrócili do swych dam. Pytały ich teraz, czy nie uważają, że pani Harte jest przedwcześnie podstarzałą, źle ubraną i pozbawioną gustu kobietą. To takie przykre w jej wieku. Ile ona może mieć lat? Przynajmniej trzydzieści, czterdzieści, czterdzieści pięć... Koronkowe rękawiczki! Kto to widział! To silne światło jest dla niej wyjątkowo niekorzystne, podkreśla zmarszczki, a te olbrzymie perły dawno wyszły z mody...

To prawda, że jest w niej coś z dziwki, pomyślał Jack, spoglądając na nią z podziwem. Stała z wysoko uniesioną głową, świadoma tego, co mówią obserwujące ją kobiety, i otwarcie je prowokując. Było w niej coś z dziwki, lecz to jeszcze bardziej pobudzało jego apetyt. Akceptowała tylko tych, którym się powiodło, zwycięzców. To mu nie przeszkadzało – w porcie, tuż obok „Sophie”, stała przecież piękna „Cacafuego”.

Po krótkiej rozmowie o niczym, prowadzonej z udawaną obojętnością – Aubrey uznał, iż udało mu się z dużym mistrzostwem pokierować tą grą pozorów – przeszli z tłumem gości do sali koncertowej. Molly Harte usiadła w pięknej pozie przy harfie, słuchacze zajęli miejsca na małych połączonych krzeselkach.

–Co dzisiaj usłyszymy? – zapytał ktoś za plecami Jacka. Obróciwszy się, ujrzał Stephena. Doktor był upudrowany jak należy i wyglądał przyzwoicie, zapomniał tylko włożyć koszulę. Widać było, iż z napięciem oczekuje na mającą rozpocząć się za chwilę ucztę duchową.

–Coś z Boccheriniego. Jakiś jego utwór na wiolonczelę i trio Haydna, które wspólnie opracowaliśmy. Pani Harte zagra nam też na harfie. Proszę, niech pan usiądzie obok mnie.

–Będę chyba zmuszony przyjąć pańskie zaproszenie. Sala jest tak przepelniona... Nie ma już wolnych miejsc. Bardzo cieszyłem się na ten koncert. To chyba ostatni, jakiego będzie nam dane posłuchać w najbliższym czasie.

–Bzdura – odparł Jack. – Czeka nas jeszcze przyjęcie u pana Browna.

–Będziemy wtedy w drodze na Maltę. Pisemne rozkazy w tej sprawie są przygotowane.

–Nasz okręt nie może w takim stanie wyjść w morze. To chyba jakaś pomyłka – sprzeciwił się Jack.

Stephen wzruszył ramionami.

–Wiem to bezpośrednio od sekretarza komendanta portu.

–Cholerny drań...! – wykrzyknął Aubrey głośno.

Siedzący dookoła ludzie spojrzeli na niego karcąco. Pierwszy skrzypek skinął głową i opuścił smyczek. Pomieszczenie wypełniło się dźwiękami, przygotowującymi słuchaczy na pełen zadumy śpiew wiolonczeli.

–Muszę powiedzieć, że Malta to niezbyt przyjemne miejsce – rzekł Stephen. – Tyle tylko, że na pewnej łące udało mi się nazbierać cały koszyk ziół.

–Tak. Ma pan rację – zgodził się Jack. – Choć poza sprawą biednego Pullingsa nie było specjalnych powodów do narzekań. Oprócz tych nieszczęsnych wioseł dostaliśmy wszystko, czego było nam potrzeba. Zarządca stoczni był bardziej niż uprzejmy, przyjmowano nas wszędzie z wielkimi honorami. Czy któreś z tych pańskich ziół mogłyby podreperować moje samopoczucie? Coś jest ze mną nie w porządku...

Stephen przyjrzał się kapitanowi uważnie, zmierzył mu puls, obejrzał język, zadał kilka zaskakujących pytań i zbadał go bardzo dokładnie.

–Czy któraś z ran się nie goi? – zapytał Jack zaniepokojony poważnym wyrazem twarzy doktora.

–Jeśli pan chce, można to nazwać raną – odparł Stephen. – Nie zadano jej jednak panu podczas walki na pokładzie „Cacafuego”... Jakaś pańska znajoma zbyt szczerze użyczyła innym swych wdzięków. To wszystko.

–O Boże – jęknął kapitan. Po raz pierwszy w życiu przydarzyło mu się coś takiego.

–Proszę się nie przejmować – uspokajał Stephen, przejęty przerażeniem malującym się na twarzy Jacka. – Szybko postawię pana na nogi. Jeśli wcześniej rozpocznie się leczenie, nie powinno być większych problemów. Nie zaszkodzi panu, jeżeli przez jakiś czas pozostanie pan w odosobnieniu, pijąc tylko kleik jęczmienny i nie jedząc nic oprócz kaszki. Rzadkiej kaszki. Nie ma mowy o baraninie, wołowinie, winie lub grogu. Jeśli prawdą jest to, co pan Marshall mówił o podróży w kierunku zachodnim o tej porze roku, i jeśli uwzględnimy planowany postój w Palermo, powinien pan odzyskać siły, zanim miniemy przylądek Mola. Znow będzie pan miał okazję zrujnować zdrowie, karierę, reputację i nadzieje na przyszłość.

Doktor wyszedł z kabiny, wykazując, zdaniem Jacka, całkowity brak zainteresowania cierpieniami pacjenta, i poszedł prosto do siebie na dół. Zajął się przygotowaniem lekarstwa, mieszając jakieś płyny i proszki ze swoich zapasów. Jak

każdy okrętowy medyk, był dobrze zaopatrzony w potrzebne w takim przypadku leki. Popchnięta niespodziewanym podmuchem północno-wschodniego wiatru, nazywanego w tej części Morza Śródziemnego gregale, „Sophie” pochyliła się o połowę więcej niż trzeba.

–O połowę więcej niż trzeba – zauważył Stephen, balansując ciałem jak doświadczony marynarz i odlewając część mikstury do pustej buteleczki. – Nic nie szkodzi. To, co zostało, w sam raz wystarczy dla młodego Babbingtona – zdecydował. Zakorkował fiolkę, odstawił ją na zamykaną na klucz półkę i starannie przeliczył oznaczone nalepkami flakoniki i słoiczki. Po chwili wrócił do kapitańskiej kabiny.

Wiedział doskonale, że Jack na pewno postąpiłby zgodnie z odwiecznym przekonaniem marynarzy, iż „im więcej, tym lepiej”. Nie pilnowany, bez wahania zażyłby dawkę pozwalającą szybko i skutecznie przenieść się na tamten świat. Doktor przyglądał się kapitanowi uważnie, rozmyślając nad tym, że w podobnych przypadkach następuje swoiste przekazanie władzy – obaj zamienili się teraz miejscami. Jack krztusił się i walczył z nudnościami po zażyciu lekarstwa. Stephen, od czasu gdy po zdobyciu przez „Sophie” pierwszego przysu stał się bogatym człowiekiem, kupował olbrzymie ilości takich substancji, jak gorzka sól i olej rycynowy. Dzięki temu jego lekarstwa pod względem smaku, konsystencji i działania nie miały sobie równych we flocie. Przynosiło to wspaniałe rezultaty – nieliczni pacjenci doktora Maturina całym organizmem odczuwali fakt, iż są leczeni.

–Kapitanowi dokuczają rany – oświadczył Stephen przy obiedzie. – Niestety, nie będzie mógł jutro skorzystać z zaproszenia do naszej mesy. Poleciałem mu, by pozostał w koi, w swojej kabinie.

–Czy mocno ucierpiał w tej bitwie? – z szacunkiem zapytał pan Dalziel. Był jednym z niepowodzeń, jakie spotkały „Sophie” na Malcie. Wszyscy na pokładzie mieli nadzieję, że Thomas Pullings zostanie oficjalnie mianowany porucznikiem. Admirał przysłał jednak na to miejsce swego protegowanego, pana Dalziela z Auchterbothie and Sodds, informując równocześnie dla osłody, iż „będzie pamiętał o panu Pullingsie i wspomni o nim w liście do Admiralicji”. Pullings pozostał więc oficerem nawigacyjnym. Nie został awansowany, ów fakt załoga brygu przyjęła z wielkim rozżaleniem. Pan Dalziel zdawał sobie z tego sprawę i za wszelką cenę starał się zatrzeć złe wrażenie. Prawdę mówiąc, nie było takiej potrzeby, gdyż pan Pullings był najbardziej skromnym i ugodowym człowiekiem na ziemi, groźnym i bezkompromisowym tylko w walce na pokładzie nieprzyjacielskiego okrętu.

–Jest dość mocno pokiereszowany – wyjaśnił Stephen. – Rany od kuli pistoletowej, piki i szabli. Sondując najgłębszą z nich, znalazłem kawałek metalu – odłamek, pamiątka z bitwy o ujście Nilu.

–Wystarczy, jak dla jednego człowieka – rzekł pan Dalziel, który (oczywiście nie ze swojej winy) nie miał nigdy okazji brać udziału w krwawej walce. Bardzo cierpiał z tego powodu.

–Moim zdaniem zdenerwowanie może czasem sprawić, że otwierają się rany – zagadnął pan Marshall. – Nasz dowódca ma wszelkie powody, by się denerwować. Dni mijają, robi się coraz później, a my nie możemy kontynuować patrolu.

–To prawda. Z całą pewnością – zgodził się Stephen. Kapitan rzeczywiście mógł być poirowany, jak wszyscy na okręcie. Zostali wysłani na Maltę, zamiast krążyć po bogatych w przyrodę wodach. Na dodatek wszystko wskazywało na to, iż pewien przeznaczony dla „Sophie” galeon płynął spokojnie wzdłuż wybrzeża hiszpańskiego. Jak głosiła plotka, kapitan z siebie tylko wiadomych źródeł wiedział, iż mogło to być nawet kilka galeonów. Trudno było bez rozgoryczenia i bólu pogodzić się z taką sytuacją – znajdowali się w odległości ponad pięciuset mil od objętego patrole obszaru.

Wszyscy z niecierpliwością wyczekiwali chwili, w której znów ruszą w stronę nieprzyjacielskiego brzegu. Z przewidzianego na patrol czasu pozostało jeszcze trzydzieści siedem dni. Trzydzieści siedem dni przeznaczonych na żniwa. To prawda, iż wielu członków załogi posiadało teraz więcej gwinei, niż kiedykolwiek mieli szylingów na łodzi. Chcieli jednak wzbogacić się jeszcze bardziej. Z szacunkowych wyliczeń wynikało, iż każdemu szeregowemu marynarzowi przypadało w tej chwili w udziale prawie pięćdziesiąt funtów. Nawet ci, którzy zostali okaleczeni lub kontuzjowani podczas bitwy, uważali, iż jest to godziwe wynagrodzenie za jeden ciężko przepracowany poranek. Odpowiadało im ono o wiele bardziej niż niepewny szyling dziennie za pracę przy krosnach lub za pługiem czy nawet płaca w wysokości ośmiu funtów miesięcznie, jaką obiecywali czasem zmuszeni okolicznościami kapitanowie statków handlowych.

Zakończona szczęśliwie wspólna akcja, surowa dyscyplina i wysoki poziom wyszkolenia sprawiły, iż załoga brygu stała się zespołem zgranych, sprawnych ludzi. Były oczywiście beznadziejne przypadki, takie jak okrętowy wariat, Szalony Willy, lecz na ogół wszyscy mężczyźni oraz chłopcy potrafili sterować i obsługiwać żagle. Dobrze znali okręt oraz obowiązujące na jego pokładzie procedury i zwyczaje. Dzięki temu, ponieważ ich nowy porucznik nie był szczególnie dobrym żeglarzem, udało się uniknąć paru przykrych sytuacji, gdy „Sophie” z maksymalną prędkością zmierzała na zachód. Przetrwali po drodze dwa groźne sztormy i okresy obezwładniającej ciszy. Okręt kołysał się wówczas wściekle na martwej fali, dziób odwracał się we wszystkie strony świata, a okrętowy kot cierpiał na morską chorobę. Śpieszyli się nie tylko dlatego, iż pragnęli kontynuować przerwany patrol. Oficerowie czekali niespokojnie na wieści z Londynu, na oficjalną reakcję na ich wspaniały wyczyn, na rozkaz mianujący Jacka starszym kapitanem i awanse dla wszystkich.

Powrotna podróż do Mahon dobrze świadczyła o pracy stoczni na Malcie i umiejętnościach załogi. To na tych wodach, podczas drugiego sztormu, o dwadzieścia mil od „Sophie”, uzbrojony w szesnaście dział slup „Utile” ustawił się burtą do fali, próbując przejść na kurs z wiatrem, i zatonął razem z całą załogą. Ostatniego dnia pogoda poprawiła się jednak. Powiała spokojna tramontana, w sam raz na dobrze zrefowane marsle, i przed południem ujrzeli wysokie brzegi Minorki. Tuż po obiedzie podali swój numer i okrążyli przylądek Mola, zanim słońce znalazło się w połowie drogi w dół ku horyzontowi.

Jack nareszcie poczuł się lepiej. Trochę mniej niż inni opalony (skutek kilku dni spędzonych pod pokładem), patrzył z zainteresowaniem na zwiastujące północny wiatr chmury nad górą Toro.

–Gdy tylko przejdziemy przez cieśniny, panie Dalziel, zrzucimy łodzie i rozpoczniemy wystawianie beczek na pokład – powiedział. – Powinniśmy zacząć pobieranie wody najpóźniej około północy, tak byśmy mogli wyjść w morze jutro rano. Nie mamy ani chwili do stracenia. Widzę, iż przygotował pan już haki na rejach i sztagach. Bardzo dobrze... – dodał z uśmiechem i wrócił do swej kabiny.

Biedny pan Dalziel nic nie wiedział o przygotowanych już hakach. To marynarze przewidzieli polecenia kapitana i porucznik pokiwał tylko głową, bardzo zdziwiony. Jego sytuacja była bardzo trudna. Był sumiennym i godnym szacunku oficerem, lecz w żaden sposób nie mógł równać się z Jamesem Dillonem, wciąż obecnym w pamięci wszystkich na pokładzie. To Dillon, błyskotliwy, dynamiczny, wspaniały żeglarz, doprowadził załogę do tak znakomitej formy.

Mijając znajome zatoczki i wyspy, „Sophie” posuwała się w głąb portu. Znajdowali się na wysokości szpitala, Jack myślał o tym, o ile mniej zamieszania i hałasu wywoływał poprzedni porucznik, gdy na pokładzie dostrzeżono zbliżającą się łódź. W oddali rozległ się okrzyk, oznaczający przybycie kogoś w randze kapitana. Aubrey nie usłyszał nazwiska, lecz po chwili do drzwi kabiny zastukał zaniepokojony Babbington.

–Łódź komendanta portu płynie w naszym kierunku, sir – szybko zameldował podchorąży.

Na pokładzie rozpoczęła się nerwowa bieganina, ludzie wpadali na siebie, gdyż pan Dalziel chciał wykonać trzy rzeczy na raz. Ci, którzy mieli udekorować burtę, równocześnie w pośpiechu próbowali doprowadzić się do porządku. Bardzo niewielu kapitanów wypłynęłoby tak znieścacka, tylko nieliczni niepokoiłoby okręt mający za chwilę zacumować, większość nawet w wyjątkowych okolicznościach dałaby załodze szansę – kilka minut na niezbędne przygotowania. Kapitan Harte wszedł na burtę brygu tak szybko, jak to było możliwe. Odezwały się gwizdki. Niektórzy właściwie ubrani oficerowie stali wyprostowani, z odkrytymi głowami. Żołnierze prezentowali

broń, jeden z nich upuścił muszkiet.

–Witamy na pokładzie, sir! – zawołał Jack. Był pozytywnie nastawiony do świata i ucieszył się na widok tej antypatycznej, lecz znajomej twarzy. – Wydaje mi się, że po raz pierwszy spotkał nas ten zaszczyt... – dodał radośnie.

Komendant portu zasalutował niedbałym ruchem w stronę pokładu rufówki, z nie ukrywanym wstrętem popatrzył na niechlujnych trapowych, na żołnierzy z poprzekrzywianymi pasami, na poustawiane w nieładzie beczki i małą tłustą suczkę pana Dalziela. Biedna psina przycupnęła na dziobie, w jedynym wolnym miejscu, i z opuszczonymi uszami rozglądała się przepraszająco. Dookoła niej pojawiła się olbrzymia kałuża.

–Czy pokład zawsze tak u pana wygląda, kapitanie Aubrey? – zapytał Harte ironicznie. – To, co widzę, bardziej przypomina lombard w Wapping niż królewski okręt wojenny.

–Cóż... Oczywiście, że nie, sir – odparł Jack. Wciąż był w dobrym humorze, gdyż pod pachą komendanta dostrzegł opakowanie z woskowanego płótna, ze znakami Admiralicji. W środku musiał znajdować się rozkaz mianujący J.A. Aubreya starszym kapitanem, z zadziwiającą szybkością przysłany z Londynu. – Jesteśmy w trakcie manewrów, sir. Może zejdzie pan do mojej kabiny?

Załoga była dosyć zajęta, gdy „Sophie”, lawirując pomiędzy okrętami i statkami, posuwała się w głąb portu. Dobrze, że marynarze tak dobrze znali swój bryg i kotwicowisko, gdyż uwagę wszystkich całkowicie pochłaniały odgłosy dobiegające z kapitańskiej kabiny.

–I co? Udało mu się! Stary Jarvie przysłał rozkaz – wyszeptał uśmiechnięty Thomas Jones do Williama Witsovera. Ludzie za grotmasztem ucieszyli się na myśl, iż ich kapitan został awansowany. Kochali dowódcę, poszliby za nim w ogień, byli dumni z wyróżnienia, jakie go spotkało.

–Kiedy wydaję rozkaz, wymagam, by został na czas wykonany. – Robert Jessup prawie bezgłośnie powtórzył podsłyszane słowa. William Agg, pomocnik oficera wachtowego, pokiwał głową.

–Ciszej tam! – zawołał pan Marshall. Chciał usłyszeć coś więcej.

Uśmiechy zgasły nagle. Najpierw na twarzach ludzi stojących najbliżej świetlika kapitańskiej kabiny, potem u pozostałych, obserwujących w napięciu ich miny i porozumiewawcze spojrzenia. Gdy rzucono kotwicę, cały okręt obiegły nerwowe szepty.

–Nie będzie patrolu...

Kapitan Harte znów pojawił się na pokładzie. Z należnym ceremoniałem został odprowadzony do łodzi. Wszyscy spoglądali za nim podejrzliwie, zaniepokojeni ponurym wyrazem twarzy dowódcy.

Łodzie zostały opuszczone i przystąpiono do pobierania wody, bączek zawiózł ochmistrza na brzeg po prowiant i listy. Łodzie handlarzy portowych przywiozły te same co zwykle smakołyki. Pan Watt i pozostawieni na leczeniu marynarze przyłynęli szpitalną łodzią, ciekawi efektów pracy stoczniowców na Malcie. Powracających na okręt rekonwalescentów powitały okrzyki pracujących na pokładzie ludzi.

–Słyszeliście najnowsze nowiny?

–Nie, a co się stało?

–A więc nie wiecie o niczym?

–Nie, nie wiemy...

–Nie popłyniemy na nasz patrol, ot co. Ten stary skurczysyn powiedział, że wykorzystaliśmy nasz czas, płynąc na Maltę. Nasze trzydzieści siedem dni! Mamy konwojować jakiś cholerny statek pocztowy do Gibraltaru. O patrolu możemy zapomnieć. „Cacafuego” nie została zakupiona przez rząd. Sprzedano ją zafajdanym Maurom, po śmiesznej cenie. Jeden funt i osiemnaście pensów! Nie ma na świecie szybszej fregaty... Wróciliśmy zbyt późno. „Proszę się ze mną nie sprzeczać,” rzekł komendant. „Ja wiem lepiej”. W gazecie nie ma nic na nasz temat. Złotowłosa nie doczekał się awansu. Mówią, że ten okręt nie pływał w regularnej służbie, a jego kapitan nie miał oficjalnych rozkazów. Same kłamstwa. Och, żebym tak miał teraz przed sobą tego cwaniaka, nogi bym mu z d... – W tym momencie z pokładu rufówki rozległa się ostra reprimenda, przekazana natychmiast przez wymachującego końcem liny pomocnika bosmana. Marynarze nadal dawali upust swemu oburzeniu, szepcząc głośno. Gdyby kapitan Harte jeszcze raz pojawił się na okręcie, prawdopodobnie doszłoby do buntu i komendant portu w najlepszym razie wyleciałby za burtę. Ludzie rozwścieczeni byli takim lekceważeniem ich zwyczajstwa, brakiem poszanowania wobec załogi i kapitana. Wiedzieli też doskonale, iż karcące uwagi oficerów wypowiedane były bez przekonania. Koniec liny wydawał się tak samo groźny jak poruszana wiatrem chusteczka. Nawet pan Dalziel był wstrząśnięty sposobem, w jaki potraktowano „Sophie”. Nie znał co prawda szczegółów, lecz wystarczyły podsłuchane fragmenty rozmowy, plotki, odrobina logicznego rozumowania i nieobecność pięknej „Cacafuego”. To, co spotkało „Sophie”, było rzeczywiście bardziej niż niegodziwe.

Kapitan i lekarz okrętowy siedzieli w kabinie, obłożeni stertami papierów. Stephen pomagał Jackowi uporządkować to wszystko, pisał również w jego imieniu

odpowiedzi na listy, przygotowywał urzędowe pisma. Była trzecia rano, bryg kołysał się miękko na kotwicy, stłoczona w kubryku załoga mogła nareszcie przespać spokojnie całą noc (jedna z przyjemniejszych stron postoju w porcie). Jack nie schodził na brzeg. Nie miał takiego zamiaru. Panująca w kabinie cisza, bezruch, długie godziny spędzone z piórem w ręku sprawiły, iż obaj zdawali się odciąć od reszty świata w tym ciasnym, oświetlonym jasno pomieszczeniu. Może dlatego ich rozmowa, która w innych warunkach wydałaby się zbyt poufała, niewłaściwa, przebiegała zwyczajnie i naturalnie.

–Czy zna pan człowieka o nazwisku Martinez? – zagadnął Jack w pewnej chwili. – Część jego domu zajmuje kapitan Harte...

–Tylko o nim słyszałem – odparł Stephen. – To spekulant, nowobogacki, spryciarz.

–Uzyskał kontrakt na przewóz poczty. Szczerze mówiąc, to paskudna robota... W każdym razie zakupił pewną żalozną łajbę o nazwie „Ventura”, która ma udawać statek pocztowy. Ta krypa nigdy od momentu zwodowania nie płynęła szybciej niż sześć węzłów, a my mamy konwojować ją do Gibraltaru. Może pan powiedzieć, że nic w tym zdrożnego. To prawda, tylko powinien pan wiedzieć, że to my mamy zabrać worek z listami i przekazać go na pokład „Ventury” tuż przed portowym falochronem w Gibraltarze. Następnie mamy natychmiast powrócić do Mahon, nie zawijając do portu i nie komunikując się z lądem. Powiem panu coś jeszcze. Ten łajdak nie przekazał mojego oficjalnego listu za pośrednictwem okrętu „Superb”, który wypłynął dwa dni po nas. Nie oddał go też dowódcy „Phoebe”, płynącemu do kraju. Założę się, o co pan zechce, że mój raport znajduje się tutaj, w tym zatłuszczonym worku. Co więcej, jestem pewien, iż list przewodni od komendanta pełen jest wydumanych bzdur o dowódcy „Cacafuego”, o rozkazach i niejasnym statusie oficerów zdobytej przez nas fregaty. Same podłe pomówienia i aluzje. Dlatego właśnie w gazecie nie było żadnej informacji na nasz temat. Nie ma też na razie mowy o moim awansie. Opakowanie ze znakami Admiralicji zawierało jedynie rozkazy komendanta, na wypadek, gdybym domagał się ich na piśmie.

–Oczywiście. Nawet dziecko zorientowałoby się, o co chodzi temu człowiekowi. Ma nadzieję pana sprowokować. Liczy na to, że pozwoli pan sobie na nieposłuszeństwo, i w ten prosty sposób zrujnuje pan swoją karierę. Błagam, niech pan nie dopuści do tego, by zaślepił pana gniew.

–Och, nie dam z siebie zrobić głupca – odpowiedział Jack z uśmiechem. – Muszę jednak przyznać, iż próbując wyprowadzić mnie z równowagi, bliski był sukcesu. Nie wiem, czy zdołam zagrać teraz coś więcej niż prostą grę. Ręce mi się trzęsą, gdy pomyślę o tym wszystkim – dodał, zdejmując z półki skrzypce.

W jego głowie kłębiły się niespokojne myśli, refleksje i obawy. Awans opóźnił się o cenne tygodnie i miesiące. W ostatniej gazecie zamieszczono informację o

awansowaniu na starszych kapitanów trzech kolejnych oficerów: Douglasa z „Phoebe”, Evansa z Indii Zachodnich i nie znanego Jackowi Raitta. Ci trzej wyprzedzali go na liście. Już nigdy ich nie dogoni. Tyle zmarnowanego czasu. Na dodatek coraz głośniej mówiono o mającym wkrótce nastąpić pokoju. Było też głębokie podejrzenie, iż sprawa źle się skończy. Może słowa admirała były prorocze i Jack Aubrey nigdy nie doczeka się awansu? Włożył skrzypce pod brodę, zaciskając wargi i unosząc wysoko głowę. To wystarczyło, by emocje wzięły górę. Twarz kapitana poczerwieniała, oddychał coraz głębiej, oczy otworzyły się szeroko. Wydawały się jeszcze bardziej błękitne niż zwykle, gdyż ich źrenice bardzo się zwężyły. Wraz z ustami zacisnęła się prawa dłoń. „Źrenice zwężyły się symetrycznie do średnicy równej około jednej dziesiątej cala” – zanotował Stephen na rogu czystej kartki papieru. Rozległ się głośny trzask i melancholijny jęk strun. Z zabawnym wyrazem powątpiewania zmieszanym ze zdumieniem i przerażeniem Jack spojrzał na zniszczone skrzypce.

–Złamały się! – zawołał. – Są złamane! – Ostrożnie przyłożył do siebie obie części. – Jak mogłem być tak nieuważny. Nigdy sobie tego nie daruję – dodał cichym głosem. – Znam te skrzypce od dziecka. Uczyłem się na nich grać, gdy byłem małym chłopcem.

Sposób, w jaki potraktowano „Sophie”, oburzył nie tylko jej załogę; na pokładzie brygu tej sprawie towarzyszyły jednak najgorętsze emocje. Podczas wybierania kotwicy chodzący dookoła kabestanu ludzie śpiewali nową piosenkę, która nie miała nic wspólnego z uduchowionymi wierszami pana Mowetta:

Stary Harte podły drań,

Wstrętna świnia bez dwóch zdań,

Hej, ho, ciągnij go,

Dalej ciągnij go...

Grajek siedzący na kabestanie ze skrzyżowanymi nogami opuścił fujarkę i cichym głosem zaśpiewał następną zwrotkę:

Mówi Harte do swej pani:

Nie chcesz mnie? Dlaczego?

Ona mówi: Mój kochany,

Jest ktoś, kto ma większego...

Ponownie odezwał się rytmicznie chór:

Stary Harte podły drań,

Wstrętna świnią bez dwóch zdań...

James Dillon nigdy nie pozwoliłby na coś podobnego. Pan Dalziel nie rozumiał treści piosenki i nieprzyzwoitych aluzji, więc śpiewano bez przeszkód. Śpiew ucichł dopiero wtedy, gdy śmierdzący ściekami z Mahon łańcuch kotwiczny znalazł się w komorze. Postawiono kliwry i przebrasowano reję fokmarsla. „Sophie” ruszyła w stronę stojącej bliżej wejścia do portu „Amelii”. Okręty spotkały się po raz pierwszy od czasu zwycięskiej potyczki brygu z „Cacafuego”. Pan Dalziel ze zdziwieniem zauważył, iż maszty, wanty oraz reje fregaty pełne są ludzi. Wszyscy trzymali kapelusze w dłoniach i patrzyli w kierunku „Sophie”.

–Panie Babbington – powiedział cicho, na wypadek, gdyby się mylił. Tylko raz był świadkiem czegoś takiego. – Proszę przekazać kapitanowi wyrazy mego uszanowania i poinformować, że „Amelia” ma chyba zamiar oddać nam honory...

Jack wyszedł na pokład, mrugając oczami; w tej samej chwili z odległości dwudziestu pięciu jardów rozległ się pierwszy ogłuszający okrzyk. Zabrzmiął gwizdek bosmana fregaty i dwa kolejne okrzyki, zsynchronizowane jak salwa burtowa. Jack stał w towarzystwie oficerów, tak jak oni wyprostowany, ze zdjętym kapeluszem. Gdy ucichło krążące po porcie echo, kapitan „Sophie” zawołał:

–Trzy wiwaty dla „Amelii”!

Marynarze, chociaż zapracowani, po bohatersku wykonali to polecenie. Z purpurowymi z radości i wysiłku twarzami krzyknęli głośno – wiedzieli doskonale, co znaczą dobre maniery. „Amelia”, już daleko za rufą, odpowiedziała następnym gromkim pozdrowieniem.

Był to dowód wyjątkowego uznania, swoisty komplement, nie zmieniający faktu, iż wszyscy na pokładzie „Sophie” czuli się bardzo pokrzywdzeni. Na okręcie modne stało się zawołanie: „Oddajcie nam nasze trzydzieści siedem dni!”; był to rodzaj hasła, uniwersalnego sloganu wypowiedzanego pod pokładem, a czasem nawet powyżej zejściówek, jeśli komuś starczało odwagi. Nie sprzyjało to efektywnej pracy, a z czasem stało się nudne.

Krótki postój w Port Mahon w widoczny sposób wpłynął na pogorszenie dyscypliny na okręcie. Jednym z ubocznych skutków zmian było załamanie się pewnych elementów okrętowej hierarchii. Kapral pozwolił powracającym ze szpitala ludziom wnieść na pokład pęcherze i bukłaki pełne hiszpańskiej brandy, anyżówki oraz jakiegoś bezbarwnego płynu, podobno ginu. Zaskakująco wielu ludzi oddało się zgubnemu nałogowi pijaństwa, między innymi dowódca podwachtu żaglowej fokmasztu (pijany do nieprzytomności) i obaj pomocnicy bosmana. Jack

zdegradował Morgana, mianując na jego miejsce Alfreda Kinga. Zrealizował w ten sposób swą wcześniejszą groźbę – niemy pomocnik bosmana na pewno wyda się ludziom bardziej groźny i odstraszący. Na dodatek ów Murzyn miał bardzo silne ramię.

–Ponadto, panie Dalziel – zapowiedział kapitan – postaramy się o porządny greting, który posłuży jako pręgierz. Ci łajdacy zupełnie nie przejmują się chłostą przy kabestanie. Za wszelką cenę muszę skończyć z tym niewiarygodnym wręcz pijaństwem.

–Tak jest, sir – zgodził się porucznik i zagadnął ostrożnie: – Wilson i Plimpton zgłosili mi, iż bardzo będzie im przykro, jeśli zostaną wybatożeni przez Kinga.

–Nic w tym dziwnego, że będzie im przykro. To nic przyjemnego. Właśnie dlatego dostaną baty. Byli przecież pijani, czy nie tak?

–Do nieprzytomności, sir. Mówią, że to z okazji Święta Dziękczynienia.

–Nie widzę żadnej okazji do pijaństwa. Za co i komu mamy dziękować? „Cacafuego” została sprzedana Algierczykom.

–Oni pochodzą z kolonii, sir. Wygląda na to, że mają tam takie święto. Nie chodzi im o sam fakt chłosty. Rozumieją swoje przewinienie. Przeszkadza im kolor skóry człowieka, który będzie ich okładał batem...

–Bzdura – stwierdził Jack. – Powiem panu, kto następny oberwie baty, jeśli tak dalej pójdzie. – Schylił się i spojrział przez okno kabiny. – Kapitan tego cholernego statku pocztowego! Proszę wystrzelić z działa w jego stronę, panie Dalziel. Niech pan pošle mu kulę blisko rufy i zażąda, by trzymał się na wyznaczonym miejscu w szyku.

Od czasu wyjścia z Port Mahon wlokąca się w ślimaczym tempie łajba nie miała z „Sophie” łatwego życia. Jack nie zamierzał pływać do Gibraltaru po pełnym morzu, z dala od statków pirackich i baterii brzegowych. Pomimo licznych udoskonaleń „Sophie” nadal nie była bardzo szybką jednostką. Zarówno na kursach z wiatrem, jak i na wiatr, robiła dwie mile na jedną przebytą przez eskortowany statek. Większą część czasu spędzała, żeglując wzdłuż wybrzeża, zaglądając do każdej zatoczki i do każdego ujścia rzeki. Skrajnie tym przerażony statek pocztowy, został zobowiązany do utrzymywania się w niewielkiej odległości, od strony otwartego morza.

Do tej pory te gorliwe poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu. Doprowadziły jedynie do krótkotrwałej wymiany ognia z kilkoma bateriami brzegowymi. Rozkazy zabraniały Jackowi prowadzenia pościgu za dostrzeżonymi statkami i tym samym uniemożliwiały zdobywanie przyzów. Nie o przyzy jednak chodziło. Dowódca „Sophie” szukał okazji do walki; oddałby niemal wszystko za możliwość bezpośredniego starcia się z okrętem lub statkiem o zbliżonej wielkości i sile.

Tak rozmyślając, kapitan wyszedł na pokład. Wiejąca od morza bryza słabła przez całe popołudnie i w tej chwili zamierała, w coraz rzadszych, nieregularnych podmuchach. Wystarczały one jeszcze dla „Sophie”, lecz statek pocztowy przestał już prawie poruszać się do przodu. Za prawą burtą rozciągało się wysokie, skaliste wybrzeże, z niewielkim cyplem i ruinami mauretańskiego zamku na trawersie, może o milę od brygu.

–Widzi pan ten przylądek? – zagadnął Stephen, obserwujący brzeg znad otwartej książki. Kciukiem zaznaczył czytany fragment. – To Cabo Roig. Od strony morza tutaj kończy się obszar, którego mieszkańcy posługują się językiem katalońskim. Dalej w głębi lądu leży Orihuela, a za Orihuelą nie usłyszy pan już katalońskiej mowy, tylko barbarzyński żargon Andaluzji. Nawet we wsi za tym przylądkiem ludzie bełkoczą jak Marokańczycy. – Choć tak liberalny pod wszelkimi innymi względami, Stephen Maturin nie znosił Maurów.

–A więc w pobliżu jest jakaś wioska? – zapytał Jack, jego oczy pojaśniały.

–Tak, zaraz ją pan zobaczy – odparł doktor. Okręt niemal bezgłośnie płynął po nieruchomej wodzie i odcinek wybrzeża widoczny za burtą przesuwał się powoli. – Strabon pisze, iż starożytni Irlandczycy mieli zwyczaj zjadania swoich zmarłych krewnych. Uważali to za najbardziej honorowy i zaszczytny pogrzeb. Wierzyli, że w ten sposób dusza zmarłego pozostaje w rodzinie – mówił Stephen, machając trzymaną w ręce książką.

–Panie Mowett, proszę przynieść moją lunetę. Bardzo przepraszam, doktorze. Mówił pan chyba przed chwilą coś o Strabonie?

–Czy nie uważa pan, że to tylko Eratosthenes redivivus... Może raczej, skoro jesteśmy na morzu, powinienem powiedzieć: Erathostenes na nowo otaklowany?

–Och tak, z pewnością. Tam, u stóp zamku, jakiś człowiek pędzi konno po krawędzi urwiska.

–Jedzie do wioski.

–To prawda. Widać już wieś, powoli wyłania się z za skały. Widzę też coś jeszcze – dodał Jack cicho. Słup płynął powoli i równie powoli z za przylądka wyłaniała się niewielka zatoka, z białymi zabudowaniami rozrzuconymi wzdłuż brzegu, tuż nad wodą. O ćwierć mili na południe od wioski stały na kotwicy trzy statki handlowe: dwa houario i pinasa, nieduże, lecz mocno załadowane.

Zanim bryg skierował się w ich stronę, na brzegu zapanowało wielkie poruszenie. Przez lunetę widać było kilka biegnących postaci, łodzie spychane na wodę i wiosłujące szybko w stronę zakotwiczonych jednostek. Na pokładach statków pojawiły się biegające sylwetki. Rozległy się odgłosy gorączkowych dyskusji i

rytmiczne nawoływania pracujących przy windach kotwicznych ludzi. Po podniesieniu kotwic wszystkie trzy statki z wyluzowanymi żaglami popłynęły w kierunku brzegu.

Jack obserwował wybrzeże, usilnie się nad czymś zastanawiając. Jeśli pogoda się nie pogorszy, łatwo będzie odholować te jednostki na głębszą wodę. Hiszpanie również dobrze o tym wiedzieli. Rozkazy wydane kapitanowi „Sophie” nie zezwalały na jakąkolwiek wyprawę na brzeg. Z drugiej jednak strony, nieprzyjaciel był uzależniony od przybrzeżnej żeglugi. W skalistym terenie stan dróg był tragiczny: absurdem byłoby przewożenie niektórych ładunków na grzbietach mułów, a użycie wozów nie wchodziło w grę – lord Keith bardzo to podkreślał. Obowiązkiem Jacka było palić, niszczyć lub zatapiać zauważone statki handlowe. Wszyscy obecni na pokładzie członkowie załogi przyglądali się kapitanowi uważnie. Wiedzieli doskonale, o czym myśli ich dowódca, znali też dokładnie treść rozkazów: nie zostali wysłani na patrol, ich zadaniem była ochrona konwojowanej jednostki. Zapatrzyli się tak bardzo, że piasek przesypał się w klepsydrze. Joseph Button, pełniący służbę żołnierz piechoty morskiej, który odwracał co pół godziny piaskowy zegar oraz wybijał szklanki, nie reagował na szturchańce i wołanie:

–Joe, Joe, obudź się, ty tłusty leniu... – Ocknął się dopiero wtedy, gdy oficer krzyknął mu wprost do ucha.

Ostatnie uderzenie dzwonu ucichło, odbite echem od brzegu, i Jack podjął decyzję:

–Proszę wykonać zwrot, panie Pullings.

Okręt zatoczył łagodny łuk. Przy wtórze gwizdków oraz komend zmienił hals i zawrócił w stronę stojącego w miejscu statku pocztowego.

W odległości kilku mil za przylądkiem również „Sophie” straciła wiatr. Stała w zapadającym zmroku, jej żagle obwisły bezwładnie, pokład pokryła rosa.

–Panie Watt, proszę przygotować kilka zapalających baryłek, powiedzmy pół tuzina... – polecił Jack. – Panie Dalziel, jeśli nie zacznie wiać, o północy zwodujemy łodzie. Doktorze Maturin, zajmijmy się czyś wesołym i przyjemnym.

Wesołym i przyjemnym zajęciem miało być rysowanie pięciolinii i kopiowanie trudnych nut pożyczonego duetu.

–Do licha – powiedział Jack po godzinie, podnosząc głowę. Spojrzał na doktora zaczerwienionymi i załzawionymi oczami. – Jestem już chyba na to za stary. – Przcisnął dłońmi powieki i siedział tak przez chwilę. W pewnym momencie odezwał się nieco zmienionym głosem: – Przez cały dzień myślałem o Dillonie. Cały dzień. Bardzo brakuje mi tego człowieka. Gdy wspomniał pan o tych starożytnych Irlandczykach... On też był Irlandczykiem, choć nigdy bym się tego nie domyślił.

Nigdy nie widziałem go pijanego, prawie się nie pojedynkował, nie przeklinał, był prawdziwym dżentelmenem. W niczym nie przypominał irlandzkiego gburą. Och... Doktorze, mój drogi, przepraszam. Wygaduję głupoty. Tak mi przykro...

–Tak, tak, tak – wybąkał Stephen, wydymając wargi, i lekceważąco machnął ręką.

Aubrey pociągnął za dzwonek i wśród stłumionych przez ciszę zwykłych okrętowych odgłosów dały się słyszeć szybkie kroki.

–Killick, przynieś nam kilka butelek madery z żółtym korkiem i trochę herbatników Lewisa – polecił stewardowi. – Nie mogę go zmusić, by upiekł porządny placek – wyjaśnił. – Te ciasteczka są dosyć smaczne i dobrze popija się je winem. Z kolei to wino... – Spojrzał na kieliszek pod światło. – ...to wino dostałem w Mahon od naszego agenta. Rozlano je do butelek w tym samym roku, w którym ożrebiła się Eclipse... Chcę, by było moją... ofiarą za grzechy, zdaję sobie sprawę z tego, jak ciężko przewiniłem. Pańskie zdrowie, doktorze.

–I pańskie również. Cóż za wspaniałe stare wino... Wytrawne, gęste... Znakomite.

–Czasem coś powiem – zaczął mówić Jack, gdy opróżnili pierwszą butelkę – a potem bardzo tego żałuję. Często w pierwszej chwili nie wiem, o co chodzi. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy patrzą na mnie z oburzeniem lub zażenowaniem i dlaczego przyjaciele mnie uciszają. Dopiero później powtarzam sobie: „Znowu wpakowałeś się na mieliznę, Jack”. Zwykle sam potrafię się domyślić, w czym zawiniłem. Przeważnie jest już za późno. Obawiam się, że czasem nieświadomie i niepotrzebnie prowokowałem Dillona. – Kapitan ze smutkiem spuścił oczy. – On także chwilami zachowywał się podobnie. Absolutnie nie chcę go krytykować, chcę tylko dowieść, iż podobni jemu, dobrze wychowani ludzie, też popełniają niekiedy paskudne gafy. Na pewno nie zrobił tego celowo, lecz kiedyś jego słowa zraniły mnie głęboko. Powiedział z przekąsem, że zdobywanie przyzów to dochodowy interes, tak jakby chodziło mi tylko o pieniądze. Wiem, że nie rozumiał tego w ten sposób, o nic go nie obwiniam. Wtedy bardzo mnie to zabolowało. Ta sprawa długo nie dawała mi spokoju. Dlatego tak się cieszę, że...

Ktoś zapukał do drzwi.

–Bardzo przepraszam, sir... Sanitariusz potrzebuje pańskiej pomocy, panie doktorze. Młody pan Ricketts połknął kulę muszkietową i nie można jej wydostać. Jeszcze trochę i chłopak zadławi się na śmierć.

–Proszę mi wybaczyć, kapitanie... – Stephen odstawił swój kieliszek i przykrył go chusteczką.

–Czy wszystko w porządku? Udało się panu? – zapytał Jack w pięć minut później.

–Może medycyna nie zawsze potrafi zdziałać cuda, lecz w tym przypadku wystarczył środek na wymioty. O czym to mówiliśmy?

–O przyzach. O tym, że nie chodzi tylko o pieniądze. Dlatego tak się cieszę na ten wypad dziś w nocy. Co prawda, moje rozkazy nie zezwalają na branie przyzów, lecz nie ma ani słowa o tym, iż nie wolno mi niszczyć nieprzyjacielskich statków. Na dodatek muszę czekać na tę cholerną łajbę... Nie zmarnuję ani chwili przeznaczonego na konwojowanie czasu i nikt mi nie zarzuci, iż przeprowadziłem tę akcję wyłącznie dla osobistych korzyści. Szkoda, że Dillon tego nie doczekał. Byłby na pewno bardzo szczęśliwy. Nocny atak to coś dla niego. Pamięta pan, jak poprowadził łodzie w Palamos? I w Palafrugell?

Zaszedł księżyc. Upstrzone gwiazdami niebo obróciło się dookoła niewidzialnej osi i Plejady załśniły ponad masztami brygu. Łodzie zostały opuszczone na wodę i podpłynęły do burty. Kolejno schodzili do nich członkowie oddziału desantowego, ubrani w błękitne kurtki mundurowe, z białymi opaskami na ramionach. Znajdowali się o pięć mil od zatoki, wszyscy jednak mówili szeptem. Słysząc było przyciszony śmiech, szcęk rozdawanej broni i w chwilę później łodzie bezgłośnie rozplynęły się w ciemności. Po dziesięciu minutach Stephen stracił je z oczu.

–Czy nadal pan ich widzi? – zapytał bosmana, który wciąż kulał z powodu odniesionej w walce z „Cacafuego” rany i teraz dowodził okrętem.

–Widzę światełko latarki, którą kapitan oświetla kompas – odpowiedział pan Watt. – Trochę w stronę rufy od kotbelki.

–Proszę spojrzeć przez moją nocną lunetę – zaproponował Lucock, jedyny podchorąży, jaki pozostał na pokładzie.

–Chciałbym, żeby to się już skończyło – westchnął Stephen.

–I ja też, doktorze... – Bosman zawiesił głos. – Takie czekanie jest nie do wytrzymania. Chciałbym być z nimi. Są razem, czas płynie im szybko i radośnie jak na jarmarku w Horndean. Na okręcie została nas garstka i możemy tylko czekać, słuchając, jak piasek przesypuje się w klepsydrze. Upłyną wieki, zanim cokolwiek się wydarzy, zanim ich usłyszymy. Zobacz pan.

Rzeczywiście. Mijały godziny, dni, tygodnie, lata, wieki. Wydawało się, że czas nie istnieje, że stanął w miejscu. Tylko raz ciszę przerwały głosy lecących wysoko flamingów, zmierzających prawdopodobnie do Mar Menor lub aż do bagien Guadalquiviru.

Błyski wystrzałów muszkietowych pojawiły się niespodziewanie w zupełnie innym miejscu, niż Stephen oczekiwał, daleko na prawo od wioski. Czyżby łodzie zmyliły drogę? Może zostały zaatakowane? A może w ciemnościach pomieszały mu się

kierunki?

–Panie Watt – zapytał – czy oni znajdują się we właściwym miejscu?

–Cóż... Na pewno nie, sir – odpowiedział bosman z przekonaniem. – O ile się na tym znam, kapitan chce odwrócić uwagę Hiszpanów.

W przerwach między wystrzałami słyhać było ciche okrzyki. Trzaski muszkietów nie ustawały. Nagle z lewej strony ukazał się ciemnoczerwony płomyk, potem drugi i trzeci. Te trzy ogniki niemal w jednej chwili gwałtownie rozbłysły światłem i rozrosły się w pionowy słup ognia, który uderzał coraz wyżej w niebo, jak zadziwiająca gorejąca fontanna – jeden ze statków był po brzegi wyładowany beczkami oliwy z oliwek.

–Boże wszechmogący... – wymamrotał bosman, przejęty trwogą.

–Amen – dopowiedział któryś z milczących, wpatrzonych w niezwykły pożar marynarzy.

Ogień był coraz większy. W jego blasku widać było dwa płonące statki, kłęby dymu, wioskę, całą zatokę i okalające ją wzgórza. Dwie łodzie z „Sophie” odbijały od brzegu, trzecia płynęła już szybko w kierunku brygu.

Z początku kolumna płomieni jak gigantyczny cyprys strzelała pionowo w górę. Gdy minęło niecałe pół godziny, jej wierzchołek zaczął pochylać się na południe, w stronę lądu. Chmura dymu rozplynęła się w długą, podświetloną wstęgę. Zrobiło się jeszcze jaśniej. Stephen zauważył między okrętem i lądem lecące do światła mewy. „Ten pożar przyciągnie wszystkie żywe istoty z okolicy” – pomyślał z niepokojem. – „Ciekawe, jak zachowają się nietoperze?”

Słup ognia załamany był w jednej trzeciej swojej wysokości; „Sophie” zaczęła się kołysać. Fale uderzały głośno o jej lewą burtę.

Pan Watt oprzytomniał nieco i wydał niezbędne rozkazy.

–Wygląda na to, że nasze łodzie czeka ciężka droga z powrotem, jeśli ten wiatr się utrzyma – powiedział.

–Nie możemy podpłynąć po nich bliżej brzegu? – zapytał Stephen.

–Kierunek wiatru zmienił się o trzy rumby, a w pobliżu przylądka znajdują się płycizny. Nie możemy ryzykować.

Nisko nad wodą znów przeleciały mewy.

–Ten płomień zwabi wszystkie żywe stworzenia w promieniu wielu mil – rzekł Stephen.

–Nic nie szkodzi, sir – odparł bosman uspokajającym tonem. – Za godzinę lub dwie będzie już widno i ogień nie będzie tak zwracał uwagi.

–Rozjaśnia całe niebo... – z powątpiewaniem stwierdził Stephen.

Płomienie oświetliły również pokład „Formidable”, pięknego francuskiego okrętu liniowego o osiemdziesięciu działach, dowodzonego przez kapitana Lalonde'a i niosącego na stermaszcie flagę wiceadmirała Linoisa. Francuzi znajdowali się siedem lub osiem mil od brzegu, w drodze z Tuluzy do Kadyksu. Za admiralską jednostką płynęły pozostałe okręty eskadry: „Indomptable” (osiemdziesiąt dział, kapitan Moncoussu), szybki „Desaix” (siedemdziesiąt cztery działa, kapitan Christy-Palliere) i „Muiron” (fregata o trzydziestu ośmiu działach, do niedawna własność Republiki Weneckiej).

–Podejźmy bliżej brzegu i zobaczymy, co tam się dzieje – zdecydował admirał: niski, żwawy mężczyzna z okrągłą głową, ubrany w czerwone spodnie, znakomity żeglarz. W kilka sekund później w górę powędrowały kolorowe latarnie. Z godną podziwu sprawnością okręty kolejno wykonywały zwrot przez sztag. Widać było, iż obsługują je doskonali marynarze i świetnie znający morskie rzemiosło oficerowie. Eskadra płynęła w stronę brzegu, ostrym prawym baksztakiem. Żagle francuskich liniowców dostrzeżono z pokładu „Sophie” o świcie i z początku przywitano z radością. Tymczasem łodzie dotarły do burty brygu po wyczerpujących zmaganiach z wiatrem i falą. Okręty wojenne zauważono z niewielkim opóźnieniem. Wszyscy członkowie załogi natychmiast zapomnieli o głodzie, zmęczeniu, obolałych ramionach, o tym, że są zmarznięci i przemoczeni. Na pokładzie rozległy się ożywione szepty:

–Nadpływają nasze galeony, nareszcie! – Ludzie widzieli już w myślach bogactwa Indii, Nowej Hiszpanii i Peru, złote sztaby służące jako balast. Od czasu, gdy okazało się, iż Jack ma własne źródła informacji o ruchach hiszpańskich jednostek, na okręcie krążyły pogłoski o galeonie, które teraz zdawały się potwierdzać.

Płomień wciąż strzelał w niebo, o wiele bledszy, gdyż niebo rozjaśniało się powoli. Na „Sophie” nikt nie zwracał na to uwagi – w radosnym ożywieniu zajęto się przygotowaniami do pościgu. Oczy tych, którzy choć na moment mogli oderwać się od pracy, z radością spoglądały na oddalone o trzy lub cztery mile okręty: „Desaix” i daleko z tyłu „Formidable”.

Trudno było powiedzieć, kiedy ludzie stracili powody do zadowolenia. Kapitański steward, niosąc Jackowi kawę na pokład rufówki, ciągle jeszcze marzył o własnym pubie i z zaskoczeniem przysłuchiwał się słowom kapitana:

–Mamy bardzo złą pozycję, panie Dalziel. – Rzeczywiście: „Sophie” nie kierowała się już w stronę domniemanych galeonów, lecz z największą prędkością umykała przed nimi, ostro na wiatr, z postawionymi wszystkimi żaglami.

Na horyzoncie pojawiły się kadłuby liniowców „Desaix” i „Formidable”. Za okrętem flagowym widać było marsle i bramsle „Indomptable”, w odległości kilku mil na nawietrznej, od strony otwartego morza, bieliły się żagle fregaty. „Sophie” znalazła się w niezwykle trudnym położeniu. Wciąż miała pewną przewagę – wiał niewielki wiatr i mogła zostać uznana za niewinny statek handlowy. Eskadra nie powinna zbyt długo interesować się małym, niepozornym brygiem. Jej jednostkom wyraźnie się nie śpieszyło. Do takiego wniosku Jack doszedł, obserwując je przez lunetę. Świadczyło o tym zachowanie licznie zgromadzonych na forkasztelu „Desaix” ludzi i fakt, iż nie postawiono dodatkowych żagli. Były też inne drobne sprawy. Z pewnością nie mieli do czynienia z pościgiem. Pomimo to francuski okręt żeglował z zadziwiającą prędkością. Miał wysoki, zgrabnie zaokrąglony dziób i pięknie skrojone żagle. Mknął po wodzie nieprawdopodobnie lekko, tak jak „Victory”. Jego załogę stanowili doświadczeni ludzie. Wydawało się, że płynie po idealnie równej, niewidzialnej kresce. Jack miał nadzieję, iż „Sophie” zdąży przejść przed dziobem liniowca, zanim Francuzi zaspokoją ciekawość i poznają przyczynę pożaru. Potem spróbuje zatańczyć z nimi tak, że w końcu zrezygnują z pogoni. Liczył na to, iż admirał prędzej czy później odwoła swoje jednostki.

–Na pokładzie... – zawołał Mowett z masztu. – Fregata zatrzymała nasz statek pocztowy.

Jack skinął głową i skierował lunetę najpierw w stronę „Ventury”, następnie na okręt flagowy za rufą brygu. Czekał. Minęło może pięć minut. Nadszedł moment krytyczny: na „Formidable” podniesiono sygnały, dla ich podkreślenia wystrzeliło działo. Nie wzywały jednak eskadry do odwrotu. Najbliższy okręt, „Desaix”, natychmiast wyostrzył, przestając zajmować się brzegiem. Na masztach pojawiły się bombramsle, postawione i wybrane z niewiarygodną sprawnością. Jack gwizdnął cicho z podziwu. Również na „Formidable” rozwinięto dodatkowe płótna, „Indomptable” zbliżał się szybko, płynąc pod pełnymi żaglami z przybierającym na sile wiatrem.

Nie ulegało wątpliwości, iż załoga statku pocztowego powiedziała Francuzom o „Sophie”. Wiadomo też było, że wspinające się coraz wyżej słońce przeszkodzi niepewnej bryzie, może nawet uciszy ją zupełnie. Jack spojrział w górę na żagle. Wszystkie płótna pracowały pomimo wciąż słabego wiatru.

Pierwszy nawigator wydawał komendy na ster. Pram, oficer wachtowy, stał za kołem. Obaj starali się wycisnąć ze starego, ociężałego brygu maksymalną prędkość. Pozostali członkowie załogi czekali w milczeniu na swych stanowiskach. Niepotrzebne były komendy, nic więcej nie można było zrobić. Jack popatrzył na poprzecierane i powypychane żagle. Przygotowane były już nowe marsle, wykonane

z porządnego, choć nie uznawanego przez Admiralicję płótna. Nie dopilnował, by zostały założone, i surowo ganił za to samego siebie.

–Panie Watt... – powiedział pół godziny później, spoglądając na lśniące jak szkło plamy nieruchomej wody, widoczne w oddali, na pełnym morzu. – Proszę przygotować wiosła.

W kilka minut po tym na „Desaix” podniesiono banderę i odezwały się dziobowe działa pościgowe liniowca. Wiatr ucichł, gdy przebrzmiało echo podwójnego wystrzału. Żagle francuskiego okrętu zwiędły nagle, na chwilę się wypełniły i znowu obwisły. Jeszcze przez dziesięć minut „Sophie” udawało się korzystać z ostatnich podmuchów, lecz wkrótce i dla niej zabrakło wiatru. Na długo przedtem, zanim znieruchomiła, wyłożono za burtę wszystkie dostarczone na Malcie wiosła (wciąż brakowało czterech). Pełzła powoli, pod wiatr, a raczej w stronę, z której przed chwilą wiało. Pióra i trzony długich wioseł wyginały się niebezpiecznie, pociągane z olbrzymią siłą. Przy każdym wiosle pracowało pięciu skupionych ludzi. Dawali z siebie wszystko. Stephen spostrzegł nagle, iż wśród wiosłarzy byli również oficerowie. Poszedł na dziób, z trudem znalazł wolne miejsce i po czterdziestu minutach na obu dłoniach miał mnóstwo odcisków, z których już po chwili zaczęła schodzić skóra.

–Panie Dalziel, niech wachta prawej burty idzie na śniadanie. O! Panie Ricketts, myślę, że możemy wydać podwójny przydział sera. Obawiam się, że na razie nie ma nadziei na coś ciepłego.

–Jeśli wolno mi zauważyć, sir, to już wkrótce będzie nam wszystkim niezwykle gorąco... – rzekł ochmistrz z kwaśnym uśmiechem.

Ludzie z prawoburtowej wachty posilili się szybko i stanęli do wioseł, zastępując zmęczonych kolegów, którzy siedli do złożonego z sucharów, sera i grogu śniadania, uzupełnionego kilkoma szynkami z oficerskiej mesy. Jedli bardzo nerwowo, gdyż w oddali powierzchnia morza zmarszczona już była przez bryzę, wiejącą teraz ze zmienionego o dwa rumby kierunku. Francuskie okręty chwyciły ten podmuch pierwsze. Posuwały się odrobinę szybciej od wiatru, poruszane olbrzymimi, wysoko umieszczonymi żaglami. Marynarze „Sophie” przyglądali się temu wstrząśnięci. Cała tak ciężko wypracowana przewaga przepadła w ciągu dwudziestu minut. Gdy żagle brygu zaczęły wreszcie pracować, przed dziobem „Desaix” pojawiły się białe spienione fale, doskonale widoczne z pokładu rufówki. Żagle „Sophie” też wypełniły się wiatrem, lecz przy tak małej prędkości wszelkie próby ucieczki z góry skazane były na niepowodzenie.

–Złożyć wiosła – polecił Jack. – Panie Day, proszę wyrzucić działa za burtę.

–Tak jest, sir – odpowiedział dziarsko artylerzysta i ruszył w stronę armat. Poruszał

się jednak ociężałe. Wyglądał jak człowiek idący po krawędzi przepaści, zmuszający się do tego z najwyższym wysiłkiem.

Stephen wyszedł na pokład. Ręce miał starannie zabandażowane. Patrzył na uzbrojonych w łomy i handszpaki ludzi, którzy stali koło rufowej mosiężnej czterofuntówki. Z zatroskanymi, przerażonymi niemal twarzami czekali, aż okręt przechylił się na fali. Gdy fala nadeszła, lśniąca lufa działa numer czternaście, tak pięknie przez nich wypolerowana, z pluskiem powędrowała do wody. W tym samym momencie, o niecałe dziesięć jardów za rufą, wystrzeliła w górę wysoka fontanna. Znów odezwały się działa pościgowe Francuza i następna armata wypadła za burtę „Sophie” już bez ceremonii. W ślad za czternastoma półtonowymi lufami do morza dostały się ich masywne lawety. Na dziwnie pustym pokładzie pozostały tylko poprzecinane fragmenty uprzęży i splątane talie, wciąż zamocowane do nadburcia po obu stronach niepotrzebnych teraz furt.

Doktor spojrzął przed dziób, potem za rufę i zrozumiał, w jak trudnym znaleźli się położeniu. Przygryzł wargi i nie chcąc przeszkadzać, stanął z boku, przy relingu. Uwolniona od ciężaru „Sophie” przyspieszała wyraźnie. Jej kadłub wynurzył się, opory ruchu zmalały, nieco inaczej pochylone żagle lepiej chwyciły wiatr.

Kula armatnia z „Desaix” przeszła przez płótno bramsla, następne dwa pociski nie doleciały do celu. Mieli jeszcze czas na jakiś manewr, nawet na kilka manewrów. Jack wiedział doskonale, że „Sophie” wykona zwrot przez sztag dwa razy szybciej niż uzbrojony w siedemdziesiąt cztery działa liniowiec.

–Panie Dalziel – zawołał – zrobimy zwrot, a potem znów wrócimy na ten sam hals. Panie Marshall... musimy rozpędzić się trochę. – „Sophie” potrzebowała rozpędu, skoro miała przy drugim zwrocie przejść przez linię wiatru. Gdyby jej się to nie udało, skutek mógł być tragiczny. Anemiczne podmuchy nadal były dla niej zbyt słabe. Najlepiej żeglowała wtedy, gdy na morzu pojawiały się fale i trzeba było refować marsle. – Do zwrotu przez sztag! – Odezwała się piszczalka, słup wyostrzył, zgrabnie przeszedł przez linię wiatru i po chwili płynął lewym halsem. Buliny brygu napięły się jak struny harfy, olbrzymi liniowiec nie zaczął jeszcze się obracać.

Ścigający „Sophie” okręt wykonał wreszcie zwrot, przekroczył linię wiatru i pokazał swą burtę, poznaną szachownicą furt działowych. Ujrawszy to przez lunetę, Jack powiedział szybko:

–Niech pan lepiej zejdzie na dół, doktorze. – Stephen usłuchał go, ale zszedł tylko do kapitańskiej kabiny i stamtąd dalej obserwował przez okno „Desaix”. Chmura dymu przesłoniła kadłub pięknego liniowca w pół minuty po tym, jak „Sophie” rozpoczęła zwrot w przeciwną stronę. Potężna salwa, dziewięćset dwadzieścia osiem funtów metalu, uderzyła w morze, na prawym trawersie brygu. Prawie wszystkie pociski spadły za blisko – jedynie dwie trzydziestosześcioletnie kule przeleciały

przez takielunek, pozostawiając za sobą pozrywane liny. Przez moment wydawało się, że „Sophie” nie zdoła przejść przez linię wiatru, że odpadnie na poprzedni kurs, straci przewagę i po raz kolejny wejdzie pod lufy nieprzyjacielskiego okrętu, tym razem znacznie lepiej wycelowane. Mocniejszy podmuch uderzył jednak w jej wystawione na wiatr przednie żagle i już po chwili wróciła na pierwotny hals. Gdy płynęła znów z pełną prędkością, ciężkie reje „Desaix” nie zostały jeszcze przebrasowane. Minęło sporo czasu, zanim liniowiec zakończył manewr. Umykająca przed pogonią „Sophie” zyskała w ten sposób być może ćwierć mili.

„Drugi raz to się nie uda” – pomyślał Jack. – „Dobrze, że choć raz dali się nabrać”.

Francuski okręt wykonał zwrot i wrócił na prawy hals, szybko odrabiając stracony dystans. Działa na dziobie liniowca strzelały bez przerwy, coraz celniej w miarę zmniejszania się odległości. Kule pudłowały o włos lub ocierały się o żagle, zmuszając słup do ciągłych drobnych zmian kursu, co za każdym razem oznaczało wyczuwalny spadek prędkości. „Formidable” żeglował przeciwnym halsem, odcinając „Sophie” drogę ucieczki, a „Indomptable” płynął na zachód, chcąc w tym samym celu nabrać wysokości względem wiatru. Ścigające bryg jednostki znajdowały się niemal w jednej linii za jego rufą i zbliżały się szybko. Osiemdziesięciodziałowy okręt flagowy zmienił na moment kurs, oddając salwę burtową z niebezpiecznie bliskiej odległości. „Desaix” płynął krótkimi zakosami, strzelając salwami po każdym obrocie. Ludzie bosmana pracowali w pocie czoła przy związywaniu lin pozrywanych przez kule. W żaglach pojawiło się kilka nowych dziur. Nie było jednak większych uszkodzeń. Nikt też nie został ranny.

–Panie Dalziel, proszę zacząć wyrzucać zapasy za burtę – polecił Jack.

Zdjęto pokrywy luków i zawartość ładowni powędrowała do morza: beczki solonej wołowiny, beczki z wieprzowiną, tona sucharów, fasola, mąka owsiana, masło, ser i ocet. Proch i kule. Rozpoczęto wypompowywanie wody. Dwudziestoczerofuntowy pocisk uderzył w kadłub i z pomp, oprócz słodkiej, popłynęła również morska woda.

–Niech pan sprawdzi, panie Ricketts, jak cieśla sobie z tym radzi... – Jack był zaniepokojony.

–Zapasy za burtą, sir – zameldował porucznik.

–Bardzo dobrze, panie Dalziel. Pozbędziemy się jeszcze kotwic i zapasowych drzewiec. Proszę zostawić tylko jedną zawoźną kotwicę.

–Pan Lamb mówi, że w zężach ma dwie i pół stopy wody – powiedział zdyszany podchorąży. – Udało mu się zakołkować otwór po kuli.

Jack skinął głową i spojrział na francuską eskadrę za rufą. Nie było nadziei, iż „Sophie” ucieknie, jeśli dalej popłynie ostro na wiatr. Gdyby jednak odpadła

niespodziewanie do baksztagu, może zdołałaby przemknąć pomiędzy ścigającymi ją okrętami. Zwinna i lekka, ma szansę dotrzeć do Gibraltaru. Płynąc pełnym kursem, powinna umknąć liniowcom. Jeśli dostatecznie szybko wykona manewr, zyska dodatkową milę przewagi, zanim jednostki eskadry obrócą się i podejmą pościg. Oznaczało to też, iż przepływając pomiędzy nimi, będzie musiała przetrwać kilka salw burtowych... Była to jedyna szansa. Należało do maksimum wykorzystać przewagę, jaką dawało zaskoczenie.

–Panie Dalziel, za dwie minuty odpadniemy od wiatru, postawimy boczne żagle i przejdziemy między flagowcem i tym okrętem o siedemdziesięciu czterech działach. Musimy to zrobić bardzo sprawnie, zanim oni się zorientują... – Jack wypowiedział te słowa do porucznika, lecz zrozumiała je cała załoga. Marynarze obsługujący żagle pobiegli na stanowiska, w każdej chwili gotowi błyskawicznie wbiec na górę i przygotować wytyki. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. – Jeszcze nie... – Aubrey patrzył, jak „Desaix” powoli zbliża się do prawego trawersu „Sophie”. Tylko tego liniowca należało się obawiać. Ten okręt był niezwykle czujny, więc Jack wolał poczekać, aż będzie zajęty jakimś manewrem. Za lewą burtą brygu znajdował się „Formidable”, na pewno przepelniony, jak zazwyczaj okręty flagowe, i przez to mniej skuteczny. – Jeszcze nie... – powiedział znowu, nie odrywając oczu od „Desaix”. Nic się jednak nie działo. – Uwaga! – zawołał w końcu, policzywszy w myślach do dwudziestu. – Teraz!

Sternik zakręcił kołem i „Sophie” lekko jak baletnica obróciła się w stronę „Formidable”, flagowiec natychmiast posłał w jej kierunku salwę burtową. Artylerzyści admirałskiego okrętu nie mogli równać się z załogą „Desaix”. Kule wpadły do morza w miejscu, gdzie bryg znajdował się przed chwilą. Salwa „Desaix” była znacznie lepiej wymierzona z obawy przed rykoszetami, mogącymi uderzyć w okręt admirała. Tylko sześć kul doleciało do brygu, powodując niewielkie zniszczenia. Pozostałe pociski upadły zbyt blisko.

„Sophie” przeszła pomiędzy żaglowcami bez większych szkód. Z postawionymi bocznymi żaglami mknęła szybko przed siebie, z wiatrem wiejącym z najkorzystniejszego dla niej kierunku. Zaskoczenie było zupełne i uniknęła pogoni. W ciągu pięciu minut oddaliła się o milę. Kolejna salwa burtowa „Desaix”, oddana z odległości ponad tysiąc jardów, chybiła celu zapewne na skutek pośpiechu i zdenerwowania. Tylko jeden pocisk z trzaskiem uderzył w pompę z pnia wiązu na dziobie brygu, rozbijając ją na kawałki. To wszystko. Okręt flagowy zrezygnował z drugiej salwy i przez chwilę płynął nie zmienionym kursem, tak jakby „Sophie” nie istniała.

„Może nam się udało” – pomyślał Jack, opierając dłonie na rufowym relingu i spoglądając na wydłużający się kilwater. Wcześniej z biciem serca czekał na salwy burtowe, przerażony wizją straszliwego spustoszenia. Teraz zamiast lęku pojawiła się nadzieja. „Może nam się udało” – pomyślał znowu. Zaledwie te słowa powstały w

jego głowie, gdy zobaczył, że na admiralskim okręcie podniesiono sygnały, i „Desaix” zaczął obracać się z wiatrem.

Uzbrojony w siedemdziesiąt cztery działa liniowiec zmienił hals tak samo sprawnie jak fregata. Reje obracały się równocześnie, tak jakby poruszał je jakiś zsynchronizowany mechanizm. Z pewnością były obsługiwane przez wielu świetnie wyszkolonych ludzi. „Sophie” również miała wspaniałą, gotową do poświęceń załogę. W niczym jednak nie zmieniało to faktu, iż przy tej bryzie nie mogła płynąć z prędkością większą niż siedem węzłów. Tymczasem „Desaix” już po piętnastu minutach żeglował o węzeł szybciej i to bez bocznych żagli. Widocznie Francuzi nie chcieli zawracać sobie nimi głowy. Serca stłoczonych na pokładzie „Sophie” ludzi zamarły.

Jack spojrział w niebo. Było błękitne, ogromne, gdzieniegdzie poznaczone przesuwającymi się powoli, postrzępionymi chmurami. Nic nie wskazywało na to, że wiatr ucichnie po południu, a do zmroku pozostało jeszcze wiele godzin.

Ile? Kapitan zerknął na zegarek. Czternaście minut po dziesiątej.

–Panie Dalziel, schodzę do mojej kabiny – oświadczył. – Proszę mnie powiadomić, jeśli coś się wydarzy. Panie Richards, proszę powiedzieć doktorowi Maturinowi, że chciałbym z nim porozmawiać. Panie Watt, potrzebuję kilku sążni cienkiej linki i trzech lub czterech miedzianych nagli.

W kabinie Jack zapakował tajne dokumenty i dołożył do nich książkę kodową, oprawioną w grubą ołowianą blachę. Do worka z pocztą włożył kołki do obkładania lin i zawiązał go starannie. Poprosił o swój najlepszy płaszcz, do jego wewnętrznej kieszeni schował sakiewkę z pieniędzmi. Do kabiny wszedł Stephen Maturin.

–Jest pan, doktorze... – przywitał go Jack. – Obawiam się najgorszego. Jeśli nie wydarzy się jakiś cud, za pół godziny zostaniemy wzięci do niewoli lub zatoniemy.

–Tak... – Stephen nie był specjalnie zdziwiony.

–Jeśli ma pan coś, na czym panu szczególnie zależy, lepiej będzie powierzyć to mojej opiece – zaproponował Jack.

–Czyżby oni okradali jeńców?

–Tak. Czasami. Gdy na „Leanderze” dostałem się do niewoli, zabrano mi nawet ubranie. Zrabowali też naszemu lekarzowi instrumenty. Nie mógł operować naszych rannych.

–Natychmiast przyniosę panu narzędzia chirurgiczne.

–I sakiewkę.

–Ach, tak... I sakiewkę.

Jack pośpiesznie wrócił na pokład i spojrzał za rufę. Nigdy by nie uwierzył, że ścigający „Sophie” liniowiec jest już tak blisko.

–Na maszcie! – krzyknął zatroskany. – Co widać? Siedem liniowców? Pół śródziemnomorskiej floty?

–Nic, sir – odpowiedział obserwator po krótkiej pauzie.

–Panie Dalziel, jeśli dostanę po głowie, proszę wyrzucić to za burtę. Oczywiście w ostatniej chwili... – dodał Jack, dotykając worka i paczki z dokumentami.

Na pozór na okręcie nic się nie zmieniło. Ludzie byli spokojni i skupieni, klepsydra została obrócona z dokładnością co do minuty, punktualnie zabrzmiały cztery szklanki popołudniowej wachty. Na „Sophie” działo się jednak coś dziwnego, coś, czego nie przewidywały obowiązujące zasady dyscypliny. Członkowie załogi schodzili pod pokład, potem stamtąd wracali i nikt ich za to nie ganił. Wkładali najlepsze ubrania (po dwie, trzy kamizelki i na to wyjściowa kurtka), prosili zaufanych oficerów o przechowanie wartościowych rzeczy, łudząc się nikłą nadzieją, iż uda się coś ocalić. Babbington trzymał w dłoniach pięknie rzeźbiony ząb wieloryba, Lucock próbował wepchnąć za pazuchę spore zawiniątko. Dwaj marynarze byli kompletnie pijani – pewnie trzymali zapasy na czarną godzinę.

„Dlaczego on nie strzela?” – zastanawiał się Jack. Dziobowe działa „Desaix” nie odzywały się od ponad dwudziestu minut, choć „Sophie” od dawna była w ich zasięgu. Obie jednostki zbliżyły się na odległość strzału muszkietowego i wyraźnie widać było stojących na dziobie liniowca ludzi: marynarzy, oficerów, żołnierzy piechoty morskiej. Jeden z Francuzów miał drewnianą nogę. „Cóż za pięknie skrojone żagle” – pomyślał Aubrey z podziwem i w tej samej chwili zrozumiał, dlaczego nieprzyjacielski okręt nie strzelał, tylko zbliżył się tak bardzo. – „Boże... Chcą poczęstować nas śrutem...” Podszedł szybko do wypełnionej hamakami siatki i wyrzucił za burtę przygotowane wcześniej pakunki. Oba zatонуły od razu.

Na dziobie „Desaix” zapanowało poruszenie, zapewne była to reakcja na rozkaz. Aubrey przejął ster od oficera i spojrzał za siebie. Dotknąwszy szprych, poczuł, jak slup żyje pod jego palcami. „Desaix” nagle zmienił kurs. Liniowiec reagował na wychylenia steru tak szybko jak kuter i po trzech uderzeniach serca Jack zobaczył lufy trzydziestu siedmiu dział gotowe do strzału. Z całej siły zakręcił kołem. Grzmot salwy burtowej francuskiego okrętu, spadająca na pokład „Sophie” grotbramstenga i reja fokmarsla, lecące w dół bloki i kawałki lin, przeraźliwy dźwięk trafionego kulkami okrętowego dzwonu – wszystko to wydarzyło się w krótkiej chwili. Potem zapadła

cisza.

Większość kul armatnich przeszła o kilka jardów przed dziobem brygu. Setki drobnych kuleczek zniszczyły doszczętnie takielunek i żagle, które zawisły w strzępach. Następna salwa rozniosłaby „Sophie” na kawałki.

–Żagle na gejtawy! – zawołał Jack, kontynuując zwrot. Slup stanął w linii wiatru. – Bonden, zrzuć banderę!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kapitański salon okrętu liniowego i kabina dowódcy brygu różnią się rozmiarami, lecz w obu tych pomieszczeniach są podobne, miłe dla oka krzywizny i tak samo pochylone ściany. W przypadku „Desaix” i „Sophie” wspólna była też niepowtarzalna atmosfera. Jack siedział wpatrzony w rufowe okna, wychodzące na śliczną galeryjkę, i spoglądał na Green Island i Cabrita Point. Kapitan Christy-Palliere szukał w teczce rysunku, który sporządził, gdy po raz ostatni przebywał w Bath jako jeniec związany słowem honoru.

Rozkazy, jakie otrzymał admirał Linois, nakazywały, by dowiedziona przez niego eskadra dołączyła do francusko-hiszpańskiej floty w Kadyksie. Admirał wykonałby je bez wahania, lecz po dotarciu do Cieśniny Gibraltarskiej okazało się, że zamiast jednego lub dwóch liniowców oraz fregaty Sir James Saumarez ma pod swą komendą nie mniej niż sześć okrętów liniowych o siedemdziesięciu czterech działach każdy i jeden uzbrojony w osiemdziesiąt dział. Brytyjskie jednostki pilnowały połączonej nieprzyjacielskiej flotylli. Taki stan rzeczy na pewno skłaniał do refleksji i okręty admirała stały teraz na kotwicy w zatoce Algeciras, pod osłoną dział potężnych hiszpańskich baterii brzegowych, naprzeciwko skały Gibraltaru.

Aubrey świetnie zdawał sobie z tego sprawę. To było oczywiste. Kapitan Palliere przeglądał rysunki, a Jack wyobrażał sobie posłańców pędzących w największym pośpiechu między Algeciras i Kadyksem – Hiszpanie nie używali semafora. Nieruchomym wzrokiem patrzył wciąż przez okno, na Cabrita Point, czyli wychodzący w morze kraniec zatoki. Pojawiły się tam bramsle płynącego za cyplem okrętu. Przez chwilę Jack obserwował te żagle obojętnie, lecz nagle serce skoczyło mu do gardła. Zanim zdążył o tym pomyśleć, wiedział, że na maszcie widocznej w oddali jednostki powiewa brytyjski proporzec. Zerknął szybko w stronę francuskiego kapitana.

–Landsdowne Terrace, inny widok... Clifton... – Palliere oglądał kolejne rysunki. – O jest! – zawołał uradowany. – Laura Place, numer szesnaście. Laura Place. Tutaj zatrzymują się moi kuzyni, ilekroć przyjeżdżają do Bath. A tutaj, za tym drzewem... szkoda, że to drzewo wszystko zasłania... tutaj jest okno mojej sypialni!

Steward wszedł do kabiny i zaczął nakrywać do posiłku. Kapitan Palliere nie tylko miał w Anglii kuzynów i świetnie mówił po angielsku. Wiedział również, jak powinno wyglądać na okręcie przyzwoite śniadanie: dwie kaczki, cynaderki, olbrzymia pieczona ryba. To wszystko podano jako dodatek do zwyczajnego śniadania składającego się z szynki, jajek, grzanek, marmolady i kawy. Jack spojrzał na szkic z największą uwagą, na jaką mógł się zdobyć.

–Okno pańskiej sypialni? To zadziwiające... – rzekł uprzejmie.

Śniadanie u doktora Ramisa było zupełnie inne – skromne, przywodziło na myśl więzienny wikt: dzbanek kakao bez mleka i kawałek chleba z odrobiną oliwy. Z uwagi na chorą wątrobę gospodarz gotów był do wielkich poświęceń.

–Odrobina oleju nikomu nie zaszkodzi – powiedział. Był chudym, posępnym mężczyzną o nieprzyjemnej, szarżółtej twarzy i podkrążonych, zapadniętych oczach. Nie wydawał się człowiekiem zdolnym do okazywania jakichkolwiek pozytywnych uczuć. Zarumienił się jednak, równocześnie próbując się uśmiechnąć, gdy Stephen, powierzony jego opiece jako jeniec, zawołał na powitanie:

–To niemożliwe! Czyżbym miał zaszczyt poznać słynnego doktora Juana Ramisa, autora wspaniałego dzieła *Specimen Animalium*!

Obaj panowie powrócili właśnie z izby chorych. Na „Desaix” nie było to specjalnie zatłoczone miejsce. Potencjalnych pacjentów skutecznie odstraszał zapach, z jakim doktor Ramis w trosce o wątroby swych chorych zapisywał lekkostrawną dietę, wykluczającą wino. W szpitaliku przebywało paru ludzi ze zwykłymi dolegliwościami, kilku syfilityków, czterech rannych z „Sophie” i trzech poszkodowanych w ostatniej potyczce Francuzów, których pogryzła suczka pana Dalziela. Usiłowali ją pogłaskać i teraz zostali umieszczeni w odosobnieniu, z podejrzeniem o wściekliznę. Stephen uważał, iż jego kolega po fachu popełnił tutaj poważny błąd. Szkocki pies, który pogryzł francuskiego marynarza nie musiał być wściekły – okazał się tylko mściwy. Maturin zachował dla siebie tę refleksję i powiedział:

–Rozmyślałem kiedyś sporo o emocjach...

–O emocjach? – zainteresował się Ramis.

–Tak. O emocjach i o tym, jak są wyrażane. W piątej księdze i w części księgi szóstej swego znakomitego dzieła napisał pan o emocjach okazywanych na przykład, przez kota, byka, pająka. Ja również dostrzegłem ów szczególny błysk w oczach drapieżnych owadów. Czy widział pan może żar płonący głęboko w oczach modliszki?

–Niestety nie, drogi kolego. Wspomina o tym Busbequius – odparł pan Ramis z nie ukrywanym zadowoleniem.

–Moim zdaniem w przypadku emocji o wszystkim decyduje sposób, w jaki się je wyraża. Weźmy pańskiego kota: załóżmy, że ogolimy go, tak by nie mógł nastroszyć sierści, i do grzbietu przymocujemy deseczkę, by nie mógł się wyginać. Jeśli pokażemy mu coś nieprzyjemnego, nasz kot nie będzie mógł w pełni okazać swoich emocji. Powstaje pytanie: czy pomimo to będzie je odczuwał? Czy wygięcie grzbietu i nastroszenie sierści nie jest integralną częścią przeżywanych wrażeń? A może odczucia kota są tylko przez to artykułowane lub wzmacniane w jakiś sposób?

Doktor Ramis pochylił głowę, przymrużając oczy, przygryzł wargi i odpowiedział:

–Jak to sprawdzić? Tego nie da się zmierzyć, sir. Pańskie wnioski są niezwykle interesujące, lecz nie można ich udowodnić. W nauce nie ma miejsca na przypuszczenia, wszystko musi zostać zmierzone i sprawdzone doświadczalnie.

–Myślę, że można udowodnić to za pomocą bardzo prostego doświadczenia – zawołał Stephen podekscytowany. – Zmierzmy swoje tętno. – Doktor Ramis wyjął zegarek, pięknego Bregueta z umieszczonym centralnie sekundnikiem, i obaj panowie siedzieli przez chwilę w milczeniu, sprawdzając puls. – Teraz, mój drogi kolego – mówił dalej Maturin – proszę wyobrazić sobie, że wziąłem pański zegarek i celowo

rzuciłem nim z całej siły o ziemię. Ja zaś spróbuję uwierzyć, iż jest pan podłym i okrutnym człowiekiem. Zasymulujmy odpowiednie gesty, wyrażające gniew i oburzenie.

Twarz doktora Ramisa zeszywniała, jego oczy znikły prawie, wyciągnięta do przodu głowa zadrżała. Stephen przygryzł usta, pogroził koledze pięścią i wymamrotał coś pod nosem. Do kabiny wszedł służący z dzbankiem gorącej wody (o dolewce kakao nie było mowy).

–Zmierzmy znowu tętno – rzekł Stephen.

–Ten medyk z angielskiego okrętu to wariat – opowiadał steward drugiemu kucharzowi. – Nienormalny. Naszemu też się przy nim w głowie poprzewracało...

–Nie mogę powiedzieć, że mnie to całkowicie przekonuje, lecz wyniki z pewnością są interesujące – przyznał doktor Ramis. – Spróbujmy użyć teraz wulgarnych, obraźliwych słów, docinków i złośliwych uwag, nie wykonując żadnych ruchów, które mogą spowodować przyspieszenie tętna. Jak rozumiem, pragnie pan dowieść słuszności swego twierdzenia na zasadzie przeciwieństwa? To taki dowód nie wprost, antyteza. Bardzo mnie pan tym zaciekawił...

–Naprawdę? – ucieszył się Stephen. – Pomyślałem o tej sprawie, obserwując naszą kapitulację i kilka innych podobnych sytuacji, jakie dane mi było oglądać. Ma pan o wiele bogatsze morskie doświadczenia i zapewne był pan świadkiem znacznie większej liczby takich zdarzeń?

–Tak sędzę – zgodził się doktor Ramis. – Aż cztery razy byłem waszym jeńcem. Właśnie dlatego tak cieszymy się, iż możemy gościć panów – dodał z uśmiechem. – Takie okazje nie zdarzają się tak często, jak byśmy tego pragnęli. Może ma pan jeszcze ochotę na kawałek, mały kawałek, chleba z odrobinką czosnku? Z maleńkim skraweczkiem? To przecież takie zdrowe...

–Och, jest pan bardzo uprzejmy. Czy zwrócił pan uwagę na beznamiętny wyraz twarzy ludzi branych do niewoli? Czy zawsze tak wyglądają?

–Przeważnie.

–Czy nie uważa pan, iż podobne nieuzewnętrznianie przeżyć, skrywanie uczuć w pewien sposób uśmierza ból porażki?

–Zapewne ma pan rację, tak...

–Jestem przekonany, że tak. Łatwiej wtedy znieść gorycz klęski. Na pokładzie naszego okrętu byli ludzie, których dobrze poznałem, i jestem pewien, iż bez tego swoistego ceremoniału kapitulacji byłiby załamani...

–Monsieur, monsieur, monsieur! – zawołał służący doktora Ramisa. – Anglicy wpływają do zatoki!

Na rufie spotkali kapitana Palliere i jego oficerów, z uwagą obserwujących manewry angielskich okrętów. „Pompee”, „Venerable”, „Audacious”, nieco dalej „Caesar”, „Hannibal” i „Spencer”, korzystając ze słabego wiatru, zmagaly się z silnymi, zmiennymi prądami w cieśninie, na połączeniu Atlantyku z Morzem Śródziemnym. Wszystkie miały po siedemdziesiąt cztery działa, jedynie flagowy okręt „Caesar” uzbrojony był w osiemdziesiąt armat. Jack stał z boku, jego twarz była dziwnie pozbawiona wyrazu. Dalej przy relingu pozostali oficerowie „Sophie” udawali taką samą obojętność.

–Czy pańskim zdaniem zaatakują nas, czy zakotwiczą koło Gibraltaru? – zapytał Jacka kapitan Palliere.

–Jeśli mam być szczery, sir – odpowiedział Jack, spoglądając na wpływające do zatoki okręty – na pewno zaatakują. Myślę, że wybaczy mi pan to, co teraz powiem, lecz jeśli weźmie się pod uwagę obecny stosunek sił, to dziś wieczorem powinniśmy znaleźć się w Gibraltarze. Muszę przyznać, że sprawiłoby mi to dużą radość, gdyż miałbym okazję odwzajemnić, choćby częściowo, niezwykle uprzejme traktowanie, z jakim się tutaj spotkałem.

Rzeczywiście, traktowano ich bardzo uprzejmie już od chwili, w której kapitanowie wymienili formalne pozdrowienia na pokładzie rufówki „Desaix” i Aubrey podał dowódcy francuskiego okrętu swą szpadę. Kapitan Palliere jej nie przyjął i nalegał, by Jack nadal nosił ją u boku; wypowiedział przy tym kilka słów podziwu na temat wspaniałej postawy broniącej się do ostatniej chwili „Sophie”.

–No cóż... – powiedział francuski kapitan. – Tak czy inaczej, nie powinniśmy z tego powodu rezygnować ze śniadania.

–Sygnał od admirała, sir – zameldował porucznik. – „Podejść jak najbliżej do brzegu, pod osłonę baterii brzegowych”.

–Proszę potwierdzić i wykonać ten rozkaz jak najszybciej, Dumanoir – polecił dowódca okrętu. – Chodźmy, sir. Korzystajmy z okazji. Ucztujmy, póki czas...

Nie wypadalo odmówić i obaj panowie rozmawiali teraz z determinacją, coraz głośniejsze, gdyż odezwały się baterie brzegowe na Green Island i salwy burtowe liniowców. Jack zauważył w pewnym momencie, że smaruje rybę marmoladą i że jego odpowiedzi coraz mniej wiążą się z zadawanymi mu pytaniami. Z przeraźliwym trzaskiem i brzękiem przestały nagle istnieć rufowe okna kabiny. Przykryta poduszkami szafka, w której Palliere przechowywał najlepsze wina, wyleciała na środek salonu, tryskając strumieniami szampana. Pośrodku rumowiska zakręciła się kula armatnia z HMS „Pompee”.

–Chyba powinniśmy wyjść na pokład – rzekł francuski kapitan.

Sytuacja była niezwykła. Wiatr osłabł prawie zupełnie. Angielski liniowiec „Pompee” prześliznął się obok „Desaix” i zakotwiczył blisko z prawej strony przed dziobem „Formidable”, ostrzeliwując go zawzięcie. Okręt francuskiego admirała ruszył przez niebezpieczne mielizny w kierunku brzegu, wybierając podane na ląd cumy. „Venerable”, któremu zabrakło wiatru, zakotwiczył o pół mili od „Formidable” i „Desaix”. Obrócony lewą burtą, posyłał w ich stronę salwę za salwą. Tymczasem „Audacious”, z tego, co Jack zdołał dostrzec przez kłęby dymu, znajdował się na trawersie „Indomptable”, w odległości trzystu lub czterystu jardów. „Caesar”, „Hannibal” oraz „Spencer” nadal z trudem żeglowały przez plamy ciszy, próbując w pełni wykorzystać niepewne podmuchy północno-zachodniej bryzy. Francuskie okręty strzelały bez przerwy, w tle przez cały czas grzmiały hiszpańskie baterie brzegowe, od Torre del Almirante na północy do Green Island na południu. Hiszpańskie kanonierki, bezcenne w walce przy bezwietrznej pogodzie – zwrotne, doskonale znające miejscowe rafy i silne, zmienne prądy – wiosłowały w stronę zakotwiczonych angielskich jednostek, atakując je morderczym ogniem swych armat.

Obłoki dymu odpływały powoli od lądu, przetaczając się po powierzchni morza to w tę, to w tamtą stronę, i co jakiś czas przesłaniały skałę Gibraltaru oraz trzy zbliżające się angielskie okręty. Wiatr uspokoił się w końcu. Ponad skłębionymi tumanami pojawiły się bombramsle i bramsle okrętu „Caesar”, niosącego flagę admirała Saumareza oraz sygnał: „Rzucić kotwicę w celu udzielenia wsparcia”. Angielski flagowiec minął „Audacious” i ustawił się burtą w kierunku „Desaix”, blisko, w zasięgu głosu. Po chwili gęsta chmura zasłoniła kadłub okrętu brytyjskiego admirała. Wytrysnął z niej szeroki strumień ognia i lecąca na wysokości głowy kula skosiła rząd marynarzy na wysokiej rufie francuskiego liniowca. Kadłub „Desaix” zdrzął uderzony wieloma pociskami – przynajmniej połowa salwy dosięgła celu.

„To nie jest miejsce dla jeńca” – pomyślał Jack i spojrzawszy z troską na kapitana Palliere, zszedł niżej, na drugi pokład rufówki. Spotkał tam młodego Rickettsa i Babbingtona. Obaj podchorążowie mieli niepewne miny.

–Zejdźcie natychmiast na dół! – zawołał. – Nie musicie udawać bohaterów. Chyba nie chcecie, żeby posiekały was łańcuchy wystrzelone z dział naszych okrętów! – Kawałki łańcucha przelatowały właśnie z przeraźliwym wyciem. Aubrey zaprowadził chłopców głęboko pod pokład, sam udał się na rufową galeryjkę mesy oficerskiej (pełniącą normalnie funkcję ubikacji dla oficerów). Nie było to najbezpieczniejsze miejsce na świecie, lecz na okręcie wojennym podczas walki nie ma między pokładami zbyt wiele miejsca dla widzów, a Jack bardzo chciał obserwować przebieg bitwy.

„Hannibal” zakotwiczył nieco bardziej z przodu względem „Caesara”, przepłynąwszy wzdłuż szeregu obróconych dziobami na północ francuskich okrętów. Ostrzeliwał „Formidable” i baterię brzegową Santiago. „Formidable” niemal przerwał ogień – na szczęście, gdyż z jakiegoś powodu angielski liniowiec „Pompee” obrócił się z prądem (prawdopodobnie kula zerwała szpring) i był teraz ustawiony dziobem w stronę burtowych dział Francuza. Mógł jedynie ostrzeliwać baterie brzegowe i kanonierki, używając armat na swej prawej burcie. „Spencer” nadal znajdował się daleko, na środku zatoki. Atak prowadziło aż pięć brytyjskich okrętów i przewaga była po ich stronie, pomimo wysiłków hiszpańskiej artylerii. Wiatr rozpędził na moment chmurę dymu i Jack ujrzał, jak „Hannibal” odcina kotwicę i stawia żagle, płynąc w stronę Gibraltaru. Angielski liniowiec rozpędził się, zrobił zwrot i podszedł blisko brzegu, chcąc odciąć „Formidable” od lądu i posłać w kierunku okrętu admirała Linoisa druzgoczącą salwę. „Tak samo jak na Nilu” – pomyślał Jack. W tej chwili „Hannibal” wszedł na mieliznę, bardzo mocno opierając się o dno, i stanął naprzeciwko ciężkich dział baterii Torre del Almirante. Dym znowu przesłonił wszystko. Gdy chmura rozplynęła się na krótko, po zatoce uganiały się tam i z powrotem łodzie z angielskich okrętów, wywieziono już kotwicę unieruchomionej jednostki. „Hannibal” wciąż wściekle ostrzeliwał trzy baterie brzegowe i kanonierki. W tym samym czasie jego działa pościgowe oraz armaty w dziobowej części lewej burty atakowały „Formidable”. Jack tak mocno zacisnął dłonie, iż z dużym wysiłkiem zdołał rozprostować splecione palce. Sytuacja nie była tragiczna, nie była nawet zła. Wiejący z zachodu wiatr zamarł i zerwała się bryza z północnego wschodu, rozdmuchując na boki gęste kłęby prochowego dymu. Flagowiec „Caesar” odciął kotwicę, opłynął dookoła okręty „Venerable” i „Audacious”, by po chwili zaatakować huraganowym ogniem francuski liniowiec „Indomptable”, stojący za rufą „Desaix”. Działa zagrzmiały niesamowicie głośno. Jack nie mógł dokładnie odczytać, jaki sygnał podniesiono na admiralskim okręcie. Był jednak pewien, iż Sir James rozkazywał: „Odciąć kotwicę i wykonać zwrot z wiatrem” oraz „Związać nieprzyjaciela walką z bliższej odległości”. Również na francuskim flagowcu podniesiono sygnały: „Odciąć kotwicę i płynąć na brzeg”. Teraz bowiem, gdy wiatr

pozwoił Anglikom wpłynąć do zatoki, lepiej było narazić na uszkodzenie okręty osadzone na mieliźnie niż ponieść totalną klęskę. Ów sygnał znacznie łatwiej też było wykonać: bryza sprzyjała Francuzom po tym, jak angielskie okręty znieruchomiały pozbawione wiatru. Mieli już przygotowane cumy do holowania, z brzegu wypłynęło im na pomoc kilkanaście łodzi.

Jack usłyszał nad głową rozkazy, potem tupot nóg. Wypełniona dymem zatoka powoli zaczęła przesuwac się za burtą. „Desaix” obrócił się i ruszył w stronę lądu. Jack stracił równowagę i o mało nie upadł, gdy dno okrętu gwałtownie oparło się o skałę naprzeciwko miasta. Pozbawiony fokmasztu „Indomptable”, wpłynął na brzeg Green Island lub raczej stał na mieliźnie bardzo blisko tej wyspy. Ze swego miejsca Aubrey nie widział francuskiego flagowca, z pewnością okręt admirała Linoisa również osiadł na dnie gdzieś przy brzegu.

W tym momencie szczęście nieoczekiwanie odwróciło się od Anglików. Nie zdołali wpłynąć głębiej do zatoki i nie mogli zasypać gradem kul unieruchomionych francuskich okrętów. Nie było nadziei na to, iż uda im się spalić, zniszczyć lub zdobyć i odholować nieprzyjacielskie jednostki. Wiatr ucichł nagle, powodując, iż liniowce „Caesar”, „Audacious” i „Venerable” znieruchomiały; wszystkie ocalałe łodzie brytyjskiej eskadry zajęte były holowaniem zniszczonego „Pompee” w stronę Gibraltaru. Hiszpańskie baterie strzelały od pewnego czasu na chybił trafił, lecz francuskie okręty wysyłały na ląd setki doskonale wyszkolonych artylerzystów. Po kilku minutach ogień armat brzegowych nasilił się znacznie i był bardziej skuteczny. Ucierpiał mocno nawet stojący daleko „Spencer”, który nie wszedł do zatoki. „Venerable” stracił stengę stermasztu, na śródkręciu „Caesara” prawdopodobnie wybuchł pożar. Jack nie mógł na to patrzeć. Wrócił na pokład rufówki „Desaix”. Uczynił to w samą porę, by ujrzeć, jak od strony lądu zrywa się bryza i angielska eskadra, postawiwszy żagle, odplywa prawym halsem w stronę Gibraltaru, zostawiając własnemu losowi pozbawionego masztów, bezradnego „Hannibala”. Angielski okręt stał wciąż na mieliźnie w zasięgu dział baterii brzegowej Torre del Almirante i strzelał jeszcze, lecz to nie mogło już potrwać długo. Wkrótce przewrócił się jego ostatni maszt i na zniszczonym liniowcu opuszczono banderę.

–To był niezwykle pracowity poranek, kapitanie Aubrey

–zawołał Palliere na widok swego gościa.

–To prawda, sir – zgodził się Jack. – Mam nadzieję, że nie zginęło zbyt wielu naszych przyjaciół... – Pokład „Desaix” miejscami wyglądał przerażająco, do szpigatu pod zrujnowaną zejściówką na rufie płynęła wzdłuż burty struga krwi. Wypełnione kiedyś hamakami siatki wisiały w strzępach, za grotmasztem leżały cztery przewrócone działa, siatki dookoła pokładu rufówki uginały się pod ciężarem zerwanych drzewiec i lin. Oparty o skałę kadłub okrętu był wyraźnie pochylony, przy najmniejszej nawet fali roztrzaskałby się na kawałki.

–Mamy dużo ofiar – powiedział Palliere ze smutkiem.

–„Formidable” i „Indomptable” ucierpiały jeszcze bardziej niż my. Zginęli również ich kapitanowie. A to co? Co się dzieje na tym zdobytym okręcie?

Na „Hannibalu” ponownie podniesiono banderę – jego własną, ale odwróconą do góry nogami.

–Wydaje mi się, że nasi, idąc tam, zapomnieli o francuskiej fladze – domyślił się dowódca „Desaix”. Spojrzał na brytyjski okręt, odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy. Załoga przystąpiła bowiem do próby ściągnięcia liniowca z mielizny. Po dłuższej chwili Palliere znów stanął przy potrzaskanym relingu. Ze zdziwieniem patrzył na małą flotyllę łodzi z Gibraltaru i ze słupa „Calpe”: płynęły szybko, wyraźnie w stronę „Hannibala”. – Co pan o tym myśli? O co im chodzi? Chyba nie zamierzają walczyć o odzyskanie tego okrętu? – zapytał Jacka.

Aubrey doskonale wiedział, co się stało. W Royal Navy odwrócona do góry nogami bandera oznaczała wzywanie pomocy w niebezpieczeństwie. Na „Calpe” oraz w Gibraltarze pomyślano zapewne, że „Hannibal” dawał w ten sposób znać, iż odzyskał pływalność, i błagał, by go odholowano. W jego kierunku ruszyły wszystkie łodzie, jakie udało się znaleźć, obsadzone wszystkimi będącymi pod ręką ludźmi: marynarzami bez przydziału, a przede wszystkim wykwalifikowanymi rzemieślnikami i szkutnikami ze stoczni.

–Tak... – odpowiedział ze szczerością w głosie. – Prawdopodobnie o to właśnie im chodzi. Na pewno chcą go odbić. Myślę jednak, że zawrócą, jeśli wystrzeli pan z działa przed dziób najbliższej z łodzi. Pewnie wydaje im się, że wszystko się skończyło.

–Możliwe. Chyba ma pan rację – przyznał francuski kapitan. Lufa osiemnastofuntowego działa obróciła się w stronę nadpływających łódek. – Chociaż... – Palliere położył dłoń na panewce armaty. – Może lepiej będzie nie strzelać? – Odwołał rozkaz i łodzie jedna po drugiej podpływały do „Hannibala”, czekający na unieruchomionym okręcie Francuzi po cichu sprowadzali ich załogi pod pokład. – Nie ma się czym przejmować... – Dowódca „Desaix” poklepał Jacka po plecach. – Admirał daje nam sygnały. Może popłynie pan razem ze mną na brzeg? Spróbujemy znaleźć porządne kwatery dla pana i pańskich ludzi. Zostaniecie w mieście do czasu, gdy uda nam się zejść z mielizny i zakończyć naprawy.

Oficerowie „Sophie” zostali ulokowani w Algeciras, w położonym wysoko za miastem domu z olbrzymim tarasem. Roztaczał się stąd piękny widok na zatokę, z Gibraltarem po lewej i Cabrera Point po prawej stronie. W oddali, na wprost, widać było szare brzegi Afryki. Pierwszą osobą, jaką Jack tam spotkał, był kapitan Ferris, dowódca „Hannibala”. Stał zgarbiony przy balustradzie, z założonymi na plecach

bętkoma, i patrzył na swój pozbawiony masztów okręt. Jack służył razem z Ferrisem na dwóch okrętach, a nie dalej jak w zeszłym roku jedli razem obiad. Starszy kapitan zmienił się tak bardzo, iż w pierwszej chwili trudno było go poznać. Postarzał się mocno, dziwnie się skulił, przygasł. Gdy rozmawiali, analizując przebieg bitwy, manewry, niepowodzenia i nieporozumienia, mówił zaskakująco powoli, z wyraźnym wahaniem, zupełnie tak jakby to, co się stało, nie wydarzyło się naprawdę. Można było pomyśleć, iż nie brał w tym udziału.

–Więc był pan na „Desaix”, Aubrey? – zagadnął po chwili milczenia. – Czy mocno im się dostało?

–Z tego, co widziałem, na pewno nie zostali unieruchomieni na stałe. Nie było wielu dziur poniżej linii wodnej, kolumny masztów nie zostały mocno uszkodzone. Jeśli wytrzymało dno i uda im się odpompować zęzy, wkrótce doprowadzą okręt do porządku. To wyjątkowo dobra załoga, zarówno marynarze, jak i oficerowie.

–Jakie pańskim zdaniem ponieśli straty?

–Zginęło wielu ludzi, to fakt. Jest ze mną mój lekarz, który z pewnością wie na ten temat więcej niż ja. Pozwoli pan, że przedstawię: doktor Maturin. Kapitan Ferris. Na Boga! Stephen! – zawołał Aubrey, cofając się o krok. Był dość przyzwyczajony do makabrycznych widoków, lecz jego przyjaciel wyglądał tak, jakby przed chwilą wyszedł z pracującej pełną parą rzeźni: rękawy i przód płaszczka doktora aż do samej szyi przemoczone były krzepnącą krwią, podobnie było ze spodniami i pończochami, koszula zmieniła kolor z białego na czerwobrunatny.

–Przepraszam... – usprawiedliwiał się Maturin. – Wiem, że powinienem się przebrać, lecz kuferek z moimi rzeczami został rozbity, zupełnie zniszczony, przepadł...

–Dam panu koszulę i kilka par spodni – zaproponował kapitan Ferris. – Jesteśmy chyba podobnej postury.

Stephen uklonił się z wdzięcznością.

–Pomagał pan francuskim lekarzom? – domyślił się Jack.

–Trochę.

–Dużo mieliście roboty? – zapytał Ferris.

–Około stu zabitych i stu rannych – odparł Maturin.

–My mieliśmy siedemdziesięciu pięciu poległych i pięćdziesięciu dwóch rannych... – Starszy kapitan posmutniał.

–Był pan na „Hannibalu”, sir? – zaciekał się doktor.

–Byłem. Poddąłem się, opuściłem flagę – odpowiedział Ferris niepewnie, spoglądając na swych rozmówców, w jego szeroko otwartych oczach pojawiły się łzy.

–Och! Proszę mi powiedzieć, ilu pomocników ma pański chirurg? Czy mają potrzebne instrumenty? – dopytywał się Stephen. – Jak tylko posił się odrobinę, zejść na dół do klasztoru, do pańskich rannych. Zabiorę ze sobą dwa lub trzy komplety narzędzi chirurgicznych...

–Dwóch pomocników, sir – rzekł Ferris. – Jeśli chodzi o instrumenty, nie potrafię udzielić panu odpowiedzi. Z góry dziękuję za pomoc. Postępuje pan naprawdę po chrześcijańsku... Zaraz przyniosę koszulę i spodnie. Na pewno wstrętnie się pan czuje w tym zakrwawionym ubraniu. – Po chwili Ferris wrócił z zawiniętym w szlafrok naręczem odzieży i zaproponował, by doktor pracował właśnie w owym szlafroku: widział lekarza operującego w podobnym stroju po Pierwszym Lipca, kiedy to również zabrakło czystej bielizny.

Służące przyniosły skromny, złożony z przypadkowych produktów posiłek i przyglądały się angielskim jeńcom z pełnym ciekawości politowaniem. Przy drzwiach domu stali wartownicy w czerwono-żółtych mundurach.

–Doktorze Maturin, czy po powrocie od moich rannych, oczywiście jeśli będzie pan miał choć trochę siły, mógłby pan zaaplikować mi coś na uspokojenie? – zagadnął ostrożnie dowódca „Hannibala” przy jedzeniu. – Może mandragorę albo jakiś wyciąg z maku? Po przeżyciach dzisiejszego poranka potrzebuję czegoś, co pomogłoby mi odzyskać równowagę psychiczną. Na domiar złego, za kilka dni zostanie pewnie przeprowadzona wymiana jeńców, a to oznacza, iż już wkrótce stanę przed sądem wojennym.

–Och, jeśli o to chodzi – zawołał Jack, podnosząc głowę – może pan spać spokojnie. Trudno wyobrazić sobie bardziej oczywisty przykład...

–Niech pan nie będzie tego taki pewny, młody człowieku – przerwał mu Ferris. – Sąd wojenny to zawsze bardzo niebezpieczna rzecz. Niezależnie od tego, czy miało się rację czy też nie. Proszę pomyśleć o sprawie tego biedaka Vincenta, z okrętu „Weymouth”. Pamięta też pan, że Byng został rozstrzelany nie tylko za błąd w ocenie wydarzeń, lecz także dlatego, iż naraził się gawiedzi. Łatwo wyobrazić sobie nastroje panujące teraz w Gibraltarze i w kraju po tym, jak sześć naszych liniowców nie poradziło sobie z trzema francuskimi okrętami. Bitwa zakończyła się przecież klęską i utratą jednej jednostki. Przegraliśmy, a na dodatek straciliśmy „Hannibala”...

Obawy dręczące kapitana Ferrisa wydały się Jackowi czymś w rodzaju kaleczącej

duszę rany, wywołanej wejściem na mieliznę pod ogniem armat trzech baterii brzegowych, okrętu liniowego i tuzina ciężkich kanonierek. Dowódca do ostatniej chwili próbował jednak bronić swego pozbawionego masztów i pozostawionego bez nadziei na pomoc okrętu. Jak się okazało, Stephen również zastanawiał się nad tą sprawą.

–Dlaczego ten człowiek wspominał o sądzie wojennym? – zapytał, gdy zostali sami.
– Czy rzeczywiście grozi mu proces? Może ten biedak niepotrzebnie się zadręcza?

–Och... Na pewno stanie przed sądem. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości – wyjaśnił Jack.

–Przecież on w niczym nie zawinił. Nikt nie może oskarżyć go o tchórzostwo lub brak waleczności. Pomimo beznadziejnej sytuacji obrońcy „Hannibala” bili się bardziej niż dzielnie.

–Stracił swój okręt. Każdy kapitan, któremu przydarzy się takie nieszczęście, musi stanąć przed sądem wojennym.

–Rozumiem. W tym przypadku rozprawa będzie chyba tylko czystą formalnością, prawda?

–W tym przypadku tak. Jego niepokój jest nieuzasadniony. Dręczą go jakieś podświadome wyrzuty sumienia i tyle...

Następnego dnia, gdy Jack szedł z panem Dalzielem na spotkanie z przetrzymywaną w nie używanym kościele załogą „Sophie”, obawy kapitana Ferrisa wydawały się znacznie bardziej uzasadnione. Coraz mniej było w nich chorej fantazji. Do Algeciras przybyło z białą flagą brytyjskie poselstwo i Aubrey mógł poinformować swych ludzi, iż wraz z załogą „Hannibala” zostaną wymienieni za francuskich jeńców. Już dziś przed obiadem powinni znaleźć się w Gibraltarze. Nareszcie zjedzą coś normalnego: soloną koninę z grochem. Wszystkim na pewno obrzydły przyrządzone na obcą modłę posiłki. Kapitan był uśmiechnięty i machał wesoło kapeluszem, odpowiadając na radosne wiwaty ucieszonych dobrymi nowinami marynarzy. Gdzieś w głębi umysłu pojawił się jednak cień chłodnego niepokoju.

Ów mroczny cień gęstniał coraz bardziej, gdy łódź z „Caesara” wiozła Jacka na drugą stronę zatoki. W przedpokoju biura admirała ściskający serce niepokój był już wyraźny. Aubrey na przemian to wstawał, to siadał, chodził tam i z powrotem, co jakiś czas rozmawiając z innymi oficerami, gdyż sekretarz Sir Jamesa wzywał najpierw interesantów przychodzących w najpilniejszych sprawach. Zaskakująco wielu ludzi gratulowało Jackowi zdobycia „Cacafuego” – to wszystko zdarzyło się już tak dawno, że teraz wydawało się częścią jakiegoś innego, nierealnego życia. Pełen powściągliwości sposób, w jaki składano owe gratulacje – oczywiście wystarczająco

szczerze i uprzejmie – stanowił dowód panującego w Gibraltarze nastroju. Wszyscy byli pogrążeni w depresji, przygnębieni, z przesadnym rygorem wypełniali swe obowiązki. Beznamiętnie dyskutowano o tym, jak należało postąpić i co można było zrobić.

Gdy dowódca „Sophie” został przyjęty, zauważył, że Sir James zmienił się i postarzał, tak samo jak kapitan Ferris. Oczy admirała patrzyły nieruchomo spod opuchniętych powiek, jego twarz nawet na moment nie zmieniła wyrazu, gdy Aubrey składał raport. Admirał nie przerywał, nie zadał ani jednego pytania, nie pochwalił, nie zganił i Jack poczuł się bardzo nieswojo. Gdyby nie schowana w dłoni – jak u odpowiadającego na lekcji ucznia – karteczka z nazwiskami, na pewno zaplątałby się w bezsensownych wyjaśnieniach, za wszelką cenę usiłując znaleźć coś na swoje usprawiedliwienie. Admirał był wyraźnie bardzo zmęczony, lecz jego bystry umysł bez trudu wychwytywał najistotniejsze fakty – Sir James zapisywał je szybko na kawałku papieru.

–Jak pan ocenia stan, w jakim znajdują się francuskie okręty, kapitanie Aubrey? – zapytał.

–„Desaix” odzyskał pływalność, sir, i jest w tej chwili bliski pełnej sprawności. Podobnie wygląda sprawa z „Indomptable”. Nie wiem nic o „Formidable” i „Hannibalu”, lecz z tego, co słyszałem, żadna z tych jednostek nie ma uszkodzonego poszycia. W Algeciras mówi się, że admirał Linois wysłał wczoraj do Kadyksu trzech oficerów, a dzisiaj skierował tam kilku kolejnych posłańców, prosząc Hiszpanów i Francuzów o pomoc.

Admirał Saumarez potarł dłonią czoło. Był szczerze przekonany, iż francuskie okręty nie spłyną już na wodę i taką informację zawarł w swoim raporcie.

–Dziękuję panu, kapitanie – powiedział po chwili. – Widzę, że nosi pan szpadę... – zauważył, gdy Jack wstał z krzesła.

–Tak, sir. Dowódca francuskiego okrętu pozwolił mi ją zatrzymać.

–To bardzo uprzejmy gest. Moim zdaniem zasłużył pan sobie na taką uprzejmość i sąd wojenny na pewno zadecyduje podobnie. Nie wydaje mi się jednak, by do czasu rozprawy paradowanie ze szpadą u boku było w pańskim przypadku szczególnie eleganckie. Oczywiście załatwimy tę sprawę tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Biedny Ferris musi wrócić do kraju, lecz panem możemy zająć się tu na miejscu. Jest pan na razie zwolniony na słowo honoru, jak mi się zdaje?

–Tak, sir. Czekam na wymianę.

–Szkoda. Bardzo byłby mi pan potrzebny. Eskadra jest w opłakanym stanie... No cóż... Żegnaj pana. – Admirał leciutko się uśmiechnął, jego twarz odrobinę

pojaśniała. – Oficjalnie powinien pan być aresztowany, proszę o tym pamiętać...

Jack już wcześniej pamiętał o tym – tak mu się przynajmniej zdawało. Nie rozumiał, dlaczego te słowa głęboko i boleśnie go zraniły. Szedł przez zatłoczone, ruchliwe ulice Gibraltaru, nieszczęśliwy i bliski rozpacz. Gdy dotarł do swej kwatery, zdjął szpadę, zapakował ją dosyć niedbale i odesłał z krótkim listem do sekretarza admirała. Po chwili wyszedł na spacer. Czuł się teraz dziwnie nagi, nie chciał, by ktokolwiek go widział.

Oficerowie z „Hannibala” i „Sophie” zostali zwolnieni z niewoli na słowo honoru. Oznaczało to, iż do czasu wymiany na równych im stopniem Francuzów nie mogą podejmować działań na niekorzyść Francji lub Hiszpanii. Byli więc nadal jeńcami, chociaż przebywali w nieco bardziej przyjaznym otoczeniu.

Dni, które nadeszły, naznaczone były smutkiem, przygnębieniem i samotnością. Tak. Jack czuł się bardzo samotny, choć spacerował niekiedy z kapitanem Ferrisem, a czasem w towarzystwie swych podchorążych lub pana Dalziela i jego psa. Trudno było pogodzić się z faktem, iż są odcięci od portu i eskadry. Przy naprawach i wyposażaniu okrętów zatrudnieni byli teraz wszyscy zdolni do pracy ludzie, a także wielu takich, którzy powinni jeszcze leżeć w szpitalnych łóżkach. Widziane z góry nabrzeża remontowane jednostki przywodziły na myśl wnętrza ula lub rozgrzebane mrowisko. Jack tęsknym wzrokiem obserwował często port, siedząc na rzadkiej trawie lub na gołej skale między mauretańskim murem i wieżą, wysoko ponad Monkey's Cove – samotny, pogrążony w rozmyślaniach, pełen wątpliwości i niepokoju. Przejrzał ostatnie numery urzędowego dziennika, ale nie znalazł nawet słowa na temat zwycięstwa lub klęski „Sophie”. Jedna czy dwie gazety zamieściły pełne nieścisko notatki o zdobyciu „Cacafuego”, w „Gentleman's Magazine” poświęcono tej sprawie akapit, relacjonując ją tak, jakby chodziło o atak przez zaskoczenie. To wszystko. Awansowano prawie tuzin oficerów, na liście nie było jednak nazwisk Jacka ani Pullingsa. Nietrudno było odgadnąć, iż wieść o utracie „Sophie” dotarła do Londynu mniej więcej w tym samym czasie co wiadomość o zwycięstwie nad „Cacafuego”. Może nawet wcześniej? Informacja o zdobyciu fregaty mogła znajdować się w worku, który Aubrey własnoręcznie zatopił na głębokości dziewięćdziesięciu sążni koło przylądka Roig. Jeśli tak się stało, tylko lord Keith, znajdujący się w tej chwili daleko wśród Turków, mógł oficjalnie powiadomić o wszystkim dowództwo. Nie było więc najmniejszej nadziei na awans. Najpierw musiała odbyć się rozprawa przed sądem wojennym – nigdy nie awansowano przecież jeńców. Co będzie, jeśli sąd wyda niekorzystny wyrok? Dowódca „Sophie” nie mógł o sobie powiedzieć, iż ma zupełnie czyste sumienie. Jeśli kapitan Harte do tego dążył, bez trudu wprowadzi w życie swe zamiary; Jack Aubrey dał się podejść jak żółtodziób i udowodnił, że jest skończonym głupcem. Czy taka podłość była w ogóle możliwa? Najlepiej byłoby porozmawiać o tym ze Stephenem, przydałaby się jego tęga głowa. Po raz pierwszy w życiu Jack zwątpił w bystrość swego umysłu, we wrodzoną inteligencję i zdolność przewidywania zdarzeń. Admirał mu nie

pogratulował: czy miało to oznaczać, iż oficjalne stanowisko w tej sprawie...? Stephen nie mógł służyć przyjacielowi radą, całe dni spędzał w miejscowym szpitalu. Żadne honorowe zobowiązania wobec Francuzów nie mogły mu w tym przeszkodzić: eskadra miała ponad dwustu rannych.

–Niech pan dużo spaceruje – polecił Jackowi. – Proszę jak najwięcej chodzić pod górę. Powinien pan codziennie kilka razy wspiąć się na szczyt skały. Oczywiście z pustym żołądkiem. Wygląda pan fatalnie. Obrósł pan tłuszczem. Tak na oko waży pan dwieście dwadzieścia, może nawet dwieście czterdzieści funtów!

„To prawda... Na dodatek pocę się straszliwie” – pomyślał Aubrey. Usiadł w cieniu skały, poluzował pas i wytarł czoło chusteczką. Próbując oderwać się od natrętnych myśli, zanucił balladę o bitwie na Nilu. Słowa opowiadały o zwycięskim „Leanderze”, który w piosence miał pięćdziesiąt cztery działa, podczas gdy w rzeczywistości było ich pięćdziesiąt dwa. Jack kierował ogniem ośmiu z nich. Ta niezgodność była irytująca, zaśpiewał więc coś innego.

Skacząca w pobliżu małpa rzuciła w niego bez powodu grudką ekskrementów. Gdy podniósł się z ziemi, protestując, pogroziła mu pomarszczoną pięścią i wybełkotała coś wściekle w małpim języku. Jack usiadł z powrotem – był bardzo zrezygowany.

–Sir, sir! – wołał Babbington. Czerwony z wysiłku wspinał się szybko po zboczu. – Proszę spojrzeć na bryg! Sir! Niech pan popatrzy na morze!

Bryg nazywał się „Pasley”. Rozpoznali go od razu. Wynajęty bryg „Pasley”, bardzo szybki. Pomimo silnego, północno-zachodniego wiatru płynął pod wszystkimi żaglami, ryzykując uszkodzenie takielunku.

–Proszę popatrzeć, sir. – Babbington usiadł obok na trawie, w sposób daleki od reguł dyscypliny, i podał Jackowi małą mosiężną lunetę. Szklą powiększały słabo, lecz sygnał powiewający na maszcie brygu był wystarczająco wyraźny: „Nieprzyjaciel w zasięgu wzroku”. – Są tam! – krzyknął podchorąży, wskazując lśniące w oddali bielą żagle. Nad ciemnym zarysem lądu u wejścia do cieśniny pojawiły się marsle kilku okrętów.

–Chodźmy! – zawołał Jack, ruszył w górę, sapiąc i stękając z wysiłku. Pobiegli w stronę wieży, najwyższego punktu na gibraltarskiej skale. Na szczycie budowli pracowała grupka murarzy, był tam też oficer garnizonowej artylerii z kilkoma żołnierzami. Artylerzysta miał znakomity, duży teleskop i uprzejmie użyczył go Jackowi. Aubrey oparł lunetę na ramieniu Babbingtona, starannie ustawił ostrość i popatrzył w dal. – Pierwszy okręt to „Superb” – powiedział. – Drugi także jest nasz: „Thames”. Dalej widzę trzy hiszpańskie trójpokładowce. Jeden z nich to „Real Carlos”, jestem prawie pewny. Tak czy inaczej, to okręt wiceadmirała. Pozostałe dwa mają po siedemdziesiąt cztery działa. Nie... Jeden ma siedemdziesiąt cztery, a drugi

chyba osiemdziesiąt dział.

– „Argonauta” – odezwał się jeden z murarzy.

– Jest jeszcze jeden trójpokładowiec. I trzy fregaty. Dwie z nich francuskie.

Siedzieli w milczeniu, obserwując przesuwające się bezgłośnie żaglowce. Brytyjskie jednostki – „Superb” i „Thames” – płynęły o milę przed połączoną francusko-hiszpańską flotyllą. Jej okręty wchodziły właśnie do cieśniny. Wspaniałe hiszpańskie liniowce pierwszej klasy sunęły majestatycznie, ich olbrzymie żagle lśniły w promieniach słońca. Murarze poszli na obiad, wiatr zmienił kierunek i wiał teraz z zachodu. Cień wieży przesunął się aż o czterdzieści pięć stopni.

Po okrążeniu Cabrita Point „Superb” i „Thames” pożeglowały do Gibraltaru, a Hiszpanie wyostrzyli i skierowali się w stronę Algeciras. Jack miał rację. Flagową jednostką rzeczywiście był „Real Carlos”, uzbrojony w sto dwanaście dział, jeden z najpotężniejszych pływających po morzach okrętów. Drugi z trójpokładowców dysponował taką samą siłą ognia, trzeci miał dziewięćdziesiąt sześć armat. Eskadra była imponująca: czterysta siedemdziesiąt cztery ciężkie działa, nie licząc ponad stu luf na fregatach. Wszystkie okręty miały zadziwiająco sprawne załogi. Cała flotylla zakotwiczyła we wzorowym porządku, tak jakby jej jednostki miały być za chwilę wizytowane przez samego króla.

– Dzień dobry, sir – powiedział Mowett. – Pomyślałem, że znajdę pana tutaj i przyniosłem kawałek ciasta.

– Serdeczne dzięki – ucieszył się Jack. – Jestem potwornie głodny. – Ukroił spory kawałek i zjadł go ze smakiem. „Jak bardzo zmieniła się Royal Navy...” – pomyślał, znów sięgając po ciasto. Gdy sam był podchorążym, nigdy nie odważyłby się odezwać do kapitana nie pytany ani tym bardziej przynieść mu placek. Nigdy nie przyszłoby mu to do głowy, bo bałby się o swoje życie.

– Pozwoli pan, że usiądę obok? – Mowett zadał to pytanie siadając. – Zdaje mi się, że przyплыnęli tutaj po Francuzów. Czy pańskim zdaniem powinniśmy zaatakować?

– „Pompee” przez najbliższe trzy tygodnie nie będzie mogła wyjść w morze – odpowiedział Jack z powątpiewaniem. – „Caesar” bardzo mocno oberwał i trzeba mu wymienić maszty. Nawet gdyby udało się go przygotować na czas, wystawimy tylko pięć liniowców i trzysta siedemdziesiąt sześć dział. Połączone nieprzyjacielskie eskadry to dziesięć okrętów liniowych... dziewięć, jeśli nie liczyć „Hannibala”... co daje ponad siedemset armat. Ponadto brakuje nam ludzi.

– Pan na pewno zdecydowałby się na atak, prawda? – zapytał Babbington i obaj młodzi ludzie uśmiechnęli się serdecznie.

Jack z wahaniem pokiwał głową, a Mowett zadeklamował:

–„Jak przez harpunników łodzie otoczony, śpiący wieloryb wśród bezmiaru morza...” Naprawdę wielkie są te hiszpańskie okręty. Załoga „Caesara” poprosiła, by pozwolono im pracować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kapitan Brenton zgodził się na pracę przez cały dzień, a w nocy wachty będą pracowały na zmianę. Na kei przygotowano już stopy jałowcowego drewna. W nocy zostaną zapalone duże ogniska, które oświetlą pokład i nabrzeże.

Przy blasku ognisk Aubrey spotkał kapitana Keatsa. Dowódca okrętu „Superb” szedł w towarzystwie dwóch swoich poruczników i cywila. Po powitaniach, gdy wszyscy zostali sobie przedstawieni i minęło pierwsze zaskoczenie, zaproponował kolację na pokładzie swojego okrętu: nic specjalnego, skromny posiłek. Smakołykiem miała być tylko prawdziwa kapusta z Hampshire, przywieziona przez okręt „Astraea” prosto z ogrodu kapitana.

–To bardzo miło z pańskiej strony, sir, dziękuję za zaproszenie, lecz obawiam się, że nie będę mógł z niego skorzystać – powiedział Jack ze smutkiem. – Zły los sprawił, że utraciłem „Sophie”, i w najbliższym czasie, wraz z innymi starszymi kapitanami, weźmie pan udział w poświęconym mojej sprawie posiedzeniu sądu wojennego.

–Doprawdy? – rzekł Keats zmieszany.

–Kapitan Aubrey ma rację... – pouczającym tonem wyjaśnił cywil. W tej samej chwili zdyszany posłaniec wezwał kapitana Keatsa pilnie do admirała.

–Kim jest ten podejrzany typ w czarnym płaszczu? – zapytał Jack, gdy inny jego przyjaciel, Heneage Dundas z brygu „Calpe”, pojawił się na prowadzących do portu schodach.

–Coke? To nowy sędzia adwokat – odparł Dundas i spojrzał na Jacka nieufnie, jakby ze współczuciem. A może tak się tylko zdawało? W migotliwym świetle płomieni w każdym spojrzeniu można było dopatrzeć się czegoś takiego. Ni stąd, ni zowąd w głowie dowódcy „Sophie” zakołatały słowa dziesiątego paragrafu *Articles of War*. „Jeśli ktokolwiek zdradziecko lub tchórzliwie podda się bądź poszuka schronienia i zostanie to potwierdzone wyrokiem sądu wojennego, podlegać będzie karze śmierci...”

–Chodź ze mną do „Blue Posts”, Heneage – zaproponował Jack, dotykając dłonią czoła. – Wypijemy butelkę porto.

–Jack... – uśmiechnął się Dundas przepraszająco. – Bardzo chciałbym ci towarzyszyć. Naprawdę. Obiecałem jednak pomóc Brentonowi. Właśnie do niego idę. Czekają też na mnie inni członkowie mojej załogi... – Heneage uśmiechnął się raz

jeszcze i poszedł w stronę oświetlonego ogniskami nabrzeża, a Jack zawrócił do miasta. Szedł mrocznymi, stromymi uliczkami, pełnymi dziwnych zapachów. Ze spuszczoną głową mijał domy publiczne i cuchnące portowe knajpy.

Wcześniej rano wspiął się na skałę i zajął miejsce przy murze Karola V. Oparł lunetę na kamieniu i obserwował port. Czuł się tak, jakby został przyłapany na podglądaniu lub podsłuchiowaniu. Na dole ciągle coś się działo: „Caesar” (nie będący już okrętem flagowym) został przeholowany pod pływający żuraw i miał otrzymać nową kolumnę grotmasztu – więcej niż sto stóp długą, w najwęższym miejscu mierzącą ponad jard. Wszystko poszło sprawnie i przed południem osadzono platformę marsa. Wkrótce trudno było dostrzec ów nowy maszt – nie było też widać ani skrawka pokładu – tylu ludzi pracowało przy takielunku.

Aubrey przyszedł na to miejsce także w następnym dniu, pełen melancholii, świadomy gorączkowej krzątaniny na dole i dręczony poczuciem winy z powodu przymusowej beczynności. Widział, jak do cieśniny wpływa liniowiec „San Antonio”, uzbrojony w siedemdziesiąt cztery działa – francuski okręt przybył spóźniony z Kadyksu i zakotwiczył w Algeciras, pomiędzy pozostałymi jednostkami połączonych eskadr.

Minęła doba i po drugiej stronie zatoki można było zauważyć wyraźne ożywienie. Pomiędzy dwunastoma okrętami nieprzyjacielskiej flotylli w pośpiechu przemykały łodzie, wymieniano żagle, ładowano zapasy. Na masztach flagowców co chwila pojawiały się kolorowe sygnały. Podobna, może nawet bardziej wzmożona aktywność trwała też w Gibraltarze. Nie było nadziei na to, by w najbliższym czasie udało się wyremontować „Pompee”. Prawie gotowy do wyjścia w morze był już „Audacious”, w najwyższej gotowości znajdowały się „Venerable”, „Spencer” i oczywiście „Superb”. Na pokładzie „Caesara” rozpoczął się ostatni etap prac. Istniało znaczne prawdopodobieństwo, iż zostaną one ukończone w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

W nocy powiały ze wschodu pierwsze podmuchy lewantera – na taki właśnie wiatr czekali Hiszpanie. Bez trudu powinni teraz – po opłynięciu ostrym kursem Cabrita Point – wyjść z cieśniny i dotrzeć do Kadyksu. Około południa na pierwszym z ich trójpokładowców ukazał się fokmarsel, olbrzymi okręt majestatycznie ruszył z miejsca, w ślad za nim zaczęły opuszczać redę następne żaglowce. W dziesięciominutowych odstępach kolejno podnosiły kotwice i kierowały się na miejsce zbiórki. „Caesar” wciąż stał zacumowany przy nabrzeżu, pobierając proch i kule. Oficerowie, marynarze, żołnierze garnizonu i cywile uwijali się jak w ukropie, pracując w milczeniu, z pełną poświęcenia gorliwością.

Wkrótce w drogę wyruszyły wszystkie jednostki połączonej nieprzyjacielskiej flotylli. Towarzyszył im nawet niedawno zdobyty i prowizorycznie otaklowany „Hannibal”. Holowany przez francuską fregatę „Indienne”, włókł się w stronę Cabrita Point. Na

pokładzie „Caesara” zagrała piskliwie fujarka i odezwały się skrzypce. Załoga obsadziła kabestan i rozpoczęła odciąganie okrętu od nabrzeża. Brytyjski liniowiec był gotowy do walki, dumny i groźny. Stojący na nabrzeżu ludzie krzyknęli radośnie, wiwatowali również artylerzyści z baterii brzegowych oraz tłumnie zgromadzeni na murach i zboczu góry widzowie. Gdy ucichły okrzyki, garnizonowa orkiestra zagrała ze wszystkich sił *Come cheer up my lads, 'tis to glory we steer. Żołnierze piechoty morskiej z pokładu „Caesara” odpowiedzieli, śpiewając *Britons strike home*. W tej kakofonii wciąż słychać było wzruszające trele fujarki.**

*** *Come cheer up my lads, 'tis to glory we steer* (ang.) – radujcie się moi chłopcy, płyniemy ku chwale.**

Za rufą „Audacious”, na maszcie „Caesara”, znów pojawiła się admirałska flaga Sir Jamesa. Tuż po niej podniesiono sygnał: „Wybierać kotwice i przygotować się do bitwy”, pozostałe okręty wykonały ów rozkaz z niewiarygodną wręcz sprawnością. Jack nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego: wszystkie czekały przygotowane, z kotwicami w pionie i w zaskakująco krótkim czasie ruszyły z miejsca. Na masztach i rejach nieomal w jednej chwili pokazały się białe piramidy żagli. Cała eskadra – pięć liniowców, dwie fregaty, slup i bryg – błyskawicznie wyszła z osłoniętego przez gigantyczną skałę portu. Płynące lewym halsiem jednostki sprawnie ustawiały się w szyku bojowym.

Jack z trudem utorował sobie drogę przez zgromadzony na główce falochronu tłum i poszedł w stronę szpitala. Zamierzał odszukać Stephena, by wraz z nim wspiąć się na górę. Spotkał go już w połowie drogi – doktor w pośpiechu biegł przez wyludnione ulice.

–Czy „Caesar” odpłynął już od nabrzeża? – zawołał z daleka. – Czy bitwa już się rozpoczęła? – pytał. Wysłuchawszy relacji Jacka, powiedział: – Tak żałuję, że nie mogłem tego widzieć. Wszystko przez tego przekłętego durnia z Oddziału B i jego idiotyczne pomysły. Kto to widział: podrzynać komuś gardło w taki dzień!

–Nie musimy się spieszyć. Minie wiele godzin, zanim wystrzeli pierwsze działo – wyjaśnił Jack. – Ma pan rzeczywiście czego żałować. Było na co patrzeć, gdy „Caesar” wychodził w morze. Rzadko można oglądać coś tak wspaniałego. Może wybierze się pan ze mną na wzgórze? Będzie stamtąd doskonale widać obie flotylle. Wpadnę na moment do siebie i wezmę lunety. No i płaszcz. Noce są teraz zimne. Idzie pan?

–Bardzo chętnie – zgodził się Stephen. – Muszę tylko zostawić wiadomość. Zabierzemy też trochę szynki. W ten sposób uda się może uniknąć tych pańskich krzywych spojrzeń i wymuszonych odpowiedzi...

–Są tam! – zawołał Jack. Po raz kolejny przystanął, by złapać oddech. – Nadal płyną

lewym halsem.

–Widzę ich bardzo dobrze – rzekł Stephen obojętnie.

Wyprzedził swego towarzysza już o sto stóp i wspinał się szybko. – Dlaczego pan ciągle się zatrzymuje? Szkoda czasu!

–O Boże... – westchnął Jack, siadając ciężko na swym stałym miejscu pod skalnym filarem. – Jak pan pędzi... Tak. Dobrze ich stąd widać.

–Cudowny widok, to prawda, ale dlaczego płyną w kierunku Afryki? Dlaczego postawili tylko główne żagle i marsle przy tak słabym wietrze? Grotmarsel jednego z tych okrętów pracuje przecież wstecz. Co to ma znaczyć?

–Ten okręt to „Superb”, czyli wspaniały, świetny. Znakomicie żegluje i nie chce wyprzedzić admirała. To najszybsza jednostka we flocie, stąd ta nazwa. Nie słyszał pan o tym?

–Słyszałem.

–Ktoś mądrze to wymyślił, dowcipnie...

–Czy nasza eskadra nie powinna postawić wszystkich żagli i ruszyć z wiatrem?

–Och, na razie nie może być mowy o ataku. Prawdopodobnie nie dojdzie do walki przed zmierzchem. Atak na ich szyk byłby czystym szaleństwem. Admirał czeka, aż nieprzyjacielskie okręty wyjdą z zatoki i wejdą w cieśninę. Będą miały wówczas ograniczoną możliwość manewru, co da naszym pewną przewagę. Wtedy powinni uderzyć. Wydaje mi się, że spróbują odciąć ostatnie jednostki. Oczywiście pod warunkiem, że ten wiatr się utrzyma, nic nie wskazuje na to, by miało być inaczej. Moim zdaniem lewanter powieje przez dobre trzy dni. Widzi pan? „Hannibal” nie zdoła opłynąć przylądka. Nie może żeglować tak ostrym kursem. Idzie prosto na brzeg. Francuska fregata słabo sobie radzi. Teraz usiłuje odciągnąć dziób. Udało się. Odpadają. Postaw kliwer, człowieku... O, tak. Zawrócili.

Jack przestał mówić i przez długą chwilę obaj siedzieli w milczeniu. Dookoła słychać było rozmowy innych zgromadzonych na zboczach ludzi. W małych grupkach dyskutowano o wzmagającym się wietrze, o najlepszej strategii i o wariantach rozwoju wydarzeń. Analizowano stosunek sił, wagę wyrzucanego przez działa poszczególnych okrętów metalu, artyleryjskie umiejętności Francuzów i prądy morskie koło przylądka Trafalgar. Odpowiednio operując żaglami, okręty połączonych nieprzyjacielskich eskadr uformowały swój szyk bojowy. Tworzyło go dwanaście jednostek: dziewięć okrętów liniowych i trzy fregaty. Dwa olbrzymie hiszpańskie trójpokładowce zajęły miejsce z tyłu i cała flotylla skierowała się na zachód, z pomyślnym, przybierającym na sile wiatrem.

Odrobinę wcześniej, na sygnał, jednostki brytyjskiej eskadry wykonały zwrot przez rufę i płynęły teraz prawym halsiem, ze zredukowanymi żaglami. Jack popatrzył przez lunetę na admiralski flagowiec.

–Nareszcie – mruknął, gdy na maszcie pojawiły się kolorowe flagi. Niemal natychmiast powierzchnia żagli na wszystkich masztach podwoiła się prawie i po kilku minutach zespół brytyjskich okrętów ścigał Hiszpanów. Poruszające się szybko żaglowce mały z minuty na minutę. – O Boże, tak chciałbym być teraz z nimi – westchnął Jack rozżalony. – Niech pan patrzy! „Superb” wysuwa się na czoło. Widocznie admirał wysłał ich do przodu. – Na masztach najszybszego liniowca w jednej chwili ukazały się boczne bramsle. – Pomknął jak strzała! – z podziwem zawołał Aubrey. Opuścił lunetę i zaczął przecierać szkła. Niepotrzebnie. Niczemu nie były też winne kręcące się w oczach łzy. Po prostu dzień ustępował miejsca nocy.

Daleko w dole zapadł już zmrok. Ciemność spowiła miasto, w oknach i na ulicach zapalały się latarnie. Na zboczach gibraltarskiej skały widać było migotliwe ogniki – ludzie wspinali się wysoko, szukając miejsc, z których mogliby zobaczyć bitwę. Daleko za wodą zalśniły rozciągnięte łagodnym łukiem światła Algeciras.

–Może spróbujemy tej szynki? Co pan na to? – zaproponował Jack ostrożnie.

Stephen pochwalił ów pomysł. Spadła rosa, ochłodziło się, więc należało coś przekąsić. Jedli przez chwilę w ciemnościach, z rozłożonymi na kolanach chusteczkami. Doktor odezwał się niespodziewanie:

–Powiedziano mi, że stanę wkrótce przed sądem w związku z utratą „Sophie”.

Jack nie myślał dzisiaj o sądzie wojennym. Zapomniał o wszystkim, gdy okazało się, iż nieprzyjacielskie okręty wychodzą w morze. Niepokój powrócił jak nagle, niespodziewane, okrutne uderzenie, ściskając gardło. Aubrey zdusił w sobie to uczucie.

–Kto panu o tym powiedział? Pewnie lekarze ze szpitala? – zapytał.

–Tak

–Teoretycznie mają rację. Oficjalnie będzie to proces kapitana, oficerów i załogi. Formalnie w trakcie rozprawy oficerom zadaje się pytanie, czy obwiniają o coś dowódcę okrętu, a kapitana pyta się, czy ma coś do zarzucenia swoim oficerom. W istocie będzie chodziło wyłącznie o mnie i o moje postępowanie. Nie musi pan niczego się obawiać. Zapewniam pana, daję panu słowo honoru, że nic panu nie grozi.

–Gdyby mnie o coś oskarżono, przyznałbym się do winy – rzekł Stephen. – Dodałbym też, iż podczas bitwy siedziałem w prochowni z otwartym ogniem, marząc

o śmierci króla. Opowiedziałbym, jak marnowałem lekarstwa, paliłem na okręcie tytoń i sprzedawałem prowiant na czarnym rynku. Przecież to absurd. – Doktor roześmiał się głośno. – Dziwi mnie, że tak rozsądny człowiek jak pan traktuje poważnie coś podobnego.

–Zupełnie mnie to nie obchodzi – zaperzył się Aubrey. „Nieładnie tak kłamać” – pomyślał Stephen. Nic jednak nie powiedział. Zapadło milczenie. Jack odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

–Zauważyłem, iż nie ceni pan zbyt wysoko admirałów i starszych kapitanów. Pańskim zdaniem ci ludzie z reguły nie są wiele warci. Pamiętam, że kilka razy pozwolił sobie pan na uszczypliwe uwagi na temat wysokich rangą oficerów.

–Rzeczywiście. W miarę upływu lat dzieje się z nimi coś dziwnego. Z medycznego punktu widzenia to rodzaj atrofii połączonej z nieodwracalnymi zmianami w psychice i charakterze. Według mnie wiąże się to przede wszystkim z...

–No cóż... – Jack położył dłoń na ledwie widocznym w mdłym świetle gwiazd ramieniu doktora. – Co by pan powiedział, gdyby okazało się, iż pańskie życie, kariera i dobre imię znajdują się w rękach takich ludzi?

–Och... – zawołał Stephen. Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż na horyzoncie, od strony Tangeru, pojawiły się następujące szybko po sobie rozbłyski, przywodzące na myśl uderzające w oddali błyskawice. Przyjaciele zerwali się na równe nogi, w nadziei, iż uda im się usłyszeć grzmot wystrzałów. Wiatr był zbyt silny i na próżno nadstawiali uszu. Usiedli więc znowu, z lunetami w dłoniach, obserwując uważnie morze. Daleko, w odległości dwudziestu, dwudziestu pięciu mil na zachód od Gibraltaru, wciąż przeskakiwały pomarańczowe ogniki. Z początku ukazywały się tylko w dwóch oddalonych od siebie o niecały stopień punktach, zlewając się niemal w jedno. Po chwili płomyki rozbłyskiwały w trzech, czterech, potem w pięciu miejscach. Wkrótce na niebie rozlała się też nieruchoma

1 z każdą chwilą coraz wyraźniejsza plama czerwieni.

–Pali się okręt – rzekł Aubrey przerażony. Jego serce biło tak mocno, że z trudem mógł utrzymać lunetę skierowaną na rozświetlającą horyzont łunę. – Boże, oby to nie był któryś z naszych. Można mieć tylko nadzieję, że zdążą zalać prochownię.

Oślepiający błysk rozjaśnił niebo. Jack i Stephen cofnęli się odruchowo, gwiazdy zgasły na chwilę. Dopiero w dwie minuty później z oddali doleciał odgłos potężnej eksplozji, zwielokrotniony odbitym od brzegów Afryki echem.

–Co się tam stało? – zapytał Stephen po chwili.

–Okręt wyleciał w powietrze – wyjaśnił Aubrey. Przypomniawszy sobie scenę z bitwy o

Nil, kiedy to „L'Orient” został rozerwany podobnym wybuchem. Wszystko na nowo stanęło mu przed oczami, z mnóstwem straszliwych szczegółów, które wydawały się zapomniane. Wciąż przebywał myślami wśród owych wspomnień, gdy kolejna eksplozja rozświetliła mrok. Ten wybuch był potężniejszy niż poprzedni.

Po chwili wszystko umilkło. Nie było widać najmniejszego nawet światła, zgasły błyski wystrzałów. Wiatr stopniowo przybierał na sile, wschodził księżyc i kolejno znikaly najslabsze gwiazdy. Niektóre z płonących na zboczu ogników powoli wędrowały w dół, inne pozostały na miejscu, jeszcze inne wspinały się wyżej. Jack i Stephen siedzieli nadal pod skałą i tutaj zastał ich poranek. Uzbrojony w lunetę Jack wciąż przeszukiwał horyzont, Stephen spał smacznie, z błogim uśmiechem na twarzy.

Nic się nie działo. Puste morze, puste niebo, cisza. Wiatr znowu osłabł i zaczął niebezpiecznie zmieniać kierunek, dmuchając coraz to z innej strony. O wpół do siódmej Jack odprowadził Stephena do szpitala, pokrzepił się filiżanką kawy i ponownie ruszył pod górę.

Ponieważ często wędrował po zboczu, znał każdy kamień po drodze, pod skalnym filarem czuł się jak u siebie w domu. Wybierał się tam w czwartek po południu, niosąc z sobą torbę z żaglowego płótna, do której zapakował skromną kolację. Na stromym stoku ujrzał Dalziela, Boughtona z „Hannibala” i Marshalla. Schodzili z góry tak szybko, że nie mogli się zatrzymać.

–„Calpe” wpływa do portu, sir! – zawołali z daleka i popędzili dalej, mały piesek skakał dookoła nich z radosnym ujadaniem.

Heneage Dundas, kapitan słynącego z szybkości słupa „Calpe”, był sympatycznym młodym człowiekiem, lubianym przez tych, którzy znali jego liczne zalety – wyróżniał się zwłaszcza znajomością matematyki. Nigdy jednak nie był bardzo popularnym człowiekiem. Jack z trudem przepychał się przez otaczający Dundasa tłum, pomagając sobie łokciami i w bezceremonialny sposób wykorzystując swoją tuszę. Już po pięciu minutach zaczął torować sobie drogę z powrotem i pobiegł po ulicach miasta, podskakując radośnie jak mały chłopiec.

–Stephen! – wykrzyknął, otwierając z trzaskiem drzwi. – Zwycięstwo! Chodź, idziemy to uczcić. Natychmiast... – powiedział głośno i uściskał doktora z całej siły.

–Co się stało? – zapytał Maturin zdezorientowany, odkładając skalpel i przykrywając kawałkiem płótna mauretańską hienę.

–Chodź ze mną, opowiem ci wszystko po drodze. Idziemy się napić! – Jack wyciągnął Stephena na zatłoczoną ulicę. Wszyscy rozmawiali z ożywieniem, śmiali się, ściskali sobie dłonie i poklepywali się po plecach. W dole, przy nowym nabrzeżu,

słysząc było wiwaty. – Chodźmy, jestem niewiarygodnie spragniony... To Keats jest bohaterem dnia. Tak! Keats! Cha, cha, cha. Tutaj, Pedro! Chodź tutaj! Przyniesz nam szampana. Wypijmy za zwycięstwo! Za kapitana Keatsa i jego okręt, „Superb”! Za admirała Saumareza! Pedro! Jeszcze jedną butelkę. Jeszcze raz za zwycięstwo! Jeszcze trzy razy! Hurra!

–Bardzo byłbym panu zobowiązany, gdyby wreszcie zechciał mi pan powiedzieć, co się stało – zniecierpliwiał się Stephen. – Pragnąłbym poznać szczegóły...

–Nie znam wszystkich szczegółów – wyjaśnił Jack. – Powiem panu wszystko, co wiem. Ten wspaniały człowiek, Keats... Pamięta pan, jak jego „Superb” pomknął do przodu? Tuż przed północą zrównał się z zamykającymi szyk hiszpańskimi okrętami pierwszej klasy. Począł na odpowiedni moment, wyłożył ster na zawietrzną i wskoczył pomiędzy dwa trójpokładowce, strzelając salwami z obu burt. Wyobraża pan sobie? Liniowiec o siedemdziesięciu czterech działach rzucił się na te dwa olbrzymy! Keats popłynął dalej, pozostawiając między nimi chmurę gęstego jak zupa dymu. Obie nieprzyjacielskie jednostki strzelały nadal, rażąc się wzajemnie, walczyły uparcie w ciemnościach. Armatnia kula (nie wiadomo, czy wystrzelił ją „Superb” czy „Hermenegildo”) strąciła stengę fokmasztu flagowca „Real Carlos”, fokmarsel spadł na działa i zapalił się natychmiast. Gdy płonący „Real Carlos” wyleciał w powietrze, rozrzucone pod wpływem wybuchu szczątki wznieciły ogień na pokładzie „Hermenegildo”. To były te dwie eksplozje, które wtedy widzieliśmy. Hiszpańskie okręty płonęły, a Keats związał walką francuski liniowiec „San Antonio”, który zmienił kurs i odgryzał się jak wściekły pies. Po pół godziny skapitulował, opuszczając banderę, gdyż „Superb” oddawał trzy salwy burtowe na dwie salwy Francuzów, celując niezwykle starannie. Keats objął w posiadanie zdobyty okręt, a pozostałe jednostki naszej eskadry dawały z siebie wszystko, ścigając uciekającą na północny wschód nieprzyjacielską flotyllę. Wiał bardzo silny, prawie sztormowy wiatr. Mało brakowało, a nasi zdobyliby „Formidable”; flagowiec admirała Linoisa w ostatniej chwili zdołał jednak wejść do portu w Kadyksie. Z kolei nasz „Venerable”, pozbawiony masztów, wszedł na mieliznę i wydawało się, iż jest stracony. Udało się go jakoś ściągnąć i wraca teraz do Gibraltaru, prowizorycznie otaklowany, z wytykiem jednego z bocznych żagli zamiast stermasztu, cha, cha, cha. O! Widzę Marshalla i Dalziela, właśnie gdzieś idą. Ahoj, panie Dalziel, panie Marshall! Ahoj! Prosimy do nas, wypijemy za zwycięstwo!

Na maszcie liniowca „Pompee” rozwinęła się flaga, zagrzmięło sygnałowe działo. Starsi kapitanowie przybywali na posiedzenie sądu wojennego.

Była to poważna rzecz – pomimo pięknej pogody oraz radosnego nastroju, panującego na lądzie i na stojących w porcie okrętach, musieli zapomnieć o wesołości. Wysiadali z łodzi z ponurymi minami, uroczyście. Wszystkich witano z należnym im szacunkiem, pierwszy porucznik odprowadzał ich kolejno do kabiny.

Jack był już na pokładzie. Pierwsza miała być rozpatrywana inna sprawa: w zasłoniętej lewoburtowej części jadalni czekał pewien kapelan – przerażony człowieczek, chodzący bez przerwy tam i z powrotem. Co jakiś czas mówił coś do siebie, składając dłonie. Przykro było patrzeć, jak starannie był ubrany i jak pieczołowicie, prawie do krwi, ogolony. Jeśli bowiem prawdziwa była chociaż połowa stawianych mu zarzutów, nie było dla niego nadziei.

Gdy działo odezwało się po raz drugi, oficer służbowy wyprowadził kapelana i rozpoczęło się trudne do zniesienia oczekiwanie – jedna z tych chwil, w których czas zatrzymuje się, a nawet zaczyna krążyć w kółko. Obecni w jadalni oficerowie rozmawiali przyciszonymi głosami. Wszyscy byli ubrani niezwykle elegancko, zgodnie z najdrobniejszymi wymogami regulaminu. Dzięki pieniądзом z przyzów mogli pozwolić sobie na mundury od najlepszych krawców i z najlepszych sklepów w Gibraltarze. Czy wynikało to tylko z szacunku dla sądu? A może w ten sposób chcieli uszanować tę szczególną chwilę? Może kierowało nimi podświadome poczucie winy? Pokora wobec wyroków losu? Dyskutowali cicho, spokojnie, co jakiś czas spoglądając na Jacka ukradkiem.

Każdy z nich został poprzedniego dnia pisemnie powiadomiony o terminie rozprawy i z jakiegoś powodu przynieśli ze sobą te wezwania, poskładane teraz lub zwinięte w rulon. Babbington i Ricketts zajęli się potajemnie wymyślaniem coraz bardziej ordynarnych przekleństw i sprośności. Mowett pisał i skreślał coś na odwrocie kartki, licząc na palcach sylaby, czasem też bezgłośnie deklamował. Lucock patrzył prosto przed siebie, w próżnię. Stephen z zainteresowaniem przyglądał się czerwonej pchle, skaczącej zawzięcie tu i tam po pokrytej kwadratami z pomalowanego żaglowego płótna podłodze.

Drzwi otworzyły się wreszcie. Jack powrócił do realnego świata. Wziął obszywany złotem kapelusz i schylając głowę, wkroczył odważnie do kabiny. Za nim do pomieszczenia kolejno wchodzili oficerowie. Zatrzymał się pośrodku salonu, wepchnął kapelusz pod ramię i uklonił się z szacunkiem – najpierw w kierunku przewodniczącego, następnie w kierunku kapitanów siedzących po prawej i po lewej stronie. Przewodniczący trybunału skinął lekko głową i pozwolił, by kapitan Aubrey oraz pozostali oficerowie usiedli. Krzesło Jacka stało o kilka kroków przed miejscami dla innych członków załogi. Siadając, poszukał odruchowo dłonią rękojeści nie istniejącej szpady. Sędzia adwokat odczytywał dokument, na podstawie którego zwołane zostało posiedzenie sądu.

Dosyć długo to trwało i Stephen zaczął wodzić wzrokiem po wnętrzu kabiny. Przypominała nieco reprezentacyjny salon „Desaix” (doktor cieszył się w duchu, że „Desaix” przetrwał bitwę), była trochę większa, lecz równie piękna i pełna światła. Ta sama zakrzywiona linia okien na rufie, te same pochylające się ku górze ściany i pomalowane na biało belki nad głową, spinające burty długim, idealnie wygiętym łukiem. Klasycznie pojmowane proporcje i prawa geometryczne niewiele w tym

pomieszczeniu znaczyły. Naprzeciwko drzwi, równolegle do okien, ustawiony był długi stół, za którym siedzieli wydający werdykt ludzie – pośrodku przewodniczący, po obu stronach starsi kapitanowie. Ubrany na czarno sędzia adwokat zajmował miejsce przy biurku, z lewej strony stał mały stolik kancelisty. Jeszcze dalej po tej samej stronie znajdowało się wydzielone linami miejsce dla publiczności.

W kabinie panował posępny nastrój. Twarze siedzących za lśniącym stołem ludzi były śmiertelnie poważne, niemal ponure. Poprzednia rozprawa była bardzo przykra i wstrząsająca, podobnie jak wyrok, którym się zakończyła.

Jacka zaciekawiały właśnie owe twarze, na nich skoncentrował całą uwagę. Patrzył na kapitanów pod światło i nie mógł dostrzec wszystkich szczegółów. Widział, iż są surowi i świadomi spoczywającej na nich odpowiedzialności: Keats, Hood, Brenton, Grenville – to ci, których znał. Czy Grenville rzeczywiście mrugnął porozumiewawczo jedynym okiem? A może był to tylko przypadkowy odruch? Na pewno odruch. Dawanie oskarżonemu jakichkolwiek sygnałów byłoby absolutnie nie na miejscu. Co ciekawe, przewodniczący sądu wydawał się teraz, po zwycięstwie, o dwadzieścia lat młodszy. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, zmęczone oczy nie zdradzały żadnych emocji. Pozostałych kapitanów Aubrey znał tylko z nazwiska. Jeden z nich, leworęczny, dla zabicia czasu rysował coś na kartce papieru. Twarz Jacka poszarzała ze złości.

Sędzia adwokat czytał dalej, monotony głos przypominał brzęczenie pszczoły.

–...Zgodnie z wydanymi na piśmie rozkazami utracony słup Jego Królewskiej Mości miał udać się... Z posiadanych przez sąd informacji wynika jednak, iż w przybliżonej pozycji zero stopni czterdzieści minut długości geograficznej zachodniej i trzydzieści siedem stopni czterdzieści minut szerokości geograficznej północnej, w pobliżu przylądka Roig, namiar... – mówił wytrwale prawnik, zgromadzeni w kabinie ludzie rozmyślali o swoich sprawach.

„Ten człowiek kocha swoje zajęcie” – stwierdził w duchu Stephen. – „Szkoda, że tak mamrocze. Trudno go zrozumieć. Taka wymowa to przy jego profesji prawdziwa choroba zawodowa”. Doktor zaczął się zastanawiać nad innymi skrzywieniami zawodowymi sędziów, zwłaszcza nad upośledzającym osobowość przekonaniem o własnej nieomyślności. Rozejrzał się znów dookoła i zauważył, iż Jack nie siedzi już na krześle tak sztywno jak na początku rozprawy. Formalności ciągnęły się w nieskończoność, dowódca „Sophie” wydawał się coraz bardziej nimi znużony i poirytowany. Jego twarz sposępniała, był dziwnie spokojny, niebezpieczny. W specyficzny sposób pochylił głowę i daleko wysunął jedną nogę – ta swobodna pozycja dziwnie kontrastowała z perfekcyjną elegancją munduru. Przeczucie podpowiadało Stephenowi, iż w każdej chwili można spodziewać się katastrofy. Sędzia adwokat dotarł do słów:

–...aby zbadać i ocenić postępowanie dowódcy słupa Jego Królewskiej Mości, „Sophie”, Johna Aubreya, a także by ocenić zachowanie oficerów oraz załogi wspomnianego okrętu w trakcie wydarzeń, które zakończyły się zatrzymaniem tej jednostki przez francuską eskadrę, dowodzoną przez admirała Linoisa. – Jack opuścił głowę jeszcze niżej.

„Ciekawe, jak daleko można się posunąć w manipulowaniu przyjaciółmi?” – pytał Stephen sam siebie, pisząc szybko na odwrocie kartki z wezwaniem na rozprawę: „Nic nie sprawiłoby panu H większej przyjemności niż niekontrolowany wybuch oburzenia z pańskiej strony w tym momencie”. Podał papier pierwszemu nawigatorowi, wskazując palcem Jacka. Marshall przekazał liścik do adresata, korzystając z pośrednictwa porucznika Dalziela. Jack przeczytał wiadomość i popatrzył na doktora ponuro. Trudno było powiedzieć, czy zrozumiał, o co chodzi. Skinął jednak porozumiewawczo głową.

Niemal natychmiast po tym Charles Stirling, starszy kapitan i przewodniczący sądu, zakaszłał głośno i zażądał:

–Kapitanie Aubrey, proszę przedstawić okoliczności, w jakich słup Jego Królewskiej Mości, „Sophie”, wpadł w ręce Francuzów.

Jack wstał, spojrział szybko na twarze sędziów, nabrał powietrza i zaczął mówić. Jego głos był silniejszy niż zwykle, nienaturalnie chrapliwy, wyzywający. Słowa padały pośpiesznie, z dziwnymi przerwami, jakby wypowiedane były do gromady nieprzyjaciół.

–Okolo godziny szóstej rano, trzeciego, na wschód od będącego w zasięgu naszego wzroku przylądka Roig zauważyliśmy trzy duże okręty liniowe i fregatę, najwyraźniej francuskie... Nieprzyjacielskie jednostki wkrótce ruszyły za nami w pogoń. „Sophie” znajdowała się pomiędzy nimi a brzegiem, od strony wiatru. Spróbowaliśmy ucieczki, podejmując wszelkie możliwe kroki: postawiliśmy wszystkie żagle, użyliśmy wiosel (wiatr był bardzo słaby). Okazało się jednak, iż pomimo naszych wysiłków Francuzi byli coraz bliżej. Ich okręty rozdzieliły się i żeglowały różnymi halsami, dzięki czemu mogły wykorzystać zmiany kierunku wiatru, przy każdym podmuchu zyskiwała któraś ścigająca nas jednostka. Wszystko wskazywało na to, iż nie uda nam się uciec kursem ostro na wiatr. Dlatego okolo godziny dziewiątej wyrzuciliśmy za burtę nasze działa oraz zapasy. Skorzystaliśmy następnie ze sprzyjającej okazji i gdy jeden z nieprzyjacielskich żaglowców był już blisko za rufą, wykonaliśmy niespodziewany zwrot, stawiając równocześnie boczne żagle. Znów jednak Francuzi bez trudu do nas doszli i to bez dodatkowych płócien. Gdy ich okręt zbliżył się do „Sophie” na odległość strzału muszkietowego, okolo godziny jedenastej na mój rozkaz opuszczono banderę. Do tego czasu nasz słup został trafiony kilkoma salwami burtowymi, straciliśmy bramstengę grotmasztu i reję fokmarsla. Kule przecięły też kilka lin.

Jack był świadomy niedorzeczności swojej przemowy. Umilkł nagle, zaciskając usta, i stał wyprostowany, spoglądając prosto przed siebie. Zaskrzybiało pióro kancelisty zapisującego szybko ostatnie słowa: „Kule przecięły też kilka lin”. Zapadła cisza, przewodniczący spojrzął na boki, zakaszał i zadał kolejne pytanie. Kancelista postawił piękny zakrętas na końcu poprzedniego zdania i pisał dalej:

Pytanie sądu: Kapitanie Aubrey, czy może pan zarzucić cokolwiek swoim oficerom i załodze dowodzonego przez siebie okrętu?

Odpowiedź: Nie. Wszyscy obecni na okręcie ludzie pracowali z największym poświęceniem i dokładali wszelkich starań, aby zapobiec temu, co się stało.

Pytanie sądu: Oficerowie i członkowie załogi „Sophie”, czy macie coś do zarzucenia waszemu kapitanowi? Odpowiedź: Nie.

–Proszę, niech wszyscy świadkowie wyjdą. Na sali pozostanie tylko porucznik Alexander Dalziel – polecił sędzia adwokat. Podchorążowie, pierwszy nawigator i Stephen znaleźli się w jadalni. Siedzieli w milczeniu, daleko od siebie, nasłuchując. Z kokpitu rozbrzmiewały echem po całym okręcie przeraźliwe wrzaski pastora, który usiłował przed chwilą popełnić samobójstwo; zza drzwi kabiny dolatywały przytłumione odgłosy toczącej się rozprawy. Wszyscy poruszeni byli tym, iż Jack jest tak zaniepokojony, zmartwiony i poirytowany. Widzieli swego dowódcę w wielu trudnych sytuacjach – zawsze zaskakiwał ich kamiennym spokojem – i niełatwo było im uwierzyć, że może być czymś wstrząśnięty. Nagle obudziły się wątpliwości, wahanie. Słysząc było teraz głos Jacka. Mówił głośniejszym głosem niż pozostali uczestnicy rozprawy, z pasją, wyraźnie wymawiając słowa:

–Czy nieprzyjacielski okręt oddał w naszym kierunku kilka salw burtowych i w jakiej znajdował się od nas odległości, gdy wystrzelił po raz ostatni?

Odpowiedź pana Dalziela zabrzmiała jak niezrozumiały pomruk.

–To zupełnie irracjonalny lęk – wyszeptał Stephen głośno, patrząc na swą wilgotną i zimną dłoń. – To kolejny przykład... Boże, przecież gdyby chcieli go pogrążyć, zapytaliby, jak to się stało, że znaleźliśmy się wtedy w tamtym miejscu. Zbyt mało wiem o morskich sprawach... – Spojrzał w twarz pierwszego nawigatora, szukając poparcia dla swych słów. Niestety. Twarz pana Marshalla przypominała kamienną maskę.

–Doktor Maturin – powiedział żołnierz, otwierając drzwi.

Stephen wszedł powoli do środka i ze szczególnym namaszczeniem złożył przysięgę, próbując zorientować się, jak przebiegała rozprawa. Kancelista zanotował dzięki temu do końca słowa pana Dalziela i pisał szybko dalej:

Pytanie: *Czy nieprzyjacielski okręt zbliżał się do „Sophie”, nie mając postawionych bocznych żagli?*

Odpowiedź: *Tak.*

Pytanie sądu: *Czy ten ścigający was okręt rozwijał większą prędkość niż „Sophie”?*

Odpowiedź: *Tak, przez cały czas.*

Wezwano i zaprzysiężono doktora Maturina, okrętowego lekarza słupa „Sophie”.

Pytanie sądu: *Czy oświadczenie kapitana, złożone przed chwilą tu na tej sali, w pańskiej obecności, jest zgodne z prawdą? Czy wasz słup wpadł w ręce Francuzów w takich właśnie okolicznościach?*

Odpowiedź: *Moim zdaniem, tak.*

Pytanie sądu: *Czy wystarczająco dobrze rozumie pan sprawy morza, aby ocenić, czy na „Sophie” podjęto wszelkie wskazane w takiej sytuacji działania, mające na celu wymknięcie się nieprzyjacielskim jednostkom?*

Odpowiedź: *W sprawach związanych z morzem i żeglugą orientuję się bardzo słabo. Wydawało mi się jednak, iż na okręcie uczyniono wszystko, co tylko możliwe, gdy usiłowaliśmy wymknąć się pogoni. Kapitan sterował, a oficerowie stanęli do wiosł razem z szeregowymi członkami załogi.*

Pytanie sądu: *Czy w chwili, gdy opuszczono banderę, przebywał pan na pokładzie i w jakiej odległości znajdowała się wówczas nieprzyjacielska jednostka?*

Odpowiedź: *Byłem wtedy na pokładzie. „Desaix” podszedł do „Sophie” na odległość strzału muszkietowego i oddał w naszym kierunku salwę burtową.*

W dziesięć minut później zakończono przesłuchiwanie świadków i polecono opuścić salę. Znow wszyscy znaleźli się w jadalni, tym razem nie było problemu z pierwszeństwem w drzwiach, gdyż z kabiny wyszli również Jack i pan Dalziel. Nikt się nie odzywał. Czy ten śmiech rozległ się tuż obok, czy też słyhać było odgłosy aż z oficerskiej mesy stojącego nieopodal „Caesara”?

Długa chwila ciszy. Bardzo długa. Wreszcie żołnierz otwierający drzwi kabiny powiedział:

–Proszę, panowie.

Weszli do środka. Pomimo tylu lat spędzonych na morzu Aubrey zapomniał schylić głowę i uderzył w nadproże z taką siłą, że na drewnianej belce pozostał kawałek

skóry i kilka jasnych włosów. Uderzenie prawie oślepiło Jacka, zdołał jednak wejść do środka i stanął wyprostowany przy swym krześle.

Kancelista napisał słowo „Wyrok”, podniósł oczy, zaskoczony dziwnym, dudniącym odgłosem, spojrzął znowu na papier i zaczął notować słowa sędziego adwokata:

–Wyrok sądu wojennego, zwołanego na pokładzie okrętu Jego Królewskiej Mości „Pompee” w zatoce Rosia... Sąd (po uprzednim zaprzysiężeniu) rozpoczął posiedzenie zgodnie z rozkazem podpisanym przez Sir Jamesa Saumareza Barta, wiceadmirała... Po przesłuchaniu świadków i drobiazgowym przeanalizowaniu wszystkich okoliczności zdarzenia...

Brzęczący, beznamiętny głos mówił dalej, idealnie zestrojony z wypełniającym głowę brzęczeniem, i Jack nie mógł zrozumieć ani słowa. Widział tylko przez napływające do oczu łzy niewyraźny zarys twarzy mówiącego człowieka.

–...Sąd uznał, iż kapitan Aubrey, wszyscy oficerowie oraz członkowie załogi w obliczu zagrożenia dołożyli wszelkich starań, z największym poświęceniem próbując nie dopuścić, aby okręt wpadł w ręce wroga. W ich postępowaniu trudno doszukać się jakiegokolwiek winy, dlatego też zostają oni niniejszym oczyszczeni z wszelkich zarzutów – powiedział sędzia adwokat uroczyście. Jack nadal nie rozróżniał słów.

Niezrozumiały głos ucichł, rozmazana postać w czarnym ubraniu usiadła. Aubrey potrząsnął obolałą głową, zaciskając mocno zęby. Z trudem udało mu się odzyskać kontakt ze światem. W samą porę. Nareszcie widział i słyszał normalnie – zauważył uśmiech na twarzy Keatsa. Przewodniczący sądu wstał i wziął do ręki znajomą, trochę sfatygowaną szpadę. Trzymał ją ręką w stronę Jacka, lewą dłonią wygładzając kawałek papieru, leżący na stole obok wpuszczonego w blat kałamarza. Odkasznął po raz kolejny i odezwał się donośnym, zdecydowanym głosem, łączącym w równych proporcjach urzędową powagę i serdeczną życzliwość:

–Kapitanie Aubrey, z niemałą przyjemnością przyjąłem decyzję sądu, któremu miałem zaszczyt przewodniczyć. Wręczam panu teraz tę oto szpadę i gratuluję, iż została ona panu zwrócona zarówno przez wrogów, jak i przez przyjaciół. Mam nadzieję, iż już niedługo będzie pan miał okazję zdobyć jej znowu w zaszczytnej walce w obronie ojczyzny.

scanned by JMT @2004

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-17

